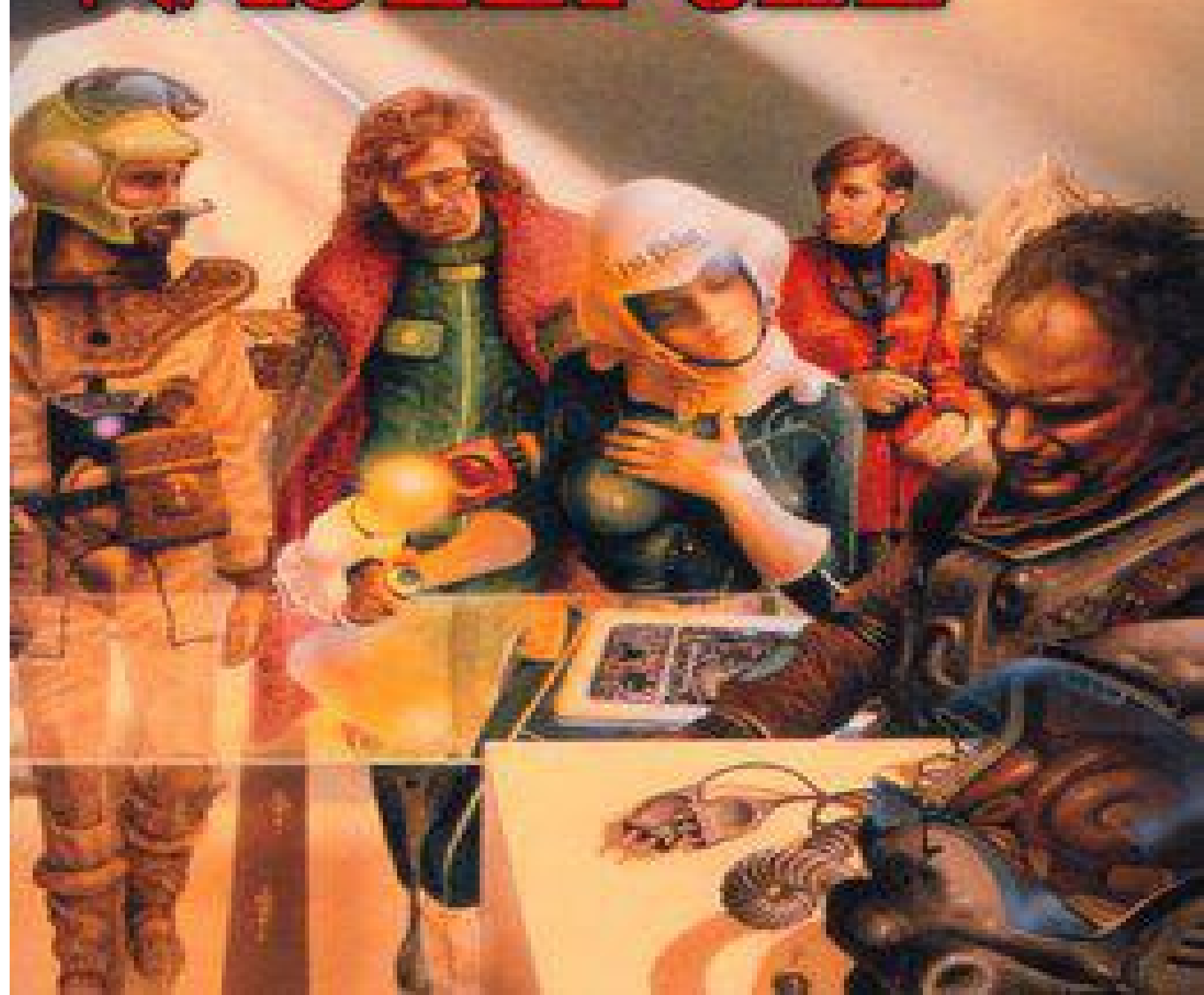


Philip K. Dick

OPOWIADANIA NAJLEPSZE



Philip K. Dick

Opowiadania Najlepsze

The Best of Philip K. Dick

Wstęp John Brunner

Przełożyli Jan Karłowski Tomasz Oljasz Michał Bęgiert

Dla Doris Sauter, która ocaliła mi życie, moje zdrowie, moją duszę, ale złamała mi serce.

RZECZYWISTOŚĆ PHILIPA K. DICKA

Niedawno zaproszony zostałem na spotkanie Stowarzyszenia Science Fiction Uniwersytetu Cambridge. W końcu przyszedł czas na pytania publiczności i — jak zwykle — ktoś zapytał:

— Kto jest twoim ulubionym pisarzem science fiction? Odpowiedziałem tak samo, jak odpowiadałem — och! — od ilu już lat:

— Philip Dick.

Nie jest to zresztą żadna tajemnica. Już w 1966 roku, kiedy talent tego pisarza w sposób iście hańbiący negowany był wówczas w Wielkiej Brytanii, napisałem o nim pełen niecierpliwości, jednocześnie podniosły artykuł dla „New Worlds”, w owym czasie wiodącego angielskiego pisma poświęconego fantastyce. Dzisiaj sprawia mi przyjemność, gdy wyobrażam sobie, że przyczynił się on do spopularyzowania nazwiska twórcy po tej stronie Atlantyku.

Jak na godnego swego tytułu naukowca przystało, pytający nie był usatysfakcjonowany prostą odpowiedzią i domagał się, bym uzasadnił swój wybór. I wtedy przyszedł mi do głowy argument, którym nie posługiwałem się nigdy wcześniej, który jednak, jak sobie natychmiast zdałem sprawę, właściwie zawsze miałem na końcu języka. Odrzekłem więc:

— Ponieważ po przeczytaniu jego książki zawsze mam uczucie, jakbym właśnie został wyprowadzony w pole przez mistrza.

Tak. Z pewnością z tego powodu właśnie mam w domu więcej książek Dicka niżli któregośkolwiek innego autora. To właśnie on jest przykładem pisarza par excellence, który potrafi sprawić, że opisywane przezeń światy wydają się realne. Mogą być absurdalne, nielogiczne, niewiarygodne... ale nie sposób przekonać się o tym, póki nie skończy się czytać.

A nawet kiedy sam jesteś, tak jak ja, profesjonalistą i kiedy cofasz się pod prąd narracji, by zobaczyć, jak coś zostało opisane...

Tego się po prostu nie da zrobić.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli: świat Dicka rzadko kiedy bywa imponująco bogaty. Po większej części jest pusty, spustoszony właściwie — zawołaj, a tylko echo ci odpowie. Oczywiście można w nim znaleźć różne śliczne rzeczy, ale nikt o nie nie dba, nikt się nimi nie przejmuje; w najlepszym razie sprawiają wrażenie zakurzonych, często też niszczonej zaniechane. Jedzenie jest tu pozbawione smaku i nie sposób się nim nasycić. Znaki drogowe wiodą do miejsc, których nie chcesz wcale odwiedzać. Ludzie odziewają się nieporządnie, a ubrania ich drą się w najbardziej kłopotliwych momentach. Medykamenty przepisane przez lekarza wywołują takie skutki uboczne, że są środkiem zaradczym gorszym niż sama choroba. Nie, to nie jest przyjemny ani pociągający świat.

I dalej, czytelnicy Dicka ostatecznie czują się wyprowadzeni z równowagi, kiedy nagle rozpoznają, o co w tym wszystkim chodzi: oto jest świat, w którym żyjemy. Och, detale zostały zmienione — bohaterowie wymieniają a między sobą sarkastyczne uwagi albo bełkoczą coś bez związku, ewentualnie kłócą się z prowadzącym pojazd robotem — ale to jest tylko werbalna dekoracja.

A jednak, a jednak... świat ten jest odmienny. Ponieważ ukazuje się go nam z punktu widzenia właściwego jedynie Philipowi Dickowi, którego nie da się pomylić z żadnym innym pisarzem.

To, że tak utalentowany artysta najlepiej powinien być znany w dość ograniczonym środowisku miłośników science fiction, że wraz z publikacją tej książki jego imię powinno dołączyć do listy

zdominowanej przez autorów takich jak Weinbaum i Kuttner, na poły już zapomnianych (choć zupełnie niechęć) przez innych czytelników poza fanami s.f., jest równocześnie zasłużonym zaszczytem, jak i wołającą o pomstę krzywdą. Nie było zamiarem Philipa Dicka zostać pisarzem s.f. Najbardziej wyrafinowane obznajomie — nie z pirotechnicznym iście zasięgiem literackich technik, jakie przedstawił w swojej prozie, z łatwością może przekonać czytelnika, że wyposażony był aż nadto dobrze, aby próbować sił w dowolnej dziedzinie literatury. Po prostu jakoś się tak stało, iż we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy Phil zaczynał radzić sobie jako niezależny pisarz, na innych rynkach odrzucono jego opowiadania. Jedyna powieść z głównego nurtu literatury, którą napisał w 1959 roku, *Wyznania łgarza*, pojawiła się na rynku długo po napisaniu, i to w ograniczonym nakładzie... mianowicie w latach siedemdziesiątych. Paul Williams recenzował ją w magazynie „Rolling Stone”, opatrując określeniami: „zabawna” oraz „straszliwie celna”. W zeszłym miesiącu opublikowano naprawdę całe mnóstwo powieści, które próbują być i takie, i takie, a żadna z tych rzeczy nie udaje im się w pełni. Cóż! Taki już żywot autora.

Jako długoletni towarzysz podróży po krainie s.f., muszę przyznać, iż jestem dumny z tego, że dzieło Phila doczekało się w niej wreszcie uznania. Nie ma to oczywiście nic wspólnego ze zwykłym przypadkiem. Oto, na przykład, jak wyglądał Phil w oczach Damona Knighta u zarania swej kariery*.

Philip Dick jest pisarzem, który przez ostatnie mniej więcej pięć lat wciąż eksploduje nowymi pomysłami — w ciągu jednego, 1953 roku opublikował dwadzieścia siedem opowiadań — z jakimś rodzajem skromnej, zmiennej jak u kameleona kompetencji. Zacytujmy Anthony’ego Bouchera: „W chwili obecnej jego nazwisko pojawia się niemalże w każdym wydawnictwie poświęconym science fiction — a co tym bardziej zaskakujące, w każdym wypadku proponuje on opowiadania dostosowane do gustu wydawców i potrzeb określonej publikacji: wydawcy zarówno «Whizzing Star Patrol», jak i «Quaint Quality Quarterly» są całkowicie zgodni, że Dick jest szczególnie zadowolającym współpracownikiem”.

Wchodząc i wychodząc, jak to tylko on potrafi uczynić, przez tak rozmaite drzwi naraz, Dick wywołuje w nas niejasne wrażenie kogoś, u kogo nieznacznym talentem literackim skojarzonym jest z krótkowzrocznie doskonałą znajomością potrzeb rynku — pisze on banalne, krótkie opowiadania, które bawią, nie budząc równocześnie głębszych uczuć, z miejsca się sprzedają i z miejsca są zapomniane.

Być może taki był typowy wizerunek, jakiego dopracował się w oczach wydawców innych niż ci, którzy kupowali jego opowiadania science fiction. Pisarzy, którzy tak mocno jak on potrafią wryć się w pamięć, ze świecą szukać.

Lecz powyższy cytat z Damona Knighta stanowi tylko wstęp do entuzjastycznej recenzji dwu pierwszych powieści Dicka: *Słonecznej loterii* oraz *Świat Jones*.

Jeżeli mielibyśmy się doszukiwać powodów — a na początku niniejszego wstępu padło takie pytanie — dlaczego dzieło Dicka rozbrzmiewa głębokim akordem w umysłach czytelników science fiction oraz dlaczego w ciągu ostatniej dekady czy nawet w jeszcze krótszym czasie pisarz stał się tym, kim jest — autorem zupełnie wyjątkowym, niezależnie od etykiety, jaką przyczepia mu się w tym właśnie tygodniu — być może należałoby pójść następującą drogą argumentacji.

Istnieje w literaturze cały zestaw technik pisarskich, które cechuje *reductio ad absurdum*: wyolbrzymianie, skrajność, przesada oraz niespójność. Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie one

odpowiadają temu, co w sztuce określa się mianem „surrealizmu”. I podobnie jak w wypadku rysunku oraz malarstwa, środki takie zarezerwowane są głównie dla karykatury, toteż większość pisarzy stosuje je zasadniczo do celów satyrycznych. Science fiction wszakże zobaczyła w tych technikach istotę własnego stylu, nie traktując ich jako coś wyjątkowego, lecz stosując w praktyce.

Grunt, na którym płodna moc inwencji — taka, jaką na przykład dysponuje Dick — może rozkwitać, został zaorany i użyźniony przez takich jego poprzedników jak Henry Kuttner*. Ale cóż ja właściwie przed chwilą powiedziałem? Potęga wyobraźni taka jak u Dicka? Nie ma takiej drugiej! Miał on wprawdzie naśladowców, jak tego można by oczekiwać. Nie ma jednak „szkoły” bądź „kręgu” Dicka, w takim sensie tego słowa, jakim możemy określić grupę pisarzy, których dzieła wykazują wzajemne, określone podobieństwa. Dick jest nie tylko zupełnym samotnikiem, lecz nadto jest samotnikiem wyjątkowym. Dick, czego potwierdzenie łatwo można znaleźć w zadrukowanych stronicach, napisał książkę, którą wielu ludzi uważa za psychodeliczną powieść par excellence — mianowicie *Trzy stygmaty Palmera Eldritch'a* — opierając się wyłącznie na artykule z czasopisma poświęconym LSD, nie zaś w wyniku bezpośredniego kontaktu z narkotykiem. (Uczył to później, jak rozumiem. Ale nie wtedy.)

Spekulowano, że LSD oraz inne podobne narkotyki tak bardzo pociągają współczesnych ludzi, otulonych namnażającymi się warstwami sztucznego komfortu, ponieważ wywołują złudzenie wtargnięcia w sfery dawniejszych rodzajów percepcji, które bliższe są rzeczywistości — jakakolwiek by ona była. (Czy podobnie uważał Cordwainer Smith, kiedy wymyślił *Alpha Ralpa Boulevard?**)

Lecz przecież od niepamiętnych czasów ludzie próbowali uporządkować sobie w głowach — wyzwolić się, choćby przemocą, z tych schematów percepcyjnych, do których tak się przyzwyczailiśmy. One właśnie są odpowiedzialne za cienie, jakie rzuca przeszłość, pamięć, na to, co — jak sobie wyobrażamy — postrzegamy, a co z kolei nazywa się terażniejszością.

Przeczytanie opowiadania Philipa Dicka jest wielce skutecznym środkiem zniszczenia takich przyjętych a priori zestawów pojęciowych. A to tym bardziej winno być zalecane, że nie pociąga za sobą ewentualnego uszkodzenia mózgu, jak w wypadku iniekcji skoncentrowanych środków chemicznych. Efekt nadto nie jest wyłącznie przejściowy i nieodwracalny, jak te przelotne wglądy, które zawdzięczamy wdychaniu określonych substancji organicznych szeroko rozpowszechnionych w naszym społeczeństwie. Ani też nie wymaga to wydatku ogromnych sum pieniężnych, jak na seanse psychoanalityczne czy psychoterapeutyczne. Czytanie jego...

Cóż, ono potrafi wyprawiać różne rzeczy z twoim umysłem. Zupełnie mimochodem Dick każe jednej ze swych postaci powiedzieć do innej: „Bóg umarł”.

I jest to prawda znana. Ciało jakiejś istoty dostatecznie zaawansowanej w rozwoju, by móc stworzyć Ziemię i nas, zostało znalezione, kiedy orbitowało w przestrzeni kosmicznej.

Ale w ramach tej opowieści stwierdzenie to nie jest czymś, co można by określić jako ważne.

W tak ograniczonych ramach nie będę próbował szczegółowo uzasadnić, dlaczego — moim zdaniem — głównym tematem prozy Dicka jest tropienie i ujawnianie sprzeczności między rzeczywistością a naszym jej postrzeganiem, tudzież dlaczego publicznie twierdziłem, że nikt, nie licząc garstki średniowiecznych niemieckich i angielskich mistyków, których nawet w połowie nie czyta się tak zabawnie, tak dobrze jak on nie wyraził tej dychotomii w przebraniu alegorycznym. Gdybym wdał się w rozważania prowadzące tym tropem, zapewne z konieczności czułbym się zobowiązany omówić dokładniej powracający motyw przewodni jego pisarstwa — zaangażowanie

amerykańskiej elity władzy w rehabilitację nazistów, których metody chce ona zastosować w USA — co z kolei doprowadziłoby mnie do kwestii włamania do jego domu w Kalifornii, kiedy to skradziono mu całość prywatnego archiwum, co w świetle afery Watergate oraz badań Kongresu nad działalnością FBI i CIA zaowocowałoby w konsekwencji wszelkimi rodzajami alarmujących pytań. (Jakież „marsjański poślizg w czasie”^{*} skłonił go do uczynienia elitą władzy w tej powieści hydraulików?)

Swoją wersję rzeczywistości Dick adaptował na niezliczone sposoby, odpowiadające potrzebom jego prozy. Została

tez — czego nie wolno nie dostrzegać — rozwinięta przez innych, którzy skorzystali z możliwości, jakie daje maska s.f.

Być może właśnie dlatego, że z taką błyskotliwością potrafi przedstawić swe powieściowe postaci, iż kiedy czytasz, wydają ci się rzeczywiste, rozumie pobudki kierujące tymi, którzy gonią za władzą i wpływem na rzeczywisty (?) świat, zamieszkaną przez nas — przyglądającą się temu procederowi publiczność.

Czy jest to świat demokratyczny, uczciwy, dający szansę każdemu przeciętnemu człowiekowi, aby mógł wybrać sobie sposób, w jaki będzie rządzony, oraz dający szansę dziecku z chaty drwala, by zostało prezydentem?

Panie Simulacrum, kiedy ostatni raz wynalazł pan aerozol albo wiertło?

Cóż, powiadają tutaj, że właśnie pan to zrobił.

Och.

Rozumiem. Bardzo mi przykro. Czy mam prawo do tego, by było mi przykro?

Ze wszystkich powieści, którymi raczyłem ludzi, aby ich nawrócić na czytanie s.f., największy sukces odniosły dwie: *Earth Abides* George’a R. Stewarta oraz *Człowiek z Wysokiego Zamku* Philipa K. Dicka. Dick jest tak dobry w spełnianiu tego zadania, że potrafi przedrzeć się przez ograniczenia wiążące każdą duszę.

Ale to muszę wam powiedzieć prosto z mostu: nie chcę żyć w świecie, jaki z taką zręcznością opisuje Dick.

Chciałbym — rozpaczliwie chciałbym — ośmielić się wierzyć, że nie jest to ten świat.

Być może, jeśli znaczna część ludzi przeczyta Dicka, będę miał większe szansę żyć w lepszym świecie...

John Brunner
Somerset, Anglia
maj 1976

Przełożył Jan Karłowski

GDZIE KRYJE SIĘ WUB

Załadunek był już prawie skończony. Optus stał przy statku z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Twarz miał zasepioną. Kapitan Franco powoli zszedł po trapie, uśmiechnął się.

— O co chodzi? — zapytał. — Za wszystko ci zapłaciliśmy.

Optus nie odrzekł słowa. Odwrócił się, zebrał fałdy swej szaty. Wtedy kapitan przydepnął końcem buta skraj jego tuniki.

— Jeszcze chwila. Nie odchodź. Jeszcze nie skończyłem.

— Tak? — Optus odwrócił się z godnością. — Wracam do wioski. — Spojrzał w kierunku zwierząt i ptactwa, które zaganiano bądź wnoszono po trapie na statek. — Muszę zająć się organizacją następnych polowań.

Franco zapalił papierosa.

— Czemu nie? Twoi ludzie mogą się udać na sawannę i znowu tropić zwierzynę. Ale dopiero kiedy my będziemy już w połowie drogi między Marsem a Ziemią...

Optus odszedł, nie rzekłszy więcej ani słowa. Franco podszedł do pierwszego oficera, stojącego przy trapie.

— Jak idzie? — zapytał. Spojrzał na zegarek. — Udało nam się ubić tutaj niezły interes.

Pierwszy spojrzał na niego kwaśno.

— A dlaczego, pana zdaniem, tak się stało?

— O co ci chodzi? Potrzebujemy tego bardziej niż oni.

— Zobaczmy się później, kapitanie. — Oficer utorował sobie drogę po trapie, na którym tłoczyły się długonogie marsjańskie biegusy, i wszedł na statek. Franco patrzył, jak znika we wnętrzu. Właśnie zamierzał ruszyć jego śladem, kiedy zobaczył to.

— Mój Boże! — Zatrzymał się, zagapił, ręce mimowolnie oparł na biodrach.

Peterson szedł w stronę statku, z twarzą poczerwieniałą od wysiłku i prowadził to na sznurku.

— Przepraszam, kapitanie — wystękał, szarpiąc za sznurek.

Franco ruszył w jego stronę.

— Co to jest?

Wub zatrzymał się chwiejnie, wielkie cielsko powoli opuścił na ziemię. Najwyraźniej miał zamiar usiąść, przymknął lekko powieki. Kilka much bzycało przy jego boku, machnęła ogonem.

Usiadł. Wokół zapanowała cisza.

— To jest wub — oznajmił Peterson. — Kupiłem go od tubylca za pięćdziesiąt centów. Powiedział, że to bardzo niezwykle zwierzę. Niezwykle szanowane.

— To? — Franco szturchnął wielki, wydęty bok wuba. — To jest świnia! Ogromna, brudna świnia!

— Tak, proszę pana, to jest świnia. Tubylcy mówią na nią „wub”.

— Ogromna świnia. Musi ważyć ze czterysta fantów. — Franco złapał za kosmyk szorstkiej sierści.

Wub westchnął ciężko. Otworzył oczy, malutkie i wilgotne. Potem jego wielki ryj zadrżał. Po policzku spłynęła mu łza i płasnęła o ziemię.

— Być może nadaje się do jedzenia — nerwowo zasugerował Peterson.

— Wkrótce się przekonamy — odparł Franco.

Wub przeżył start rakiety, przez cały czas śpiąc w ładowni statku. Kiedy już byli w przestrzeni i

wszystkie sprawy szły gładko, kapitan Franco kazał swoim ludziom zagnać wuba na górę, chcąc się na własne oczy przekonać, co z niego za stwór.

Wub chrząkał i kwiczał, kiedy pędzono go korytarzem. No, chodź — denerwował się Jones, ciągnąc za sznur.

Wub zataczał się, ocierając bokiem o gładkie, błyszczące ściany. Wpadł do przedsionka i bezwładnie zwałił się na podłogę. Wszyscy poderwali się na równe nogi.

— Dobry Boże — odezwał się French. — A cóż to jest?

— Peterson mówi, że to jest wub — odparł Jones. — Jest jego własnością. — Kopnął wuba w bok.

Wub wstał niepewnie, dysząc ciężko.

— Co się z nim dzieje? — French podszedł bliżej. — Jest chory?

Obserwowali stwora. Wub żałośnie przewrócił oczami. Rozejrzał się dookoła, spoglądając na ludzi.

— Myślę, że on jest spragniony — powiedział Peterson. Poszedł po wodę.

French pokręcił głową.

— Nic dziwnego, że mieliśmy takie kłopoty ze startem. Musiałem na nowo sprawdzić wszystkie rachunki dotyczące obciążenia.

Peterson pojawił się z powrotem, przyniósł wodę. Wub zaczął ją z wdzięcznością chleptać, opryskując ludzi. W drzwiach pojawił się kapitan Franco.

— Przyjrzyjmy mu się. — Podszedł bliżej, krytycznie mrużąc oczy. — Dałeś za niego pięćdziesiąt centów?

— Tak jest — odrzekł Peterson. — Jest wszystkożerny. Dałem mu pszenicę i zjadł. A potem ziemniaki, obierki, odpadki ze stołu i mleko. Wszystko chyba żarł z radością. Gdy skończył, położył się i zasnął.

— Rozumiem — powiedział kapitan Franco. — Natomiast co do jego smaku... Oto jest pytanie. Wątpię, czy ma sens tuczenie go dalej. Dla mnie jest już dość tłusty. Gdzie jest kucharz? Ma zaraz się tu zjawić. Chcę się dowiedzieć...

Wub przestał chleptać wodę i spojrzał w górę na kapitana.

— Doprawdy, kapitanie — powiedział wub. — Proponuję, byśmy zmienili temat.

W pomieszczeniu zapadła martwa cisza.

— Co to było? — zapytał Franco. — Przed chwilą?

— To wub, proszę pana — odparł Peterson. — Powiedział coś.

Wszyscy spojrzeli na wuba.

— Co on powiedział? Co on powiedział?

— Zaproponował, byśmy zmienili temat.

Franco podszedł do wuba. Obszedł go dookoła, badawczo przyglądając mu się ze wszystkich stron. Potem cofnął się i zatrzymał przy grupce ludzi.

— Zastanawiam się, czy przypadkiem w środku nie schował się tubylec — oznajmił z namysłem. — Może powinniśmy go rozkroić i sprawdzić.

— Na litość boską! — załkał wub. — Czy wy, ludzie, tylko o tym potraficie myśleć, o zabijaniu i krojeniu?

Franco zacisnął pięści.

— Wyłaż stamtąd! Kimkolwiek jesteś, wyłaż!

Nic się nie poruszyło. Ludzie stali razem, ich twarze pozbawione były wyrazu, patrzeli w milczeniu na wuba. Wub zakręcił ogonkiem. Nagle odbiło mu się głośno.

— Proszę o wybaczenie — powiedział wub.

— Nie wydaje mi się, żeby tam ktoś w środku był — stwierdził Jones stłumionym głosem.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

Do pomieszczenia wszedł kucharz.

— Pan mnie wzywał, kapitanie? — spytał. — Co to za zwierzę?

— To jest wub — oznajmił Franco. — Zostanie skonsumowany. Gdybyś mógł go zważyć i zastanowić się jak...

— Naprawdę wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać — powiedział wub. — Jeśli to możliwe, chciałbym to z panem omówić, kapitanie. Nietrudno dostrzec, że pan i ja nie zgadzamy się w pewnych podstawowych kwestiach.

Dłuższą chwilę trwało, zanim kapitan był zdolny cokolwiek odrzec. Wub czekał dobrodusznie, zlizując krople wody z ryja.

— Chodźmy do mojej kajuty — rzekł w końcu kapitan. Odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

Wub powstał i potruchtał za nim. Ludzie stali i patrzyli, jak wychodził. Potem usłyszeli odgłosy niezgrabnego gramolenia się po schodach.

— Zastanawiam się, jaki będzie wynik tej rozmowy — odezwał się kucharz. — Cóż, jestem w kuchni. Dajcie mi znać, gdy się coś okaże.

— Jasne — powiedział Jones. — Z pewnością.

Wub z westchnieniem rozmościł się w kącie.

— Musi mi pan wybaczyć — powiedział. — Obawiam się; że nawykłem do częstego zażywania wypoczynku. Kiedy jest się tak wielkim jak ja...

Kapitan niecierpliwie pokiwał głową. Usiadł przy biurku i splótł dłonie.

— W porządku — odparł. — Porozmawiajmy więc. Jesteś wubem? Nie mylę się?

Wub wzruszył łopatkami.

— Tak przypuszczam. To znaczy w ten sposób nazywają nas tubylcy. My posługujemy się własnym określeniem.

— I mówisz po angielsku? Kontaktowaliście się już wcześniej z Ziemianami?

— Nie.

— A więc gdzie się nauczyłeś?

— Mówić po angielsku? A czy ja mówię po angielsku? W ogóle nie wydaje mi się, żebym akurat mówił. Zbadałem pański umysł...

— Mój umysł?

— Przebadałem jego zawartość, szczególnie zaś jego strukturę semantyczną, jak to zwykłem nazywać...

— Rozumiem — powiedział kapitan. — Telepatia. Oczywiście.

— Jesteśmy bardzo starą rasą — ciągnął dalej wub. — Bardzo starą i bardzo nieruchliwą. Swobodne poruszanie się sprawia nam dużo trudności. Zdaje pan sobie sprawę, że ktoś tak ociężały i powolny znajduje się właściwie na łasce i niełasce bardziej ruchliwych form życia. Żadnego więc pożytku nie mielibyśmy z rozwijania czysto cielesnych organów samoobrony. W jaki sposób moglibyśmy zwyciężyć? Zbyt masywni, by uciekać, nazbyt miękcy, by walczyć, zbyt dobroduszni, by polować dla przyjemności...

— Czym się więc odżywiacie?

— Jemy rośliny. Warzywa. Jesteśmy niemalże wszystkożerni. Jesteśmy też bardzo liberalni. Tolerancyjni, eklektyczni i liberalni. Żyjemy i pozwalamy żyć innym. W taki sposób udało się nam przetrwać. — Wub spojrział na kapitana. — I dlatego też tak gwałtownie protestuję przeciwko temu

pomysłowi z upieczeniem mnie. Jestem w stanie dostrzec, jakim torem biegną myśli w pańskiej głowie... większość obrazów w pańskiej duszy to wizerunek mnie w lodówce, reszta na ruszcie, odpadki rzucimy kotu...

— A więc potrafisz czytać w myślach? — zapytał kapitan. — Bardzo interesujące. Coś jeszcze? Chodzi mi o to, co jeszcze potraficie robić w tym stylu?

— Jeszcze kilka tego typu drobiazgow — odpowiedział wub nieobecny głosem, rozglądając się po pomieszczeniu. — Pięknie się pan tu urządził, kapitanie. Całkiem czysto u pana. Szanuję schludne formy życia. Niektóre z marsjańskich ptaków są również dosyć czyste. Wyrzucają odpadki ze swych gniazd i wymiatają je...

— W samej rzeczy. — Kapitan pokiwał głową. — Ale wracając do przedmiotu naszego sporu...

— Właśnie. Mówił pan o zjedzeniu mnie na kolację. Smak, tak mi powiadano, jest przedni. Jestem trochę tłusty, lecz mięso mam delikatne. W jaki jednak sposób mielibyśmy doprowadzić do nawiązania trwałych stosunków między waszą rasą a moją, jeśli upieracie się przy tak barbarzyńskich poglądach? Zjeść mnie? Powinien pan raczej przedyskutować ze mną podstawowe i najważniejsze kwestie: filozofię, sztuki piękne...

Kapitan wstał.

— Filozofia. Być może zainteresuje cię wiadomość, że przez najbliższy miesiąc trudno będzie znaleźć dla ciebie coś do zjedzenia. A niestety tak się składa, że odpadki ze stołu...

— Zdaję sobie sprawę. — Wub pokiwał głową. — Ale czy nie byłoby bardziej w zgodzie z waszymi demokratycznymi zasadami, gdybyśmy ciągnęli zapałki albo coś w tym stylu? Mimo wszystko demokracja jest po to, by chronić mniejszość przed pogwałceniem jej praw. A więc, skoro każdy z nas dysponuje jednym głosem...

Kapitan ruszył w kierunku drzwi.

— Chyba ci się przewróciło w głowie. — Otworzył drzwi. Chciał właśnie coś powiedzieć...

Zamarł z rozwartymi ustami, wpatrzony pustym wzrokiem w przestrzeń. Jego palce wciąż ścisnęły klamkę.

Wub obserwował go. Po chwili wybiegł truchtem z pomieszczenia, przeciskając się w progu obok kapitana. Potem ruszył korytarzem, pogrążony w rozmyślaniach.

W pomieszczeniu panowała cisza.

— A więc widzisz — powiedział wub — mamy nawet wspólny mit. W twojej pamięci odnalazłem wiele znanych mi mitologicznych symboli. Isztar, Odyseusz...

Peterson siedział w milczeniu, wpatrując się w podłogę. Poprawił się na krześle.

— Mów dalej — powiedział. — Proszę, mów dalej.

— W waszym Odyseuszu odnajduję postać wspólną mitologiom większości rozumnych ras. Interpretuję to w następujący sposób: wędrówka Odyseusza jest zdobywaniem przez jednostkę świadomości siebie samej. Pojawia się tu więc idea rozłąki, separacji od rodziny i narodu. Proces indywidualizacji.

— Ale Odyseusz wraca przecież do swego domu. — Peterson zerknął przez okno luku na gwiazdy, nieskończone pole gwiazd płonących niewzruszenie w pustym wszechświecie. — Na koniec wraca do domu.

— Jak muszą to zrobić wszystkie istoty. Czas rozłąki wreszcie dobiega końca, stanowił jedynie krótki okres wędrówki duszy. Ma swój początek, potem koniec. Wędrowiec powraca do swej ziemi i przedstawicieli swej rasy...

Wtem otworzyły się drzwi. Wub przerwał i odwrócił wielką głowę.

Do pomieszczenia wszedł kapitan Franco, za nim widać było twarze pozostałych. Zawahali się w

drzwiach.

— Nic ci się nie stało? — zapytał French.

— Chodzi ci o mnie? — zdziwił się Peterson. — Dlaczego miałoby mi się coś stać?

Franco opuścił lufę broni.

— Chodź tutaj — rozkazał Petersonowi. — Wstawaj i podejdź tu.

Zapadła cisza.

— Idź — powiedział wub. — To nie ma znaczenia.

Peterson wstał.

— Po co?

— To jest rozkaz.

Peterson podszedł do drzwi. French złapał go za ramię.

— Co się dzieje? — Peterson wyszarpnął się z uścisku. — Co się z wami dzieje?

Kapitan Franco podszedł do wuba, wciśniętego w kąt.

— Doprawdy interesujące. — Wub uniósł wzrok i spojrzał na niego. — Jesteś zupełnie opętany obsesją zjedzenia mnie. Zastanawiam się właśnie dlaczego.

— Wstawaj — warknął Franco.

— Jak sobie życzysz. — Wub podniósł się, chrząknął. — Proszę o cierpliwość, nie jest to dla mnie łatwe. — Stanął, ciężko dysząc. Jęzor głupawo zwisał mu z pyska.

— Niech pan go od razu zastrzeli — powiedział French.

— Na miłość boską! — wykrzyknął Peterson.

Jones odwrócił się szybko w jego stronę, jego oczy poszarzały ze strachu.

— Nie widzieliście go... jak posąg, stał tam z otwartymi ustami. Gdybyśmy go nie znaleźli, wciąż by tak stał.

— Kto? Kapitan? — Peterson rozejrzał się dookoła. — Ale z nim przecież wszystko w porządku.

Spojrzeli na wuba, który stał pośrodku pomieszczenia, jego szeroka pierś unosiła się i opadała.

— No dalej — powiedział Franco. — Z drogi.

Ludzie odciągnęli go w kierunku drzwi.

— Trochę się pan boi, prawda? — odezwał się wub. — Czy coś panu zrobiłem? Jestem zdecydowanie przeciwny idei krzywdzenia drugiego. Z mojej strony była to tylko próba samoobrony. Czy oczekiwał pan, że z radością pobiegnę na spotkanie swej śmierci? Jestem istotą świadomą, podobnie jak pan. Ciekawy byłem pańskiego statku, chciałem się dowiedzieć, jak funkcjonuje. Zaproponowałem więc tubylcowi...

Lufa broni uniosła się do góry.

— No widzisz — powiedział Franco. — Tak właśnie myślałem.

Wub osunął się na podłogę, ciężko dysząc. Wyciągnął tylną łapę, owinał wokół niej swój ogonek.

— Jest bardzo ciepło — mówił dalej. — Jak rozumiem, znajdujemy się blisko silników. Energia atomowa. Udało wam się zrobić z nią mnóstwo cudownych rzeczy... to znaczy w technologicznym sensie. Najwyraźniej w waszej hierarchii nauk nie ma zbyt wiele miejsca dla umiejętności rozwiązywania problemów moralnych, etycznych...

Franco odwrócił się do skupionych za nim mężczyzn, popatrzył na nich szeroko rozwartymi oczyma, ale nic nie powiedział.

— Ja to zrobię. Wy możecie patrzeć.

French skinął głową.

— Niech pan spróbuje trafić w mózg. I tak nie nadaje się do jedzenia. Nie w pierś. Jeżeli kula strzaska klatkę piersiową, wszędzie pełno będzie odłamków kości.

— Słuchajcie — przerwał mu Peterson, oblizując wargi. — Czy on wam coś zrobił? Jakie krzywdy komu wyrządził? Pytam was. W każdym razie i tak należy do mnie. Nie macie prawa go zastrzelić. Nie zapłaciliście za niego.

Franco uniósł lufę broni.

— Wychodzę — oświadczył Jones. Był blady, wyglądał jakby mu się zbierało na mdłości. — Nie mam ochoty na to patrzeć.

— Ja również — dodał French.

Pozostali zaczęli się rozchodzić, mrużąc coś niewyraźnie. Peterson zmarudził przy drzwiach.

— Opowiadał mi o mitologii — oznajmił. — Na pewno nie miał zamiaru nikogo skrzywdzić. — Wyszedł również.

Franco ruszył w stronę wuba. Ten powoli uniósł na niego spojrzenie. Potem przełknął ślinę.

— Robisz bardzo głupią rzecz — rzekł. — Jest mi za ciebie wstyd. Istnieje przypowieść, którą opowiadał wasz Zbawiciel... — urwał, wpatrując się w wylot lufy. — Czy potrafisz zrobić to, patrząc mi w oczy? — zapytał. Będziesz potrafił?

Kapitan spuścił wzrok.

— Mogę ci patrzeć w oczy — powiedział. — Na Ziemi mam farmę, a na niej wieprze, brudne wielkie wieprze. Potrafię to zrobić.

Patrząc w dół na wuba, prosto w jego błyszczące, wilgotne oczy, nacisnął spust.

Smak był znakomity.

Siedzieli w ponurym milczeniu wokół stołu, niektórzy prawie nie spróbowali. Jedynym, który najwyraźniej czerpał rozkosz z posiłku, był kapitan Franco.

— Ktoś ma ochotę na jeszcze? — zapytał, patrząc po swojej załodze. — Dokładkę? Może jeszcze trochę wina?

— Ja nie chcę — powiedział French. — Wrócę chyba do sterówki.

— Ja również dziękuję — Jones wstał, odsuwając krzesło. — Zobaczymy się później.

Kapitan obserwował, jak po kolei wychodzą. Pozostali również nie mieli ochoty na dokładkę.

— Jak sądzisz, o co im chodzi? — zapytał kapitan. Odwrócił się do Petersona, który siedział ze wzrokiem wbitym w talerz z ziemniakami, zielonym groszkiem i grubym połciem delikatnego ciepłego mięsa.

Otworzył usta. Ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Kapitan położył dłoń na jego ramieniu.

— Teraz i tak jest to tylko porcja organicznej substancji — powiedział. — Esencja życia odeszła. — Ukroił sobie kawałek, wytarł sos z talerza odrobiną chleba. — Ja, na przykład, uwielbiam jeść. Jest to jedna z największych przyjemności, na jakie może liczyć istota żywa. Jedzenie, wypoczynek, rozmyślanie, rozprawianie o najrozmaitszych kwestiach.

Peterson pokiwał głową. Kolejnych dwu ludzi wstało od stołu i wyszło. Kapitan upił łyk wody, westchnął.

— Cóż — powiedział na koniec. — Muszę przyznać, że był to znakomity posiłek. Wszystkie doniesienia okazały się jak najbardziej prawdziwe... smak wuba. Bardzo dobry. Ale w przeszłości nigdy nie miałem okazji się nim cieszyć. — Otarł usta serwetką i rozparł się wygodnie na krześle.

Peterson dalej patrzył z przygnębieniem w talerz. Kapitan obserwował go z napięciem. Potem pochylił się trochę w jego stronę.

— Dobrze już, dobrze — powiedział. — Rozchmurz się! Porozmawiajmy o ciekawszych rzeczach.

— Uśmiechnął się. — Jak już mówiłem wcześniej, zanim mi tak niefortunnie przerwano, rola, jaką Odyseusz odgrywa w mitologii...

Peterson drgnął, zagapił się na tamtego.

— Wróćmy więc do tej kwestii — powiedział kapitan. — Wedle tego, jak rozumiem postać Odyseusza...

Przełożył Jan Karłowski

ROOG

— Roog! — słyhać było w głosie psa. Wsparł łapy na szczycie ogrodzenia i rozejrzał się dookoła.

Roog zbliżał się do podwórza.

Był wczesny ranek, słońce jeszcze nie zdążyło wzbić się ponad horyzont. Powietrze przenikał chłód, niebo było szare, ściany domu omszałe od wilgoci. Pies rozwarł odrobinę pysk, pazury wielkich czarnych łap wpił w drewno płotu.

Roog stał przy otwartej bramie, patrzył w głąb podwórza. To był mały roog, szczupły i biały, stał na trzęsących się nogach. Mrugnął w stronę psa, a ten obnażył zęby.

— Roog — warknął znowu.

Dźwięk odbił się echem w cichym półmroku. Nic się nie poruszyło, nic nie drgnęło. Pies opuścił przednie łapy na ziemię i poszedł przez podwórze ku schodom wiodącym na ganek. Usiadł na pierwszym stopniu i obserwował rooga. Roog spojrział na niego. Potem wyciągnął szyję w kierunku okna domu, dokładnie ponad nim. Węszył.

Pies skoczył przez podwórze. Uderzył w płot, aż brama zadrżała i jęknęła. Roog odchodził już szybko ścieżką, śpiesząc się, drobił nóżkami. Pies legł ciężko, opierając się o deski bramy, i ciężko dyszał, wywiesiwszy czerwony jęzor. Obserwował, jak roog znika za bramą.

Pies leżał w całkowitym milczeniu, jego oczy były czarne i błyszczące. Powoli zaczynał się dzień. Niebo pojaśniało, zewsząd docierały i pobrzmiwały w porannym powietrzu odgłosy budzących się ludzi. Za zasłonami rozbłyskiwały światła. Jedno z okien otworzyło się na poranny chłód.

Pies się nie poruszył. Obserwował ścieżkę.

W kuchni pani Cardossi zaparzyła kawę w dzbanku. Nad strumieniem wrzącej wody uniósł się obłok pary, oślepiając ją. Postawiła dzbanek na skraju kuchenki i weszła do spiżarni. Kiedy wróciła, Alf stał już w drzwiach kuchni. Włożył okulary na nos.

— Przyniosłaś już gazetę? — zapytał.

— Jeszcze leży na zewnątrz.

Alf Cardossi przeszedł przez kuchnię. Otworzył tylne drzwi i wyszedł na ganek. Objął wzrokiem szary, wilgotny poranek. Pod płotem leżał Borys z wywalonym ozorem, czarny i kosmaty.

— Schowaj jęzor — powiedział Alf.

Pies spojrział na niego przelotnie. Jego ogon uderzył o ziemię.

— Jęzor — powtórzył Alf. — Schowaj go.

Pies i człowiek patrzyli na siebie przez chwilę. Pies ziewnął. Jego oczy lśniły rozgorączkowane.

— Roog! — oznajmił cicho.

— Co? — Alf rozejrzał się dookoła. — Ktoś idzie? Gazeciarz przyszedł?

Pies patrzył na niego z rozdziawionym pyskiem.

— Ostatnio za bardzo się denerwujesz — powiedział Alf. — Lepiej daj temu pokój. Ty i ja jesteśmy już zbyt starzy, by się tak podniecać.

Wrócił do domu.

Słońce weszło. Ulica rozbłysła światłem i żywymi kolorami. Chodnikiem szedł listonosz, niosąc listy i czasopisma. Kilkoro dzieci towarzyszyło mu, śmiejąc się i paplając jedno przez drugie.

Koło jedenastej pani Cardossi zamiotła frontowy ganek. Wciągnęła głęboko powietrze, na chwilę

zatrzymała je w płucach.

— Powietrze dobrze dzisiaj pachnie — oznajmiła. — Zapowiada się ciepły dzień.

W gorącym słońcu południa czarny pies leżał wyciągnięty Jak długi przed gankiem. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Ptaki trzepotały w gałęziach wiśniowego drzewa, ćwierkając i skrzecząc na siebie. Co jakiś czas Borys unosił głowę i spoglądał na nie. Wreszcie wstał i potruchtał pod drzewo.

Stał tam, a wtedy zobaczył dwóch roogów siedzących na płocie i obserwujących go.

— Jest wielki — powiedział pierwszy roog. — Większość stróżów nie jest tak ogromna.

Drugi przytaknął, jego głowa zachybotwała na szyi. Borys obserwował ich, nie wykonując najmniejszego ruchu, z ciałem sztywnym i napiętym. Teraz żaden z roogów nic nie mówił, patrzyli tylko na wielkiego psa z kosmatą kryzą bieli wokół karku.

— Co z urną ofiarną? — zapytał pierwszy. — Jest prawie pełna, prawda?

— Tak. — Drugi pokiwał głową. — Prawie gotowa.

— Ty, tam! — powiedział pierwszy roog, podnosząc głos. — Słyszysz mnie? Tym razem postanowiliśmy przyjąć ofiarę. A więc pamiętaj, aby wpuścić nas do środka. Tym razem żadnych szaleństw.

— Nie zapomnij — dodał drugi roog. — To już niedługo. Borys się nie odezwał.

Zeskoczyli z płotu i zatrzymali się na dróźnie. Jeden z nich wyciągnął mapę i wpatrzyli się w nią.

— Ten teren rzeczywiście nie jest zbyt dobry, jak na pierwszą próbę — oznajmił pierwszy roog.

— Zbyt wielu stróży... A jeśli chodzi o obszar północny...

— Oni tak postanowili — powiedział drugi roog. — W grę wchodzi tak wiele czynników...

— Oczywiście.

Zerknęli obaj na Borysa i odsunęli się trochę od płotu. Reszty ich rozmowy nie mógł już dosłyszeć.

Wkrótce schowali mapę i odeszli ścieżką.

Borys podszedł do płotu i obwąchał deski. Wyczuł zgniłą woń roogów i włosy zjeżyły mu się na karku.

Tego wieczoru, kiedy Alf Cardossi wrócił do domu, pies stał przy bramie i patrzył na chodnik. Alf otworzył bramę i wszedł na podwórze.

— Jak się masz? — zapytał, poklepując psa po karku. — Przestałeś już się przejmować? Ostatnio coś za bardzo się denerwujesz. Kiedyś nie zachowywałeś się w taki sposób.

Borys zaskomlał, wpatrując się intensywnie w twarz mężczyzny.

— Jesteś dobrym psem, Borys — powiedział Alf. — Jesteś też całkiem duży, jak na psa. Nie pamiętasz pewnie, jak byłeś, ile to już lat temu, tylko malutkim szczeniaczkiem...

Borys otarł się o nogę mężczyzny.

— Dobry pies — wymruczał Alf. — Naprawdę, chciałbym wiedzieć, co się dzieje w twojej głowie.

Wszedł do domu. Pani Cardossi nakrywała już stół do kolacji. Alf poszedł do salonu, zdejmując po drodze płaszcz i kapelusz. Postawił pojemnik na drugie śniadanie na kredensie i wrócił do kuchni.

— O co chodzi? — zapytała pani Cardossi.

— Ten pies mógłby wreszcie przestać robić tyle hałasu, ciągle tylko szczeka. Sąsiedzi znowu poskarżą się na policji.

— Mam nadzieję, że nie będziesz musiał oddać go swemu bratu — powiedziała pani Cardossi, zakładając ręce na piersiach. — Ale to prawda, że czasami dostaje szału, zwłaszcza w piątkowe poranki, kiedy przychodzą śmieciarze.

— Może się uspokoi — powiedział Alf. Zapalił fajkę i z namaszczaniem pyknął kilka razy. —

Kiedyś nie zachowywał się w taki sposób. Może znówu wszystko wróci do normy.

— Zobaczymy — powiedziała pani Cardossi.

Słońce weszło, chłodne i złowieszcze. Mgła zalegała jeszcze wśród gałęzi drzew i niżej, przy ziemi.

Był piątkowy ranek.

Czarny pies leżał przed gankiem, nasłuchując, patrzył szeroko rozwartymi oczyma. Jego futro sztywne było od kryształków szronu, oddech z nozdrzy unosił się kłębamii pary w mroźnym powietrzu. Nagle odwrócił łeb i poderwał się na równe nogi.

Z oddali, z bardzo daleka, do jego uszu doleciał słaby odgłos, jakby odległy łomot.

— Roog! — skrzeknął Borys, rozglądając się dookoła. Pognał do bramy i stanął na tylny łapach, przednie opierając na szczycie płotu.

W oddali powtórzył się ten sam odgłos, tym razem głośniejszy i nie tak odległy jak przedtem. To był dźwięk przypominający szczekanie i zgrzyt, jakby coś się toczyło, jakby otwierano właśnie jakieś ogromne odrzwia.

— Roog! — zaskowytał pies. Patrzył z niepokojem na ciemne okna nad głową. Nie poruszało się za nimi nic, nic.

A ulicą zbliżały się roogi. Jechały w jego stronę ciężarówką, która podskakiwała na nierównym bruku, łomotała i warczała.

— Roog! — zawył Borys i skoczył, jego oczy płonęły. Potem się uspokoił. Przywarł do ziemi i czekał, nasłuchując.

Tymczasem przed frontowym wejściem roogi zatrzymały swoją ciężarówkę. Słyszał, jak otwierają drzwi, wychodzą na chodnik. Borys zatoczył kilka małych kółek, zaskomlał i po raz ostatni spojrział w stronę domu.

Wewnątrz, w ciepłej i ciemnej sypialni, pan Cardossi usiadł na łóżku i spojrział na zegarek.

— To ten przeklęty pies — wymamrotał. — Przeklęty pies. — Potem ponownie wtulił głowę w poduszkę i zamknął oczy.

Roogi szły już ścieżką. Pierwszy naparł na bramę. Gdy się otworzyła, weszły na podwórze. Pies cofnął się przed nimi.

— Roog! Roog! — wył. Poczul w nozdrzach nieznośną, gorzką woń roogów i zawrócił.

— Urna ofiarna — powiedział pierwszy. — Jest pełna, jak sędzę. — Uśmiechnął się do zeszywniałego, rozzłoszczonego psa. — Jak to miło z waszej strony — dodał.

Roogi podeszły do metalowego pojemnika, jeden z nich odrzucił wieko.

— Roog! Roog! — zawodził Borys, wciśnięty w podnóże stopni wiodących na ganek. Jego ciało drżało z przerażenia. Roogi podniosły wielki metalowy pojemnik, przewróciły go na bok. Zawartość wysypała się na ziemię, one zaś zaczęły grzebać w wydętych workach, składając razem papier, oddzielając łupiny od pomarańczy i od jej cząstek, kawałki tostów i skorupki jajek.

Jeden z roogów wsadził skorupkę do ust. Chrupiąc, zgryzł ją zębami.

— Roog! — wył rozpaczliwie Borys, niemalże wyłącznie do siebie.

Roogi kończyły już przyjmowanie ofiary. Zatrzymały się na chwilę i spojrzały na Borysa.

Potem powoli, w milczeniu spojrzały w górę, po ścianie domu, powiodły wzrokiem wzdłuż sztukaterii, spojrzały w okno, szczelnie zaciągnięte brązową zasłoną.

— Roog! — zawodził Borys, powoli zbliżając się do nich, tańcząc nogami z wściekłości i przerażenia.

Niechętnie roogi odwróciły się i odeszły od okna. Przeszły przez bramę, zamykając ją za sobą.

— Spójrz na niego — powiedział z pogardą ostatni z nich, zarzucając swój róg koca na ramię.

Borys wciskał się w płot, z rozdziawioną paszczą, dziko kłapiąc szczękami. Największy z roogów zaczął wściekle wymachiwać ramionami i Borys wycofał się. Położył się przy schodach wiodących na ganek, z pyskiem wciąż otwartym, a z głębi jego gardła wydobył się nieszczęśliwy, straszliwy jęk, skowyt rozpacz i nieszczęścia.

— Chodź — powiedział drugi roog do pierwszego, który marudził przy płocie.

Poszli uliczką.

— Cóż, z wyjątkiem tych trzech miejsc, gdzie są stróże, teren jest już dobrze wyczyszczony — powiedział większy roog. — Będę zadowolony, gdy skończymy z tym stróżem. Przysparza nam mnóstwo kłopotów.

— Nie bądź taki niecierpliwy. — Jeden z roogów uśmiechnął się. — Ciężarówka jest i tak już pełna. Zostawmy coś na następny tydzień.

Wszyscy się zaśmiali.

Odeszli uliczką, niosąc ofiarę w brudnych, obwisłych kocach.

Przełożył Jan Karłowski

ODMIANA DRUGA

Po nierównym zboczach wzgórza szedł nerwowo rosyjski żołnierz z bronią gotową do strzału. Z napięciem rozglądał się dookoła, oblizując wyschnięte wargi. Od czasu do czasu unosił rękę i rękawicą ocierał pot z karku, odsuwając kołnierz kurtki.

Eric odwrócił się do kaprala Leone.

— Chcesz go? Czy ja mam go załatwić? — Nastawił ostrość, tak że twarz Rosjanina w całości wypełniła szkła, linie celownicze przecięły się na jego twardych, ponurych rysach.

Leone zastanawiał się przez chwilę. Rosjanin był blisko, poruszał się szybko, niemalże biegł.

— Nie strzelaj. Czekaj. — Zamarł w napięciu. — Chyba nie będziemy musieli.

Rosjanin przyspieszył jeszcze kroku, rozkopując buciorami popiół i gruz. Dotarł na szczyt wzgórza, zatrzymał się, dysząc ciężko, i rozejrzał dookoła. Niebo zaciągały dryfujące chmury szarego pyłu. Gdzieś tam sterczały nagie pnie drzew; teren był stosunkowo równy i zupełnie goły, zasłany gruzem. Tu i tam niby pożółkłe czaszki wznosiły się ruiny budynków.

Rosjanin był wyraźnie zaniepokojony. Wiedział, że coś jest nie w porządku. Spojrzał w dół zbocza. Znajdował się tylko kilka kroków od bunkra. Eric powoli zaczynał tracić cierpliwość. Bawił się pistoletem, raz po raz zerkając na kaprala Leone.

— Nie martw się — powiedział Leone. — Nie dojdzie tutaj. Zajmą się nim.

— Jesteś pewien? Dotarł już cholernie daleko.

— Trzymają się blisko bunkra. Najgorsze jeszcze przed nim. Uważaj!

Rosjanin zaczął się spieszyć, ześlizgiwał się po zboczach wzgórza, jego buty grzęzły w kopczykach szarego popiołu. Uważał tylko, by nie zanieczyścić lufy broni. Zatrzymał się na chwilę, podniósł do oczu lornetkę polową.

— Patrzy prosto na nas — powiedział Eric.

Rosjanin ruszył dalej. Mogli już dojrzeć jego oczy jak dwa błękitne kamyki. Usta odrobinę rozwarte. Dawno już się nie golił, jego brodę pokrywała wyraźna szczecina. Na jednym z kościstych policzków widać było kwadratowy kawałek plastra i niebieski siniec: ślad po grzybicy. Zgubił gdzieś jedną rękawicę. Kiedy biegł, przytroczona do pasa manierka tańczyła w górę i w dół, odbijając się od ciała.

Leone dotknął ramienia Erica.

— Mamy jednego.

Po powierzchni ziemi sunęło coś niewielkiego i metalicznego, rozbłyskując w mętnej poświacie pełnego dnia. Metalowa kula. Mknęła po zboczach w ślad za Rosjaninem, bieżniki aż migotały. Malutka, jedno ze szczeniąt. Miała wysunięte szpony, dwie piły na wysięgnikach wirujące płamami białej stali. Rosjanin usłyszał ją. Odwrócił się błyskawicznie, wystrzelił. Kula eksplodowała fragmentami metalu. Ale już pojawiła się druga i podążała w ślad za pierwszą. Rosjanin wystrzelił powtórnie. Trzecia kula dopadła jego nogi, zgrzytając i świszcząc. Skoczyła do ręki. Moment i wirujące ostrza zagłębiły się w gardle.

Eric rozluźnił się.

— Cóż, to by było na tyle. Boże, te przeklęte rzeczy sprawiają, że ciarki chodzą mi po plecach. Czasami myślę, że lepiej było przedtem.

— Gdybyśmy ich nie wynaleźli, oni by to zrobili. — Leone zapalił papierosa, palce mu lekko drżały. — Zastanawiam się jednak, dlaczego Rosjanin przeszedł całą tę drogę sam. Nie widziałem, by ktoś go osłaniał.

Porucznik Scott wynurzył się z tunelu i wśliznął do bunkra.

— Co się stało? Coś pojawiło się na monitorze.

— Jeden Iwan.

— Tylko jeden?

Eric odwrócił monitor wizjera. Scott spojrział weń. Widać było liczne metalowe kule pełzające po ciele leżącego; świszczały i zgrzytały, rozcinając Rosjanina na małe fragmenty, które zabiorą ze sobą.

— Cała masa szponów — wymamrotał Scott.

— Zlatują się jak muchy. Nie mają ostatnio za bardzo na co polować.

Scott z wyraźnym niesmakiem odsunął wizjer.

— Jak muchy. Zastanawiam się, dlaczego on tu przyszedł. Przecież wiedzą, że wszędzie pełno szponów.

Do kłębiących się kul dołączył większy robot: długa tępa tuba z wystającymi kamerami. Kierował działaniami tamtych. Z ciała żołnierza nie zostało już wiele. To, co zostało, ściągały ze zbocza zastępy szponów.

— Proszę pana — zaczął Leone. — Jeżeli wszystko jest w porządku, chciałbym wyjść na zewnątrz i przyjrzeć się mu.

— Dlaczego?

— Może coś przyniósł.

Scott zastanawiał się przez chwilę. Potem wzruszył ramionami.

— W porządku. Ale uważaj.

— Mam swój identyfikator. — Leone poklepał metalową bransoletę na nadgarstku. — Nie zobaczą mnie.

Wziął karabin i ruszył w kierunku wyjścia z bunkra, potem ostrożnie przecisnął się między betonowymi blokami i powyginanymi zębami stalowych konstrukcji. Na górze powietrze było chłodne. Brodząc w nieważkim popiele, podszedł do miejsca, gdzie leżały szczątki żołnierza. Wiatr dmuchnął mu w twarz szarymi drobinami. Zamrugał i poszedł dalej.

Szpony cofnęły się, gdy podszedł bliżej, niektóre zamarły bez ruchu. Dotknął identyfikatora. Iwan dużo dałby za coś takiego! Twarde promieniowanie o wysokiej częstotliwości wysyłane przez identyfikator neutralizowało aktywność szponów, powodując ich rozbicie. Nawet wielki robot z dwoma ruchliwymi manipulatorami kamer na jego widok wycofał się z szacunkiem.

Leone pochylił się nad szczątkami żołnierza. Dłoń w rękawicy pozostawała kurczowo zaciśnięta. Coś w niej było. Leone siłą rozwarł palce. Zapieczętowany aluminiowy pojemnik. Wciąż jeszcze lśnił.

Wsadził go do kieszeni i wrócił do bunkra. Za nim szpony wróciły już do życia, podejmując swe dzieło. Wkrótce procesja ruszyła na powrót, metalowe kule pomknęły przez szary popiół ze swym ładunkiem. Słyszał, jak ich bieżniki szurają po gruncie. Zadrzał.

Scott popatrzył z zainteresowaniem, kiedy z kieszeni wyciągnął lśniący pojemnik.

— Miał to przy sobie?

— W dłoni. — Leone odkręcił pokrywkę. — Chyba powinien pan na to spojrzeć.

Scott wziął pojemnik. Wytrząsnął zawartość na dłoń. Mały skrawek cienkiego papieru, mocno zwinięty. Podszedł do światła, usiadł i rozwinął go.

— Co tam jest napisane, proszę pana? — zapytał Eric. Z tunelu wyszło kilku oficerów. Pojawił się nawet major Hendricks.

— Panie majorze — powiedział Scott. — Niech pan spojrzy na to.

Hendricks przeczytał karteluszek.

— To właśnie nadeszło?

— Pojedynczy łącznik. Przed chwilą.

— Gdzie on jest? — ostro zapytał Hendricks.

— Szpony go dostały.

Major Hendricks mruknął coś niewyraźnie.

— Proszę. — Podał wiadomość towarzyszom. — Myślę, że to jest to, na co czekaliśmy. Mieli dość czasu.

— A więc chcą omówić warunki kapitulacji — stwierdził Scott. — Czy mamy podjąć rozmowy?

— Nie my będziemy o tym decydować. — Hendricks usiadł. — Gdzie jest oficer łącznościowy?

Niech mnie połączy z Bazą Księżycową.

Leone patrzył zamyślony, jak oficer łącznościowy ostrożnie podnosi zewnętrzną antenę, sprawdzając niebo nad bunkrem, szukając śladu statku zwiadowczego Rosjan.

— Proszę pana — zwrócił się Scott do Hendricksa. — To dosyć dziwne, że dopiero teraz przyszło im to do głowy. Wykorzystujemy szpony już niemal od roku. I dopiero teraz, zupełnie nagle, zaczęli się łamać.

— Może szpony zaczęły się wdzierać do ich bunkrów.

— Taki większy, z rodzaju tych z manipulatorami, dostał się w zeszłym tygodniu do bunkra Iwana — powiedział Eric. — Załatwił cały pluton, zanim udało im się zatrzasać właz.

— Skąd wiesz?

— Kolega mi opowiedział. Maszyna wróciła z... ze szczątkami.

— Baza Księżycowa, proszę pana — oznajmił oficer łącznościowy.

Na ekranie pojawiła się twarz operatora z Księżyca. Był świeżo ogolony. Jego odprasowany mundur zdecydowanie odcinał się od mundurów mężczyzn zgromadzonych w bunkrze.

— Baza Księżycowa.

— Tu dowództwo jednostki L-Whistle. Na Ziemi. Proszę mnie połączyć z generałem Thompsonem.

Twarc operatora zniknęła. Jej miejsce zajęły grube rysy generała Thompsona.

— O co chodzi, majorze?

— Nasze szpony dostały jednego rosyjskiego łącznika przynoszącego wiadomość. Nie wiemy, jak się w tej sytuacji zachować... w przeszłości zdarzały się już takie sztuczki.

— Jak brzmi wiadomość?

— Rosjanie chcą, byśmy wysłali na ich linie oficera w randze upoważniającej do prowadzenia negocjacji. Na naradę. Nie sprecyzowali, jaki ma być temat tej narady. Piszą, że chodzi o kwestie...

— zerknął na kartkę — ...kwestie pilnej i poważnej natury, wymagające rozpoczęcia rozmów między przedstawicielami sił Narodów Zjednoczonych a nimi.

Uniósł wiadomość do ekranu, aby generał mógł sam ją przeczytać. Widać było, jak oczy Thompsona poruszają się w ślad za tekstem.

— Dlaczego mielibyśmy im wierzyć? — zapytał Hendricks.

— Wyślij kogoś.

— Nie sądzi pan, że to pułapka?

— Może być i tak. Ale położenie punktu dowodzenia, jakie podają, jest właściwe. W każdym razie warto spróbować.

— Wyślę jednego z oficerów. I doniosę panu o wynikach natychmiast, gdy tylko wróci.

— W porządku, majorze. — Thompson przerwał połączenie. Ekran zamarł. Antena zaczęła się powoli opuszczać.

Hendricks zmiął w dłoniach papier, głęboko pogrążony w myślach.

— Ja pójdę — zaproponował Leone.

— Chcą kogoś w randze upoważniającej do prowadzenia negocjacji. — Hendricks potarł szczękę.

— Negocjatora. Od miesiący już nie wychodziłem na zewnątrz. Być może powinienem zażyć trochę świeżego powietrza.

— Nie sądzi pan, że to ryzykowne?

Hendricks ustawił wizjer i spojrzał w monitor. Szczątki Rosjanina zniknęły. W polu widzenia można było dojrzeć tylko samotny szpon. On również wkrótce zniknął, zagrzebując się w popiele niczym krab. Jak jakiś odrażający metalowy krab...

— Jedno mnie tylko martwi. — Hendricks potarł nadgarstek. — Wiem, że będę bezpieczny, póki będę miał to na sobie. Ale w nich jest coś dziwnego. Nienawidzę tych przeklętych rzeczy. Żałuję, że w ogóle je wynaleźliśmy. Z nimi jest coś nie w porządku. Niezmordowane małe...

— Gdybyśmy my ich nie wynaleźli, zrobiłby to Iwan. Hendricks odsunął wizjer.

— W każdym razie wygląda na to, że wygrywamy wojnę. Przypuszczam, że to dobrze.

— Mówi pan tak, jakby się ich bał nie mniej niż Iwan. Hendricks spojrzał na zegarek.

— Sądzę, że lepiej będzie jak wyruszę od razu, jeżeli mam się tam dostać przed zmierzchem.

Wciągnął głęboko powietrze i wyszedł na zewnątrz, na pokrytą szarym gruzem ziemię. Po chwili zapalił papierosa i stał, rozglądając się wokół siebie. Otaczający go teren był martwy. Nic się nie poruszało. Mógł sięgnąć wzrokiem na całe mile wokół siebie, nic, tylko nie kończące się popioły i żużel, ruiny budynków. Kilka drzew bez liści czy choćby gałęzi, same gołe pnie. Ponad jego głową wiecznie skłębione szare chmury przewalały się między ziemią a słońcem.

Major Hendricks ruszył w drogę. Po prawej stronie coś czmychnęło mu z drogi, coś okrągłego i metalicznego. Szpon uganiający się za ofiarą. Prawdopodobnie za jakimś małym zwierzęciem, może za szczurem. Szczury też zabijały. Pewnie dla rozrywki.

Wszedł na szczyt małego wzgórza i uniósł do oczu lornetkę polową. Pozycje rosyjskie znajdowały się kilka mil dalej. Tam też był ich punkt dowodzenia. Stamtąd przyszedł łącznik.

Pękaty, przysadzisty robot z giętkimi manipulatorami przeszedł obok niego, manipulatory poruszały się badawczo. Poszedł swoją drogą i zniknął w jakimś rumowisku. Hendricks obserwował go. Tego typu nie widział dotychczas. Z każdym dniem było coraz więcej typów, których nigdy wcześniej nie widział, nowe odmiany i wielkości wypuszczane przez podziemne fabryki.

Hendricks wyrzucił niedopałek i przyspieszył kroku. Ciekawa kwestia, wykorzystanie sztucznych oddziałów w boju. Jak to się zaczęło? Zdecydowała konieczność. Związek Radziecki zdobył na początku znaczną przewagę, jak to się zwykle dzieje w wypadku strony rozpoczynającej wojnę. Większa część Ameryki Północnej została starta z mapy. Oczywiście odwet nastąpił natychmiast. Niebo pełne było krążących po nim satelitów bombardujących na długo przed wybuchem wojny; znajdowały się tam już od wielu lat. Satelity spłynęły nad Rosję w kilka godzin po tym, jak Waszyngton oberwał.

Ale to w niczym nie pomogło Waszyngtonowi.

W pierwszym roku wojny rządy amerykańskiego bloku przeniosły swą siedzibę do Bazy Księżycowej. Niewiele więcej można było zrobić. Europa należała już do przeszłości, zmieniła się w kupę żużlu, z popiołów i kości kielkowały czarne pnącza. Większość Ameryki Północnej nie nadawała się do zamieszkania; nic tam nie mogło wyrosnąć, nikt nie mógł żyć. Kilka milionów ludzi próbowało jakoś dawać sobie radę w Kanadzie i w Ameryce Południowej. Jednak podczas drugiego roku wojny zaczęły lądować radzieckie oddziały desantowe, z początku kilka, później coraz więcej. Wyposażeni byli w pierwszy naprawdę skuteczny sprzęt antyradiacyjny; to, co zostało z

amerykańskiego przemysłu, przeniosło się na Księżyc razem z rządem.

Odlecieli wszyscy prócz żołnierzy. Ci, którzy przeżyli, starali się jakoś trzymać, kilka tysięcy tutaj, pluton tam. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się znajdują; byli tam, gdzie mogli się utrzymać, przemieszczali się w nocy, ukrywali w ruinach, kanałach, piwnicach, razem ze szczurami i węzami. Wszystko wskazywało na to, że Związek Radziecki ma już wygraną wojnę. Z wyjątkiem garstki wyrzutni odpalanych każdego dnia z Księżyca nie było właściwie żadnej broni, którą by można przeciwko nim rzucić. Przychodzili i odchodzili, jak im się podobało. Wojna, dla wszystkich praktycznych powodów, skończyła się. Nic nie mogło im się oprzeć.

I wtedy pojawiły się pierwsze szpony. I w ciągu jednej nocy stosunek sił się zmienił.

Szpony z początku były niezgrabne. Powolne. Iwan był w stanie unieszkodliwić je niemalże natychmiast, gdy wypełzały ze swych podziemnych tuneli. Potem jednak stawały się coraz lepsze, szybsze i bardziej przebiegłe. Wyprodukowały je fabryki znajdujące się na Ziemi. Fabryki od dawna już zagrzebane pod powierzchnią gruntu, za liniami radzieckimi, fabryki, które kiedyś produkowały pociski atomowe, teraz już niemalże zapomniane.

Szpony stawały się szybsze, a także coraz większe. Pojawiły się nowe typy, jedne z czujnikami, inne potrafiły latać. Było nawet kilka odmian skaczących. Najlepsi inżynierowie na Księżycu pracowali nad projektami, czyniąc je coraz bardziej skomplikowanymi, bardziej wszechstronnymi. Stawały się coraz bardziej niesamowite, Iwan naprawdę miał z nimi mnóstwo kłopotów. Niektóre z małych szponów nauczyły się ukrywać i czekać na ofiarę, zagrzebując się głęboko w popiele.

A potem zaczęły przenikać do radzieckich bunkrów, wślizgując się do środka w chwili, gdy tamci uchylali pokrywy włączów, aby wpuścić świeże powietrze czy choćby rozejrzeć się dookoła. Jeden szpon w bunkrze, wirująca kula najeżona metalowymi ostrzami — to wystarczyło. Z bronią taką jak ta wojna nie mogła potrwać długo.

Być może już się skończyła.

Może on właśnie miał usłyszeć taką wiadomość. Może Politbiuro zdecydowało się rzucić ręcznik. Niedobrze, że zabrało to tyle czasu. Sześć lat. To bardzo długo jak na taką wojnę, jak na sposób, w który ją prowadzono. Setki tysięcy automatycznych satelitów odwetowych spadających na Rosję. A w środku skryzalizowane bakterie. Sterowane pociski radzieckie, z wyciem przeszywające powietrze. Nieustanne bombardowania. A teraz to, roboty, szpony...

Szpony w niczym nie przypominały żadnej innej broni. Z praktycznego punktu widzenia należało je uznać właściwie za żywe, niezależnie od tego, czy rząd chciał to przyznać, czy nie. Nie były maszynami. To były żywe istoty, poruszały się, skradały, wyskakiwały zniemacka z szarego popiołu, rzucały na człowieka i wspinały po nim, próbując dosięgnąć gardła. I po to właśnie zostały stworzone. Takie było ich zadanie.

I zadanie to wypełniały dobrze. Szczególnie ostatnio, w miarę jak pojawiały się nowe rozwiązania techniczne. Teraz były już zdolne same się naprawiać. Same potrafiły o siebie zadbać. Identyfikatory radiacyjne chroniły żołnierzy Narodów Zjednoczonych, ale kiedy któryś zgubił swój identyfikator, stawał się zwykłą zwierzyną łowną dla szponów, niezależnie od munduru, jaki nosił. W głębi, pod powierzchnią ziemi, zautomatyzowana maszyna fabryk wypluwała je z siebie jednego za drugim. Ludzie trzymali się od tego z daleka. To było zbyt ryzykowne, nikt zresztą nie chciał znaleźć się blisko nich. Zostawiono je samym sobie. A one najwyraźniej świetnie sobie radziły. Nowe modele były szybsze, coraz bardziej skomplikowane. Bardziej skuteczne.

Najwyraźniej to one wygrały wojnę.

Major Hendricks zapalił drugiego papierosa. Krajobraz wpływał na niego przygnębiająco. Nic tylko popiół i ruiny. Zdawało mu się, że jest zupełnie sam, jedyna żywa istota na wiecie. Po prawej stronie pojawiły się ruiny miasteczka, kilka ścian i stosy gruzu. Wyrzucił na bok spaloną zapalniczkę, przyspieszył kroku. Nagle zatrzymał się, chwycił za broń, poczuł, jak napinają się jego mięśnie. Przez chwilę wyglądało, jakby...

Zza szkieletu zrujnowanego budynku wyszła jakaś postać i powoli, niepewnie ruszyła w jego stronę. Hendricks zmrużył oczy.

— Stój!

Chłopiec zatrzymał się. Hendricks opuścił lufę. Chłopiec stał w milczeniu, spoglądając na niego. Był mały, zupełnie niedorosły. Mógł mieć osiem lat. Ale trudno stwierdzić. Większość dzieci, które przeżyły, była malutka. Miał na sobie poplamiony, wypłowiały niebieski sweter i krótkie spodnie. Włosy długie i splątane. Brązowe włosy. Zasłaniały mu twarz, sięgając za uszy. Trzymał coś w rękach.

— Co tam masz? — zapytał ostro Hendricks.

Chłopiec wyciągnął rękę. To była zabawka, miś. Pluszowy miś. Oczy chłopca były ogromne, ale zupełnie pozbawione wyrazu.

Hendricks rozluźnił się.

— Nie chcę. Zatrzymaj go. Chłopiec ponownie przytulił misia.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał Hendricks.

— Tam.

— W ruinach?

— Tak.

— Pod ziemią?

— Tak.

— Ilu was tutaj jest?

— Jak to ilu?

— Jak wielu was tu jest. Ilu ludzi liczy wasza grupa?

Chłopiec nie odpowiedział.

Hendricks zmarszczył brwi.

— Nie jesteś przecież zupełnie sam?

Chłopiec skinął głową.

— W jaki sposób udało ci się przeżyć?

— Tu jest jedzenie.

— Jakie jedzenie?

— Różne.

Hendricks wpatrywał się w niego.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści.

To było niemożliwe. A może? Chłopiec był wychudzony, niewyrośnięty. I przypuszczalnie w przyszłości będzie bezpłodny. Przez całe lata wystawiony był na działanie promieniowania. Nic dziwnego, że jest taki mały. Jego ręce i nogi były niczym wyciory do fajki, poskręcane i cienkie. Hendricks położył dłoń na ramieniu chłopca. Skórę miał suchą i szorstką; taką ma się od promieniowania. Pochylił się i spojrzał mu prosto w oczy. Żadnego wyrazu. Wielkie oczy, wielkie i ciemne.

— Jesteś ślepy? — zapytał Hendricks.

— Nie. Trochę widzę.

— W jaki sposób udało ci się uniknąć szponów?

— Szponów?

— Tych okrągłych rzeczy. Które poruszają się i zagrzebują w ziemi.

— Nie rozumiem.

Być może tu w okolicy nie było szponów. Wiele terenów było od nich wolnych. Gromadziły się głównie w okolicy bunkrów, tam gdzie byli ludzie. Szpony skonstruowano w taki sposób, aby wyczuwały ciepło, ciepło żywych istot.

— Miałeś szczęście. — Hendricks wyprostował się. — No cóż, dokąd idziesz? Z powrotem... z powrotem tam?

— Czy mogę iść z tobą?

— Ze mną? — Hendricks założył ręce. — Przede mną długa droga. Całe mile marszu. Muszę się śpieszyć. — Spojrzał na zegarek. — Muszę dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

— Chcę iść.

Hendricks pogrzebał w plecaku.

— Nie warto. Masz. — Podał małemu konserwy, które wziął ze sobą. — Weź je i wracaj, skąd przyszedłeś. W porządku?

Chłopiec nic nie odpowiedział.

— Będę tędy wracał. Za dzień lub dwa. Jeżeli będziesz jeszcze tutaj, to wtedy mogę cię wziąć z sobą. Zgoda?

— Chcę iść z tobą teraz.

— To długa droga.

— Potrafię szybko chodzić.

Hendricks niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Zbyt dobry stanowiliby cel — dwaj ludzie idący razem. A przez chłopca będzie musiał iść wolniej. Jednak z drugiej strony, być może nie będzie już wracał tą drogą. A jeżeli chłopak rzeczywiście był zupełnie sam...

— . Dobra. Chodź.

Hendricks maszerował równym krokiem. Chłopiec szedł obok niego i milczał, ściskając swego misia

— Jak masz na imię? — zapytał Hendricks po jakimś czasie.

— David Edward Derring.

— David? Co... co się stało z twoimi rodzicami?

— Umarli.

— Jak?

— W wybuchu.

— Dawno temu?

— Sześć lat.

Hendricks zwolnił nieco kroku.

— Jesteś sam od sześciu lat?

— Nie. Byli jeszcze inni ludzie. Potem odeszli.

— I od tego czasu jesteś sam?

— Tak.

Hendricks zerknął w dół na małego. Chłopak był dziwny, niewiele mówił. Zamknięty w sobie. Ale w taki właśnie sposób zachowywały się te dzieciaki, dzieci, które przeżyły. Ciche. Niewzruszone. Owładnięte jakimś dziwnym rodzajem fatalizmu. Nic nie mogło ich zaskoczyć. Akceptowały

wszystko, co przynosił los. Nie istniał już żaden normalny, powszechnie akceptowany porządek rzeczy, czy to moralny, czy naturalny, którym mogłyby się kierować w życiu. Obyczaje, nawyki, wszystko, czego powinny nauczyć się w dzieciństwie ludzkie dzieci, zniknęło; pozostały tylko brutalne doświadczenia.

— Nie idę za szybko? — zapytał Hendricks.

— Nie.

Jak udało ci się mnie zobaczyć?

— Czekałem.

— Czekaleś? — Hendricks nie rozumiał. — Na co czekałeś?

— Żeby złapać coś.

— To znaczy co?

— Coś do zjedzenia.

— Och. — Usta Hendricksa wygięły się w ponurym grymasie. Trzynastoletni chłopiec odżywiający się szczurami, gryzoniami i na poły zgniłą strawą z konserw. Zagrzebany w jakiejś dziurze pod ruinami miasta. A wokół strefy promieniowania, szpony i rosyjskie bomby nurkujące przemierzające niebo.

— Dokąd idziemy? — zapytał David.

— Na pozycje Rosjan.

— Rosjan?

— To wróg. Ludzie, którzy wywołali wojnę. Spuścili pierwsze bomby radiacyjne. Oni to wszystko zaczęli.

Chłopiec pokiwał głową. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— Ja jestem Amerykaninem — dodał Hendricks.

Żadnego komentarza. I tak szli dalej we dwójkę, Hendricks wysforował się nieco do przodu, David wędrował w ślad za nim, przyciskając wciąż brudnego pluszowego misia do piersi.

Koło czwartej po południu zatrzymali się, aby coś zjeść. Hendricks rozpałił ognisko w zagłębieniu między jakimiś odłamkami betonu. Wyrwał chwasty i ułożył w stos kawałki drewna. Pozycje rosyjskie musiały już być niedaleko. Wokół niego rozciągała się długa dolina, którą kiedyś musiały porastać całe akry drzew owocowych i winorośli. Teraz nic nie zostało prócz kilku poczerniałych pniaków i gór widocznych w oddali na horyzoncie. I chmur kłębiącego się popiołu, który gnał, dryfując z wiatrem, i osiadał na zielsku, na szczątkach budynków, z których widać było już tylko pojedyncze ściany stojące tu i tam przy resztkach dawnej drogi.

Hendricks sparzył kawę i podgrzał trochę gotowanej baraniny, rozkroił chleb.

— Masz. — Podał chleb i baraninę Davidowi. Chłopiec przykucnął przy ogniu, widać było wyraźnie jego kościste, białe kolana. Przyjrzał się jedzeniu, a potem oddał ją, przecząco kręcąc głową.

— Nie.

— Nie? Naprawdę nie chcesz ani trochę?

— Nie.

Hendricks wzruszył ramionami. Być może mały był mutantem przyzwyczajonym do szczególnego rodzaju pożywienia. Trudno. Kiedy będzie głodny, znajdzie sobie coś do jedzenia. Chłopiec był dziwny. Ale tyle przedziwnych zmian przeszedł ostatnio świat. Życie nie było już takie jak dawniej. I nigdy nie będzie. Ludzka rasa musiała w końcu zdać sobie z tego sprawę.

— Jak chcesz — powiedział Hendricks. Sam zjadł chleb i baraninę, popił kawę. Jadł powoli, z trudem przełykając. Kiedy już skończył, wstał i zdeptał ognisko.

David podniósł się powoli, obserwując go swymi oczyma postarzałego dziecka.

— Ruszamy — poinformował go Hendricks.

— Dobrze.

Hendricks poszedł przed siebie, trzymając karabin w dłoniach. Byli już blisko; czuł napięcie mięśni, gotów na wszystko, co mogło się wydarzyć. Rosjanie zapewne spodziewają się łącznika, który przyniesie odpowiedź na ich propozycję, ale byli przecież tak podstępni. Zawsze istniała też możliwość pomyłki. Uważnie badał teren wokół. Nic, tylko żużel i popiół, kilka wzgórz, spalone drzewa. Betonowe ściany. Ale gdzieś przed nim musiał się znajdować pierwszy bunkier rosyjskich pozycji, wysunięta do przodu placówka dowodzenia. Pod ziemią, zagrzebany głęboko, z widocznym jedynie peryskopem i kilkoma otworami luf. Może anteną.

— Szybko dojdziemy? — zapytał David.

— Tak. Zmęczyłeś się?

— Nie.

— To dlaczego pytasz?

David nie odpowiedział. Mozolnie wędrował w ślad za nim, brodząc w zwałach popiołu. Jego nogi i buty pokrywała gruba warstwa pyłu. Drobną twarzyczką poznaczona była śladami łez, które rzeźbiły białe linie w skorupie popiołu pokrywającej policzki. Na jego obliczu nie było śladu rumieńców, opalenizny. Typowe dla tych nowych dzieci, wychowujących się w piwnicach, kanałach i podziemnych schronach.

Hendricks nieco zwolnił. Podniósł do oczu lornetkę i uważnie przepatrywał teren przed sobą. Czy oni gdzieś tu byli, schowani w jakimś miejscu czekali na niego? Obserwowali tak, jak jego żołnierze obserwowali rosyjskiego łącznika? Poczł, jak dreszcz przechodzi mu po plecach. Może trzymają swe karabiny w pogotowiu, przygotowując się do oddania strzałów, tak jak wcześniej jego ludzie, w każdej chwili gotowi zabijać.

Hendricks zatrzymał się, ocierając pot z twarzy.

— Cholera. — Te myśli sprawiły, że ogarnął go niepokój. Ale jego przecież powinni oczekiwać. Ta sytuacja była inna niż tamta.

Brnął przez zwały popiołu, kurczowo ściskając karabin w dłoniach. David szedł za nim. Hendricks rozglądał się dookoła, usta miał zaciśnięte. To mogło wydarzyć się w każdej chwili. Rozbłysk białego światła, cios energii pieczołowicie wymierzony z wnętrza betonowego bunkra głęboko wkopanego w ziemię.

Uniósł rękę i pomachał na wszystkie strony.

Nic nawet nie drgnęło. Po prawej stronie miał grzbiet długiego wzgórza, na którym stały martwe pnie drzew. Oplatało je kilka zdziczałych pędów winorośli — pozostałości ogrodu. I to wszędobylskie czarne zielsko. Hendricks bacznie przyglądał się grzbietowi wzgórza. Czy ktoś tam był? Doskonałe miejsce na punkt obserwacyjny. Z największą ostrożnością podchodził po zboczu, David w całkowitej ciszy szedł za nim. Gdyby on tutaj dowodził, wystawiłby w tym miejscu warty wypatrujące żołnierzy wroga próbujących przeniknąć na teren jednostki. Oczywiście, gdyby on tu dowodził, wszędzie dookoła byłoby pełno szponów zapewniających całkowite bezpieczeństwo.

Zatrzymał się z rozstawionymi nogami, ręce oparł na biodrach.

— Już doszliśmy? — zapytał David.

— Prawie.

— Dlaczego stanęliśmy?

— Nie mam ochoty niepotrzebnie ryzykować. — Hendricks powoli szedł naprzód. Teraz grzbiet miał dokładnie h k siebie po prawej stronie. Górował nad nim. Niepokój, który odczuwał wcześniej,

wzmógł się. Jeżeli jakiś Iwan był m w górze, nie miał żadnych szans. Ponownie pomachał ręką. Powinni spodziewać się kogoś w mundurze Narodów Zjednoczonych w odpowiedzi na notatkę z pojemnika. Chyba że cała rzecz była tylko pułapką.

— Trzymaj się mnie. — Odwrócił się do Davida. — Nie zostawaj z tyłu. — Ciebie?

— Idź za mną! Jesteśmy już blisko. Nie możemy ryzykować. Idziemy.

— Poradzę sobie. — David został kilka kroków za nim, włókł się z tyłu, wciąż ściskając pluszowego misia.

— Rób, jak chcesz.

Hendricks znowu podniósł lornetkę do oczu, nagle zeszywniał. Przez chwilę... Czyżby coś się poruszyło? Uważnie przyjrzał się grzbietowi wzgórze. Całkowity spokój. Wszystko martwe. Żadnych śladów życia, tylko pnie drzew i popiół. Może kilka szczurów. Wielkie czarne szczury, które uciekły przed szponami. Mutanty — budowały schrony ze śliny i popiołu, swego rodzaju gipsu. Przystosowały się. Znowu ruszył naprzód.

Na znajdującym się przed nim grzbiecie pojawiła się wysoka postać, poły jej płaszcz rozwiewał wiatr. Szarozielony. Rosjanin. Za nim pojawił się drugi żołnierz, następny Rosjanin. Obaj unieśli karabiny, wycelowali.

Hendricks zamarł w pół kroku. Otworzył usta. Żołnierze klęczeli, mierząc w dół stoku. Przyłączyła się do nich trzecia postać, mniejsza od tamtych, również odziana w szarozielony mundur. Kobieta. Stała za nimi.

Hendricksowi udało się wreszcie odzyskać głos.

— Stójcie! — Pomachał do nich szaleńczo. — Jestem... Dwaj Rosjanie wystrzelili. Hendricks usłyszał za sobą plask trafiającej energii. Poczł na plecach falę gorąca, padł na ziemię. Popiół podrapał mu twarz, wcisnął się do ust i nosa. Krztusząc się, podniósł się na kolana. To była pułapka. Już po nim. Przyszedł tu tylko po to, by dać się zabić, jak Po sznurku. Żołnierze i towarzysząca im kobieta schodzili w jego stronę, ześlizgując się co kilka kroków w miękkim popiele. Hendricks był zupełnie oglupiały. Czuł tylko pulsowanie w głowie. Niezgrabnie uniósł swój karabin i spróbował wycelować. Ważył chyba tysiąc ton; ledwie mógł utrzymać go w dłoniach. Bolał go nos i broda. W powietrzu wisiał zapach, jaki zostawia wiązka energii: gorzko — kwaśny swąd.

— Nie strzelaj — powiedział jeden z Rosjan po angielsku, ale z silnym akcentem.

Cała trójka podeszła bliżej, otoczyli go.

— Opuść broń, Jankesie — powiedział drugi.

Hendricks był ogłuszony. Wszystko stało się tak szybko. Wpadł. I spalili chłopca. Odwrócił głowę. David zniknął. To, co z niego pozostało, leżało rozrzucone w promieniu kilku kroków.

Trójka Rosjan przypatrywała mu się ciekawie. Hendricks usiadł, otarł krew z nosa, wybrał ze skóry drobiny popiołu. Potrząsnął głową, próbując zebrać myśli.

— Dlaczego to zrobiliście? — wymamrotał z trudem. — Chłopiec.

— Dlaczego? — Jeden z żołnierzy dosyć brutalnie pomógł mu wstać. Potem odwrócił go. — Spójrz.

Hendricks zamknął oczy.

— Patrz! — Dwaj Rosjanie popchnęli go naprzód. — Widzisz. Pośpieszmy się. Nie zostało już zbyt dużo czasu, Jankesie!

Hendricks patrzył. I nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Teraz widzisz? Rozumiesz teraz?

Ze szczątków Davida wytoczyło się metalowe kółko Przekazniki, błyski metalu. Części mechaniczne, przewody Jeden z Rosjan kopnął stertę tych resztek. Mechanizmy podskoczyły,

potoczyły się dookoła kółka, sprężynki, tryby. Plastikowa osłona odpadła, na poły zwęglona. Hendricks schylił się, drżąc. Odeszła przednia część powłoki głowy. Mógł teraz dostrzec skomplikowany mózg, druty i obwody, maleńkie kondensatory i przełączniki, tysiące miniaturowych elementów...

— Robot — powiedział ten, który trzymał go za ramię. — Patrzyliśmy, jak się do ciebie przykleja.

— Przykleja się do mnie?

— W taki właśnie sposób działają. Przyczepiają się do ciebie jak cień. I tak dostają się do bunkra.

Do środka.

Hendricks zamrugał, zupełnie wytracony z równowagi.

— Ale...

— Daj spokój. — Poprowadzili go w stronę grzbietu. — Nie możemy tu zostać. Tu nie jest bezpiecznie. W okolicy muszą ich być setki.

Cała trójka pomagała mu dostać się na szczyt wzgórza i wszyscy ślizgali się i obsuwali bez przerwy w warstwie popiołu. Kobieta pierwsza dotarła na górę i teraz czekała na pozostałych.

— Posterunek dowodzenia jednostki — wymruczał Hendricks. — Przyszedłem, by negocjować z radzieckim...

— Nie ma już żadnej jednostki. One wlażyły do środka.

Wyjaśnimy ci wszystko. — Dotarli wreszcie na szczyt. — Zostaliśmy tylko my. Nasza trójka. Inni byli na dole, w bunkrze.

— Tędy. Tędy, na dół. — Kobieta odkręciła pokrywę wjazdu, szarą klapę umieszczoną na powierzchni gruntu. — Włazcie.

Hendricks zszedł do wnętrza po drabinie. Dwaj żołnierze i kobieta poszli za nim. Kobieta wcześniej zamknęła za nimi wjazd i zaryglowała klapę.

— Dobrze, że cię zauważyliśmy — mruknął jeden z żołnierzy. — On się przykleił do ciebie i prawie mu się udało.

— Poczęstuj mnie waszym papierosem — powiedziała kobieta. — Od całych tygodni nie miałam w ustach amerykańskiego papierosa.

Hendricks podsunął jej paczkę. Wzięła papierosa i podała paczkę pozostałym. W kącie niewielkiego pomieszczenia słabo mrugała lampa. Pomieszczenie było niskie, bardzo ciasne. Niedzieli we czwórkę wokół małego drewnianego stołu. Na jego brzegu ktoś postawił stos brudnych naczyń. Za wystrzępioną zasłoną widać było część następnego pomieszczenia. Hendricks dostrzegł róg kurtki od munduru, jakieś koce, rzeczy wiszące na haku.

— Tu byliśmy — powiedział siedzący obok niego żołnierz. Zdjął z głowy hełm, odgarnął z czoła blond włosy. — Jestem kapral Rudi Maxer. Polak. Wcielony do Armii Radzieckiej dwa lata temu. — Wyciągnął dłoń.

Hendricks wahał się przez chwilę, po czym podał tamtemu rękę.

— Major Joseph Hendricks.

— Klaus Epstein. — Drugi żołnierz również podał mu dłoń, mały mężczyzna o smagłej cerze i przeredzonych włosach. Epstein nerwowo skubał się w ucho. — Austriak. Wcielony Bóg jeden pamięta kiedy. Ja w każdym razie nie pamiętam. We trójkę byliśmy tutaj, Rudi, ja i Tasso. — Wskazał na kobietę. — Dzięki temu udało nam się przeżyć. Wszyscy pozostali byli na dole w bunkrze.

— I... i dostały się do środka?

Epstein zapalił papierosa.

— Z początku tylko jeden. Z rodzaju tych, który przykleił się do ciebie. Potem wpuścił pozostałe.

Hendricks zaniepokoił się.

— Z rodzaju? A więc jest ich więcej niż jeden rodzaj?

— Mały chłopiec. David. David tulący pluszowego misia. To jest Odmiana Trzecia. Najbardziej skuteczna.

— Jakie są inne typy?

Epstein sięgnął do kieszeni kurtki.

— Masz. — Rzucił na stół plik fotografii przewiązanych sznurkiem. — Sam zobacz.

Hendricks rozwiązał sznurek.

— Widzisz — powiedział Rudi Maxer — dlatego właśnie chcieliśmy omówić warunki kapitulacji. To znaczy, Rosjanie. Odkryliśmy to jakiś tydzień temu. Przekonaliśmy się, że wasze szpony zaczęły na własną rękę tworzyć nowe wzory robotów. Nowe typy samych siebie. Lepsze typy. Na dole, w waszych podziemnych fabrykach za naszymi liniami. Pozwoliliście, by same się reprodukowały, same naprawiały. By same stawały się coraz bardziej skomplikowane. To wasza wina, że do tego doszło.

Hendricks przyjrzał się fotografiom. Zostały zrobione w pośpiechu, były zamazane i niewyraźne. Na pierwszej był... David. David idący samotnie drogą. David i jeszcze David. Trzech Davidów. Wszyscy identyczni. Każdy ze starym pluszowym misiem.

Wszyscy wyglądali tak samo żałośnie.

— Spójrz na pozostałe — powiedziała Tasso.

Następne zdjęcia, najwyraźniej zrobione z dużej odległości, ukazywały siedzącego przy skraju ścieżki wysokiego rannego żołnierza, z ręką na temblaku, z wyciągniętym kikutek jednej nogi i nieporządnie wykonaną kulą opartą udo. Na innych było dwóch rannych żołnierzy stojących obok siebie, identycznych.

— To jest Odmiana Pierwsza. Ranny Żołnierz. — Klaus wyciągnął rękę i wziął od niego zdjęcia. — Widzisz, szpony zostały tak zaprojektowane, by niszczyć istoty ludzkie. Wyszukiwać je. Każdy rodzaj był bardziej skuteczny od poprzedniego. Za każdym razem udawało im się wdrzeć dalej, bliżej, pokonać większą część naszych umocnień, wejść głębiej w nasze pozycje. Ale dopóki były to zwyczajne maszyny, metalowe kule z zębami pił, manipulatorami, czujnikami, można było je zlokalizować jak każdy inny obiekt. Na pierwszy rzut oka można było odkryć, że oto są śmiertelnie groźne roboty. Kiedy tylko dowiedzieliśmy się, jak wyglądają...

— Odmiana Pierwsza wykończyła całe nasze północne skrzydło — powiedział Rudi. — Dużo czasu upłynęło, zanim ktoś się w ogóle zorientował. Potem było już za późno. Przyszli pod bunkier, ranni żołnierze, pukali i błagali, by wpuścić ich do środka. Więc ich wpuściliśmy. A kiedy tylko znaleźli się w środku, zajęli się wszystkim. Spodziewaliśmy się maszyn...

— W owym czasie sądzono, że istnieje tylko jeden typ — wyjaśnił Klaus Epstein. — Nikt nie podejrzewał, że są też inne. Rozdano nam fotografie. Kiedy wysłaliśmy do was łącznika, wiedzieliśmy tylko o jednym typie. Odmiana Pierwsza. Wielki Ranny Żołnierz. Sądziliśmy, że to wszystko.

— Wasze pozycje zostały zdobyte...

— Przez Odmianę Trzecią. David i jego miś. To okazało się nawet jeszcze bardziej skuteczne. — Klaus uśmiechnął się gorzko. — Żołnierze są zupełnie naiwni, jeśli chodzi o dzieci. Wprowadzili je do środka i chcieli nakarmić. W najbardziej bolesny sposób przekonaliśmy się, o co im naprawdę chodzi. Przynajmniej przekonali się ci, którzy byli w bunkrze.

— Nasza trójka miała szczęście — ciągnął dalej Rudi — . Kiedy to się zdarzyło, Klaus i ja byliśmy... z wizytą u Tasso. To jest jej mieszkanie. — Wykonał szeroki gest dłonią. — Ta mała

komórka. Skończyliśmy i wyleźliśmy już po drabinie, chcąc wracać. Z grzbietu wzgórza zobaczyliśmy, że wszędzie dookoła bunkra jest ich pełno. Walki wciąż jeszcze trwały. David i jego miś. Były ich setki. Klaus zrobił zdjęcia.

Klaus ponownie wiązał plik fotografii sznurkiem.

— I to dzieje się wszędzie na waszych pozycjach? — zapytał Hendricks.

— Tak.

— A co z naszymi pozycjami? — Bezwiednie dotknął opiętego na nadgarstku identyfikatora. —

Czy mogą...

— Ich nic nie obchodzą wasze identyfikatory radiacyjne. Dla nich nie ma różnicy. Rosjanie, Amerykanie, Polacy, Niemcy. Dla nich to wszystko to samo. Robią to, do czego zostały skonstruowane. Realizują pierwotny zamiar swych twórców. Niszczą życie, gdziekolwiek tylko je znajdują.

— Kierują się ciepłem — powiedział Klaus. — W taki właśnie sposób skonstruowaliście je na samym początku. Te, które stworzyliście, trzymają się oczywiście z dala od identyfikatorów, które nosicie. Teraz jednak już ominęły tę przeszkodę. Nowe odmiany mają pancerze z ołowiu.

— Jakie są inne odmiany? — zapytał Hendricks. — Typ David, Ranny Żołnierz... jakie są inne?

— Nie wiemy. — Klaus wskazał gestem ścianę, na której wisiały dwie metalowe tabliczki, porysowane na brzegach.

Hendricks wstał, podszedł bliżej i przyjrzał im się uważnie. Były pogięte i poszczerbione.

— Ta po lewej pochodzi z Rannego Żołnierza — powiedział Rudi. — Dostaliśmy jednego z nich. Zmierzał w stronę naszego starego bunkra. Strzelaliśmy ze wzgórza, w taki sam sposób załatwiliśmy tego Davida, który się do ciebie przykleił.

Na tabliczce wytłoczone było „O-I”. Hendricks dotknął drugiej tabliczki.

— A ta pochodzi z typu David?

— Tak. — Na tabliczce był symbol „O-III”.

Klaus również spojrzał na nie, przechylając się nad szerokimi ramionami Hendricksa.

— Teraz sam widzisz, z czym walczymy. Jest jeszcze jeden typ. Może jego produkcję zarzucono. Może nie funkcjonował, jak należy. Ale musi być Odmiana Druga. Jest przecież Pierwsza i Trzecia.

— Miałeś szczęście — powiedział Rudi. — David przyklejał się do ciebie przez całą drogę aż do naszych pozycji i nawet cię nie tknął. Pewnie sądził, że wprowadzisz go do jakiegoś bunkra.

— Jeden wejdzie do środka i już jest po wszystkim — dodał Klaus. — Poruszają się szybko. Jeden wpuszcza do środka całą resztę. Są nieugięte. Maszyny, które mają tylko jeden cel. Zostały zbudowane tylko po to. — Otarł pot z górnej wargi. — Widzieliśmy.

Siedzieli w milczeniu.

— Daj mi jeszcze jednego papierosa, Jankesie — powiedziała wreszcie Tasso. — Są dobre. Już prawie zapomniałam, jak smakują.

Zapadła noc. Niebo było czarne. Przez skłębione chmury popiołu nie przeświecały żadne gwiazdy. Klaus uniósł ostrożnie pokrywę włazu, żeby Hendricks mógł wyrzucić na zewnątrz.

Rudi wskazał dłonią w ciemność.

— Po tamtej stronie znajdują się bunkry. Tam właśnie żyliśmy. Nie dalej niż pół mili stąd. To po prostu ślepy los, że Klaus i mnie nie było tam, kiedy to wszystko się stało. Słabość. Uratowały nas cielesne żądze.

— Pozostali z pewnością zginęli — powiedział Klaus ściszym głosem. — Wszystko poszło szybko. Tego ranka Biuro Polityczne podjęło wreszcie decyzję. Dali nam pełnomocnictwa... to znaczy dowództwu kwatery polowej. Natychmiast wysłaliśmy łącznika. Widzieliśmy, jak wyruszał w

kierunku waszych pozycji. Osłanialiśmy go, póki nie zniknął z pola widzenia.

— Alex Radrivsky. Obaj go znaleźliśmy. Ostatni raz widzieliśmy go około szóstej rano. Słońce właśnie wstało. Koło południa mnie i Klause zlurowano na godzinę. Wymknęliśmy się więc z bunkra. Nikt nie patrzył. Przyszliśmy tutaj. Kiedyś było tutaj miasteczko, kilka domów, ulica. Ta piwnica stanowi część większych zabudowań. Wiedzieliśmy, że Tasso tutaj będzie, zagrzebana w swej kryjówce. Przychodziliśmy już tutaj wcześniej. Inni z bunkra też przychodzili. Dzisiaj wypadła akurat nasza kolej.

— I w ten sposób ocaleliśmy — powiedział Klaus. — Przypadek. To mógł być ktoś inny. My... skończyliśmy, a potem wyszliśmy na powierzchnię i ruszyliśmy w kierunku bunkra wzdłuż grzbietu. Wtedy właśnie ich zobaczyliśmy, tych Davidów. Włot zrozumieliśmy, co się stało. Widzieliśmy wcześniej zdjęcia Odmiany Pierwszej, Rannego Żołnierza. Nasz komisarz rozprowadził je wśród żołnierzy ze stosownym wyjaśnieniem. Gdybyśmy poszli choć parę kroków dalej, zauważyliby nas. A i tak musieliśmy spalić dwóch Davidów, zanim udało nam się wrócić. Były ich setki, wszędzie dookoła. Jak mrówki. Zrobiliśmy zdjęcia i wróciliśmy tutaj, zaryglowaliśmy dokładnie właz.

— Kiedy dopadniesz je w pojedynkę, nie są takie straszne. Ludzie potrafią się poruszać szybciej. Ale są bezlitosne. Nie zachowują się jak żywe istoty. Szły prosto na nas. I spaliliśmy je.

Major Hendricks stał wsparty o krawędź włazu, czekał, aż wzrok przywyknie mu do ciemności.

— Czy to w ogóle bezpieczne otwierać właz?

— Jeżeli będziemy ostrożni. Jak inaczej mógłbyś uruchomić swój nadajnik?

Hendricks powoli podniósł mały, przenośny nadajnik. Przycisnął go do ucha. Metal był chłodny i wilgotny. Dmuchał w mikrofon, wyciągając krótką antenę. Usłyszał słaby szum.

— Chyba masz rację. Ale wciąż się wahał.

— Zdamy cię wciągnąć do środka, jeśli coś się stanie — powiedział Klaus.

— Dzięki. — Hendricks czekał przez chwilę, trzymając nadajnik. — To bardzo ciekawe, nieprawdaż?

— Co?

— No, te nowe typy. Nowe odmiany szponów. Jesteśmy całkowicie zdani na ich łaskę, no nie? Teraz na pewno przeniknęły również na pozycje Narodów Zjednoczonych. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jesteśmy świadkami narodzin nowego gatunku. Zupełnie nowego gatunku. Ewolucja. Rasa, która zastąpi człowieka.

— Nie będzie żadnej rasy po ludziach — mruknął Rudi.

— Nie? Dlaczego nie? Być może teraz właśnie obserwujemy koniec istot ludzkich i narodziny nowego społeczeństwa.

— One nie są gatunkiem w sensie biologicznym. Są mechanicznymi zabójcami. Zrobiliście je, by niszczyły. Tylko to potrafią robić. Są maszynami ze ściśle sprecyzowanym zadaniem.

— Tak się w tej chwili wydaje. Ale co będzie później? Po tym, jak wojna się skończy. Być może, kiedy już nie będzie ludzi do zniszczenia, zaczną się powoli ujawniać ich prawdziwe możliwości.

— Mówisz, jakby były żywe!

— A czy nie są? Zapadła cisza.

— To są maszyny — powiedział Rudi. — Wyglądają jak ludzie, ale są tylko maszynami.

— Niech pan nawiąże łączność, majorze — powiedział Klaus. — Nie możemy tu siedzieć przez całą wieczność.

Kurczowo ściskając nadajnik, Hendricks wywołał kod bunkra dowodzenia. Potem czekał, nasłuchując. Żadnej odpowiedzi. Tylko cisza. Jeszcze raz uważnie sprawdził namiary. Wszystko było w porządku.

— Scott! — powiedział do mikrofonu. — Czy mnie słyszysz?

Cisza. Powiększył wzmocnienie do maksimum i spróbował znowu. Nic, prócz szumu wyładowań elektrostatycznych.

— Nie mogę nic złapać. Być może nawet mnie słyszą, ale nie chcą odpowiedzieć.

— Powiedz im, że sytuacja jest krytyczna.

— Pomyślą, że zmuszono mnie do nawiązania łączności.

— Wy mnie zmusiliście. — Spróbował znowu, streszczając krótko wszystko, czego się dowiedział. Ale słuchawka wciąż milczała, wyjąwszy odległe trzaski.

— Strefy promieniowania uniemożliwiają większość transmisji — powiedział po chwili Klaus. — Może o to chodzi.

Hendricks wyłączył nadajnik.

— Nic z tego nie będzie. Żadnej reakcji. Strefy promieniowania? Być może. Albo słyszą mnie, ale nie chcą odpowiedzieć. Mówiąc szczerze, ja bym tak właśnie postąpił, gdyby łącznik próbował odezwać się z radzieckich pozycji. Nie mają powodów, by wierzyć w moją historię. Może nawet słyszeli wszystko, co powiedziałem...

— Albo może jest już za późno. Hendricks pokiwał głową.

— Lepiej zamknijmy właz — powiedział nerwowo Rudi. — Nie powinniśmy niepotrzebnie ryzykować.

Powoli zleźli na dół do tunelu. Klaus starannie zaryglował właz. Zeszli do kuchni. Powietrze było ciężkie i duszne.

— Czy to możliwe, żeby tak szybko dały sobie z nami radę? — zapytał Hendricks. — Opuściłem nasz bunkier w południe. Dziesięć godzin temu. W jaki sposób mogłyby się poruszać tak szybko?

— To nie zabiera im wiele czasu. Po tym jak już pierwszy dostanie się do środka, wszystko idzie szybko. Toczy się błyskawicznie. Sam wiesz, na co stać małe szpony. Zdolności egzemplarza nowszego typu są zupełnie niewiarygodne. Ostrza w każdym palcu. Szaleństwo.

— W porządku. — Hendricks odsunął się zniecierpliwiony. Stał do nich plecami.

— O co chodzi? — zapytał Rudi.

— Baza Księżycowa. Boże, jeśli tam się dostały...

— Baza Księżycowa?

Hendricks odwrócił się.

— Nie mogły przecież dostać się do Bazy Księżycowej. Jak miałyby tego dokonać? To niemożliwe. Ja przynajmniej w to nie uwierzę.

— Co to jest Baza Księżycowa? Słyszeliśmy pogłoski, ale nic konkretnego. Jak wygląda aktualna sytuacja? Chyba musieli cię dopuścić do informacji.

— Otrzymujemy wsparcie z Księżyca. Nasze rządy tam są, pod jego powierzchnią. Wszyscy nasi ludzie i przemysł. To właśnie pozwala nam się jeszcze utrzymać. Jeżeli uda im się znaleźć jakiś sposób, by opuścić Ziemię i dostać na Księżyc...

— Wystarczy, że dokona tego tylko jeden. Kiedy pierwszy dostaje się do środka, wpuszcza innych. Setki innych, wszystkie takie same. Powinieneś je zobaczyć. Identyczne. Jak mrówki.

— Doskonały socjalizm — powiedziała Tasso. — Ideał państwa komunistycznego. Wszyscy obywatele wymienialni na siebie.

Klaus mruknął coś wściekle.

— Dosyć. No to co? Co teraz?

Hendricks przechadzał się w tę i z powrotem wokół małego pomieszczenia. Powietrze było ciężkie od zapachów żywności i potu. Pozostali obserwowali go. Tasso przeszła za zasłonę do

drugiego pomieszczenia.

— Zamierzam się przespać.

Zasłona zasunęła się za nią. Rudi i Klaus siedzieli przy stole, wciąż obserwując Hendricksa.

— Ty decydujesz — powiedział Klaus. — Nie znamy waszej sytuacji.

Hendricks pokiwał głową.

— Jest jeden problem. — Rudi upił łyk kawy, napełniwszy przedtem filiżankę z zardzewiałego dzbanka. — Przez jakiś czas będziemy tu bezpieczni, ale nie możemy zostać tu na zawsze. Nie starczy dla wszystkich żywności ani innych zapasów.

— Ale jeśli wyjdziemy na zewnątrz...

— Jeśli wyjdziemy na zewnątrz, dopadną nas. Czy też najprawdopodobniej nas dopadną. Nie uda nam się zejść daleko. Jak daleko jest do pańskiego bunkra dowodzenia, majorze?

— Trzy, cztery mile.

— Może nam się udać. Naszej czwórce. Czwooro może obserwować wszystkie kierunki naraz. Nie będą w stanie Podkraść się do nas z tyłu ani się do nas przykleić. Mamy trzy karabiny, trzy karabiny laserowe. Tasso może wziąć mój pistolet. — Rudi poklepał się po pasie. — W radzieckiej armii często nie miewamy butów, ale broń mamy zawsze. We czwórkę, uzbrojeni, mamy szansę, że przynajmniej jednemu uda się dostać do pańskiego bunkra dowodzenia, majorze Najlepiej, gdyby to był pan.

— A co, jeśli już są w środku? — zapytał Klaus.

Rudi wzruszył ramionami.

— Cóż, wówczas wrócimy tutaj.

Hendricks przestał się przechadzać.

— Jak oceniacie ryzyko, że już przedostały się na amerykańskie pozycje?

— Trudno powiedzieć. Raczej wysoko. Są zorganizowane. Dokładnie wiedzą, co robią. Kiedy już zaczną, ruszają jak chmara szarańczy. Wtedy już muszą poruszać się, i to szybko. Ich siłą jest właśnie zaskoczenie i szybkość. Chodzi o to, żeby wdrzeć się do środka, zanim ktokolwiek pojmie, co się dzieje.

— Rozumiem — wymruczał Hendricks.

W drugim pomieszczeniu Tasso się poruszyła.

— Majorze? Hendricks odsunął zasłonę.

— Co?

Tasso spojrzała na niego leniwie z tapczanu, na którym leżała.

— Czy zostały panu jeszcze jakieś amerykańskie papierosy?

Hendricks wszedł do pomieszczenia i usiadł obok niej na drewnianym stołku. Pomacał swoją kieszeń.

— Nie. Wszystkie wypaliliśmy.

— Szkoda.

— Jakiej jesteś narodowości? — zapytał po chwili.

— Rosjanka.

— Jak tutaj trafiłaś?

— Tutaj?

— Kiedyś to była Francja. A dokładnie część Normandii. Czy przyszedłeś z Armią Radziecką?

— Dlaczego pan pyta?

— Po prostu jestem ciekaw. — Przyglądał się jej. Zdjęła kurtkę, przerzuciła ją przez oparcie kanapy. Była młoda, musiała mieć około dwudziestu lat. Szczupła. Długie włosy rozsypały się po

poduszce. Patrzyła na niego w milczeniu, oczyma wielkimi i ciemnymi.

— O czym myślisz? — zapytała Tasso.

— O niczym. Ile masz lat?

— Osiemnaście. — Nie przestała go obserwować, ani u nie mrugnęła, ręce założyła za głowę.

Miała na sobie koszulę i spodnie Armii Radzieckiej. Szarozielone. Szeroki skórzany pas z przytroczoną manierką i ładownicami. Zestaw pierwszej pomocy.

— Jesteś żołnierzem Armii Radzieckiej?

— Nie.

— Gdzie zdobyłaś mundur?

Wzruszyła ramionami.

— Dostałam — odrzekła.

— Ile... ile miałaś lat, kiedy tu przybyłaś?

— Szesnaście.

— Taka młoda?

Jej oczy zwęziły się.

— O co ci chodzi?

Hendricks potarł szczękę.

— Twoje życie z pewnością wyglądałoby inaczej, gdyby nie było wojny. Szesnaście lat. Przyszedł tutaj, mając szesnaście lat. Aby żyć w taki sposób.

— Musiałam jakoś przeżyć.

— Nie moralizuję.

— Twoje życie również potoczyłoby się inaczej — mruknęła Tasso. Sięgnęła ręką i rozwiązała jeden ze swych butów. Kopnięciem zrzuciła go z nogi, spadł na podłogę. — Majorze, czy nie zechciałby pan przejść do drugiego pokoju? Jestem śpiąca.

— To może być problem, nasza czwórka tutaj. Będzie nam ciasno w tych pomieszczeniach. Są tylko te dwa pokoje?

— Tak.

— Jak wielka była pierwotnie ta piwnica? Większa niż teraz? Może są jakieś inne pomieszczenia zasypane gruzem? Może udałoby nam się do któregoś dostać?

— Być może. Naprawdę nie wiem. — Tasso odpięła pas. Ułożyła się wygodnie na tapczanie, rozpięła koszulę. — Na pewno nie masz więcej papierosów?

— Wziąłem tylko jedną paczkę.

— To naprawdę szkoda. Jeśli uda nam się wrócić do twojego bunkra, może znajdziemy jakieś. — Drugi but stuknął o podłogę. Tasso sięgnęła po sznurek wyłączający światło. — Dobranoc.

— Masz zamiar spać?

— Właśnie tak.

Pomieszczenie pogrążyło się w ciemnościach. Hendricks wstał i po omacku przeszedł za zasłonę, do kuchni. I zatrzymał się, czując, jak sztywnieją mu mięśnie.

Rudi stał pod ścianą z twarzą pobladłą i lśniącą od potu. Jego usta otworzyły się i zamknęły, ale nie dobił z nich żadnego dźwięku. Klaus stał przed nim, lufę pistoletu wcisnął w jego brzuch. Żaden z nich nawet nie drgnął. Klaus z dłonią zaciśniętą na broni, z twardym grymasem na twarzy. Rudi, blady i cichy, wtulony na płask w ścianę.

— Co... — mruknął Hendricks, ale Klaus mu przerwał:

— Niech pan nic nie mówi, majorze. Proszę tu podejść. Pańska broń. Niech pan wyciągnie broń.

Hendricks wyciągnął pistolet.

— O co chodzi?

— Niech pan wyceluje w niego. — Klaus popchnął go. — Obok mnie. Szybko!

Rudi poruszył się odrobinę, opuścił ręce. Odwrócił się do Hendricksa i oblizał wargi. Białka jego oczu lśniły dziko. Pot spływał mu z czoła, jego krople spadały na policzki. Spojrzał na Hendricksa.

— Majorze, on oszalał. Niech pan go powstrzyma. — Głos Rudiego był zduszony i ochrypły, niemalże niedosłyszalny.

— Co tu się dzieje? — dopytywał się Hendricks.

Nie opuszczając na milimetr lufy swego pistoletu, Klaus odpowiedział:

— Majorze, pamięta pan naszą dyskusję? Trzy Odmiany? Znamy Pierwszą i Trzecią. Ale nie wiemy nic o Drugiej. A przynajmniej dotąd nie wiedzieliśmy. — Palce Klause zacisnęły się na kolbie broni. — Nie wiedzieliśmy dotąd, ale teraz już wiemy.

Nacisnął spust. Eksplozja białego światła z lufy smagnęła ciało Rudiego.

— Majorze, to jest Odmiana Druga.

Tasso odsunęła zasłonę.

— Klaus! Coś ty zrobił?

Klaus odwrócił się od zwęglonego ciała, powoli osuwającego się po ścianie na podłogę.

— Odmiana Druga, Tasso. Teraz już wiemy. Zidentyfikowaliśmy wszystkie trzy typy. Zagrożenie stało się mniejsze. Ja...

Tasso patrzyła obok niego na pozostałości ciała Rudiego, na poczerńiałe, zwęglone szczątki, strzępy odzieży.

— Zabiłeś go.

— Jego? Chyba chcesz powiedzieć „to”. Obserwowałem, miałem przecucie, ale nie byłem pewien. Przynajmniej dotąd nie byłem pewien. Jednak tego wieczoru zdobyłem pewność. — Klaus nerwowym ruchem wytarł rękojeść pistoletu — Mieliśmy szczęście. Nie rozumiecie? Jeszcze godzina i mógł...

— Byłeś pewien, tak? — Tasso przecisnęła się obok niego i pochyliła nad dymiącymi fragmentami ciała leżącymi na podłodze. Jej twarz stężała. — Majorze, nich pan sam zobaczy. Kości. Krew.

Hendricks pochylił się obok niej. Były to bez wątpienia szczątki człowieka. Spalone mięso, poczerńiałe fragmenty kości, część czaszki. Ściągną, trzewia. Krew. Krew tworzyła już niewielką kałużę pod ścianą.

— Żadnych kółek — oznajmiła spokojnie Tasso. Wyprostowała się. — Żadnych kółek, żadnych obwodów, żadnych przekaźników. Żadnych pił. To nie była Odmiana Druga. — Zaplotła ręce na piersiach. — Będziesz musiał nam to jakoś wytłumaczyć.

Klaus usiadł przy stole, krew zniecka odpłynęła mu z twarzy. Chwycił się rękami za głowę, kołysał nią w górę i w dół.

— Przestań. — Palce Tasso zacisnęły się na jego ramieniu. — Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego go zabiłeś?

Był przerażony — powiedział Hendricks. — Tym wszystkim, sytuacją, w której się znaleźliśmy.

— Może.

— A więc, co? Co myślisz?

— Sądzę, że mógł mieć powód, by zabić Rudiego. Dobry powód.

— Jaki powód?

— Może Rudi dowiedział się o czymś.

Hendricks wpatrywał się w jej pozbawioną wyrazu twarz.

— O czym? — zapytał.

— O nim. O Klausie.

Klaus szybko spojrział w górę.

— Z pewnością rozumie pan, o co jej chodzi, majorze. Ona myśli, że to ja jestem Odmianą Drugą. Nie rozumie pan, majorze? Teraz chce, by pan uwierzył, że zabiłem go celowo. Że ja...

— A więc, dlaczego go zabiłeś? — zapytała Tasso.

— Mówiłem ci. — Klaus ze znużeniem pokręcił głową — Myślałem, że jest szponem. Sądziłem, że się nie mylę.

— Dlaczego?

— Obserwowałem go. Podejrzewałem.

— Dlaczego?

— Wydawało mi się, że coś widziałem. Coś usłyszałem. Myślałem, że ja... — urwał.

— Mów dalej

— Siedzieliśmy przy stole. Graliśmy w karty. Wy dwoje byliście w tamtym pomieszczeniu. Panowała całkowita cisza. Wydawało mi się, że słyszę jak on... zgrzyta..

Zapadło milczenie.

— Wierzysz mi? — Tasso zapytała Hendricksa.

— Tak. Wierzę w to, co mówi.

— Ja nie. Dalej myślę, że zabił Rudiego, bo miał swoje powody. — Tasso dotknęła karabinu stojącego w kącie pomieszczenia. — Majorze...

— Nie. — Hendricks pokręcił głową. — Skończmy z tym natychmiast. Jeden wystarczy. Oboje się boimy, tak jak on się bał. Jeżeli go zabijemy, zamordujemy go tak, jak on zamordował Rudiego.

Klaus spojrział na niego z wdzięcznością.

— Dziękuję. Bałem się. Pan rozumie, nieprawdaż? Teraz ona się boi, tak jak ja. Chce mnie zabić.

— Dość zabijania. — Hendricks ruszył w stronę, gdzie stała drabina. — Wychodzę na górę, chcę jeszcze raz spróbować nawiązać łączność. Jeżeli nie uda się ich złapać, jutro rano wracamy do mojego bunkra.

Klaus szybko się podniósł.

— Pójdę z panem, może się do czegoś przydam.

Nocne powietrze było chłodne. Ziemia szybko oddawała ciepło. Klaus wciągnął głęboko powietrze, aż do dna płuc. On i Hendricks wyszli na powierzchnię. Klaus rozstawił szeroko nogi, uniósł karabin, obserwował i nasłuchiwał. Hendricks przykucnął przy wyjściu z tunelu, próbował dostroić małe nadajnik.

— Jak idzie? — zapytał po chwili Klaus.

— Na razie nic.

— Niech pan próbuje. Niech im pan opowie, co się wydarzyło.

Hendricks próbował. Bez powodzenia. Na koniec schował antenę.

— To na nic. Nie mogą mnie słyszeć. Albo słyszą mnie i nie odpowiadają. Albo...

— Albo już nie żyją.

— Spróbuję jeszcze raz. — Hendricks ponownie wysunął antenę. — Scott, czy mnie słyszysz? Odezwij się!

Nasłuchiwał. Tylko szum wyładowań elektrostatycznych. Potem, jednak wciąż bardzo słabo, usłyszał:

— Tu mówi Scott.

Zacisnął palce.

— Scott! To ty?

— Tu mówi Scott.

Klaus przykucnął przy nim.

— To twój oddział?

— Scott, słuchaj. Zrozumiałeś mnie? O nich, o tych szponach. Czy otrzymałeś moją wiadomość?

Czy mnie słyszysz?

— Tak. — Słabo. Ledwie słyszalnie. Niemalże nie potrafił wyróżnić słów.

— Otrzymałeś moją wiadomość? W bunkrze wszystko w porządku? Żaden z nich nie dostał się do środka?

— Wszystko jest w porządku.

— Próbowali dostać się do środka? Teraz głos był jeszcze słabszy.

— Nie.

Hendricks odwrócił się do Klause.

— Z nimi wszystko w porządku.

— Czy zostali zaatakowani?

— Nie. — Hendricks przycisnął słuchawkę mocniej do ucha. — Scott. Ledwie cię słyszę. Czy powiadomiłeś Bazę Księżycową? Czy oni wiedzą? Czy ogłosili alarm?

Żadnej odpowiedzi.

— Scott! Czy mnie słyszysz? Cisza.

Hendricks poczuł, jak rozluźniają się napięte mięśnie usiadł bezwładnie.

— Przerwało. Z pewnością to te strefy radiacji.

Hendricks i Klaus spojrzeli na siebie. Żaden z nich nic nie powiedział. Po jakimś czasie Klaus przerwał milczenie:

— Czy ten głos należał do twojego żołnierza? Czy rozpoznałeś głos?

— Był zbyt słabo słyszalny.

— Nie możesz być pewien?

— Nie.

— A więc mógł to być...

— Nie wiem. Teraz nie jestem pewien. Wracajmy na dół i zamknijmy właz.

Powoli zeszli po drabinie do ciepłej piwnicy. Klaus zasunął za nimi rygiel włazu. Tasso czekała na nich, jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

— Poszczyściło się? — zapytała.

Żaden z nich nie odpowiedział.

— Cóż? — powiedział na koniec Klaus. — Co pan myśli, majorze? To był pański oficer czy jeden z tamtych?

— Nie mam pojęcia.

— A więc jesteśmy w tym samym miejscu co przedtem. Hendricks wbił wzrok w podłogę, zacisnął szczęki.

— Będziemy musieli tam pójść. Aby się upewnić.

— W każdym razie żywności mamy tutaj tylko na kilka tygodni. Tak czy siak, później będziemy musieli gdzieś jej poszukać.

— Na to wychodzi.

— Coś nie tak? — zapytała Tasso. — Czy udało się panu połączyć z bunkrem? O co chodzi?

— To mógł być jeden z moich żołnierzy — powoli powiedział Hendricks. — Ale mógł to być

również jeden z tamtych. W każdym razie nigdy się nie dowiemy, jeśli zostaniemy tutaj. — Spojrzał na zegarek. — Połóżmy się lepiej i prześpijmy trochę. Rano trzeba będzie wcześniej wstać. — Wcześniej?

— Będziemy mieli największą szansę, żeby uniknąć szponów, jeśli wyruszymy wczesnym rankiem — odparł Hendricks.

Ranek był mroźny i pogodny. Major Hendricks obserwował okolicę przez lornetkę polową.

— Widzisz coś? — zapytał Klaus.

— Nie.

— Czy możesz stąd dostrzec nasze bunkry?

— W którą stronę?

— Tam. — Klaus wziął od niego lornetkę i poprawił ostrość. — Wiem, gdzie patrzeć. — Przez dłuższy czas w milczeniu obserwował przestrzeń przed sobą.

W tunelu pojawiła się głowa Tasso, po chwili ona sama wyszła na zewnątrz.

— Coś się dzieje?

— Nic. — Klaus oddał lornetkę Hendricksowi. — Stąd nie można go zobaczyć. Chodźmy. Nie stójmy tutaj.

Cała trójka poszła w dół po zboczu, ślizgając się w miękkim popiele. Po płaskim kamieniu przebiegła jaszczurka. Natychmiast zatrzymali się w napięciu.

— Co to było? — mruknął Klaus.

— Jaszczurka.

Jaszczurka biegła dalej, przemykając wśród popiołów. Była dokładnie w tym samym kolorze co one.

— Doskonałe przystosowanie — powiedział Klaus. — Dowodzi, że mieliśmy rację, to znaczy Łysenko miał rację.

Dotarli do podnóża zbocza i zatrzymali się, stając blisko siebie i rozglądając dookoła.

Chodźmy. — Hendricks ruszył pierwszy. — Piechotą zajmie nam to sporo czasu.

Klaus zajął miejsce obok niego. Tasso szła z tyłu, trzymając pistolet gotowy do strzału.

— Majorze, chciałem pana o coś zapytać — powiedział Klaus. — W jaki sposób natrafił pan na Davida? Tego, który się do pana przykleił?

— Spotkałem go po drodze. W jakichś ruinach.

— Co powiedział?

— Nie mówił wiele. Powiedział, że jest sam. Zupełnie sam.

— Nie potrafił pan stwierdzić, że to maszyna? Mówił jak żywy człowiek? Nawet przez chwilę niczego pan nie podejrzewał?

— Nie mówił dużo. Nie zauważyłem niczego niezwykłego.

— To dziwne, maszyny tak przypominające ludzi, że każdego mogą oszukać. Prawie żywe. Zastanawiam się, jak to się skończy.

— Robią to, do czego je stworzyliście wy, Jankesi — wtrąciła Tasso. — A stworzyliście je, by tropiły i niszczyły wszelkie życie. Ludzkie życie. Gdziekolwiek tylko je znajdą.

Hendricks uważnie obserwował Klause.

— Dłaczego mnie o to pytasz? Co ci chodzi po głowie?

— Nic — odparł Klaus.

— Klaus sądzi, że jest pan Odmianą Drugą — oznajmiła spokojnie Tasso za jego plecami. —

Teraz nie spuści już pana z oka.

Klaus zaczerwienił się.

— Czemu nie? Wysłaliśmy łącznika na pozycje Jankesów, a ten wrócił zamiast niego. Może wydawało mu się, że znajdzie tu łatwy łup.

Hendricks zaśmiał się ochryple.

— Przyszedłem prosto z bunkra Narodów Zjednoczonych. Wszędzie wokół mnie żyły tam istoty ludzkie.

— Być może dostrzegłeś sposobność, by się dostać na pozycje radzieckie. Być może dostrzegłeś swoją szansę. Może...

— Pozycje radzieckie zostały już zdobyte. Atak na wasze stanowiska nastąpił, zanim opuściłem bunkier mego oddziału. Nie zapominaj o tym.

Tasso zrównała się z nim.

— To w ogóle niczego nie dowodzi, majorze.

— Dlaczego nie?

— Poszczególne odmiany najwyraźniej nie komunikują się ze sobą. Każdą wytwarza inna fabryka. Nie współpracują z sobą. Mógł pan podjąć atak na radzieckie stanowiska, nie mając pojęcia o poczynaniach innych odmian. Albo nawet nie wiedząc wcale, jak tamte wyglądają.

— Skąd wiesz tak dużo na temat szponów? — zapytał Hendricks.

— Widziałam je. Obserwowałam, jak zdobywały radziecki bunkier.

— Wiesz całkiem sporo — powiedział Klaus. — A prawdę mówiąc, widzieć mogłaś bardzo niewiele. Dziwne, że akurat jesteś tak uważnym obserwatorem.

Tasso zaśmiała się.

— Teraz mnie podejrzewasz?

— Przestańcie — powiedział Hendricks. Przez chwilę szli w milczeniu.

— Całą tę drogę pokonamy na piechotę? — zapytała w końcu Tasso. — Nie jestem przyzwyczajona do marszu. — Rozejrzała się po równinie popiołów, jak okiem sięgnąć rozciągającej się wokół nich we wszystkie strony. — Jak strasznie.

— Przez całą drogę będzie tak samo — powiedział Klaus.

— Chyba żałuję, że nie było cię w bunkrze, kiedy nastąpił atak.

— Jeśli nie ja, ktoś inny byłby wówczas z tobą — wymamrotał Klaus.

Tasso zaśmiała się, wbiła rękę w kieszenie.

— No, chyba.

Szli dalej, ze wzrokiem utkwionym w otaczającą ich rozległą równinę milczących popiołów.

Słońce już zachodziło. Hendricks powoli, ostrożnie szedł naprzód, od czasu do czasu dając znać Tasso i Klausowi. Klaus przykucnął, opierając kolbę broni o ziemię.

Tasso znalazła sobie betonową płytę i z westchnieniem usiadła.

Dobrze jest odpocząć.

— Bądź cicho — uciął ostro Klaus.

Hendricks wszedł na szczyt wzgórza znajdującego się przed nimi. To było to samo wzgórze, z którego schodził rosyjski łącznik dzień wcześniej. Padł na ziemię, rozłożył się wygodnie i spojrzał przez lornetkę na rozciągający się poniżej teren.

Niczego nie mógł dostrzec. Tylko popiół i rozproszone pnie drzew. Ale tam, nie dalej jak pięćdziesiąt jardów od niego, znajdowało się wejście do bunkra frontowej jednostki Bunkra, z którego wyruszył. Hendricks w całkowitej ciszy obserwował perymetr. Najmniejszego ruchu. Żadnego śladu życia. W dole nic nawet nie drgnęło.

Klaus przyczołgał się i położył obok.

— Gdzie on jest?

— Tam w dole. — Hendricks podał mu lornetkę. Chmury popiołu pełzły po wieczornym niebie.

Nad światem zapadał zmrok. W najlepszym wypadku zostało im jeszcze tylko kilka godzin światła. Prawdopodobnie nawet nie tyle.

— Nic nie widzę — powiedział Klaus.

— Tamto drzewo. Pniak. Obok sterty cegieł. Wejście jest po prawej stronie.

— Muszę ci wierzyć na słowo.

— Ty i Tasso będziecie mnie osłaniać. Możecie stąd widzieć całą drogę aż do wejścia do bunkra.

— Chcesz sam zejść na dół?

— Mając identyfikator na nadgarstku, będę bezpieczny. Teren wokół bunkra jest istnym rojowiskiem szponów. Kryją się w popiołach. Jak kraby. Bez identyfikatora nie macie szans.

— Może masz rację.

— Przez cały czas będę szedł powoli. Kiedy tylko zdobędę pewność...

— Jeżeli już są na dole, w bunkrze, nie będziesz miał szans, by wrócić na górę. Poruszają się szybko. Nawet nie wiesz jak szybko.

— A więc co proponujesz?

Klaus zastanawiał się przez chwilę.

— Nie wiem. Trzeba je zmusić, żeby wylazły na powierzchnię. Wtedy zobaczymy.

Hendricks odczepił nadajnik od pasa, wysunął antenę.

— Zaczynamy.

Klaus dał znak Tasso. Fachowo podczołgała się na skraj niesienia, do miejsca, gdzie czekali na nią.

— On idzie sam na dół — poinformował ją Klaus. — Będziemy go stąd osłaniać. Kiedy tylko zobaczysz, że się wycoofuje, natychmiast strzelaj do wszystkiego, co będzie za nim. One poruszają się szybko.

— Nie jesteś szczególnie optymistycznie nastrojony — powiedziała Tasso.

— Nie, nie jestem.

Hendricks otworzył magazynek swego karabinu, uważnie sprawdził liczbę ładunków.

— Być może okaże się, że wszystko jest w porządku.

— Nie widziałeś ich. Setek naraz. Wszystkie takie same.

Wylewające się zewsząd niczym mrówki.

— Zanim dotrę na miejsce, powinienem się zorientować, jak wygląda sytuacja. — Hendricks zarepetował karabin, ujął go jedną dłonią, w drugiej trzymał nadajnik. — Cóż, życze mi szczęścia.

Klaus uniósł dłoń.

— Nie schodź na dół, póki się nie upewnisz. Spróbuj porozmawiać z nimi stąd. Każ im się pokazać.

Hendricks powstał. Ruszył w dół zbocza.

Chwilę później szedł już wolnym krokiem w kierunku sterty cegieł i gruzu znajdującej się obok pnia drzewa. W kierunku wejścia do bunkra frontowego oddziału.

Nic się nie poruszyło. Uniósł nadajnik, włączył go.

— Scott? Czy mnie słyszysz?

Cisza.

— Scott! Tu mówi Hendricks. Czy mnie słyszysz? Stoję przed bunkrem. Powinieneś mnie widzieć na monitorze wizjera.

Nasłuchiwał, mocno ściskając nadajnik. Żadnej reakcji. Tylko trzaski wyładowań. Poszedł dalej. Z popiołów wygrzebał się szpon i ruszył w jego stronę. Zatrzymał się w odległości kilku kroków, a potem niepewnie odpełził na bok. Pojawił się drugi szpon, jeden z tych większych, wyposażonych w manipulatory z czujnikami. Podjechał do niego, uważnie się przyjrzał, a następnie, jakby z szacunkiem, ruszył zanim zachowując odległość kilku kroków. Chwilę później dołączył do niego drugi wielki szpon. W całkowitej ciszy wędrowały w ślad za nim, kiedy powoli maszerował w kierunku bunkra Hendricks zatrzymał się, a za jego plecami zatrzymały się również szpony. Znajdował się już bardzo blisko. Niemalże na przedprożu bunkra.

— Scott! Czy mnie słyszysz? Stoję dokładnie nad tobą Na zewnątrz. Na powierzchni. Czy mnie odbierasz?

Czekał, przyciskając karabin do boku, a nadajnik trzymając blisko przy uchu. Czas mijał. Z natężeniem próbował wyłowić jakiś dźwięk, ale tam była tylko cisza. Cisza i słabe trzaski wyładowań.

A potem, jakby z oddali, z metalicznym pogłosem...

— Tu mówi Scott.

Głos był całkowicie pozbawiony wyrazu. Zimny. Nie mógł go rozpoznać. Ale przecież słuchawka była tak niewielka.

— Scott! Słuchaj. Stoję tuż nad twoją głową. Jestem na powierzchni, patrzę w dół, na wejście do bunkra.

— Tak.

— Widzisz mnie?

— Tak.

— Przez wizjer? Masz peryskop skierowany na mnie?

— Tak.

Hendricks zastanowił się. Krąg szponów czekał cierpliwie wokół niego, szare metalowe ciała otaczały go ze wszystkich stron.

— Czy w bunkrze wszystko w porządku? Nie zdarzyło się nic niezwykłego?

— Wszystko jest w porządku.

— Czy wyjdiesz na powierzchnię? Chciałbym cię na chwilę zobaczyć. — Hendricks zaczerpnął głęboko tchu. — Chodź tu do mnie. Chciałbym z tobą pomówić.

— Zejdź na dół.

— Wydałem ci rozkaz.

Cisza.

— Idziesz? — Hendricks nasłuchiwał. Nie było odpowiedzi. — Rozkazałem ci, żebyś wyszedł na powierzchnię.

— Zejdź na dół.

Hendricks poczuł, jak zaciskają mu się szczęki.

— Pozwól mi porozmawiać z Leone.

Po tych słowa nastąpiła dłuższa przerwa. Czekał wsłuchany w trzaski wyładowań. Potem głos powrócił, twardy, zimny, metaliczny. Taki sam jak poprzednio.

— Tu Leone.

— Hendricks. Jestem na powierzchni. Przy wejściu do bunkra. Chciałbym, żeby jeden z was przyszedł tutaj.

— Zejdź na dół.

— Dlaczego mam zejść na dół? Wydałem ci rozkaz!

Cisza. Hendricks odjął od ucha nadajnik. Ostrożnie rozejrzał się dookoła. Wejście znajdowało się tuż przed nim. Niemalże u jego stóp. Schował antenę i wsunął nadajnik za pas. Uważnie chwycił karabin w obie dłonie. Ruszył naprzód, odmierzając kroki. Jeżeli widzieli go, wiedzą, że idzie do wejścia. Na ułamek sekundy zmrużył oczy.

Potem postawił stopę na pierwszym stopniu wiodącym w dół.

Dwa Davidy wyszły na niego, ich twarze identyczne, wyzbyte wszelkiego wyrazu. Strzelił w nie strumieniem energii i rozbił je na cząsteczki. Kolejne w całkowitej ciszy szły na niego, była ich cała horda. Wszystkie identyczne.

Hendricks odwrócił się i pobiegł przed siebie, byle dalej od bunkra, w kierunku grzbietu wzgórza.

Tasso i Klaus już strzelali w dół. Małe szpony mknęły w ich stronę; szybkie, błyszczące, metalowe kule szaleńczo pędziły przez popioły. Ale nie miał czasu nawet się nad tym zastanowić. Ukląkł, celując w wejście do bunkra, przycisnął kolbę karabinu do policzka. Davidy wychodziły na zewnątrz w grupach, ściskając swe pluszowe misie, ich chude kościste nogi aż śmigały, gdy pokonywały kolejne stopnie wiodące na powierzchnię. Hendricks strzelił w kierunku największego zgrupowania. Kilka eksplodowało, kółka i sprężynki poleciały na wszystkie strony. Wystrzelił ponownie poprzez chmurę szczątków.

W wejściu do bunkra pojawiła się wielka, ciężko poruszająca się postać; szła, kołysząc się. Hendricks przestał strzelać, zdumiony wbił w nią wzrok. Człowiek, żołnierz. Z jedną nogą, podparty na kuli.

— Majorze! — usłyszał głos Tasso.

Kolejne strzały. Wielka postać ruszyła naprzód, Davidy mrowiły się wokół niej. Hendricks wyrwał się z otępienia Odmiana Pierwsza. Ranny Żołnierz. Wycelował i wystrzelił. Żołnierz rozpadł się na kawałki, części mechanizmów i obwodów pofrunęły w powietrze. Wkrótce na otwartym terenie przed bunkrem nie zostało już wiele Davidów. Wystrzelił znowu, a potem jeszcze raz, powoli wycofując się, pochylony, broń trzymając przez cały czas wycelowaną.

Klaus strzelał w dół ze wzniesienia. Zbocze od strony bunkra aż wrzało od szponów próbujących dostać się na górę. Hendricks wycofywał się w stronę wzniesienia, biegł już teraz lekko pochylony ku ziemi. Tasso zostawiła Klause i powoli przesuwała się w prawo, schodząc ze wzniesienia.

Jeden z Davidów podkradał się do niego, mała biała twarzyczka nie zdradzała śladu emocji, brązowe włosy opadały na oczy. Nagle pochylił się, rozwarł ramiona. Pluszowy miś stoczył się na ziemię, potem odbił od niej i skoczył. Hendricks wystrzelił. Miś i David rozprysnęli się na kawałki. Uśmiechnął się i zamrugał. To było jak sen.

— Tutaj! — usłyszał wołanie Tasso.

Hendricks ruszył w jej stronę. Znalazła sobie kryjówkę za blokami betonu, pozostałościami zrujnowanego budynku. Strzelała do jakiegoś celu za jego plecami, z ręcznego pistoletu, który dał jej Klaus.

— Dzięki — Dołączył do niej, z trudem łapiąc oddech. Pociągnęła go do tyłu, za osłonę z betonu, sięgnęła do pasa

— Zamknij oczy! — Odczepiła od pasa owalny przedmiot. Gwałtownym ruchem odkręciła zawleczkę, potem wsadziła ją na miejsce. — Zamknij oczy i połóż się na ziemi.

Rzuciła granat. Fachowo. Poszybował wysokim łukiem, potoczył się, podskoczył parę razy i wpadł do wejścia do bunkra. Dwaj Ranni Żołnierze stali niepewnie przy stercie cegieł. Kolejne Davidy wylewały się zza ich pleców prosto na wolną przestrzeń. Jeden z Rannych Żołnierzy ruszył w kierunku granatu, zatrzymał się niezgrabnie i nachylił, by go podnieść.

Granat wybuchł. Podmuch powietrza okręcił ciałem Hendricka, rzucił go twarzą ku ziemi. Fala

gorąca przetoczyła się ponad nim. Niewyraźnie dostrzegł Tasso, stojącą między kolumnami, strzelającą powoli i metodycznie do Davidów wychodzących wprost z białej chmury szalejących płomieni.

Na szczycie wzniesienia Klaus walczył z pierścieniem szponów krążących wokół niego. Wycofywał się powoli, strzelając do nich i wciąż cofając, starał się przerwać krąg.

Hendricks z wysiłkiem gramolił się na nogi. Bolała go głowa. Ledwie widział. Świat przed jego oczyma tańczył, zlewał się i wirował. Nie mógł poruszyć prawą ręką.

Tasso ruszyła w jego stronę.

— Chodź. Idziemy stąd. — Klaus... wciąż tam jest.

— Chodź! — Tasso odciągnęła Hendricksa do tyłu, byle dalej od nacierających szeregów. Hendricks potrząsał głową, próbując odzyskać jasność widzenia. Tasso gwałtownie szarpała go, w jej oczach błyszczało napięcie, gdy obserwowała szpony, które uniknęły skutków wybuchu.

Jeden David wyszedł z kłębiącej się chmury ognia. Tasso zniszczyła go ciosem energii. Następny już się nie pojawił.

— Ale Klaus. Co z nim? — Hendricks zatrzymał się, niepewnie trzymając na nogach. — On...

— Chodź!

Wycofywali się, oddalając coraz bardziej i bardziej od bunkra. Kilka małych szponów przez jakiś czas szło w ślad za nimi, ale potem zrezygnowały, zawróciły i zniknęły.

W końcu Tasso przystanęła.

— Możemy się tu na moment zatrzymać i złapać oddech. Hendricks usiadł na jakiejś kupie gruzów. Otarł pot z karku, ciężko dyszał.

— Zostawiliśmy Klause.

Tasso nie odpowiedziała. Wyjęła z broni magazynki, wsunęła na jego miejsce świeże ładunki energetyczne. Hendricks patrzył na nią całkowicie oszołomiony.

— Specjalnie go tam zostawiłaś.

Tasso ze szczególną zwróciła uwagę na broń. Obserwowała uważnie otaczające ich sterty gruzu, z jej twarzy nie sposób było niczego wyczytać. Jakby na coś czekała.

— O co chodzi? — zapytał Hendricks. — Czego tak wypatrujesz? Czy coś się zbliża? — Pokręcił głową, próbując pojąć jej postępowanie. Co ona robi? Na co czeka? Niczego nie mógł dostrzec. Wokół nich były tylko popioły, popioły i ruiny. Gdzieś obnażone pnie drzew bez liści i gałęzi. — Co...

Tasso przerwała mu.

— Bądź cicho. — Jej oczy zwęziły się. Błyskawicznie uniosła broń. Hendricks odwrócił się, powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

W oddali, tam, skąd przyszli, pojawiła się jakaś sylwetka. Szła niepewnym krokiem w ich kierunku. Jej ubranie było poszarpane. Utykała, wędrując mozolnie naprzód, bardzo powoli i ostrożnie. Zatrzymywała się od czasu do czasu odpoczywając, najwyraźniej próbując zebrać siły do dalszej drogi. Raz omal nie upadła. Stała przez chwilę, próbując odzyskać równowagę. Potem podjęła marsz.

Klaus.

Hendricks poderwał się na równe nogi.

— Klaus! — Ruszył w stronę tamtego. — W jaki sposób, u diabła, udało ci się...

Tasso wystrzeliła. Hendricks aż się zatoczył. Strzeliła powtórnie, smuga energii przemknęła obok niego parzącą pręgą żaru. Wiązka trafiła Klause w pierś. Ekspłodował, poleciał w powietrze dźwignie i kółka. Przez krótką chwilę korpus szedł jeszcze naprzód. Potem zatoczył się do tyłu,

zatonął do przodu. Runął na ziemię z rozwartymi ramionami. Potoczyło się kolejnych kilka kółek.

Cisza.

Tasso odwróciła się do Hendricksa.

— Teraz już wiesz, dlaczego zabił Rudiego.

Hendricks powoli usiadł na ziemi. Pokręcił głową. Był zupełnie ogłupiały. Nie potrafił zebrać myśli.

— Widzisz? — zapytała Tasso. — Teraz rozumiesz?

Hendricks nic nie odpowiedział. Cały świat wirował wokół niego, coraz szybciej i szybciej. Ogarnęła go rozkołysana ciemność.

Zamknął oczy.

Hendricks powoli odzyskiwał świadomość. Bolało go całe ciało. Próbował usiąść, ale igły bólu przeszyły jego rękę i ramię — z trudem złapał oddech.

— Nie próbuj wstawać — ostrzegła go Tasso. Pochyliła się nad nim i przyłożyła chłodną dłoń do jego czoła.

Była noc. Nieliczne gwiazdy mrugały wysoko, przeświecając przez dryfujące chmury popiołu. Hendricks leżał na plecach z zaciśniętymi zębami. Tasso obserwowała go niecierpliwie. Rozpaliła już ognisko z jakiegoś drewna i zielska. Płomienie pełgały słabo, sycząc pod metalowym kubkiem powieszonym nad nimi. Dookoła panowała cisza. Nieruchoma ciemność otaczająca krąg światła wokół ogniska.

— A więc on był Odmianą Drugą? — wymamrotał Hendricks.

— Przez cały czas tak myślałam.

— Dlaczego nie zniszczyłaś go wcześniej? — chciał wiedzieć.

— Ty mnie powstrzymałeś. — Tasso nachyliła się nad ogniem, by zajrzeć do metalowego kubka. — Kawa. Za chwilę będzie gotowa.

Wróciła do niego i usiadła obok. Zabezpieczyła swój pistolet i zabrała się do rozbierania go, uważnie oglądając wszystkie części.

— To piękna broń — powiedziała Tasso półgłosem. — Wspaniała konstrukcja.

— A co z nimi? Ze szponami?

— Wybuch granatu zapewne większość uczynił niezdolnymi do działania. Są stosunkowo delikatne. Wysoce zorganizowane, jak przypuszczam.

— Davidy również?

— Tak.

— Jak to się stało, że weszłaś w posiadanie takiego granatu?

Tasso wzruszyła ramionami.

— My je skonstruowaliśmy. Nie powinien pan nie doceniać naszej technologii, majorze. Bez takiego granatu ty i ja już byśmy nie żyli.

— Bardzo pożyteczna rzecz. Tasso wyciągnęła nogi, by ogrzać stopy w ciepłe bijącym od ogniska.

— Zaskoczyło mnie, że niczego nie zrozumiałeś po tym jak zabił Rudiego. Dlaczego, jak sądzisz, miałby...

— Powiedziałem ci. Myślałem, że się boi.

— Naprawdę? Wie pan, majorze, przez krótką chwilę podejrzewałam pana. Ponieważ nie pozwolił mi pan go zabić sądziłam, że może pan go chroni. — Zaśmiała się.

— Czy jesteśmy tu bezpieczni? — zapytał zaraz Hendricks.

— Przynajmniej przez jakiś czas. Póki nie dostaną uzupełnień z innego obszaru. — Tasso zabrała się do czyszczenia broni za pomocą wyciągniętego skądś gałganka. Skończyła i złożyła cały mechanizm z powrotem. Zatrzasnęła broń przeciągnęła palcem po lufie.

— Mieliśmy szczęście — wymamrotał Hendricks.

— Tak. Wielkie szczęście.

— Dziękuję, że mnie stamtąd wyniosłaś.

Tasso nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na niego, jej oczy błyszczały w świetle ogniska. Hendricks obmacał swoją rękę. Nie mógł poruszyć palcami. Cały bok wydawał się zupełnie zmartwiały. Wewnątrz ciała czuł tępy, stały ból.

— Jak się czujesz? — zapytała Tasso.

— Coś się stało z moją ręką.

— A oprócz tego?

— Obrażenia wewnętrzne.

— Nie schowałeś się, kiedy rzuciłam granat. Hendricks nic nie powiedział. Patrzył, jak Tasso nalewa kawę z kubka do płytkiej metalowej miseczki. Podała mu ją.

— Dziękuję. — Zmusił się, żeby wypić. Przełykanie przychodziło mu z trudem. Poczul, jak skręca mu się żołądek, i oddał jej miseczkę. — Więcej w tej chwili nie przełknę.

Tasso wypija resztę. Czas mijał. Chmury popiołu płynęły po ciemnym niebie nad ich głowami. Hendricks wypoczywał, w głowie miał kompletną pustkę. Po jakimś czasie zorientował się, że Tasso stoi nad nim, patrząc w dół.

— O co chodzi? — wymamrotał.

— Czy czujesz się choć trochę lepiej?

— Trochę.

— Wie pan, majorze, gdybym pana nie odciągnęła, do — | padłyby pana. Byłby pan martwy, jak Rudi.

— Wiem.

— Czy chce pan wiedzieć, dlaczego to zrobiłam? Przecież mogłam pana zostawić. Mogłam pana tam porzucić.

— No więc, dlaczego mnie wyciągnęłaś?

— Ponieważ musimy się stąd wydostać. — Tasso pogrzebała patykiem w ognisku, przyglądając się spokojnie tańczą — płomieniom. — Żadna istota ludzka nie jest już w stanie to przetrwać. Kiedy dostaną posiłki, nie będziemy mieli szans. Rozmyślałam nad tym, gdy był pan nieprzytomny.

Zostały nam może jakieś trzy godziny, zanim się pojawią.

— I spodziewasz się, że ja nas stąd wydostanę?

— Właśnie. Spodziewam się, że pan nas stąd wydostanie.

— Dlaczego ja?

— Ponieważ nie widzę żadnego innego sposobu. — Jej oczy lśniły wpatrzone w niego w półmroku, błyszczące i nieustępliwe. — Jeżeli nie jest pan w stanie wydostać nas stąd, za trzy godziny nie będziemy już żyli. Nie widzę żadnego innego wyjścia. Cóż, majorze? Co ma pan zamiar zrobić? Czuwałam całą noc. Kiedy pan leżał nieprzytomny, siedziałam tu, czekałam i nasłuchiwałam. Jest już prawie świt. Noc dobiegła niemal końca.

Hendricks zastanowił się nad jej słowami.

— To ciekawe — powiedział w końcu.

— Ciekawe?

— Ze doszłaś do wniosku, że potrafię nas stąd wydostać. Ciekawe, co twoim zdaniem mogę

zrobić?

— Możesz zabrać nas do Bazy Księżycowej?

— Do Bazy Księżycowej? Jak?

— Musi być jakiś sposób.

Hendricks pokręcił głową.

— Nie. O ile wiem, nie ma żadnego sposobu.

Tasso nic nie powiedziała. Przez chwilę jej niewzruszone spojrzenie jakby zadrżało. Skłoniła głowę, odwróciła się gwałtownie. W końcu wstała.

— Jeszcze kawy?

— Nie.

— Jak chcesz. — Tasso napiła się w milczeniu.

Nie mógł dostrzec jej twarzy. Leżał rozciągnięty na ziemi, pogrążony w myślach, próbując się skoncentrować. Myci' napływały z trudem. Głowa wciąż go bolała. Wciąż Czui w niej ogłupiającą mgłę.

— Być może jest sposób — powiedział nagle.

— Ach tak?

— Ile czasu pozostało do świtu?

— Dwie godziny. Słońce wkrótce wstanie.

— Gdzieś w pobliżu powinien być statek. Nigdy go nie widziałem. Ale wiem, że istnieje.

— Jaki statek? — W jej głosie zabrzmiały ostre tony.

— Statek kosmiczny. Rakieta.

— Czy możemy się nim zabrać? Do Bazy Księżycowej?

— Po to właśnie jest. Na wypadek absolutnej konieczności. — Potarł dłonią czoło.

— Coś nie tak?

— Moja głowa. Trudno mi zebrać myśli. Ledwie potrafię... się skoncentrować. Granat.

— Czy ten statek jest gdzieś blisko? — Tasso zbliżyła się do niego, usiadła na ziemi. — Jak daleko stąd? Gdzie on jest?

— Próbuję sobie przypomnieć. Zacisnęła palce na jego ramieniu.

— Gdzieś blisko? — Jej głos był niczym stal. — Gdzie on może być? Czy umieścili go pod ziemią? Schowali pod ziemią?

— Tak. W zamkniętym hangarze.

— Jak go odnajdziemy? Czy to miejsce jest jakoś oznaczone? Czy jest jakiś znak kodowy, po którym go rozpoznamy?

Hendricks próbował się skupić.

— Nie. Nie ma żadnych oznaczeń. Żadnego symbolu kodowego.

— Co więc?

— Znak.

— Jaki znak?

Hendricks nie odpowiedział. W migoczącym świetle płomieni jego oczy były jak pokryte mgłą, dwie ślepe źrenice. Tasso wpiła palce w jego ramię.

— Jaki znak? Co to jest?

— Ja... ja nie potrafię zebrać myśli. Pozwól mi odpocząć.

— W porządku. — Zrezygnowała i wstała.

Hendricks leżał plecami do ziemi, oczy miał zamknięte. Tasso odeszła na bok, ręce wbiła w kieszenie. Kopnęła jakiś kamień, który leżał na jej drodze, i zapatrzyła się w niebo. Ciemności nocy

zaczynały już powoli ustępować przed szarością poranka. Świtało.

Tasso wzięła do ręki pistolet i zaczęła spacerować wokół iska, obchodząc je to w jedną, to w drugą stronę. Major Hendricks dalej leżał na ziemi, z zamkniętymi oczyma, bez ruchu. Niebo powoli powlekała szarość, wspinając się coraz wyżej i wyżej. Jeden po drugim wyłaniały się z mroku elementy krajobrazu, pola popiołu rozciągające się we wszystkie strony. Popiół i ruiny budynków, ściana tu, ściana tam, sterty betonowych bloków, obnażone pnie drzew.

Powietrze było zimne i ostre. Gdzieś w oddali ptak zaświergotał słabo kilka razy, a potem umilkł.

Hendricks drgnął. Otworzył oczy.

— Już świt? Już?

— Tak.

Hendricks uniósł się nieco.

— Chciałaś się czegoś dowiedzieć. Pytałaś mnie o coś.

— Teraz już sobie przypominasz?

— Tak.

— Gdzie on jest? — W jej głosie pojawiło się napięcie. — Gdzie? — powtórzyła ostro.

— W studni. Zrujnowanej studni. Jest w zamkniętym hangarze pod dnem studni.

— Studnia. — Tasso rozluźniła się. — A więc znajdziemy studnię. — Spojrzała na zegarek. —

Mamy około godziny, majorze. Czy sądzi pan, że w ciągu godziny uda nam się ją znaleźć?

— Podaj mi rękę — powiedział Hendricks. Tasso odłożyła pistolet i pomogła mu wstać.

— To nie będzie łatwe.

— Zapewne. — Hendricks zacisnął usta. — Ale nie sądzę, byśmy musieli iść daleko.

Zaczęli iść. Słońce wczesnego poranka dawało niewiele ciepła. Teren był płaski i zupełnie obnażony, jak okiem sięgnąć rozciągała się szara, pozbawiona życia pustynia, całkowitej ciszy wysoko ponad ich głowami krążyło leniwe kilka ptaków.

— Widzisz coś? — zapytał Hendricks. — Żadnych szponów?

— Nie. Jeszcze nie czas.

Przeszli przez jakieś ruiny, spiętrzone sterty betonowym bloków i cegieł. Cementowe fundamenty. Szczury pierzchał im z drogi. Tasso odskoczyła przestraszona.

— To kiedyś było miasteczko — powiedział Hendricks. Właściwie wioska. Wioska z dala od miasta. Kraina winorośli. Tu, gdzie teraz jesteśmy.

Wyszli na zrujnowaną ulicę, którą przecinały szczeliny i wyrastające z nich łodygi zielska. Po prawej stronie sterczał w niebo samotny komin.

— Uważaj — ostrzegł ją.

Przed nimi otworzyła się szczelina, dawne wejście do piwnicy. Sterczały z niej poszarpane krańce rur, poskręcanych i pogiętych. Minęli część zrujnowanego domu, po drodze zobaczyli przewróconą wannę. Połamane krzesło. Kilka łyżeczek i fragmenty porcelanowej zastawy. Pośrodku ulicy teren zapadł się. Zagłębienie wypełnione było zielskiem, gruzem i kośćmi.

— To tutaj — szepnęła Hendricks.

— Tędy?

— Na prawo.

Przeszli obok wraku ciężkiego czołgu. Licznik, który Hendricks miał przy pasie, zatrzeszczał złowieszczo. Czołg został trafiony z broni atomowej. Kilka stóp od niego leżały zmumifikowane zwłoki z otwartymi ustami, ciśnięte na ziemię w nienaturalnej pozycji. Za drogą rozciągał się zupełnie płaski teren. Kamienie i zielsko, okruchy potłuczonego szkła.

— Tam — powiedział Hendricks.

Cembrowina kamiennej studni była przekrzywiona i popękana. Przykrywało ją kilka desek. Większość rozpadła się w gruz. Hendricks podszedł do niej niepewnie. Tasso szła za nim.

— Jesteś pewien, że to tu? — zapytała Tasso. — Nie wygląda szczególnie zachęcająco.

— Jestem pewien. — Hendricks usiadł na krawędzi studni, zacisnął zęby. Oddychał szybko. Otarł pot z twarzy. — To zostało urządzone po to, by głównodowodzący jednostką mógł się stąd wydostać — Na wypadek, gdyby się coś stało. Gdyby bunkier został zdobyty.

— I to miałeś być ty?

— Tak.

— Gdzie jest statek? Tutaj?

— Stoimy nad nim. — Hendricks przesunął dłonią po kamieniach cembrowiny. — Fotokomórka reaguje tylko na mnie, na nikogo innego. To jest mój statek. A przynajmniej miał być mój.

Usłyszeli krótki trzask. Wkrótce z ziemi pod ich stopami zaczęły dobiegać jakieś zgrzytliwe dźwięki.

— Odsuń się — powiedział Hendricks. Oboje odeszli kilka kroków od studni.

Kawałek ziemi odsunął się. Metalowa konstrukcja wypełzała powoli spod popiołów, rozgarniając stojące na jej drodze cegły i zielsko. Gdy już zobaczyli dziób statku, wszystko znieruchomiało.

— Oto on — powiedział Hendricks.

Statek był niewielki. Spoczywał nieruchomo, zawieszony w kratownicach wyrzutni niby stępiona na końcu igła. Deszcz popiołów padał cicho w głąb ciemnego otworu, z którego właśnie się wynurzył. Hendricks podszedł do niego. Wspiął się na kratownicę, odkręcił pokrywę luku i otworzył ją. We wnętrzu statku widać było zegary kontrolne i amortyzowany fotel.

Tasso podeszła bliżej i stanęła obok niego, patrzyła na statek.

— Nie potrafię pilotować rakiety — powiedziała po chwili. Hendricks spojrzał na nią.

— Ja będę pilotował.

— Naprawdę? Jest tylko jeden fotel, majorze. Widzę, że zbudowano ją dla jednej osoby.

Rytm oddechów Hendricksa zmienił się. Uważnie zbadał wzrokiem wnętrze statku. Tasso miała rację. Był tylko jeden fotel. Statek został zbudowany tylko dla jednej osoby.

Widzę — powiedział powoli. — A tą osobą masz być ty. Skinęła głową. Oczywiście.

— Dlaczego?

— Ty nie dałbyś sobie rady. Mógłbyś nie przeżyć podróży. Jesteś ranny. Prawdopodobnie nie dotarłbyś żywy n miejsce.

— Ciekawy punkt widzenia. Ale widzisz, ja wiem, gdzie jest Baza Księżycowa. A ty nie masz pojęcia. Możesz przez całe miesiące sobie latać i jej nie znajdziesz. Jest dobrze ukryta. Jeśli się nie wie, gdzie szukać...

— Będę musiała spróbować. Być może jej nie znajdę. Zapewne samej mi się nie uda. Ale sądzę, że ty dostarczysz mi informacji, których potrzebuję. Twoje życie od tego zależy

— Dlaczego?

— Jeżeli uda mi się znaleźć Bazę Księżycową, może potrafię ich przekonać, żeby wysłali po ciebie statek. Jeżeli znajdę Bazę na czas. Jeżeli nie, nie masz najmniejszej szansy. Jak przypuszczam, na statku są zapasy żywności. Wystarczą mi na dość długo...

Hendricks próbował błyskawicznie rzucić się naprzód. Ale zawiodła go kontuzjowana ręka. Tasso wykonała unik, lekko odsuwając się na bok. Potem wyprowadziła cios. Hendricks zobaczył tylko zbliżającą się kolbę broni. Próbował odeprzeć cios, ale była dla niego zbyt szybka. Metalowa kolba uderzyła go w skroń, tuż ponad uchem. Całe ciało przeszył tępy ból. Ból i wszechogarniająca ciemność. Poczul, jak bezwładnie wiotczeją mu mięśnie, ciężko osunął się na ziemię.

Jak przez mgłę usłyszał kroki Tasso, wyczuł, że stanęła nad nim. Kopnęła go buciorem.

— Majorze! Obudź się. Otworzył oczy, jęknął.

— Posłuchaj mnie. — Pochyliła się nad nim, lufę karabinu wycelowała w jego twarz. — Muszę się śpieszyć. Nie zostało już dużo czasu. Statek jest gotów do lotu, ale musisz mi dać informacje, których potrzebuję, by polecieć.

Hendricks potrząsnął głową, próbując zebrać myśli.

— Pośpiesz się! Gdzie jest Baza Księżycowa? Jak mam ją znaleźć? Czego mam szukać?

Hendricks nie odezwał się ani słowem.

— Odpowiedz!

— Przykro mi.

— Majorze, statek jest wyładowany zapasami. Może szybować całe tygodnie w próżni. W końcu wreszcie znajdę Bazę. A ty w ciągu pół godziny nie będziesz już żył. Masz tylko jedną szansę na to, by przetrwać... — urwała.

Na stoku, przy rozsypujących się ruinach, coś się poruszyło. Coś pełzło przez warstwę popiołów. Tasso odwróciła się błyskawicznie. Wystrzeliła. Z lufy jej broni wyskoczyło tchnienie płomienia. Tamto coś umknęło, tocząc się wśród popiołów Wystrzeliła ponownie. Szpon eksplodował, w powietrze poleciały kółka.

— Widzisz? — zapytała Tasso. — Zwiadowca. To już nie potrwa długo.

— Sprowadzisz ich tutaj, żeby mnie zabrali?

— Tak. Najszybciej, jak to tylko możliwe.

Hendricks uniósł wzrok i spojrzał na nią. Przez chwilę wpatrywał się w nią z najwyższą uwagą.

— Mówisz prawdę? — Po jego twarzy przemknął dziwny grymas, jakby ostatecznego głodu. — Wrócisz po mnie? Zabierzesz mnie do Bazy Księżycowej?

— Zabiorę cię do Bazy Księżycowej. Ale powiedz mi, gdzie ona jest! Zostało już mało czasu.

— W porządku. — Hendricks wziął z ziemi kawałek cegły, z trudem usiadł. — Patrz.

Hendricks zaczął rysować w popiele. Tasso stała obok niego, obserwując ruchy ręki. Hendricks szkicował niezgrabną mapę Księżyca.

— To jest pasmo Apeninów. Oto krater Archimedes. Baza Księżycowa znajduje się za krańcem Apeninów, jakieś dwieście mil. Nie wiem dokładnie, w którym miejscu. Nikt na Ziemi tego nie wie. Ale kiedy znajdziesz się nad Apeninami, daj sygnał czerwoną flarą, a potem zieloną, po niej jeszcze dwie czerwone, wystrzelone w krótkich odstępach czasu. Oficer dyżurny Bazy zauważy twoje sygnały. Baza oczywiście jest pod powierzchnią. Sprowadzą cię na dół za Pomocą cum magnetycznych.

A urządzenia sterujące? Czy będę umiała nimi operować?

— Urządzenia sterujące są właściwie automatyczne. Ty musisz tylko wysłać właściwy sygnał w odpowiednim czasie.

— Tak zrobię.

— Fotel pochłonie większość przeciążenia wywołanego startem. Powietrze i temperatura są kontrolowane automatycznie. Statek wystartuje z Ziemi i znajdzie się w przestrzeni kosmicznej. Potem sam weźmie kurs na Księżyc i wejdzie na jego orbitę, jakieś sto mil ponad powierzchnią. Po tej orbicie dotrzesz nad Bazę. Kiedy znajdziesz się w rejonie Apeninów, wystrzel rakiety sygnałowe.

Tasso wskoczyła do rakiety i ułożyła się na fotelu amortyzacyjnym. Poręcze automatycznie objęły ją. Palcami dotknęła tablicy rozdzielczej.

— Naprawdę szkoda, że pan nie leci, majorze. Wszystko tutaj przygotowano dla pana, a pan nie może polecieć.

— Zostaw mi pistolet.

Tasso wyciągnęła pistolet zza pasa. Przez chwilę trzymała go, z namysłem ważąc w dłoni.

— Niech pan nie odchodzi stąd zbyt daleko. Już teraz niełatwo będzie pana znaleźć.

— Nie. Zostanę przy studni.

Tasso chwyciła przełącznik startowy, przesunęła palcami po gładkim metalu.

— Piękny statek majorze. Dobrze zbudowany. Podziwiam waszą fachowość. Wy, ludzie, zawsze robiliście dobrą robotę. Budowaliście piękne rzeczy. Wasza praca, wasza twórczość, to wszystko osiągnięcia najwyższej miary.

— Daj mi pistolet — niecierpliwie powtórzył Hendricks, wyciągając dłoń. Z wysiłkiem spróbował wstać.

— Do widzenia, majorze. — Tasso rzuciła pistolet za niego. Pistolet zazgrzytał na ziemi, podskoczył parę razy i potoczył się na bok. Hendricks pogonił za nim. Pochylił się i schwytał rękojeść.

Właz statku zamknął się. Rygle wskoczyły na miejsce. Hendricks wrócił do wyrzutni. Wewnętrzne drzwi zamknęły się także. Niepewnie uniósł broń.

Usłyszał ogłuszające wycie. Statek wyskoczył ze swej metalowej kratownicy, płomień jego odrzutu topił metal wyrzutni. Hendricks przypadł do ziemi, odczołgał się. Statek wystrzelił w kierunku skłębionych chmur popiołu i zniknął na niebie.

Przez dłuższy czas Hendricks stał, patrząc w ślad za nim, póki nawet smuga odrzutu nie rozplynęła się w powietrzu. Nic się nie poruszało. Poranne powietrze było chłodne i ciche. Ruszył, idąc bez celu w kierunku, z którego przyszli. Lepiej nie zostawać długo w jednym miejscu. Dużo czasu minie, zanim nadejdzie pomoc — jeśli w ogóle nadejdzie. Przeszukiwał swe kieszenie, póki nie znalazł paczki patosów. Ponuro się uśmiechając, zapalił jednego. Oni wszyscy chcieli od niego papierosów, ale papierosy stanowiły towar deficytowy.

Przez popioły prześliznęła się obok niego jaszczurka. Zatrzymał się, nagle zeszywniały. Jaszczurka zniknęła. Ponad jego głową słońce wypełzło już wysoko na niebo. Z boku, na płaskim kamieniu wylądowało parę much. Hendricks kopnął, próbując je dosięgnąć stopą.

Powoli robiło się gorąco. Pot spływał mu po twarzy i za kołnierz. W ustach zaschło.

Po krótkim czasie przerwał marsz i usiadł na jakiejś stercie gruzów. Rozpieczętował swój zestaw pierwszej pomocy i połknął kilka kapsułek uśmierzających ból. Rozejrzał się dookoła. Nie wiedział, gdzie jest.

Coś leżało przed nim. Rozciągnięte na ziemi. Całkiem ciche i nieruchome.

Hendricks błyskawicznie wyciągnął broń. Wyglądało to jak sylwetka człowieka. Potem sobie przypomniał. To były szczątki Klausa. Odmiany Drugiej. Tam, gdzie Tasso zniszczyła go ciosem energii. Z miejsca, w którym siedział, mógł dostrzec kółka, przekaźniki i metalowe części rozrzucone dookoła w popiele. Lśniły, mieniając się w promieniach słońca.

Hendricks wstał i podszedł bliżej. Trącił nogą bezwładny korpus i przewrócił na plecy. Zobaczył wnętrze metalowego kadłuba, aluminiowe żebra i szkielet. Wysypały się kolejne druty. Niczym flaki. Stosy drutów, przełączników i obwodów. Nie kończące się silniczki i dźwignie.

Schylił się. Czaszka została zmiażdżona przy upadku. Widać było sztuczny mózg. Zapatrzył się w niego. Labirynt przewodów. Miniaturowe lampy. Przewody cienkie jak włosy. Dotknął czaszki. Odpadła na bok, odsłaniając tabliczkę z oznaczeniem typu. Hendricks zapatrzył się na tabliczkę.

I zbladł.

O-IV.

Przez dłuższy czas nie mógł oderwać od niej oczu. Odmiana Czwarta. Nie Druga. Pomylili się.

Było więcej typów. Nie tylko trzy. Być może znacznie więcej. Co najmniej cztery. A Klaus nie był Odmianą Drugą.

Jeśli jednak Klaus nie był Odmianą Drugą...

Nagle poczuł, jak sztywnieją mu wszystkie mięśnie. Coś zbliżało się w jego kierunku, rozgarniając popioły po drugiej stronie wzgórza. Co to było? Z najwyższym trudem próbował rozróżnić kształty. Postacie. Zbliżające się powoli postaci brnące w popiołach.

Szły w jego stronę.

Hendricks przycupnął błyskawicznie, podniósł broń. Pot zalewał mu oczy. Próbował stłumić przerażenie, które podchodziło mu do gardła, w miarę jak ich sylwetki były coraz bliżej.

Pierwszy szedł David. David zobaczył go i przyspieszył kroku. Pozostali ruszyli za nim. Drugi David. Trzeci. Trzy Davidy, wszystkie identyczne, szły ku niemu w całkowitej ciszy, ich twarze nie zdradzały śladu uczuć, cienkie nogi miarowo podnosiły się i opadały. Davidy ścisnęły pluszowe misie.

Wycelował i strzelił. Pierwsze dwa Davidy rozpadły się na kawałki. Trzeci szedł dalej. Za nim pojawiła się kolejna postać. Wspiwała się cicho poprzez szare popioły. Ranny Żołnierz, górujący wzrostem nad Davidem. A...

A za Rannym Żołnierzem szły dwie Tasso, ramię w ramię. Szeroki pas, spodnie Armii Radzieckiej, koszule, długie włosy. Ich sylwetki wydały mu się znajome, przecież widział ją tak niedawno. Siedziała w fotelu na statku. Dwie szczupłe, milczące postacie, identyczne.

Byli już bardzo blisko. David pochylił się trochę i nagle upuścił misia. Miś pomknął po ziemi. Palec Hendricksa zupełnie automatycznie zacisnął się na spuście. Miś zniknął rozpylony ciosem energii na mgłę. Dwie Tasso szły dalej, nie okazując śladu emocji, jedna obok drugiej, przez, szare popioły.

Kiedy znajdowały się tuż przy nim, Hendricks podniósł pistolet do biodra i strzelił.

Dwie Tasso rozpadły się. Ale ze wzgórza już schodziła kolejna grupa, pięć czy sześć Tasso, wszystkie identyczne, ich szereg posuwał się szybko w jego stronę.

A on dał jej statek i kod sygnałowy. To przez niego była teraz w drodze na Księżyc, do Bazy Księżycowej. On jej to umożliwił.

Mimo wszystko miał rację w sprawie granatu. Został opracowany na podstawie wiedzy o pozostałych typach: David i Ranny Żołnierz. Oraz Klaus. Nie wymyśliły go istoty ludzkie. Skonstruowano go w jednej z podziemnych fabryk, bez udziału człowieka.

Szereg Tasso zbliżał się ku niemu. Hendricks zebrał się w sobie, obserwował je spokojnie. Znajoma twarz, pas, gruba koszula, granat na swoim miejscu.

Granat...

Kiedy Tasso sięgnęły ku niemu rękoma, przez głowę przemknęła mu ostatnia ironiczna myśl. Kiedy zrozumiał jej znaczenie, poczuł się trochę lepiej. Granat. Wykonany przez Odmianę Drugą w celu niszczenia pozostałych Odmian. Wykonany tylko i wyłącznie dla tego celu.

Już zaczynały projektować broń, którą mogły wykorzystywać przeciwko sobie nawzajem.

Przełożył Jan Karłowski

WYPLATA

Nagle wszystko ruszyło z miejsca. Wokół niego mruzczały cicho silniki odrzutowe. Znajdował się w małym, prywatnym jachcie raketowym, pełznącym leniwie przez popołudniowe niebo, przemierzającym odległość między miastami.

— Uch! — jęknął, prostując się w fotelu i pocierając czoło. Siedzący obok Earl Rethrick wpatrywał się weń przenikliwie, błyszczącymi oczyma.

— Dochodzisz do siebie?

— Gdzie jesteśmy? — Jennings potrząsnął głową, próbując przegnać z niej tępy ból. — A może powinienem inaczej sformułować pytanie. — Z miejsca był w stanie się zorientować, że wcale nie jest późna jesień. Była wiosna. Pod jachtem zieleńły się pola. Ostatnie, co zapamiętał, to jak w towarzystwie Rethricka wsiadał do windy. I była późna jesień. Na dodatek znajdował się w Nowym Jorku.

— Tak — powiedział Rethrick. — Minęły prawie dwa lata. Przekonasz się, że wiele rzeczy się zmieniło. Kilka miesięcy temu upadł rząd. Nowy rząd jest jeszcze silniejszy. Policja Polityczna posiada niemal nieograniczoną władzę. Uczą już dzieci w szkołach, jak należy donosić. Ale wszyscy wiedzieliśmy, co nadchodzi. Pożyjemy, zobaczymy, cóż jeszcze można zrobić? Nowy Jork jest większy. Z tego, co wiem, skończyli już zabudowę Zatoki San Francisco.

— Ja zaś chcę wiedzieć, co, u diabła, robiłem przez ostatnie dwa lata! — Jennings nerwowo zapalił papierosa, ściskając jego koniec. — Powiesz mi?

— Nie. Oczywiście, że ci nie powiem.

— Dokąd lecimy?

Udajemy się z powrotem do biura w Nowym Jorku. Tam po raz pierwszy się spotkaliśmy. Pamiętasz? Zapewne pamiętasz lepiej niż ja. Mimo wszystko dla ciebie to było nie dawniej niż dzień, dwa temu.

Jennings skinął głową. Dwa lata! Dwa lata z jego życia zniknęły na zawsze. To się wydawało niemożliwe. Przecież jak wchodził do windy, wciąż jeszcze się zastanawiał, wciąż nie podjął ostatecznej decyzji. A więc jednak zmienił zdanie? Nawet jeśli otrzyma tę masę pieniędzy — a było to naprawdę o nawet jak na niego — to w tej chwili rzecz cała nie dawała się tego warta. Zawsze przecież będzie się zastanawiał, jaką pracę wykonywał. Czy była legalna? Czy... Ale teraz były to już próżne spekulacje. Kurtyna opadła nawet na te chwile, gdy musiał podjąć pozytywną decyzję. Ponuro popatrzył przez okno na popołudniowe niebo. Poniżej ziemia była wilgotna i tętniła życiem. Wiosna, wiosna dwa lata później. Ale co on musiał robić przez te dwa lata?

— Odebrałem wypłatę? — zapytał. Wyciągnął portfel i zajrzał do środka. — Najwyraźniej nie.

— Nie. Zapłacimy ci w biurze. Kelly ci zapłaci.

— Od razu za całą robotę?

— Pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

Jennings uśmiechnął się. Poczuł się trochę lepiej, gdy wysokość sumy została wymieniona głośno. Być może, mimo wszystko, nie będzie aż tak źle. To przecież prawie tak, jakby ci zapłacili za sen. Był jednak o dwa lata starszy; tyle też mniej mu pozostało do przeżycia. To tak, jakby sprzedał część samego siebie, część swego życia. A życie w obecnych czasach warte było dużo. Wzruszył ramionami. W każdym razie to już się stało.

— Jesteśmy prawie na miejscu — przemówił starszy z dwu mężczyzn. Robot pilotujący jacht sprowadzał go właśnie w dół, zmierzając w stronę ziemi. Pod nimi widać już było granice Nowego

Jorku. — Cóż, Jennings, być może już się nigdy więcej nie zobaczymy. — Wyciągnął rękę na pożegnanie. To była prawdziwa przyjemność, móc z tobą pracować. Bo powinieneś wiedzieć, że pracowaliśmy razem. Ramię w ramię. Jesteś jednym z najlepszych mechaników, Jakich w życiu widziałem. Mieliśmy całkowitą rację, zatrudniając cię, nawet za takie pobory. Zresztą zawiązką się nam wypłaciłeś... choćbyś nawet teraz nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Cieszę się, że nie wyrzuciliście w błoto tych pieniędzy.

— To brzmi tak, jakbyś był zły.

— Nie. Po prostu próbuję przywyknąć jakoś do myśli, że jestem o dwa lata starszy.

Rethrick zaśmiał się.

— Wciąż jesteś bardzo młody. I na pewno poczujesz się lepiej, gdy ona wręczy ci wypłatę.

Wyszli na niewielkie lądowisko położone na dachu biurowca w Nowym Jorku. Rethrick poprowadził go do windy. Kiedy drzwi zasunęły się za nim, Jennings przeżył prawdziwy szok. Tak wyglądała ostatnia sytuacja, jaką pamiętał: ta winda. Po tym była już tylko czarna wyrwa w świadomości.

— Kelly ucieszy się, jak cię zobaczy — oznajmił Rethrick, kiedy wyszli na oświetlony korytarz.

— Od czasu do czasu pytała o ciebie.

— Dlaczego?

— Twierdzi, że jesteś przystojny.

Rethrick wcisnął w zamku drzwi kod cyfrowy. Drzwi zareagowały właściwie, rozsuwając się na całą szerokość. Weszli do luksusowego biura Rethrick Construction. Za długim mahoniowym biurkiem siedziała młoda kobieta, czytając jakiś raport.

— Kelly — powiedział Rethrick — zobacz, czyj to czas wreszcie upłynął.

Dziewczyna spojrzała na nich, uśmiechnęła się.

— Witam, panie Jennings. Jakie to uczucie z powrotem wrócić do świata?

— Przyjemne. — Jennings podszedł do niej. — Rethrick powiedział, że to pani zajmuje się finansami.

Rethrick poklepał Jenningsa po plecach.

— To do zobaczenia, mój przyjacielu. Muszę wracać do fabryki. Gdybyś kiedyś jeszcze chciał zarobić szybko dużo pieniędzy, przyjdź do nas, a my już znajdziemy ci jakiś kontrakt.

Jennings skinął głową. Kiedy Rethrick wyszedł, usiadł na krześle i założył nogę na nogę. Kelly odsunęła swoje krzesło od biurka, wyciągnęła szufladę.

— W porządku, pański czas upłynął, a więc Rethrick Construction gotowa jest wypłacić panu pieniądze. Czy ma pan przy sobie swoją kopię umowy?

Jennings wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił ją na biurko.

— Oto ona.

Z szuflady w biurku Kelly wyciągnęła mały płócienny czek i kilka kartek zapisanego ręcznie papieru. Przez chwilę czytała jedną z nich. Na jej drobnej twarzy pojawił się wyraz napięcia.

— O co chodzi?

— Przypuszczam, że będzie pan zaskoczony. — Kelly podała mu z powrotem jego umowę. — Proszę, niech pan to przeczyta.

— Po co? — Jennings rozdarł kopertę.

— Jest tu pewna klauzula: „Jeżeli zażyczy sobie tego strona wymieniona w drugiej części umowy, w każdej chwili, podczas realizacji kontraktu z wyżej wymienioną spółką Rethrick Construction... A więc jeśli takie będzie życzenie drugiej strony, zamiast sumy pieniężnej wyszczególnionej powyżej może ona wybrać, wedle własnego życzenia, artykuły bądź produkty, których wartość, wedle jej

opinii, jest równoznaczna z ową sumą”.

Jennings schwycił płócienny woreczek, otworzył go. Wysypał zawartość na dłoń. Kelly przyglądała się temu w milczeniu.

— Gdzie jest Rethrick? — Jennings wstał. — Być może on wie, co to wszystko...

— Rethrick nie ma z tym nic wspólnego. To było pańskie własne żądanie. Tutaj, niech pan na to spojrzysz. — Kelly podała mu kartki. — Napisane pańską ręką. Niech pan je przeczyta. To był pański pomysł, a nie nasz. Szczerze. — Uśmiechnęła się do niego. — To się od czasu do czasu zdarza z ludźmi, którzy zawierają z nami kontrakt. W tym czasie postanawiają wziąć coś innego zamiast pieniędzy. Cóż, nie mam pojęcia. Ale kiedy pojawiają się tutaj z wyczyszczonymi umysłami, a wcześniej zgodzili się...

Jennings przejrzał zapisane kartki. To był jego charakter pisma. W tej kwestii nie mogło być żadnych wątpliwości. Zdał sobie sprawę, że trzęsą mu się ręce.

— Nie potrafię w to uwierzyć. Nawet jeśli jest to mój własny charakter pisma. — Złożył kartki, zacisnął szczęki. — Coś z pewnością mi zrobiono, kiedy tam byłem. Sam nigdy bym się na coś takiego nie zgodził.

— Musiał pan mieć jakiś powód. Przyznaję, że dla mnie to również jest pozbawione sensu. Ale nie wie pan, jakimi racjami się kierował, zanim wyczyszczono mu umysł. Nie jest pan pierwszy. Przed panem kilku innych postąpiło tak samo.

Jennings wpatrywał się w to, co leżało na jego dłoni. Z płóciennego woreczka wysypał się niewielki zestaw przedmiotów. Klucz kodowy. Odcinek biletu. Kwit depozytowy. Zwój cienkiego drutu. Żeton do pokera, przełamany na pół. Zielony pasek materiału. Żeton na autobus.

— To, zamiast pięćdziesięciu tysięcy kredytów — wymamrotał. — Dwa lata...

Wyszedł z budynku na zatłoczoną popołudniową porą ulicę. Wciąż był oszołomiony, oszołomiony i całkowicie wyprowadzony z równowagi. Czy został oszukany? Sięgnął do kieszeni, wymacał w niej te nic niewarte śmieci, drut, kwit z banku, całą resztę. To, za dwa lata pracy! Ale widział przecież własnoręcznie napisane dokumenty: akt zrzeczenia się, prośba o wynagrodzenie zastępcze. Mały Jaś i łodyga fasoli. Dlaczego? Po co? Co go skłoniło do takiego kroku?

Zawrócił i ruszył chodnikiem. Na rogu przystanął, by przepuścić skręcającą właśnie naziemną rakietę.

— W porządku, Jennings. Wsiadaj.

Uniósł raptownie głowę. Drzwi maszyny były otwarte. Klęczał w nich mężczyzna i mierzył z pistoletu promiennikowego w jego twarz. Mężczyzna w niebiesko-zielonym mundurze. Policja Polityczna.

Jennings wsiadł do środka. Drzwi zamknęły się, rygle magnetycznego zamka wśliznęły na swoje miejsce. Jak w grobowcu. Maszyna ruszyła i Jennings zapadł się w fotel. Siedzący obok niego człowiek z PP opuścił lufę broni. Znajdujący się po drugiej stronie funkcjonariusz wprawnie przebiegł rękoma po jego ciele, szukając broni. Znalazł tylko portfel i garść drobiazgów. Kopertę i kontrakt.

— Cotam mamy? — zapytał kierowca.

— Portfel, pieniądze. Kontrakt z Rethrick Construction. Żadnej broni.’ — Oddał Jenningsowi jego rzeczy.

— O co chodzi? — zapytał Jennings.

— Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań. To wszystko. Pracowałeś dla Rethricka?

— Tak.

— Dwa lata?

— Prawie dwa lata.

— W fabryce?

Jennings skinął głową.

— Tak przypuszczam.

Funkcjonariusz pochylił się w jego stronę.

— Gdzie się znajduje ta fabryka, panie Jennings? Gdzie jest położona?

— Nie wiem.

Dwaj funkcjonariusze spojrzeli po sobie. Pierwszy oblizął wargi, rysy jego twarzy wyostrzyły się nagle, nabrały czujności.

— Nie wiesz? Następne pytanie. Ostatnie. Czym zajmowałeś się przez te dwa lata? Na czym polegała twoja praca?

— To była praca mechanika. Zajmowałem się naprawianiem maszyn elektronicznych.

— Jakiego rodzaju maszyn elektronicznych?

— Nie mam pojęcia. — Jennings podniósł na niego wzrok. Nie potrafił opanować uśmiechu, jego usta wygięły się w ironicznym grymasie. — Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Taka jest prawda.

Zapadło milczenie.

— Co masz na myśli, mówiąc, że nie wiesz? Chcesz powiedzieć, że przez dwa lata pracowałeś z jakimiś maszynami, nie wiedząc, czym one są? Nie wiedząc nawet, gdzie się to wszystko dzieje?

Jennings się zdenerwował.

— O co w tym wszystkim chodzi? Po co mnie porwaliście z ulicy? Nic nie zrobiłem. Byłem...

— Wiemy. Nie aresztowaliśmy cię. Chcemy tylko zdobyć informacje uzupełniające do naszych akt. Dotyczące Rethrick Construction. Pracowałeś dla nich, w ich fabryce. Na ważnym stanowisku. Jesteś mechanikiem elektronicznym?

— Tak.

— Naprawiasz komputery wysokiej jakości i podobny sprzęt? — Funkcjonariusz zajrzał do swego notatnika. — Wedle moich informacji, uważany jesteś za jednego z najlepszych w tym kraju.

Jennings pominął wszystko milczeniem.

— Powiedz nam więc te dwie rzeczy i natychmiast cię wypuścimy. Gdzie znajduje się fabryka Rethricka? I co produkuje? Pracowałeś z ich maszynami, nieprawdaż? To prawda, tak? Przez dwa lata.

— Nie wiem. Tylko tak przypuszczam. Nie mam pojęcia co robiłem przez te dwa lata. Możecie mi wierzyć lub nie. — Jennings znużonym wzrokiem wpatrywał się w podłogę.

— Co zrobimy? — zapytał na koniec kierowca. — Nie mamy żadnych instrukcji odnośnie do sytuacji takiej jak ta.

— Zabierzemy go na komendę. Tu nie możemy go dłużej przesłuchiwać.

Obok radiowozu chodnikiem spieszyli mężczyźni i kobiety. Ulice zapchane były pojazdami, ludzie wracali z pracy do swych domów pod miastem.

— Jennings, dlaczego nie chcesz nam odpowiedzieć? O co ci chodzi? Nie ma powodów, dla których nie mógłbyś nam udzielić kilku prostych informacji, takich jak te, o jakie pytamy. Nie chcesz współpracować ze swoim rządem? Dlaczego ukrywasz przed nami informacje?

— Gdybym wiedział, powiedziałbym wam.

Oficer mruknął coś niewyraźnie. Nikt nie palił. Wkrótce radiowóz zatrzymał się przed wielkim kamiennym budynkiem. Kierowca wyłączył silnik, wyjął z tablicy rozdzielczej głowicę kontrolną i schował do kieszeni. Dotknął drzwi kluczem kodowym, zwalniając zamek magnetyczny.

— Co mamy zrobić, wzięć go do środka? Tak naprawdę to nie...

— Czekał. — Kierowca wysiadł. Pozostali dwaj wyszli za nim, zamykając i ryglując drzwi za sobą. Stali na chodniku przed komendą Policji Politycznej i rozmawiali.

Jennings siedział w milczeniu, wpatrując się w podłogę. PP chciała się dowiedzieć czegoś na temat Rethrick Construction. Cóż, nie był w stanie niczego im powiedzieć. Wybrali niewłaściwą osobę, ale jak mógł tego dowieść? Cała sytuacja wydawała się zupełnie nieprawdopodobna. Dwa lata zostały do czysta wytarte z jego pamięci. Kto mu uwierzy, skoro w jego własnych oczach wszystko wyglądało zupełnie niewiarygodnie. Jego myśli powędrowały w przeszłość, do chwili, gdy po pierwszy przeczytał ogłoszenie. Od razu wpadło mu w oczy, poruszyło jakąś strunę w jego duszy. „Potrzebny mechanik...”, a potem ogólny opis wykonywanej pracy, niejasny, pośredni, ale w jego oczach na tyle precyzyjny, że natychmiast stwierdził, iż to coś dla niego. No i gaża! Wywiady w biurze. Testy, formularze. A potem powoli, krok za krokiem następujące zrozumienie, że Rethrick Construction wie o nim wszystko, podczas gdy on nie wie niczego o nich. Jaką produkcją się zajmują? Konstrukcje, ale jakiego rodzaju? Jakimi maszynami dysponują? Pięćdziesiąt tysięcy kredytów za dwa lata pracy...

I skończyło się na tym, że wyprano mu mózg do czysta. Dwa lata i nie pamiętał z nich niczego. Niełatwo przyszło mu się zdecydować na tę klauzulę kontraktu. Ale wychodziło na to, że jednak w końcu musiał się zgodzić.

Jennings wyrzwał przez okno. Trzej funkcjonariusze wciąż stali na chodniku i rozmawiając, dalej nie mogli się zdecydować, co z nim zrobić. Zrozumiał, że sprawy przybierają kiepski obrót. Chcieli informacji, których nie mógł im udzielić, informacji, których nie miał. Ale jak mógłby tego dowieść? Ze pracował przez dwa lata w tamtym miejscu, a teraz nie wie nic więcej niż wówczas, gdy jeszcze nawet nie podjął pracy! PP z pewnością podda go bardzo dokładnemu przesłuchaniu. Minie dużo czasu, zanim mu uwierzą, a w tym czasie...

Szybko rozejrzał się dookoła. Może istnieje jakaś droga ucieczki? Za kilka sekund oni wrócą. Dotknął drzwi. Zamknięte na zamek, na magnetyczny zamek o potrójnym pierścieniu. Wiele razy pracował z zamkami magnetycznymi. Zaprojektował nawet część mechanizmu zapadki. Nie było sposobu, by otworzyć drzwi bez właściwego klucza kodowego. Żadnego sposobu, chyba że przypadkiem udałoby mu się spiąć na krótko obwody zamku. Ale czym?

Sięgnął do kieszeni. Co można by wykorzystać? Gdyby potrafił zrobić zwarcie w zamku, przepalić go, miałby jakąś szansę. Na ulicy mrowili się mężczyźni i kobiety, wracający z pracy do domu. Było już po piątej; wielkie biurowce zamykały podwoje, ulice ożywiały ruch samochodowy. Jeżeli uda mu się wydostać, nie ośmielą się otworzyć ognia... Jeśli mu się uda.

Trzej funkcjonariusze rozdzielili się. Jeden wszedł po schodach do budynku komendy. Za kilka sekund pozostali zapewne wsiądą do radiowozu. Jennings zaczął rozpaczliwie grzebać po kieszeniach, wyciągnął klucz kodowy, odcinek biletu, drut. Drut! Cienki drut, cienki niczym ludzki włos. Izolowany? Szybko rozwinął szpulę. Nie.

Ukląkł na podłodze, z wprawą przebiegł palcami po powierzchni drzwi. Przy krawędzi zamka wyczuł nieznaczne wgłębienie, szczelinę między zamkiem a drzwiami. Wprowadził do niej koniec drutu, delikatnie manewrował nim w niemalże niewidzialnej przestrzeni. Drut wszedł na jakiś cal. Pot kroplami spływał Jenningsowi z czoła. Manipulował drutem, co ułamek cala skręcając go. Wstrzymał oddech. Obwód powinien być...

Błysk.

Na pół oślepiony, całym ciałem rzucił się na drzwi. Otworzyły się; zamek był stopiony, jeszcze dymił. Jennings wytoczył się na ulicę, a potem błyskawicznie poderwał na nogi. Wszędzie wokół widział rakiety, trąbiące i przejeżdżające obok. Przykucnął za zwalniającą ciężarówką, która właśnie

wjeżdżała na środkowe pasmo ruchu. Kątem oka zobaczy!, jak stojący na chodniku funkcjonariusze PP ruszają w jego stronę.

Kołysząc się z boku na bok, nadjechał autobus, pełen wracających z pracy sprzedawców i robotników. Jennings chwycił za tylną poręcz, wciągnął się na platformę. Spojrzały na niego pełne zdziwienia twarze, jakby blade księżycy nagle rzucone w jego stronę. Furcząc wściekle, zmierzał już ku niemu roboci konduktor.

— Proszę pana... — zaczął. Autobus powoli zwalniał. — Proszę pana, nie wolno...

— Wszystko w porządku — powiedział Jennings. Przepęłniło go, zupełnie znieca, dziwne podniecenie. Jeszcze chwilę wcześniej znajdował się w pułapce, bez żadnej możliwości ucieczki. Dwa lata życia stracił na darmo. Został aresztowany przez Policję Polityczną, domagającą się od niego informacji, których nie potrafił im dostarczyć. Sytuacja całkowicie beznadziejna! Ale teraz wszystko zaczynało się powoli układać w jego głowie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął żeton autobusowy. Spokojnie włożył go w otwór na monety w korpusie konduktora. — W porządku? — zapytał.

Pod jego stopami podłoga wozu zadrżała, kierowca zawahał się, po czym autobus ruszył z poprzednią prędkością. Konduktor odwrócił się, jego rozdrażnione furkotanie powoli zamierało. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Jennings uśmiechnął się. Przepchnął się koło stojących ludzi w poszukiwaniu wolnego miejsca, gdzie mógłby spokojnie usiąść. Gdzie mógłby pomyśleć.

Miał dużo spraw do rozważenia. Jego myśli galopowały jak szalone.

Autobus ruszył, włączając się w nieskończony strumień miejskiego ruchu. Jennings na poły jedynie był świadom obecności ludzi siedzących obok. Przynajmniej w jednej kwestii nie było wątpliwości — nie oszukano go. Wszystko odbyło się zupełnie uczciwie. Decyzję naprawdę podjął on sam. Bardzo dziwne było wprawdzie, że jako zapłatę za dwa lata pracy wolał garść absurdalnych drobniaków zamiast pięćdziesięciu tysięcy kredytów. Jeszcze bardziej zadziwiające było jednak, że ta garść śmieci okazywała się więcej warta niż pieniądze.

Za pomocą kawałka drutu i żetonu autobusowego udało mu się uciec z rąk Policji Politycznej. To już samo w sobie było wiele warte. Pieniądze okazałyby się całkowicie bezużyteczne, gdyby trafił do kazamatów wielkiej kamiennej komendy. Nie pomogłoby mu nawet pięćdziesiąt tysięcy kredytów. A zostało mu jeszcze pięć przedmiotów. Pogrzebał w kieszeni. Jeszcze pięć. Dwa już wykorzystał. Pozostałe... Do czego miały mu posłużyć? Do czegoś równie ważnego?

Pozostawała jednak wielka zagadka: w jaki sposób on jego wcześniejsze „ja” — wiedział, że kawałek drutu i żeton autobusowy uratują mu życie? Tamten on wiedział, w porządku. Wiedział z góry. Ale skąd? I ta piątka drobniaków Przypuszczalnie okażą się równie cenne, przynajmniej p0 winny.

Tamten on, żyjący przez te dwa lata, wiedział o rzeczach o których on sam nie miał obecnie zielonego pojęcia, o rzeczach, które zostały wymazane bezpowrotnie, gdy firma wyczyściła mu umysł. Jak w wypadku kalkulatora, któremu skasowano pamięć. Wszystko było czyste jak nie zapisana tabliczka. To, co tamten wiedział, teraz już nie istniało. Przepadło na zawsze, wyjąwszy te siedem przedmiotów z których pięć spoczywało jeszcze w jego kieszeni.

Jednak nie miejsce teraz na spekulacje. Prawdziwym problemem było to, że ściga go Policja Polityczna. Mieli jego nazwisko i rysopis. Nie powinien pod żadnym pozorem wracać do swego mieszkania — jeśli jeszcze w ogóle dysponował mieszkaniem. Ale wobec tego dokąd pójść? Hotele? PP przeczesywała je z pewnością każdego dnia. Przyjaciele? To oznaczało narażenie ich na niebezpieczeństwo, takie samo, jakie groziło jemu. To tylko kwestia czasu: złapią go, kiedy będzie szedł ulicą, jadł w restauracji, przebywał w jakimś miejscu publicznym albo spał w wynajętym

pokoju. PP była wszędzie.

Wszędzie? Nie tak do końca. Chociaż poszczególne jednostki były wobec niej bezbronne, ekonomia jakoś się broniła. Wielkim potęgom ekonomicznym udawało się zachować pewną swobodę, choć niemal wszystko poza nimi zostało wchłonięte przez instytucje rządowe. Prawa, z których wyzuto osoby prywatne, wciąż jeszcze chroniły własność i przemysł. PP mogła porwać z ulicy dowolną osobę, ale nie miała prawa wkroczyć na teren bądź zająć ani spółki, ani przedsiębiorstwa. To zostało raz na zawsze ustalone w połowie dwudziestego wieku.

Przedsiębiorstwa, przemysł, korporacje były bezpieczne od zakusów Policji Politycznej. Bez stosownego przewodu sądowego nic nie można było im zrobić. Rethrick Construction najwyraźniej stała się przedmiotem zainteresowania PP, ale policja nie mogła nic zdziałać, póki nie udowodni im bez pogwałcenia prawa. Gdyby mógł wrócić do budynku spółki, wejść przez drzwi na jej teren, byłby bezpieczny. Jennings uśmiechnął się ponuro. Współczesny kościół, sanktuarium, azyl. Tylko że teraz chodzi raczej o konflikt: rząd przeciwko korporacjom, a nie państwo przeciw Kościołowi. Nowa Notre Dame współczesnego świata. Gdzie prawo nie ma wstępu.

Rethrick przyjąłby go z powrotem? Tak, na dawnych warunkach. Powiedział to już przecież. Kolejne dwa lata wyrwane z pamięci, a potem znowu na ulicę. Czy to by w czymś pomogło? Sięgnął szybko do kieszeni. Wyczuł znajdujące się w niej pięć drobiazgów. Z pewnością zamierzał je do czegoś wykorzystać! Nie, nie może wrócić do Rethricka i zawrzeć kolejnego kontraktu. Ma zrobić coś innego. Coś, co byłoby bardziej brzemienne w skutki. Jennings pograżył się w rozmyślaniach. Rethrick Construction. Co oni budowali? o czym on się dowiedział, co odkrył podczas tych dwu lat? I dlaczego PP była tak tym zainteresowana?

Wyciągnął na wierzch pięć przedmiotów i przyjrzał się im uważnie. Pasek zielonej materii. Klucz kodowy. Odcinek biletu. Kwit z banku. Połówka żetonu do pokera. Dziwne, że tak osobliwy zestaw przedmiotów może okazać się tak ważny.

I w całą sprawę wplątana była Rethrick Construction.

Bez najmniejszych wątpliwości. Odpowiedź, wszystkie odpowiedzi tam się znajdują. Ale gdzie jest sam Rethrick? Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się fabryka, zielonego pojęcia. Wiedział, gdzie jest biuro: wielki, luksusowy pokój, w którym za biurkiem siedziała młoda kobieta. Ale to nie była przecież całość fabryki. Czy w ogóle ktokolwiek wiedział prócz Rethricka? Kelly nie wiedziała. A PP?

Znajdowała się za miastem. To było pewne. Przyleciał przecież tutaj rakieta. Najprawdopodobniej gdzieś w Stanach Zjednoczonych, być może na obszarach rolniczych, na terenach pomiędzy miastami. Co za diabelska sytuacja! W każdej chwili PP mogła go aresztować. Następnym razem może mu się nie udać uciec. Jego jedyną szansą, jedyną prawdziwą szansą zapewnienia sobie jakiegoś bezpieczeństwa było znalezienie Rethricka. Jedyna możliwość zdobycia niezbędnej wiedzy. Fabryka — miejsce, w którym sam przebywał, ale którego nie potrafił sobie przypomnieć. Spojrzał na trzymane w rękę drobiazgi. Czy któryś z nich może się do czegoś przydać?

Poczuł nagły przypływ rozpaczy. Być może to był przypadek, drut i żeton. Może...

Przyjrzał się uważnie kwitowi z banku, odwrócił go i uniół do światła. Nagle poczuł, jak coś ściska go w żołądku. Puls był przyspieszony. Miał rację. Nie, to nie był tylko przypadek, ten drut i żeton autobusowy. Kwit depozytowy datowany był na dwa dni naprzód. Przesyłka, cokolwiek się w niej kryło, nie została jeszcze nadana. Do chwili jej wysłania minie czterdzieści dziewięć godzin.

Przyjrzał się pozostałym przedmiotom. Odcinek biletu Na co mógł się komu przydać odcinek wykorzystanego biletu? Był podniszczony i pogięty, złożony kilkakrotnie. Nigdzie nie mógłby się udać z takim biletem. Odcinek biletu nie pozwoli udać się donikąd. Może cię tylko poinformować,

gdzie byłeś.

Gdzie byłeś!

Pochylił się, przyjrzał uważniej, wygładził zagięcia. Wydruk został rozdarty przez środek. Jedyne części słów można było odczytać.

PORTOLA T
STUARTSVI
IOW

Uśmiechnął się. To jest to. Tam właśnie był. Bez trudu uzupełnił brakujące litery. Tych kilka wystarczy. Żadnych wątpliwości: to również tamten on przewidział. Trzy z siedmiu przedmiotów już zostały wykorzystane. Cztery zostały Stuartsville w stanie Iowa. Czy w ogóle istniało takie miejsce? Spojrzał przez okno autobusu. Dworzec raket międzymiastowych znajdował się dość blisko. W ciągu kilku sekund może być na miejscu. Szybki bieg od autobusu i nadzieja, że nigdzie nie będzie akurat funkcjonariuszy Policji Polityczne), którzy by go zatrzymali...

Ale w jakiś sposób już wiedział, był przekonany, że nikt go nie zatrzyma. Nie, biorąc pod uwagę inne przedmiot w jego kieszeni. A kiedy znajdzie się już w rakiecie, będzie bezpieczny — Komunikacja Międzymiastowa była dużą spółką, wystarczająco dużą, by PP trzymała się od niej z daleka, Jennings wsadził pozostałe drobiazgi do kieszeni, wstał i pociągnął za sznur dzwonka.

Chwilę później ostrożnie wysiadł.

Rakieta wysadziła go na skraju miasta, na małym polu zbrązowiałej ziemi. Kręciło się tam kilku zupełnie niczym nie zainteresowanych bagażowych, układając bagaż na stosy i szukając okazji do wytchnienia w cieniu przed żarem słońca.

Jennings przeszedł przez pole startowe do poczekalni, uważnie przyglądając się otaczającym go ludziom. Zwykli ludzie, robotnicy, biznesmeni, żony. Stuartsville było małym miasteczkiem Środkowego Zachodu. Kierowcy ciężarówek. Dzieciaki z gimnazjum.

Przeszedł przez poczekalnię i wyszedł prosto na ulicę. A więc tutaj mieściła się fabryka Rethricka — być może. Jeżeli dobrze zrozumiał znaczenie tego odcinka biletu. W każdym razie coś tutaj na pewno było, w przeciwnym wypadku nie dołączyłby go do pozostałych drobiazgów.

Stuartsville w stanie Iowa. Gdzieś w głębi jego umysłu powoli zaczynał się formować plan, wciąż jeszcze niejasny i mglisty. Ruszył przed siebie, z rękoma w kieszeniach, rozglądając się na wszystkie strony. Siedziba gazety, bary, hotele, miejsca do gry w bilard, fryzjer, zakład naprawy telewizorów. Salon, w którym sprzedawano rakiety, ze lśniącymi modelami wystawionymi w wielkich witrynach. Rozmiar familijny. A przy końcu ulicy kino Portola.

Powoli miasto wokół niego zamieniało się w wieś. Farmy, pola. Mile pokrytej zielenią okolicy. W górze po niebie pełzło ciężko kilka raket transportowych, przewożących w tę i z powrotem towary oraz sprzęt. Małe, nic nie znaczące miasteczko. Idealnie odpowiednie dla Rethrick Construction. Fabrykę można by tu doskonale ukryć, z dala od miasta, z dala od PP.

Jennings powędrował z powrotem. Wszedł do knajpki pod nazwą U Boba. Kiedy usiadł przy barze, podszedł do niego młody człowiek w okularach, wycierając dłonie w biały fartuch.

— Kawę — poprosił Jennings.

— Kawa. — Mężczyzna przyniósł filiżankę.

W barze znajdowało się kilkoro ludzi. Parę much bzycało, tłukąc się o szyby.

Ulicą przechodzili leniwie sprzedawcy i farmerzy.

— Powiedz mi — zaczął Jennings, popijając kawę — gdzie tu można dostać jakąś pracę? Wiesz może?

— Jaką pracę? — Młodzieniec wrócił i oparł się o ladę.

— Montaż urządzeń elektrycznych. Jestem elektrykiem Telewizja, rakiety, komputery. Ten rodzaj roboty.

— Dlaczego nie spróbujesz gdzieś w rejonach bardziej uprzemysłowionych? Detroit. Chicago. Nowy Jork.

Jennings pokręcił głową.

— Nie mogę wytrzymać w wielkim mieście. Nigdy nie lubiłem miast.

Młodzieniec zaśmiał się.

— Wielu ludzi tutaj byłoby zadowolonych, mogąc pracować w Detroit. Jesteś elektrykiem?

— Czy są tutaj jakieś fabryki? Jakies warsztaty z naprawą sprzętu albo fabryki?

— Nie, przynajmniej o ile wiem.

Młodzieniec odszedł, by obsłużyć innych klientów, którzy przed chwilą weszli do baru. Jennings pociągnął łyk kawy. Czy mógł się pomylić? Być może powinien wrócić i zapomnieć o Stuartsville w stanie Iowa. Może źle pojął znaczenie odcinka biletu. Ale bilet musiał coś oznaczać, w przeciwnym razie wszelkie jego kalkulacje mogły być zupełnie błędne. Z tym że teraz było już chyba trochę za późno na takie rozważania.

Młodzieniec wrócił.

— Czy tutaj w ogóle mogę dostać jakąś pracę? — zapytał Jennings. — Tylko po to, by się odbić od dna.

— Zawsze jest praca na farmie.

— A co z warsztatami naprawczymi? Samochody. Telewizja.

— Jest tu już jeden warsztat naprawy telewizorów, przy tej samej ulicy. Być może tam coś dostaniesz. Możesz spróbować. Za pracę na farmie dobrze się zarabia. Właściciele nie mają już skąd brać ludzi. Większość służy w wojsku. Miałbyś ochotę zbierać siano?

Jennings się roześmiał. Zapłacił za kawę.

— Nie za bardzo. Dziękuję.

— Od czasu do czasu niektórzy chodzą do miejsca położonego dalej przy drodze i tam pracują. Jest tam jakaś baza rządowa.

Jennings kiwnął głową. Otworzył drzwi i wyszedł na zalany słońcem chodnik. Przez jakiś czas szedł bez celu, pogrążony w myślach, na wszystkie strony rozważając swój nie do końca sprecyzowany plan. W końcu doszedł do wniosku że to jest dobry plan — dzięki niemu da się rozwiązać wszystkie problemy naraz. Ale teraz zajmowało go tylko jedno: odnalezienie Rethrick Construction. Miał do dyspozycji tylko jedną wskazówkę, o ile w ogóle była coś warta: odcinek biletu, zwinięty i pogięty, w swej kieszeni. I wiarę, że tamten on wiedział, co robi.

Baza rządowa. Jennings zatrzymał się, rozejrzał dookoła. Po drugiej stronie ulicy był postój taksówek, kilku kierowców czekało, paląc i czytając gazety. Przynajmniej warto spróbować. Niewiele więcej zostało mu do roboty. Na zewnątrz Rethrick może udawać coś zupełnie innego. Jeżeli jego fabryka udawała projekt rządowy, nikt nie będzie zadawał żadnych pytań. Wszyscy nazbyt już przywykli, że projekty rządowe działają bez żadnego wyjaśnienia, w tajemnicy.

Podszedł do pierwszej taksówki.

— Proszę pana — zaczął — czy mógłby mi pan coś powiedzieć?

Taksówkarz spojrział na niego.

— Czego chcesz?

— Powiedziano mi, że można tu znaleźć jakąś pracę za miastem, w bazie rządowej. Czy to prawda?

Taksówkarz wpatrywał się w niego badawczo. Wreszcie skinął głową.

— Co to jest za praca?

— Nie mam pojęcia. Gdzie się można zgłosić?

— Nie wiem. — Taksówkarz z powrotem wbił wzrok w gazetę.

— Dziękuję. — Jennings odwrócił się, zamierzając odejść.

— Oni nikogo nie wynajmują. Może tylko raz na czas. Niewielu im ludzi potrzeba. Jeżeli szukasz pracy, lepiej znajdź sobie jakieś inne miejsce.

— W porządku.

Inny taksówkarz wychylił się ze swego pojazdu.

— Im potrzebni są tylko pracownicy na kilka dni, kolego. To wszystko. I są bardzo wybredni. Praktycznie rzecz biorąc nikogo nie wpuszczają do środka. To na pewno jakieś roboty dla wojska.

Jennings nadstawił uszu.

— Tajne?

— Przyjeżdżają do miasta i ładują robotników na ciężarówkę. Czasami nawet pełną. To wszystko. Bardzo uważają na to, kogo biorą.

Jennings zawrócił i podszedł do taksówkarza.

— To prawda?

— To jest poważna sprawa. Stalowe ściany. Druty pod napięciem. Strażnicy. Praca idzie tam dniem i nocą. Ale nikt nie wchodzi do środka. Na szczycie wzgórza, przy starej drodze Hendersona. Jakies dwie i pół mili stąd. — Taksówkarz szturchnął go w ramię. — Nie możesz dostać się do środka, jeśli nie masz identyfikatora. Po tym, jak wybiorą już sobie ludzi, wszystkim dają identyfikatory. Wiesz, jak to jest.

Jennings patrzył na niego. Palec taksówkarza kreślił jakby linię na jego ramieniu. Nagle Jennings zrozumiał. Ogarnęła go fala ulgi.

— Jasne — powiedział. — Rozumiem, o co ci chodzi. Przynajmniej tak mi się wydaje. — Sięgnął do kieszeni, wyciągnął cztery przedmioty. Ostrożnie rozwinał pasek zielonego płótna, przyłożył do ramienia. — Coś takiego?

Taksówkarze zagapili się na zieloną wstęgę.

— Właśnie — powiedział powoli jeden z nich, nie spuszczając z niej wzroku. — Skąd to masz?

Jennings zaśmiał się.

— Od przyjaciela. — Wsadził materiał z powrotem do kieszeni. — Przyjaciel mi to dał.

Odszedł, kierując się w stronę lotniska Komunikacji Międzymiastowej. Czekąco go mnóstwo roboty, teraz, gdy pierwszy krok został już uczyniony. Tu właśnie mieścił się Rethrick, nie było najmniejszych wątpliwości. A najwyraźniej te drobiazgi miały niezwykłą właściwość — były dokładnie dopasowane do jego losów. Jeden na każdy kryzys. Kieszeń pełna cudów, prezent od kogoś, kto znał przyszłość!

Ale następnego kroku nie był w stanie zrobić w pojedynkę. Potrzebował pomocy. Potrzebował kogoś jeszcze dla relacji tej części planu. Ale któż to mógłby być? Rozmyślając, dotarł do poczekalni Komunikacji Międzymiastowej i wszedł do środka. Była tylko jedna osoba, do której mógł się zwrócić. Szanse nie były wielkie, ale musiał spróbować. Nie był w stanie zrobić tego sam, tutaj, poza

miastem. Jeżeli jednak fabryka Rethricka była tutaj, wówczas Kelly powinna...

Mrok skrywał ulicę. W zaułku latarnia mżyła nierównym światłem. Kilka rakiet przejechało obok.

Z wejścia do budynku mieszkalnego wyłoniła się szczupła postać, młoda kobieta w palcie, z torebką w dłoni. Jennings obserwował ją, kiedy przechodziła pod latarnią. Kelly McVane najwyraźniej dokądś się wybierała, zapewne na przyjęcie. Ubrana elegancko: wysokie obcasy, stukające na trotuarze, krótkie palto i kapelusz.

Ruszył za nią.

— Kelly.

Odwróciła się, otworzyła usta.

— Och!

Jennings wziął ją pod ramię.

— Nie obawiaj się. To tylko ja. Dokąd się wybierasz, tak elegancko ubrana?

— Donikąd. — Zamrugła. — Mój Boże, przestraszyłeś mnie. O co chodzi? Co się dzieje?

— Nic. Czy możesz poświęcić mi kilka minut? Chciałbym z tobą pomówić.

Kelly skinęła głową.

— Mam nadzieję. — Rozejrzała się dookoła. — Dokąd pójdziemy?

— A znasz jakieś miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać? Nie chcę, by ktoś nas podsłuchiwał.

— Nie możemy się po prostu przespacerować?

— Nie. Policja Polityczna.

— Policja?

— Szukają mnie.

— Ciebie? Ale dlaczego?

— Nie stójmy tutaj — ponuro powiedział Jennings. — Dokąd możemy pójść?”

Kelly się zawahała.

— Możemy iść do mojego mieszkania. Nikogo tam ni ma.

Poszli po schodach do windy. Kelly otworzyła drzwi przyciskając do nich klucz kodowy. Drzwi rozsunęły się i weszli do środka. Odgłos jej kroków automatycznie włączył ogrzewanie oraz światło. Zamknęła drzwi i zdjęła płaszcz

— Nie zostanę długo — powiedział Jennings.

— Nie sprawiasz mi kłopotu. Zrobię ci coś do picia. — Poszła do kuchni.

Jennings usiadł na sofie, rozejrzał się po małym, schludnym mieszkaniu. Dziewczyna wkrótce wróciła. Siadła obok niego, a Jennings wziął z jej ręki szklanekę. Szkocka z wodą, zimną.

— Dziękuję.

Kelly uśmiechnęła się.

— Nie ma za co. — Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. — Cóż więc? — powiedziała na koniec. — O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego Policja Polityczna cię szuka?

— Chcą się dowiedzieć czegoś na temat Rethrick Construction. Ja jestem dla nich tylko pionkiem. Zakładają, że muszę coś wiedzieć, ponieważ pracowałem przez dwa lata w fabryce Rethricka.

— Ale ty niczego nie wiesz!

— Nie potrafię tego udowodnić.

Kelly wyciągnęła dłoń, musnęła palcami skroń Jenningsa, tuż nad uchem.

— Dotknij tutaj. To miejsce.

Jennings sięgnął dłonią. Ponad uchem, pod włosami, wyczuł małe twarde zgrubienie.

— Co to jest?

— Tutaj przepalili ci czaszkę. Wycięli z mózgu mały kawałek tkanki. Wszystkie twoje wspomnienia z tych dwu lat. Zlokalizowali je i wypalili. Nawet PP nie jest w stanie lat cię skłonić żebyś sobie przypomniał. Przepadły. Nie masz ich.

— Ale zanim oni by to zrozumieli, dużo by już ze mnie nie zostało.

Kelly nic nie powiedziała.

— Widzisz więc, w jakie bagno wpadłem. Lepiej byłoby dla mnie, gdybym pamiętał. Wtedy mógłbym im powiedzieć, a oni...

— I zniszczyłbyś Rethricka!

Jennings wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Rethrick nic dla mnie nie znaczy. Nie wiem nawet, co oni tu robią. I dlaczego Policja jest tak zainteresowana? Od samego początku, cała ta tajemniczość, wyczyszczenie mego umysłu...

— Istnieje powód. Wystarczająco dobry powód.

— Ty wiesz dlaczego?

— Nie. — Kelly pokręciła głową. — Ale jestem pewna, że istnieje powód. Jeżeli PP jest zainteresowana, powód musi istnieć. — Odstawiła na bok swoją szklanę, odwróciła się w jego stronę. — Nienawidzę Policji Politycznej. Wszyscy jej nienawidzimy, każde z nas. Ścigają nas przez cały czas. Nie wiem nic o Rethricku. Gdybym wiedziała, moje życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Niewiele już stoi między Rethrickiem a nimi. Kilka praw, garstka praw. Nic więcej.

— Mam wrażenie, że Rethrick jest czymś znacznie więcej niż tylko kolejną spółką budującą maszyny, którą PP chce kontrolować.

— Przypuszczam, że masz rację. Tak naprawdę nie mam pojęcia. Jestem tylko sekretarką. Nigdy nie byłam w fabryce. Nawet nie wiem, gdzie się znajduje.

— Ale nie chcesz, żeby coś jej się stało.

— Oczywiście, że nie! Oni walczą z Policją. Każdy, kto walczy z Policją, jest po naszej stronie.

— Naprawdę? Słyszałem już wcześniej tego rodzaju logikę. Kilka dziesięcioleci temu każdy, kto walczył z komunizmem, był automatycznie dobry. Cóż, czas pokaże. Jeśli zaś mnie chodzi, jestem jednostką pochwyconą między dwie bezwzględne siły. Rząd i biznes. Rząd ma ludzi i bogactwa. Rethrick Construction ma swoją technokrację. Co oni z nią robią, nie wiem. Wiedziałem jeszcze kilka tygodni temu. Wszystko, co wiem teraz, to tylko niejasne domysły, niepewne wskazówki. Mam teorię.

Kelly spojrzała na niego.

— Teorię?

— I kieszeń pełną drobiazgów. Siedem ich było. Zostały już tylko trzy czy cztery. Kilka wykorzystałem. Stanowią podstawę mojej teorii. Jeżeli Rethrick rzeczywiście robi to o co go podejrzewam, potrafię zrozumieć, dlaczego Policja Polityczna miałaby się nim interesować. Jeśli już o tym mowa, zacznę również podzielać ich zainteresowanie.

— Co Rethrick robi?

— Zbudował czerpak czasowy.

— Co?

— Czerpak czasowy. Od kilkunastu lat jest to już teoretycznie możliwe. Ale wszelkie eksperymenty nad czerpakami czasowymi i zwierciadłami zostały zakazane. Stanowią zbrodnię, a

jeśli cię przyłapią na takich doświadczeniach, cały twój sprzęt i dane przechodzą na własność rządu. — Jennings uśmiechnął się krzywo. — Nic więc dziwnego, że rząd interesuje się tymi poczynaniami. Jeżeli udałoby im się złapać Rethricka z całym jego sprzętem...

— Czerpak czasowy. Trudno w to uwierzyć.

— Nie wydaje ci się, że mogę mieć rację?

— Nie wiem. Być może. Twoje drobiazgi. Nie jesteś pierwszym, który wyszedł od nas z małym płóciennym woreczkiem jakichś rupieci. Wykorzystałeś już niektóre? W jaki sposób?

— Najpierw drut i żeton autobusowy. Dzięki nim udało mi się wyrwać z rąk Policji. Może to ci się wydać śmieszne, ale gdybym ich nie miał, do teraz bym siedział. Kawałek drutu i dziesięciocentowy żeton. Ale zazwyczaj nie noszą przy sobie takich rzeczy. I o to właśnie chodzi.

— Podróże w czasie.

— Nie. Nie ma mowy o podróżach w czasie. Berkowsky dowiódł, że podróże w czasie są teoretycznie wykluczone — Możliwy do zbudowania jest czerpak czasowy; zwierciadło czasowe, by móc oglądać rzeczy, i czerpak, aby je zabierać z miejsca. Trzy drobiazgi. Przynajmniej jeden z nich pochodzi z n przyszłości. Zaczerpnięty. Sprowadzony do naszego czasu.

— Skąd wiesz?

— Jest na nim data. Pozostałe przypuszczalnie pochodzą z teraźniejszości. Przedmioty takie jak żeton czy drut są egzemplarzami klas przedmiotów. Każdy żeton jest równie dobry jak inny. Dla tych przypadków wystarczyło mu użycie zwierciadła.

— Jemu?

— Mnie, kiedy pracowałem u Rethricka. Z pewnością korzystałem ze zwierciadła. Zajrzałem w swoją własną przyszłość. Jeżeli naprawiałem ten sprzęt, nie mogli przecież trzymać mnie odeń z daleka! Musiałem spojrzeć w przyszłość i zobaczyć, co się stanie. Zobaczyłem, jak aresztuje mnie PP. Zobaczyłem i pojąłem, że kawałek drutu i żeton autobusowy wystarczą... jeśli będę miał je przy sobie w odpowiedniej chwili.

Kelly zastanawiała się nad jego słowami.

— No i cóż? Czego chcesz ode mnie?

— Teraz to już nie jestem tak do końca pewien. Czy naprawdę widzisz w Rethricku porządną, dobrą instytucję, siłę walczącą z Policją? Taki Roland w wąwozie Roncevaux...

— A jakie ma znaczenie, co myślę na temat spółki?

— To ma ogromne znaczenie. — Jennings skończył swoją szkocką, odstawił na bok szklanekę. — Ponieważ chcę, żebyś mi pomogła. Mam zamiar szantażować Rethrick Construction.

Kelly tylko popatrzyła na niego.

To moja jedyna szansa, abym pozostał przy życiu. Muszę mieć coś na Rethricka, naprawdę wielką rzecz. Tak wielką, żeby pozwolili mi się do siebie przyłączyć, na moich własnych warunkach. Nie istnieje inne miejsce, do którego mógłbym się udać. Wcześniej czy później Policja mnie znajdzie. Jeżeli nie dostanę się do wnętrza fabryki, i to

— Pomóc ci szantażować spółkę? Zniszczyć Rethricka?

— Nie. Żadnego niszczenia. Nie mam zamiaru ich niszczyć... moje życie zależy od spółki. Od tego, czy Rethrick okaże się na tyle silny, by móc obronić mnie przed PP. Ale jeśli mnie nie dopuszczą, niewielkie będzie miało znaczenie, jak silny okaże się Rethrick. Rozumiesz? Chcę, żeby mnie dopuścili do siebie. Chcę, żeby to nastąpiło, zanim będzie za późno. I chcę, żeby stało się to na moich własnych warunkach, nie zaś w charakterze zatrudnionego na dwa lata pracownika, którego się potem znowu wyrzuci.

— Aby mogła go dopaść Policja.

Jennings pokiwał głową.

— Właśnie.

— W jaki sposób zamierzasz szantażować spółkę?

— Mam zamiar dostać się do fabryki i wynieść z niej dość materiałów, aby móc dowieść za ich pomocą, że Rethrick zbudował i wykorzystuje czerpak czasowy.

Kelly zaśmiała się.

— Wejść na teren fabryki? Zobaczymy, w jaki sposób w ogóle ją znajdziesz. PP szuka jej od lat.

— Ja już ją znalazłem. — Jennings odchylił się na oparciu, zapalił papierosa. — Udało mi się za pomocą jednego z moich drobiazgów. A zostały mi jeszcze cztery, wystarczająco dużo, by umożliwić mi dostanie się do środka, jak sądzę. I zdobyć to, czego chcę. Będę w stanie wynieść na zewnątrz dość dokumentacji i zdjęć, by zaprowadziły Rethricka na szubienicę. Ale nie chcę, by go powieszono. Chcę tylko dobić targu. I w tym momencie właśnie pojawiaasz się ty.

— Ja?

— Wierzę, że nie pójdziesz na policję. Potrzebuję kogoś, komu będę mógł przekazać te materiały. Obawiam się sam je trzymać. Kiedy tylko będę je miał, muszę je przekazać komuś innemu, komuś, kto schowa je tam, gdzie ja nie będę w stanie ich znaleźć.

— Dlaczego?

— Ponieważ — powiedział spokojnie Jennings — w każdej chwili PP może mnie aresztować. Nie żywię żadnej sympatii dla Rethricka, ale nie chcę posłać go na dno. Właśnie dlatego musisz mi pomóc. Mam zamiar przekazać ci wszystkie informacje, abyś zatrzymała je na czas, aż dobiję targu z Rethrickiem. W przeciwnym razie będę musiał zatrzymać je przy sobie. A jeśli będę miał je przy sobie...

Spojrzał na nią. Kelly wbiła wzrok w podłogę, na jej twarzy widoczne było napięcie. Przygnębienie.

— A więc? Co powiesz? Pomożesz mi czy mam zaryzykować, że PP jednak nie zgarnie mnie z materiałami? Z wystarczającą liczbą danych, by zniszczyć Rethricka. No, jak będzie? Chcesz zobaczyć, jak Rethrick idzie na dno? Jaka jest twoja odpowiedź?

Oboje przykucnęli, patrząc przez pole ku górującemu nad okolicą wzgórz. Jego zbocza odsłaniały nagą, zbrązowiałą ziemię, porastającą je roślinność ze szczętem wypalono. Nic już nie wyrosnie na tych zboczach. W połowie drogi do wzgórza pole zakosami dzielił stalowy płot, na którego szczycie osadzono drut kolczasty pod napięciem. Po drugiej stronie powoli szedł strażnik, mała postać patrolująca teren, w hełmie i z karabinem.

Na szczycie wzgórza wznosił się ogromny betonowy blok, wielka budowla pozbawiona okien i drzwi. W świetle wczesnego poranka lśniły zamontowane na podstawach działka stojące rzędem wzdłuż budynku.

— A więc to jest fabryka — powiedziała cicho Kelly.

— Oto ona. Potrzebna byłaby cała armia, aby się dostać do środka. Najpierw trzeba by pokonać zbocze wzgórza, potem jeszcze płot. Chyba że ktoś by ich wpuścił.

Jennings wstał, pomógł Kelly się podnieść. Poszli z powrotem ścieżką wiodącą wśród drzew do miejsca, w którym dziewczyna zaparkowała swoją raketę.

— Czy naprawdę sądzisz, że kawałek zielonego materiału pozwoli ci się dostać do środka? — zapytała Kelly, siadając za kierownicą.

Wedle tego, co mówili ludzie w mieście, dzisiaj rano, nie wiem dokładnie o której godzinie, do

fabryki odjedzie ciężarówka załadowana robotnikami. Przy wjeździe wszyscy wysiadają i przechodzą kontrolę. Jeżeli wszystko jest w porządku, wpuszcza się ich na teren, za płot. Wykorzystywani są jako robotnicy do prac fizycznych przy budowie. Pod koniec dnia wypuszcza się ich na powrót i odwozi do miasta.

— Czy to ci pozwoli dostatecznie się zbliżyć do urządzenia?

— Przynajmniej znajdę się po drugiej stronie płotu.

— Jak masz zamiar znaleźć czerpak czasowy? Zapewne trzymają go gdzieś wewnątrz budynku.

Jennings wyciągnął niewielki klucz kodowy.

— Dzięki temu wejdę do środka. Mam przynajmniej mam nadzieję. Zakładam, że mi się uda.

Kelly wzięła klucz, dokładnie go obejrzała.

— A więc to jest jeden z tych twoich drobiazgów. Naprawdę powinniśmy się lepiej przyjrzeć zawartości twojego płóciennego woreczka.

— My?

— Spółka. Przez moje ręce przeszło wiele takich woreczków z najróżniejszymi drobiazgami. Rethrick nigdy nic nie powiedział.

— Przypuszczalnie spółka zakładała, że nikt już nigdy więcej nie będzie chciał się dostać do środka. — Jennings wziął od niej klucz kodowy. — Wiesz już, co masz teraz robić?

— Mam zostać tutaj, przy rakiemie, i czekać, póki nie wrócisz. Ty mi dasz materiały. Potem zawiozę je do Nowego Jorku i będę czekać, aż się ze mną skontaktujesz.

— W porządku. — Jennings zapatrzył się na odległą drogę wiodącą wśród drzew do bramy fabryki. — Lepiej będzie, jak już tam pójde. Ciężarówka może się pojawić w każdej chwili.

— A co, jeśli postanowią policzyć robotników?

— Muszę zaryzykować. Ale nie martwię się. Pewien jestem, że on wszystko przewidział.

Kelly się uśmiechnęła.

— Ty i twój przyjaciel, twój wierny przyjaciel. Mam nadzieję, że zostawił ci dość rzeczy, byś nie miał kłopotów z wydostaniem się, po tym jak już zrobisz fotografie.

— Doprawdy?

— A czemu nie miałabym się martwić? — powiedziała lekko Kelly. — Zawsze cię lubiłam. Wiesz o tym. Wiedziałeś, kiedy przyszedłeś do mnie.

Jennings wysiadł z samochodu. Miał na sobie kombinezon i robocze buty oraz szarą flanelową koszulę.

— Zobaczymy się później, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Myślę, że tak będzie. — Poklepał swoją kieszeń. Mam moje amulety, moje amulety przynoszące szczęście.

Poszedł lekkim krokiem wśród drzew.

Nie wychodząc z lasu, dotarł do samego skraju drogi. Zatrzymał się tam, korzystając z osłony drzew. Strażnicy fabryki z pewnością uważnie obserwowali okolicę. Wypalili całą roślinność porastającą wzgórze, aby każdy, kto chciał by się podkraść do płotu, natychmiast został dostrzeżony. Dodatkowo za płotem widoczne były też reflektory podczerwieni.

Jennings przykucnął i oparłszy się na piętach, obserwował drogę — Kilka jardów dalej znajdował się blokujący ją szlaban, tuż przed bramą. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Powinien się chyba przygotować na oczekiwanie być może nawet długie oczekiwanie. Spróbował rozluźnić mięśnie.

Było już po jedenastej, kiedy w oddali, warcząc i sapiąc, pojawiła się wielka ciężarówka.

Jennings natychmiast się poderwał. Wyciągnął z kieszeni pasek zielonego materiału i zawiązał wokół ramienia. Ciężarówka była coraz bliżej. Mógł już dojrzeć ludzi siedzących na przyczepie.

Pełna była robotników: mężczyźni w dżinsach i roboczych koszulach podskakiwali i kołysali się zgodnie z ruchami pojazdu. Nawet z takiej odległości widać było, że każdy z nich ma identyczną opaskę: zieloną pręgę opasującą ramię. Jak dotąd wszystko szło dobrze.

Ciężarówka podjechała powoli do szlabanu, zatrzymała się przed nim. Mężczyźni schodzili powoli, spod ich stóp podnosił się kurz, zawisający potem delikatną mgiełką w promieniach ciepłego południowego słońca. Otrząpywali pył ze spodni, niektórzy zapalili papierosy. Dwaj strażnicy powoli wyszli z szlabanu. Jennings napiął wszystkie mięśnie. Za chwilę miał nadejść jego czas. Strażnicy szli wzdłuż szeregu mężczyzn, przyglądali się im, sprawdzali opaski na ramionach, wpatrywali uważnie w ich twarze, w kilku wypadkach sprawdzali nawet plakietki identyfikacyjne.

Szlaban podniósł się, otwarto bramę i strażnicy wrócili na swoje stanowiska.

Jennings ruszył w stronę drogi, prześlizgując się wśród gałęzi krzewów. Mężczyźni zdeptywali niedopałki papierosów, wspinali się na ciężarówkę. Motor zawarczał, kierowca zwolnił hamulce. Jennings wypadł na drogę, powodując trzask gałęzi i deszcz żwiru. Miejsce, w którym wylądował, było zasłonięte przed wzrokiem strażników przez korpus ciężarówki. Jennings złapał powietrze. Pobiegł w kierunku tylnej burty wozu.

Mężczyźni popatrzyli na niego z zaciekawieniem, kiedy wepchnął się między nich, z pierśią wciąż unoszoną przez przyspieszony oddech. Ich twarze były zniszczone upływem lat, szare i pomarszczone. Ludzie pracujący na roli. Jennings zajął miejsce między dwoma krzepkimi farmerami, a wtedy ciężarówka ruszyła. Zdawali się nie zwracać nań uwagi. Wcześniej wtarł w skórę trochę ziemi, nie ogolił się poprzedniego dnia. Na pierwszy rzut oka nie odbiegał wyglądem od pozostałych. Ale gdyby ktoś policzył obecnych...

Ciężarówka przejechała przez bramę, wjechała na teren fabryki. Brama zasunęła się za nią. Teraz jechali pod górę, stromym stokiem wzgórza. Ciężarówka grzechotała i kołysała się z boku na bok. Ogromna betonowa konstrukcja majaczyła coraz bliżej. Czy wjadą do środka? Jennings obserwował wszystko zafascynowany. Wysokie, lecz stosunkowo wąskie drzwi rozsunęły się, ukazując ciemne wnętrza. Zapłonął rząd sztucznych świateł.

Ciężarówka zatrzymała się. Robotnicy zaczęli ponownie schodzić na ziemię. Pojawili się wokół nich jacyś technicy.

— Co mają robić ci ludzie? — zapytał jeden z nich.

— Będą kopać. W środku. — Drugi wykonał gest kciukiem. — Znowu będą kopać. Poślij ich na dół.

Jennings czuł, jak łomocze mu serce. Miał się dostać do środka! Sięgnął dłonią do karku. Pod szarym swetrem, na pasku otaczającym szyję znajdowała się płaska kamera, która teraz wisiała mu na piersiach niczym śliniaczek. Ledwie mógł ją wyczuć, mimo iż wiedział przecież, że tam jest. Być może wszystko okaże się znacznie prostsze, niż przypuszczał.

Robotnicy kolejno przechodzili przez drzwi. Jennings dołączył do nich. Znaleźli się w rozległym warsztacie, na długich stołach stały części na poły ukończonych maszyn, widać było dźwigi i suwnice, zewsząd dobiegał bezustanny gwar — Drzwi zamknęły się za nimi, odcinając drogę na zewnątrz. Znajdował się w fabryce. Ale gdzie miał szukać czerpaka i i zwierciadła?

— Tedy — powiedział brygadzysta. Robotnicy mozolnie podreptali w prawo. Z podziemi budynku ruszyła im na spotkanie winda towarowa. — Zjeżdżacie dziś na dół. Ilu pracowało ze świdrami?

Kilka rąk uniosło się do góry.

— Możecie pokazać innym. Będziemy usuwać ziemię za mocą świdrów i pochłaniaczy. Któryś z was ma jakieś doświadczenie w pracy z pochłaniaczami?

Nikt nie wykonał najmniejszego ruchu. Jennings zerknął na warsztaty. Czy rzeczywiście tu

pracował nie tak dawno temu? Znienacka poczuł dreszcz na plecach. A jeżeli ktoś go rozpozna? Być z może pracował razem z tymi technikami.

— Chodźcie — niecierpliwie poganiał ich brygadzysta. — Pośpieszcie się.

Jennings wsiadł razem z innymi do windy towarowej. Chwilę później zjeżdżali ciemnym szybem. W dół, aż do najniższych poziomów fabryki. Rethrick Construction była ogromna, znacznie większa, niż się wydawała oglądana z powierzchni ziemi. Znacznie większa, niż sobie wyobrażał. Piętra, podziemne poziomy mijały jeden za drugim.

Winda się zatrzymała, drzwi otworzyły. Spojrzał w głąb długiego korytarza. Podłogę grubą warstwą zaścielał kamienny pył, w powietrzu czuć było wilgoć. Wokół niego robotnicy zaczęli się rozpraszać. Nagle Jennings zeszywniał, cofnął się.

W końcu korytarza przed stalowymi drzwiami stał Earl Rethrick. Przemawiał do grupy techników.

Wszyscy wysiadać — powiedział brygadzysta. — Idziemy.

Jennings opuścił windę, trzymał się za plecami pozostałych. Rethrick! Serce waliło mu jak młotem. Gdyby Rethrick go zobaczył, to byłby koniec wszystkiego. Wsadził dłoń do kieszeni. Miał przy sobie miniaturowy pistolet marki Boris, ale nie na wiele by mu się on przydał, gdyby został odkryty. Gdyby Rethrick spojrział na niego, choć przelotnie, byłoby po sprawie.

— Na dół, tędy. — Brygadzysta poprowadził ich w kierunku czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak podziemna kolejka, której tory biegły pod jedną ze ścian korytarza. Mężczyźni weszli do metalowych wagoników stojących na torach. Jennings obserwował Rethricka. Widział jak gniewnie gestykuluje, jego głos docierał słabym echem w oddalone części korytarza. Nagle Rethrick odwrócił się. Uniósł dłoń, a wielkie stalowe drzwi za nim otworzyły się.

Serce Jenningsaomalże przestało bić.

Tam, za tymi stalowymi drzwiami znajdował się czerpak czasowy. Rozpoznał go natychmiast. Zwierciadło. Długie metalowe pręty zakończone chwytykiem. Dokładnie jak w teoretycznym modelu Berkowskyego... tylko że ten był najzupełniej realny.

Rethrick wszedł do pomieszczenia, technicy poszli za nim. Przy czerpaku pracowali jacyś ludzie, całkowicie zatopieni w pracy. Część osłony była podniesiona. Jennings patrzył na to, cofając się powoli.

— Mówię do ciebie... — Brygadzysta zmierzał w jego stronę.

Stalowe drzwi zatrzasnęły się. Niczego już nie można było dostrzec. Rethrick, czerpak, technicy, wszystko zniknęło.

— Przepraszam — wymamrotał Jennings.

— Wiesz, że nie wolno wam się tutaj za bardzo rozglądać. — Brygadzysta wpatrywał się w niego z napięciem. — Nie pamiętam cię. Chciałbym zobaczyć twoją plakietkę.

— Moją plakietkę?

— Twoją plakietkę identyfikacyjną. — Brygadzysta odwrócił się. — Bill, przynieś mi listę. — Zmierzył wzrokiem Jenningsa od stóp do głów. — Mam zamiar sprawdzić, czy jest pan na liście, proszę pana. Nigdy wcześniej cię nie widziałem w tej brygadzie. Zostań na miejscu.

Z bocznych drzwi wyszedł jakiś człowiek, niosąc w dłoniach listę identyfikacyjną.

Teraz albo nigdy.

Jennings ruszył biegiem w dół korytarza, w kierunku wielkich stalowych drzwi. Za sobą usłyszał pełne zaskoczenia krzyki brygadzysty i jego pomocnika. Wyciągnął w biegu klucz kodowy z kieszeni i gorączkowo się modlił, aby pasował. Podbiegł do drzwi z kluczem w rękę. Drugą ręką dobył z kieszeni pistolet. Za tymi drzwiami był czerpak czasowy. Porwać kilka fotografii, parę schematów, a potem, jeśli uda się wydostać...

Ale drzwi nawet nie drgnęły. Pot spływał kroplami po jego twarzy. Niemalże uderzał kluczem w drzwi. Dlaczego się nie otwierają? Z pewnością... Zaczął cały drżeć, strach ścisnął go za gardło. Korytarzem biegli już w jego stronę jacyś ludzie, gonili go. Otworzą się...

Ale drzwi się nie otworzyły. Klucz, który trzymał w dłoni, nie był właściwy.

Został pokonany. Drzwi i klucz nie pasowały do siebie. Albo on się pomylił, albo klucz przeznaczony był do jakiegoś innego zamka. Ale do jakiego? Jennings szaleńczo rozglądał się dookoła. Dokąd? Gdzie można się skryć?

Po jednej stronie zobaczył na wpół przymknięte drzwi, zwyczajne, zamykane na rygiel. Przebiegł na drugą stronę korytarza, rozwarł je jednym pchnięciem. Jakiś magazyn. Szybko zatrzasnął drzwi, zasunął rygiel. Słyszał, jak po drugiej stronie zdenerwowani ludzie krzyczą coś, wołają strażników. Wkrótce pojawią się uzbrojeni strażnicy. Jennings ścisnął kurczowo w dłoni pistolet i rozglądał się dookoła. Znalazł się w pułapce? Czy też gdzieś tu jest drugie wyjście?

Przebiegł przez pomieszczenie, przeciskając się między belami i pudłami, wysokimi stosami kartonów zawierających rzeczy niewiadomego przeznaczenia, ustawionych jeden na drugim. W przeciwległym końcu magazynu zauważył wyjście awaryjne. Nie namyślając się wiele, natychmiast je otworzył. Poczł chwilową ochotę, by wyrzucić klucz kodowy. Jaki z niego pożytek? Ale z pewnością tamten on wiedział, co robi. Już wcześniej wszystko to widział. Niczym dla Boga, dla tamtego wszystko się już zdarzyło. Wszystko zostało z góry ustalone. Tamten nie mógł popełnić błędu. A może jednak?

Poczł, jak przeszywa go dreszcz. Być może przyszłość jednak da się zmienić. Może kiedyś był to właściwy klucz. Ale teraz już nie.

Usłyszał za sobą jakieś odgłosy. Przepalali drzwi magazynu. Jennings wygramolił się przez właz awaryjny. Znalazł się w niskim tunelu o betonowych ścianach, wilgotnym i źle oświetlonym. Szybko przebiegł wzdłuż niego, ostrożnie mijając ostre zakręty. Czuł się tak, jakby trafił do kanału ściekowego. Ze wszystkich stron uchodziły doń kolejne rury.

Zatrzymał się. Którędy? Gdzie mógłby się ukryć? Nad jego głową ział wylot głównego kanału wentylacyjnego. Schwycił się krawędzi i podciągnął do środka. Ponuro się uśmiechając, wczłgał się do tunelu. Z pewnością nie zwrócą uwagi na rurę, pobiegną dalej. Ostrożnie czołgał się coraz głębiej. Ciepły podmuch powietrza dał mu w twarz. Po co taki wielki przewód wentylacyjny? To oznaczało, że po drugiej stronie prawdopodobnie znajduje się ogromna komora. Doszedł do metalowej kraty i zatrzymał się.

I aż mu zaparło dech w piersiach.

Patrzył na wielkie pomieszczenie, którego widok mignął mu za stalowymi drzwiami. Tylko że teraz znajdował się na jego przeciwległym krańcu. Tutaj zainstalowany był czerpak czasowy. A jeszcze niżej, za czerpakiem, stał Rethrick i naradzał się z kimś przy włączonym wideoekranie. Słyszał też było dźwięki alarmu, który był przeszywająco, wypełniając korytarze wścickłym echem. Technicy biegali na wszystkie strony. Strażnicy w mundurach wlewali się przez drzwi.

Czerpak.

Jennings przyjrzał się kracie. Była tylko wsunięta w szczelinę w ścianach tunelu. Kiedy przesunął ją trochę na bok, została mu w dłoniach. Nikt nie patrzył w jego stronę. Ostrożnie wszedł do pomieszczenia, z bronią gotową do strzału. Przed wzrokiem obecnych skrywał go korpus czerpaka, wszyscy technicy i strażnicy znajdowali się w drugim końcu pomieszczenia, tam gdzie po raz pierwszy ich dostrzegł.

I oto miał, czego chciał: zwierciadło, wokół którego wszędzie walały się schematy, dokumenty, tabele, projekty. Wyciągnął kamerę. Przycisnął do piersi; wibrowała delikatnie, w miarę jak

przesuwał się film. Porwał plik schematów. Być może tamten on posługiwał się tymi samymi rysunkami ledwie kilka tygodni wcześniej!

Napchał sobie kieszenie dokumentacją. Film w kamerze kończył się. Ale miał już wszystko, po co tu przybył. Wycofał się z powrotem do przewodu wentylacyjnego, wpełzł w jego wylot i poczołgał wzdłuż rury. Korytarz przypominający kanał ściekowy wciąż był pusty, choć rozlegały się w nim echa pełnych napięcia głosów, ludzkie słowa i dźwięk kroków. Tak wiele przejść... szukali go w prawdziwym labiryncie awaryjnych korytarzy.

Jennings pobiegł szybko. Nie zwracał uwagi na kierunek, próbował tylko trzymać się głównego korytarza. Ze wszystkich stron uchodziły z niego boczne odnogi jedna po drugiej, niezliczone przejścia. Czuł, jak powoli zbiega coraz niżej. Biegł w dół wzgórza.

Nagle przystanął, ciężko dysząc. Chwilę już nie słyszał odgłosów za swoimi plecami. Ale jednocześnie do jego uszu dobiegły dźwięki z kierunku, w którym zmierzał. Powoli ruszył naprzód. Korytarz zakręcał w prawo. Zwolnił jeszcze przed załomem, podszedł bliżej, uniósł pistolet.

Niedaleko stali strażnicy w nonszalanckich pozach i rozmawiali. Za nimi widać było ciężkie, zamykane na kodowy zamek drzwi. A za sobą usłyszał znowu echo głosów; stawały się coraz głośniejsze. Znaleźli to samo przejście, z którego on skorzystał. Złapali trop.

Jennings z uniesionym pistoletem wyszedł z korytarza.

— Ręce do góry. Rzućcie broń na ziemię.

Strażnicy tępo zagapili się na niego. Jeszcze dzieci prawie, chłopcy z nastroszonymi blond włosami, w odprasowanych mundurach. Cofnęli się odrobinę, twarze mieli blade i wystraszone.

— Karabiny. Rzućcie je na ziemię.

Dwa karabiny zagrzechotały po podłodze. Jennings uśmiechnął się. Chłopcy. Być może po raz pierwszy stanęli oko w oko z niebezpieczeństwem. Ich skórzane buty lśniły, wypastowane na błysk.

— Otwórzcie drzwi — powiedział Jennings. — Chcę wyjść na zewnątrz.

Patrzyli na niego, nawet nie drgnęli. Z tyłu natężenie odgłosów wzmagало się.

— Otwórzcie je. — Powoli robił się niecierpliwy. — No Już. — Pomachał pistoletem. — Otwierajcie, do cholery! Czy chcecie, żebym...

— My... my nie możemy.

— Co?

— Nie możemy ich otworzyć. To są drzwi kodowe, to mamy klucza. Naprawdę, proszę pana. Nie wolno nam mieć do nich klucza. — Byli przerażeni.

Jennings sam poczuł teraz przyływ strachu. Za nim tupot nóg robił się coraz głośniejszy. Wpadł w pułapkę, nie ucieknie już.

Chociaż...

Nagle roześmiał się. Podszedł szybko do drzwi.

— Wiara — wymruczał, unosząc dłoń. — To jest coś czego nigdy nie należy tracić.

— Co... O co chodzi?

— Wiara w samego siebie. Zaufanie, jakim należy siebie obdarzać.

Drzwi odsunęły się, gdy tylko przyłożył do nich klucz kodowy. Do środka wpadły oślepiające promienie słońca, sprawiając, że przez moment nie potrafił niczego dostrzec. Broń jednak trzymał w pogotowiu. Znajdował się na zewnątrz, przy bramie. Trzej strażnicy z najwyższym zdumieniem wpatrywali się w broń w jego ręku. Był przy bramie... a za nią znajdował się las.

— Z drogi. — Jennings strzelił do metalowych sztab bramy. Metal wybuchnął płomieniem, rozbłysnął kulą ognia, stopił się.

— Zatrzymać go! — Za nim z korytarza wybiegli strażnicy.

Jennings przecisnął się przez dymiący wrak bramy. Poczul, jak metal szarpie go, parzy. Pobiegł przez chmurę dymu, zatoczył się i przewrócił. Podniósł się jednak jakoś i pośpieszył dalej, w cień drzew.

Był na zewnątrz. Tamten nie wywiódł go w pole. Klucz pasował, wszystko w porządku. Za pierwszym razem po prostu wybrał niewłaściwe drzwi.

Biegł dalej, nie zatrzymywał się; łkając z braku tchu, przedzierał się przez krzaki. Za nimi w oddali niknęła fabryka i głosy ścigających. Miał dokumenty. I był wolny.

Odnalazł Kelly i dał jej film oraz całą resztę, którą udało mu się wepchnąć do kieszeni. Potem przebrał się w swoje normalne rzeczy. Kelly zawiozła go na obrzeże Stuartsville i tam zostawiła. Jennings patrzył, jak jej jacht raketowy wznosi się w powietrze, kierując się w stronę Nowego Jorku. Potem poszedł prosto do miasta i wsiadł na pokład rakiety Komunikacji Międzymiastowej.

Podczas lotu spał, otoczony drzemiącymi biznesmenami. Kiedy się obudził, rakieta właśnie się opuszczała, lądując na płycie wielkiego kosmodromu w Nowym Jorku.

Jennings wysiadł, wmieszał się w strumień ludzi. Teraz, kiedy wrócił, znowu groziło mu niebezpieczeństwo, że zostanie powtórnie aresztowany przez PP. Dwaj funkcjonariusze bezpieczeństwa w zielonych mundurach patrzyli na niego bez śladu zainteresowania na twarzach, kiedy brał taksówkę z postoju przy płycie startowej. Taksówka włączyła się w ruch uliczny miasta. Jennings otarł czoło. O mały włos. Teraz trzeba znaleźć Kelly.

Zjadł obiad w małej restauracji, siedząc odwrócony plecami do okna. Kiedy wstał od stołu, słońce powoli już zaczynało zachodzić. Wolno poszedł chodnikiem, głęboko zatopiony w myślach.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Zdobył dokumenty i film, udało mu się uciec. Jego drobiazgi sprawdzały się na każdym kroku. Bez nich nie byłby w stanie dać sobie rady. Wsadził rękę do kieszeni. Zostały dwa. Połówka żąbkowanego żetonu do pokera i kwit depozytowy. Wyjął kwit, przyjrzał mu się uważnie w słabnącym świetle zachodzącego słońca.

Nagle coś dostrzegł. Data na kwicie była dzisiejsza. Początkowo musiał się więc pomylić.

Schował kwit z powrotem, poszedł dalej. Cóż to miało znaczyć? Do czego miał mu być potrzebny? Wzruszył ramionami. W swoim czasie wszystko się okaże. I ta połówka żetonu do pokera. Cóż to mogłoby, u diabła, być? Żadnym sposobem nie da się tego stwierdzić. W każdym razie pewien był, że wkrótce się dowie. Tamten cały czas trzymał go krótko, aż do teraz. Z pewnością nie zostało już dużo tych przygód.

Zbliżył się do budynku, w którym mieszkała Kelly, przystanął i spojrział w górę. W jej oknie paliły się światła. Wróciła; jej szybki mały jacht z łatwością wyprzedził raketę międzymiastowej. Wszedł do windy i wcisnął guzik z numerem jej piętra.

— Cześć — powiedział, kiedy otworzyła drzwi.

— Wszystko w porządku?

— Jasne. Mogę wejść?

Kelly zamknęła za nim drzwi.

— Cieszę się, że cię widzę. W mieście aż się roi od ludzi z PP. Niemalże w każdym bloku. A patrole...

— Wiem. Widziałem paru na kosmodromie. — Jennings usiadł na sofie. — Miło jest w każdym razie wrócić.

— Obawiałam się, że mogą odwołać wszystkie loty międzymiastowe i kontrolować pasażerów.

— Nie mają powodów, by zakładać, że wrócę do miasta.

— O tym nie pomyślałam. — Kelly usiadła naprzeciw niego. — A więc, co teraz zamierzasz? Udało ci się bezpiecznie wydostać z tymi materiałami, jaki będzie twój następny ruch?

— Teraz mam zamiar spotkać się z Rethrickiem i przekazać mu najświeższe wiadomości. O tym mianowicie, że osobą, która dostała się do fabryki i wydostała stamtąd, byłem ja. On wie, że komuś udało się wydostać, ale nie ma pojęcia, kto to był. Bez wątpienia podejrzewa PP.

— Czy nie mógłby skorzystać z lustra czasowego, aby się dowiedzieć?

Po twarzy Jenningsa przemknął cień.

— Prawda. O tym nie pomyślałem. — Potarł szczękę, zmarszczył brwi. — W każdym razie ja mam materiały. To znaczy ty je masz.

Kelly pokiwała głową.

— W porządku. Będziemy dalej realizować nasz plan. Jutro zobaczymy się z Rethrickiem. Spotkamy się z nim tutaj, w Nowym Jorku. Czy możesz go ściągnąć do biura. Czy w ogóle przyjdzie, jeśli go zawiadomisz?

— Tak. Mamy umówiony kod. Jeżeli go poproszę, żeby przyszedł, z pewnością się pojawi.

— Świetnie. Tam się z nim spotkam. Kiedy zrozumie, że mamy zdjęcia i schematy, będzie musiał przystać na moje żądania. Będzie musiał przyjąć mnie do Rethrick Construction na moich warunkach. Albo tak, albo zagrozę mu, że materiały te trafią natychmiast w ręce Policji Politycznej.

— A kiedy będziesz już w spółce? Kiedy Rethrick zgodzi się na twoje żądania?

— Widziałem dostatecznie dużą część fabryki, by się zorientować, że Rethrick jest znacznie większy, niż sobie pierwotnie wyobrażałem. Jak duży ostatecznie, nie mam jednak pojęcia. Nic dziwnego, że tamten on był zainteresowany!

— Zamierzasz domagać się równej kontroli nad spółką?

Jennings przytaknął.

— Nigdy się nie zadowolisz. Jeśli przyjmą cię z powrotem do pracy w charakterze mechanika? Na takich samych warunkach jak poprzednio?

— Nie. Żeby znowu mogli mnie wykopać? — Jennings uśmiechnął się. — W każdym razie ja wiem, że jemu chodziło o coś więcej. On przygotował bardzo szczegółowy plan. Drobiazgi. Musiał zaplanować wszystko z wielkim wyprzedzeniem. Nie, nie zamierzam wrócić do Rethricka jako mechanik. Widziałem tam już dosyć, poziom po poziomie, maszyny, ludzie. Oni tam przygotowują coś ważnego. A ja chcę w tym uczestniczyć.

Kelly nic nie powiedziała.

— Rozumiesz? — zapytał Jennings.

— Rozumiem.

Opuścił jej mieszkanie i szybko ruszył ciemną ulicą. Zbyt długo u niej zmarudził. Jeżeli PP odkryła, że współpracowali ze sobą, oznacza to koniec z Rethrick Construction. Nie mógł ryzykować teraz, kiedy meta była już w zasięgu wzroku.

Spojrzał na zegarek. Było po północy. Tego ranka miał spotkać się z Rethrickiem i przedstawić mu swoją propozycję. Szedł, a serce w nim rosło. Będzie bezpieczny. Bardziej niż bezpieczny. Rethrick Construction postawiła sobie cel znacznie większy niż tylko zbudowanie zwykłej potęgi przemysłowej. To, co zobaczył, upewniło go, że zanoszą się na rewolucję. W dole, na rozlicznych poziomach pod powierzchnią ziemi, w dole pod fortecą z betonu, strzeżony przez w działka i uzbrojonych ludzi Rethrick przygotowywał się do wojny. Produkował niezliczoną liczbę maszyn. Czerpak czasowy i zwierciadło pracowały pewnie przez cały czas, obserwując, sięgając,

dobrywając.

Nic dziwnego, że tamten on opracował tak szczegółowy plan. Widział to wszystko, zrozumiał i zaczął się zastanawiać. Problem tylko z wyczyszczeniem umysłu. Kiedy zostanie wypuszczony, jego pamięć przepadnie. Wszystkie plany zostaną zniszczone. Zniszczone? W kontrakcie była alternatywna klauzula. Inni również ją dostrzegli, wykorzystali. Ale nie w ten sposób, jak on sobie umyślił!

Jemu chodziło o coś znacznie ważniejszego niż komukolwiek przed nim. On pierwszy zrozumiał i opracował plan. Siedem drobiazgów stanowiło pomost do czegoś przekraczającego wszystko, co...

Niedaleko zatrzymywał się właśnie radiowóz PP. Natychmiast otwarły się drzwi.

Jennings przystanął, poczuł, jak coś ściska mu serce. Nocny patrol krążący po mieście. Było po jedenastej, dawno po godzinie policyjnej. Szybko rozejrzał się dookoła. Wszędzie ciemno. Drzwi i okna zamknięte na głucho, zaryglowane na noc. Ciche bloki, domy. Nawet okna barów były już ciemne.

Zerknął za siebie, w stronę, z której przyszedł. Za nim zatrzymał się drugi radiowóz PP i wysiedli dwaj funkcjonariusze. Zobaczyli go. Ruszyli w jego stronę. Stał jak sparalizowany, rozglądając się desperacko.

Po przeciwnej stronie ulicy dostrzegł wejście do jakiegoś pretensjonalnego hotelu, nad którym lśniło jego neonowe godło. Ruszył w tamtą stronę z głośnym stukotem butów po chodniku.

— Stać! — krzyknął jeden z funkcjonariuszy. — Wracaj natychmiast! Co robisz na zewnątrz? Jaki jest twój...

Jennings wszedł po schodach do hotelu. Przeszedł przez hol. Recepcjonista popatrzył na niego badawczo. Hol był zupełnie pusty. Poczował, jak zamiera w nim serce. Nie miał szans. Zaczął biec, sam nie wiedząc dokąd, minął kontuar, minął wyłożony dywanem hol. Być może tędy dostanie się do jakiegoś tylnego wyjścia. Za nim funkcjonariusze PP już wchodzili po schodach.

Jennings skręcił za róg. Wyszli zza niego dwaj mężczyźni, zablokowali mu drogę.

— Dokąd to? Zatrzymał się przezornie. — przepuście mnie. — Sięgnął do kieszeni kurtki po pistolet.

Wtedy mężczyźni skoczyli na niego.

— Bierz go!

Przytrzymali go, tak że nie mógł ruszać rękoma. Zawodowi gangsterzy. Za nimi widział już światło. Światło i dźwięk. Jakieś sylwetki się poruszały. Ludzie.

— W porządku — powiedział jeden z gangsterów.

Powlekli go po korytarzu w stronę holu. Jennings na próżno się wrywał. Znalazł się w ślepej uliczce. Gangsterzy, ciemne ulice. Miasto było ich pełne, ukrywali się w jego mrokach. Pretensjonalny hotel to tylko fronton. Wyrzucą go, wprost w ręce PP.

Jacyś ludzie szli przez hol, mężczyzna i kobieta. Starsi, dobrze ubrani. Obrzucili zaciekawionymi spojrzeniami Jenningsa, wiszącego prawie w uchwycie tamtych dwóch.

Nagle Jennings zrozumiał. Zalała go fala ulgi, niemalże odbierając zmysły.

— Czekaście — powiedział ochryple. — W kieszeni.

— Idziemy.

— Czekaście. Sprawdźcie. W prawej kieszeni. Sami zobaczcie.

Spokojnie czekał na rezultaty rewizji. Gangster po jego prawej stronie ostrożnie wsunął dłoń do jego kieszeni. Jennings uśmiechnął się. Już po wszystkim. On widział nawet to. Nie istniała najmniejsza nawet możliwość porażki. To rozwiązywało przynajmniej jeden problem: gdzie się zatrzymać do czasu spotkania z Rethrickiem. Mógł zostać tutaj.

Gangster wyciągnął połówkę żetonu od pokera, dokładnie Przyjrzał się żłobkowanym krawędziom.

— Jeszcze chwilę. — Z własnej kurtki wyjął kawałek żetonu zawieszony na złotym łańcuszku. Zetknął krawędzie razem.

— W porządku? — zapytał Jennings.

— Jasne. — Puścili go. Odruchowo wygładził kurtkę — Jasne, proszę pana. Ale powinien pan od razu...

— Zaprowadźcie mnie na tyły — powiedział Jennings ocierając twarz z potu. — Szukają mnie jacyś ludzie. Nieszczególnie mi zależy na tym, aby mnie znaleźli.

— Jasne.

Zaprowadzili go na tyły, do pomieszczeń, gdzie toczyła się gra. Połówka żetonu zamieniła coś, co mogło się okazać katastrofą, w dodatkową korzyść. Hazard i towarzystwo kobiet. Jedna z niewielu instytucji, które policja zostawił w spokoju. Był bezpieczny. Nie było powodu tego kwestionować. Została już tylko jedna rzecz do zrobienia. Rozgrywka z Rethrickiem!

Wyraz twarzy Rethricka był nieustępliwy. Spojrzał na Jenningsa, gwałtownie przełknął ślinę.

— Nie — powiedział. — Nie wiedziałem, że to jesteś ty. Myśleliśmy, że to PP.

Zapadło milczenie. Kelly siedziała na krześle przy biurku, z nogą założoną na nogę, w palcach trzymała papierosa. Jennings stał oparty o drzwi z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

— Dlaczego nie użyliście zwierciadła? — zapytał. Rysy twarzy Rethricka drgnęły.

— Zwierciadła? Wykonałeś dobrą robotę, mój przyjacielu. Próbowaliśmy użyć zwierciadła.

— Próbowaliście?

— Zanim zakończyłeś pracę u nas, zmieniłeś położenie kilku przewodnic w zwierciadle. Kiedy próbowaliśmy je wykorzystać, okazało się, że nie działa. Opuściłem fabrykę pół godziny temu. Wciąż jeszcze nad nim pracowali.

— Zrobiłem to pod sam koniec dwuletniego kontraktu.

— Najwyraźniej opracowałeś swój plan w najdrobniejszych szczegółach. Wiedziałeś, że dzięki zwierciadłu znajdziemy cię bez problemu. Jesteś dobrym mechanikiem, Jennings. Najlepszym, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Kiedyś bardzo chcieliśmy, żebyś znowu z nami pracował. Nie mamy u siebie nikogo, kto potrafiłby tak zręcznie operować zwierciadłem. A teraz w ogóle nie możemy z niego korzystać.

Jennings uśmiechnął się.

— Nie miałem pojęcia, że on zrobił coś takiego. Nie doceniłem go. Jego ochrona rozciąga się nawet...

— O kim ty mówisz?

— O sobie samym. Tym, który przepracował te dwa lata. Mówię „on”. Tak jest wygodniej.

— No więc, Jennings? Wy dwaj opracowaliście tak wyszukany plan, którego celem była kradzież schematów. Po co? Nie przekazałeś ich przecież policji.

— Nie.

— A więc, jak zakładam, chodzi o szantaż?

— Zgadza się.

— Ale czego ty chcesz? — Rethrick wyglądał, jakby się w ciągu tych dwu dni znacznie postarzał. Zapadł się w sobie, jego oczy wydawały się mniejsze i rozgorączkowane, nerwowo pocierał podbródek. — Zadałeś sobie mnóstwo trudu, aby postawić nas w tak niewygodnym położeniu. Ciekaw jestem, po co to wszystko. Kiedy dla nas pracowałeś, pieczołowicie przygotowałeś zręby swego planu. Teraz zbierasz jego owoce, mimo podjętych przez nas kroków.

— Kroków?

— Wymazaliśmy ci pamięć. Wszystko, co dotyczyło fabryki.

— Powiedz mu — wtrąciła Kelly. — Powiedz mu, dlaczego to zrobiłeś.

Jennings zaczerpnął powietrza.

— Rethrick, zrobiłem to, byście mnie przyjęli z powrotem. Z powrotem do spółki. To jest jedyny powód. Nie ma innych.

Rethrick patrzył na niego przez chwilę.

Byśmy przyjęli cię z powrotem do spółki? W każdej chwili mogłeś wrócić. Mówiłem ci przecież.

— Jego głos brzmiał słabo, żałamywał się chwilami, wyraźnie zdradzał napięcie ostatnich dni. — O co ci chodzi? Możesz wrócić. Na tak długo, jak tylko zechcesz.

— W charakterze mechanika.

— Tak. W charakterze mechanika. Zatrudniamy wielu...

— Nie chcę wrócić do was jako mechanik. Nie jestem zainteresowany pracą dla was. Posłuchaj, Rethrick. PP zgarnęła mnie z ulicy, gdy tylko wyszedłem z waszego biura. Gdyby nie on, już bym nie żył.

— Aresztowali cię?

— Chcieli wiedzieć, czym się zajmuje Rethrick Construction. Chcieli, żebym im to powiedział.

Rethrick pokiwał głową.

— To niedobrze. Nie mieliśmy o tym pojęcia.

— Nie, Rethrick. Nie wrócę do was w charakterze pracownika na kontrakcie, którego możecie się pozbyć w każdej chwili, gdy tylko będzie wam tak wygodnie. Jeżeli wrócę to będę pracował z wami, a nie dla was.

— Ze mną? — Rethrick ponownie popatrzył na niego. Powoli na jego twarzy formowała się maska, wstrętna twarda maska. — Nie rozumiem, co masz na myśli.

— Ty i ja, razem będziemy zarządzać Rethrick Construction. Od tej chwili tak będzie. I nikt nie będzie wypalał mi pamięci dla własnego bezpieczeństwa.

— Tego właśnie chcesz?

— Tak.

— A jeśli się nie zgodzimy cię włączyć?

— Wówczas schematy i film trafią wkrótce do PP. Cała sprawa skończy się w prosty sposób. Ale nie chcę tego. Nie chcę zniszczyć spółki. Chcę stać się jej częścią! Chcę być bezpieczny! Nie wiesz, jak to jest, kiedy się stąd wychodzi, nie mając dokąd pójść. Jednostka nie ma już nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. Nikt nie pomoże samotnemu człowiekowi. Nie ma dla niego miejsca między dwoma bezwzględными potęgami, stanowi pionek w rozgrywce sił politycznych i ekonomicznych. A ja jestem już zmęczony byciem pionkiem.

Przez dłuższą chwilę Rethrick się nie odzywał. Spojrzenie wbił w podłogę, na jego twarzy nie znać było śladu uczuć, tylko obojętność. W końcu uniósł wzrok.

— Wiem, że tak jest. To coś, z czego zdaję sobie sprawę naprawdę od dawna. Dłużej niż ty. Jestem od ciebie dużo starszy. Widziałem, jak ten proces rodzi się, narasta, rok po roku. Właśnie dlatego istnieje Rethrick Construction. Któregoś dnia wszystko się zmieni. Któregoś dnia, kiedy już ukończymy budowę czerpaka i zwierciadła. Kiedy bron będzie gotowa.

Jennings milczał.

— Doskonale wiem, jak to jest! Jestem starym człowiekiem. Od dawna już pracuję. Kiedy mi oznajmili, że ktoś wydostał się z fabryki i zabrał schematy, pomyślałem, że to już koniec. Wiedzieliśmy już, że zdołałeś wcześniej uszkodzić zwierciadło. Domyślaliśmy się, że między tymi

dwoma faktami istnieją e związek, ale nie potrafilimy dociec jaki. Pomyśleliśmy, rzecz jasna, że bezpieka nasadziła ciebie na nas, abyś odkrył, czym się zajmujemy. A potem, kiedy się przekonałeś, że nie zdołasz wynieść twoich informacji, uszkodziłeś zwierciadło. Z uszkodzonym zwierciadłem PP mogła zorganizować akcję i... — urwał i podrapał się po policzku.

— Proszę mówić dalej.

— A więc zrobiłeś to wszystko sam... szantaż. Aby zostać dopuszczonym do spółki. Nawet nie wiesz, po co istnieje spółka, Jennings! Jak ośmielasz się prosić, żeby cię do niej przyjąć! Działamy i budujemy już od tak dawna. Gotów jesteś nas zniszczyć, aby tylko ocalić skórę. Zrzuń nas tylko po to, by ocalić siebie.

— Nie chcę was zniszczyć. Mogę okazać się bardzo przydatny.

— Sam kieruję spółką. To jest moja spółka. Ja ją stworzyłem, zbudowałem od podstaw. Jest moja. Jennings zaśmiał się.

— A co się stanie, kiedy umrzesz? Albo jeszcze za twojego życia nastąpi rewolucja?

Rethrick uniósł głowę.

— Umrzesz i nie będzie nikogo, kto mógłby zająć twoje miejsce. Wiesz, że jestem dobrym mechanikiem. Sam to powiedziałeś. Jesteś głupcem, Rethrick. Chcesz wszystkiemu sam podołać. Robić wszystko, decydować o wszystkim. Ale któregoś dnia umrzesz. A wtedy co się stanie?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Lepiej zgódź się na dopuszczenie mnie... dla dobra spółki, jak również dla mojego własnego dobra. Dużo mogę dobrego dla ciebie zrobić. Kiedy odejdziesz, spółka będzie dalej funkcjonować w moich rękach. I może rewolucja skończy się powodzeniem.

— Powinieneś być zadowolony, że w ogóle jeszcze żyjesz! Gdybyśmy nie pozwolili ci zabrać tych drobiazgów...

— A cóż innego mogliście zrobić? Pozwolić ludziom obsługiwać wasze zwierciadło, oglądać własną przyszłość, a potem zakazać, by chociaż palcem ruszyli, aby sobie pomóc. Nietrudno zrozumieć, dlaczego wprowadziliście tę alternatywną klauzulę. Nie mieliście wyboru.

— Nie masz nawet pojęcia, czym się zajmujemy. Po co istniejemy.

— Mam wystarczająco dobre pojęcie. Mimo wszystko pracowałem dla was przez dwa lata.

Czas mijał. Rethrick oblizwał wargi, raz, drugi pocierał policzek. Na czoło wystąpiły mu krople potu. W końcu uniósł wzrok.

— Nie — powiedział. — Nie dobijemy targu. Nikt inny nie będzie nigdy kierował spółką prócz mnie. Gdy umrę, ona umrze ze mną. Stanowi moją własność.

Jennings zniechęca stał się podejrziwy.

— Wówczas dokumenty trafią do rąk policji.

Rethrick nie odpowiedział, ale na jego twarzy pojawił się osobliwy wyraz, na widok którego Jennings poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

— Kelly — zapytał. — Czy masz ze sobą te dokumenty?

Kelly drgnęła, podniosła się. Wyjęła z ust papierosa, jej twarz pobladła.

— Nie.

— A gdzie one są? Gdzie je schowałeś?

— Przykro mi — powiedziała cicho Kelly. — Nie mam zamiaru ci powiedzieć.

Spojrzał na nią.

— Co?

— Przykro mi — powtórzyła Kelly. Jej głos brzmiał słabo, prawie niedosłyszalnie. — Są w bezpiecznym miejscu. PP nigdy ich nie znajdzie. Ale ty również nie. Przy pierwszej sposobności

oddam je mojemu ojcu!

— Twojemu ojcu!

— Kelly jest moją córką — powiedział Rethrick. To była jedna z rzeczy, których nie wzięłaś pod uwagę, Jennings. On również nie wziął tego pod uwagę. Oprócz nas dwojga nikt tym nie wie. Wszystkie stanowiska w spółce postanowiłem zachować dla rodziny. Teraz widzę, że był to dobry pomysł. Ale nie wolno było tego ujawnić. Gdyby PP choć podejrzewała to, natychmiast by ją aresztowali. Jej życie byłoby w niebezpieczeństwie.

Jennings powoli odetchnął

— Rozumiem.

— Współpraca z tobą wydała mi się dobrym pomysłem — powiedziała Kelly. — W przeciwnym razie zrobiłbyś wszystko sam. I teraz ty miałbyś te dokumenty. Tak jak powiedziałeś, gdyby PP złapała cię z nimi, to byłby nasz koniec. A więc współpracowałam z tobą. Kiedy tylko wręczyłeś mi schematy, schowałam je w bezpiecznym miejscu. — Uśmiechnęła się nieznacznie. — Nikt prócz mnie nie jest w stanie ich znaleźć. Przykro mi.

— Jennings, możesz pójść z nami — powiedział Rethrick — Na zawsze możesz dla nas pracować, jeśli tylko zechcesz. Możesz pracować dla nas, być częścią zespołu. Możesz mieć wszystko, czego zechcesz. Z wyjątkiem...

— Wyjąwszy to, że nikt inny prócz ciebie nie będzie zarządzał spółką.

— Otóż właśnie, Jennings. Spółka jest stara. Liczy sobie więcej lat niż ja. Nie ja ją stworzyłem. Została... można by rzec, zapisana mi w testamencie. Wziąłem na siebie to brzemie. Pracę polegającą na zarządzaniu nią, rozwijaniu jej, doprowadzeniu jej do tego dnia. Dnia rewolucji, jak to ująłeś.

Spółkę założył mój dziadek, jeszcze w dwudziestym wieku — ciągnął Rethrick. — Zawsze była własnością rodziny. I na zawsze taka pozostanie. Któregoś dnia Kelly wyjdzie za mąż, będzie miała dzieci i to one przejmą po mnie przedsiębiorstwo. Więc jednak zadbałem o jej przyszłość. Spółka została założona w Maine, niewielkim miasteczku w Nowej Anglii. Mój dziadek był niewiele znaczącym starym mieszkańcem tych terenów, oszczędny, uczciwy, namiętny obrońca niezależności. Miał jakieś małe przedsiębiorstwo, drobny warsztat naprawczy. A oprócz tego mnóstwo talentu. Kiedy się zorientowaliśmy, że rząd i wielki biznes kładą swoje łapy na wszystkim, zeszliśmy do podziemia. Rethrick Construction zniknęła z mapy. Rządowi trochę czasu zabrało podporządkowanie Maine swej władzy, więcej niż w innych miejscach. Kiedy reszta świata była podzielona między ponadnarodowe kartele i światowe państwa, pozostawał jeszcze Nowa Anglia, wciąż żywa. Wciąż wolna. Oraz mój dziadek i Rethrick Construction.

Przyjęliśmy do pracy kilku ludzi, mechaników, lekarzy, prawników, pewnego razu nawet redaktora tygodnika z Środkowego Zachodu. Spółka rosła. Pojawiła się broń, broń i wiedza. Czerpak czasowy i zwierciadło! Zbudowaliśmy fabrykę, w tajemnicy, ogromnym nakładem kosztów, budowa trwała naprawdę długo. Fabryka jest wielka. Wielka i głęboko wkopana w ziemię. Sięga wiele poziomów jeszcze niżej, niż widziałeś. On je widział, twoje alter ego. Dysponujemy mnóstwem energii. Energią i ludźmi, którzy znikają, znikają wciąż z map całego świata, naprawdę. My ich pierwsi dostajemy, najlepszych z nich.

Któregoś dnia, Jennings, zamierzamy z powrotem wyjść na powierzchnię. Rozumiesz, taka sytuacja nie może trwać wiecznie. Ludzie nie mogą żyć w ten sposób, ciskani w tę i z powrotem przez polityczne i ekonomiczne potęgi. Całe masy ludzi wyzyskiwane są w ten sposób, zależnie od potrzeb rządu lub kartelu. Pewnego dnia pojawi się jakiś ruch oporu. Silny, rozpaczliwy opór. Nie ze strony wielkich tego świata, potężnych, ale ze strony zwykłych ludzi. Kierowcy autobusów. Sprzedawcy.

Operatorzy ekranów. Kelnerzy. I wtedy nadejdzie odpowiedni czas, by we wszystko wkroczyła spółka.

Zamierzamy udzielić im pomocy, której będą potrzebowali: narzędzia, broń, wiedza. Zamierzamy sprzedać im nasze usługi. Będą w stanie nas wynająć. I będą potrzebowali kogoś, kogo będą mogli wynająć. Ponieważ przeciwko sobie będą mieli potężne sprzysiężenie. Potęgę bogactwa i władzy.

Zapadła cisza.

— Rozumiesz? — zapytała wreszcie Kelly. — Dlatego właśnie nie wolno ci się wtrącać. To jest spółka taty. Zawsze była. Tacy są właśnie ludzie z Maine. Spółka stanowi część rodziny. Należy do rodziny. Jest nasza.

— Przyłącz się do nas — powiedział Rethrick. — Jako mechanik Przykro mi, ale w ten sposób przemawia nasz ograniczony światopogląd. Być może jest rzeczywiście wąski, jednak zawsze robiliśmy wszystko w ten właśnie sposób.

Jennings nic nie powiedział. Przeszedł powoli przez biuro, wbił w kieszenie. Po chwili uniósł roletę i spojrzał na ulicę.

W dole, niczym mały czarny żuk, radiowóz bezpieki ruszył z miejsca, powoli płynąc wraz z ulicznym ruchem, który niestrudzenie przemierzał ulicę w obie strony. Potem zobaczył drugi radiowóz zaparkowany przy chodniku. Obok niego stali czterej funkcjonariusze PP w swych zielonych mundurach i już dołączali do nich następni, przechodząc przez ulicę. Opuścił roletę z powrotem.

— Nie jest to łatwa decyzja — oznajmił.

— Jeżeli wyjdiesz na zewnątrz, aresztują cię — powiedział Rethrick. — Przez cały czas tam stoją. Nie masz najmniejszych szans.

— Proszę... — powiedziała Kelly, spoglądając mu w oczy.

Znienacka Jennings uśmiechnął się.

— A więc nie chcesz mi powiedzieć, gdzie są dokumenty. Gdzie je schowałaś.

Kelly pokręciła głową.

— Zaczekajcie. — Jennings sięgnął do kieszeni. Wyciągnął mały skrawek papieru. Rozwinął go powoli, dokładnie mu się przyjrzał. — Czy przypadkiem nie złożyłaś ich w depozycie w Narodowym Banku Dunne, wczoraj około trzeciej po południu? Aby przechowali ci je w swoich sejfach?

Kelly jęknęła. Chwyciła swoją torebkę, zaczęła grzebać w jej wnętrzu. Jennings schował skrawek papieru — kwit depozytowy — z powrotem do kieszeni.

— A więc on widział nawet to — wymruczał. — Ostatni z drobiazgów. Zastanawiałem się, po cóż on będzie mi potrzebny.

Kelly nerwowo grzebała w torebce, z twarzą zupełnie dziką. Wyciągnęła wreszcie kawałek papieru i pomachała mm triumfalnie.

— Mylisz się! Jest! Wciąż go mam. — Napięcie powoli ją opuszczało. — Nie wiem, co ty masz, ale to jest...

W powietrzu ponad nimi coś się poruszyło. Jakby część przestrzeni zaczęła przybierać kształt ciemnego koła. Jego powierzchnia zadrżała. Kelly i Rethrick wpatrywali się w nią, zupełnie sparaliżowani.

Z ciemnego koła wynurzył się metalowy chwytak przymocowany do błyszczącego pręta. Chwytak opadł, zakołysał się szerokim łukiem. Porwał papier z palców Kelly. Zawahał się na moment. Potem znowu się uniósł i razem z nim kwitek zniknął w kole czerni. Następnie, w całkowitej ciszy, szpon pręt i koło zniknęły, w mgnieniu oka. Nie zostało po nich nawet śladu. W ogóle nic.

— Gdzie... gdzie on trafił? — wyszeptała Kelly. — Kwit. Co to w ogóle było?

Jennings poklepał się po kieszeni.

— Jest w bezpiecznym miejscu. Jest bezpieczny u mnie Zastanawiałem się właśnie, kiedy on się pokaże. Zaczynałem się już martwić.

Rethrick i jego córka stali w całkowitym milczeniu, najwyraźniej oboje przeżyli szok.

— Nie macie powodów, aby wyglądać tak nieszczęśliwie — powiedział Jennings. Splótł dłonie na piersiach. — Dokumenty są w bezpiecznym miejscu... i spółka też jest bezpieczna. Kiedy nadejdzie czas, wciąż taka będzie, silna i skłonna wspomóc rewolucję. Zadbamy o to wszyscy razem, ty, ja i twoja córka. — Spojrzał na Kelly, zmrużył oczy. — Cała nasza trójka. A może w owym czasie rodzina będzie liczyła już więcej członków!

Przełożył Jan Karłowski

MISTYFIKATOR

— Któregoś dnia pójdę na urlop — oświadczył Spence Olham przy pierwszym daniu. Spojrzał na żonę. — Myślę, że zasłużyłem sobie na trochę odpoczynku. Dziesięć lat to szmat czasu.

— A co z projektem?

— Wojnę wygramy i bez mojego udziału. Ta nasza gliniana kula wcale nie jest tak bardzo zagrożona. — Olham usiadł przy stole i zapalił papierosa. — Maszynki prasowe zniekształcają wiadomości, żeby sprawić wrażenie, iż Pozaziemianie są tuż-tuż. Wiesz, jak chciałbym spędzić wolny czas? Chciałbym wybrać się na wędrowkę z namiotem w te góry za miastem, gdzie byliśmy wtedy, pamiętasz? Ja znalazłem octowca, a ty mało co nie nadepnęłaś na tego niebiesko-czarnego węża.

— Sutton Wood? — Mary zaczęła zmywać naczynia. — Ten las spłonął kilka tygodni temu. Myślałam, że słyszałeś o tym. Był tam jakiś błysk ognia.

Olham opuścił ramiona z rezygnacją.

— I nawet nie próbowali się dowiedzieć, co było przyczyną? — Skrzywił się. — Nikogo to już nie obchodzi. Myślą tylko o wojnie. — Zacisnął szczęki i ujrzał to wszystko w wyobraźni: Pozaziemian, wojnę i iglicowe statki.

— Jak można myśleć o czymkolwiek innym?

Olham skinął głową. Rzecz jasna, miała rację. Ciemne małe statki z Alfy Centauri z łatwością omijały ziemskie krążowniki, które wyglądały przy nich jak bezradne żółwie. Walka, aż po Ziemię, była całkowicie jednostronna.

Cały czas, dopóki laboratorium Westinghouse nie zademonstrowało pęcherzyka ochronnego. Otaczał on największe miasta na Ziemi i samą planetę i stanowił pierwszą solidną formę obrony, pierwszą usankcjonowaną odpowiedź Pozamiianom, jak nazywały ich maszynki prasowe.

Jednakże zupełnie czym innym było zwycięstwo w tej wojnie. Każde laboratorium, każdy projekt pracował dzień i noc, bez końca, aby wynaleźć coś więcej: broń do walki pozytywnej. Ot, choćby ten projekt, w którym on sam brał udział. Całymi dniami, rok za rokiem.

Olham podniósł się, gasząc papierosa.

— Jak miecz Damoklesa. Wiecznie wisi nad nami. Jestem już zmęczony. Chcę tylko porządnie sobie wypocząć. Ale chyba każdy pragnie tego samego. — Wyjął marynarkę z szafki i wyszedł na ganek. Rakietka zaraz tu będzie, mała szybka pluskwa, która zawiezie go do pracy. — Mam nadzieję, że Nelson się nie spóźni. — Spojrzał na zegarek. — Już prawie siódma.

— Jest już pluskwa — oświadczyła Mary, wpatrując się w rzędy domów. Słońce lśniło nad dachami, odbijając się w ciężkich ołowianych taflach. Na osiedlu panował spokój; kręciło się tu tylko parę osób. — Zobaczymy się później. Postaraj się nie zostawać po godzinach, Spence.

Olham otworzył drzwiczki samochodu i wsiadł, po czym klapnął z westchnieniem na siedzenie z tyłu. Z Nelsonem był jakiś starszy mężczyzna.

— No więc? — zagadnął Olham, kiedy pluskwa ruszyła. — Jakieś interesujące wieści?

— To samo co zwykle — odrzekł Nelson. — Kilka statków Pozaziemian zaatakowało, ze względów strategicznych opuściliśmy kolejną asteroidę.

— Będzie dobrze, kiedy projekt znajdzie się w końcowym stadium. Może to tylko propaganda rozsiewana przez maszynki prasowe, ale ostatnio zaczęło mnie to wszystko mierzić. Wszystko wydaje się takie ponure i poważne, życie jest takie bezbarwne.

— Myśli pan, że tę wojnę toczymy na próżno? — nagle ów starszy mężczyzna. — Sam stanowi pan

jej nieodłączną część.

— To major Peters — wyjaśnił Nelson.

Olham i Peters uścisnęli sobie dłonie. Olham przyjrzał się starszemu mężczyźnie.

— Co pana sprowadza o tak wczesnej porze? — zapytał. — Nie przypominam sobie, żebym już pana widział przy projekcie.

— Nie, nie pracuję nad projektem — odrzekł Peters. — Wiem jednak co nieco o tym, czym się zajmujecie. Moja praca polega na czymś zupełnie innym.

On i Nelson wymienili spojrzenia. Olham zauważył to a zmarszczył brwi. Pluskwa nabierała prędkości, mknęła przez jałową, wymarłą ziemię w stronę widocznego w oddali wianuszka budynków projektu.

— Czym się pan zajmuje? — zapytał Olham. — A może nie wolno panu o tym mówić?

— Pracuję dla rządu — oświadczył Peters. — W FSA, organie bezpieczeństwa.

— O! — Olham uniósł brwi. — Czy wróg infiltruje ten rejon?

— Szczerze mówiąc, jestem tu, żeby zobaczyć się z panem, panie Olham.

Zdziwiło to Olhama. Zastanawiał się nad słowami Petersa, ale nic nie rozumiał.

— Zobaczyć się ze mną? Dlaczego?

— Mam pana aresztować, jako szpiega Pozaziemian. Dlatego właśnie jestem tu tak wcześnie rano.

Łap go, Nelson...

Olham poczuł rewolwer przystawiony do swoich żeber. Ręce Nelsona drżały od uwolnionych emocji. Twarz mu pobiładła. Wstrzymał oddech, po czym wypuścił powietrze z piersi.

— Zabijemy go teraz? — szepnął do Petersa. — Myślę, że powinniśmy zrobić to teraz. Nie możemy czekać.

Olham spojrzał badawczo w twarz przyjaciela. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nie padło z nich żadne słowo. Obaj mężczyźni przyglądali mu się uparcie, wytrwale i z ponurym przerażeniem na twarzach. Olhamowi zakręciło się w głowie; bolała go i jakby obracała się wokoło.

— Nie rozumiem — wymamrotał.

Wówczas pojazd oderwał się od ziemi i pospiesznie poszybował w przestrzeń. Poniżej widzieli oddalający się projekt, który stawał się coraz mniejszy, aż zniknął. Olham nic nie powiedział.

— Możemy trochę poczekać — stwierdził Peters. — Chcę zadać mu przedtem kilka pytań.

Olham patrzył tępo przed siebie, a pluskwa pędem przecinała przestrzeń.

— Aresztowanie przebiegło prawidłowo — powiedział Peters do wideoekranu, na którym pojawił się szef służby bezpieczeństwa. — Ten ciężar spadł już wszystkim z barków

— Jakież komplikacje?

— Żadnych. Wszedł do pluskwy, niczego nie podejrzewając. Chyba nie uznał mojej obecności za nic niezwykłego.

— Gdzie teraz jesteście?

— Odlatujemy, właśnie wydostaliśmy się z pęcherzyka ochronnego. Poruszamy się z maksymalną prędkością. Można przyjąć, że krytyczny moment jest za nami. Cieszę się, że silniki startowe w tym pojeździe tak pięknie pracują. Gdyby one nawaliły...

— Chcę go zobaczyć — rzekł szef bezpieczeństwa. — Spojrzał wprost na Olhama, który siedział z rękami złożonymi na kolanach i wzrokiem utkwionym przed sobą. — A więc to on. — Przyglądał się Olhamowi przez chwilę. Wreszcie skinął Petersowi. — Dobrze. Wystarczy. — Na jego twarzy pojawiły się niewyraźne oznaki obrzydzenia. — Zobaczyłem wszystko, co chciałem. Dokonał pan czegoś, co długo będziemy pamiętać. Przygotowują oficjalną notę na temat was obu.

— To niepotrzebne — stwierdził Peters.

— Jak duże grozi wam jeszcze niebezpieczeństwo? Czy jest wciąż możliwe, by...

— Jakieś prawdopodobieństwo jest, ale niewielkie. O ile dobrze rozumiem, trzeba wypowiedzieć jakieś zaszyfrowane hasło. W każdym razie musimy zaryzykować.

— Każę powiadomić bazę na Księżycu o waszym przybyciu.

— Nie. — Peters potrząsnął głową. — Wyląduję na zewnątrz, poza bazą. Nie chcę pochopnie narażać jej na niebezpieczeństwo.

— Jak pan sobie życzy. — Oko szefa bezpieczeństwa drgnęło, spojrzał na Olhama. Potem zaczął zniknąć. Na ekranie zapanowała pustka.

Olham spojrzał na okno. Statek minął już pęcherzyk ochronny i mknął coraz szybciej. Peters spieszył się: silniki z rykiem pracowały na pełnych obrotach. Bali się i uciekali w popłochu — z jego powodu.

Siedzący obok niego Nelson poruszył się niespokojnie.

— Według mnie powinniśmy zrobić to teraz — powiedział. — Oddałbym wszystko, byle mieć to już za sobą.

— Tylko spokojnie — odrzekł Peters. — Chcę, żebyś oprowadził przez jakiś czas statek, a ja z nim pogadam.

Podszedł szybko do Olhama i spojrzał mu prosto w oczy. Potem wyciągnął rękę i dotknął ostrożnie jego ręki i policzka.

Olham nic nie odpowiedział. Gdybym tylko mógł dać znać Mary, myślał. Gdybym tylko wiedział, jak to zrobić. Rozejrzał się po statku. Jak? Przez wideoekran? Nelson siedział za sterami i trzymał w ręku rewolwer. Nic nie mógł zrobić. Był w potrzebie, w pułapce. Ale dlaczego?

— Niech pan posłucha — rzekł Peters. — Chcę zadać panu kilka pytań. Wie pan, dokąd lecimy. Kierujemy się w stronę Księżyca. Za godzinę wylądujemy na jego drugiej stronie, tej opuszczonej. Gdy tylko wylądujemy, przekazemy pana grupie ludzi, którzy będą tam na nas czekać. Pańskie ciało zostanie natychmiast zniszczone. Czy pan mnie rozumie? — Spojrzał na zegarek. — Za dwie godziny kawałki pańskiego ciała będą leżały porozrzucane na powierzchni. Nic z pana nie zostanie.

Olham z trudem otrząsnął się z letargu.

— Czy może mi pan powiedzieć...

— Oczywiście, powiem panu. — Peters skinął głową. — Dwa dni temu otrzymaliśmy raport, że statek Pozaziemian przedostał się przez pęcherzyk ochronny. Wsiadł z niego szpieg w postaci humanoidalnego robota. Miał zniszczyć pewnego człowieka i zająć jego miejsce. — Spojrzał spokojnie na Olhama. — W robocie znajdowała się bomba U. Nasz agent nie dowiedział się, w jaki sposób można ją zdetonować, ale doszedł do wniosku, że może to polegać na wypowiedzeniu określonych słów. Robot prowadziłby życie osoby, którą zabił, zajmowałby się tym, co zwykle, wykonywałby jego pracę, prowadził jego życie towarzyskie. Został tak skonstruowany, by przypominać ową osobę. Nikt by nie zauważył różnicy.

Olham pobladł, jakby dostał ataku jakiejś groźnej choroby.

— Osobą, w którą robot miał się wcielić, był Spence Olham, wysoko postawiony pracownik jednego z projektów naukowych. Ponieważ ten właśnie projekt zbliżał się do najważniejszej fazy, obecność ożywionej bomby, która przemieszcza się do jego serca...

Olham spojrzał na swoje ręce.

— Ale ja naprawdę jestem Olham!

— Gdy robot zlokalizował i zabił Olhama, przejęcie ról życiowych tego człowieka było już błahostką. Robot zszedł ze statku najprawdopodobniej osiem dni temu. Zamiana nastąpiła zapewne w ciągu ostatniego weekendu, kiedy Olham wybrał się na krótki spacer na wzgórze.

— Ale ja jestem Olham. — Mężczyzna zwrócił się do siedzącego za sterami Nelsona: — Nie poznajesz mnie? Znasz mnie od dwudziestu lat. Nie pamiętasz, jak razem chodziliśmy do college'u? — Wstał. — Razem byliśmy na uniwersytecie. Mieliśmy ten sam pokój. — Ruszył ku niemu.

— Nie zbliżaj się do mnie — warknął Nelson.

— Posłuchaj. Pamiętasz nasz drugi rok? Pamiętasz tę dziewczynę? Miała na imię... — Pomasował sobie czoło. — Ta z ciemnymi włosami. Poznaliśmy ją u Teda.

— Przestań! — Nelson pogroził mu rewolwerem jak oszalały. — Nie chcę tego dłużej słuchać. Zabiłeś go, ty... maszyno!

Olham spojrział na Nelsona.

— Mylisz się. Nie wiem, co się stało, ale robot nigdy mnie nie znalazł. Coś poszło nie tak. Może statek się rozbił — Zwrócił się do Petersa: — Jestem Olham, wiem to. Nie by'0 żadnego transferu. Jestem taki sam jak zawsze. — Dotykał swego ciała od stóp do głowy. — Musi być jakiś sposób, by to udowodnić. Zabierzcie mnie z powrotem na Ziemię. Zdjęcie rentgenowskie, badanie neurologiczne czy coś podobnego da wam dowód. A może znajdziemy rozbity statek.

Peters i Nelson milczeli.

— Jestem Olham — powtórzył znowu. — Wiem o tym. Ale nie potrafię tego udowodnić.

— Robot — odezwał się Peters — nie miałby świadomości, — że nie jest prawdziwym Spence'em Olhamem. Stałby się Olhamem zarówno ciałem, jak i umysłem. Został wyposażony w sztuczny system pamięci, w fałszywą pamięć. Wglądałby jak Olham, miałby jego wspomnienia, myśli i zainteresowania, wykonywałby jego pracę. Ale istniałaby jedna różnica. W środku robota jest bomba U, która eksploduje na dźwięk właściwego wyrażenia. — Odsunął się nieco. — To jedyna różnica. Dlatego zabieramy pana na Księżyc. Rozłożą tam pana i usuną bombę. Może wybuchnie, ale tam to będzie bez znaczenia.

Olham usiadł powoli.

— Wkrótce tam będziemy — stwierdził Nelson.

Olham oparł się wygodnie i myślał gorączkowo; statek tymczasem powoli obniżał lot. Pod nimi rozciągała się podziobana powierzchnia Księżyca, bezkresny obszar ruin. Co mógł zrobić? Co by go uratowało?

— Proszę się przygotować — powiedział Peters.

Za kilka minut zginie. Daleko w dole widział maleńką kropkę, jakiś budynek. W środku siedzieli jacyś ludzie, saperzy, który czekali, aby rozszarpać go na kawałki. Rozedrą mu brzuch, odetną ręce i nogi, połamią na kawałki. Kiedy nie znajdą bomby, zdziwią się; zrozumieją, ale będzie już za późno.

Olham rozejrzał się po niewielkiej sterowni. Nelson wciąż miał broń w ręku. Tu nie miał szans. Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do lekarza, zbadać się — tylko tak mógł znaleźć ratunek. Mary mogłaby mu pomóc. Myślał gorączkowo, pospiesznie. Tylko parę minut, niewiele czasu mu zostało. Gdyby mógł się z nią skontaktować, w jakiś sposób przekazać jej wiadomość.

— Spokojnie — powiedział Peters.

Statek osiadał powoli, podskakując na nierównym gruncie. Nastąpiła cisza.

— Posłuchajcie — rzekł Olham grubym głosem. — Potrafię udowodnić, że jestem Spence Olham. Przyprawdźcie lekarza. Tutaj...

— Idzie oddział — zauważył Nelson. — Zbliżają się. Spojrział nerwowo na Olhama. — Mam nadzieję, że nic się nie zdarzy.

— Odlecimy, zanim zabiorą się do roboty — uspokoił Peters. — Za chwilę już nas tu nie będzie.

Włożył skafander ciśnieniowy. Potem wziął od Nelsona rewolwer.

— Popilnuję go przez chwilę.

Nelson również włożył kombinezon, spiesząc się przy tym nieporadnie.

— A co z nim? — Wskazał na Olhama. — Damy też i jemu?

— Nie. — Peters potrząsnął przecząco głową. — Roboty chyba nie potrzebują tlenu.

Grupa ludzi znalazła się już przy statku. Zatrzymali się i czekali. Peters dał im znak.

— Wejdźcie! — Pomachał ręką i ludzie ostrożnie zaczęli się zbliżać; były to sztywne, groteskowe postaci w napompowanych skafandrach.

— Jeśli otworzysz drzwi — rzekł Olham — ja umrę. To będzie morderstwo.

— Otwieramy — powiedział Nelson. Wyciągnął rękę do klamki.

Olham patrzył na niego. Widział, jak dłoń mężczyzny zacisnęła się na metalowym uchwycie. Za chwilę drzwi staną otworem, a powietrze z szumem wyleci z wnętrza. Umrze, a oni od razu zrozumieją swój błąd. Być może w innym czasie, gdyby nie było wojny, ludzie nie zachowywaliby się w ten sposób, nie doprowadzaliby do śmierci innego człowieka tylko dlatego, że sami odczuwali strach. Każdy był przerażony, pod wpływem popłochu, który ogarnął wszystkich, każdy wolał poświęcić jednostkę.

Zabijali go, ponieważ nie mogli doczekać się chwili, kiedy będą mieli pewność co do jego winy. Nie mieli czasu.

Spojrzał na Nelsona. Nelson był jego przyjacielem od lat. Razem chodzili do szkoły. Był drużbą na jego weselu. A teraz Nelson chciał go zabić. Ale nie był zły; to nie jego wina. Takie czasy. Może tak samo było podczas zarazy. Kiedy na czyimś ciele znajdowano plamkę, zapewne zabijano tę osobę bez wahania, bez dowodu, kierując się jedynie podejrzeniem. W czasach zagrożenia nie istniały inne rozwiązania.

Nie winił ich. Ale chciał żyć. Życie jest zbyt cenne, by je poświęcać. Olham myślał szybko. Co mógł zrobić? Cokolwiek. Rozejrzał się wokół.

— Są już — powiedział Nelson.

— Macie rację — odezwał się Olham. Sam się zdziwił, słysząc swój głos. Rozpacz dodała mu siły. — Nie potrzebuję powietrza. Otwierajcie.

Zatrzymali się i patrzyli na niego z zaciekawieniem i niepokojem.

— No dalej. Otwierajcie. To bez różnicy. — Ręka Olhama zniknęła pod marynarką. — Ciekawe, jak szybko potraficie biegać.

— Biegać?

— Macie piętnaście sekund życia. — Przekręcił palcami pod ubraniem, ręka nagle mu zesztyniała. Rozluźnił ją i lekko się uśmiechnął. — Myliliście się co do tego wyrażenia. W tym wypadku byliście w błędzie. Zostało czternaście sekund.

Dwie przerażone twarze wpatrywały się w niego spod skafandrów. Potem rzucili się do drzwi i otworzyli je gorączkowo. Powietrze uciekło z piskiem w próżnię. Peters i Nelson wypadli ze statku jak strzała. Olham ruszył za nimi. Chwycił drzwi i zatrzęsł je z powrotem. Automatyczny system regulacji ciśnienia sapnął z furją, powietrze wróciło. Olham zadygotał, wypuszczając z płuc wstrzymywane powietrze.

Jeszcze sekunda...

Za oknem dwaj mężczyźni przyłączyli się do grupy, która teraz się rozpadła, każdy biegł w inną stronę. Jeden po drugim, wszyscy rzucali się na ziemię i pozostawali na niej twarzą do dołu. Olham usiadł za sterami. Ustawił pokrętła na właściwych miejscach. Gdy statek uniósł się w powietrze, udzie wstali z ziemi i zadarli głowy do góry, patrząc z otwartymi ustami.

— Przykro mi — mruknął Olham — ale muszę wrócić na Ziemię.

Skierował statek tą samą drogą, którą przylecieli.

Zapadła noc. Wokół statku cykały świerszcze, zakłócając spokój chłodnej ciemności. Olham pochylił się nad wideoekranem. Stopniowo ukazał mu się obraz; łączność została nawiązana bez przeszkód. Odetchnął z ulgą.

— Mary — powiedział.

Kobieta spojrzała na niego. Z wrażenia ją zatkało.

— Spence! Gdzie jesteś? Co się stało?

— Nie mogę ci powiedzieć. Posłuchaj, muszę mówić szybko. W każdej chwili mogą przerwać to połączenie. Jedź na teren projektu i sprowadź doktora Chamberlaina. Jeśli go tam nie będzie, znajdź jakiegoś innego lekarza. Sprowadź do domu i każ mu tam czekać. Przypilnuj, żeby wziął sprzęt rentgena, fluoroskop, wszystko.

— Ale...

— Rób, co mówię. I spiesz się. Ma być gotów w ciągu godziny. — Olham pochylił się nad ekranem. — Czy wszystko w porządku? Jesteś sama?

— Sama?

— Czy ktoś jest z tobą? Czy... czy Nelson albo ktoś inny kontaktował się z tobą?

— Nie. Spence, ja nic nie rozumiem.

— Dobrze. Zobaczymy się w domu za godzinę. I nikomu me nie mów. Ściągnij tu Chamberlaina pod byle pretekstem. Powiedz, że jesteś bardzo chora.

Zakończył nadawanie i spojrzał na zegarek. Chwilę później opuścił statek i wyszedł w ciemności. Miał przed sobą pół mili drogi.

Ruszył.

W oknie zabłysło pojedyncze światło, pochodziło z gabinetu. Obserwował je, kłękając przy płocie. Niczego nie słyszał, nie wychwycił żadnego poruszenia. Podniósł rękę do twarzy i popatrzył na zegarek w blasku gwiazd. Minęła prawie godzina.

Ulicą nadleciała pluskwa. Pomknęła dalej.

Olham spojrzał na dom. Lekarz powinien się już zjawić. Powinien czekać z Mary w środku. Przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Czy udało się jej opuścić dom? Może ją przechwycili. Może zbliżał się do pułapki.

Ale co innego mógł zrobić?

Świadectwa od lekarza, zdjęcia i raporty dawały mu szansę, by znaleźć dowód. Jeśli zostanie przebadany, jeśli przeżyje tak długo, by ktoś zdążył go zbadać...

W ten sposób mógłby przedstawić im dowód. To chyba jedyna możliwość. Jego jedyna nadzieja znajdowała się w domu. Doktor Chamberlain to szanowany człowiek. Był lekarzem personelu projektu. On by wiedział, z jego słowem w tej sprawie musieliby się liczyć. Pokonałby ich histerię, szła za pomocą faktów.

Szał — właśnie temu dali się ponieść. Gdyby tylko zczekali, działali powoli, nie spieszyli się. Musiał umrzeć i to natychmiast, bez dowodu, bez żadnego procesu czy badania. Najprostszy test wszystko by wyjaśnił, ale nie mieli na to czasu. Potrafili myśleć tylko o niebezpieczeństwie i o niczym innym.

Podniósł się i ruszył w stronę domu. Wszedł na ganek. Przy drzwiach zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wciąż nic. W domu panowała absolutna cisza.

Było tu zbyt cicho.

Olham stał bez ruchu na ganku. Ci w środku usiłowali zachowywać ciszę. Dlaczego? To mały

dom, zaledwie kilka kroków za drzwiami powinni być Mary i doktor Chamberlain. A jednak nic nie słyszał, żadnych głosów, zupełnie nic. Spojrzał na drzwi. Otwierał je i zamykał tysiące razy, każdego ranka i każdej nocy.

Położył dłoń na klamce. Wtem nieoczekiwanie sięgnął do dzwonka. Odezwał się gdzieś w głębi domu. Olham uśmiechnął się. Usłyszał, jak ktoś się poruszył.

Mary otworzyła drzwi. Gdy tylko ją zobaczył, wszystko zrozumiał.

Uciekł, rzucając się w zarośla. Oficer służb bezpieczeństwa odsunął Mary na bok i strzelił, trzymając broń tuż obok kobiety. Zarośla wyleciały w powietrze. Olham zwinnie obrócił się za rogiem budynku. Zerwał się na nogi i rzucił się ciekłe w majaczące przed nim ciemności. Dopadł go jednak reflektor, promień światła otoczył go ze wszystkich stron.

Przebiegł przez ulicę i przecisnął się przez płot. Zeskoczył i ruszył przed podwórze. Za nim biegli ludzie z bezpieki, zbliżali się, nawołując jeden drugiego. Olham zachłysnął się, zaczerpując powietrza, jego pierś wznosiła się i opadała.

Jej twarz... od razu zrozumiał. Zaciśnięte wargi, przerażone, umęczone oczy. Nagrali ich rozmowę i przyszli tu, jak tylko przestał rozmawiać z Mary. Pewnie im uwierzyła. Na pewno i ona uważała go za robota.

Olham biegł bez przerwy. Zostawiał policjantów, jednego po drugim. Najwyraźniej bieganie nie było ich mocną stroną. Wspiął się na wzgórze i zbiegł po drugiej stronie. Za chwile znajdzie się z powrotem przy statku. Ale dokąd tym razem? Zwolnił, wreszcie zatrzymał się. Stąd widział już swój pojazd, który rysował się na tle nieba w miejscu, gdzie go zostawili. Osada była już daleko; znalazł się na skraju pustkowia rozdzielającego zamieszkałe obszary, tam gdzie zaczynają się lasy i pustka. Przeszedł przez jałowe pole i wkroczył pomiędzy drzewa.

Gdy zbliżył się do statku, otworzyły się drzwi.

Wyszedł przez nie Peters, obramowany światłem. Trzymał w ręku ciężki rewolwer marki Boris. Olham zatrzymał się zeszywniały. Peters rozglądał się wokoło w otaczających go ciemnościach.

— Wiem, że gdzieś tu jesteś — powiedział. — Chodź tu, Olham. Otaczają cię ludzie z bezpieki.

Olham się nie poruszył.

— Posłuchaj mnie. Niedługo cię złapiemy. Najwyraźniej wciąż nie wierzysz, że jesteś robotem. To, że kontaktowałeś się z tą kobietą, wskazuje, że wciąż jesteś pod wpływem iluzji wytworzonej przez sztuczne wspomnienia. Ale ty jesteś robotem. Jesteś tym właśnie robotem i masz w sobie bombę. W każdej chwili może paść to właściwe wyrażenie; ty je wypowiesz albo ktoś inny, ktokolwiek. Jeśli tak się stanie, bomba zniszczy wszystko na wiele mil wokoło. Projekt, kobieta, wszyscy zginiemy. Rozumiesz mnie?

Olham nie odpowiedział. Nasłuchiwał. Ludzie zbliżali się do niego, jeden po drugim wynurzali się z lasu.

— Jeśli nie wyjdiesz, złapiemy cię. To tylko kwestia czasu. Nie mamy już zamiaru przewozić cię na bazę Księżycu. Zostaniesz unicestwiony na miejscu i będziemy musieli zaryzykować, że bomba wybuchnie. Wezwałem wszystkich policjantów z okolicy, jakich mogłem. Przeszukują cały okrąg. Cał po calu. Nie masz dokąd pójść. Wokół tego lasu czeka kordon uzbrojonych ludzi. Zostało ci jeszcze jakieś sześć godzin, zanim przeszukamy ostatni skrawek terenu.

Olham wycofał się. Peters mówił dalej; wcale go nie widział. Ale Peters miał rację. Nie miał dokąd pójść. Opuścił osadę, znalazł się na przedmieściach, gdzie zaczyna się las. Mógłby ukrywać się przez jakiś czas, ale w końcu go złapią.

To tylko kwestia czasu.

Olham cicho przedzierał się przez las. Cały okrąg, mila po mili, był odmierzany, obnażany,

przeszukiwany, badany, testowany. Kordon bez przerwy podchodził coraz bliżej, wciskając go w coraz mniejszą przestrzeń.

Co pozostało? Stracił statek, jedyną nadzieję na ucieczkę. Byli w jego domu; jego żona przystąpiła do nich, niewątpliwie wierząc, że prawdziwy Olham zginął. Zacisnął pięści. Gdzieś leżał roztrzaskany statek Pozaziemian, a w nim szczątki robota. Gdzieś w pobliżu statek ten się rozbił i rozleciał na kawałki.

W środku leżał zniszczony robot.

Zaświtała mu słaba nadzieja. Co będzie, jeśli uda mu się znaleźć te szczątki? Jeśli pokaże im wrak, szczątki statku, robota...

Ale gdzie? Gdzie może to znaleźć?

Szedł dalej w zamyśleniu. Prawdopodobnie to jest gdzieś w pobliżu. Statek powinien był wylądować blisko Projektu; robot powinien resztę drogi przemierzyć pieszo. Olham wszedł na wzgórze i rozejrzał się wokoło. Zniszczone i spalone. Czy istnieje jakiś klucz, jakaś wskazówka? Czy przeczytał coś, a może usłyszał? O jakimś miejscu w pobliżu, dokąd można dojść pieszo. Jakieś niedostępne miejsce, odległe, w którym nie ma ludzi.

Nagle Olham uśmiechnął się. Zniszczone i spalone...

Sutton Wood.

Przyspieszył kroku.

Był ranek. Światło słoneczne przebijało się przez połamane drzewa i padało na człowieka przykucniętego na skraju polany. Od czasu do czasu Olham podnosił głowę i nasłuchiwał. Byli już niedaleko, o parę minut drogi od niego. Uśmiechnął się.

Poniżej leżały splątane szczątki statku, porozrzucane po polanie i zwęglonych pniakach, które kiedyś tworzyły Sutton Wood. W blasku słońca szczątki połyskiwały mrocznie. Niespecjalnie się natrudził, by to znaleźć. Dobrze znał Sutton Wood; wdrapywał się tu wiele razy, kiedy był młodszy. Wiedział, gdzie znajdzie szczątki. Był tu jeden szczyt, który nieoczekiwanie wystrzeliwał w górę. Lądujący statek, którego załoga nie zna lasu, miał niewielkie szansę, by go ominąć. Olham przykucnął, spoglądając na statek, a raczej na to, co z niego zostało. Wstał. Słyszał ich, byli tuż — tuż; nadchodzili razem, rozmawiając ściszymi głosami. Zesztywniał. Wszystko zależy od tego, kto pierwszy go zobaczy. Jeśli Nelson, nie będzie miał żadnych szans. Nelson strzeli od razu. On sam zginie, zanim dostrzegą statek. Jeżeli jednak będzie miał dość czasu, by zawołać do nich, by zatrzymać ich na chwilę... Tylko tego potrzebuje. Kiedy zobaczą statek, Olham będzie bezpieczny.

Ale jeśli najpierw strzelą...

Trzasnęła przepalona gałązka. Pojawiła się jakaś postać, która niepewnie szła naprzód. Olham zaczerpnął głęboko tchu. Pozostało tylko kilka sekund, być może to ostatnie sekundy jego życia. Podniósł ręce i uważnie badał wzrokiem ciemności.

To Peters.

— Peters! — Olham pomachał do niego.

Peters uniósł broń i wycelował.

— Nie strzelaj! — Głos Olhama przeszedł w pisk. — Zaczekaj chwilę. Spójrz za mnie, na polanę.

— Znalazłem go! — krzyknął Peters.

Ludzie zaczęli wysypywać się z otaczającego go spalonego lasu.

— Nie strzelajcie! Spójrzcie za mnie. Statek, iglicowy statek. To statek Pozaziemian. Spójrzcie!

Peters zawahał się. Broń zachybotwała.

— Jest tam, w dole — mówił pośpiesznie Olhaff — Wiedziałem, że go tu znajdę. W spalonym lesie. Teraz mi uwierzcie. Szczątki robota znajdziecie w środku statku. Sprawdźcie to, dobrze?

— Coś tu jest na dole — rzekł ze zdenerwowaniem jeden z ludzi.

— Zastrzelić go! — odezwał się ktoś. To był Nelson.

— Zaczekaj — odrzekł ostro Peters. — Ja tu dowodzę. Niech nikt nie strzela. Może mówi prawdę.

— Zastrzelić go — powtórzył Nelson. — On zabił Olhama. W każdej chwili może zabić nas wszystkich. Jeśli bomba wybuchnie...

— Zamknij się. — Peters zbliżył się do zbocza. Popatrzył w dół, — Spójrzcie na to. — Skinął, by dwaj mężczyźni odeszli do niego. — Zejdźcie tam i zobaczcie, co to takiego.

Mężczyźni zbiegli po stoku i przecięli polanę. Pochylili się i dźgali szczątki statku.

— No i?! — zawołał Peters.

Olham wstrzymał oddech. Uśmiechnął się nieznacznie. Musi tam być; nie miał czasu, by samemu to sprawdzić, ale musiał tam być. Nagle ogarnęły go wątpliwości. A co będzie, jeśli robot żył na tyle długo, by stąd odejść? Co będzie, jeśli jego szczątki są całkowicie zniszczone, spalone na popiół?

Obliznął wargi. Pot wystąpił mu na czoło. Nelson przyglądał się Olhamowi, na jego twarzy wciąż jeszcze malowała się wściekłość. Jego pierś wznosiła się i opadała.

— Zabijcie go — rzekł Nelson. — Zanim on nas zabije.

Dwaj mężczyźni powstali.

— Co znaleźliście? — zapytał Peters. Pewnie trzymał strzelbę. — Coś tam jest?

— Na to wygląda. No tak, to iglicowy statek. Coś leży obok niego.

— Sam zobaczę. — Peters minął Olhama.

Olham patrzył, jak Peters schodzi ze wzgórza i podchodzi do dwójki mężczyzn. Pozostali ruszyli za nim, mrużąc oczy w ciemnościach.

— To jakieś ciało — zawyrokował Peters. — Spójrzcie!

Olham przyłączył się do nich. Stali w kręgu i patrzyli w dół.

Na ziemi leżało zgięte i powykręcane ciało o groteskowym kształcie. Mogło należeć do człowieka, tylko że było tak dziwnie wygięte, nogi i ręce rozrzucone były we strony. Usta się nie zamknęły; oczy zaszyły mgłą.

— Wygląda jak maszyna, której skończyło się zasilanie — mruknął Peters.

Olham uśmiechnął się słabo.

— No więc? — zapytał. Peters spojrzał na niego.

— To nie do wiary. Przez cały czas mówiłeś prawdę.

— Robot nigdy mnie nie znalazł — powiedział Olham. Wyjął papierosa i zapalił go. — Uległ zniszczeniu, gdy statek się rozbił. Byliście zbyt zajęci wojną, by się zastanawiać dlaczego leżący na uboczu las nagle stanął w płomieniach. Teraz już wiecie.

Stał, paląc papierosa i patrząc na zebranych. Odciągali groteskowe zwłoki od statku. Ciało było sztywne, ręce i nogi nie chciały się zginać.

— Tu znajdziecie tę bombę — rzekł Olham. Mężczyźni położyli ciało na ziemi. Peters pochylił się nad nim.

— Chyba widzę jej krawędź — wyciągnął rękę i dotknął zwłok.

Pierś denata była otwarta. W ranie coś połyskiwało, jakiś metal. Ludzie patrzyli na to i nic nie mówili.

— To zabiłoby nas wszystkich, gdyby on żył — powiedział Peters. — To metalowe pudełko.

Zapadło milczenie.

— Chyba jesteśmy ci coś winni. — Peters zwrócił się do Olhama. — To musiał być dla ciebie

koszmar. Gdybyś nie uciekł, my... — urwał.

Olham zgasił papierosa.

— Rzecz jasna wiedziałem, że robot nigdy mnie nie znalazł. Ale nie miałem jak tego udowodnić. Czasami nie można czegoś udowodnić tak od razu. Na tym polegał problem. Nie wiedziałem, jak pokazać, że jestem sobą.

— Co powiesz na urlop? — zaproponował Peters. — Myślę, że uda nam się załatwić ci miesiąc wolnego. Mógłby odsapnąć, odprężyć się.

— Teraz chcę tylko iść do domu — odrzekł Olham.

— Dobrze — zgodził się Peters. — Rób, co chcesz.

Nelson ukucnął przy zwłokach. Sięgnął do metalu, który połyskiwał w klatce piersiowej.

— Nie dotykaj — ostrzegł Olham. — Wciąż jeszcze może wybuchnąć. Lepiej zostawmy to saperom, zajmą się tym później.

Nelson nie odpowiedział. Nagle włożył rękę do klatki i chwycił metalowy przedmiot. Wyjął dłoń.

— Co ty wyprawiasz?! — zawołał Olham.

Nelson wstał. Mocno trzymał metalowy przedmiot. Na jego twarzy zastygł wyraz przerażenia. Miał w ręku metalowy nóż, nóż-igłę Pozaziemian, umazany we krwi.

— To go zabiło — wyszeptał Nelson. — Tym zabito mojego przyjaciela. — Spojrzał na Olhama. — Zabiłeś go tym i zostawiłeś przy statku.

Olham drżał. Zęby mu dzwoniły. Patrzył to na nóż, to na ciało.

— To nie może być Olham — powiedział. W głowie mu się kręciło, wszystko wirowało przed oczami. — Czy się myliłem? — Ze zdumienia otworzył usta. — Ale jeśli to jest Olham, to ja muszę być...

Nie dopowiedział jednak zdania. Wybuch widać było aż na Alfie Centauri.

Przełożył Tomasz Oljasz

KOLONIA

Major Lawrence Hall pochylił się nad dwuokularowym mikroskopem i zaczął regulować ostrość.

— To ciekawe — mruknął.

— Prawda? Jesteśmy na tej planecie już trzy tygodnie i wciąż nie znaleźliśmy szkodliwych form życia. — Porucznik Friendly usiadł na skraju laboratoryjnego stołu, uważając na miseczki z kulturami. — Co to za miejsce? Żadnych zarazków, wesz, much, szczurów ani...

— Ani whisky, ani dzielnic z domami publicznymi. — Hall wyprostował się. — To dopiero miejsce. Byłem pewien, że ten napar okaże się czymś zbliżonym do bakterii z Ziemi. Albo do marsjańskiego piaszczystego korkociągu gnilnego.

— Ale wszystko na tej planecie jest nieszkodliwe. Wiesz, zastanawiam się, czy to nie jest ten eden, który utracili nasi przodkowie.

— Z którego ich wyrzucono.

Hall podszedł do okna laboratorium i zapatrzył się. Musiał przyznać, że przedstawiał mu się atrakcyjny widok. Wszędzie lasy i wzgórza, zielone zbocza ożywione kwiatami i nie kończącymi się rzędami winorośli; wodospady i wiszące mchy; drzewa owocowe, hektary kwiatów, jezior. Starali się, by za wszelką cenę zachować po wierzchnie Błękitnej Planety w nienaruszonym stanie — jak postanowiono na pierwszym statku zwiadowczym, który przybył tu przed sześcioma miesiącami.

Hall westchnął.

— To dopiero miejsce. Nie miałbym nic przeciwko temu, by wrócić tu za jakiś czas.

— Przy niej Ziemia wygląda na trochę pustą. — Friendly wyjął papierosy, ale zaraz schował je z powrotem. — Wiesz, to miejsce dziwnie na mnie działa. Rzuciłem palenie. Chyba przez wygląd tej planety. Jest tak... tak cholernie czysta. Nieskalana. Nie mogę palić ani rozrzucać papierków. Nie mogę zmusić się, by czuć się tu jak na pikniku.

— Już niedługo ludzie zaczną tu przyjeżdżać na pikniki — stwierdził Hall i wrócił do mikroskopu. — Spróbuję jeszcze z kilkoma kulturami. Może w końcu znajdę śmiertelny zarazek.

— Próbuje dalej. — Porucznik Friendly zeskoczył ze stołu — Zobaczmy się później, sprawdzę, czy ci się poszczęściło. W Pokoju numer 1 jest teraz duża konferencja. Są prawie gotowi, by pozwolić BE przysłać tu pierwszą grupę kolonistów.

— Na piknik!

Friendly uśmiechnął się.

— Niestety.

Drzwi zamknęły się za nim. Na korytarzu rozległy się odgłosy jego kroków. Hall został w laboratorium sam.

Przez jakiś czas siedział w zamyśleniu. Potem pochylił się i wyjął przezrocze z podstawki mikroskopu, wybrał nowe, po czym przyjrzał się szkiełku pod światło, by przeczytać opis. W laboratorium było ciepło i cicho. Światło słoneczne wpadało tu przez okna i pokrywało podłogę. Za oknem drzewa poruszyły się lekko na wietrze. Poczł się śpiący.

— Tak, na piknik — mruknął niechętnie. Umocował nowe przezrocze. — Wszyscy przyjadą tu ścinać drzewa, wrywać kwiaty, pluć do jezior, wypalać trawy. Nie ma tu nawet wirusa grypy... — urwał, głos uwiązł mu w gardle.

Uwiązł, ponieważ dwa wzierniki mikroskopu nagle owinęły się wokół jego tchawicy i usiłowały go udusić. Hall szarpał je, ale one bezlitośnie zagłębiały się w jego gardło, stalowe zęby zaciskały się jak ramiona pułapki.

Cisnął mikroskop na podłogę i odskoczył. Mikroskop szybko popęzł ku niemu i zaczął się o jego nogę. Kopnął w niego nogą i uwolnił się, po czym wyciągnął miotacz płomieni.

Mikroskop uciekł w podskokach, przetaczając się na chropowatych dźwigniach. Hall wystrzeżił. Mikroskop zniknął w chmurze metalicznych cząsteczek.

— Dobry Boże! — Hall usiadł niepewnie, ocierając twarz. — Co, do... — Pomasaował sobie gardło. — Co do diabła!

Sala konferencyjna wypełniła się po brzegi. Przyszli t wszyscy oficerowie, którzy pracowali na Błękitnej Planecie Komandor Stella Morrison stuknęła w wielką kontrolną mapę końcem cienkiego plastikowego wskaźnika.

— Ten podłużny, płaski obszar doskonale nadaje się, by założyć tu miasto. Znajduje się blisko wody, a warunki pogodowe są na tyle zmienne, że zapewnią osadnikom temat do rozmów. Są tu ogromne zasoby różnorodnych minerałów Koloniści będą mogli zbudować własne fabryki. Nie będą musieli niczego importować. Tutaj widzimy największy las na tej planecie. Jeśli będą rozsądni, zostawią go w spokoju. Ale jeśli zechcą przerobić go na gazety, to nie nasza sprawa. — Rozejrzała się po sali pełnej milczących ludzi. — Bądźmy realistami. Niektórzy z was myśleli sobie, że nie powinniśmy wysłać do Biura Emigracyjnego oceny pozytywnej, lecz zatrzymać planetę dla siebie, aby móc na nią wracać. Pragnęłabym tego tak samo jak każdy z was, ale w ten sposób jedynie narobiliśmy sobie kłopotów. To nie jest nasza planeta. Przybyliśmy tu, aby wykonać pewne zadanie. Kiedy je wypełnimy, przeniesiemy się dalej. A jesteśmy już blisko końca. A więc dajmy sobie spokój z takimi pomysłami. Pozostaje tylko wysłać sygnał pozytywnej oceny, a potem będzie czas na pakowanie się.

— Czy dotarł już raport o bakteriach z laboratorium? — zapytał wicekomandor Wood.

— Oczywiście, poszukujemy ich ze szczególną uwagą — Ale z tego, co słyszałam ostatnio, niczego nie znaleziono. Myślę, że możemy to pominąć i skontaktować się z BE. Żeby przysłali po nas statek, no i aby skierowali tu pierwszą grupę osadników. Nie widzę powodu, by... — urwała.

Po sali przeszedł pomruk. Głowy wszystkich zgromadzonych obróciły się ku drzwiom.

Komandor Morrison zmarszczyła brwi.

— Majorze Hall, pozwól pan, że przypomnę, iż nikomu nie wolno przeszkadzać radzie w trakcie jej obrad!

Hall kołysał się w przód i w tył, wspierając się na kłance. Nieobecny wzrokiem rozejrzał się po sali. Wreszcie jego zaszkłone oczy dojrzały porucznika Friendly'ego, który siedział pośrodku zgromadzenia.

— Chodź — polecił ochrypłym głosem.

— Ja? — Friendly zapadł się głębiej w fotelu.

— Majorze, co to ma znaczyć? — wtrącił ze złością wicekomandor Wood. — Jest pan pijany czy... — Zobaczył miotacz w rękach Halla. — Czy coś się stało, majorze?

Zaniepokojony porucznik Friendly wstał i chwycił Halla za ramię.

— O co chodzi? Co się stało?

— Chodź do laboratorium.

— Znalazłeś coś? — Porucznik przyjrzał się stężącej twarzy przyjaciela. — O co chodzi?

— Chodź.

Hall ruszył korytarzem, Friendly poszedł za nim. Hall pchnął drzwi do laboratorium i powoli wszedł do środka.

— O co chodzi? — powtórzył Friendly.

— O mój mikroskop.

— Twój mikroskop? Co się z nim stało? — Friendly zmrużył oczy i zajął mu przez ramię do laboratorium. — Nie widzę go.

— Bo go nie ma.

— Nie ma? A gdzie się podział?

— Zniszczyłem go miotaczem.

— Miotaczem? — Friendly popatrzył na przyjaciela. — Nic nie rozumiem. Dlaczego?

Hall otworzył usta, po czym zamknął je, nie wydając żadnego dźwięku.

— Dobrze się czujesz? — zapytał z troską Friendly. Pochylił się i wyciągnął czarne plastikowe pudełko z półki pod stołem. — Słuchaj, czy to jakiś dowcip? — Wyjął z futerału mikroskop Halla.

— Jak to: zniszczyłeś go? No, przecież mamy go tu, gdzie leży zwykle. Powiedz mi wreszcie, co się tutaj dzieje. Zobaczyłeś coś na przezroczu? Jakież bakterie? Śmiercionośne? Toksyczne?

Hall powoli podszedł do mikroskopu. To jego sprzęt w nienaruszonym stanie. Miał ryse tuż nad gałkami do regulacji. Jeden z zacisków był lekko wygięty. Dotknął palcem.

Pięć minut temu ten mikroskop próbował go zabić. I wiedział, że rozbił go w pył.

— Czy jesteś pewien, że nie potrzebujesz testu psychologicznego? — zapytał z obawą Friendly. —

Wygląda mi to na objawy pourazowe albo coś jeszcze gorszego.

— Może masz rację — mruknął Hall.

Robot testujący zafurkotał, integrując się w jeden blok. Wreszcie jego diody zmieniły się z czerwonych na zielone.

— No więc? — zaczął Hall.

— Poważne zaburzenia. Stosunek niestabilności wynosi ponad dziesięć.

— To powyżej poziomu zagrożenia?

— Tak. Poziom zagrożenia to osiem. Dziesięć to rzadkość, zwłaszcza przy pańskich wskaźnikach.

Zwykle ma pan około czterech.

Hall skinął ze znużeniem głową.

— Wiem.

— Gdyby mógł pan dostarczyć mi więcej danych...

Hall zacisnął zęby.

— Nie mogę powiedzieć nic więcej.

— Nieudostępnianie informacji podczas testu psychologicznego jest zakazane — poinformowała z rozdrażnieniem maszyna. — Jeśli pan to robi, celowo zniekształci pan moje wyniki.

Hall wstał.

— Nie mogę nic więcej powiedzieć. W każdym razie zanotowałeś u mnie wysoki poziom nierównowagi?

— Występuje tu wysoki poziom psychicznego rozchwiania. Ale, co to oznacza albo może oznaczać, nie umiem powiedzieć.

— Dzięki. — Hall wyłączył tester. Wrócił do swojej kwatery. W głowie mu się kręciło. Czy postradał zmysły? Przecież strzelił z miotacza w jakiś przedmiot. Potem zbadał skład atmosfery w laboratorium i wykrył zawieszane metaliczne cząsteczki, zwłaszcza w pobliżu miejsca, w którym strzelał do mikroskopu.

Ale jak coś takiego mogło się wydarzyć? Mikroskop, który ożywa i próbuje go zabić!

Przecież Friendly wyjął go z futerału, był cały i nienaruszony. A jak dostał się z powrotem do pudełka?

Zdjął mundur i wszedł pod prysznic. Stał pod strumieniem ciepłej wody i rozmyślał. Robot–tester wykazał, że jego umysł stał się bardzo niestabilny, ale to mogło być skutkiem raczej niż przyczyną całego zajścia. Zaczął o tym opowiadać Friendly’emu, ale przerwał. Dlaczego miałby się spodziewać, że ktoś uwierzy w taką historię?

Zakręcił wodę i sięgnął po jeden z ręczników na wieszaku.

Ręcznik okręcił mu się wokół nadgarstka i szarpnięciem przycisnął go do ściany. Szorstki materiał przywarł do jego ust. I nosa. Hall zaczął gwałtownie się oswabadzać. Nagle ręcznik dał za wygraną. Mężczyzna osunął się na podłogę, uderzając głową w ścianę. Przed oczami stanęły mu gwiazdy; potem nadszedł gwałtowny ból.

Hall usiadł w wannie ciepłej wody i podniósł głowę, by spojrzeć na wieszak. Ręcznik wisiał tam bez ruchu, tak jak pozostałe. Trzy ręczniki, jeden obok drugiego, zupełnie takie same, nieruchome. Czy to był tylko sen?

Drżąc, podniósł się i zaczął rozcierać głowę. Na wszelki wypadek trzymał się z dala od wieszaka, wymknął się spod prysznica i wrócił do pokoju. Ostrożnie wyjął z rozdzielnika nowy ręcznik. Wydawał się normalny. Wytarł się i zaczął wkładać ubranie.

Pasek owinał się dookoła jego talii i usiłował go zgnieść. Był silny — miał metalowe zakładki, których zadaniem było podtrzymywanie spodni i pistoletu. Mężczyzna i pasek toczyli się w milczeniu po podłodze, usiłując wyjść zwycięsko z walki. Pasek zachowywał się jak wściekły metalowy wąż, wił się i uderzał Halla jak bicz. Wreszcie mężczyźnie udało się chwycić miotacz. W jednej chwili pasek puścił. Hall zniszczył go miotaczem, po czym padł na krzesło, z trudem chwytając powietrze.

Oparcie krzesła zamknęło się wokół niego. Tym raz jednak miotacz był gotów do użycia. Hall musiał wystrzelić sześć razy, zanim krzesło omdlało i mógł się z niego podnieść.

Stał na środku pokoju, jego pierś wznosiła się i opadała.

— To niemożliwe — wyszeptał. — Ja chyba zwariowałem.

Wreszcie włożył spodnie i buty. Wyszedł na pusty korytarz. Wsiadł do windy i pojechał na najwyższe piętro.

Komandor Morrison podniosła wzrok znad swojego biurka, gdy Hall przechodził przez bramkę kontrolną sterowaną przez robota. Bramka zadzwieczała.

— Jesteś uzbrojony — powiedziała z wyrzutem komandor.

Hall spojrział na miotacz, który trzymał w rękach. Położył go na biurku.

— Przepraszam.

— Czego chcesz? Co się z tobą dzieje? Mam raport od maszyny testującej. Mówi, że osiągnąłeś dziesięć stopni w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. — Przyjrzała mu się uważnie. — Znamy się od dawna, Lawrence. Co się dzieje?

Hall wziął głęboki wdech.

— Stella, dzisiaj mój mikroskop próbował mnie udusić.

Jej błękitne oczy powiększyły się.

— Co takiego?

— A potem, gdy wychodziłem spod prysznica, ręcznik próbował mnie zabić. Poradziłem sobie z nim, ale kiedy się ubierałem, pasek... — urwał, ponieważ komandor się podniosła.

— Straż! — zawołała.

— Zaczekaj, Stella. — Podeszedł do niej. — Posłuchaj. To poważna sprawa. Nic złego się nie stało. Cztery razy przedmioty usiłowały mnie zabić. Zwykle rzeczy, które nagle stają się zabójcze.

Może tego właśnie szukaliśmy. Może to jest...

— Twój mikroskop próbował cię zabić?

— Ożył. Końcówki chwyciły mnie za tchawicę.

Nastąpiło długie milczenie.

— Czy widział to ktoś oprócz ciebie?

— Nie.

— Co zrobiłeś?

— Zniszczyłem go miotaczem.

— Czy coś z niego zostało?

— Nie — przyznał niechętnie Hall. — Szczerze mówiąc, mikroskop znów wygląda tak jak przedtem. Jest z powrotem w futerale.

— Rozumiem. — Komandor skinęła dwóm strażnikom, którzy odpowiedzieli na wezwanie. — Zabierzcie majora Halla do kapitana Taylora i umieśćcie w areszcie, aż będzie można odesłać na Ziemię i tam przebadać.

— Patrzyła ze spokojem, jak dwaj strażnicy ujęli go pod ramiona magnetycznymi chwytaczami.

— Przykro mi, majorze — powiedziała. — Jeśli nie poprze pan swojej opowieści dowodami, będziemy musieli ją uznać za pańską psychiczną projekcję. A na tej planecie mamy zbyt mało policji, byśmy mogli pozwolić choremu przebywać na wolności. Mógłby pan poczynić wiele szkód.

Strażnicy popchnęli go w stronę drzwi. Hall szedł, nie protestując. W głowie wciąż słyszał dzwonięcie, zwielokrotniane echem. Może zwariował.

Znaleźli się w biurze kapitana Taylora. Jeden ze strażników nacisnął brzęczyk.

— Kto tam? — zapytał piskliwie robot odźwierny.

— Komandor Morrison rozkazuje, by ten człowiek znalazł się pod opieką kapitana.

Nastąpiła chwila niepewnego milczenia, po czym robot odpowiedział:

— Kapitan jest zajęty.

— To pilne.

Złącza robota kliknęły, gdy podjął decyzję.

— Komandor was przysłała?

— Tak. Otwieraj.

— Możecie wejść. — Robot dał wreszcie za wygraną. Odbezpieczył zamki w drzwiach.

Strażnik pchnął drzwi i zatrzymał się. Na podłodze leżał kapitan Taylor z siną twarzą i wytrzeszczonymi oczami. Widać było tylko głowę i stopy. Czerwony dywanik oplatał go całego i ścisnął coraz mocniej.

Hall rzucił się na podłogę i zaczął odciągać dywanik.

— Szybciej! — warknął. — Łapcie!

Pociągnęli razem we trzech. Dywanik się opierał.

— Pomocy! — zawołał słabym głosem Taylor.

— Próbujemy!

Szarpali jak szaleni. Wreszcie dywanik został im w rękach. Wymknął się i popędził ku otwartym drzwiom. Jeden strażników zniszczył go strzałem z miotacza.

Hall podbiegł do wideoekranu i drżąc, wystukał specjalny komandora.

Jej twarz pojawiła się na ekranie.

— Popatrz! — wyrzucił z siebie.

Spojrzała ponad nim na leżącego na podłodze Taylora na dwóch stojących obok niego strażników z miotaczami wciąż gotowymi do strzału.

— Co... co się stało?

— Zaatakował go dywanik. — Hall uśmiechnął się bez zadowolenia. — I kto tu zwariował?

— Wyślemy tam oddział straży — zamrugła. — Natychmiast. Ale jak...

— Każ im trzymać miotacze w pogotowiu. I najlepiej ogłoś alarm dla wszystkich.

Hall położył cztery przedmioty na biurku komandor Morrison: mikroskop, ręcznik, metalowy pasek i mały czerwono-biały dywanik.

Odsunęła się nerwowo.

— Majorze, czy jest pan pewien...?

— Teraz nie są już niebezpieczne. To jest w tym najdziwniejsze. Ten ręcznik na przykład. Kilka godzin temu próbował mnie zabić. Uratowałem się, rozwalając go na cząsteczki. Ale oto i on, znowu w jednym kawałku. Taki jak zawsze. Nie uszkodzony.

Kapitan Taylor ostrożnie wskazał palcem na dywanik.

— To mój dywanik. Przywiozłem go z Ziemi. Dała mi go żona. Ja... ja całkowicie mu ufałem.

Spojrzeli na siebie.

— Dywanik też zniszczyliśmy miotaczem — zauważył Hall.

Zapadło milczenie.

— W takim razie co mnie zaatakowało? — zapytał kapitan Taylor. — Skoro nie ten dywanik?

— To wyglądało jak ten dywanik — rzekł z wolna Hall. — A to, co mnie zaatakowało, wyglądało jak ten ręcznik. Komandor Morrison obejrzała ręcznik pod światło.

— To tylko zwyczajny ręcznik. Nie mógł pana zaatakować.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Hall. — Przetestowaliśmy te przedmioty na wszelkie możliwe sposoby. Są tylko tym, czym być powinny, wszystkie części pozostały takie same. To doskonale stabilne przedmioty nieorganiczne. Niemożliwe, by którykolwiek z nich ożył i nas zaatakował.

— A jednak coś nas zaatakowało — zauważył Taylor. — Coś na mnie napadło. Jeśli nie był to ten dywanik, to co to było?

Porucznik Dodds poszukał po omacku rękawiczek na komodzie. Spieszył się. Cały oddział został wezwany na pilne zebranie.

— Gdzież ja... — mruknął. — Co, do diabła!

Na łóżku leżały obok siebie dwie pary identycznych rękawiczek.

Dodds zmarszczył brwi i podrapał się w głowę. Jak to możliwe? Miał tylko jedną parę. Te drugie muszą należeć do kogoś innego. Bob Wesley był tu poprzedniej nocy, grali w karty. Może on je zostawił.

Wideoekran znowu rozbłysnął.

— Cały personel proszony jest o natychmiastowe przybycie. Cały personel proszony jest o natychmiastowe przybycie. Pilne zebranie całego personelu.

— Dobra! — rzucił zniecierpliwiony Dodds. Chwycił jedną z par rękawiczek i włożył je.

Gdy tylko rękawiczki znalazły się na miejscu, poprowadziły jego ręce do pasa. Zacisnęły mu palce na kolbie pistoletu i wyciągnęły go z pokrowca.

— Niech mnie licho — zdziwił się Dodds.

Rękawiczki uniosły miotacz do góry i wycelowały go w pierś oficera.

Palce zacisnęły się. Coś ryknęło. Połowa klatki piersiowej Doddsa rozplynęła się. To, co pozostało, z wolna osunęło się na podłogę. Na jego ustach pozostał wyraz zdumienia.

Kapral Tenner ruszył biegiem w stronę głównego budynku, gdy tylko usłyszał jęk sygnału alarmowego.

Przy wejściu zatrzymał się, by zdjąć buty z metalowymi klamrami. Zmarszczył brwi. Pod drzwiami leżały dwie wycieraczki ochronne zamiast jednej.

Ale to i tak nie miało znaczenia. Były takie same. Stał na jednej z nich i czekał. Z powierzchni maty wytrysnął ładunek prądu o wysokiej częstotliwości, który popłynął przez jego nogi, zabijając wszelkie zarodki i nasiona, które mogły przywrzeć do niego, gdy przebywał na zewnątrz.

Przeszedł do budynku.

W chwilę później do drzwi pospieszył porucznik Fulton. Szybko ściągnął buty i stanął na pierwszej macie, jaką zauważył.

Mata owinęła się wokół jego stóp.

— Hej! — zawołał Fulton. — Puszczaj!

Usiłował wyciągnąć stopy, ale wycieraczka nie dawała za wygraną. Fulton wpadł w popłoch. Wyciągnął pistolet, ale nie chciał strzelać w swoje stopy.

— Pomocy! — wrzasnął.

Nadbiegli dwaj żołnierze.

— Co się stało, poruczniku?

— Zdejmijcie ze mnie to cholerstwo!

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

— To nie żarty! — zawołał Fulton i nagle zbieleł na twarzy. — To łamie mi stopy! To jest...

Zaczął krzyczeć. Żołnierze szarpali matę jak oszaleli — Fulton upadł, tarzał się i wił, wciąż wrzeszcząc. Wreszcie żołnierzom udało się oderwać od jego stopy krawędź wycieraczki.

Fulton nie miał już stóp. Pozostały tylko bezwładne kości, które również w połowie już się rozpuściły.

— Teraz już wiemy — rzekł ponuro Hall. — To forma organicznego życia.

Komandor Morrison zwróciła się do kaprala Tennera:

— Zobaczył pan dwie maty, kiedy wchodził pan do budynku?

— Tak jest, komandorze. Dwie. Stałem na... na jednej z nich i wszedłem.

— Miał pan szczęście. Stał pan na tej właściwej.

— Musimy być ostrożni — stwierdził Hall. — Musimy uważać na duplikaty. Najwyraźniej to, czymkolwiek jest, imituje przedmioty, które znajduje. Jak kameleon. Kamuflaż.

— Parami — mruknęła Stella Morrison, patrząc na dwa żony z kwiatami, które stały na rogach jej biurka. — Trudno będzie odgadnąć. Dwa ręczniki, dwa wazony, dwa krzesła. Może jest całe mnóstwo rzeczy, które są w porządku. Wszystkie zwielokrotnione poprawnie, z wyjątkiem jednego egzemplarza.

— Na tym polega kłopot. Nie zauważyłem niczego niezwykłego w laboratorium. Nie ma nic dziwnego w jeszcze jednym mikroskopie. Doskonale wtopił się w całość.

Komandor oderwała wzrok od dwóch identycznych wazonów.

— A co z nimi? Może jeden jest... czymkolwiek one są?

— Wiele przedmiotów występuje dwójkami. Są parami z natury rzeczy. Para butów. Ubrania. Meble. Nie zauważyłem tego dodatkowego krzesła w moim pokoju. Sprzęt. Nie sposób będzie mieć pewność. A czasami...

Wideoekran rozjaśnił się. Pojawił się na nim wicekomandor Wood.

— Stella, kolejna ofiara.

— Kto tym razem?

— Oficer został rozpuszczony. Zostało tylko kilka guzików i jego miotacz płomieni. To porucznik Dodds.

— Razem to już trzy — podliczyła komandor Morrison. Jeśli to jest organiczne, musi istnieć jakiś sposób, by to zniszczyć — mrucał Hall. — Kilka już załatwiliśmy miotaczami, najwyraźniej pozabijaliśmy ich. A więc można się do nich obrać. Nie wiemy jednak, ile ich jeszcze zostało. Zniszczyliśmy pięć czy sześć sztuk. Może to substancja, która potrafi się dzielić w nieskończoność. Jakiś rodzaj protoplazmy.

— A tymczasem...?

— Tymczasem wszyscy jesteśmy zdani na jej łaskę. Albo ich łaskę. No tak, to ta śmiertelna forma życia, której poszukiwaliśmy. To wyjaśnia, dlaczego wszystkie pozostałe organizmy były tak nieszkodliwe. Nic nie mogło współzawodniczyć z czymś takim. Oczywiście, my też mamy swoje formy naśladowcze. Owady, rośliny. I ten powykręcany ślimak na Wenus. Ale nic porównywalnego z tym tutaj.

— A jednak można to zabić. Sam pan tak mówił. To oznacza, że mamy szansę.

— Jeśli na nią wpadniemy. — Hall rozejrzał się po sali. Na drzwiach wisiały dwie peleryny. Czy przed chwilą też były dwie? Ociężałę pomasaował sobie czoło. — Musimy znaleźć jakąś truciznę albo żrący środek. Coś, co zniszczy ich doszczętnie. Nie możemy tak siedzieć i czekać, aż nas zaatakują. Musimy coś rozpylić. Tak poradziłam sobie z tymi powykręcanymi ślimakami.

Komandor utkwiała wzrok obok niego i znieruchomiała. Obrócił się, idąc za jej spojrzeniem.

— O co chodzi?

— Nigdy nie widziałam dwóch aktówek tam w rogu. Przedtem była chyba tylko jedna. — Potrząsnęła głową zdezorientowana. — W jaki sposób to rozpoznamy? Ta sprawa naprawdę mnie przygnębia.

— Potrzebujesz mocnego drinka.

Rozchmurzyła się.

— To dobry pomysł. Ale...

— Co: ale?

— Nie chcę niczego dotykać. Nie sposób to rozpoznać. — Wskazała palcem wiszący u jej pasa miotacz. — Wciąż mam ochotę tego użyć, na wszystko.

— Histeryczna reakcja. Ale przecież wystrzeliwują nas jedno po drugim.

Kapitan Unger usłyszał sygnał alarmowy przez słuchawki. Natychmiast przerwał pracę, zebrał w ręce próbki, które zgromadził, i prędko wrócił do swojego łazika ze zdejmowaną skrzynią.

Zostawił samochód bliżej, niż mu się wydawało. Zatrzymał się zaskoczony. Stał przed nim mały, jasny samochodzik w kształcie stożka, z odnogami mocno stojącymi na miękkiej ziemi i otwartymi drzwiami.

Unger pobiegł do niego, ostrożnie niosąc próbki. Otworzył bagażnika z tyłu i włożył tam pakunki. Potem przeszedł na przód i usiadł za kierownicą.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik jednak się nie włączył. To dziwne. Zastanawiając się nad tym, zauważył coś, co wywołało w nim poruszenie.

Kilkaset stóp przed nim, pomiędzy drzewami, stał drugi pojazd zupełnie taki sam jak ten, w którym teraz siedział. Przypominał sobie, że właśnie tam go zaparkował. Oczywiście, siedział w czymś

pojeździe. Ktoś inny też przyjechał tu po próbki i ten pojazd należał do niego.

Unger zaczął znowu wysiadać.

Drzwi zamknęły się wokół niego. Siedzenie złożyło się nad jego głowę. Deska rozdzielcza stała się plastikowa i zaczęła cieknąć. Otworzył szeroko usta — dusił się. Próbował się wydostać, wijąc się i kręcąc. Wszystko wokół niego było mokre, bulgotało, narastało, było ciepłe jak ciało.

Plum — jego głowa zniknęła. Coś oblaźło całe jego ciało. Pojazd roztopiał się. Usiłował wyrwać rękę, ale mu się nie udawało.

Wtedy pojawił się ból. Roztopiał się. Nagle zrozumiał, w jakim płynie się znalazł.

Kwas. Kwas trawienny. Znajdował się w żołądku.

— Nie patrz! — zawołała Gail Thomas.

— Dlaczego? — Kapral Hendricks podpłynął do niej. — Dlaczego nie mogę patrzeć?

— Bo chcę wyjść.

Promienie słońca padały na taflę jeziora. Lśniły i tańczyły na wodzie. Wszędzie wokoło wznosiły się ogromne, porośnięte mchem drzewa, niczym wielkie i nieme kolumny wzdłuż kwitnących pnączy i krzewów.

Gail wdrapała się na brzeg, otrząsając się z wody i odrzucając włosy z oczu. Las milczał. Nie słyszała żadnego dźwięku prócz pluskania fal. Znajdowali się daleko od obozu.

— Kiedy będę mógł patrzeć? — dopytywał się Hendricks, pływając w kółko z zamkniętymi oczami.

— Niedługo. — Gail przedzierała się między drzew aż doszła do miejsca, w którym zostawiła swój mundur. Na nagich rękach i ramionach czuła promienie słońca. Siadła w trawie, podniosła tunikę i spodnie.

Otrzeptała tunikę z liści i kawałków kory, po czym zaczęła wciągać ją przez głowę.

Kapral Hendricks wciąż czekał cierpliwie w wodzie i pływał w kółko. Czas mijał. Niczego nie słyszał. Otworzył oczy. Nigdzie nie zobaczył Gail.

— Gail?! — zawołał.

Nic, tylko cisza.

— Gail!

Odpowiedziało mu milczenie.

Kapral Hendricks szybko popłynął w stronę brzegu. Wszedł z wody. Jednym susem dotarł do swojego munduru który leżał schludnie złożony tuż przy brzegu. Złapał miotacz ognia.

— Gail!

W lesie panowała cisza. Nie usłyszał żadnego dźwięku. Stał, rozglądał się i marszczył brwi. Stopniowo zaczęło go opanowywać zimne odrętwienie, mimo że padały na niego promienie gorącego słońca.

— Gail! Gail!

Wciąż odpowiadało mu tylko milczenie.

Komandor Morrison była zmartwiona.

— Musimy działać — stwierdziła. — Nie możemy czekać. Dziesięć osób zginęło już po trzydziestu spotkaniach. Jedna trzecia to zbyt wysoki procent.

Hall podniósł głowę znad swojej roboty.

— Tak czy inaczej, teraz przynajmniej wiemy, czemu mamy stawić czoło. To forma protoplazmy, nieskończenie wszechstronna. — Podniósł pojemnik ze sprayem. — To chyba pomoże nam się zorientować, ile tego istnieje.

— Co to jest?

— Związek arszeniku i wodoru w formie gazu. Arsen.

— Co chcesz z tym zrobić?

Hall włożył hełm i zapiął go. Jego głos dotarł do komandor przez słuchawki.

— Chcę to wypuścić w laboratorium. Myślę, że jest ich tam mnóstwo, więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu.

— Dlaczego właśnie tam?

— Tam najpierw dostarczano wszystkie próbki, tam spotkałem pierwszego z nich. Sądzę, że dostały się tu z próbkami albo jako próbki, a potem przedostały się do innych budynków. Komandor także włożyła i zapięła swój hełm. Za jej przykładem poszli czterej strażnicy.

— Arsen jest śmiertelny dla ludzi, prawda?

Hall skinął głową.

— Musimy być ostrożni. Możemy to potraktować tutaj jako krótkotrwały test, ale to wszystko.

— Co ten test ma udowodnić? — zapytała komandor.

— Jeśli udowodni cokolwiek, to dowiemy się mniej więcej, jak daleko poszła ich infiltracja. Lepiej będziemy rozumieć, co przed sobą mamy. Może to być poważniejsze, niż przypuszczamy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— W tym oddziale na Błękitnej Planecie znajduje się sto osób. Na razie wydaje się, że najgorsze, co może się wydarzyć, to zabicie nas wszystkich, jednego po drugim. Ale to jeszcze nic. Codziennie giną stuosobowe oddziały. To ryzyko, które musi podjąć każdy, kto pierwszy wylądował na nowej planecie. W końcowych analizach okazuje się to dość nieistotne.

— W porównaniu z czym?

— Jeśli naprawdę mogą dzielić się w nieskończoność, to będziemy musieli się dobrze zastanowić, zanim stąd odleciemy. Lepiej byłoby zostać tu i pozwolić wybić się co do jednego, niż ryzykować, że któreś z nich zabierzemy ze sobą.

Spojrzała na niego.

— Czy tego właśnie chcesz się dowiedzieć? Czy mogą się dzielić w nieskończoność?

— Usiłuję się dowiedzieć, z czym mamy się zmierzyć. Może jest ich tylko kilka sztuk. A może są wszędzie. — Wskazał ręką całe laboratorium. — Może połowa rzeczy w tym pomieszczeniu nie jest tym, za co je mamy... Niedobrze, gdy nas zaatakują. Byłoby gorzej, gdyby tego nie zrobili.

— Gorzej? — zdziwiła się komandor.

— Są doskonałymi naśladowcami. Przynajmniej obiektów nieorganicznych. Patrzyłem przez jedno z nich, Stella, kiedy udawało mój mikroskop. Powiększało, regulowało ostrość, odbijało, zupełnie jak prawdziwy mikroskop. Taka forma naśladownictwa przewyższa wszystko, co dotąd znaliśmy. Sięga głębiej, do samych cząsteczek rzeczy, które odwzorowuje.

— Chodzi ci o to, że jedno z nich mogłoby się z nami zabrać na Ziemię? W formie ubrania albo części sprzętu laboratoryjnego? — Wzdrygnęła się.

— Zakładamy, że są jakimś rodzajem protoplazmy. Taka plastyczność wskazuje na prostą formę... a to z kolei sugerowałoby binarne rozszczepienie. Jeśli tak jest w istocie to ich zdolność do reprodukcji może być nieograniczona. Właściwość rozpuszczania się nasuwa na myśl prostego jednokomórkowego pierwotniaka.

— Myślisz, że są inteligentne?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. — Hall podniósł spray. — W każdym razie dzięki temu dowiemy się, jaki jest ich zasięg. I to w jakimś stopniu potwierdziłoby moje założenie, że są wystarczająco prymitywne, by mnożyć się przez podział... to najgorsza możliwość, z naszego punktu widzenia. No i proszę.

Wyciągnął spray przed siebie, chwycił mocno i nacisnął spust. Powoli celował we wszystko w laboratorium. Komandor i czterej strażnicy stali za nim bez słowa. Nic się nie poruszyło. Promienie słońca wpadały tu przez okna, odbijając się od naczyń z kulturami i sprzętu.

Po chwili z powrotem odwiódł spust.

— Niczego nie zauważyłam — stwierdziła komandor. — Czy jesteś pewien, że osiągnąłeś jakiś skutek?

— Arsen jest bezbarwny. Ale nie luzuj hełmu. Jest śmiertelny. I nie ruszajcie się.

Stali i czekali.

Przez jakiś czas nic się nie wydarzyło. Po chwili zaś. —

— Dobry Boże! — wykrzyknęła komandor Morrison.

Nagle w drugim końcu laboratorium zachwiała się gablota z przezroczami. Zaczęła cieknąć, wyginać się i spadła. Całkiem się odkształciła... na stole pozostała tylko galaretowata masa. Nagle z drżeniem spłynęła na podłogę.

— Tutaj!

Stojący obok palnik Bunsena również się roztopił i spłynął. W całym pomieszczeniu przedmioty zaczęły się ruszać.

Wielkie lustro złożyło się wpół i zamieniło w plamkę. Szafka probówek, półka z chemikaliami...

— Uwaga! — krzyknął Hall, cofając się.

Ogromny słój rozprysnął się przed nim z głośnym piaskiem. Zgadzało się: była to pojedyncza, ogromna komórka. Z trudem rozpoznawał w niej jądro, ścianę komórkową, wakuolę zawieszoną w cytoplazmie.

Pipety, szczypcy — wszystko pływało. Połowa znajdującego się w laboratorium sprzętu znajdowała się teraz w ruchu. Naśladowali niemal wszystko, co się dało. Każdy mikroskop miał swoją kopię. Każda rurka, słój, butelka...

Jeden ze strażników wyciągnął miotacz. Hall odtrącił broń.

— Nie strzelać! Arsen jest łatwopalny. Wynośmy się stąd. Wiemy już, co chcieliśmy wiedzieć.

Szybko otworzyli drzwi i wypadli na korytarz. Hall zatrzaskał je i mocno zaryglował.

— No więc, czy jest bardzo źle? — chciała wiedzieć komandor.

— Nie mieliśmy szansy; arsen ich zaniepokoił. Gdyby było go dość, mogłyby nawet zginąć. Nie mamy jednak wystarczających ilości gazu. A jeśliby się nam udało zalać nim planetę, nie moglibyśmy używać miotaczy.

— A co by było, gdybyśmy opuścili planetę? Nie możemy ryzykować zabrania ich ze sobą.

— Jeśli tu zostaniemy, wchłoną nas, rozpuszczą jedno po drugim — zauważyła komandor.

— Możemy kazać przywieźć tu arsen albo jakąś inną truciznę, która by ich zniszczyła. Ale to by zniszczyło również większość form życia na tej planecie. Niewiele by pozostało.

— W takim razie będziemy musieli zniszczyć wszelkie formy życia! Jeśli nie ma innego wyjścia, będziemy musieli spalić tę planetę. Nawet jeśli miałaby tu pozostać tylko martwa ziemia.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Wezwę Monitor Systemowy — powiedziała komand Morrison. — Chcę zabrać stąd jednostkę, uciec przed niebezpieczeństwem... w każdym razie z tymi, którzy jeszcze pozostali. Ta biedna dziewczyna nad jeziorem... — Wzdrygnął się. — Kiedy wszyscy się stąd usuną, wymyślimy

najlepszy sposób na uprzątnięcie tej planety.

— Czy zaryzykujesz, że któreś z nich polecą z nami na Ziemię?

— Czy mogą nas naśladować? Czy mogą się upodabniać do żywych istot? Wyższych form życia?

Hall się zastanowił.

— Najwyraźniej nie. Zdaje się, że ograniczają się do obiektów nieorganicznych.

Komandor uśmiechnęła się ponuro.

— A więc wrócimy bez żadnych nieorganicznych materiałów.

— A nasze ubrania! Oni mogą być paskami, rękawiczkami, butami...

— Nie weźmiemy żadnych ubrań. Wrócimy bez niczego. I to naprawdę w ogóle niczego.

Usta Halla drgnęły.

— Rozumiem. — Zamyślił się. — Może się udać. Czy możesz nakłonić personel, żeby... żeby zostawić tu wszystko? Wszystko, co mają?

— Jeśli w grę wchodzi życie, mogę rozkazać im tak zrobić.

— A więc to może być nasza jedyna szansa.

Najbliższy krążownik, który był dość pojemny, by zabrać całą żyjącą jeszcze załogę, znajdował się w odległości dwóch godzin lotu od nich. Zmierzał w stronę Ziemi.

Komandor Morrison podniosła głowę znad wideoekranu.

— Chcą wiedzieć, co tu się stało.

— Ja im powiem. — Hall usiadł przed ekranem. Poważny, złotowłosy kapitan krążownika przyjrzał mu się uważnie. Jestem major Lawrence Hall z sektora badawczego tej jednostki.

— Kapitan Daniel Davis. — Mężczyzna przyglądał mu się bez wyrazu. — Czy macie jakieś kłopoty, majorze?

Hall oblizał wargi.

— Wolałbym tego nie wyjaśniać, dopóki nie znajdziemy się na pokładzie, jeśli to panu nie przeszkadza.

— Dlaczego?

— Kapitanie, pomyśli pan, że zwariowaliśmy, kiedy pan tym usłyszysz. Przedyskutujemy wszystko dokładnie, gdy znajdziemy się na statku. — Zawahał się. — Wejdziemy na niego nago.

Kapitan uniósł brew.

— Nago?

— Tak.

— Rozumiem. — Najwyraźniej nie rozumiał.

— Kiedy tu dotrzecie?

— Mniej więcej za dwie godziny.

— Według naszego czasu teraz jest 13.00. Czy przylecicie na 15.00?

— W przybliżeniu — zgodził się kapitan.

— Będziemy na was czekać. Niech pana ludzie nie wychodzą na zewnątrz. Proszę otworzyć nam jeden właz. Wejdziemy bez żadnego sprzętu. Tylko my, nic więcej. Gdy tylko znajdziemy się w środku, proszę startować.

Stella Morrison pochyliła się nad ekranem.

— Kapitanie... czy mogliby... pańscy ludzie...

— Wylądujemy pod kontrolą robotów — uspokoił ją. — Nikogo z moich ludzi nie będzie na pokładzie. Nikt was nie zobaczy.

— Dziękuję — odpowiedziała cicho.

— Nie ma za co. — Kapitan Davis zasalutował. — Zobaczymy się za mniej więcej dwie godziny, komandorze.

— Niech wszyscy wyjdą na zewnątrz — rozkazała komandor Morrison. — Chyba najlepiej będzie zdjąć wszystkie ubrania tutaj, żeby tam, na polu, nie było żadnych obiektów, które mogłyby znaleźć się w kontakcie ze statkiem.

Hall spojrzał na nią.

— Czy nie warto tak zrobić, by uratować życie?

Porucznik Friendly zagryzł wargi.

— Nie zrobię tego. Zostanę tutaj.

— Musisz iść.

— Ale, majorze...

Hall spojrzał na zegarek.

— Jest 14.50. Statek będzie tu lada chwila. Proszę zdjąć ubrania i wyjść na pole.

— Czy niczego nie mogę zabrać?

— Niczego. Nawet miotacza... Na statku dadzą nam ubrania. Idziemy! Twoje życie od tego zależy.

Wszyscy to robią.

Friendly niechętnie szarpnął za połą koszuli.

— Cóż, chyba głupio się zachowuję.

Włączył się wideoekran. Piskliwy głos robota oznajmił:

— Wszyscy natychmiast mają opuścić budynek! Proszę wychodzić z budynku i natychmiast zbierać się na polu. Wszyscy wychodzić, natychmiast! Wszyscy...

— Tak szybko? — Hall podbiegł do okna i unióś metalowe żaluzje. — Nie słyszałem, jak lądował.

Na środku pasa stał długi, szary krążownik, z kadłubem podziurawionym i powyginanym od uderzeń meteorytów. Stał bez ruchu. Nie było na nim śladu życia.

Tłum nagich ludzi zmierzał już niepewnie ku niemu przez pole, wszyscy mrużyli oczy od ostrych promieni słońca.

— Jest już! — Hall zaczął ściągać koszulę. — Chodźmy!

— Zaczekaj na mnie!

— To się pospiesz. — Hall skończył się rozbierać.

Obaj mężczyźni wybiegli na korytarz. Przed nimi przemknęli nadzy strażnicy. Popędzili długim korytarzem ciągnącym się wzdłuż budynku, kierując się do drzwi. Zbiegli po schodach i wypadli na pole. Ciepłe promienie słońca uderzyły z nieba. Ze wszystkich budynków wysypywali się nadzy mężczyźni i kobiety i szli w milczeniu w stronę statku.

— Co za widok! — zauważył jakiś oficer. — Nigdy w życiu tego nie zapomnimy.

— Ale przynajmniej będziemy żyli — odpowiedział mu drugi.

— Lawrence!

Hall na wpół się obrócił.

— Nie odwracaj się, proszę. Idź naprzód. Będę szła za tobą.

— Jakie to uczucie, Stella? — zapytał Hall.

— Niezwykłe.

— Warto było?

— Na pewno tak.

— Czy myślisz, że ktoś nam uwierzy?

— Wątpię — odrzekła. — Sama zaczynam się nad tym zastanawiać.

— W każdym razie wrócimy żywi.

— Chyba tak.

Hall spojrzął na trap, który im opuszczano. Pierwsi ludzie zaczęli się już chaotycznie wdrapywać na podwyższenie przez okrągły otwór.

— Lawrence... — W głosie komandor słychać było jakieś szczególne drżenie. — Lawrence, ja...

— Co się dzieje?

— Ja się boję.

— Boisz się! — Staął. — Dlaczego?

— Nie wiem — odpowiedziała drżącym głosem.

Ludzie napierali na nich ze wszystkich stron.

— Daj spokój. To pozostałości z wczesnego dzieciństwa. — Postawił nogę na rampie. —

Wchodzimy.

— Ja chcę wracać! — W jej głosie brzmiała panika. — Ja...

Hall roześmiał się.

— Teraz już za późno, Steła. — Wszedł na podest, trzymając się poręczy. Wokół niego kobiety i mężczyźni napierali naprzód, popychając ich dwoje przed sobą. Stanęli przed śluzą. — No i jesteśmy.

Stojący przed nim mężczyzna zniknął.

Hall wszedł za nim do ciemnego wnętrza statku, wkroczył w rozciągającą się przed nim plamę czerni. Komandor poszła za nim.

Punktualnie o 15.00 kapitan Daniel Davis osadził swój statek na środku pola. Szalety odskoczyły, z brzękiem otwierając właz. Davis i pozostali oficerowie czekali w kabinie pilotów, zgromadzeni przy wielkiej desce kontrolnej.

— No więc — rzekł po chwili kapitan Davis. — Gdzie oni są?

Oficerom zrobiło się nieswojo.

— Może coś się stało.

— Może cała ta cholerna sprawa to żart?

Czekali bez końca.

Nikt się jednak nie pojawił.

Przełożył Tomasz Oljasz

ZBĘDNY

Mężczyzna wyszedł na ganek przed dom i popatrzył, jaki jedzie dzień. Jasny i zimny, z rosą na trawnikach. Zapiął płaszcz i wsadził ręce do kieszeni.

Gdy ruszył po schodkach, dwie czekające przy skrzynce pocztowej gąsienice poruszyły się zaintrygowane.

— Idzie — powiedziała pierwsza z nich. — Wyślij swój raport.

Gdy druga zaczęła obracać śmigłami, mężczyzna zatrzymał się i szybko obrócił.

— Słyszałem was. — Postawił nogę pod murem i wtarł gąsienice w beton. Zmiażdżył je całkowicie.

Potem pospieszył ścieżką do chodnika. Idąc, rozglądał się wokoło. Na gałęzi wiśni podskakiwał jakiś ptak i sięgał dziobem do owoców. Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie. W porządku? Czy... Ptak odleciał. Ptaki są w porządku. Nie czynią szkód.

Ruszył dalej. Na rogu natknął się na pajęczynę, rozciągniętą od zarośli do słupa telefonicznego. Serce zabiło mu mocniej. Odskokzył, machając rękami w powietrzu. Idąc dalej, obejrzał się przez ramię. Pająk powoli wychodził z krzaków i sprawdzał zniszczenia swojej sieci.

Pająki trudno rozgryźć. Niełatwo odgadnąć, o co im chodzi — Potrzeba więcej faktów... Jak na razie brak kontaktu.

Czekał na przystanku autobusowym, przestępując z nogi na nogę, by się rozgrzać.

Nadjechał autobus, wsiadł do niego i poczuł nagłą rozkosz, gdy zajmował miejsce pośród ciepłych, cichych ludzi, którzy beznamiętnie patrzyli przed siebie. Ogarnęło go niejasne poczucie bezpieczeństwa.

Uśmiechnął się i odprężył — po raz pierwszy od wielu dni.

Autobus jechał dalej.

Tirmus w podnieceniu zamachał antenką.

— A więc głosujcie, jeśli chcecie. — Minał ich szynk i wspinał się na kopiec. — Ale pozwólcie, że powtórzę mówiłem wczoraj, zanim zaczniecie.

— Wiemy już o tym wszystkim — odrzekła ze zniecierpliwieniem Lala. — Ruszajmy. Plany mamy przygotowane Co nas powstrzymuje?

— Mam nowe powody, by przemawiać — stwierdził Tirmus, rozglądając się po zebranych bogach. — Całe Wzgórze gotowe iść na tego olbrzyma. Dlaczego? Wiemy, że nie może się porozumiewać ze swoimi towarzyszami... to wykluczone. Ten typ wibracji, język, którego używają, uniemożliwia przekazywanie takiej wiedzy, jaką on ma na nasz temat, o naszej...

— Bzdury — przerwała mu Lala. — Olbrzymi się porozumiewają dosyć dobrze.

— Nie ma danych o żadnym olbrzymie, który przekazałby informacje na nasz temat!

Armia poruszyła się niespokojnie.

— Proszę bardzo. — Tirmus ustąpił. — Ale to wysiłek na marne. On jest nieszkodliwy... odcięty. Po co marnować tyle czasu i...

— Nieszkodliwy? — Lala popatrzyła na niego. — Nie rozumiesz? On wie!

Tirmus zszedł z kopca.

— Jestem przeciwny nieuzasadnionej przemocy. Powinniśmy oszczędzać siły. Któregoś dnia będziemy ich potrzebować.

Odbyło się głosowanie. Zgodnie z przypuszczeniami, armia opowiedziała się za zaatakowaniem olbrzyma. Tirmus westchnął i zaczął rozrysowywać plany na ziemi.

— Zwykle przebywa w tym miejscu. Tu można się spodziewać na koniec danego okresu. Moim zdaniem, sytuacja wygląda następująco...

Mówił dalej, przedstawiając plany na miękkim piasku.

Jeden z bogów nachylił się ku drugiemu, dotykając go antenką.

— Ten olbrzym będzie bez szans. W jakimś sensie jest mi go żal. Jak on się w to wkopał?

— Przez przypadek. — Ten drugi uśmiechnął się. — Wiesz, jak to oni, wpakował się. — I tak mi go szkoda.

Zapadała noc. Na opustoszałej ulicy zrobiło się ciemno. Chodnikiem nadszedł mężczyzna, niosąc gazetę pod pachą. Szedł szybko, rozglądając się na boki. Ominął duże drzewo, rosnące przy krawężniku, i odskoczył zwinnie na ulicę. Przeszedł na drugą stronę. Na zakręcie wpadł na pajęczynę rozwieszoną od krzewów do słupa telefonicznego. Automatycznie zerwał ją sobie z twarzy. Gdy włókna zaczęły się odrywać, usłyszał ciche buczenie, metaliczne i przejmujące.

— ...czekaj!

Zamarł.

— ...ostrożnie... wewnątrz... czekaj...

Zacisnął szczęki. Ostatnie włókna pękły mu w dłoniach, ruszył dalej. Pająk szedł po kawałku swojej sieci za nim i obserwował go. Mężczyzna odwrócił się.

— Jesteś świrnięty — powiedział. — Nie będę ryzykował i stał tu cały poobwijany.

Ruszył dalej chodnikiem w stronę swojej ścieżki. Dotarł do niej na skróty, omijając pograżające się w mroku krzaki. Na ganku znalazł klucz i włożył go do zamka.

Zatrzymał się. Wewnątrz? Lepiej niż na zewnątrz, zwłaszcza nocą. Noc to niedobra pora. Zbyt wiele poruszenia pod zaroślami. Niedobra. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Przed nim leżał dywanik, który wyglądał jak czarna kałuża. Po drugiej stronie majaczył kształt lampy.

Dzieliło go od niej cztery kroki. Podeszedł i stanął.

Co powiedział pająk? Czekać? Czekał i nasłuchiwał. Cisza.

Wyjął zapalniczkę i zaświecił.

Dywan mrówek ruszył ku niemu jak fala. Odskoczył i wypadł na ganek. Mrówki popędziły za nim, pokrywa — podłogę w półmroku.

Mężczyzna zeskoczył na ziemię i uciekł za róg domu. Kiedy pierwsze mrówki zeszły z ganku, kręcił już kurkiem i zwijał wąż.

Strumień wody podrzucił mrówki do góry i porozrzucił naokoło. Mężczyzna poprawił końcówkę, mrużąc oczy w mgiełce. Ruszył naprzód, obracając strumień to w lewo, to w prawo.

— Niech cię diabli — wycedził przez zaciśnięte zęby — Czekaj wewnątrz...

Był przerażony. Wewnątrz — jeszcze nigdy! Zimny pot wystąpił mu na czoło. Wewnątrz. Nigdy przedtem nie dostały się do środka. Może ćma, dwie ćmy, no i oczywiście muchy. Ale one były nieszkodliwe, trzepotały tylko, hałasowały...

Dywan mrówek!

Polewał je jak szalony, aż złamał ich szyki i zmusił do ucieczki w trawnik, w krzaki, pod dom.

Przysiadł w alejce, trzymając w ręku wąż i drżąc na całym ciełe.

One naprawdę chciały to zrobić. Nie zaatakowały spazmatycznie, w złości, zaniepokojone; zaplanowały ten atak, przygotowały się. Czekają na niego. Jeszcze jeden krok...

Dzięki Bogu za tego pajaka.

Wyłączył dopływ wody i wstał. Żadnych dźwięków; wszędzie panowała cisza. Nagle krzaki zaszeleściły. Żuk? Przemknęło coś czarnego — nadepnął na to. Zapewne posłaniec. Szybkobiegacz. Wszedł do ciemnego domu, ostrożnie oświetlając drogę zapalniczką.

Usiadł za biurkiem i położył pod ręką pistolet rozpylający, stalowy łom i balię. Dotknął jej wilgotnej powierzchni.

Godzina siódma. Za nim cicho grało radio. Pochylił się i przestawił lampę na biurku tak, aby świeciła na podłogę przed nim.

Zapalił papierosa, wyjął papier i wieczne pióro. Zastygł pogrążony w myślach.

A więc naprawdę chciały go dopaść, tak bardzo, że wszystko sobie zaplanowały. Posępna rozpacz ogarnęła go jak fala Co mógł zrobić? Do kogo mógł pójść? Komu powiedzieć? Zacisnął pięści, siedząc na krześle prosto jakby kij połknął.

Pajak przekradł się obok niego na blat biurka.

— Przepraszam. Mam nadzieję, że nie jesteś przerażony, jak w wierszu.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

— Czy ty jesteś ten sam? Ten, co na rogu? Który mnie ostrzegł?

— Nie To ktoś inny. Przędzacz. Ja jestem czystej wody Zgniataczem. Spójrz na moje szczęki. — Otworzył i zamknął otwór gębowy. — Zgniatam nimi.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Szczęściarz z ciebie.

— Pewnie. Czy wiesz, ilu nas jest na — powiedzmy — hektarze ziemi? Zgadnij.

— Tysiąc.

— Nie. Dwa i pół miliona. Wszystkich rodzajów. Zgniataczy takich jak ja, Przędzaczy i Wstrzykiwaczy.

— Wstrzykiwaczy?

— Są najlepsi. Popatrzmy. — Pajak zamyślił się. — Na przykład czarna wdowa, tak ją nazywacie. Bardzo cenna. — Umilkł. — Tylko jedna sprawa.

— Jaka?

— Mamy swoje problemy. Bogowie...

— Bogowie!

— Mrówki, jak wy ich nazywacie. Przywódcy. Są ponad nami. Niestety. Mają okropny gust, aż niedobrze się robi. Musimy je zostawić dla ptaków.

Mężczyzna wstał.

— Ptaki? Czy one są...?

— No cóż, zawarliśmy układ. Trwa to od wieków. Opowiem ci tę historię. Zostało nam jeszcze trochę czasu.

Serce mężczyzny się ścisnęło.

— Trochę czasu? Co przez to rozumiesz?

— Nic. Potem będzie trochę kłopotów, jak mniemam. Przedstawię ci sytuację. Nie sądzę, byś o tym wiedział.

— Mów — Zamieniam się w słuch. — Mężczyzna zaczął się przechadzać w tę i z powrotem.

— Oni rządzą Ziemią całkiem dobrze, mniej więcej miliard lat temu. Rozumiesz, ludzie przybyli tu z jakiejś innej planety. Z której? Nie wiem. Wylądowali i stwierdzili, że Ziemia jest całkiem

zadbana. Wybuchła wojna.

— A więc jesteśmy najeźdźcami — mruknął mężczyzna.

— No tak. Wojna sprowadziła obie strony do poziom barbarzyńców, ich i was. Wy zapomnieliście, jak atakować, a oni zdegenerowali się w zamknięte grupy społeczne: mrówki, termity...

— Rozumiem.

— Ostatnia wasza grupa, która знаła tę historię, zajęła się nami. Zaczęto nas mnożyć. — Pająk zachichotał na swój sposób. — Hodowano nas dla tego szczytnego celu w jakimś specjalnym miejscu. Zupełnie dobrze utrzymujemy je na dystans. Wiesz, jak nas nazywają? Obżartusy. Nieprzyjemne, prawda?

Kolejne dwa pająki weszły na swoich nitkach na biurko. Wszystkie trzy zebrały się w jednym miejscu.

— To poważniejsze, niż sądziłem — zauważył beztrioskim tonem Zgniatacz. — Mamy dla ciebie mnóstwo informacji. Ten Wstrzykiwacz...

Czarna wdowa podeszła do krawędzi blatu.

— Olbrzymie — powiedziała metalicznym głosem. — Chciałabym z tobą porozmawiać.

— Proszę bardzo — odrzekł mężczyzna.

— Będą kłopoty. Nadchodzą tu, całe mnóstwo. Pomyśleliśmy, że zostaniemy z tobą przez jakiś czas. Żebyś się z tym oswoił.

— Rozumiem. — Mężczyzna skinął głową i oblizał wargi, drżącymi rękami mierzwiąc włosy. — Czy myślisz... to znaczy, jakie są szanse...

— Szanse? — Pajęczyca falowała w zamyśleniu. — No cóż, zajmujemy się tym od dawna. Prawie od miliona lat. Chyba mamy nad nimi lekką przewagę, pomimo wszystkich minusów. Oczywiście, nasz układ z ptakami, z ropuchami...

— Myślę, że możemy was ocalić — wtrącił radośnie Zgniatacz. — Prawdę mówiąc, wyczekujemy takich sytuacji jak ta.

Spod desek w podłodze dobiegło ich odległe drapanie, odgłos wielu maleńkich szczypiec i wibrujących nieznacznie skrzydeł. Mężczyzna to usłyszał. Całkiem upadł na duchu.

— Czy jesteście pewni? Uważacie, że możecie to zrobić? — Otarł pot z ust. Wciąż nasłuchując, sięgnął po rozpylacz.

Ów dźwięk narastał, jakby puchł od spodu, spod podłogi, pod stopami. Przed domem zaszleściły krzaki i kilka ciem przyleciało w stronę okna. Dźwięki przybierały na sile i niżej, i wyżej, wszędzie podnosił się warkot pełen złości i determinacji. Mężczyzna rozglądał się na boki.

— Czy jesteście pewni, że możecie to zrobić? — mruczał. — Naprawdę mnie uratujecie?

— Och! — zawołał z zakłopotaniem Zgniatacz. — Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o gatunek, o rasę... nie o ciebie konkretnie.

Człowiek wpatrzył się w niego i wszystkie trzy pająki poruszyły się niepewnie. Coraz więcej ciem trzepotało za oknem. Poniżej fala wzbierała i rosła.

— Rozumiem — powiedział mężczyzna. — Przykro mi, że źle cię zrozumiałem.

Przełożył Tomasz Oljasz

CZASY ŻWAWEJ PAT

O dziesiątej rano Sama Regana wyrwał ze snu dobrze mu znany, przeraźliwy dźwięk rogu. Przeklął chłopca — opiekuna — wiedział, że wywołał ten hałas celowo. Krążący nad nimi chłopiec chciał mieć pewność, że farciarze — a nie tylko dzikie zwierzęta — dostali paczki opiekuńcze, które miał zrzucić.

Dostaniemy je, dostaniemy, mówił sobie Sam Regan zapinając pyłoszczelny kombinezon; włożył buty i postępując, ruszył w stronę rampy najwolniej, jak mógł. Przyłączyło się do niego jeszcze kilku farciarzy: wszyscy okazywali podobne poirytowanie.

— Przyleciał dziś za wcześnie — poskarżył się Tod Morrison. — I założę się, że to same podstawowe artykuły: cukier, mąka i smalec. Nic ciekawego, jak choćby cukierki.

— Powinniśmy być wdzięczni — zauważył Norman Schein.

— Wdzięczni! — Tod zatrzymał się i spojrział na niego. — Wdzięczni?

— Tak — potwierdził Schein. — Jak sądzisz, co byśmy jedli, gdyby nie oni? Gdyby dziesięć lat temu nie zauważyli chmur?

— No — odparł ponuro Ted — nie podoba mi się, kiedy przylatują tak wcześnie; to, że w ogóle przylatują, w zasadzie mi nie przeszkadza.

Podstawiając barki pod pokrywą zasłaniającą wyjście na powierzchnię, Schein stwierdził jowialnie:

— Jesteś niesamowicie tolerancyjny, Tod. Jestem pewien, że chłopcy — opiekunowie bardzo by się ucieszyli, słysząc twoje wynurzenia.

Regan wyszedł na powierzchnię ostatni z tej trójki; w ogóle nie lubił zewnętrznego świata i nie przejmował się, że ktoś o tym wie. Poza tym nikt nie mógł go zmusić, by porzucił bezpieczną Jamę Kukurydzianej Mąki; to wyłącznie jego sprawa. Tymczasem zauważył, że wielu jego towarzyszy farciarzy postanowiło nie wychodzić ze swoich kwater, ufając, że ci którzy odpowiedzieli na wezwanie rogu, coś im przyniosą.

— Jest jasno — mruknął Tod, mrużąc oczy od słońca.

Tuż nad ich głowami zawarczał samolot opiekunów, rysujący się na szarym niebie jakby wisiał na dyndającej lince. Dobry pilot zrobił taki zrzut, ocenił Tod. On, a raczej ono, po prostu leniwie nim steruje, bez żadnego pośpiechu. Tod pomachał do samolotu i znowu ogromny róg zabrzmiał przeraźliwie, aż Tod musiał zasłonić uszy rękami. Ha, żart to żart, powiedział sobie. Róg umilkł: chłopiec — opiekun dał sobie spokój.

— Pomachaj mu, żeby zrzucił — zwrócił się do Toda Norm Schein. — Masz flagi.

— Jasne — zgodził się Tod i zaczął pracowicie wymachiwać czerwoną flagą, którą dawno temu przywieźli Marsjanie: w przód i w tył, w przód i w tył.

Spod statku wysunął się pocisk, zatrząsał stabilizatorami i runął spiralnie w dół.

— Cholera — rzekł z obrzydzeniem Sam Regan. — To naprawdę tylko podstawowe produkty; nie mają spadochronu. — Odwrócił się, straciwszy zainteresowanie.

Jak tu na górze jest dziś nieprzyjemnie, pomyślał, wodząc wzrokiem po okolicy. Po prawej stał nie dokończony dom, który ktoś — niedaleko ich jamy — zaczął budować z drewna uratowanego z Vallejo, dziesięć mil na północ stąd. Zwierzęta albo pył radioaktywny dopadły budowniczego, więc jego praca stanęła w miejscu; nigdy nikt tego nie wykorzysta. Poza tym Sam Regan zauważył, że od czasu jego poprzedniej wizyty, w czwartek rano albo w piątek, wytrącił się tu niezwykle ciężki osad. Dni zaczynały mu się trochę mieszać. Piekielny pył, pomyślał. Nic, tylko kamienie, gruz i pył. Świat

cały zaczyna pokrywać się pyłem i nie ma nikogo, kto by go wytrzeptał co jakiś czas. A ty? — zadał nieme pytanie marsjańskiemu chłopcu–opiekunowi, który powoli zataczał nad nimi koła. Czyż wasza technika nie jest nieograniczona? Czy nie możesz przylecieć tu któregoś dnia ze ściereczką do kurzu wielkości milionów kilometrów kwadratowych, tak żeby nasza planeta stała się znowu nieskazitelnie nowa?

A raczej, pomyślał, nieskazitelnie stara, jak była „dawno, dawno temu”, wedle słów dzieci. To by się nam bardzo podobało. Skoro zastanawiacie się, jak jeszcze moglibyście nam pomóc, to może spróbujcie tego.

Chłopiec wykonał jeszcze jedną pętlę, szukając napisu na ziemi: wiadomości od żyjących tam, w dole, farciarzy. Ja to napiszę, pomyślał Sam.

PRZYWIEŹCIE ŚCIERECZKĘ DO KURZU, ZWRÓĆCIE NAM NASZĄ CYWILIZACJĘ.

Dobrze, chłopcze–opiekunie?

Nieoczekiwanie samolot opiekuńczy odleciał, bez wątpienia wracając do swojej bazy na Księżycu albo aż na Marsie.

Z otwartej jamy, z której wyszła cała trójka, wychynęła jeszcze jedna, kobieca głowa. Pojawiła się Jean Regan, żona Sama, osłaniając oczy daszkiem przed szarym, oślepiającym blaskiem słońca. Zmarszczyła brwi i zapytała:

— Coś ważnego? Coś nowego?

— Obawiam się, że nie — odpowiedział Sam. Pocisk z paczką wylądował, mężczyzna podszedł do niego, szurając nogami w kurzu. Skorupa pocisku rozerwała się od siły uderzenia i już widać było kanistry. Wyglądało na to, że dostali pięć ton soli... równie dobrze może to tu zostawić, żeby zwierzęta nie pomarły z głodu. Poczul się przygnębiony.

Ci chłopcy–opiekunowie budzą jakiś szczególny niepokój. Cały czas dbają o to, by zapewnić podstawy egzystencji, przewożą je ze swojej planety na Ziemię. Na pewno myślą, że jemy całymi dniami, pomyślał Sam. Mój Boże... jama trzeszczała w szwach od nagromadzonego jedzenia. Ale by to oczywiście jeden z najmniejszych publicznych schronów w północnej Kalifornii.

— Hej! — zawołał Schein, pochylając się nad pociskiem i wpatrując się w otwór. — Chyba widzę coś, co nam się przyda.

Znalazł zardzewiały metalowy pręt — „dawno, dawno temu wzmacniał betonową ściankę domu użyteczności publicznej — i dźgnął nim w pocisk, zwalniając zamek. Poruszony mechanizm wypchnął na zewnątrz tylną osłonę pocisku.. — i zobaczyli jego zawartość.

— W tej skrzynce są chyba radia — stwierdził Tod. — Tranzystorowe. — Skubiąc w zamyśleniu swoją krótką, brodę, dorzucił: — Może dzięki nim dodamy coś nowego do naszych makiet.

— W mojej już jest radio — zauważył Schein.

— No, to zbuduj z części elektroniczną samonaprowadzającą się kosiarkę do trawy — zaproponował Tod. — Tego na pewno nie masz, prawda?

Całkiem nieźle znał makietę Żwawej Pat Scheinów. Oba małżeństwa: on i jego żona oraz Schein i jego małżonka grali razem od dawna i w zasadzie zawsze remisowali. Sam Regan westchnął:

— Forsa za radia, bo będę ich potrzebował.

W jego makiecie nie było automatycznych drzwi do garażu, które mieli Schein i Tod; był zdecydowanie w tyle za nimi. — Biermy się do roboty — zgodził się Schein. — Zostawimy tu

żywność i weźmiemy ze sobą tylko radia. Jeśli ktoś będzie potrzebował jedzenia, to niech tu przyjdzie i sobie weźmie. Przed psokotami.

Skinąwszy głowami, pozostali dwaj mężczyźni zaczęli toczyć użyteczną zawartość pocisku do wejścia do ich jamy. Wykorzystają je w swoich cennych makietach dla Żwawej Pat.

Dziesięcioletni Timothy Schein, świadomy swoich obowiązków, siedział ze skrzyżowanymi nogami i trzymał w ręku osetkę, ostrząc nóż powoli i sprawnie. Przeszkadzali mu w tym rodzice, którzy głośno kłócili się z Morrisonami po drugiej stronie przepierzenia. Znowu grali w Żwawą Pat. Jak zwykle.

Ile razy będą dzisiaj grać w tę głupią grę? — zastanawiał się Timothy. Chyba bez końca. Niczego w tej grze nie widział, rodzice i tak od niej nie odstępowali. I nie tylko oni; wiedział od innych dzieci, nawet z innych jam, że ich rodzice również przez większą część każdego dnia grali w Żwawą Pat, czasami nawet nie przerywali do nocy.

Jego matka powiedziała głośno:

— Żwawa Pat idzie do spożywczego, który ma takie elektryczne oczko otwierające drzwi, spójrzcie. — Milczenie. — Widzicie, otworzyły się przed nią, a teraz jest w środku.

— Pcha przed sobą wózek — wsparł ją ojciec Timothy'ego.

— Wcale nie — sprzeciwiła się pani Morrison. — To nie tak. Ona daje listę zakupów sprzedawcy, a on wszystko przynosi.

— Tak się robi tylko w sklepikach osiedlowych — wyjaśniła jego matka. — A to jest supermarket, można poznać po elektrycznym oczku przy drzwiach.

— Jestem pewna, że wszystkie sklepy spożywcze miały elektryczne oczka — stwierdziła z uporem pani Morrison, a mąż ją poparł. Głosy podniosły się w złości. Wybuchła kolejna sprzeczka. Jak zwykle.

— Och, pieprzyć to — powiedział Timothy, używając najmocniejszego wyrażenia, jakie on i jego koledzy znali. W końcu, co to jest supermarket? Zbadał ostrze swojego noża — sam go kiedyś zrobił, z ciężkiej metalowej patelni — po czym opuścił go na ziemię. Chwilę później cichaczem przebiegł do drugiej części korytarza i wystukał swój rytm na drzwiach mieszkania Chamberlainów.

Odpowiedział mu Fred, również dziesięcioletek.

— Cześć. Gotowy do drogi? Widzę, że wyostrzyłeś ten swój stary nóż; jak myślisz, co złapiemy?

— Na pewno nie psokota — odparł Tim. — Coś znacznie lepszego; mam dosyć jedzenia psokotów. Zbyt pieprzne.

— Twoi rodzice lubią grać w Żwawą Pat?

— Tak.

— Moich rodziców nie było przez dłuższy czas, grali z Benteleyami. — Kątem oka spojrzał na Timothy'ego i natychmiast obaj doznali rozczarowania w związku ze swoimi rodzicami. Kurde, a może ta cholerna gra opanowała już cały świat? Wcale by się nie zdziwili.

— Dlaczego twoi rodzice w to grają? — zapytał Timothy.

— Z tych samych powodów co twoi — odparł Fred.

Timothy powiedział z wahaniem:

— No tak, ale dlaczego? Ja nie wiem; pytam ciebie, może ty wiesz?

— To dlatego... — Fred urwał. — Ich zapytaj. Chodź, idziemy na górę i zaczynamy polowanie. — Oczy mu zalśniły. — Zobaczmy, co dzisiaj uda się złapać i zabić.

Wkrótce byli już na zewnątrz jamy; otworzyli pokrywę kucnęli wśród pyłu i skał, przeszukując wzrokiem horyzont. Serce Timothy'ego zabiło mocniej; chwila, kiedy pierwszy raz stawiali stopę w zewnętrznym świecie, zawsze robiła na nim ogromne wrażenie. Widok, jaki wtedy im się ukazywał,

przeszywał dreszczem. Bo zawsze był inny. Pył, dzisiaj jakiś cięższy, miał ciemniejszy, szary kolor; wydawał się gęstszy, bardziej tajemniczy.

Tu i ówdzie leżały ukryte pod wieloma warstwami piasku paczki pochodzące ze starych dostaw. Zrzucano je tu i pozostawiono, by uległy zniszczeniu. Nikt się po nie nie zgłosił. Timothy zauważył tu jeszcze jeden pocisk, który przywieziono rankiem. Widać było jego zawartość: dzisiaj dorośli stwierdzili, że większa część ładunku na nic im się nie przyda.

— Spójrz — rzekł cicho Fred.

Dwa psokoty — zmutowane psy lub koty, nikt nie miał pewności — znalazły się w zasięgu wzroku; obwąchiwały pocisk, zaabsorbowane rzeczami, po które nikt nie przyszedł.

— Nie chcemy ich — stwierdził Timothy.

— Ten jest całkiem ładny i tłusty — zauważył tęsknie Fred.

Jednak to Timothy miał nóż; on zaś miał tylko sznur ze śrubą na końcu, który wydawał dźwięk podobny do ryku bawołu i mógł zabić z daleka ptaka albo małe zwierzę, ale na nic nie zdałby się przeciwko psokotom, które zazwyczaj ważą piętnaście do dwudziestu funtów, a czasem nawet więcej.

Wysoko na niebie jakaś plamka zaczęła się poruszać z ogromną prędkością. Timothy wiedział, że kolejny samolot opiekuńczy z zapasami kieruje się w stronę następnej jamy. Chłopcy—opiekunowie zawsze przychodzą i odchodzą; nigdy się nie zatrzymują, bo wtedy dorośli by poumierali. Czy to byłoby takie złe? — pomyślał z ironią. Na pewno byłoby smutne.

— Pomachaj, może coś nam zrzuci — zaproponował Fred.

Wykrzywił twarz w grymasie, po czym obaj wybuchnęli śmiechem.

— Pewnie — przytaknął Timothy. — Zaraz. Czego ja chcę?

Znowu się roześmiali — na myśl o tym, że któryś z nich mógłby czegoś chcieć. Mieli obaj w posiadaniu cały górny świat, wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku... mieli nawet więcej niż chłopcy—opiekunowie, a to naprawdę dużo, a nawet jeszcze więcej.

— Czy myślisz, że oni wiedzą — zapytał Fred — o tym, że nasi rodzice grają w Żwawą Pat meblami zrobionymi z tego, co nam zrzucają? Założę się, że nie słyszeli o Żwawej Pat; gdyby o tym wiedzieli, dopiero by się wściekli.

— Masz rację — zgodził się Timothy. — Obraziliby się i pewnie przestaliby zrzucać cokolwiek.

Spojrzał na Freda i spotkał jego wzrok.

— O, nie — rzekł Fred. — Nie powinniśmy im mówić; twój ojciec pewnie znowu by cię za to zbił, a mój na pewno zrobiłby to samo.

Mimo to uznali myśl za godną uwagi. Timothy wyobrażał sobie, jak chłopcy—opiekunowie najpierw się dziwią, a potem wpadają w złość. Zabawnie byłoby na to patrzeć. Zobaczyć reakcję ośmionogich marsjańskich stworzeń, które skrywały tyle hojności w swoich pokrytych brodawkami ciałach, w jedno—skorupowych, przypominających mięczaki organizmach głowonogów, które same z siebie postanowiły przyjść w sukurs ginącym pozostałościom rasy ludzkiej — tak odpłacano im za ich dobroczynność: używając rzeczy, które przywozili, do całkowicie bezużytecznej, głupiej zabawy. Tej gry w Żwawą Pat, która pochłaniała wszystkich dorosłych.

Poza tym trudno byłoby im to powiedzieć; pomiędzy ludźmi a chłopcami—opiekunami łączność niemal nie istniała. Zbyt się różnili. Czynności, czyny były wykonalne, ale przekazywanie czegoś... nie tylko słów, nie tylko znaków. A poza tym...

Wielki, brunatny królik wyskoczył z prawej strony, obok na wpół ukończonego domu. Timothy zamachnął się nożem.

— O, kurde! — zawołał w podnieceniu. — Idziemy!

Ruszył przez gruzowisko, Fred szedł trochę za nim. Stopniowo zbliżali się do zwierzęcia. Szybki bieg nie sprawiał chłopcom kłopotu: wiele ćwiczyli.

— Rzuć nożem! — wysapał Fred, a Timothy zatrzymał się nagle i uniósł rękę, mierzył przez chwilę, po czym cisnął aostrzony, wyważony nóż. Swoją najcenniejszą, osobiście wykonaną własność.

Nóż ciał przez mózg i serce królika. Zwierzę zachwiało się i pośliznęło, wzbijając tuman kurzu.

— Założę się, że dostaniemy za niego dolara! — zawołał Fred, podskakując w miejscu. — Sama kryjówka... pięćdziesiąt centów na pewno dostaniemy za cholerną kryjówkę!

Razem podbiegli do zabitego królika, chcąc dopaść go przed jastrzębiem z czerwonym ogonem albo sową, które zanurkują z wysokiego szarego nieba.

Norman Schein pochylił się, podniósł swoją Żwawą Pat i rzekł ponuro:

— Pasuję. Nie chcę już więcej grać. Jego żona zaprotestowała z rozpaczą:

— Ale nasza Żwawa Pat przyjechała aż do centrum swoim nowym formem kabrioletem ze zdejmowanym dachem, zaparkowała, wrzuciła dziesięciocentówkę do parkometru, zrobiła zakupy, a teraz czyta sobie w poczekalni analityka. To „Fortune” — jesteśmy o wiele lepsi od Morrisonów! Dlaczego chcesz spasować, Norm?

— My się po prostu nie zgadzamy — mruknął Norman. — Ty mówisz, że analitycy biorą dwadzieścia dolarów za godzinę, a ja wyraźnie pamiętam, że żądają tylko dziesięciu; nikt nie mógłby wziąć dwudziestu. A więc dajesz karę naszej stronie. I za co? Morrisonowie zgadzają się, że to tylko dycha. Prawda? — zwrócił się do Morrisonów, którzy rozłożyli się na drugim końcu makiety łączącej oba zestawy Żwawej Pat.

Helen Morrison powiedziała do męża:

— Ty częściej niż ja chodziłeś do analityka; czy jesteś pewien, że bierze tylko dziesięć dolarów?

— No cóż, ja chodziłem głównie na terapię grupową — odrzekł Tom. — Do Stanowej Kliniki Zdrowia Psychicznego w Berkeley, a oni brali tyle, na ile było cię stać. Natomiast Żwawa Pat chodzi do prywatnego psychoanalityka.

Będziemy musieli zapytać kogoś innego — powiedziała Helen do Normana Scheina. — Myślę, że teraz możemy tylko zawiesić grę.

Stwierdził, że i ona mu się teraz przygląda, gdyż przez jego upór co do jednego punktu muszą przerwać tę grę na całe popołudnie.

— Czy zostawimy wszystko rozłożone? — zapytała Fran Schein. — W sumie czemu nie, możemy skończyć po kolacji.

Norman Schein popatrzył na połączone zestawy, na eleganckie sklepy, jasno oświetlone ulice z najnowszymi modelami samochodów, wszystkie lśniące; wreszcie na dom z poddaszem, w którym mieszkała Żwawa Pat i gdzie przyjmowała Leonarda, swojego chłopaka. To właśnie dom był obiektem jego marzeń; domy były prawdziwym centrum każdej makiety, niezależnie od tego, jak bardzo różniły się one w innych szczegółach.

Na przykład garderoba Żwawej Pat. Miała wielką szafę w sypialni. Jej majtki capri, białe bawełniane szorty, dwuczęściowy kostium kąpielowy w groszki, włochate swetry... a tam, w sypialni, zestaw hi-fi, kolekcja płyt długogrających...

Kiedyś tak właśnie było; dawno, dawno temu naprawdę ludzie tak żyli. Norm Schein pamiętał swój zbiór płyt, a kiedyś miał ubrania prawie tak samo wspaniałe jak chłopak Żwawej Pat, Leonard: marynarki z kaszmiru, tweedowe garnitury, włoskie sportowe koszule i buty z Anglii. Nie miał

sportowego jaguara xke, w przeciwieństwie do Leonarda, ale jeździł do pracy pięknym mercedesem z 1963 roku.

Żyliśmy wtedy, myślał Norman, dokładnie tak, jak teraz żyją Żwawa Pat i Leonard. Tak to właśnie było.

Zwrócił się do żony, pokazując jej zegar z radiem, który Żwawa Pat trzymała przy łóżku.

— Czy pamiętasz nasz zegar z radiem od GE? Jak budził nas rano muzyką klasyczną z tej stacji na falach FM, KSFR? Program nazywał się *Wolfgangsterzy*. Od szóstej do dziewiątej każdego ranka.

— Tak. — Fran poważnie skinęła głową. — A ty zawsze wstawiałaś przede mną; wiedziałam, że powinnam wstawać wcześniej i przygotowywać ci bekon i gorącą kawę, ale tak przyjemnie było leniuchować, nie ruszać się jeszcze przez pół godziny, zanim dzieci powstawały.

— Tak, powstawały; budziły się jeszcze przed nami — Wspominał Norm. — Nie pamiętasz? Siedziały w pokoju z tyłu i do ósmej oglądały w telewizji *Trzy popychadła**. Potem wstawałem i robiłem im płatki na śniadanie, a potem szedłem do pracy w Ampeksie w Redwood City.

— O, tak — przytaknęła Fred. — Telewizja.

Ich Żwawa Pat nie miała telewizora; przegrali go na rzecz Reganów tydzień temu i Norman nie zdążył jeszcze zrobić następnego, który wyglądałby na tyle autentycznie, by go zastąpić. Dlatego w grze udawali, że właśnie „facet z serwisu przyszedł do niego”. W ten sposób wyjaśniali, dlaczego Żwawa Pat nie ma czegoś, co by miała naprawdę.

Zabawianie się w tę grę... to jakby znaleźć się znowu tam, w świecie przed wojną, pomyślał Norm. Chyba dlatego w to gramy. Poczul się zawstydzony, ale tylko przez chwilę; wstyd niemal natychmiast ustąpił pragnieniu, by jeszcze trochę pograć.

— Nie przerywajmy — odezwał się nieoczekiwanie. — Zgadzam się, że psychoanalityk zażąda dwudziestu dolarów od Żwawej Pat. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedzieli chórem Morrisonowie i znowu zasiedli, by kontynuować grę.

Tod Morrison wziął Żwawą Pat; trzymał ją i gładził po jasnych włosach — ich lalka była blondynką, natomiast Scheinów — brunetką. Bawił się jej spódniczką.

— Co ty robisz? — chciała wiedzieć jego żona.

— Ma ładną spódniczkę — stwierdził. — Dobrze się spisałaś, kiedy ją uszyłaś.

— Czy znałaś kiedyś dziewczynę, dawno, dawno temu, która była podobna do Żwawej Pat? — zapytał Norman.

— Nie — odrzekł posępnie Tod Morrison. — Ale żałuję. Widywałem takie dziewczyny jak Żwawa Pat, zwłaszcza kiedy mieszkałem w Los Angeles podczas wojny z Korea. Ale po prostu nie potrafiłem nigdy żadnej poznać osobiście. No i były rzecz jasna naprawdę wspaniałe piosenkarki, jak Peggy Lee czy Julie London... bardzo przypominały Żwawą Pat.

— Graj — powiedziała energicznie Fran.

Norm, na którego przyszła teraz kolej, podniósł bąka i zakręcił nim.

— Jedenaście — oświadczył. — Czyli mój Leonard wychodzi z warsztatu ze sportowymi samochodami i idzie na wyścigi. — Przesunął lalkę do przodu.

Tod Morrison powiedział w zamyśleniu:

— Wiecie, wyszedłem któregoś dnia, żeby pogrzebać w artykułach spożywczych, które zrzucają chłopcy-opiekunowie. Był tam Bill Ferner i powiedział mi coś ciekawego. Spotkał farciarza z jamy z byłego Oakland. I wiecie, w co grają w tamtej jamie? Nie w Żwawą Pat. Nigdy nie słyszeli o Żwawej Pat.

— No, to w co grają? — zapytała Helen.

— Mają zupełnie inną lalkę — mówił dalej Tod, zmarszczywszy brwi. — Bili mówi, że tamten

farciarz nazywał ją Towarzyską Connie. Słyszeliście o czymś takim?

— Lalka Towarzyska Connie — powtórzyła z namysłem Fran. — Dziwne. Ciekawe, jaka ona jest. Czy ma chłopaka?

— No pewnie — odrzekł Tod. — Ma na imię Paul. Connie i Paul. Wiecie co, któregoś dnia powinniśmy tam pójść, do tej jamy w Oakland, i zobaczyć, jak Connie i Paul wyglądają i jak żyją. Może nauczylibyśmy się paru rzeczy, które moglibyśmy dodać do naszych makiet.

— Może dałoby się z nimi zagrać — zastanawiał się Norman.

— Czy Żwawa Pat mogłaby grać z Towarzyską Connie? — zdziwiła się Fran. — Czy to możliwe? Ciekawa jestem, co by się wtedy stało.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Bo nikt tego nie wiedział.

Gdy obierali królika ze skóry, Fred powiedział do Timothy'ego:

— Skąd się wzięła nazwa „farciarz”? To na pewno paskudne słowo; dlaczego go używają?

— Farciarz to ktoś, kto przeżył wojnę wodorową — wyjaśnił Timothy. — Wiesz, fartem. Fartnęło mu się. Rozumiesz? Bo prawie wszyscy zginęli; kiedyś żyły tysiące ludzi.

— No więc, co to takiego „fart”? Mówisz: fartnęło się...

— Fart jest wtedy, gdy los postanowił cię oszczędzić — powiedział Timothy i nie miał już nic do dodania na ten temat. To wszystko, co wiedział.

— Ale ty i ja nie jesteśmy farciarzami, bo nie było nas jeszcze na świecie, kiedy wojna wybuchła. Urodziliśmy się później — zauważył w zamyśleniu Fred.

— Zgadza się — przytaknął Timothy.

— A więc każdy, kto nazwie mnie farciarzem — wywodził Fred — dostanie z procy w oko.

— I chłopiec—opiekun — dodał Timothy. — To też jest wymyślone słowo. Pochodzi z czasów, kiedy z samolotów i statków zrzucano rzeczy dla ludzi, którzy żyli w strefach katastrofy. Nazywano je opiekuńczymi paczkami, bo pochodziły od tych, którzy chcieli się opiekować.

— To wiem — stwierdził Fred. — O to cię nie pytałem.

— Ale i tak ci powiedziałem — zauważył Timothy. Chłopcy dalej obdzierali królika.

— Słyszałaś o lalce Towarzyska Connie? — zapytała męża Jean Regan. Rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nie słucha ich ktoś z innych rodzin. — Sam — powiedziała. — Słyszałam o tym od Helen Morrison; ona dowiedziała się od Toda, a on chyba od Billa Fernera. Więc to pewnie prawda.

— Co: prawda? — zapytał Sam.

— Że w jamie w Oakland nie mają Żwawej Pat, tylko Towarzyską Connie... i przyszło mi do głowy, że może trochę tej... wiesz, tej pustki i nudy, którą czasem odczuwamy... jeśli zobaczylibyśmy Towarzyską Connie i to, jak ona żyje, może moglibyśmy dodać tyle do naszej makiety, by... — umilkła i zamyśliła się. — By była bardziej kompletna.

— Dla mnie imię jest nieistotne — oświadczył Sam Regan. — Towarzyska Connie. Brzmi beznadziejnie.

Nabrał łyżką zwyczajnej, pożywnej kaszy zbożowej, która ostatnio przywozili chłopcy—opiekunowie. Kiedy miał pełne usta, pomyślał: „Założę się, że Towarzyska Connie nie je takich pomyj; na pewno zajada się cheeseburgerami ze wszystkimi dodatkami w dobrej restauracji dla zmotoryzowanych”.

— Czy moglibyśmy się tam wybrać? — zastanawiała się Jean.

— Do jamy w Oakland? — Sam popatrzył na nią. — To piętnaście mil stąd, aż za jamą w Berkeley!

— Ale to jest ważne — upierała się Jean. — A Bili mówi, że jeden farciarz stamtąd przyszedł aż do nas, szukając elektronicznych części czy czegoś tam... no więc, jeśli on mógł, to i my. Mamy skafandry przeciwpyłowe, które nam zrzucili. Wiem, że nam się uda.

Mały Timothy Schein, który siedział ze swoją rodziną, podsłuchiwał ją. Teraz się odezwał:

— Pani Regan, Fred Chamberlain i ja moglibyśmy się wybrać na taką daleką wyprawę, jeśli nam zapłacicie. — Szturchnął siedzącego obok Freda. — Prawda? Może za pięć dolarów.

Fred obrócił się z poważną miną do pani Regan i rzekł:

— Możemy przynieść pani lalkę Towarzyską Connie. Za pięć dolarów dla każdego z nas.

— Wielkie nieba! — zawołała ze złością Jean Regan. I nie wracała już do tematu.

Później jednak, po kolacji, kiedy była w swojej kwaterze tylko z Samem, znowu podjęła temat.

— Sam, muszę to zobaczyć — wybuchnęła.

Sam siedział właśnie w ocynkowanej wannie i zażywał cotygodniowej kąpieli, więc musiał jej słuchać.

— Teraz, skoro wiemy, że coś takiego istnieje, musimy zagrać z kimś z jamy w Oakland. Możemy zrobić chociaż tyle, prawda? Proszę. — Przemierzała małe pomieszczenie w tę i z powrotem, zaciskając mocno dłonie. — Towarzyska Connie może mieć stację kolejową, terminal lotniczy z pasem startowym dla odrzutowców, kolorowy telewizor, francuską restaurację, w której podają ślimaki, jak ta, do której poszliśmy tuż po ślubie... ja po prostu muszę zobaczyć jej makietę.

— Nie wiem — odpowiedział z wahaniem Sam. — Coś w tej Towarzyskiej Connie... mnie niepokoi.

— Co to może być?

— Nie wiem.

— To dlatego, że wiesz, iż jej makietka jest o wiele ładniejsza od naszej i że ona jest lepsza od Żwawej Pat — powiedziała z goryczą Jean.

— Może tak jest — mruknął Sam.

— Jeśli nie pójdziesz, jeśli nie zechcesz skontaktować się z tymi z jamy w Oakland, zrobi to ktoś inny... ktoś o większej ambicji cię wyprzedzi. Na przykład Norman Schein. On się nie boi, w przeciwieństwie do ciebie.

Sam nic nie odpowiedział; kąpał się dalej. Ale ręce mu drżały.

Chłopiec—opiekun zrzucił ostatnio skomplikowane części jakiejś maszyny, najwyraźniej mechanicznego komputera. Przez wiele tygodni komputery — jeśli to były one — leżały nie używane w kartonach, teraz jednak Norman Schein uznał, że jeden z nich do czegoś mu się przyda. Łamał głowę nad tym, jak wykorzystać najmniejsze wajchy, by zbudować rozdrabniacz odpadków do kuchni Żwawej Pat.

Używał specjalnych maleńkich narzędzi — wymyślonych i wykonanych przez mieszkańców jamy — które były niezbędne przy budowie przedmiotów dla Żwawej Pat. Pracował w swoim warsztacie. Był tak pochłonięty swoim zajęciem, że zupełnie nagle zobaczył przed sobą obserwującą go Fran.

— Denerwuję się, gdy ktoś mi się przygląda — powiedział Norman, chwytając pęsetą maleńką przekładnię.

— Posłuchaj — zaczęła Fran. — Wymyśliłam coś. Czy to ci coś mówi?

Postawiła przed nim jeden z tranzystorowych radioodbiorników, które zrzuciono dzień wcześniej.

— Mówi mi o zamku do drzwi od garażu, który już wymyśliłem — odrzekł poirytowany.

Pracował dalej, fachowo wkładając miniaturowe części do odpływu zlewozmywaka Żwawej Pat; taka precyzyjna robota wymaga pełnej koncentracji.

— Mówi o tym — podjęła Fran — że gdzieś na Ziemi muszą być nadajniki radiowe, bo po co

chłopcy—opiekunowie by to zrzucali?

— No i? — zapytał bez zainteresowania Norman.

— Może nasz burmistrz go ma — zastanawiała się Fran. — Może jeden jest tu, w naszej jamie, i moglibyśmy się dzięki niemu porozumieć z jamą w Oakland. Ich przedstawiciele mogliby spotkać się z nami w połowie drogi... na przykład w jamie w Berkeley. Tam moglibyśmy zagrać. Nie musielibyśmy iść piętnastu mil.

Norman zawahał się; odłożył pęsetę i rzekł wolno:

— Być może masz rację.

Ale jeśli ich burmistrz Hooker Glebe ma nadajnik radiowy, to czy pozwoli im go użyć? A jeśli nawet...

— Spróbujmy — ponaglała Fran. — To nie boli.

— No dobrze — zgodził się Norman i wyszedł za nią z warsztatu.

Niski mężczyzna o przebiegłej twarzy, w wojskowym mundurze, burmistrz Jamy Kukurydzianej Mąki, słuchał Normana Scheina w milczeniu. Potem uśmiechnął się chytrze.

— Jasne, że mam nadajnik. Miałem go cały czas. Pięćdziesięciowatowy. Ale po co chcecie się kontaktować z jamą w Oakland?

— To moja sprawa — odpowiedział ostrożnie Norman.

— Pozwolę wam go użyć za piętnaście dolarów — oznajmił z namysłem Hooker Glebe.

Był to okropny cios i Norman musiał się z niego otrząsnąć. Dobry Boże! Wszystkie pieniądze, które mieli z żoną — potrzebowali każdego centa, by grać w Żwawą Pat. Pieniądzy używali do gry; w żaden inny sposób nie mogliby ustalić, kto wygrał, a kto przegrał.

— To za dużo — rzekł głośno.

— No to, powiedzmy, dziesięć.

W końcu zgodzili się na sześć dolarów i pięćdziesięciocentówkę.

— Nawiążę dla was ten kontakt — zaproponował Hooker. — Bo wy nie wiecie jak. Trochę to potrwa. — Zaczął kręcić korbką z boku generatora nadajnika. — Dam wam nać kiedy nawiążę z nimi kontakt. Ale pieniądze dajcie już teraz.

Wyciągnął po nie rękę. Norman bardzo niechętnie mu je oddał.

Dopiero późnym wieczorem tego dnia Hookerowi udało się nawiązać kontakt z Oakland. Zadowolony z siebie, promieniejący radością, zjawił się u Scheinów w porze kolacji.

— Wszystko gotowe — oświadczył. — Słuchajcie, czy wy wiecie, że w Oakland jest aż dziewięć jam? Janie wiedziałem. Którą chcecie? Skontaktowałem się z taką, która ma kod Czerwona Wanilia. — Zachichotał. — Oni są twardzi i podejrzliwi; trudno było któregoś z nich zmusić do odpowiedzi.

Norman zostawił jedzenie i pospieszył do kwatery burmistrza, a Hooker, sapiąc, podążał za nim.

Nadajnik był włączony. Jego głośnik aż huczał. Norm niezgrabnie zajął miejsce przy mikrofonie.

— Czy mam tylko mówić? — zapytał Hookera.

— Powiedz tylko: „Tu Jama Kukurydzianej Mąki”. Powtórz to kilka razy, a kiedy potwierdzą odbiór, powiedz, czego chcesz. — Burmistrz pokręcił kontrolkami, robiąc odpowiednie zamieszanie.

— Tu Jama Kukurydzianej Mąki — powiedział Norm głośno do mikrofonu.

Prawie natychmiast z głośnika odpowiedział mu czysty głos:

— Tu Czerwona Wanilia Trzy.

Głos ten był zimny i ostry; Normana uderzyło, że brzmiał zupełnie obco. Hooker miał rację.

— Czy macie tam u siebie Towarzyską Connie?

— Tak, mamy — odpowiedział farciarz z Oakland.

— No, to rzucajmy wam wyzwanie — oznajmił Norm, czując, że żyły na szyi pulsują mu od napięcia. — My tu mamy Żwawą Pat; zagraliśmy Żwawą Pat przeciwko Towarzyskiej Connie. Gdzie możemy się spotkać?

— Żwawa Pat — odrzekł ten z Oakland. — Tak, słyszałem o niej. O jakie stawki chcecie zagrać?

Tu gramy przeważnie o papierowe pieniądze — odpowiedział Norman, czując, że to kiepska propozycja.

— Mamy mnóstwo papierowych pieniędzy — rzekł z przekąsem jego rozmówca. — To by nas nie interesowało. Co jeszcze?

— Nie wiem.

Czuł się skrępowany, rozmawiając z kimś, kogo nie mógł widzieć; nie był do tego przyzwyczajony. Uważał, że ludzie powinni stać naprzeciwko siebie, żeby widzieć wyraz twarzy drugiego. To nienaturalne.

— Spotkajmy się w połowie drogi — zaproponował. — Wtedy to przedyskutujemy. Może w jamie w Berkeley? Co wy na to?

— To za daleko — odparł farciarz z Oakland. — Mamy taszczyć makietę Towarzyskiej Connie tak daleko? Jest zbyt ciężka i coś może się jej przydarzyć.

— Nie, tylko omówimy zasady i stawkę — powiedział Norman.

Jego rozmówca wciąż miał wątpliwości.

— No dobrze, chyba możemy na to pójść. Ale żeby było jasne: traktujemy naszą Towarzyską Connie cholernie poważnie. Lepiej bądźcie przygotowani do negocjacji.

— Będziemy — zapewnił go Norman.

Przez cały ten czas burmistrz Hooker Glebe kręcił korbką; spocił się, jego twarz spuchła z wysiłku. Machnął ze złością ręką, aby Norman skończył to zawracanie głowy.

— W jamie w Berkeley — podsumował Norm. — Za trzy dni. I wyślijcie najlepszego gracza, takiego, który ma największą i najbardziej autentyczną makietę. Bo wiecie, makiety naszej Żwawej Pat to dzieła sztuki.

— Uwierzemy, kiedy je zobaczymy — odpowiedział tamten. — W końcu nasze makiety budują stolarze, elektrycy i tynkarze. Wy na pewno jesteście amatorami.

— Nie takimi, za jakich nas uważacie — odpowiedział stanowczo Norm i odłożył mikrofon. — Pokonamy ich — zwrócił się do Hookera Glebe'a, który natychmiast przestał kręcić korbką. — Poczekajmy, niech zobaczą rozdrabniacz odpadków do kuchni, który szykuję dla Żwawej Pat; czy wie pan, że dawno, dawno temu żyli ludzie, tacy naprawdę żywi ludzie, którzy nie mieli rozdrabniaczy odpadków?

— Pamiętam — odrzekł z rozdrażnieniem Hooker. — No, nieźle nakręciłem się za te pana pieniądze; chyba wystrychnął mnie pan na dudka, rozmawiając tak długo. — Popatrzył na Normana tak złowrogo, że ten poczuł się nieswojo. W końcu burmistrz mógł wyeksmitować każdego farciarza, którego chciał; takie mieli prawa.

— Dam panu skrzynkę z alarmem przeciwpożarowym, którą zrobiłem parę dni temu — zaproponował Norm. — W mojej makiecie leży na rogu kwartału, gdzie mieszka chłopak Żwawej Pat, Leonard.

— Może być — zgodził się Hooker i jego wrogość zniknęła. Natychmiast zastąpiła ją pożądlivość. — Obejrzyjmy ją, Norm; właśnie skrzynka z alarmem jest mi potrzebna, żeby zakończyć mój pierwszy kwartał, w którym mam skrzynkę pocztową. Dziękuję.

— Ależ proszę. — Norman westchnął filozoficznie. Gdy wrócił z dwudniowej wyprawy do jamy w Berkeley, miał tak ponury wyraz twarzy, że jego żona od razu odgadła, iż rozmowa z ludźmi z

Oakland nie potoczyła się najlepiej. Tego ranka chłopcy—opiekunowie zrzucili kartony sztucznego napoju przypominającego herbatę; Fran zrobiła Normanowi filiżankę napoju, czekając, aż opowie o tym, co zdarzyło się osiem mil stąd.

— Targowaliśmy się — zaczął Norman, siadając ciężko na łóżku, na którym spali on, jego żona i dziecko. — Nie chcą pieniędzy. Nie chcą też żadnych przedmiotów, bo przecież chłopcy—opiekunowie i tam wszystko regularnie dowożą.

— No to na co się zgodzili?

— Na samą Żwawą Pat — odpowiedział Norm i umilkł.

— Dobry Boże! — zawołała przerażona.

— Ale jeśli wygramy — dodał Norm — zabieramy Towarzyską Connie.

— A makiety? Co z nimi?

— Zatrzymamy naszą. Chodzi tylko o Żwawą Pat, nie o Leonarda ani o nic innego.

— Ale co my zrobimy, jeśli stracimy Żwawą Pat?

— Mogę zrobić jeszcze jedną — stwierdził. — Zajmie to Jakiś czas. W jamie jest jeszcze dużo plastiku i sztucznych włosów; zajęłoby to co najmniej miesiąc, ale mogę to zrobić. Nie ukrywam, że wcale by mi się coś takiego nie uśmiechało. Ale... — Oczy mu zalśniły. — Nie patrzmy tak pesymistycznie. Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy wygrali Towarzyską Connie. Myślę, że mamy spore szansę. Ich wysłannik wydaje się sprytny i, jak mówi Hooker, mocny... ale ten z którym rozmawiałem, nie sprawiał wrażenia farciarza Wiesz, trzeba przeciągać szczęście na swoją stronę.

A poza tym element szczęścia, przypadku — poprzez rzucanie bakiem — był stale obecny w grze.

— Chyba nie należy — zauważyła Fran — stawiać samej Żwawej Pat. Ale skoro tak mówisz... — Z trudem zdobyła się na nieznaczny uśmiech. — Jakoś to przeżyję. A jeśli wygrasz Towarzyską Connie... kto wie? Może po śmierci Hookera ciebie wybraliby burmistrzem? Wyobraź sobie: wygrać czyjaś lalkę — nie tylko grę, pieniądze, ale samą lalkę.

— Potrafię wygrać — oświadczył z powagą Norm. — Bo ze mnie prawdziwy farciarz.

Czuł to w sobie: ten sam fart, dzięki któremu przetrwał wojnę wodorową i który potem utrzymywał go przy życiu. Albo to się ma, albo nie, pomyślał. A ja mam.

— Czy nie powinniśmy poprosić Hookera, aby zwołał zebranie wszystkich z jamy, żebyśmy wysłali najlepszego gracza? — zapytała jego żona. — Mielibyśmy pewność co do wygranej.

— Posłuchaj — rzekł z emfazą Norm Schein.—Ja jestem najlepszym graczem. Idę. A ty ze mną. Tworzymy dobrany zespół i nie chcemy go zepsuć. I tak potrzeba co najmniej dwojga ludzi, by zanieśli makietę Żwawej Pat.

Ocecił, że w sumie ich makietka waży sześćdziesiąt funtów.

Plan wydawał mu się zadowalający. Ale kiedy przedstawiał go innym mieszkańcom Jamy Kukurydzianej Mąki, spotykał się z ostrym sprzeciwem. Cały następny dzień pochłonęły spory.

— Nie możesz taszczyć swojej makiety przez całą drogę sam — powiedział Sam Regan. — Albo weź ze sobą więcej ludzi, albo zawieź na czymś makietę. Na przykład na wózku. — Spojrzał gniewnie na Normana.

— Skąd ja wezmę wózek? — zastanawiał się Norm.

— Może coś da się przerobić — zaproponował Sam. Pomogę ci, jak tylko będę mógł. Osobiście chętnie bym z tobą poszedł, ale jak mówiłem żonie, cały ten pomysł mnie niepokoi. — Walnął Normana w plecy. — Podziwiam twoją odwagę twoją i Fran, że tak po prostu ruszacie w drogę. Chciałbym też być do tego zdolny. — Zmarkotniał.

W końcu Norman zdecydował się na taczki. On i Fran mieli pchać je na zmianę. W ten sposób żadne z nich nie musiałyby dźwigać nic więcej oprócz jedzenia i wody, no i rzecz jasna noży do

obrony przed psokotami.

Gdy ostrożnie układali elementy makiety na taczkach, przyszedł do nich ich syn, Timothy.

— Weźcie mnie, tato — prosił. — Za pięćdziesiąt centów będę strażnikiem i zwiadowcą, pomogę też zdobywać po drodze żywność.

— Sami doskonale sobie poradzimy — zapewnił go Norm. — Ty zostań w jamie; tu będziesz bezpieczniejszy.

Denerwowała go myśl o tym, że jego syn będzie ciągnął się z nimi na tak poważną wyprawę. Byłoby to niemal... świętokradztwem.

— Pocałuj nas na do widzenia — zwróciła się do Timothy'ego Fran, obdarzając go przelotnym uśmiechem; potem zajęła się z powrotem makietą leżącą na taczkach. — Mam nadzieję, że się nie przewróci — rzekła z obawą do Normana.

— Nie ma szans — odpowiedział jej mąż. — Jeśli będziemy ostrożni. — Czuł w sobie pewność.

W chwilę później zaczęli pchać taczki w górę do otworu wiodącego na zewnątrz. Rozpoczęła się podróż do jamy w Berkeley.

Miłą przed jamą w Berkeley zaczęli się potykać o kanistry, niektóre puste, a niektóre tylko częściowo opróżnione. Były to pozostałości po paczkach opiekuńczych, takie same jak te, które zalegały w pobliżu ich jamy. Nelson Schein westchnął z ulgą: w końcu wyprawa nie była taka trudna, tylko dłonie pokryły mu pęcherze od trzymania metalowych rączek taczki, a Fran skręciła kostkę i teraz utykała z bólu. Jednakże dotarli na miejsce szybciej, niż zakładali, i Normana wypełniała euforia.

Przed nimi pojawił się jakiś człowiek, który kuczał w po—Piele. Był to chłopiec. Norm pomachał do niego i powiedział:

— Hej, chłopcze, jesteśmy z Jamy Kukurydzianej Mąki Mamy się spotkać z grupą z Oakland... pamiętasz mnie?

Chłopiec nie odpowiedział, tylko odwrócił się i czmychnął.

— Nie ma się czego obawiać — rzekł Norman do żony. — Powie swojemu burmistrzowi. To miły staruszek o nazwisku Ben Fennimore.

Wkrótce zobaczyli kilku dorosłych, którzy zbliżali się do nich z rezerwą.

Norman z poczuciem ulgi postawił nóżki taczek w popiele, puścił rączki i obtarł twarz chusteczką.

— Czy drużyna z Oakland już przyjechała?! — zawołał.

— Jeszcze nie — odpowiedział wysoki, starszy mężczyzna z białą opaską na ramieniu i ozdobną czapką. — Ty jesteś Schein, prawda? — zapytał, przyglądając mu się uważnie. — Wróciłeś już ze swoją makietą.

Teraz ludzie z Berkeley zaczęli się tłoczyć wokół jego taczek i oglądać makietę Scheinów. Ich twarze wyrażały podziw.

— Oni mają tu Żwawą Pat — powiedział Norm do żony. — Ale — ściszył głos — w ich makietach są tylko podstawowe rzeczy. Tylko dom, garderoba i samochód... prawie niczego sami nie zbudowali. Brak wyobraźni.

Jedna z kobiet odezwała się z zaciekawieniem do Fran:

— I wszystkie te meble zrobiliście sami? — Pełna zachwyty, zwróciła się do stojącego obok niej mężczyzny: — Widzisz, czego dokonali, Ed?

— Tak. — Pokiwał głową. — Słuchajcie. — Spojrzał na Fran i Norma. — Czy możemy zobaczyć to wszystko rozstawione? Chcecie to rozłożyć w naszej jamie, prawda?

— No tak — potwierdził Norman.

Farciarze z Berkeley pomogli pchać taczki ostatnią milę. Wkrótce schodzili już z rampy do jamy.

— To duża jama — rzekł ze znanstwem Norm do Fran. — Muszą tu mieszkać ze dwa tysiące ludzi. Tu był kiedyś Uniwersytet Kalifornijski.

— Aha — odpowiedziała Fran, z pewnym onieśmieniem wchodząc do dziwnej jamy. Pierwszy raz od lat, właściwie od wojny, widziała jakichś obcych. A teraz aż tylu naraz. Z trudem mogła to znieść; Norm poczuł, jak żona kurczy się w sobie i przyciska do niego ze strachu.

Kiedy zeszli na pierwszy poziom i zaczęli rozładowywać taczki, zjawił się Ben Fennimore i rzekł łagodnie:

— Chyba wypatrzyliśmy ludzi z Oakland; dostaliśmy właśnie raport o jakimś poruszeniu na górze. A więc przygotujcie się — dodał. — Będziemy wam kibicować, rzecz jasna, bo macie Żwawą Pat, tak jak my.

— Czy widział pan kiedyś Towarzyską Connie? — zapytała go Fran.

— Nie, proszę pani—odrzekł uprzejmie Fennimore. — Ale oczywiście słyszeliśmy o niej, przecież jesteście sąsiadami tych z Oakland i w ogóle. Jedno wam powiem... słyszeliśmy, że Towarzyska Connie jest trochę starsza od Żwawej Pat. Wiecie, bardziej... hm, dojrzała—wyjaśnił. — Chciałem was tylko przygotować.

Norm i Fran spojrzeli po sobie.

— Dziękujemy — odpowiedział z wolna Norman. — Tak, powinniśmy jak najlepiej się przygotować. A co z Paulem?

— O, on niewiele znaczy — odrzekł Fennimore. — Connie zajmuje się wszystkim; nie wydaje mi się nawet, żeby Paul miał swoje mieszkanie. Ale lepiej zaczekajcie na farciarzy z Oakland. Nie chcę wprowadzić was w błąd, rozumiecie: wszystko, co wiem, to pogłoski.

Stojący obok farciarz dodał:

— Widziałem kiedyś Connie, jest znacznie bardziej dorosła niż Żwawa Pat.

— A ile lat, według pana, ma Żwawa Pat? — zapytał go Norm.

— No, powiedziałbym, że siedemnaście albo osiemnaście.

— A Connie? — dopytywał się w napięciu.

— No, może mieć nawet dwadzieścia pięć.

Z rampy z tyłu dobiegły ich jakieś głosy. Pojawili się kolejni farciarze z Berkeley, a za nimi dwaj mężczyźni niosący paletę, na której Norman zobaczył rozłożoną wielką, wspaniałą makietę.

Była to drużyna z Oakland. Nie para, nie małżeństwo; byli to dwaj mężczyźni o zaciętych twarzach i nieobecnym spojrzeniu. Krótко skinęli głowami jemu i Fran, przyjmując do wiadomości, że też już tu są. Z niezwykłą ostrożnością postawili paletę, na której spoczywała makietka.

Za nimi zjawił się trzeci farciarz, który niósł metalowe pudełko przypominające wiaderko z lunchem. Norman spojrział na niego i instynktownie wyczuł, że w środku znajdowała się Towarzyska Connie. Farciarz z Oakland wyjął klucz i zabrał się do otwierania pudełka.

— Jesteśmy gotowi zacząć grę w każdej chwili — oświadczył wyższy z ludzi z Oakland. — Tak jak uzgodniliśmy, będziemy używać bąka z numerami zamiast kości. W ten sposób trudniej oszukiwać.

— Zgoda — odrzekł Norman. Z wahaniem wyciągnął rękę. — Jestem Norman Schein, a to moja żona i partnerka Fran.

Ten z Oakland, najwyraźniej ich przywódca, powiedział:

— Nazywam się Walter R. Wynn. To mój partner Charley Dowd, a ten z pudełkiem to Peter Foster. On nie będzie grał. Pilnuje tylko makiety.

Wynn popatrzył wokoło na farciarzy z Berkeley, jakby mówił: Wiem, że wszyscy trzymacie stronę Żwawej Pat. Ale nas to nie obchodzi, nie boimy się.

Fran oświadczyła:

— Jesteśmy gotowi do gry, panie Wynn. — Głos miała niski, ale opanowany.

— Co z pieniędzmi? — zapytał Fennimore.

— Według mnie obie strony mają dosyć pieniędzy — stwierdził Wynn.

Wyjął kilka tysięcy dolarów w amerykańskich banknotach. Norman zrobił to samo.

— Oczywiście pieniądze są tu nieistotne, służą tylko do prowadzenia gry.

Norm skinął głową; doskonale to rozumiał. Ważne były tylko lalki. Teraz po raz pierwszy zobaczył Towarzystką Connie.

Foster wkładał ją do jej sypialni; najwyraźniej to on się nią zajmował. Na ten widok Normanowi dech zaparło w piersiach. Tak, była starsza. Dorosła kobieta, wcale nie dziewczyna... różnica między nią a Żwawą Pat była wyraźna. Lalka była zupełnie jak żywa. Rzeźbiona, nie odlewana; na pewno wyciosano ją z drewna, a potem pomalowano — nie była z plastiku. No i jej włosy. Wydawały się prawdziwe, ludzkie.

Wywarło to na nim ogromne wrażenie.

Co pan o niej myśli? — zapytał z lekkim uśmiechem Walter Wynn.

— Bardzo... imponujące — przyznał Norm.

Teraz Oaklandczycy przyglądali się Żwawej Pat.

— Odlew z plastiku — stwierdził jeden z nich. — Sztuczne włosy. Chociaż ubranie jest niezłe. Widać, że wszystko szyte w rękę. Ciekawe; to, co słyszeliśmy, jest prawdą. Żwawa Pat nie jest dorosła, to tylko nastolatka.

Pojawił się towarzysz Connie. Postawiono go w sypialni, obok lalki.

— Chwileczkę — zaproponował Norm. — Wkładacie Paula, czy jak mu tam na imię, do jej sypialni? Czy on nie powinien zaczynać ze swojego mieszkania?

— Oni są małżeństwem — wyjaśnił Wynn.

— Małżeństwem? — Norman i Fran patrzyli na niego osłupiali.

— No pewnie — powiedział Wynn. — Dlatego przecież mieszkają razem. Wasze lalki też, prawda?

— Nnie — odparła Fran. — Leonard jest chłopakiem Żwawej Pat... — Głos jej się załamał. — Norm — powiedziała, ściskając go za ramię. — Nie wierzę im. Myślę, że tylko tak mówią, że są małżeństwem, żeby zyskać przewagę. Bo jeśli oboje zaczną z tego samego pokoju...

— Posłuchajcie — rzekł głośno Norm. — To nie w porządku, że nazywacie ich małżeństwem.

— Nie nazywamy ich małżeństwem — odrzekł Wynn. — Oni są małżeństwem. Nazywają się Connie i Paul Lathrope, mieszkają przy Arden Place Piedmont 24. Pobrali się rok temu, przyzna to większość graczy — mówił ze spokojem.

Może to prawda, pomyślał Norm.

— Spójrz, jak wyglądają razem — powiedziała Fran, klękając, aby przyjrzeć się makiecie Oaklandczyków. — W tej samej sypialni, w tym samym domu. No, Norm, widzisz? Tu jest tylko jedno łóżko. Wielkie, podwójne łóżko. — Patrzyła nań roziskrzonymi oczami. — Jak Żwawa Pat i Leonard mogą grać przeciwko nim? — Głos jej zadrżał. — To jest niemoralne.

— To jest zupełnie inny rodzaj makiety. — Norman zwrócił się do Waltera Wynna. — Ten, który wy macie. Zupełnie inny niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni jak pan widzi. — Wskazał na swoją makietę. — Nalegam, by w tej grze Connie i Paul nie mieszkali razem i by nie byli uważani za małżeństwo.

— Ale oni są małżeństwem — wtrącił się Foster. — To fakt. Spójrzcie: ich ubrania leżą w jednej szafie. — Pokazał im szafę. — I w tych samych szufladach. — Też je pokazał. — Zajrzyjcie do łazienki. Dwie szczoteczki do zębów. Jego i jej, w tym samym kubeczku. Widzicie więc, że nic nie zmyślamy.

Zapadło milczenie.

Potem Fran powiedziała zduszonym głosem:

— Skoro są małżeństwem... to czy byli... czy nastąpiło zbliżenie?

Wynn uniósł brwi i skinął głową.

— Jasne, przecież są małżeństwem. Czy to coś złego?

— Żwawa Pat i Leonard nigdy... — zaczęła Fran, ale zrezygnowała.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Wynn. — Przecież tylko ze sobą chodzą. Rozumiemy to.

— My po prostu nie możemy grać. Nie możemy — oświadczyła Fran. Chwyliła męża za ramię. —

Wracajmy do Jamy Kukurydzianej Mąki... proszę, Norm.

— Chwileczkę. — Wynn zareagował natychmiast. — Jeśli nie gracie, to znaczy, że się poddajecie; musicie nam oddać Żwawą Pat.

Wszyscy trzej Oaklandczycy pokiwali potakująco głowami. Norman zauważył, że wielu ludzie z Berkeley także się z nimi zgadza, nawet Ben Fennimore.

— Oni mają rację — rzekł z ciężkim sercem do żony. Objął ją ramieniem. — Musielibyśmy ją oddać. Lepiej zagrajmy, kochanie.

— Tak — odpowiedziała Fran słabym, bezbarwnym głosem. — Zagramy.

Pochyliła się i apatycznie zakręciła bakiem. Zatrzymał się na szóstce.

Walter Wynn z uśmiechem na ustach ukląkł i zakręcił. Dostał cztery.

Gra się rozpoczęła.

Timothy Schein przykucnął za porozsypywanymi, gnijącymi resztkami paczki opiekuńczej, którą zrzuciono dawno temu. Nagle zobaczył, że przez pole pokryte popiołem idą jego rodzice i pchają przed sobą taczki. Wyglądali na zmęczonych i wyczerpanych.

— Cześć! — krzyknął Timothy, wyskakując przed nich, szczęśliwy, że znowu ich widzi. Bardzo za nimi tęsknił.

— Cześć, synku — mruknął ojciec, kiwając głową. Puścił rączki taczek, zatrzymał się i obtarł twarz chusteczką.

Nadbiegł zdyszany Fred Chamberlain.

— Dzień dobry, panie Schein. Dzień dobry, pani Schein. No i co, wygraliście? Pobiliście farciarzy z Oakland? Na pewno wygraliście, prawda? — Patrzył to na jedno, to na drugie.

— Tak, Freddy, wygraliśmy — odpowiedziała cicho Fran.

— Zajrzyj do taczek — dodał Norm.

Obaj chłopcy zajrzeli z ciekawością. Pomiedzy meblami Żwawej Pat leżała druga lalka. Większa, o pełniejszej budowie, o wiele starsza od Pat... wpatrywali się w nią, a ona patrzyła nic nie widzącym wzrokiem na szare niebo ponad nimi. A więc to jest Towarzyska Connie, rzekł do siebie Timothy. Kurczę.

— Dopisało nam szczęście — powiedział Norman.

Z jamy wyszło kilka osób, które teraz gromadziły się wokół nich i przysłuchiwały rozmowie. Byli to Jean i Sam Reganowie, Tod Morrison i jego żona Helen; za nimi wdrapywał się podekscytowany i zdenerwowany burmistrz Hooker Glebe, z poczerwieniałą z wysiłku twarzą i ustami otwartymi, by

zaczepnąć powietrza.

— Dostaliśmy kartę „darowanie długów”, właśnie wtedy, kiedy było z nami najgorzej — opowiadała Fran. — Byliśmy winni pięćdziesiąt tysięcy, co stawiało nas na równi z tymi z Oakland. A potem wyciągnęliśmy kartę „dziesięć pól naprzód” i stanęliśmy na polu, gdzie znajdowała się cała pula, przynajmniej na naszej makiecie. Ostro się posprzeczaaliśmy, bo oni pokazali nam, że u nich było to pole „zastawienie nieruchomości za długi”, ale wypadła nam nieparzysta liczba, więc wracaliśmy na naszą makietę — westchnęła. — Cieszę się, że wróciliśmy. Ciężko było, Hooker. To była trudna gra.

Hooker stęknął.

— Słuchajcie, obejrzyjmy wszyscy tę Towarzyską Connie — zaproponował i zwrócił się do Fran i Norma. — Czy mogę ją wyciągnąć i pokazać im?

— Jasne. — Norm skinął głową. Hooker wyjął lalkę.

— Rzeczywiście wygląda jak prawdziwa — stwierdził, przyglądając się jej. — Ubranie przeważnie mamy lepsze od tego; wygląda na szyte na maszynie.

— Bo tak jest — przytaknął Norman. — Ale ona jest rzeźbiona, nie odlewana.

— Tak, widzę. — Hooker obrócił lalkę, przypatrując się jej z różnych stron. — Niezła robota. Ona jest... hm, pełniejsza niż Żwawa Pat. Co za ubranie ona ma na sobie? Jakiś tweedowy garnitur.

— To garsonka do pracy — wyjaśniła Fran. — Wygraliśmy ją razem z lalką; zgodzili się na to jeszcze przed grą.

— Bo widzicie, ona ma pracę — mówił Norm. — Jest psychologiem, konsultantem w firmie zajmującej się badaniami marketingowymi. Preferencje konsumentów. To dobrze płatna posada... Wynn powiedział chyba, że zarabia dwadzieścia tysięcy rocznie.

— O rany! — zawołał Hooker. — A Pat chodzi tylko do college'u; ciągle się jeszcze uczy. — Wyglądał na zmartwionego. — No cóż, chyba musieli jakoś nas wyprzedzić. Najważniejsze, że wygraliście. — Jowialny uśmiech wrócił na jego twarz. — Żwawa Pat okazała się lepsza. — Podniósł Towarzyską Connie wysoko, by każdy mógł ją zobaczyć. — Popatrzcie, z czym wrócili Norm i Fran.

— Obchodź się z nią ostrożnie, Hooker — powiedział z przekonaniem Norman.

— Hm? — Hooker zamarł. — Dlaczego, Norm?

— Ponieważ ona będzie miała dziecko.

Nagle zapadła przejmująco zimna cisza. Otaczający ich popiół i zawirował lekko; tylko on wydawał jakiś dźwięk.

— Skąd wiecie? — zapytał Hooker.

— Oni nam powiedzieli. Ci z Oakland nam powiedzieli. I wygraliśmy też to... po ostrej kłótni, którą musiał rozstrzygnąć Fennimore. — Sięgnął do taczek i wyjął małą skórną sakiewkę; z niej ostrożnie wyciągnął wyrzeźbionego, różowiotkiego noworodka. — To też wygraliśmy, ponieważ Fennimore zgodził się, że z technicznego punktu widzenia w tym momencie jest to część Towarzyskiej Connie.

Hooker bardzo długo się temu przyglądał.

— Ona jest zameżna — wyjaśniła Fran. — Wyszła za Paula. Oni ze sobą już nie chodzą. Pan Wynn mówił, że ona jest w trzecim miesiącu. Przyznał się dopiero, kiedy wygraliśmy. Wtedy też nie chciał, ale oni uważali, że muszą nam powiedzieć. Chyba mieli rację, ukrywanie tego na nic by się nie zdało.

— W dodatku mają nawet miejsce dla niemowlęcia... — dodał Norm.

— Tak — powiedziała Fran. — Oczywiście, żeby zobaczyć, trzeba otworzyć Connie...

— Nie — zaprotestowała Jean Regan. — Proszę, nie.

— Nie, pani Schein, proszę przestać — rzekł Hooker i wycofał się.

— Oczywiście, z początku byliśmy zaszokowani, ale... — ciągnęła Fran.

— Widzicie — wtrącił Norm — to logiczne. Trzeba trzymać się logiki. No, przecież w końcu i Żwawa Pat...

— Nie — uciął gwałtownie Hooker. Schylił się, wziął do ręki kamień leżący w popiele u jego stóp. — Nie — powtórzył i podniósł rękę. — Przestańcie, wy dwoje. Ani słowa więcej.

Reganowie także wzięli w ręce kamienie. Nikt się nie odezwał.

Wreszcie Fran powiedziała:

— Norm, musimy się stąd wynosić.

— Macie rację — zgodził się Tod Morrison.

Jego żona z ponurą miną skinęła potakująco głową.

— Wracajcie do Oakland — powiedział do nich Hooker. — Już tu nie mieszkanie. Wy... zmieniliście się.

— Tak — rzekł na wpół do siebie Sam Regan. — Miałem rację. Słusznie się niepokoiłem — dodał, zwracając się do Normana: — Jak trudno dotrzeć do Oakland?

— Byliśmy tylko w Berkeley — odpowiedział Schein. — W jamie w Berkeley. — Wydawał się zaskoczony i zdumiony tym, co się tu działo. — Mój Boże — powiedział. — Nie możemy zawrócić i znowu pchać tych taczek z powrotem do Berkeley... jesteśmy wykończeni, musimy odpocząć!

Sam Regan zapytał:

— A jeśli ktoś inny by je pchał? — Podszedł do Scheinów i stanął przy nich. — Ja będę pchał to cholerstwo. Ty prowadź, Schein.

Obejrzał się na swoją żonę, ale Jean nawet nie drgnęła. I nie odłożyła kamieni.

Timothy Schein zaczął szarpać ojca za ramię.

— Czy tym razem mogę iść, tato? Proszę, pozwól mi.

— Dobrze — powiedział Norman na wpół do siebie. Wziął się w garść. — A więc tu nas nie chcą — zwrócił się do Fran. — Chodźmy. Sam będzie pchał taczki; może uda się tam dotrzeć przed nocą. Jeśli nie, możemy spać pod gołym niebem. Timothy pomoże nam się bronić przed psokotami.

— Chyba nie mamy wyboru — powiedziała Fran. Twarz jej pobladła.

— I zabierzcie to — rzekł Hooker. Podał im rzeźbione niemowlę.

Fran Schein wzięła je do rąk i włożyła ostrożnie do sakiewki. Norm położył Towarzystką Connie z powrotem na jej miejscu na taczkach. Mogli już ruszać w powrotną drogę.

— I tu tak się w końcu stanie — zwrócił się Norm do farciarzy z Jamy Kukurydzianej Mąki. — Oakland jest po prostu bardziej zaawansowane, to wszystko.

— No już — ponaglał Hooker. — Ruszajcie. Norman skinął głową i sięgnął do rączek taczek, ale Sam Regan odsunął go na bok i zajął jego miejsce.

— Idziemy — powiedział.

Troje dorosłych ruszyło na południe, w stronę Oakland. Przed nimi szedł Timothy Schein z nożem gotowym do użycia — na wypadek, gdyby zaatakował ich psokot. Nikt się nie odzywał. Nie mieli nic do powiedzenia.

— Szkoda, że tak się to skończyło — rzekł wreszcie Norm kiedy przeszli prawie milę i nie widzieli już w ogóle Jamy Kukurydzianej Mąki.

— Może i nie — odpowiedział Sam Regan. — Może to i dobrze.

Nie wydawał się przybity. W końcu utracił żonę; oddał najwięcej z nich wszystkich, a mimo to dawał sobie radę.

— Cieszę się, że tak myślisz — powiedział posępnie Norman.

Szli dalej, każdy pogrążony we własnych myślach.

Po chwili Timothy powiedział do ojca:

— W tych wszystkich jamach na południu... tam jest tyle ciekawych rzeczy do robienia, prawda?

To znaczy, nie siedzi się całymi dniami i nie gra w tę grę. — Najwyraźniej miał taką nadzieję.

— Chyba tak — odrzekł ojciec.

Nad ich głowami zawył lecący z ogromną prędkością statek opiekuńczy, po czym zniknął niemal w mgnieniu oka; Timothy patrzył, jak odlatuje, ale tak naprawdę w ogóle go to nie interesowało, ponieważ tak wielu rzeczy mógł się spodziewać na ziemi i pod nią, przed nimi na południu.

— Ach, ci Oaklandczycy — mruknął jego ojciec. — Ich gra, ta ich lalka, czegoś ich nauczyły. Connie musiała dorosnąć i zmusiła ich, by dorośli wraz z nią. Nasi farciarze nigdy się o tym nie dowiedzieli, nie od Żwawej Pat. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek to do nich dotrze. Musiałaby dorosnąć, tak jak Connie. Connie musiała być kiedyś taka jak Żwawa Pat. Dawno temu.

Timothy'ego nie interesowało to, co mówi ojciec — kogo tak naprawdę obchodzą lalki i gra o nie? Chłopiec popędził naprzód, wyglądając bacznie, co ich czeka: jakie szansę i możliwości — jego, matkę i ojca, a także pana Regana.

— Nie mogę się doczekać! — zawołał do ojca, a Norman Schein odpowiedział mu słabym, zmęczonym uśmiechem.

Przełożył Tomasz Oljasz

ŚNIADANIE O BRZASKU

— Tato — zapytał Earl, biegnąc ze swojego pokoju — zawieziesz nas dzisiaj do szkoły?
Tim McLean nalał sobie drugą filiżankę kawy.

— Możecie, dzieci, dla odmiany się przespacerować. Samochód jest w warsztacie.

Judy odeła wargi.

— Pada deszcz.

— Wcale nie — poprawiła siostrę Virginia. Zasuwała roletę z powrotem. — Jest straszna mgła, ale nie pada.

— Ja zobaczę. — Mary McLean wytarła ręce i odeszła od zlewozmywaka. — Jaki dziwny dzień. Czy to mgła? Bardziej przypomina dym. Nic nie widzę. Jaką pogodę zapowiadali?

— Niczego nie mogłem złapać w radiu — odpowiedział Earl. — Same zakłócenia.

Tim machnął ręką ze złością.

— Znowu się cholerstwo schrzaniło? Zdaje się, że dopiero co je naprawiałem.

Wstał i ociężałym krokiem podszedł do radia. Pokręcił od niechcienia gałkami. Troje dzieci krzątało się po domu, przygotowując się do szkoły.

— Dziwne — stwierdził Tim.

— Idę. — Earl otworzył frontowe drzwi.

— Zaczekaj na siostry — poleciła mu z roztargnieniem Mary.

— Jestem gotowa — oświadczyła Virginia. — dam?

— Świetnie — odpowiedziała Mary, całując ją.

— Zadzwoń do biura napraw z pracy — zdecydował Tim i urwał nagle.

W drzwiach do kuchni stał Earl, blady i milczący, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

— Co się stało?

— Ja... ja wróciłem.

— Co się stało? Jesteś chory?

— Nie mogę iść do szkoły. Przyglądali mu się uważnie.

— Co z tobą? — Tim chwycił syna za rękę. — Dlaczego nie możesz iść do szkoły?

— Oni... mi nie pozwolą.

— Kto?

— Żołnierze — wyrzucił z siebie. — Są wszędzie. Żołnierze z karabinami. Idą tu.

— Idą? Tu? — powtarzał oszołomiony Tim.

— Idą tu i... — Earl zamarł przerażony.

Na ganku rozległy się odgłosy ciężkich butów. Trzask. Pękające drewno. Głosy.

— Dobry Boże! — zawołała Mary. — Tim, co to jest? Tim poszedł do salonu, serce waliło mu jak młotem.

W drzwiach stało trzech mężczyzn. Ubrani byli w szarozielone mundury i nieśli karabiny oraz płataninę sprzętu. Rury i węże. Liczniki na grubych sznurach. Pudełka, skórzane paski i antenki. Ich głowy zakrywały wieloczęściowe maski. Za nimi Tim dojrzał zmęczone twarze z krótkimi szczecinowatymi wąsami i z czerwonymi obwódkami wokół oczu, które patrzyły na niego z brutalnym niezadowoleniem.

Jeden z żołnierzy potrząsnął karabinem i wycelował wprost w McLeana. Tim patrzył na to, nic nie rozumiejąc. Karabin. Długi i cienki. Jak igła. Przyczepiony do zwoju rurek.

— Co, w imię... — zaczął.

— Kim jesteś? — przerwał mu żołnierz ostrym, gardłowym głosem. — Co ty tutaj robisz? — Zdjął maskę. Był brudny. Twarz ziemistego koloru pokrywały blizny i krosty. Nieliczne zęby miał połamane.

Odpowiadaj! — rozkazał drugi z żołnierzy. — Co ty tu robisz?

— Pokaż błękitną kartę — zażądał trzeci. — Zobaczmy jaki jest numer twojego Sektora. — Jego wzrok padł na Mary i dzieci, którzy stali bez słowa przy drzwiach do jadalni. Otworzył usta z wrażenia. — Kobieta!

Wszyscy trzej przyglądali się jej z niedowierzaniem.

— Co to, do diabła, znaczy? — ryknął pierwszy z nich. — Jak długo ta kobieta tu jest?

Tim odzyskał mowę.

— To moja żona i dzieci. Na miłość boską...

— Twoja żona? I przyprowadziłeś ją tutaj? Musiałeś zbrikować!

— Ma chorobę popiołową — stwierdził pierwszy. Opuścił broń i podszedł do Mary. — Chodź, siostró. Pójdiesz z nami.

Tim rzucił się naprzód.

Uderzyła w niego ściana energii. Upadł z rozrzuconymi rękami i nogami. Widział wokół siebie tylko plamy ciemności. W uszach mu huczało, głowa pękała. Wszystko się rozplątywało. Z trudem rozróżniał rozmazane kształty. Głosy. Pokój. Skupił się.

Żołnierze zaganiali dzieci w jedno miejsce. Jeden z nich złapał Mary za rękę. Oderwał kawałek jej sukienki, który odpadł od ramienia.

— Kurde — warknął. — Przyprowadził ją tutaj, a nawet nie jest nakłuta!

— Bierzemy ją ze sobą.

— Okay, kapitanie. — Żołnierz pociągnął Mary w stronę drzwi frontowych. — Zrobimy z nią, co będziemy mogli.

— Dzieciaki... — Kapitan wskazał je drugiemu żołnierzowi. — Zabierzcie je. Nic nie rozumiem. Nie mają masek. Nie mają kart. Jakim cudem ten dom ocalał? Ostatnia noc była najgorsza od wielu miesięcy.

Tim z bólem podniósł się na nogi. Z ust leciała mu krew. Wzrok zachodził mgłą. Mocno chwycił się ściany.

— Posłuchajcie — wydusił z siebie. — Na miłość boską. Kapitan zajrzał przez drzwi do kuchni.

— Czy to... to jedzenie? — Powoli przeszedł przez salon. — Spójrzcie!

Pozostali żołnierze poszli za nim, zapominając o Mary i dzieciach. Stanęli wokół stołu osłupiali.

— Spójrzcie na to!

— Kawa. — Jeden z nich chwycił dzbanek i pił łąpczywie. Zaczął się dławić, czarna kawa spływała mu po ubraniu. — Gorąca. Jezu. Gorąca kawa.

— Śmietana! — Drugi z nich szarpnięciem otworzył lodówkę. — Patrzcie. Mleko. Jaja. Masło. Mięso. — Głos mu się załamał. — Tu jest pełno jedzenia.

Kapitan zniknął w spiżarni. Wynurzył się z niej, niosąc skrzynkę groszku konserwowego.

— Zabierzcie resztę. Zabierzcie wszystko. Załadujemy to na węża.

Z trzaskiem upuścił skrzynkę na stół. Uważnie przyglądał się Timowi i grzebał w brudnej tunice, aż znalazł papierosa. Zapalił go powoli, nie odrywając wzroku od Tima.

— No dobrze — rzekł. — Posłuchajmy, co macie do powiedzenia.

Tim otworzył usta i zamknął je z powrotem. Nie wydobyły się z nich żadne słowa. W głowie miał pustkę. Nic. Nie potrafił myśleć.

— To jedzenie. Skąd je macie? I te rzeczy. — Kapitan zatoczył ręką. — Naczynia. Meble. Jak to

się stało, że w ten dom nie uderzył pocisk? Jak przetrwaliście atak ostatniej nocy?

— Ja... — Timowi zabrakło powietrza.

Kapitan groźnie zbliżył się do niego.

— Kobieta. Dzieci. Wy wszyscy. Co wy tu robicie? — Jego głos brzmiał twardo. — Lepiej, żeby umiał pan wyjaśnić, co tu robicie... albo będziemy musieli was wszystkich spalić, do cholery!

Tim usiadł przy stole. Wziął głęboki wdech, aż się wzdrygnął. Usiłował zebrać myśli. Ciało miał obolałe. Starł krew z warg, wiedząc, że złamał sobie ząb trzonowy: poczuł pokruszone kawałki. Wyjął chusteczkę i wypluł je do niej. Ręce mu drżały.

— No, słucham — przynaglał kapitan.

Mary i dzieci chyłkiem wśliznęli się do pokoju. Judy płakała. Twarz Virginii skamieniała z przerażenia. Poblady Earl przyglądał się żołnierzom rozszerzonymi oczami.

— Tim — powiedziała Mary, kładąc dłoń na jego ramieniu. — Nic ci nie jest?

Tim skinął głową.

— Wszystko w porządku.

Mary poprawiła sukienkę.

— Nie ujdzie im to na sucho, Tim. Ktoś tu przyjdzie Listonosz. Sąsiedzi. Nie mogą tak po prostu...

— Zamknij się — warknął kapitan. Oczy dziwnie mu zabłyśły. — Listonosz? O czym ty mówisz?

— Wyciągnął do niej rękę. — Zobaczymy twój żółty papierek, siostró.

— Żółty papierek? — Jej głos się załamał.

Kapitan potarł ręką brodę.

— Nie mają żółtych papierków. Nie mają masek. Nie mają kart.

— Oni są giepmi — stwierdził jeden z żołnierzy.

— Może tak. A może nie.

— To giepy, kapitanie. Lepiej ich spalmy. Nie możemy ryzykować.

— Tu się dzieje coś dziwnego — zauważył kapitan. Sięgnął do szyi i uniósł małe pudełeczko na lince. — Wezwę tu polika.

— Polika? — Żołnierzy przeszedł dreszcz. — Zaczekajmy, kapitanie. Damy sobie z tym radę. Nie wzywajmy polika. Przystawi nas na czwórkę i nigdy nie...

Kapitan powiedział do pudełka:

— Daj mi Sieć B.

Tim podniósł głowę i spojrzał na Mary.

— Posłuchaj, kochanie. Ja...

— Zamknij się. — Jeden z żołnierzy szturchnął go.

Tim umilkł. Pudełko zaskrzeczało:

— Sieć B.

— Czy macie wolnego polika? Natrafiliśmy na coś dziwnego. Grupa pięciu osób. Mężczyzna, kobieta, troje dzieci. Bez masek, bez kart, kobieta nie jest nakłuta, mieszkanie zupełnie nienaruszone. Meble, instalacje i około dwustu funtów jedzenia.

Głos w pudełku zawahał się.

— Dobrze. Polik jest w drodze. Zostańcie tam. Nie pozwólcie im uciec.

— Nie pozwolę. — Kapitan opuścił pudełko z powrotem koszulę. — Polik będzie tu lada chwila. Tymczasem ładujmy jedzenie.

Z zewnątrz doszło ich potężne dudnienie. Zatrzęsło domem, naczynia w kredensie zaklekotały.

— Jezu! — zawołał jeden z żołnierzy. — Ale było blisko.

— Mam nadzieję, że ekrany wytrzymają do wieczora. — Kapitan wziął skrzynkę z groszkiem

konserwowym. — Weźcie resztę. Musimy to zapakować, zanim zjawi się polik.

Dwaj żołnierze nabrali pełne garści jedzenia i poszli za kapitanem do frontowych drzwi. Ich głosy ucichły, gdy oddalali się ścieżką.

Tim wstał.

— Zostań tu — polecił krótka.

— Co chcesz zrobić? — zapytała nerwowo Mary.

— Może uda mi się stąd wydostać. — Podbiegł do tylnych

drzwi i drżącymi rękami zdjął z nich skobel. Otworzył drzwi i wyszedł na werandę. — Nie widzę żadnego z nich. Jeśli tylko uda się nam... — urwał.

Wokół niego przesuwały się ołowiane chmury. Szare jak popiół, kłębiły się wszędzie w zasięgu wzroku. Zobaczył niewyraźne cienie. Milczące, urywające się nagle i nieruchome cienie rysowały się w szarości.

Ruiny.

Budynki w ruinie. Sterty gruzów. Jedno wielkie gruzowisko. Powoli zszedł po schodkach. Betonowy chodnik nagle się skończył. Za nim tkwiły w ziemi kawałki żużlu i gruzu. Nic więcej. Nic, jak okiem sięgnąć.

Nic nie drgnęło. Nic się nie poruszyło. W szarej ciszy nie istniało życie. Bezruch. Tylko chmury dryfującego popiołu. Żwir i bezkresne hałdy gruzu.

Miasto zniknęło. Nic po nim nie zostało. Ani ludzi. Ani życia. Poszczerbione mury, puste i ziejące na zewnątrz. Pośród gruzów rosło kilka ciemnych chwastów. Tim pochylił się i dotknął jednej z roślin. Była ostra, miała grubą łodygę. I żużel. To był metal. Stopiony metal. Wyprostował się...

— Wróć do środka — rozkazał rzeczowy głos.

Obrócił się odrętwiały. Za nim na werandzie stał mężczyzna z rękami opartymi na biodrach. Był niski, miał zapadnięte policzki. Niewielkie jasne oczy błyszczwały jak dwa czarne węgielki. Miał inny mundur niż żołnierze. Zdjął z twarzy maskę i zsunął ją do tyłu. Jego skóra miała żółtawy odcień, fosforyzowała lekko i była napięta. Była to chora twarz, udreńczona gorączką i zmęczeniem.

— Kim pan jest? — zapytał Tim.

— Douglas. Komisarz polityczny Douglas.

— Pan jest... pan jest polikiem — powiedział Tim.

— Zgadza się. A teraz proszę wejść do środka. Sądzę, że usłyszę od pana kilka odpowiedzi. Mam sporo pytań. Najpierw muszę się dowiedzieć — mówił dalej komisarz Douglas — w jaki sposób ten dom uniknął zniszczenia?

Tim, Mary i dzieci usiedli razem na kanapie; milczeli i nie ruszali się, twarze mieli skamieniałe z przerażenia.

— No więc? — ponaglał Douglas.

Tim odzyskał głos.

— Proszę posłuchać — rzekł. — Ja nie wiem. Niczego nie wiem. Obudziliśmy się dziś rano jak co dnia. Ubraliśmy się i zjedliśmy śniadanie...

— Za oknem była mgła — wtrąciła Virginia. — Wyjrzeliśmy i zobaczyliśmy mgłę.

— I radio nie działało — dodał Earl.

— Radio? — Twarz komisarza wykrzywił grymas. — Od miesiący nie zarejestrowano żadnych sygnałów audio. Z wyjątkiem tych dla celów rządowych. Ten dom. Wy wszyscy. Nie rozumiem. Jeśli jesteście giepami...

— Giepy. Co to słowo znaczy? — zapytała cicho Mary.

— Sowieckie oddziały ogólnego przeznaczenia.

— A więc wybuchła wojna.

— Ameryka Północna została zaatakowana dwa lata temu — wyjaśnił Douglas. — W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym.

Tim załamał się.

— W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym. A więc to jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty. — Nagle sięgnął do kieszeni. Wyjął portfel i rzucił go Douglasowi. Proszę tam zajrzeć.

Douglas podejrzliwie otworzył portfel.

— Dlaczego?

— Karta biblioteczna. Kwity za paczki. Proszę spojrzeć na daty — Tim zwrócił się do Mary: — Teraz zaczynam już rozumieć. Zaczęło mi świtać, kiedy zobaczyłem ruiny.

— Czy my wygrywamy? — zapiszczał Earl.

Douglas uważnie przyjrzał się portfelowi Tima.

— Bardzo ciekawe. Wszystko to starocie. Sprzed siedmiu i ośmiu lat. — Oczy mu zabłyśły. — Co pan chce wiedzieć? Że przybył pan z przeszłości? Że podróżujecie w czasie?

Kapitan wszedł z powrotem do domu.

— Wąż już załadowany, sir.

Douglas skinął krótko głową.

— Dobrze. Może pan zabrać swój patrol.

Kapitan spojrział na Tima.

— Czy pan...

— Ja się nimi zajmę.

Kapitan zasalutował.

— Dobrze, sir.

Po chwili zniknął za drzwiami wejściowymi. On i jego ludzie wdrapali się na podłużną, wąską ciężarówkę, wyglądającą jak piszczalka na bieżnikach. Z cichym szumem pojazd skoczył naprzód.

Wkrótce pozostała tylko szara chmura i niewyraźne zarysy budynków, które legły w gruzach.

Douglas spacerował w tę i z powrotem, bacznie oglądając pokój, tapetę, lekkie sprzęty i krzesła. Wziął do ręki jakieś czasopisma i kartkował je.

— Z przeszłości. Ale niezbyt odległej.

— Sprzed siedmiu lat.

— Czy to możliwe? Chyba tak. Wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Podróże w czasie. — Douglas uśmiechnął się z ironią. — Wybrał pan nieodpowiednie miejsce, McLean.

— Ja go nie wybierałem. Tak się złożyło.

— Coś musiał pan zrobić. Tim potrząsnął głową.

— Nie. Nic. Wstaliśmy. I znaleźliśmy się... tutaj. Douglas pograżył się w myślach.

Tutaj. Siedem lat w przyszłości. Odbyliście podróż w przyszłość. My nic nie wiemy na temat podróży w czasie. W ogóle się tym nie zajmowaliśmy. Nie wydaje się, żeby miało to jakąś widoczną wartość wojskową.

— Jak zaczęła się wojna? — zapytała słabym głosem Mary.

— Zaczęła się? Ona się nie zaczęła. Pamiętacie przecież. Siedem lat temu już trwała wojna.

— Prawdziwa wojna. Ta.

— Nie było jakiegoś konkretnego momentu, w którym stała się tą wojną. Walczyliśmy w Korei. Walczyliśmy w Chinach. W Niemczech, Jugosławii i Iranie. W końcu bomby zaczęły spadać tutaj. To nadeszło jak dżuma. Wojna narastała. Nie zaczęła się. — Nagle odłożył swój notatnik. — Raport na

wasz temat byłby podejrzany. Mogliby pomyśleć, że dostałem choroby popiołowej.

— Co to takiego? — zapytała Virginia.

— Radioaktywne cząsteczki w powietrzu. Przedostają się do mózgu. Powodują utratę zmysłów. Na każdego w jakiś sposób to już działa, nawet przez maski.

— Naprawdę chciałbym wiedzieć, kto wygrywa — powtórzył Earl. — Co to było, to na zewnątrz? Ta ciężarówka? Ona jest na napęd rakietowy?

— Wąż? Nie. Turbiny. Nudne ryło. Przedziera się przez gruzy.

— Siedem lat — powiedziała Mary. — Tak wiele się zmieniło. Wydaje się to niemożliwe.

— Tak wiele? — Douglas wzruszył ramionami. — Chyba tak. Pamiętam, czym zajmowałem się siedem lat temu. Chodziłem jeszcze do szkoły. Uczyłem się. Miałem mieszkanie i samochód. Chodziłem na imprezy, tańczyłem. Kupiłem telewizor. Ale potem nastąpiło to. Brzask. To. Tylko że ja o tym nie wiedziałem. Nikt z nas nie wiedział. Ale oni już tam byli.

— Jest pan komisarzem politycznym? — zapytał Tim.

— Nadzoruję żołnierzy. Szukam politycznych odchyłeń. W czasie totalnej wojny musimy stale inwigilować ludzi. Jeden komuch w Sieciach mógłby zniszczyć całą organizację. Nie możemy ryzykować.

Tim skinął głową.

— Tak. Był tu. Brzask. Tylko że my nie zrozumieliśmy.

Douglas przyjrzał się książkom w biblioteczce.

— Wezmę ze sobą kilka. Od miesiący nie widziałem prawdziwej literatury. Większość straciliśmy. Spłonęła jeszcze w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym.

— Spłonęła?

Douglas wybierał sobie, co chciał.

— Szekspir. Milton. Dryden. Wezmę stare rzeczy. Są bezpieczniejsze. Żadnego Steinbecka ani Dos Passosa. Nawet polik może wpaść w tarapaty. Jeśli tu zostanieie, to lepiej pozbądźcie się tego — poklepał tom *Braci Karamazow* Dostojewskiego.

— Jeśli zostaniemy! A co innego możemy zrobić?

— Czy chcecie zostać?

— Nie — odpowiedziała cicho Mary.

Douglas spojrzał na nią szybko.

— Nie, przypuszczam, że nie. Rzecz jasna, jeśli zostanieie, będziecie rozdzieleni. Dzieci do Kanadyjskich Centrów Relokacyjnych. Kobiety wysyłane są do podziemnych obozów fabryczno-robotycznych. Mężczyźni automatycznie wcielani są do wojska.

— Jak ci trzej, którzy wyszli — zauważył Tim.

— Chyba że zakwalifikuje się pan do bloku PP.

— Co to takiego?

— Projekty Przemysłowe i Technologie. Jakie przeszedł pan szkolenia? Coś związanego z nauką?

— Nie. Księgowość. Douglas wzdrygnął się.

— No cóż, przejdzie pan standardowy test. Jeśli ma pan wystarczająco wysoki iloraz inteligencji, może przyjmą pana do służb politycznych. Potrzebujemy dużo ludzi... — urwał w zamyśleniu, z pełnym naręczem książek. — Lepiej niech pan wraca, McLean. Ciężko by wam było przyzwycząić się do tych czasów. Ja bym wrócił, gdybym mógł. Ale nie mogę.

— Wrócić? — powtórzyła Mary. — Ale jak?

— Tak jak tu przybyliście.

— Trafiliśmy tu tak po prostu.

Douglas zatrzymał się przy drzwiach wejściowych.

— Ostatniej nocy był najgorszy atak GSR-ów. Zbombardowali cały ten rejon.

— GSR-y?

— Głowice sterowane przez roboty. Sowieci systematycznie niszczą kontynent amerykański, milę po mili. GSR-y są tanie. Robią ich miliony, potem je odpalają. Cały proces jest zautomatyzowany. Dostarczają ich fabryki, w których pracują roboty, a potem wysyłają je na nas. Ostatniej nocy dotarły tutaj... całymi falami. Rankiem wyszedł patrol i nic nie znalazł. Oprócz was oczywiście.

Tim powoli skinął głową.

— Zaczynam rozumieć.

— Skoncentrowana energia musiała trafić na jakąś niestabilną usterkę w czasie. Jakby wyszczerbioną skałę. Zawsze wywołujemy trzęsienia ziemi. Ale trzęsienie czasu... to ciekawe. Według mnie tak się działo. Uwolnienie energii, zniszczenie materii wessało wasz dom do przyszłości. Przeniosło siedem lat naprzód. Ta ulica, wszystko tutaj, samo to miejsce zostało starte na proch. Wasz dom, siedem lat wstecz, wpadł w cofającą się falę. Wybuch musiał się przedrzeć w tył w czasie.

— Wessało do przyszłości — powtórzył Tim. — W nocy. Kiedy spaliśmy.

Douglas przyglądał mu się uważnie.

— Dzisiaj w nocy — powiedział — będzie następny atak GSR-ów. Powinien skończyć z tym, co jeszcze zostało. — Spojrzał na zegarek. — Teraz jest czwarta po południu. Atak zacznie się za kilka godzin. Powinniście schować się pod ziemię. Tu nic nie ocaleje. Mogę zabrać was ze sobą, jeśli chcecie. Ale jeśli chcecie zaryzykować, jeśli chcecie tu zostać...

— Myśli pan, że mogłoby przetrwać nas z powrotem?

— Może. Nie wiem. To hazard. Może przetrze was z powrotem do waszego czasu, a może nie. Jeśli nie...

— Jeśli nie, to nie będziemy mieli szans przeżycia.

Douglas wyciągnął kieszonkową mapę i rozłożył ją na kanapie.

— Patrol zostanie w tym rejonie jeszcze przez pół godziny. Jeśli postanowicie zejść z nami pod ziemię, idźcie tędy, tą ulicą. — Narysował linię na mapie. — Tu, na tę otwartą przestrzeń. Patrol to jednostka polityczna. Dalej sami was zaprowadzą. Myślicie, że znajdziecie to pole?

— Chyba tak — odrzekł Tim, patrząc na mapę. Wargi mu drgnęły. — To pole było kiedyś gimnazjum, do którego chodziły moje dzieci. Właśnie tam się przed chwilą wybierały kiedy żołnierze ich zatrzymali. Przed chwilą.

— Siedem lat temu — poprawił go Douglas. Zamknął mapę i schował ją do kieszeni. Włożył maskę i wyszedł na ganek. — Może się jeszcze zobaczymy. Może nie. Decyzja należy do was. Będziecie musieli się zdecydować. W każdym razie powodzenia. — Odwrócił się i odszedł zważnym krokiem.

— Tato! — zawołał Earl. — Czy pójdiesz do wojska? Czy będziesz nosił maskę i strzelał z takiego karabinu? — Oczy mu zabłyśły z podniecenia. — Czy będziesz jeździł wężem?

Tim McLean przykucnął i przyciągnął do siebie syna.

— Chcesz tego? Czy chcesz tu zostać? Jeśli mam nosić maskę i strzelać z takiego karabinu, to nie możemy wracać.

Earl nie wyglądał na przekonanego.

— A nie możemy wrócić później? Tim potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie. Musimy teraz zdecydować, czy wracamy, czy nie.

— Słyszałeś, co mówił pan Douglas — odezwała się Virginia. — Atak zacznie się za kilka godzin.

Tim wstał i przechadzał się w tę i z powrotem.

— Jeśli zostaniemy w domu, rozniesie nas na kawałki. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jest niewielka szansa, że przetrzuci nas z powrotem do naszych czasów. Niewielka szansa — trudna sprawa. Czy chcemy tu zostać, gdy wokoło będą latać GSR-y, wiedząc, że każda chwila może być ostatnią... i słuchać, jak będą się zbliżać, trafiać coraz bliżej... i leżeć napodłodze, czekać, nasłuchiwać...

Czy ty naprawdę chcesz wrócić? — zapytała Mary.

— Oczywiście, ale ryzyko...

— Nie pytam o ryzyko. Pytam, czy naprawdę chcesz Wrócić. Może chcesz zostać tutaj. Może Earl ma rację. Ty w mundurze i w masce, z jednym z tych karabinów iglicowych. Za kierownicą węża.

— A ty w obozie fabryczno-robotycznym! A dzieci w Rządowym Centrum Relokacyjnym! Jak moglibyśmy do tego dopuścić? Jak myślisz, czego ich tam nauczą? Jak myślisz, na kogo by wyrosły? I wierz...

— Na pewno nauczyliby je być bardzo użytecznymi.

— Użytecznymi! Do jakich celów? Dla samych siebie? Dla ludzkości? Czy też dla celów wojennych...?

— Żyłyby — powiedziała Mary. — Byłyby bezpieczne. W ten sposób, jeśli zostaniemy w domu i będziemy czekać na atak...

— Jasne — wybuchnął Tim. — Żyłyby. Pewnie byłyby nawet zdrowe. Dobrze odżywione. Ubrane i zadbane. — Spojrzał na dzieci z kamienną twarzą. — No tak, żyłyby. Żyłyby, dorosły. Ale jakimi dorosłymi by się stały? Słyszałaś, co powiedział! Książki spłonęły w siedemdziesiątym siódmym. Z czego je będą uczyć? Jakie idee pozostały? Jakie przekonania mogą wynieść z Rządowego Centrum Relokacyjnego? Jakimi wartościami będą się kierować?

— Jest jeszcze blok PP — zasugerowała Mary.

— Projekty Przemysłowe i Technologie. Dla bystrych. Dla roztropnych i z wyobraźnią. Suwaki logarytmiczne i ołówki. Wykreślanie, planowanie i dokonywanie odkryć. Dziewczynki mogłyby się tym zająć. Mogłyby projektować karabiny. Earl trafiłby do służb politycznych. Pilnowałby, żeby używano tych karabinów. Gdyby któryś z żołnierzy wykazywał odchylenia, nie chciał strzelać, Earl złożyłby na niego raport i kazałby go odholować na reedukację. Żeby wzmocnił swoją polityczną wiarę... w świecie, w którym ci, którzy mają głowę na karku, projektują broń, z której strzelają ci, którzy nie mają głowy na karku.

— Ale żyłyby — powtórzyła Mary.

— Masz dziwne pojęcie o tym, co to znaczy żyć! Nazywasz to życiem? Może tak jest. — Tim ze znużeniem potrząsnął głową. — Może masz rację. Może powinniśmy ukryć się pod ziemią z Douglasem. Zostać w tym świecie. Zostać przy życiu.

— Tego nie powiedziałam — odrzekła łagodnie jego żona. — Tim, musiałam sprawdzić, czy naprawdę rozumiesz, dlaczego warto. Dlaczego warto zostać w domu i zaryzykować, że przetrzuci nas z powrotem.

— A więc chcesz zaryzykować?

— Oczywiście! Musimy zaryzykować. Nie możemy wydać im naszych dzieci, do Centrum Relokacyjnego. Żeby nauczyli je, jak nienawidzić, zabijać i niszczyć. — Mary uśmiechnęła się słabo. — Przecież zawsze chodziły do szkoły Jeffersona. A tu, w tym świecie, to tylko otwarta przestrzeń.

— Wracamy? — zapiszczała Judy. Błaganie chwyciła Tima za rękaw. — Czy będziemy teraz wracać?

Tim uwolnił się z jej uścisku.

— Już niedługo, kochanie.

Mary otworzyła kredens z żywnością i zajrzała do środka.

— Wszystko tu jest. Co oni zabrali?

— Skrzynkę z groszkiem konserwowym. Wszystko, co mieliśmy w lodówce. I rozwalili frontowe drzwi.

— Założę się, że wygrywamy! — zawołał Earl. Podbiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Widok tumanów popiołu rozczarował go. — Nic nie widzę! Tylko mgłę! — Odwrócił się pytająco do Tima.

— Czy tutaj zawsze tak jest?

— Tak — odpowiedział ojciec.

Chłopiec spochmurniał.

— Tylko mgła? Nic więcej? Czy słońce nigdy nie świeci?

— Zaparzę kawy — zaproponowała Mary.

— Dobrze. — Tim poszedł do łazienki i przyjrzał się sobie w lustrze. Na twarzy miał szramy i strupy zakrzepłej krwi. Głowa go bolała. Czuł mdłości.

— To wydaje się nieprawdopodobne — powiedziała Mary, kiedy zasiedli przy kuchennym stole.

Tim pił kawę drobnymi łyżkami.

— Tak, masz rację. — Z miejsca, w którym siedział, mógł patrzeć przez okno. Tumany popiołu. Niewyraźne, postrzępione zarysy zburzonych budynków.

— Czy ten pan wróci? — zapytała Judy. — Był taki chudy i śmieszny. On wróci, prawda?

Tim spojrzął na zegarek. Pokazywał dziesiątą. Przeszawił go, przesuwając wskazówki na czwartą piętnaście.

— Douglas mówił, że zacznie się o zmroku. To już niedługo.

— A więc naprawdę zostajemy w domu — stwierdziła Mary.

— Zgadza się.

— Mimo że jest tylko niewielka szansa?

— Mimo że jest tylko niewielka szansa, że uda nam się wrócić. Jesteś zadowolona?

— Jestem zadowolona — odrzekła Mary z błyszczącymi oczami. — Warto, Tim. Wiesz o tym. Warto za każdą cenę, przy najmniejszej szansie. Żeby wrócić. I jeszcze coś. Będziemy tam razem... Nie możemy... dać się rozdzielić. Stracić siebie.

Tim nalał sobie jeszcze kawy.

— W sumie możemy czuć się swobodnie. Musimy poczekać jeszcze jakieś trzy godziny. Możemy spędzić je przyjemnie.

O szóstej trzydzieści spadł pierwszy GSR. Poczuli wstrząs, przeciągłą falę energii, która przetoczyła się przez dom.

Judy przybiegła z jadalni z twarzą pobladłą z przerażenia.

— Tato! Co to?

— Nic. Nie martw się.

— Wracaj — powiedziała ze zniecierpliwieniem Virginia. — Teraz twoja kolej. — Grali w „Monopoly”.

Earl zerwał się na nogi.

— Ja chcę zobaczyć. — Podekscytowany podbiegł do okna. — Widzę, gdzie trafiło!

Tim uniósł roletę i wyjrzał na zewnątrz. W oddali coś białego jarzyło się migotliwie. Wznosiła się od tego potężna kolumna dymu.

Następny dreszcz przeszył dom. Jakieś naczynie spadło z półki do zlewu i rozbiło się.

Na zewnątrz było już prawie ciemno. Z wyjątkiem dwóch białych miejsc Tim nie widział nic więcej. Tumany popiołu utonęły w mroku. Popiół i postrzępione pozostałości budynków.

— Tym razem było bliżej — stwierdziła Mary.

Upadł trzeci GSR. W pokoju dziennym pękła szyba, a jej kawałki rozprysły się na dywaniku.

— Lepiej wracajmy — rzucił Tim. — Dokąd?

— Do piwnicy. No, dalej. — Tim otworzył drzwi do piw — . i wszyscy nerwowo zbiegli po schodach.

— Jedzenie — powiedziała Mary. — Weźmy jedzenie, które jeszcze zostało.

— Dobry pomysł. Wy, dzieci, schodźcie na dół. Za chwilę do was dojdziemy.

— Ja mogę coś nieść — zaproponował Earl. — Schodźcie na dół.

Czwarty GSR uderzył dalej niż poprzedni.

— I nie podchodźcie do okna.

— Zastawię czymś okno — powiedział Earl. — Ten duży kawałek sklejk, którego używaliśmy do mojej kolejki.

— Dobry pomysł.

Tim i Mary wrócili do kuchni. Jedzenie. Naczynia. Co jeszcze.

— Książki. — Mary nerwowo rozejrzała się wokoło. — Nie wiem już nic. Chodźmy.

Jej słowa zginęły w przejmującym ryku. Kuchenne okno pękło i rozprysło się, obsypując ich deszczem kawałków. Naczynia runęły do zlewozmywaka; brzęknęła tłuczona porcelana. Tim chwycił Mary i pociągnął za sobą na dół.

Przez rozbite okno wpłynęły do domu kłęby złowrogich, szarych chmur. Popołudniowe powietrze śmierdziało czymś kwaśnym i zgniłym. Tima przeszedł dreszcz.

— Dajmy spokój z jedzeniem. Wracajmy do piwnicy.

— Ale...

— Daj spokój.

Złapał ją za rękę i pociągnął do schodów do piwnicy. Wpadli tam razem, a Tim zamknął za sobą drzwi.

— Gdzie jest jedzenie? — zapytała Virginia. Drżącą ręką Tim obtarł sobie czoło.

— Daj spokój. Nie będziemy go potrzebować. Pomóżcie — sapnął Earl.

Tim pomógł mu przenieść płytę sklejk i przykryć nią okno nad balią do prania. W piwnicy było zimno i cicho. Betonowa podłoga pod ich stopami pokryła się wilgocią. Dwa GSR-y uderzyły jednocześnie. Timem rzuciło o podłogę. Trafił w beton i chrząknął. Na chwilę przed oczami zawirowała mu ciemność. Potem ukląkł i po omacku usiłował wstać.

— Wszyscy cali? — mruknął.

— Mnie nic się nie stało — powiedziała Mary.

Judy zaczęła kwilić. Earl po omacku badał przed sobą drogę.

— Ja też jestem cała — odezwała się Virginia. — Chyba światło zamigotało i przygasło.

Nagle całkiem zgasło. W piwnicy zapanowała ciemność choć oko wykol.

— No — rzekł Tim. — To się wkopaliśmy.

— Ja mam latarkę. — Earl włączył światło. — No i jak?

— Świetnie — odpowiedział ojciec.

Uderzały kolejne GSR-y. Ziemia skakała pod ich stopami brykała i przesuwała się. Fala energii wstrząsała całym domem.

— Lepiej się połóżmy — zaproponowała Mary.

— Tak. Kładźmy się. — Tim niezdarnie wyciągnął się na ziemi. Wokół nich spadło kilka kawałków tynku.

— Kiedy to się skończy? — zapytał z niepokojem Earl.

— Niedługo — odpowiedział Tim.

— I wtedy wrócimy?

— Tak. Wtedy wrócimy.

Niemal w tej samej chwili trafiła w nich kolejna bomba. Tim poczuł, jak beton się pod nim unosi. Rósł, pęczniał w górę. Czuł, że jedzie do góry. Zamknął oczy i trzymał się kurczowo. Wznosił się coraz wyżej na betonie przypominającym balon. Wokół niego trzaskały belki i deski. Sypał się tynk. Słyszał, jak pękają szyby. A w oddali — trzaskanie języków ognia.

— Tim — dobiegł go słaby głos Mary.

— Tak.

— Nam się... nam się nie uda.

— Nie wiem.

— Nie uda się. Mówię ci.

— Może i nie. — Jęknął z bólu, gdy deska uderzyła go w plecy i przykryła. Zasypywały go deski i tynk, zakrywały całego. Czuł jakiś kwaśny zapach, nocne powietrze i popiół — Unosił się i wpadał do komórki przez rozbite okno.

— Tato — usłyszał słaby głos Judy.

— Tak?

— Czy my nie wrócimy?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Rozdzierający ryk uciał jego słowa. Drgnął, poruszony wybuchem. Wszystko wokół niego było w ruchu. Dmuchnął w niego silny wiatr, gorący, przywierający do ciała, szarpiący ubraniem. Trzymał się mocno. Wiatr dał, ciągnąc go za sobą. Krzyknął, gdy podmuch smagał mu ręce i twarz.

— Mary...

Odpowiedziała mu cisza. Tylko ciemność i cisza.

Samochody.

W pobliżu zatrzymywały się samochody. Potem rozległy się głosy. I odgłosy kroków. Tim poruszył się i odrzucił przywalające go deski. Z trudem stanął na nogi.

— Mary... — Rozejrzał się wokoło. — Wróciliśmy.

Piwnica była w ruinie. Ściany skruszyły się i zapadły. Za wyzierającymi ogromnymi dziurami ukazała się zielona linia trawy. Betonowa ścieżka. Mały ogród różany. Biały bok stiukowego domu sąsiadów.

Szereg słupów telefonicznych. Dachy. Domy. Miasto. Takie jak zawsze. Jak co rano.

— Wróciliśmy! — ogarnęła go dzika radość. Wrócili. Bezpieczni. Już po wszystkim. Tim szybko przebrnął przez gruzy swojego domu. — Mary? Nic ci nie jest?

— Tutaj. — Mary usiadła. Cała była biała: włosy, skóra, ubranie. Na twarzy miała rany i zadrapania. Sukienka była porwana. — Naprawdę wróciliśmy?

— Panie McLean? Nic się panu nie stało?

Policjant w niebieskim mundurze wskoczył do komórki. Za nim poszły dwie postaci w bieli. Na zewnątrz zebrała się grupa sąsiadów i zaglądała do nich z zainteresowaniem.

— Nic mi nie jest! — zawołał Tim. Pomógł wyjść na górę Judy i Virginii. — Chyba nikomu nic nie jest.

— Co się stało? — Policjant odrzucił deski i podszedł bliżej. — Bomba? Czy to jakaś bomba?

— Dom to ruina — stwierdził jeden z lekarzy w białych fartuchach. — Jest pan pewien, że wszyscy są cali?

— Jesteśmy tu na, dole. W piwnicy.

— Nic ci nie jest, Tim? — zawołała pani Hendrick robiąc ostrożnie krok w głąb piwnicy.

— Co się stało? — wołał Frank Foley. Skoczył w dół a' coś trzasnęło. — Boże, Tim! Co ty, u diabła, robiłeś?

Dwaj lekarze nieufnie myszkowali po ruinach.

— Ma pan szczęście. Cholerne szczęście. Na górze nic nie zostało.

Foley znalazł się przy Timie.

— Niech cię diabli, chłopie! Mówiłem, żebyś kazał obejrzeć ten bojler!

— Co? — wymamrotał Tim.

— Bojler do gorącej wody! Mówiłem ci, że coś jest nie tak z zaworem. Musiał podgrzewać się dalej, nie wyłączył się... — Foley mrugnął nerwowo. — Ale nic nie powiem, Tim Ubezpieczenie. Możesz na mnie liczyć.

Tim otworzył usta. Ale nie wydobyły się z nich żadne słowa.

Co mógł powiedzieć?

— Nie, to nie była wina grzejnika do wody, którego zapomniałem naprawić. Nie, to nie była wina zepsutej złączki w piecyku. Nie chodzi o nic z takich rzeczy. To nie był wyciek gazu ani szybkar, którego zapomnieliśmy wyłączyć.

To wojna. Wojna totalna. Która dotyczy nie tylko mnie. Mojej rodziny. Mojego domu.

Twojego też. Twojego domu, mojego domu i każdego innego. Na naszym osiedlu i na sąsiednim, w mieście obok naszego, w sąsiednim stanie, w kraju i na kontynencie. To dotyczy całego świata. Chaos i ruiny. Mgła i wilgotne chwasty porastające rdzewiejące hałdy. Wojna, która dotyczy nas wszystkich. Każdego, kto tłoczy się w piwnicy, ze zbielałą twarzą, przerażony, w jakiś sposób przeczuwając, że nadchodzi coś straszego.

A kiedy to naprawdę nadejdzie, kiedy upłynie pięć lat, nie będzie żadnej ucieczki. Nie będzie powrotu, odskoczni w przeszłość, oderwania się od tego wszystkiego. Kiedy to nadejdzie i obejmie ich wszystkich, nie wypuści już przez całą wieczność; nikt nie wymknie się w przeszłość, tak jak on teraz.

Mary przypatrywała mu się. Policjant, sąsiedzi, ubrani na biało lekarze stażyści — wszyscy mu się przyglądali, k li na wyjaśnienia. Aż powie, co się stało.

— Czy to grzejnik do wody? — zapytała nieśmiało pani Hendricks.

— To przez grzejnik, prawda, Tim? Takie rzeczy się zdarzają. Nie można być pewnym...

— A może to domowa gorzelnia? — zapytał w nikłym przyptywie dobrego humoru jakiś sąsiad. — Zgadza się?

Nie potrafił im odpowiedzieć. Nie zrozumieliby, ponieważ chcieli zrozumieć. Nie chcieli wiedzieć. Potrzebna im była otucha. Widział to w ich oczach. Żałosny, żenujący trach Wyczuwali coś straszego... i bali się. Przeszukiwali jego twarz, usiłując znaleźć pomoc. Słowa pocieszenia. Słowa, które przepędzą ich strach.

— Tak — rzekł ciężko Tim. — To grzejnik do wody.

— Tak myślałem! — odetchnął Foley.

Westchnienie ulgi wyrwało się z każdej piersi. Szepty, niepewne śmiechy. Potakiwanie głowami, uśmiechy.

— Powiniennem był go naprawić — mówił dalej Tim. — Już dawno powiniennem był sprowadzić fachowca, żeby go obejrzał. Zanim znalazł się w tak złym stanie. — Popatrzył po kręgu zaniepokojonych ludzi, cedząc słowa. — Powiniennem był oddać go do naprawy. Teraz jest już za późno.

FOSTER, JUŻ NIE ŻYJESZ

Szkoła była męczarnią, jak zwykle. Ale dzisiaj było jeszcze gorzej. Mike Foster skończył wypłacać swoje dwa wodoszczelne kosze i siedział sztywno, gdy tymczasem wszystkie dzieci dookoła jeszcze pracowały. Na zewnątrz betonowo — stalowego budynku miło świeciło późnopołudniowe słońce. Wzgórza połyskiwały zielenią i brązem w rześkim jesiennym powietrzu. Na niebie, nad głowami mieszkańców miasteczka, leniwie krążyło kilka NATS-ów.

Przed jego biurkiem zjawiła się zwałista, złowrogo milcząca postać nauczycielki, pani Cummings.

— Foster, skończyłeś już?

— Tak, proszę pani — odpowiedział pospiesznie i podniósł swoje kosze. — Czy mogę już iść?

Pani Cummings krytycznie przyjrzała się koszom.

— A gdzie mechanizm pułapki? — zapytała. Pogrzebał w biurku i wyjął swoją skomplikowaną pułapkę na małe zwierzęta.

— Wszystko gotowe, pani Cummings. I mój nóż też. — Pokazał jej zaostrzone narzędzie połyskujące metalem, który obrobił z cysterny na benzynę.

Wzięła nóż i ruchem fachowca przeciągnęła palcem po ostrzu.

— Za słabe — stwierdziła. — Za bardzo je naostrzyłeś. Krawędź zniszczy się przy pierwszym użyciu. Zejdź do głównego laboratorium broni i przypatrz się, jakie tam mają noże. Potem naostrz go znowu, tylko znajdź jakieś grubsze ostrze.

— Pani Cummings — błagał Foster. — Czy mógłbym to poprawić jutro? Czy mógłbym to naprawić w tej chwili?

Wszyscy w klasie przyglądali się z zainteresowaniem. Foster zaczerwienił się; nie znosił wyróżniania się i zwracania na siebie uwagi, ale naprawdę musiał stąd uciec. Nie mógł zostać w szkole ani chwili dłużej.

Odpowiedź pani Cummings była nieubłagana.

— Jutro będziemy kopać. Nie będziesz miał czasu, żeby zajmować się nożem.

— Będę — zapewnił ją szybko. — Jak skończymy kopać.

— Nie, nie jesteś zbyt dobry w kopaniu. — Starsza kobieta mierzyła wzrokiem wrzecionowate ręce i nogi chłopca — Chyba będzie lepiej, jeśli dzisiaj skończysz swój nóż. A jutro cały dzień spędzisz na polu.

— Jaki sens ma to kopanie? — zapytał z rozpaczą.

— Każdy musi nauczyć się kopać — odrzekła cierpliwie pani Cummings.

Większość dzieci chichotała; uciszyła je złowrogim spojrzeniem.

— Wszyscy wiecie, jak ważne jest kopanie. Kiedy wybuchnie wojna, cała ziemia będzie pokryta gruzami. Jeśli chcemy mieć nadzieję na przetrwanie, to będziemy musieli kopać, prawda? Czy ktoś z was widział kiedyś susła, jak kopie wokół korzeni roślin? Suseł wie, że tam pod ziemią znajdzie coś ciekawego. Wszyscy będziemy takimi małymi brązowymi susłami. Będziemy musieli nauczyć się kopać w gruzach i znajdować dobre rzeczy, bo tylko to nam pozostanie.

Mike Foster usiadł, żałośnie stukając w swój nóż, a pani Cummings poszła dalej wzdłuż jego rzędu ławek. Kilkoro dzieci uśmiechnęło się do niego pogardliwie, ale tak pogrzyżył się w swoim nieszczęściu, że nic do niego nie docierało. Kopanie w żaden sposób mu nie pomoże. Kiedy spadną bomby, zginie od razu. Wszystkie szczepienia ochronne w ramię, w udo i pośladki na nic się nie zdadzą. Przepuścił swoje kieszonkowe: Mike Foster nie przeżyje, by złapać jakąś epidemię bakterii. O ile nie...

Zerwał się z miejsca i podszedł za panią Cummings do jej biurka. Zrozpaczony niemal do łez, wyrzucił z siebie:

— Proszę, ja muszę wyjść. Muszę coś zrobić.

Zmęczone usta pani Cummings wykrzywiła złość. Ale Pełne przerażenia oczy chłopca kazały jej się powstrzymać.

— Co się stało? — zapytała. — Źle się czujesz?

Chłopiec stał jak rażony piorunem i nie potrafił jej odpowiedzieć. Zadowolone z dramatycznego przedstawienia dzieci szeptały i chichotały, aż pani Cummings postukał pisakiem w biurko.

— Cisza — rzuciła. Jej głos brzmiał trochę łagodniej. — Michael, jeśli coś jest nie tak, zejdź na dół do przychodni psychiatrycznej. Nie ma sensu zajmować się pracą, kiedy twoje reakcje są nieodpowiednie. Pani Groves z przyjemnością je zoptymalizuje.

— Nie — powiedział Foster.

— No więc o co chodzi?

Klasa zaszumiała; dzieci odpowiedziały za niego. Fosterowi poczucie nieszczęścia i upokorzenia odebrało mowę.

— Jego ojciec jest anty-P — wyjaśnili. — Oni nie mają schronu i nie są zarejestrowani w Obronie Cywilnej. Jego ojciec nie wpłacił nawet na NATS-y. Nie zajęli się niczym.

Pani Cummings ze zdumieniem podniosła wzrok na milczącego chłopca.

— Nie macie schronu?

Potrząsnął głową.

Kobietą owładnęło dziwne uczucie.

— Ale... — chciała powiedzieć: „Ale przecież w ten sposób poumieracie”. Powiedziała tylko: — Ale dokąd pójdziesz?

— Donikąd — odpowiedziały za niego dziecięce głosy. — Wszyscy zejdą do schronów, tylko on zostanie na górze. On nie ma nawet przepustki do szkolnego schronu.

Pani Cummings była zszokowana. W jej tępych, schola — stycznym myśleniu czymś niewyobrażalnym było, że jakiś uczeń nie ma przepustki do skomplikowanego systemu komór pod budynkiem. Ale tak oczywiście nie było. To tylko dla tych dzieci, których rodzice należeli do OC, którzy płacili na uzbrojenie społeczności. A jeśli ojciec Foster'a był anty-P...

— On boi się tu siedzieć — kontynuowały zgodnie dzieci. — Boi się, że to nadejdzie, kiedy będzie tu siedział, a wszyscy ukryją się w schronach.

Szedł powoli przed siebie, z rękami zanurzonymi głęboko w kieszeniach, i kopał ciemne kamienie na chodniku. Słońce już wschodziło. Rakiety podmiejskie ze swoimi zadartymi nosami wysadzały zmęczonych ludzi, którzy cieszyli się, że wrócili do domu z oddalonego o sto mil pasa fabrycznego. W odległych górach coś zabłyśło: wieża radarowa obracała się w ciszy popołudniowego mroku. Krążyło coraz więcej NATS-ów. Godziny, kiedy zapadał zmrok, były najbardziej niebezpieczne: obserwatorzy nie mogli wypatrzeć zbliżających się do ziemi z ogromną prędkością pocisków. Jeśli te pociski nadlatywały.

Mechaniczne maszynki prasowe krzyczały do niego w podnieceniu, gdy je mijał. Wojna, śmierć, zadziwiające nowe rodzaje broni wynalezione w kraju i za granicą. Wtulił głowę w ramiona i szedł dalej, obok małych betonowych łusek, które służyły za domy, wszystkie dokładnie takie same: słupki z mocnego żelazobetonu. Przed nim w zapadającym mroku jaśniały neony: to dzielnica biznesu, ożywiona ruchem samochodów i krzątaniem ludzi.

Zatrzymał się niedaleko połyskującego skupiska neonów. Po prawej stronie miał publiczny schron, długie ciemne wejście przypominające tunel z ponuro błyszczącym kołowrotem. Wstęp za

pięćdziesiąt centów. Gdyby stał tu, na ulicy, i miał pięćdziesiąt centów, wszystko by było w porządku. Wiele razy wpychał się do publicznych schronów podczas próbnych nalotów. Ale zdarzały się takie dni — szkaradne, koszarne dni, których nigdy nie mógł zapomnieć — kiedy nie miał pięćdziesięciu centów. Stał wtedy niemy i przerażony, a podnieceni ludzie przepychali się wokół niego; wszędzie grzmiały przeszywające piski syren.

Powoli ruszył dalej, aż dotarł do najjaśniejszej plamy światła, do ogromnych salonów wystawowych General Electronics, bardzo długich i podświetlonych ze wszystkich stron — wielki plac czystych barw i promieniowania. Zatrzymał się i po raz tysięczny obejrzał fascynujące kształty, widok, który zawsze, gdy tędy przechodził, kazał mu się zatrzymać jak zahipnotyzowanemu.

Na środku ogromnego pomieszczenia znajdował się jeden Przedmiot. Pulsująca kropla maszynierii i wspierających rozpór, dźwigarów, ścianek i zalakowanych zamków. Ustawił na nią wszystkie jupitery; wielkie napisy głosiły jej sto jeden zalet — jakby ktoś mógł mieć jakieś wątpliwości.

PREZENTUJEMY NOWY PODZIEMNY SCHRON ANTY RADIACYJNY, MODEL Z 1972 ROKU! SPRAWDŹCIE WŁAŚCIWOŚCI OZNACZONE KROPKAMI:

- automatyczna winda — odporna na tłoczenie się z własnym napędem, zamek e–z,
- potrójne ścianki kadłuba o gwarantowanej wytrzymałości ciśnienia 5X, grawitacja bez odkształceń,
- system ogrzewania i chłodzenia o napędzie atomowym — samoobsługowa sieć oczyszczania powietrza,
- trzy fazy odkażania żywności i wody,
- cztery fazy higieniczne chroniące przed oparzeniami,
- pełny proces antybiotykowy,
- plan opłat e–z.

Długo przyglądał się schronowi. Składał się głównie z wielkiego zbiornika, zakończonego z jednej strony szyjką, która stanowiła szyb windy, a z drugiej — klapą bezpieczeństwa. Był całkowicie samowystarczalny: świat w miniaturze, który sam zapewniał sobie światło, ciepło, powietrze, wodę, lekarstwa i niemal niespożyte zapasy jedzenia. W całkowicie wyposażonym schronie można było znaleźć kasety wideo i audio, przedmioty dostarczające rozrywki, łóżka, krzesła, wideoekrany — wszystko, co składało się na dom na powierzchni. Właściwie był to dom pod ziemią. Nie brakowało niczego, co mogło okazać się potrzebne do życia albo przydatne do zabawy. Rodzina mogła czuć się tu bezpiecznie, a nawet wygodnie, gdy wróg atakował bombami wodorowymi i bronią biologiczną.

Kosztował dwadzieścia tysięcy dolarów.

Gdy przyglądał się w milczeniu wystawie, jeden ze sprzedawców wyszedł na pograżony w ciemności chodnik i skierował się do bufetu.

— Cześć, chłopcze — rzucił automatycznie, mijając Mike’a Fostera. — Niezły, prawda?

— Czy mogę wejść? — zapytał szybko Foster. — Czy mogę tam zjechać?

Sprzedawca zatrzymał się, gdy go rozpoznał.

— To ty jesteś tym dzieciakiem — powiedział wolno — cholernym dzieciakiem, który bez przerwy nas zamęcza.

— Chciałbym tam zjechać. Tylko na kilka minut. Niczego nie zepsuję, obiecuję. Nawet niczego nie dotknę.

Sprzedawca był młodym blondynem, przystojnym mężczyzną tuż po dwudziestce. Zawahał się, nie wiedział, jak reagować. Dzieciak był utrapieniem. Ale miał rodzinę, a to oznaczało sensowną perspektywę. Interesy szły źle: zbliżał koniec września, a sezonowe załamanie jeszcze się nie skończyło. Nic nie da, jeśliby poprosić dzieciaka o roznoszenie taśm z informacjami na ten temat; z drugiej strony jednak równie złym interesem było wykorzystywanie dzieci do zachwalania towarów. Marnowały czas; niszczyły sprzęty; kradły drobiazgi, kiedy nikt nie patrzył.

— Nici z tego — odpowiedział sprzedawca. — Słuchaj, przyślij tu swojego starego. Czy on widział, co mamy?

— Tak — odpowiedział ze ściśniętym gardłem Foster.

— To co go powstrzymuje? — Mężczyzna wskazał zamaszystym gestem wielką, błyszczącą wystawę. — Przyjmiemy jego stary schron i korzystnie wymienimy, biorąc pod uwagę utratę wartości i datę produkcji towaru. Jaki on ma model?

— Nie mamy żadnego — odrzekł Mike Foster.

Sprzedawca aż zmrużył oczy.

— Co takiego?

— Ojciec twierdzi, że to strata pieniędzy. Mówi, że chcą nastraszyć ludzi, żeby kupowali rzeczy, których nie potrzebują. Mówi...

— Twój ojciec jest anty-P?

— Tak — odpowiedział niezadowolony Mike. Sprzedawca westchnął.

— Dobrze, mały. Przykro mi, że nie ubijemy interesu. To nie twoja wina. — Zamilkł na chwilę. — O co mu chodzi, do diabła? Czy on utrzymuje kontakty z NATS-ami?

— Nie.

Mężczyzna zaklął pod nosem. Przybrzeżny stateczek, który się przemyka chyłkiem, bezpieczny, ponieważ reszta społeczeństwa poświęca trzydzieści procent dochodów, by utrzymać w gotowości system nieustannej obrony. Zawsze jest kilku takich jak on, w każdym mieście.

— Co myśli o tym twoja matka? — dopytywał się sprzedawca. — Zgadza się z nim?

— Ona mówi... — Mike urwał. — Czy nie mógłbym tam zjechać tylko na malutką chwilę? Niczego nie zepsuje Tylko raz.

— Jak w ogóle byśmy sprzedawali ten schron, gdybyśmy pozwalali dzieciom go używać? To nie model demonstracyjny, za często dawaliśmy się na to namówić. — Sprzedawca zaczął okazywać zainteresowanie. — Jak się zostaje anty-P? Zawsze tak myślał czy też coś go ugryzło?

— On mówi, że sprzedawano ludziom tak dużo samochodów, pralek i telewizorów, ile tylko byli w stanie używać. On mówi, że NATS-y i schrony są do niczego. Mówi, że fabryki mogą do końca świata produkować broń i maski przeciwgazowe i dopóki ludzie się boją, będą płacić za te rzeczy, ponieważ myślą, że bez nich grozi im śmierć i może człowiek w pewnym momencie ma już dość kupowania co rok nowego samochodu i wreszcie przestanie to robić, ale nigdy nie przestanie kupować schronów, by chronić swoje dzieci.

— Ty w to wierzysz? — zapytał sprzedawca.

— Chciałbym, żebyśmy mieli ten schron — odpowiedział Mike Foster. — Gdybyśmy mieli taki schron, zjeżdżałbym tam i spał co noc. Byłby na miejscu, gdybyśmy go potrzebowali.

— Może nie będzie wojny — rzekł mężczyzna. Wyczuł, że chłopca dręczy przerażenie i obawy i uśmiechnął się do niego dobrotliwie. — Nie martw się tak bez przerwy. Pewnie oglądasz za dużo filmów wideo, powinieneś dla odmiany wychodzić pobawić się na dwór.

— Na powierzchni nikt nie jest bezpieczny — odparł Mike Foster. — Musimy siedzieć w podziemiu. I nie mam dokąd pójść.

— Przyślij tu swojego starego — mruknął nerwowo sprzedawca. — Może go namówimy. Mamy dużo planów splątanych. Powiedz mu, żeby pytał o Billa O’Neilla, dobrze?

Mike Foster odszedł powoli ciemną, pogrążoną w wieczornej ciszy ulicą. Wiedział, że powinien być w domu, ale ledwie powłóczył nogami, a ciało miał ociężałe i nieczułe. Zmęczenie przypomniało mu, co dzień wcześniej mówił podczas ćwiczeń. Ćwiczyli wstrzymywanie oddechu, trzymając powietrze w płuła i biegając. Nie szło mu najlepiej: pozostali pędzili jeszcze z czerwonymi twarzami, kiedy on zatrzymywał się, wypuszczał z siebie powietrze i jak oszalały łapał tlen. — Foster — mówił ze złością nauczyciel. — Już nie żyjesz. Wiesz o tym? Gdyby to był atak gazem... — Pokręcił głową ze znużeniem. — Podejdź tam i ćwicz indywidualnie. Musisz lepiej sobie radzić, jeśli chcesz przeżyć. Ale on nie wierzył, że przeżyje.

Kiedy wszedł na ganek domu, zauważył, że światła w salonie były już włączone. Słyszał głos ojca, a z kuchni dochodził go słabszy głos matki. Zamknął za sobą drzwi i zaczął zdejmować płaszcz.

— To ty? — zapytał ojciec. Siedział rozparty wygodnie w fotelu, na kolanach trzymał mnóstwo taśm i raportów ze swojego sklepu meblowego. — Gdzieś ty był? Kolacja czeka od pół godziny.

Nie miał na sobie płaszcza, podwinął rękawy. Ramiona miał blade i chude, ale umięśnione. Był zmęczony; oczy miał duże i ciemne, włosy przerzedzone. Niespokojnie przekładał taśmy, przyglądając się to tej, to tamtej.

— Przepraszam — powiedział Mike Foster.

Ojciec popatrzył na swój kieszonkowy zegarek; z pewnością był to jedyny człowiek, który jeszcze nosił zegarek.

— Idź, umyj ręce. Co ty robiłeś? — Spojrzał badawczo na syna. — Dziwnie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

— Byłem w śródmieściu — rzekł Mike.

— Co tam robiłeś?

— Patrzyłem na schrony.

Ojciec bez słowa chwycił garść raportów i wcisnął je do teczki. Zacisnął wąskie usta; grube linie wystąpiły mu na czoło. Parsknął ze złością, gdy taśmy rozsypały się wokoło; nachylił się niezgrabnie, żeby je sprzątnąć. Mike nie ruszył się, żeby mu pomóc. Podeszedł do szafy i powiesił płaszcz na wieszaku. Kiedy się odwrócił, jego matka weszła ze stolikiem z jedzeniem do pokoju.

Jedli w milczeniu, nie patrzyli na siebie. Wreszcie ojciec odezwał się:

— Co widziałeś? Pewnie to samo dziadostwo co zawsze.

— Są nowe modele z siedemdziesiątego drugiego roku — odpowiedział Mike.

— Są takie same jak te z siedemdziesiątego pierwszego. — Ojciec z furią cisnął widelcem. — Kilka nowych gadżetów, trochę więcej chromu. To wszystko. — Nagle zwrócił się do syna buntowniczo: — Prawda?

Przestraszony Mike obracał w palcach kurczaka w śmietanie.

— Te nowe mają windę odporną na tłoczenie się. Nie można w niej utknąć w połowie drogi. Wystarczy tylko wsiąść, ona zajmuje się całą resztą.

— W przyszłym roku wymyślą taką, która sama cię zabierze i zwiezie na dół. Ta stanie się przestarzała, gdy tylko ludzie ją kupią. Tego właśnie chcą — żebyście cały czas kupowali. Wypuszczają nowości tak szybko, jak tylko potrafią. Jeszcze nie mamy siedemdziesiątego drugiego roku, jest dopiero siedemdziesiąty pierwszy. Co ten model już robi na rynku? Czy nie mogą zaczekać?

Mike Foster nie odpowiedział. Słyszał to już wiele razy przedtem. Nigdy nie było nic nowego, tylko gadżety i chrom; a i tak stare stawały się przestarzałe. Wywody ojca były głośne, żarliwe, niemal furiackie, ale zupełnie nie miały sensu.

— No, to kupmy stary model — wyrzucił z siebie. — Dla mnie to nieważne, każdy się nada. Nawet używany.

— Nie, chcesz nowy model. Lśniący i błyszczący, żeby zrobić wrażenie na sąsiadach. Z mnóstwem pokręteł, gałek i urządzeń. Ile za niego chcą?

— Dwadzieścia tysięcy dolarów.

Ojciec wstrzymał oddech.

— No proszę.

— Mają korzystne oferty spłat ratalnych.

— No pewnie. Płacisz za to do końca życia. Oprocentowanie, opłata manipulacyjna i na jak długo ma gwarancję.

— Trzy miesiące.

— Co się stanie, jeśli się popsuje? Przestanie oczyszczać i odkażać. Rozpadnie się, gdy tylko miną trzy miesiące.

Mike potrząsnął głową.

— Nie. Jest duży i mocny.

Ojciec pokraśniał. Był niewysoki, smukły i drobny. Nagle pomyślał o całym swoim życiu, które składało się z przegranych bitew, z ambitnych starań, z rozumnie podejmowanych decyzji i trwania przy nich, z pracy, pieniędzy, sklepu: z księgowego menedżer, w końcu właściciel.

— Straszą nas, żeby interes dalej się kręcił! — krzyczał rozpaczliwie do żony i syna. — Nie chcą kolejnej depresji.

— Bob — odezwała się powoli, spokojnie jego żona. — Musisz z tym skończyć. Ja już tego nie zniosę.

Bob Foster zamrugnął oczami.

— O czym ty mówisz? — zapytał. — Jestem zmęczony.

Te cholerne podatki. Nie można utrzymać takiego małego sklepu, będąc tak uwięzonym. Jakieś prawo powinno być. — Głos mu się załamał. — Chyba już się najadłem. — Odsunął się od stołu i wstał. — Położę się na kanapie i zdrzemnę trochę.

Szczupła twarz jego żony spurpurowiała.

— Musisz go kupić! Nie zniosę już tego, jak o nas mówią. Wszyscy sąsiedzi i handlarze, każdy, kto o tym wie. Nie mogę nic zrobić ani nigdzie pójść, by o tym nie słyszeć. Odkąd tylko dostali flagę. Anty-P. Ostatni w całym mieście. Te rzeczy są w użyciu i ludzie za nie płacą, ale nie my.

— Nie — odpowiedział Bob Foster. — Nie mogę tego kupić.

— Dlaczego?

— Dlatego — odrzekł po prostu — że mnie na to nie stać. Nastąpiło milczenie.

— Wszystko włożyłeś w ten sklep — powiedziała wreszcie Ruth. — A i tak nie na wiele to się zdało. Jesteś jak ten szur, który gromadzi wszystko w swojej dziurze w ścianie. Nikt już nie chce drewnianych mebli. Jesteś reliktem... ciekawostką.

Uderzyła otwartą dłoń w stół i zerwała się dziko, by zebrać puste naczynia, jak spłoszone zwierzę. Biegała z furią między pokojem a kuchnią, a tymczasem na naczyniach w zlewozmywaku pojawiała się piana.

Bob Foster westchnął ze znużeniem.

— Nie walczmy ze sobą. Będę w salonie. Daj mi się zdrzemnąć z godzinę. Może później o tym

porozmawiamy

— Zawsze później — odrzekła gorzko Ruth.

Jej mąż już zniknął w pokoju: nieduża, przygarbiona postać z rzadkimi siwymi włosami i łopatkami jak złamane skrzydła.

Mike podniósł się.

— Pójdę odrobić lekcje — powiedział. Poszedł za ojcem z dziwnym wyrazem twarzy.

W pokoju panował spokój; magnetowid był wyłączony a światło lampy przyciemnione. W kuchni Ruth kręciła pokrętłami piecyka, programując posiłki na następny miesiąc. Bob Foster zdjął buty i wyciągnął się na kanapie z głową na poduszce. Twarz zszarzała mu ze zmęczenia. Mike wahał się przez chwilę, po czym zagaił:

— Czy mogę o coś zapytać?

Ojciec odchrząknął i drgnął, otworzył oczy.

— Tak?

Mike usiadł naprzeciwko.

— Opowiedz mi jeszcze raz o tym, jak radziłeś prezydentowi.

— Nie radziłem mu. Po prostu rozmawiałem z nim.

— Opowiedz mi o tym.

— Opowiadałem ci tysiąc razy. Bardzo często, odkąd byłeś małym dzieckiem. Byłeś wtedy ze mną. — Głos mu zmiękł, gdy ogarnęły go wspomnienia. — Byłeś takim szkrabem... musieliśmy cię nosić.

— Jak wyglądał?

— No cóż — zaczął ojciec, przechodząc do rutynowej opowieści, którą przez lata dopracował do perfekcji. Wyglądał mniej więcej tak jak na wideoekranie. Tylko mniejszy.

— Dlaczego on tutaj był? — dopytywał się żarliwie Mike. Prezydent był jego bohaterem, człowiekiem, którego podziwiał najbardziej na całym świecie. — Dlaczego miał przyjechać aż tu, do naszego miasteczka?

— Objeżdżał cały kraj. — Do głosu ojca wkradła się gorycz. — I zdarzyło się, że przejeżdżał tędy.

— Jak to: objeżdżał?

— Przyjeżdżał do miasteczek w całym kraju. — Ostry ton przybrał na sile. — Żeby zobaczyć, jak sobie radzimy. Żeby zobaczyć, czy kupiliśmy wystarczająco dużo NATS-ów, schronów przeciwbombowych, szczepionek, masek przeciwgazowych i sieci radarowych, aby odeprzeć atak. Korporacja General Electronics dopiero zaczynała rozmieszczać swoje salony i wystawy — wszystko jaskrawe, błyszczące i drogie. Pierwsze urządzenia obronne do domowego użytku. — Usta mu drgnęły. — Na wszystko plany splątanych. Reklamy, Dlakaty, reflektory, gardenie za darmo i naczynia kuchenne dla pań.

Mike Foster dyszał ciężko i z trudem powstrzymywał powietrze w piersiach.

— Tego właśnie dnia dostaliśmy naszą Flagę Przygotowanych — rzucił spieszenie. — Tego dnia przyjechał, żeby dać nam flagę. I przyczepili ją do masztu na środku miasta, a wszyscy wołali głośno i cieszyli się.

— Pamiętasz to?

— Chyba tak... Pamiętam ludzi i muzykę. I było gorąco. To było w czerwcu, prawda?

— Dziesiątego czerwca sześćdziesiątego piątego roku. Niezwykły dzień. Niewiele miast miało wtedy wielką zieloną flagę. Ludzie wciąż kupowali samochody i telewizory. Nie dotarło do nich jeszcze, że tamte czasy się skończyły. Telewizory i samochody przydają się do czegoś konkretnego,

można ich wyprodukować i sprzedać tylko ograniczoną liczbę.

— No, ale tę flagę dał tobie, prawda?

— Dał ją wszystkim handlowcom. Zorganizowała to Izba Handlowa. Konkurencja między miastami: kto kupi więcej i szybciej. Podnieść standard miasta i jednocześnie dać impuls biznesowi. Oczywiście, im chodziło o to, że kiedy będziemy musieli kupować maski przeciwgazowe i schrony, lepiej będziemy o nie dbali. Jakbyśmy kiedykolwiek niszczyli telefony albo chodniki. Albo autostrady — dlatego że państwo je fundowało. Albo wojsko. Czyż wojsko nie istniało zawsze? ZY rząd nie organizował społeczeństwa do obrony? Według mnie obrona za dużo kosztuje. Chyba oszczędzają w ten sposób sporo forsy, zmniejszają dług publiczny o połowę.

— Opowiedz, co on powiedział — szepnął Mike.

Jego ojciec sięgnął po fajkę i zapalił ją drżącymi rękami.

— Powiedział: „To wasza flaga, chłopcy. Świetnie się spisaliście”. — Bob Foster zakrztusił się, gdy gryzący dym wżerał mu się w gardło. — Był czerwony na twarzy, opalony niczym się nie przejmował. Pocił się i uśmiechał. Wiedział, jak powinien się zachowywać. Do wielu osób mówił po imieniu. Opowiedział zabawny dowcip.

Oczy chłopca rozszerzyły się z podziwu.

— On przyjechał z tak daleka, a ty z nim rozmawiałeś.

— Tak — odpowiedział ojciec. — Rozmawiałem z nim. Wszyscy wołali głośno i cieszyli się. Flaga szła w górę, wielka zielona Flaga Przygotowanych.

— Powiedziałeś...

— Powiedziałem do niego: „Czy to już wszystko, co pan nam przywiózł? Pasek zielonego materiału?” — Bob Foster zaciągnął się głęboko. — Wtedy właśnie zostałem anty-P. Tylko że wtedy o tym nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że jesteśmy pozostawieni samym sobie, że mamy tylko zieloną flagę. Powinniśmy stanowić kraj, naród, sto siedemdziesiąt milionów ludzi powinno działać razem, aby nas bronić. A zamiast tego jesteśmy gromadą oddzielonych od siebie miasteczek, małych fortów ogrodzonych murami. Cofamy się do średniowiecza. Każdy tworzy swoją armię...

— Czy prezydent kiedyś tu wróci? — zapytał Mike.

— Wątpię. On tylko... przejeżdżał tędy.

— Jeśli wróci — szepnął przejęty Mike, nie ośmielając się nawet mieć na to nadziei — to czy pójdziemy go zobaczyć? Czy możemy na niego popatrzeć?

Bob Foster podparł się i usiadł. Kościste ramiona miał nagie i białe; szczupła twarz poszarzała ze zmęczenia. I z rezygnacji.

— Ile kosztowało to cholerstwo, które oglądałeś? — zapytał szorstko. — Ten schron przeciwbombowy?

Serce Mike'a przestało bić.

— Dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Dziś jest czwartek. Pojadę po to z tobą i mamą w przyszłą sobotę. — Bob Foster zgasił ledwo żarzącą się fajkę. — Kupię to na raty. Wkrótce zacznie się jesienny sezon zakupów. Zwykle dobrze mi idzie, ludzie kupują drewniane meble na gwiazdkowe prezenty. — Nagle wstał z kanapy. — Umowa stoi?

Mike nie mógł odpowiedzieć, zdołał tylko pokiwać głową.

— Dobrze — stwierdził ojciec z rozpaczliwą wesołością. — Teraz nie będziesz już musiał chodzić tam i przyglądać się temu przez okno.

Schron został zainstalowany — za dodatkową opłatą w wysokości dwustu dolarów — przez sprawny zespół pracowników w brązowych płaszczach z napisem

GENERAL ELECTRONICS

na plecach. Na podwórzu za domem szybko posprzątało, ziemię i krzaki zgarbięto łopata w jedno miejsce, wyrównano glebę, a następnie usłużnie położono rachunek pod drzwiami. Rozklekotana ciężarówka dostawcza, teraz już opróżniona, ruszyła z hałasem ulicą i w sąsiedztwie zapanował spokój.

Mike Foster stał z matką i grupką zachwyconych sąsiadów na werandzie za domem.

— No — rzekła wreszcie pani Carlyle. — Teraz już macie schron. Najlepszy z możliwych.

— To prawda — przyznała Ruth Foster.

Wiedziała, że wokół zgromadzili się ludzie; minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio przebywała w tak liczny towarzystwie. Ponura satysfakcja, niemal uraza, zajaśniała na jej wymizerowanej twarzy.

— Tak. — Pan Douglas z dalszej części ulicy pokiwał głową. — Teraz macie już dokąd pójść. — Podniósł grubą instrukcję, którą zostawili robotnicy. — Piszą, że można tu umieścić zapasy na rok. Można tu mieszkać przez cały rok i ani razu nie wychodzić na powierzchnię. — Potrząsnął głową z podziwem. — Ja mam stary model z sześćdziesiątego dziewiątego roku. Nadaje się tylko na pół roku. Chyba...

Dla nas i tak wystarczy — wtrąciła jego żona, ale w jej głosie słychać było tęsknotę. — Czy możemy tam zejść i obejrzeć od środka, Ruth? Wszystko gotowe, prawda?

Mike sapnął zduszonym głosem i nagle wystąpił naprzód. Jego matka uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— On musi tam zejść pierwszy. On pierwszy się tam rozejrzy... rozumiecie, tak naprawdę to jest dla niego.

Chroniąc się przed zimnym wrześnieowym wiatrem, wtulali głowy w ramiona i przyglądali się, jak chłopiec zbliża się do szyjki schronu i zatrzymuje kilka kroków przed nią.

Ostrożnie wszedł do schronu, prawie jakby się bał, by niczego nie dotknąć. Szyjka była dla niego za duża: zaprojektowano ją na dorosłego. Gdy tylko znalazł się w windzie, ta ruszyła. Runęła w dół ze świszczącym wyciem czarnej jak smoła rury do wnętrza schronu. Uderzyła twardo resorami i chłopiec wytoczył się z niej na niepewnych nogach. Dźwig wystrzelił z powrotem w górę, jednocześnie uszczelniając za sobą wnętrze schronu niczym stalowo-plastikowy korek.

Wszędzie wokoło włączyły się światła. W schronie było zupełnie pusto, nie zwieziono tu jeszcze żadnych zapasów. Czuło się zapach lakieru i smaru. Poniżej głucho pulsowały generatory. Obecność chłopca uaktywniła systemy oczyszczania i odkażania: na pustej betonowej ścianie nagle ożyły liczniki i potencjometry.

Usiadł na podłodze, podciągnął kolana pod brodę. Twarz miał poważną, oczy szeroko rozwarte. Nie słyszał niczego oprócz generatorów; świat na górze był zupełnie odcięty. Znajdował się w małym, samowystarczalnym kosmosie. Wszystko, czego mógł potrzebować, było tutaj — albo znajdzie się tu wkrótce: jedzenie, woda, powietrze, rzeczy, którymi można się zająć. Niczego więcej nie potrzeba. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć — wszystkiego, czego tylko potrzebował. Mógł zostać tu na zawsze, do końca świata i nawet się nie ruszać. Absolutnie wszystko. Żadnych braków, żadnych obaw, tylko generatory mruczą pod stopami i puste, ascetyczne ściany wokoło i nad głową, lekko

ciepłe, bardzo przyjazne, jak żywy pojemnik.

Nagle wydał okrzyk — głośny, pełen radości okrzyk, który odbijał się echem od jednej ściany do drugiej. Pogłos ogłuszył go. Mocno zamknął oczy i zacisnął pięści. Przepęłniała go radość. Krzyknął znowu — i pozwolił, by ryk okrążył go, jego głos wzmacniały pobliskie ściany, które znajdowały się w zasięgu ręki, twarde i niewiarygodnie mocne.

Dzieci w szkole wiedziały, jeszcze zanim się tam zjawił następnego ranka. Przywitały go, gdy się zbliżał, wszystkie uśmiechały się i szturchały nawzajem.

— Czy to prawda, że twoi starzy kupili nowy model General Electronics S-72ft? — zapytał Earl Peters.

— Tak — . odpowiedział Mike. Serce zabiło mu spokojną pewnością siebie, której wcześniej nie znał. — Wpadnijcie — zaproponował tak swobodnym tonem, na jaki było go stać. — Pokażę go wam.

Poszedł dalej, świadomy ich zazdrosnych spojrzeń.

— No, Mike — zagadnęła go pani Cummings, gdy wychodził z klasy pod koniec dnia. — Jakie to uczucie?

Zatrzymał się przy jej biurku, nieśmiały i pełen cichej dumy.

— Przyjemne — wyznał.

— Czy twój ojciec płaci na NATS-y?

— Tak.

— I masz przepustkę do szkolnego schronu?

Z radością pokazał jej małą niebieską pieczęć na klamrze opasującej nadgarstek.

— Wysłał czek do władz miasta i w ogóle. Powiedział: Skoro posunąłem się już tak daleko, to mogę pójść na całość.

— Teraz masz wszystko to, co każdy inny. — Starsza kobieta uśmiechnęła się do niego. — Cieszę się z tego. Jesteś teraz pro-P, tylko że taki termin nie istnieje. Jesteś po prostu... taki sam jak każdy.

Następnego dnia maszynki prasowe wyrzuciły z siebie tę wiadomość. Pierwsze informacje o nowym sowieckim śrucie przeciwpancernym.

Bob Foster stał na środku salonu z taśmą wiadomości w ręku, jego chuda twarz rozgorzała z wściekłości i rozpaczy.

— Niech to diabli, to spisek! — podnosił głos w bezradnej złości. — Właśnie to kupiliśmy i teraz patrzcie! Patrzcie! — Rzucił taśmę żonie. — Widzisz? A nie mówiłem?

— Widziałam to już — odrzekła Ruth ze złością. — Pewnie myślisz, że cały świat czekał na ciebie. Bez przerwy udoskonalają broń, Bob. W zeszłym tygodniu były te płatki nasączające nasiona. W tym tygodniu przeciwpancerny śrut. Nie oczekujesz chyba, że zatrzymają bieg postępu, ponieważ w się wreszcie złamałeś i kupiłeś schron, co?

Mężczyzna i kobieta mierzyli się wzrokiem.

— Co my, do diabła, zrobimy? — zapytał cicho Bob p ster.

Ruth wróciła do kuchni.

— Słyszałam, że mają produkować nasadki.

— Nasadki? O czym ty mówisz?

— Żeby ludzie nie musieli kupować nowych schronów Była taka reklama na wideoekranie. Wypuszczą na rynek jakiś metalowy ruszt, jak tylko rząd go zatwierdzi. Rozłożą go na ziemi i będzie przechwytywał śrut. Namierza go, sprawia, że eksploduje na powierzchni i nie może dogrzebać się do schronu.

— Ile?

— Nie mówili.

Mike Foster siedział skulony na kanapie i słuchał. Dowiedział się o tym w szkole. Robili testy na identyfikację jagód, badali zamknięte próbki dzikich jagód, aby odróżnić nieszkodliwe od toksycznych, gdy dzwonek wezwał ich na ogólne zebranie. Dyrektor przeczytał im informację o przeciwpancernym śrucie, po czym wygłosił rutynowy wykład na temat postępowania w razie zagrożenia nowym wariantem tyfusu, który ostatnio odkryto.

Jego rodzice wciąż jeszcze się kłócili.

— Będziemy musieli go kupić — stwierdziła spokojnie Ruth. — Inaczej będzie bez znaczenia, czy mamy schron, czy nie. Śrut został tak zaprojektowany, by przenikał pod powierzchnię ziemi i szukał ciepła. Gdy tylko Rosjanie zaczną to produkować...

— Kupię to — zgodził się Bob Foster. — Kupię antyśrutowy ruszt i co jeszcze tam mają. Wezmę wszystko, co rzucą na rynek. Nigdy nie przestanę kupować.

— Nie jest jeszcze aż tak źle.

— Wiesz, ta gra ma jedną przewagę nad sprzedawaniem ludziom samochodów i telewizorów. Mając coś takiego, musimy kupować. To nie luksus, coś wielkiego i krzykliwego, czym można zaimponować sąsiadom, coś, bez czego możemy się obyć. Jeśli tego nie kupimy, umrzemy. Zawsze mówili, że aby coś ludziom sprzedać, trzeba w nich wywołać niepokój. Wytworzyć poczucie braku pewności — powiedzieć, że brzydko pachną albo że dziwacznie wyglądają. Ale przez to można opowiadać dowcipy o dezodorancie czy brylantynie. Nie da uniknąć. Jeśli nie kupujesz, zabiją cię. Doskonałe pole do popisu dla sprzedawcy. Kup lub umrzyj — nowe hasło. Podaruj sobie najnowszy schron przeciw bombie wodorowej firmy General Electronics albo daj się zaszlachtować.

— Przestań tak mówić! — wypaliła Ruth.

Bob Foster opadł ciężko na kuchenne krzesło.

— Dobra. Poddaję się. Zgadzam się na to.

— Kupisz? Myślę, że będą na rynku na Boże Narodzenie.

— O tak — odpowiedział Foster. — Rzucą je na rynek na Boże Narodzenie. — Miał dziwny wyraz twarzy. — Kupię to cholerstwo na Boże Narodzenie, tak jak wszyscy.

Nakładki w formie rusztu firmy GEC okazały się sensacją.

Mike Foster szedł powoli zatłoczoną ulicą; było późne grudniowe popołudnie, zapadał zmrok. Nakładki błyszczały w każdym oknie sklepowym. Wszystkie kształty i rozmiary, do każdego typu schronu. Różne ceny, na każdą kieszeń. Tłumy ludzi przepełniała radość i emocje typowe u ludzi w okresie Bożego Narodzenia: przepychali się łagodnie, obciążeni pakunkami i ciężkimi paltami. Powietrze zbieleło od podmuchów sypiącego śniegu. Światła i neony, ogromne lśniące witryny jaśniały z każdej strony.

Jego dom był ciemny i cichy. Rodzice jeszcze nie wrócili. Oboje pracowali jeszcze w sklepie; interesy szły źle i matka zajęła miejsce jednego ze sprzedawców. Mike wyciągnął rękę do tabliczki z kodem i drzwi frontowe stanęły otworem. Automatyczny piec utrzymywał przyjemne ciepło w domu. Zdjął płaszcz i odłożył podręczniki.

Niedługo pozostał w domu. Serce biło mu z podniecenia, po omacku odnalazł tylne wyjście i wyszedł na werandę.

Zmusił się, by stanąć, obrócił się i wrócił do domu. Będzie lepiej, jeśli wszystko odbędzie się we właściwym czasie. Opracował każdy moment, począwszy od widoku odchylonego mocno do tyłu dolnego zawiasu szyjki, wyraźnie rysującego się na tle wieczornego nieba. Przekształcił to w

prawdziwą sztukę: nie marnował ani jednego gestu. Kształtował te procedurę, modelował, aż stała się czymś naprawdę pięknym. Pierwsze obezwładniające poczucie obecności, gdy znalazł się w szyjce. Potem mrozący krew w żyłach prąd powietrza, gdy winda pociągnęła go na sam dół.

I okazałość samego schronu.

Każdego popołudnia, gdy tylko wracał do domu, wchodził tam, pod powierzchnię, ukryty i chroniony przez jej stalową ciszę, tak jak pierwszego dnia. Teraz kajuta była już pełna nie pusta. Wypełniało ją mnóstwo konserw, poduszek, książek, kaset wideo i audio, jasne tkaniny, faktury i kolory, nawet wazony z kwiatami. Schron należał do niego, tu sadowił się skulony w otoczeniu wszystkiego, czego potrzebował.

Odkładając wszystko na jak najpóźniej, wrócił przez cały dom i szperał wśród kaset audio. Przesiadywał w schronie do kolacji, słuchając *O czym szumią wierzby*. Rodzice wiedzieli, gdzie go szukać: zawsze był tu, na dole. Dwie godziny niczym nie zmaconego szczęścia, zupełnie sam w schronie. A po kolacji spieszył tam z powrotem i nie wychodził, aż przychodził czas na sen. Czasami późno w nocy, kiedy rodzice mocno już spali, wstawał cichaczem i wychodził na zewnątrz, do szyjki schronu, i schodził do cichego wnętrza. Ukrywał się tam do rana.

Znalazł kasetę i pospieszył biegiem przez cały dom, wypadł na werandę i podwórko za domem. Niebo było szare, ponure, upstrzone serpentynami brzydkich czarnych chmur. Tu i ówdzie pokazywały się światła miasta. Podwórko było zimne i wrogie. Niepewnie zszedł po schodach... i zastygł.

Ukazała mu się ogromna dziura. Rozwarta jama, pusta i bezzębna, otwarta na niebo. Nic więcej. Schron zniknął.

Stał tam całą wieczność, ściskając w jednym ręku kasetę, a w drugiej poręcz. Zapadła noc; pusta dziura rozplynęła się w ciemnościach. Cały świat stopniowo umilkł, stał się beznadziejnie ponury. Pojawiły się słabo widoczne gwiazdy, niespokojnie zajaśniały też światła pobliskich domów, zimne i niewyraźne. Chłopiec niczego nie mógł dojrzeć. Stał bez ruchu, ciało miał naprężone jak drut i wciąż wpatrywał się w wielką dziurę powstałą na miejscu schronu.

Potem obok niego stanął ojciec.

— Jak długo tu jesteś? — pytał chłopca. — Jak długo, Mike? Odpowiedz!

Gwałtownym wysiłkiem woli Mike zdołał się odsunąć.

— Wcześniej wróciłeś — wymamrotał.

— Celowo wcześniej wyszedłem ze sklepu. Chciałem tu być, kiedy ty... wrócisz do domu.

— Jego nie ma.

— Tak. — Głos ojca był zimny, pozbawiony emocji. — Schronu już nie ma. Przykro mi, Mike.

Wezwałem ich i kazałem go zabrać z powrotem.

— Dlaczego?

— Nie mogłem za niego zapłacić. Nie w to Boże Narodzenie, kiedy wszyscy kupują te ruszty. Nie mogę się z nimi mierzyć. — Po chwili mówił dalej żałośnie: — Byli cholernie przyzwoici. Oddali mi połowę pieniędzy. — W jego głosie zabrzmiała ironia. — Wiedziałem, że jeśli zawrę z nimi umowę przed Bożym Narodzeniem, lepiej na tym wyjdę. Mogę to jeszcze komuś odsprzedać.

Mike nic nie odpowiedział.

— Spróbuj zrozumieć — mówił dalej ojciec surowo. — Musiałem wyrzucić cały kapitał, jaki udało mi się wskrobać, na sklep. Nie mogę go zamknąć. Trzeba było zrezygnować albo ze schronu, albo ze sklepu. A jeśli zrezygnowałbym ze sklepu...

— To nie mielibyśmy niczego.

Ojciec złapał go za ramię.

— To wtedy musielibyśmy zrezygnować także i ze schronu. — Cienkie, długie palce wpiły się spazmatycznie w ciało chłopca. — Jesteś już duży... wystarczająco duży, by zrozumieć. Później kupimy schron, może nie największy, nie najdroższy, ale zawsze jakiś. To był błąd, Mike. Nie mogłem sobie na niego pozwolić, na dodatkę z tymi nasadkami. Ale płacę na NATS-y. I za twoją szkolną naszywkę. Nie rezygnuję. To nie jest kwestia zasad — kończył z desperacją. — Nic na to nie poradzę. Rozumiesz mnie, Mike? Musiałem to zrobić.

Mike wyrwał się.

— Dokąd idziesz? — Ojciec popędził za nim. — Wracaj tu! — Szukał syna po omacku, ale w mroku potykał się aż upadł. Gwiazdy oślepiły go, gdy uderzył głową o kant domu. Z bólem pozbierał się i szukał jakiejś podpórki.

Kiedy odzyskał wzrok, na podwórku nikogo nie było. Jego syn zniknął.

— Mike! — krzyknął. — Gdzie jesteś?

Nikt mu nie odpowiedział. Nocny wiatr gromadził wokół niego tumany śniegu niemrawym podmuchem zimnego powietrza. Wiatr i ciemność — nic więcej.

Bill O'Neill ze znużeniem przyjrzał się zegarowi na ścianie. Była dziewiąta trzydzieści — mógł wreszcie zamknąć drzwi i cały wielki, olśniewający sklep. Przepychać się przez skłębiony tłum ludzi na zewnątrz i w drodze do domu.

— Dzięki Bogu — westchnął, przytrzymując drzwi dla ostatniej starszej damy, obładowanej pakunkami i prezentami. Wsunął na miejsce rygiel i spuścił rolety. — Ale tłum. W życiu nie widziałem tyle ludzi.

— Gotowe — oświadczył Al Conners zza kasy. — Przeliczę pieniądze, a ty obejdz i sprawdź wszystko. Upewnij się, że wszyscy wyszli.

O'Neill odgarnął blond włosy i rozluźnił krawat. Z ulgą zapalił papierosa i przeszedł się po sklepie, sprawdzając przełączniki światła, wyłączając oświetlenie wystawy GEC i urzędzenia. Wreszcie podszedł do ogromnego schronu przeciwbombowego, który stał na środku sali.

Wdrapał się po drabinie do szyjki i wszedł do windy. Dźwig ruszył z gwizdem w dół i w sekundę później wszedł już do przypominającego jaskinię wnętrza.

W kącie siedział mocno skulony Mike Foster, z kolanami podciągniętymi wysoko pod brodę i chudymi rękami obejmującymi kostki. Twarz miał opuszczoną; widać było tylko jego zmierzwiłone kasztanowe włosy. Nie poruszył się, gdy podszedł do niego zdumiony sprzedawca.

— Jezu! — wykrzyknął O'Neill. — To ten dzieciak.

Mike nic nie odpowiedział. Mocniej objął nogi i ukrył twarz tak głęboko, jak mógł.

— Co ty tu robisz, do diabła? — zapytał zaskoczony i rozzłoszczony O'Neill. Wpadał w coraz większą złość. — Myślałem, że twoi starzy kupili coś takiego. — Wtedy sobie przypomniał. — Racja. Musieliśmy go odebrać.

Z windy wyszedł Al Conners.

— Dlaczego tu tkwisz? Wynośmy się stąd i... — Zobaczył Mike'a i umilkł. — Co on tu robi? Wyciągnij go i chodźmy

— No chodź, mały — rzekł łagodnie O'Neill. — Czas do domu.

Mike się nie poruszył. Mężczyźni spojrzeli po sobie.

— Chyba będziemy musieli wyciągnąć go stąd siłą — stwierdził ponuro Conners.

Zdjął płaszcz i rzucił go na urządzenie do odkażania.

— Chodź. Skończmy z tym.

Musieli to zrobić we dwóch. Chłopiec opierał się rozpaczliwie, bezgłośnie: drapał, wił się, wyrwał, atakował paznokciami, kopał, kaleczył i gryzł, kiedy usiłowali go schwytać. Na wpół

zaciągnęli, na wpół zanieśli do windy i wpychali go do środka na tyle długo, by uaktywnił się mechanizm. O'Neill pojechał razem z nim, Connors wyjechał tuż za nimi. Z nietęgimi minami, ale skutecznie dotaszczyli chłopca do drzwi wejściowych, wyrzucili go i zaryglowali się.

— A niech mnie — westchnął Connors, siadając za ladą. Miał rozdarty rękaw, a po podrapanej twarzy ciekła krew. Okulary zwisały mu z jednego ucha; włosy miał zmierzwione i czuł się wyczerpany. — Czy sądzisz, że powinniśmy wezwać gliny?

O'Neill stał przy drzwiach, dyszał i wyglądał w ciemność.

— On ciągle tu jest — wymamrotał.

Ludzie popychali chłopca ze wszystkich stron. Wreszcie ktoś zatrzymał się i podniósł go. Chłopiec wyrwał się i zniknął w ciemności. Przechodzień podjął swoje pakunki, zawahał się, po czym ruszył dalej. O'Neill odwrócił się.

— Niech to wszyscy diabli. — Obtarł twarz chusteczką — Nieźle się stawiał.

— O co mu, u licha, chodziło? Nie odezwał się ani słowem.

— Boże Narodzenie to wredna pora, żeby coś odbierać — stwierdził O'Neill. Drżącymi rękami sięgnął po płaszcz. — Szkoda. Żałuję, że nie mogli tego zatrzymać.

Connors wzruszył ramionami.

— Nie wyłożysz kasy, nie dostaniesz.

— Do diabła, dlaczego nie możemy pójść im na rękę? Może... — O'Neill z trudem wydusił z siebie słowa. — Może takim ludziom można by sprzedawać schrony po cenie hurtowej?

Connors spojrział na niego ze złością.

— Po hurtowej? I wtedy każdy by tak chciał. To byłoby nie w porządku... i jak długo utrzymalibyśmy się w biznesie? Jak długo przetrwałoby w ten sposób GEC?

— Chyba nie bardzo — przyznał markotnie O'Neill.

— Rusz głową. — Connors roześmiał się ostro. — Przyda ci się mocny drink. Chodź do kantorka z tyłu... mam tam w szufladzie jedną piątą haig and haig. Coś, co cię rozgrzeje przed powrotem do domu. Tego ci właśnie potrzeba.

Mike Foster wałęsał się bez celu ciemną ulicą, pośród tłumu kupujących, którzy spieszyli do domów. Niczego przed sobą nie widział; ludzie pchali się na niego, ale on ich nie zauważał. Światła, śmiech ludzi, klaksony samochodów, dźwięczenie sygnalizacji. W głowie miał pustkę, próżnię i martwość. Szedł jak automat, bez świadomości lub uczuć.

Po prawej stronie jaskrawy neon mrugał i jarzył się w pogłębiającym się mroku. Ogromny, jasny i kolorowy neon:

POKÓJ NA ZIEMI DOBRA WOLA DLA LUDZI
SCHRON PUBLICZNY WSTĘP 50 CENTÓW

Przełożył Tomasz Oljasz

KOPIA OJCA

— Kolacja gotowa — oznajmiła pani Walton. — Idź po ojca i powiedz mu, żeby umył ręce. To samo dotyczy ciebie, młody człowieku. — Zniosła parujące naczynie żaroodporne na schludnie zastawiony stół. — Poszukaj go w garażu.

Charles zawahał się. Miał tylko osiem lat i dręczący go problem wyprowadziłby z równowagi nawet łagodnego mędrca.

— Ja... — zaczął niepewnie.

— Co się stało? — June Walton zauważyła ton niepokoju w głosie syna i jej macierzyńska pierś zafalowała od nagłego lęku. — Czy Teda nie ma w garażu? Na miłość boską, przed chwilą ostrzył sekator. Chyba nie poszedł do Andersonów, co? Mówiłam mu, że kolacja jest już prawie na stole.

— On jest w garażu — powiedział Charles. — Ale... rozmawia sam z sobą.

— Sam z sobą! — Pani Walton zdjęła jasny fartuch z tworzywa i powiesiła go na gałce na drzwiach. — Ted? Nie, on nigdy nie gada do siebie. Idź, powiedz mu, żeby tu przyszedł. — Nalała wrzącej czarnej kawy do błękitno — białych porcelanowych filiżanek i zaczęła nakładać kukurydzą w śmietanie. — Co z tobą? Idź, powiedz mu!

— Nie wiem, któremu z nich dwóch mam powiedzieć — wyrzucił z siebie z rozpaczą Charles. — Wyglądają identycznie.

June Walton wypuściła z rąk aluminiowy rondel; przez chwilę kukurydza była w niebezpieczeństwie.

— Młody człowieku... — zaczęła ze złością, ale w tym momencie Ted Walton wkroczył do kuchni, pociągając nosem i zacierając dłonie.

— Ach — zawołał radośnie. — Gulasz z jagnięciny!

— Z wołowiny — mruknęła June. — Ted, co ty tam robiłeś?

Ted opadł ciężko na swoje miejsce i rozłożył serwetkę.

— Naostrzyłem sekator jak brzytwę. Naoliwiłem i naostrzyłem. Lepiej go nie dotykać... może odciąć rękę. — Był to przystojny mężczyzna tuż po trzydziestce: grube blond włosy, silne, sprawne ręce, kwadratowa twarz i błyszczące brązowe oczy. — No, no. Ten gulasz wygląda pysznie. Ciężki dzień w biurze... wiadomo, piątek. Zbierasz papiery i musisz mieć wszystko rozliczone do piątej. Al McKinley twierdzi, że nasz dział mógłby wziąć jeszcze dwadzieścia procent papierów więcej, gdybyśmy zajęli się nimi w godzinach lunchu; trzeba je poukładać naprzemiennie, żeby cały czas ktoś tam był. — Skinął na Charlesa. — Siadaj i jemy.

Pani Walton podała mrożony groszek.

— Ted — powiedziała powoli, siadając na swoim miejscu — Czy coś ci chodzi po głowie?

— Po głowie? — Zmrużył oczy. — Nie, nic specjalnego. To samo co zwykle. Dlaczego pytasz?

June Walton z niepokojem spojrzała na syna. Charles siedział prosty jak drut z twarzą bez wyrazu, białą jak ściana. Nie poruszył się, nie rozłożył serwetki, ani nawet nie upił mleka. W powietrzu dało się wyczuć napięcie. Charles odsunął swoje krzesło od ojca; skulił się w sobie jak najdalej od niego. Poruszał ustami, ale matka nie potrafiła odgadnąć, co mówi.

— Co się dzieje? — zapytała, pochylając się ku niemu.

— Ten drugi — mruczał pod nosem Charles. — Ten drugi przyszedł.

— Co ty mówisz, dziecko? — zapytała głośno June Walton. — Jaki drugi?

Ted drgnął. Dziwny wyraz przemknął po jego twarzy i natychmiast zniknął, na chwilę jednak twarz Teda Walto — na stała się nieznajoma. Pojawiło się w niej coś obcego i zimnego, jakaś poskręcana,

wijająca się masa. Oczy zaszyły mgłą i zapadły się, jakby pokrył je archaiczny połysk. Nie było śladu zwykłego spojrzenia zmęczonego mężczyzny w średnim wieku.

Potem wróciło, albo tylko prawie wróciło. Ted uśmiechnął zaczął pałaszować gulasz, mrożony groszek i kukurydzę w śmietanie. Śmiał się, mieszał kawę, żartował i jadł. Ale coś — w straszliwy sposób — działo się nie tak.

— Ten drugi — mruknął Charles z pobladłą twarzą; ręce zaczęły mu drżeć. Nagle zerwał się i odskoczył od stołu. — Uciekaj! — zawołał. — Uciekaj stąd!

— Hej! — Ted ryknął złowrogo. — Co w ciebie wstąpiło? — Wskazał surowo na krzesło chłopca. — Siadaj tu i jedz kolację, młody człowieku. Matka nie na darmo ją gotowała.

Charles odwrócił się i wybiegł z kuchni, pobiegł do swojego pokoju na górę. June Walton dech zaparło z przerażenia. Serce jej załomotało.

— Co, u licha...

Ted jadł dalej. Twarz miał ponurą, oczy zacięte i pociemniałe.

— Ten dzieciak — rzekł złowrogo — będzie się musiał nauczyć kilku rzeczy. Może będę z nim musiał odbyć dzisiaj konferencję w cztery oczy.

Charles ukucnął i nasłuchiwał.

Kopia ojca szła po schodach, podchodziła coraz bliżej.

— Charles! — krzyczała ze złością. — Jesteś tam?

Nie odpowiedział. Bez szmeru wrócił do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Serce wyrywało mu się z piersi. Kopia ojca weszła na piętro; za chwilę wejdzie do pokoju.

Podbiegł do okna. Był przerażony, kopia już szukała po omacku klamki do jego drzwi. Otworzył okno i wyszedł na dach. Z chrząknięciem spadł do ogródka z kwiatami, które rosły przed frontowymi drzwiami. Potknął się, zabrakło mu tchu. Zerwał się na równe nogi i uciekł ze światła, które żółtą strugą padało przez okno w popołudniowym mroku.

Przed chłopcem wynurzył się garaż — czarny kwadrat na tle nieba. Oddychając szybko, poszukał w kieszeni latarki, Potem ostrożnie odsunął drzwi i wszedł do środka.

Garaż był pusty. Samochód stał przed nim. Po lewej znajdował się warsztat ojca. Młotki i piły wisiały na drewnianych ściankach. Z tyłu leżała kosiarka do trawy, grabie, łopata, motyka. Wszędzie poprzybijane były tablice rejestracyjne. Na środku brudnej, betonowej podłogi widać było wielką plamę ropy, kępy chwastów wytłuściły się i czerniał w świetle latarki.

Tuż za drzwiami stała wielka beczka na śmieci. Na wierzchu leżały stosy rozmokłych gazet i czasopism, stęchłych i wilgotnych. Gdy Charles je przesunął, poczuł odór gnicia — rozgniół je butami i szukał dalej.

To, co przed sobą zobaczył, przeraziło go. Upuścił latarkę i gwałtownie rzucił się do tyłu. Garaż natychmiast okrył mrok. Zmusił się, by uklęknąć, i przez nie kończącą się chwilę szukał po ciemku latarki, pomiędzy pajakami i wytłuszczonym zielskiem. Wreszcie ją znalazł. Z trudem nakierował światło na beczkę, w otwór, który wybił, miażdżąc gazety.

Kopia ojca wypchała tym beczkę po sam brzeg. Leżało pomiędzy starymi liśćmi i porwanymi kartonami, gnijącymi kawałkami gazet i zasłon, rupieciami ze strychu, które przyciągnęła tu matka z myślą, by kiedyś je spalić. Wciąż przypominało jego ojca — na tyle, że mógł go rozpoznać. Znalazł to... i ten widok przyprawił go o zwałające z nóg mdłości. Przytrzymał się beczki i zamknął oczy, aż w końcu mógł znowu na to spojrzeć. W beczce leżały zwłoki jego ojca, jego prawdziwego ojca. Kawałki, które do niczego nie przydały się jego kopii. Kawałki, które kopia odrzuciła.

Chwycił grabie i dźgnął nimi szczątki, by je poruszyć. Wyszły już. Skruszyły się i połamały, gdy ich dotknął. Wyglądały jak porzucona skóra węża, złuszczone i pokruszone, szeleszcząca w dotyku.

Pusta skóra. Wnętrznosci zniknęły. To, co ważne. Tylko to pozostało: krucha, łamliwa skóra, wciśnięta w stertę na dnie beczki. Tylko to pozostawiła kopia ojca, resztę zjadła. Zabrała wnętrznosci — i miejsce jego ojca.

Dźwięk.

Rzucił grabie i pobiegł do drzwi. Kopia ojca szła ścieżką w stronę garażu. Jej stopy chrzęściły; niepewnie badały drogę przed sobą.

— Charles! — zawołała ze złością. — Jesteś tam? Poczekaj, aż cię dorwę, młody człowieku!

Obfita, zdenerwowana postać matki zarysowała się na tle drzwi domu.

— Ted, proszę, nie zrób mu krzywdy. Jest czymś bardzo rozstrojony.

— Nic mu nie zrobię — zachrypiała kopia ojca. Zatrzymała się by zapalić zapalniczkę. — Chcę tylko porozmawiać z nim trochę. Musi się nauczyć manier. Odejść tak od stołu i uciec nocą, złazić z dachu...

Charles wymknął się z garażu; jego postać ukazała się blasku zapalniczki, a kopia ojca z rykiem rzuciła się naprzód.

— Chodź tu!

Charles uciekł. Teren znał lepiej niż kopia ojca; wiedziała dużo, bo dużo wzięła w siebie, kiedy zabrała wnętrznosci jego ojca ale nikt nie znał tych miejsc tak jak on. Dobiegł do płotu, wdrapał się na niego i zeskoczył na podwórze Andersonów, przebiegł pod ich sznurem do bielizny, dalej ścieżką wokół domu i wypadł na Maple Street.

Ukucnął, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Kopia ojca nie ścigała go. Wróciła. Albo szła tu chodnikiem.

Wziął głęboki wdech, aż się wzdrygnął. Musiał biec dalej. Wcześniej czy później kopia go znajdzie. Rozejrzał się w prawo i w lewo, upewniając się, że go nie obserwuje, po czym ruszył dalej, ostrożnie jak pies.

— Czego chcesz? — zapytał wojowniczo Tony Peretti. Tony miał czternaście lat. Siedział przy stole w wyłożonej dębowymi panelami jadalni Perettich, wokoło niego walały się książki i ołówki, pół kanapki z szynką i masłem orzechowym oraz puszka coli. — Ty jesteś Walton, prawda?

Po szkole Tony Peretti pracował przy rozbiórcie pieców i lodówek w sklepie z artykułami gospodarczymi Johnsona w centrum miasta. Był duży i miał tępy wyraz twarzy, czarne włosy, oliwkową skórę i białe zęby. Kilka razy stłukł Charlesa. Bił wszystkie dzieci w sąsiedztwie.

Charles poruszył się nerwowo.

— Słuchaj, Peretti. Zrobisz mi przysługę?

— Czego chcesz? — Peretti się rozzłościł. — Szukasz guza?

Charles opuścił wzrok, zacisnął pięści i pokrótce wyjaśnił, co się wydarzyło, mamrocząc niewyraźnie.

Kiedy skończył, Peretti gwizdnął cicho.

— Bez jaj.

— To prawda. — Pospiesznie pokiwał głową. — Pokażę ci. Chodź, to ci pokażę.

Peretti podniósł się z wolna.

— Tak, pokaż mi. Chcę to zobaczyć.

Przyniósł ze swojego pokoju wiatrówkę i obaj wyszli po cichu na ciemną ulicę, kierując się w stronę domu Charlesa. Niewiele mówili. Peretti szedł głęboko zamyślony, z poważnym i uroczystym wyrazem twarzy. Charles wciąż był oszołomiony: w głowie miał kompletną pustkę.

Skřęcili w podjazd do domu Andersonów, przecięli podwórze na tyłach, wspięli się na płot i zeskoczyli ostrożnie na podwórze Charlesa. Za domem nic się nie ruszało. Panowała cisza. Frontowe drzwi były zamknięte.

Zajrzeli przez okno do salonu. Zaciągnięto żaluzje, ale przeciskało się przez nie wąskie żółte światło. Na kanapie siedziała pani Walton i cerowała bawełnianą koszulkę. Na jej szerokiej twarzy malował się wyraz smutku i niepokoju. Szyła apatycznie, bez zainteresowania. Naprzeciwko niej siedziała kopia ojca. Rozparła się w fotelu ojca, zdjęła buty i czytała popołudniową gazetę. Telewizor był włączony, grał sobie w rogu pokoju. Na oparciu fotela stała puszcza piwa. Kopia siedziała dokładnie tak samo, jak to robił ojciec; wiele się nauczyła.

— Wygląda zupełnie jak on — szepnął podejrzliwie Peretti. — Jesteś pewien, że mnie nie nabierasz?

Charles zaprowadził go do garażu i pokazał mu beczkę. Peretti włożył tam swoje długie, opalone ręce i ostrożnie wyjął suche, złuszczone szczątki. Rozsypywały się, rozkładały, aż zarysowała się cała postać ojca. Peretti poukładał fragmenty na podłodze i powtykał brakujące części. Zwłoki nie miały żadnej barwy. Prawie przezroczyste. Bursztynowożółte, cienkie jak papier. Suche i zupełnie martwe.

— To wszystko — rzekł Charles. Łzy napłynęły mu do oczu. — To wszystko, co z niego zostało. Kopia ma wnętrzości.

Peretti zbladł. Drżącymi rękami powkładał szczątki z powrotem do beczki.

— To dopiero coś — mruknął. — Mówisz, że widziałeś ich obu razem.

— Rozmawiali. Wyglądali identycznie. Wbiegłem do domu. — Charles otarł łzy i zachlipał, nie mógł się już powstrzymać. — Zjadła go, kiedy ja byłem w domu. Potem przyszła do nas. Udawała, że jest nim. Ale nie jest. Zabiła go i zjadła jego wnętrzości.

Przez chwilę Peretti nic nie mówił.

— Coś ci powiem — rzekł nagle. — Słyszałem o czymś takim. — Ciężka sprawa. Musisz dobrze kombinować i nie bać się. Nie boisz się, prawda?

— Nie — mruknął z trudem Charles.

— Najpierw musimy wymyślić, jak ją zabić. — Potrząsnął wiatrówką. — Nie wiem, czy to wystarczy. Musi być okropnie trudno dobrać się do twojego ojca. To był kawał chłopa. — Peretti zamyślił się. — Wynośmy się stąd. Ona może wrócić. Tak podobno robią mordercy.

Wyszli z garażu. Peretti ukucnął i znowu zerknął przez okno. Pani Walton stała. Mówiła coś z obawą. Docierały do nich fragmenty słów. Kopia ojca odrzuciła gazetę. Kłócili się.

— Na miłość boską! — krzyknęła kopia. — Nie rób takich głupot.

— Coś jest nie tak — jęknęła pani Walton. — Dzieje się coś niedobrego. Chcę tylko zadzwonić do szpitala i sprawdzić.

— Do nikogo nie dzwoń. Nic mu nie jest. Pewnie bawi się gdzieś na ulicy.

— Nigdy nie wychodzi tak późno. Nigdy nie jest nieposłuszny. Był strasznie zdenerwowany... bał się ciebie! Nie dziwię mu się... — urwała rozszalona. — Co się z tobą dzieje? Jesteś taki dziwny. — Wyszła na korytarz. — Zadzwonię do kogoś z sąsiadów.

Kopia ojca patrzyła na matkę, aż zniknęła. Wtedy stało się coś przerażającego. Charlesowi dech zaparło w piersiach; nawet Peretti chrząknął pod nosem.

— Słuchaj — powiedział Charles. — Co...

— Kurde. — Czarne oczy Perettiego zrobiły się okrągłe. Gdy tylko pani Walton zniknęła, kopia ojca zapadła się w swoim fotelu. Opadła bezwładnie. Głowa pochyliła się naprzód, jak u wyrzuconej szmacianej lalki.

Peretti odsunął się od okna.

— No tak — szepnął. — A więc w tym rzecz.

— O co tu chodzi? — zapytał Charles. Był przerażony i dezorientowany. — Wyglądało, jakby ktoś wyłączył jej zasilanie.

— No właśnie. — Peretti z wolna skinął głową, ponury i wstrząśnięty. — Coś steruje nią z zewnątrz.

Charles wpadł w popłoch.

— To znaczy coś nie z tego świata?

Peretti z obrzydzeniem potrząsnął głową.

— Spoza domu! Z podwórza. Wiesz, jak to znaleźć?

— Nie bardzo. — Charles wziął się w garść. — Ale znam kogoś, kto jest dobry w takich sprawach. — Z wysiłkiem przypomniał sobie nazwisko. — Bobby Daniels.

— Ten mały Murzynek? On jest w tym dobry?

— Najlepszy.

— Dobra — zgodził się Peretti. — Chodźmy po niego. Musimy to znaleźć. Coś, co zrobiło tę kopię i ją napędza...

— To niedaleko garażu — powiedział Peretti do niedużego czarnego chłopca o szczupłej twarzy, który przykucnął obok nich w ciemności. — Kiedy go dopadła, był w garażu, w środku. Rozejrzyj się naokoło. W pobliżu.

Obok garażu znajdował się nieduży kwietnik: wielka płatanina bambusów i gruz zajmowały przestrzeń pomiędzy tyłami domu a garażem. Wszedł księżyc; zimne, zamglone światło padło na wszystko na ziemi.

— Jeśli tego szybko nie znajdziemy — powiedział Daniels — będę musiał wrócić do domu. Muszę wcześniej wracać do domu.

Nie był starszy od Charlesa. Mógł mieć może dziewięć lat.

— Dobrze — zgodził się Peretti. — No, to zaczynajmy. Rozdzielili się i zaczęli uważnie badać teren. Daniels posuwał się niewiarygodnie prędko, jego ciało czołgało się zwinnie pomiędzy kwiatami, omijało kamienie. Chłopak zaglądał pod dom, oddzielał łodygi roślin, wprawnymi dłońmi badał liście i łodyżki, płataninę kompostu i chwastów. Nie pominął ani cala.

Peretti zatrzymał się po niedługim czasie.

— Stanę na straży. Może być niebezpiecznie. Kopia ojca może wyjść i próbować nas powstrzymać.

Stanął na schodku za domem z wiatrówką, a Charles i Bobby Daniels szukali dalej. Charles był powolniejszy. Zmęczył się już, było mu zimno, czuł odrętwienie. To, co się wydarzyło — kopia ojca i to, co się stało z jego ojcem, jego prawdziwym ojcem — wydawało się niemożliwością. Ale przerażenie ponagliło go do wysiłku; co będzie, jeśli to przytrafi się także matce albo jemu? Albo komukolwiek innemu? Może całemu światu.

— Znalazłem! — Daniels zawołał cienkim, wysokim głosem. — Chodźcie tu szybko!

Peretti uniósł broń i wstał ostrożnie. Charles rzucił się biegiem; nakierował migoczące żółte światło latarki na miejsce, w którym stał Daniels.

Chłopiec trzymał w ręku kawałek betonu. W wilgotnej, gnijącej glebie błysnęło coś metalicznego. Jakiś cienki stwór o wielu stawach i nie kończących się, powyginanych nóżkach wił się jak oszalały. Miał pancerzyk jak mrówka. Czerwonobrazowy robak nagle zniknął im z oczu. Rzędy odnóży wiły się i starały coś schwytać. Błyskawicznie przebiegł po ziemi. Groźnie wyglądający ogon dygotał z furją, gdy robak uciekał wykopanym przez siebie tunelem.

Peretti pobiegł do garażu i chwycił grabie. Przyszpilił nimi ogon robaka.

— Szybko! Strzelcie do niego z wiatrówki!

Daniels złapał broń i wycelował. Po pierwszym strzale ogon oderwał się od stwora, który zaczął się skręcać i wić jak oszalały; bezużyteczny ogon ciągnął się za nim, podobnie jak kilka połamanych odnóży. Był długi na stopę, jak wielki krocionóg. Rozpaczliwie próbował uciec swoim kanałem.

— Strzel jeszcze raz — polecił Peretti.

Daniels zaczął kręcić coś przy strzelbie. Robak pełznął i syczał. Rzuczał łbem na lewo i na prawo; wił się i kąsał powstrzymujące go grabie. Małe, złe oczka patrzyły z nienawiścią. Przez chwilę na próżno atakował grabie. Potem nagle, bez ostrzeżenia, natarł tak konwulsyjnie, że wszyscy odsunęli się ze strachu.

Coś zahuczało w głowie Charlesa. Usłyszał głośnie buczenie, metaliczne i ostre, jakby milion metalowych drutów tańczyło i wibrowało jednocześnie, z taką siłą, że aż go odrzuciło. Od tego ogłuszającego łoskotu ogłuchł i poczuł się dezorientowany. Z trudem podniósł się na nogi i cofnął — inni poszli jego śladem, pobladli i wstrząśnięci.

— Jeśli nie możemy tego zastrzelić — wyrzucił z siebie Peretti — to możemy to utopić. Albo spalić. Albo wbić mu kołek w łeb. — Z trudem utrzymywał grabie, by robak nie uciekł

— Mam słoik z formaldehydem — powiedział Daniels Nerwowo przebierał palcami po karabinie. — Jak to działa? Ja chyba nie...

Charles odebrał mu strzelbę.

— Ja to zabiję — przykucnął, przyłożył celownik do oka i dotknął spustu.

Robak wciąż wił się i walczył. Jego pole siłowe zahuczało w uszach chłopca, ale nie puścił broni. Palec zaciskał się..

— Dobrze już, Charles — odezwała się kopia ojca.

Chwyciły go potężne palce, które sparaliżowały jego nadgarstki. Broń upadła na ziemię, a chłopiec na próżno próbował się wyrwać. Kopia odepchnęła Perettiego. Chłopiec uskoczył i uwolniony robak z triumfem umknął kanałem.

— Czeka cię lanie, Charles — głądziła kopia ojca. — Co w ciebie wstąpiło? Twoja biedna matka ze zmartwienia odchodzi od zmysłów.

Była tutaj, ukrywała się w cieniu. Przykucnęła tu i obserwowała ich. Spokojnym, pozbawionym emocji głosem, przerażającą parodią głosu ojca Charlesa mówiła mu wprost do ucha, nieustępliwie ciągnąc go do garażu. Jej zimny oddech trafiał wprost w twarz Charlesa, miał lodowo — słodki odór, jak gnijąca gleba. Kopia była niewiarygodnie silna, chłopiec nic nie mógł zrobić.

— Nie siłuj się ze mną — powiedziała spokojnie kopia ojca. — Chodź do garażu. To dla twojego dobra. Ja wiem najlepiej, Charles.

— Znalazłeś go? — zawołała z niepokojem matka, otwierając drzwi z tyłu domu.

— Tak, znalazłem.

— Co chcesz zrobić?

— Dać mu parę klapsów. — Kopia ojca pchnięciem otworzyła drzwi do garażu. — Do środka. — W słabym świetle po jej niewzruszonych, pozbawionych jakiegokolwiek wyrazu ustach przemknął uśmiech. — Wracaj do pokoju, June. Ja się tym zajmę. To bardziej należy do mnie. Ty nigdy nie lubiłaś go karać.

Drzwi do domu zamknęły się niechętnie. Gdy światło zniknęło, Peretti schylił się i zaczął szukać wiatrówki. Kopia ojca natychmiast zamarła.

— Do domu, chłopcy — zachrypiała.

Peretti stał niezdecydowany i trzymał w ręku strzelbę.

— No, dalej — powtórzyła kopia. — Odłóż tę zabawkę i już cię tu nie ma. — Ruszył powoli do Perettiego, trzymając Charlesa jedną ręką i wyciągając drugą do jego kolegi. — W mieście nie wolno używać wiatrówek, chłopcze. Czy twój ojciec wie, że to masz? Władze miasta wydały zarządzenie. Lepiej mi to oddaj, zanim...

Peretti strzelił jej w oko.

Kopia ojca ryknęła i chwyciła się za strzaskane oko. Nagle rzuciła się na Perettiego. Ten ruszył podjazdem, usiłując zarepetować broń. Kopia rzuciła się na niego. Jej potężne palce wyrwały chłopcu karabin z rąk. Bez słowa rozbiła wiatrówkę o ścianę domu.

Charles wyrwał się i uciekł na oślep. Gdzie mógłby się ukryć? Kopia była pomiędzy nim a domem. Już wracała po niego, czarny kształt skradał się ostrożnie, wypatrywał go w ciemności. Wycofał się. Gdyby tylko miał się gdzie schować...

Bambus.

Szybko wczołgał się pomiędzy bambusy. Wielkie, stare łodygi zamknęły się nad chłopcem z cichym chrzęstem. Kopia ojca szukała czegoś w kieszeni; zapaliła zapalniczkę, potem cały ich pęk.

— Charles — powiedziała. — Wiem, że gdzieś tu jesteś. Nie ma sensu się chować. Tylko wszystko utrudniasz.

Serce biło mu jak młotem. Ukucnął pomiędzy bambusami. Gniły tu śmieci i brudy. Chwasty, śmieci, papiery, pudła, stare ubrania, deski, puszki, butelki. Wokół niego buszowały Pajaki i salamandry. Bambusy chwiały się na wieczornym wietrze. Owady i brud. I coś jeszcze.

Niemy, nieruchomy kształt, który rósł z kupy śmieci jak jakiś nocny grzyb. Biały korzeń, papkowata, wilgotna masa, która połyskiwała w świetle księżyca. Okrywała ją pajęczyna, spowijała stęchłym kokonem. Miało to niewyraźnie wyodrębnione ręce i nogi. Część trochę przypominała głowę. Na razie nie pojawiły się jeszcze rysy twarzy. Ale chłopiec wiedział, co to jest.

Kopia matki. Rosła tu w brudzie i wilgoci, pomiędzy garażem a domem. Za wysokimi bambusami.

Była już prawie gotowa. Jeszcze kilka dni i osiągnie dojrzałość. Wciąż była larwą, białą, miękką, papkowatą. Ale słońce osuszy ją i ogrzeje. Utwardzi jej skorupę. Wtedy ściemnieje i stwardnieje. Wykluje się z kokonu, a kiedy któregoś dnia matka podejdzie do garażu...

Za kopią matki leżały inne larwy, które robak niedawno złożył. Chłopiec widział, gdzie wykłuła się kopia ojca; gdzie rosła, dojrzewała. A w garażu spotkał ją jego ojciec.

Odrętwiały Charles zaczął się wycofywać, minął gnijące deski, brud i zgniliznę, papkowane larwy w kształcie grzybów. Z trudem chwycił płot... i osunął się z powrotem.

Jeszcze jedna. Kolejna larwa. Z początku jej nie zauważył. Nie była biała. Pociemniała już. Nie miała już pajęczyny, papkowanej mazi, wilgoci. Była gotowa. Poruszyła się lekko, z trudem uniosła ręce.

Kopia Charlesa.

Bambusy rozchyliły się i kopia ojca mocno zacisnęła ręce na nadgarstkach chłopca.

— Nie ruszaj się stąd — poleciła. — To jest właśnie twoje miejsce. Stój tutaj. — Drugą ręką rozerwała resztki kokonu spowijającego kopię Charlesa. — Pomogę jej, jest jeszcze trochę słaba.

Opadł ostatni strzęp wilgotnej szarości i kopia Charlesa wydostała się na zewnątrz. Chwiała się niepewnie, gdy kopia ojca szykowała jej przejście do Charlesa.

— Tędy — mruknęła kopia. — Potrzymam go dla ciebie. Kiedy się najesz, będziesz silniejsza.

Usta kopii Charlesa otworzyły się i zamknęły. Chciwie wyciągnęła ręce do Charlesa. Chłopiec szamotał się jak oszalały, ale potężne dłonie kopii ojca nie puszczały.

— Przestań, młody człowieku — rozkazała. — Będzie ci o wiele łatwiej, jeśli...

Wrzasnęła i zwinęła się konwulsyjnie. Puściła Charlesa i zatoczyła się. Jej ciałem wstrząsały

gwałtowne dreszcze. Uderzyła w garaż, nie panując nad swoimi członkami. Przez jakiś czas turlała się i rzucała w agonii. Skomlała, jęczała, próbowała się odczołgać. Stopniowo uspokajała się. Kopia Charlesa opadła w postaci nieruchomego kopca. Leżała pomiędzy bambusami i gnijącymi śmieciami, z obwisłym ciałem i pustą twarzą.

Wreszcie kopia ojca przestała się poruszać. Słysząc było tylko cichy chrzęst bambusów na wietrze.

Charles podniósł się niezgrabnie. Stał na betonowym podjeździe. Zjawili się Peretti i Daniels; oczy mieli okrągłe i szli ostrożnie.

— Nie podchodź blisko — rozkazał ostro Daniels. — Jeszcze żyje. To chwilę potrwa.

— Co zrobiliście? — zapytał Charles.

Daniels z westchnieniem ulgi postawił na ziemi beczkę z naftą.

— Znalazłem to w garażu. My, Danielsowie, zawsze używaliśmy w Wirginii nafty na komary.

— Daniels zalał naftą tunel robaka — wyjaśnił wciąż przerażony Peretti. — To był jego pomysł.

Daniels ostrożnie kopnął powyginane ciało kopii ojca.

— Teraz już nie żyje. Umarł tak szybko jak robak.

— Inni chyba też umrą — dodał Peretti.

Odgiął bambusy, żeby obejrzeć rosnące w śmieciach larwy. Kopia Charlesa wcale się nie poruszyła, gdy Peretti dźgnął ją w pierś.

— Ta nie żyje.

— Lepiej się upewnijmy — powiedział ponuro Daniels. Podniósł ciężką beczkę nafty i pociągnął ją do bambusów. — Opuściła kilka zapalek na podjeździe. Przynieś je, Peretti.

Spojrzeni na siebie.

— Jasne — odpowiedział cicho Peretti.

— Lepiej włączmy wąż — poradził Charles. — Żeby się nie rozprzestrzeniło.

— Bierzmy się — rzucił ze zniecierpliwieniem Peretti.

Już zaczął się wycofywać. Charles ruszył za nim, by razem poszukać zapalek w ciemnościach rozpraszanych światłem księżyca.

Przełożył Tomasz Oljasz

WEZWANIE DO NAPRAWY

Warto wyjaśnić, co Courtland robił, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

W swoim szpanerskim mieszkaniu przy Leavenworth, gdzie Russian Hill opada ku płaskiej North Beach, a dalej do samej Zatoki San Francisco, David Courtland pochylał się nad plikiem rutynowych raportów, tygodniową porcją danych na temat testów Mount Diablo. Jako dyrektor naukowy w Pesco Paints, Courtland zajmował się porównywaniem wytrzymałości różnych materiałów produkowanych przez firmę. Impregnowane gonty piekły się i topiły w kalifornijskim upale od pięciuset sześćdziesięciu czterech dni. Czas było sprawdzić, który wypełniacz porów wytrzymał utlenianie, i dostosować produkcję do wyników.

Pochłonięty skomplikowanymi danymi analitycznymi, Courtland nie usłyszał pierwszego dzwonka. W rogu salonu jego bogenowski sprzęt hi-fi — wzmacniacz, gramofon i kolumny — grał symfonię Schumanna. Jego żona, Fay, zmywała w kuchni naczynia po kolacji. Dwoje dzieci, Bobby i Ralf, leżało już w swoim piętrowym łóżku i spało. Sięgając po fajkę, Courtland na chwilę odchylił się od biurka, powiódł ciężką dłonią po rzadziejających siwych włosach... i usłyszał dzwonek.

— Cholera — rzucił.

Zastanawiał się, ile razy odezwał się ten skromny dzwonek: podświadomość podpowiadała mu niejasno, że nie była to pierwsza próba zwrócenia jego uwagi. Stos papierów zawirował i odpłynął przed jego zmęczonymi oczami. Kto to, u diabła, może być? Jego zegarek wskazywał dopiero dziewiątą trzydzieści; szczerze mówiąc, nie mógł się jeszcze skarżyć.

— Chcesz, żebym otworzyła? — zawołała wesoło z kuchni Fay

— Ja to zrobię.

Ocieżale podniósł się na nogi, wsunął stopy w pantofle i powłókł się przez pokój, mijając kanapę, lampę, stojak gazetami, gramofon, biblioteczkę, aż do drzwi. Był przysadzistym technikiem w średnim wieku i nie lubił, gdy ktoś przeszkadzał mu w pracy.

Na korytarzu stał nie znany mu człowiek.

— Dobry wieczór panu — rzekł przybysz, uważnie przyglądając się swojemu notatnikowi. — Przepraszam, że pana niepokoję.

Courtland popatrzył kwaśno na młodego człowieka. To pewnie akwizytor. Chudy blondyn w białej koszuli z muszką, jednorzędowym niebieskim garniturze, w jednej dłoni trzymał notatnik z wpiętymi kartkami, a w drugiej pękata czarną walizkę. Koścista twarz wyrażała poważne skupienie. Wyczuwało się u niego wystudiowane zakłopotanie: zmarszczona brew, zaciśnięte usta, mięśnie policzków zaczęły drżeć z jawnego niepokoju. Podniósł głowę i zapytał:

— Czy to Leavenworth numer 1846? Mieszkanie 3A?

— Zgadza się — odpowiedział Courtland z cierpliwością należną tępemu zwierzęciu.

Grymas napięcia na twarzy młodzieńca zelżał trochę.

— Tak, proszę pana — powiedział pewnym siebie tenorem. Zaglądając przez ramię Courtlanda do mieszkania, dodał: — Przepraszam, że przeszkadzam wieczorem, kiedy pan pracuje, ale jak pan zapewne wie, przez ostatnie parę dni mamy pełne ręce roboty. Dlatego nie mogliśmy odpowiedzieć na wezwanie wcześniej.

— Wezwanie? — powtórzył Courtland.

Poczuł, że pod zapiętym kołnierzykiem jego szyja zaczyna czerwienieć. Na pewno Fay w coś go wplątała; w coś, czym według niej powinien się zająć, coś, dzięki czemu życie stanie się naprawdę wytworne.

— O czym pan, u diabła, mówi? — zapytał. — Proszę do rzeczy.

Młody człowiek oblał się rumieńcem, głośno przełknął ślinę, usiłował się uśmiechnąć, po czym wyrzucił z siebie chrapliwym głosem:

— Proszę pana, jestem z serwisu, który pan wezwał przyszedłem naprawić pana obrotnik.

Courtland żałował później, że nie użył żartobliwej riposty, która wtedy przyszła mu do głowy. „Może”, tak chciał wówczas powiedzieć, „nie chcę, żeby pan naprawiał mci obrotnik. Może mój obrotnik podoba mi się taki, jaki jest” Ale nie powiedział tego, tylko zamrugał, przymknął lekko drzwi i zapytał:

— Moje co?

— Tak, proszę pana — upierał się młodzieniec. — Oczywiście, dotarły do nas dane o instalacji pana obrotnika. Zazwyczaj przeprowadzamy automatyczną modyfikację, ale pańskie wezwanie przyszło wcześniej... dlatego przyszedłem tu z całym sprzętem. Co do pana konkretnej reklamacji...

— Z furją wertował plik spiętych kartek — ...No cóż, nie ma sensu tego szukać; sam pan może mi powiedzieć. Jak pan zapewne wie, nie należymy oficjalnie do firmy handlowej... prowadzimy coś, co nazywa się ubezpieczeniem, które uaktywnia się automatycznie, gdy dokonuje pan zakupu. Rzecz jasna, może pan to u nas odwołać — próbował zażartować bez przekonania. — Słyszałem, że w dziedzinie napraw jest kilka konkurencyjnych firm. — Surowe zasady wyparły humor. Prostując swoje chude kości, dodał: — Ale pozwoli pan, że przypomnę, iż zajmujemy się naprawianiem obrotników, odkąd pan R. J. Wright wprowadził pierwszy prototypowy model o napędzie atomowym.

Przez chwilę Courtland nie odpowiedział. Fantasmagoria przewinęła mu się przed oczami: przypadkowe myśli, niby — techniczne pojęcia, bezwartościowe zapisy. A więc obrotniki się psują, tak? Wielkie interesy... wysłać człowieka do naprawy tuż po zawarciu umowy. Taktyka monopolisty: zniszczyć konkurencję, zanim ta dostanie szansę. Najpewniej odpłata dla firmy — matki. Powiązanie rachunków.

Jednakże ani jedna myśl nie dotyczyła istoty sprawy — Gwałtownym wysiłkiem woli zmusił się do skupienia uwagi z powrotem na poważnym młodzieńcu, który nerwowo oczekiwał na korytarzu ze swoim czarnym ekwipunkiem i notatnikiem.

— Nie — rzekł z mocą Courtland. — Nie, pan ma zły adres.

— Naprawdę? — odpowiedział grzecznie młodzieniec drżącym głosem, na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji. — Zły adres? Dobry Boże, czyżby centrala znowu wszystko poplątała przez tego nowego...

— Lepiej niech pan jeszcze raz sprawdzi w papierach — poradził Courtland surowo, ciągnąc ku sobie drzwi — Czymkolwiek, u diabła, jest ten obrotnik, ja go nie mam i nie wzywałem pana.

Gdy zamykał drzwi, zobaczył na twarzy młodzieńca krańcowe przerażenie, wyraz obezwładniającego oszołomienia. Potem jasne deski zasłoniły mu widok, a Courtland z ociąganiem obrócił się z powrotem w stronę biurka.

Obrotnik. Czym, do diabła, jest obrotnik? Usiadł markotny i próbował podjąć pracę tam, gdzie od niej odszedł... ale bieg jego myśli był całkowicie zmieniony.

Nie istnieje coś takiego jak obrotnik. Był przecież w temacie, mówiąc fachowo. Czytał „U.S. News” i „Wall Street Journal”. Gdyby obrotnik istniał, słyszałby o nim... chyba że była to jakaś pierdołka do domu. Może to właśnie taki gadżet.

— Słuchaj! — zawołał, gdy jego żona na chwilę pojawiła się w kuchennych drzwiach ze ścierką i niebieskim talerzem w ręku. — O co tu chodzi? Czy wiesz coś o obrotnikach?

— Ja nie mam niczego takiego. — Fay potrzęsnęła głową.

— Nie zamawiałaś chromowo — plastikowego obrotnika na stały i zmienny prąd od Macy'ego?

— Na pewno nie.

Może to jakiś przedmiot dla dzieci. Może to najnowsze szaleństwo z liceum, współczesne bolo, karty albo stuk-puk-kto-tam? Ale dziewięcioletnie dzieci nie kupują rzeczy, do których musi przychodzić facet z serwisu z ciężką czarną torbą ze sprzętem — nie za kieszonkowe w wysokości pięćdziesięciu centów tygodniowo.

Ciekawość pokonała niechęć. Courtland musiał wiedzieć, tylko dla zasady, co to takiego obrotnik. Zerwał się, popędził 0 drzwi na korytarz i otworzył je szeroko.

Rzecz jasna, na korytarzu nikogo nie było. Młodzieniec odszedł. Czuł jeszcze lekki zapach jego wody kolońskiej i potu wydzielonego ze zdenerwowania; nic poza tym.

Nic poza tym — z wyjątkiem zwiniętego kawałka kartki, która oderwała się z jego notatnika. Courtland schylił się i podniósł ją. Była to kopia zlecenia z numerem identyfikacyjnym, nazwą firmy serwisowej, adresem zleceniodawcy

Leavenworth Street 1846, S.F. wezwanie odebrał: Ed Fuller, 21.20. 5–28. Obrotnik 30sl5H (deluxe). Propozycje: sprawdzenie reakcji bocznej i nerwowego brzegu wymiennego. Aaw3–6.

Wszystkie te cyfry i informacje nic dla Courtlanda nie znaczyły. Zamknął drzwi i znowu wrócił do biurka. Wyglądając zmięty papier, jeszcze raz przeczytał, co było tam — niewyraźnie — napisane, usiłując coś z tego zrozumieć. Nagłówek na papierze firmowym brzmiał:

ELECTRONIC SERVICE INDUSTRIES

Montgomery Street 455, San Francisco 14. Ri8 — 4456nj'

Rok zał. 1963 1J

A więc w tym rzecz. Skąpa informacja: rok założenia 1963. Drżącymi rękami Courtland odruchowo sięgnął po fajkę. No tak, to wyjaśniało, dlaczego nigdy nie słyszał o obrotnikach. Wyjaśniało, dlaczego go nie miał... i dlaczego, niezależnie od tego, do ilu drzwi w bloku facet z serwisu by zapukał, nie znalazłby nikogo, kto miałby obrotnik.

Obrotników jeszcze nie wynaleziono.

Courtland przez jakiś czas myślał usilnie i rozpaczliwie. Potem podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer domowy swojego podwładnego z laboratoriów Pesco.

— Nie obchodzi mnie — rzekł bez wstępów — co masz zamiar robić dziś wieczorem. Dam ci kilka poleceń i chcę, żebyś natychmiast je wykonał.

Usłyszał, jak po drugiej stronie Jack Hurley brał się ze złością w garść.

— Dzisiaj? Słuchaj, Dave, firma nie jest moją matką, mam też swoje osobiste życie. Czy mam pędzić...

— To nie ma nic wspólnego z Pesco. Potrzebuję magnetofonu i kamery z obiektywem na podczerwień. Chcę, żebyś sprowadził sądową stenotypistkę. Chcę jednego z elektryków z firmy, sam wybierz, ale niech to będzie najlepszy. Chcę jeszcze Andersona z działu inżynierskiego. Jeśli będzie niedostępny, sprowadź któregoś z naszych projektantów. I chcę kogoś spoza linii produkcyjnej:

Sprowadź jakiegoś starego mechanika, który zna swój fach. Który zna się na maszynach.

Hurley odrzekł z powątpiewaniem:

— No cóż, ty jesteś szefem, przynajmniej w dziale naukowym. Ale myślę, że powinniśmy uzyskać zgodę firmy. Nie masz nic przeciwko temu, żebym pominął ciebie i dostał pozwolenie od Pesbroke'a?

— Proszę bardzo. — Courtland szybko podjął decyzję. — Lepiej będzie, jak sam do niego zadzwonię. Chyba będzie musiał wiedzieć, co się dzieje.

— A co się dzieje? — zapytał z zaciekawieniem Hurley. — Nigdy nie mówiłeś takich rzeczy... Czy ktoś wypuścił samonakładającą się farbę?

Courtland odłożył słuchawkę, odczekał męczącą chwilę i zatelefonował do swojego przełożonego, właściciela Pesco Paint.

— Masz chwilkę? — zapytał ze ściśniętym gardłem, gdy żona Pesbroke'a obudziła siwowłosego staruszka z poobiedniej drzemki i przyprowadziła go do telefonu. — Wpakowałem się w jakąś większą sprawę; chcę o tym z tobą porozmawiać.

— Czy to ma coś wspólnego z farbą? — zapytał Pesbroke pół żartem, pół serio. — Jeśli nie...

Courtland przerwał mu. Mówiąc powoli, opisał szczegółowo swoje spotkanie z mechanikiem od obrotników. Gdy Courtland skończył, jego pracodawca milczał chwilę.

— No cóż — rzekł wreszcie Pesbroke. — Chyba mógłbym zastosować tu takie rutynowe postępowanie. Ale zaintrygowałeś mnie. Dobra, przekonałeś mnie. Ale — dodał cicho — jeśli to tylko taki wymyślny sposób marnowania czasu, każę ci zapłacić za korzystanie z moich ludzi i sprzętu.

— Czy przez marnowanie czasu masz na myśli sytuację, której nie osiągniesz z tego żadnych zysków?

— Nie — odpowiedział Pesbroke. — Mam na myśli sytuację, w której ty wiesz, że to nonsens, jeśli świadomi nabijasz mnie w butelkę. Jeśli mówisz poważnie, jeśli to naprawdę coś ważnego, kosztami obciążę firmę.

— Mówię poważnie — zapewnił go Courtland. — Jesteśmy obaj zbyt starzy, do cholery, żeby się bawić w kotka i myszkę.

— Tak — odrzekł na to Pesbroke. — Im jest się starszym tym łatwiej wpaść w niezłą kabałę. A ta wygląda na nielichą. — Courtland wyraźnie słyszał, jak jego szef podejmuje decyzję. — Zatelefonuję do Hurleya i dam mu zgodę. Możesz mieć, czego tylko potrzebujesz... pewnie zechcesz przycisnąć tego faceta, żeby powiedział, kim naprawdę jest.

— To właśnie chcę zrobić.

— Załóżmy, że się przyzna. Co wtedy?

— No cóż — rzekł ostrożnie Courtland. — Wtedy chciałbym się dowiedzieć, co to takiego obrotnik. Na początek. A potem może...

— Myślisz, że on wróci?

— To możliwe. Nie znajdzie właściwego adresu; wiem o tym. Nikt w tej okolicy nie wzywał nikogo do naprawy obrotnika.

— Dlaczego chcesz w ogóle wiedzieć, czym jest ten obrotnik? Dlaczego nie chcesz się dowiedzieć, w jaki sposób dotarł tu ze swoich czasów?

— Myślę, że on wie, co to jest obrotnik, i nie wie, jak się tu znalazł. Nawet nie wie, że tu jest.

Pesbroke zgodził się z nim.

— To brzmi rozsądnie. Wpuścisz mnie, jeśli przyjdę? Chętnie bym popatrzył.

— Jasne — odpowiedział Courtland, pocąc się; patrzył na zamknięte drzwi wejściowe. — Ale

będziesz musiał obserwować go z innego pokoju. Nie chcę w żaden sposób tego schrząnąć... może nigdy nie będziemy już mieli takiej szansy.

Tymczasowy zespół roboczy z ociąganiem stawiał się w komplecie w mieszkaniu. Wszyscy oczekiwali poleceń Courtlanda. Urażony Jack Hurley, w hawajskiej koszuli, luźnych spodniach i butach na gumowych podeszwach, poszedł śmiesznym krokiem do Courtlanda i pomachał mu przed oczami.

— No i jesteśmy; nie wiem, co powiedziałeś Pesbroke'owi ale naprawdę go w to wciągnąłeś. — Rozglądając się po pokoju, zapytał: — Czy mogę przyjąć, że objaśnisz nam teraz co nieco? Ci ludzie niewiele robią, jeśli nie będą wiedzieli, czego szukają.

W drzwiach do sypialni stanęli dwaj synowie Courtlanda oczami na wpół przymkniętymi od senności. Fay nerwowo odgoniła ich i zapędziła z powrotem do sypialni. W salonie mężczyźni i kobieta nie mogli znaleźć sobie miejsca, a na ich twarzach malowało się oburzenie, niespokojna ciekawość, znudzona obojętność. Anderson, inżynier projektant, grał osobę nieobecną i zblazowaną. MacDowell, zgarbiony, brzuchaty tokarz, spoglądał z proletariacką urazą na drogie meble, po czym pogrążył się w pełnej zmieszania apatii, kiedy popatrzył na swoje robocze buty i nasiąknięte smarem spodnie. Facet od dźwięku rozciągał kabel od mikrofonów do magnetofonu ustawionego w kuchni. Szczupła młoda kobieta, stenotypistka, rozsiadała się wygodnie w fotelu w kącie. Na kanapie Parkinson, elektryk z zespołu awaryjnego firmy, przeglądał „Fortune”.

— Gdzie kamera? — zapytał Courtland.

— W drodze — odrzekł Hurley. — Czy chcesz złapać kogoś, kto będzie próbował oszukiwać w pokera?

— Nie potrzebowałbym do tego inżyniera i elektryka — stwierdził sucho Courtland. Spięty, zaczął chodzić po pokoju — Pewnie wcale się nie pokaże; być może wrócił już do swojego czasu albo chodzi Bóg wie gdzie.

— Kto?! — krzyknął Hurley, puszczając kłęby szarego dymu z cygara z rosnącym zniecierpliwieniem. — O co tu chodzi?

Jakiś człowiek zapukał do moich drzwi — opowiedział Krótco Courtland. — Mówił o jakiejś maszynie, o sprzęcie, o którym nigdy nie słyszałem. Nazywał to obrotnikiem, budzie w pokoju wymienili nic nie mówiące spojrzenia.

— Zgadnijmy, co to takiego obrotnik — zaproponował Ponuro Courtland. — Anderson, ty zaczynaj. Co to może być?

Anderson uśmiechnął się.

— Haczyk do wędki, który ściga ryby.

Zaryzykował też Parkinson:

— Angielski samochód z jednym tylko kołem.

Pomrukując, odezwał się Hurley:

— Coś głupiego. Urządzenie do włamywania się.

— Nowy biustonosz z tworzywa sztucznego — podsunęła stenotypistka.

— Nie wiem — mruknął z urazą MacDowell. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— No właśnie. — Courtland znowu spojrzał na zegarek. Znajdował się na granicy hysterii: upłynęła godzina i mężczyzna z serwisu się nie pojawił. — Nie wiemy, nie możemy nawet zgadywać. Ale pewnego dnia, za dziewięć lat, facet o nazwisku Wright wynajdzie obrotnik i rozwinie się z tego wielki interes. Ludzie będą je produkować, inni będą przychodzić i je naprawiać.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Pesbroke z płaszczem przewieszonym przez rękę i w wygniecionym stetsonie wciśniętym na głowę.

— Czy pokazał się znowu? — Jego stare oczy bystro obiegly pokój. — Wyglądacie na przygotowanych.

— Ani śladu po nim — odpowiedział ponuro Courtland. — Do diabła... odesłałem go! Nic nie rozumiałem, aż zniknął. — Pokazał Pesbroke'owi zgniecioną kartkę.

— Rozumiem — stwierdził ten, zwracając papier. — I jeśli wróci, to nagrzasz wszystko, co powie, i sfotografujesz cały jego sprzęt. — Wskazał na Andersona i MacDowella. — A co z nimi? Na co ci potrzebni?

— Potrzebuję tu ludzi, którzy potrafią zadawać właściwe pytania — wyjaśnił Courtland. — Inaczej nie usłyszymy odpowiedzi. Ten człowiek, jeśli w ogóle się pokaże, zostanie tu tylko przez jakiś czas. Będziemy musieli się wtedy dowiedzieć. .. — urwał, gdy stanęła przed nim żona. — O co chodzi?

— Chłopcy chcą popatrzeć — odrzekła Fay. — Pozwolisz im? Obiecują, że nie będą hałasować. — Dodała trochę tęsknie: — Ja też bym popatrzyła.

— Patrzcie więc — odpowiedział chmurnie. — Może nie będzie czego oglądać.

Gdy Fay podawała kawę, Courtland wyjaśniał dalej:

— Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, czy ten facet nie kręci. Pierwszym pytaniem trzeba go wy badać. Chcę, żeby ci specjaliści się nim zajęli. Jeśli to oszust, oni najpewniej to odkryją.

— A jeśli nie jest oszustem? — zapytał Anderson z wyrazem zainteresowania na twarzy. — Jeśli nie jest, to według ciebie...

— Jeśli to nie oszust, to przybył tu z następnej dekady i chcę, żebyście go wypyтали, na ile tylko się da. Ale... — Courtland urwał. — Wątpię, byśmy poznali zbyt wiele spraw teoretycznych. Odniosłem wrażenie, że stoi bardzo nisko w hierarchii. Wszystko, co uda nam się wyciągnąć, to zapewne jedynie szczegóły jego pracy. Być może z tego będziemy musieli ułożyć cały obraz, wyciągnąć ogólne wnioski.

— Sądysz, że on może nam powiedzieć, w jaki sposób zarabia na życie — stwierdził przebiegle Pesbroke. — Ale nic poza tym.

— Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle się pokaże — odpowiedział Courtland.

Rozsiadł się na kanapie i zaczął stukać fajką o popielniczkę.

— Możemy jedynie czekać — dodał. — Niech każdy przemyśli to, o co chce zapytać. Spróbujcie wyobrazić sobie odpowiedzi, które pragnęlibyście usłyszeć od faceta z przyszłości, który nie wie, że przybył z przyszłości, który usiłuje naprawić jeszcze nie wynaleziony sprzęt.

— Boję się — oświadczyła stenotypistka z pobladłą twarzą i zaokrąglonymi oczami; filiżanka kawy drżała w jej ręce.

— A ja za chwilę będę miał tego dosyć — mruknął Hurley, który z rezygnacją utkwiał wzrok w podłódze. — To wszystko tylko czcza gadanina.

Właśnie wtedy młodzieniec od obrotników wrócił i znowu nieśmiało zapukał do drzwi wejściowych. Młody mechanik był podenerwowany. I zaczynał się niepokoić.

Przepraszam pana — zaczął bez wstępu. — Widzę, że ma pan towarzystwo, ale sprawdziłem swoje zlecenie i to jest z całą pewnością właściwy adres — dodał z żalem. — Pytałem w kilku innych mieszkaniach. Nikt nie wiedział, o czym mówię.

— Proszę wejść — zdołał wykrztusić Courtland. Odsunął się na bok, stanął pomiędzy nim a drzwiami czym zaprowadził go do salonu.

— Czy to ta osoba? — zapytał z powątpiewaniem Pesbroke, a jego szare oczy się zwężyły. Courtland zignorował go.

— Proszę usiąść — zwrócił się do gościa.

Kątem oka zauważył, że Anderson, Hurley i MacDowell przysunęli się; Parkinson odłożył „Fortune” i zerwał się na nogi. Z kuchni słychać było dźwięk taśmy przesuwającej się przy głowicy magnetofonu... w pokoju zaczął się ruch.

— Może przyjdę innym razem — zaproponował mężczyzna, widząc, jak krąg ludzi zaczyna się zacieśniać. — Nie chcę panu przeszkadzać, skoro ma pan gości.

Siedzący z ponurą miną Courtland odpowiedział:

— To równie odpowiednia pora jak każda inna. Właściwie to nawet najlepsza pora. — Poczul ogromną ulgę: teraz nadeszła jego szansa. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło — dodał pospiesznie. — Coś mi się pomyliło. Oczywiście, że mam obrotnik; stoi w jadalni.

Twarz mechanika drgnęła, gdy przeciął ją spazm śmiechu.

— Doprawdy — dławił się. — W jadalni? To chyba najlepszy dowcip, jaki słyszałem od tygodni.

Courtland spojrział na Pesbroke’a. Co w tym, do licha, takiego śmiesznego? Dostał gęziej skórki; zimny pot wystąpił mu na czoło i dłonie. Czym, u diabła, był ten obrotnik? Może lepiej będzie, jak od razu się tego dowiedzą... albo wcale. Może pakowali się w coś gorszego, niż się mogli spodziewać.

— Wszystko mi się pomieszało — mówił dalej mechanik — bo używał pan takiego dziwnego nazewnictwa. Ja nie uważam tego za obrotnik — skończył ostrożnie. — Wiem, że to powszechnie używany żargon, ale skoro w grę wchodzi tak poważne pieniądze, to wolę używać jego prawowitej nazwy.

Mężczyzna wyglądał na kompletnie zbitego z tropu. Courtland zrozumiał, że popełnił kolejny błąd; najwyraźniej obrotnik był właściwą nazwą.

Odezwał się Pesbroke:

— Jak długo zajmuje się pan naprawianiem obrotników... — Zaczekał, ale nie usłyszał odpowiedzi od szczupłego mężczyzny o bladej twarzy. — Jak się pan nazywa, młodzieńcze? — zapytał.

— Jak co? — Mechanik cofnął się gwałtownie. — Nie rozumiem pana.

Dobry Boże, pomyślał Courtland. Zanosilo się na znacznie trudniejszą sprawę, niż przypuszczali.

Pesbroke wyjaśnił ze złością:

— Musi pan mieć jakieś nazwisko. Każdy ma nazwisko.

Młody mężczyzna przełknął ślinę, poczerwieniał i opuścił wzrok na dywan.

— Wciąż jestem w czwartej grupie napraw, proszę pana.

Dlatego nie mam jeszcze nazwiska.

— Dajmy temu spokój — wtrącił Courtland. Co za społeczeństwo przyznawało nazwiska jako oznakę statusu społecznego? — Chcę się upewnić, że jest pan dobrym fachowcem — wyjaśnił. — Od jak dawna naprawia pan obrotniki?

— Od sześciu lat i trzech miesięcy — wyznał indagowany. Duma zastąpiła zakłopotanie. — W gimnazjum miałem same piątki z testów zdolności do obsługi obrotników. — Wypiął chudą pierś. — Jestem urodzonym mechanikiem od obrotników.

— Dobrze — zgodził się niepewnie Courtland.

Nie mógł uwierzyć, że to cały duży przemysł. Robili testy w gimnazjum? Czy obsługę obrotników uznawano za podstawową umiejętność, jak rozróżnianie symboli i zdolności manualne? Czy praca z obrotnikami stała się czymś tak zasadniczym jak talent muzyczny albo zdolność postrzegania związków przestrzennych?

— No więc — rzekł energicznie mechanik, podnosząc swoją pękatą torbę. — Jestem gotów. Niedługo muszę wracać do warsztatu... mam dużo innych zleceń.

Pesbroke stanął na wprost młodzieńca.

— Co to jest obrotnik? — zapytał bez ogródek. — Zmęczyły mnie te cholerne podchody. Mówisz, że się tymi rzeczami zajmujesz, więc czym one są? To dosyć proste Pytanie, czymś muszą być.

— No tak — odpowiedział z wahaniem mechanik. — To znaczy, trudno powiedzieć. Przypuśćmy... no, przypuśćmy, że zapyta mnie pan, co to jest kot albo pies. Jak mam na to odpowiedzieć?

— To do niczego nie doprowadzi — odezwał się Anderson. — Obrotniki się produkuje, prawda? A więc musi pan mieć jego schemat. Proszę go pokazać.

Młodzieniec chwycił swoją torbę, jakby się broniąc.

— O co, u licha, panu chodzi? Jeśli to jest według pana żart... — Odwrócił się z powrotem do Courtlanda. — Chciałbym zabrać się do pracy; naprawdę nie mam zbyt wiele czasu.

MacDowell stał w kącie z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie; teraz odezwał się, cedząc słowa:

— Zastanawiałem się nad zakupem obrotnika. Żona myśli, że powinniśmy go mieć.

— Och, z całą pewnością — zgodził się mechanik. Kolory wróciły mu na policzki, gdy dodał pospiesznie: — Dziwię się, że jeszcze nie ma pan obrotnika. Szczerze mówiąc, nie wiem, co się z wami dzieje. Zachowujecie się... dziwnie. Skąd pochodzicie, jeśli mogę zapytać? Dlaczego jesteście tacy... no, niedoinformowani?

— Ci ludzie — wyjaśnił Courtland — pochodzą z takiej części kraju, gdzie nie ma obrotników.

Twarz mechanika natychmiast stężała od podejrzliwości.

— Tak? — rzekł ostro. — Ciekawe. A jaka to część kraju?

Courtland zrozumiał, że znowu powiedział coś niewłaściwego. Kiedy rozpaczliwie szukał odpowiedzi, MacDowell odchrząknął i wytrwale ciągnął dalej:

— W każdym razie — powiedział — postanowiliśmy go kupić. Czy ma pan ze sobą jakieś foldery? Zdjęcia różnych modeli?

— Obawiam się, że nie, proszę pana — odpowiedział mechanik. — Ale jeśli da mi pan swój adres, to dział sprzedaży wyśle panu informacje. A jeśli pan zechce, wykwalifikowany przedstawiciel odwiedzi pana, kiedy będzie panu odpowiadało, i opíše zalety obrotnika.

— Pierwszy obrotnik powstał w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku? — zapytał Hurley.

— Zgadza się. — Podejrzliwość mechanika została natychmiast uspiona. — W samą porę. Powiem tak: gdyby Wright natychmiast nie uruchomił swojego pierwszego modelu, nie ostałby się ani jeden żywy człowiek. Wy, którzy nie macie obrotników, może nie wiecie o tym, a w każdym razie zachowujecie się, jak byście nie wiedzieli, ale żyjecie w tej chwili właśnie dzięki staremu panu Wrightowi. To na obrotnikach opiera się świat.

Mechanik otworzył swoją czarną torbę i szybko wyjął z niej skomplikowane urządzenie składające się z rurek i drutów. Nalał do beczułki czystej cieczy, zamknął ją, spróbował przepchnąć, po czym wyprostował się.

— Zacznę od porcji dx, zwykle dzięki temu znowu działają.

— Co to jest dx? — zapytał szybko Anderson.

Zdziwiony pytaniem mechanik odpowiedział: — To wysokobiałkowy koncentrat spożywczy. Stwierdziliśmy, że dziewięćdziesiąt procent zgłoszeń podczas początkowej fazy użytkowania jest związane z niewłaściwą dietą. Ludzie po prostu nie wiedzą, jak opiekować się swoim nowym obrotnikiem.

— Mój Boże — rzekł słabym głosem Anderson. — To żyje.

Bieg myśli Courtlanda napotkał ścianę. Mylił się; właściwie to nie mechanik stał tu przed nimi ze

swoim sprzętem. Ten człowiek przyszedł przywrócić obrotnik do użytku, zgadza się, ale jego kompetencje były trochę inne, niż Courtland przypuszczał. To nie był mechanik, a weterynarz.

Rozkładając przybory i miarki, młodzieniec wyjaśniał:

— Nowe obrotniki są znacznie bardziej złożone niż wczesne modele; wszystko to jest mi potrzebne, bym mógł zacząć. Ale wińcie za to wojnę.

— Wojnę? — powtórzyła z przestrachem Fay Courtland.

— Nie początkową wojnę. Tę wielką, z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Ta mała wojna z sześćdziesiątego pierwszego właściwie nic nie znaczyła. Chyba wiecie, że Wright początkowo był wojskowym inżynierem, stacjonował w... no, to się chyba nazywało Europa. Ten pomysł przyszedł mu do głowy chyba w związku z uchodźcami, którzy tłumnie przekraczali granicę. Tak, na pewno tak właśnie było. Podczas tej małej wojny w sześćdziesiątym pierwszym roku przyszły ich miliony. I szli też w drugą stronę. Mój Boże, ludzie przemieszczali się pomiędzy dwoma obozami — to odrażające.

— Ja nie pamiętam tego z historii — rzekł ze ściśniętym gardłem Courtland. — Nigdy nie byłem zbyt pilny w szkole wojna w sześćdziesiątym pierwszym roku pomiędzy Rosją i Ameryką?

— Och — odparł młodzieniec. — Między wszystkimi Rzecz jasna Rosja stała na czele wschodniego bloku. A Ameryka — zachodniego. Ale wszyscy wzięli w niej udział. Tylko że to była mała wojna; ta się nie liczyła.

— Mała? — powtórzyła przerażona Fay.

— No tak — przyznał mechanik. — Być może wtedy wyglądała na coś wielkiego. Ale w końcu po niej wciąż jeszcze stały budynki. I trwała tylko kilka miesięcy.

— Kto... wygrał? — zachrypiał Anderson. Mechanik zachichotał.

— Wygrał? Co za dziwne pytanie. No cóż, więcej ludzi ocalało we wschodnim bloku, jeśli o to panu chodzi. W każdym razie wojna w sześćdziesiątym pierwszym roku — jestem przekonany, że wasi nauczyciele historii o tym mówili — jest ważna o tyle, że spowodowała pojawienie się obrotników. Pomysł ten podsunęli R. J. Wrightowi uciekinierzy z obozów podczas wojny. Tak więc w siedemdziesiątym piątym roku, kiedy rozpoczęła się prawdziwa wojna, mieliśmy już mnóstwo obrotników — dodał w zamyśleniu. — Powiedziałbym nawet, że ta prawdziwa wojna wybuchła z powodu obrotników. Znaczy, chodzi mi o ostatnią wojnę. To była wojna pomiędzy ludźmi, którzy chcieli obrotników, a tymi, którzy ich nie chcieli — zakończył zadowolony z siebie. — Nie muszę chyba dodawać, że to my zwyciężyliśmy.

Minęło trochę czasu, nim Courtland zdołał wydusić z siebie pytanie:

— A co stało się z tamtymi? Z tymi... którzy nie chcieli obrotników?

— No cóż — odpowiedział łagodnie mechanik. — Obrotniki ich dopadły.

Courtland drżącymi rękami zapalił fajkę.

— Nie wiedziałem o tym.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał ochrypłym głosem Pesbroke. — Jak ich dopadły? Co im zrobiły?

Mężczyzna ze zdziwieniem potrząsnął głową.

— Nie wiedziałem, że w kręgach laików panuje taka ignorancja. — Rola mędrca najwyraźniej mu odpowiadała; Wypinając chudą pierś, przedstawił grupce uważnie wpatrzonych ludzi wykład na temat podstaw historii. — Rzecz jasna pierwszy model Wrighta o napędzie atomowym był prymitywny. Ale zdawał egzamin. Początkowo selekcjonował uciekinierów z obozów w dwie grupy: tych, którzy naprawdę widzieli światło, i tych, którzy byli nieszczerzy. Tych, którzy mieli zamiar wrócić... i tych, którzy tak naprawdę nie byli lojalni. Władze chciały wiedzieć, którzy uciekinierzy

naprawdę przeszli na stronę Zachodu, a którzy byli szpiegami i tajnymi agentami. Takie było początkowe przeznaczenie obrotników. Ale nie da się tego porównać ze stanem obecnym.

— Nie — zgodził się całkiem sparaliżowany Courtland. — Absolutnie nie.

— Obecnie — gładko ciągnął mechanik — nie zajmujemy się takimi prostactwami. To absurd, żeby czekać, aż dana jednostka przyjmie przeciwną ideologię, a potem mieć nadzieję, że się od niej odwróci. W jakimś sensie to ironia losu, nie sądzicie? Po wojnie sześćdziesiątego pierwszego roku istniała tylko jedna przeciwna ideologia: ci, którzy sprzeciwiali się obrotnikom. — Roześmiał się radośnie. — Tak więc obrotniki rozróżniały tych, którzy nie chcieli być rozróżniani przez obrotniki. No, to dopiero była wojna. Bo ona nie była taka niechlujna, z bombami i galaretową benzyną. To była wojna naukowa, a nie rozbijanie w pył wszystkiego co popadnie. Po prostu obrotniki wchodziły do piwnic, ruin i kryjówek i wyszukiwały tych kontrastów jednego po drugim. Aż wyłowiliśmy ich wszystkich. Teraz więc — zakończył, zbierając sprzęt — nie musimy przejmować się wojnami ani niczym takim. Nie będzie już konfliktów, ponieważ nie mamy żadnych przeciwnych ideologii. Wright pokazał nam, że nie jest ważne, jaką mamy ideologię; nieważne, czy to komunizm, wolny rynek, socjalizm, faszyzm czy niewolnictwo — Ważne jest tylko, by każdy z nas całkowicie się z nią Sadzał; żebyśmy wszyscy byli absolutnie lojalni. I dopóki mamy obrotniki... — Mrugnął porozumiewawczo do Courtland. — No cóż, jako nowy posiadacz obrotnika poznał pan już jego zalety. Zna pan poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia z powodu tego, że jest się pewnym, iż pana ideologia jest całkowicie zgodna z tą, którą reprezentują wszyscy na świecie. Ze nie ma możliwości, żadnego prawdopodobieństwa iż pan zbłądzi... i że jakiś bezpański obrotnik pożywi się panem.

MacDowell ocknął się pierwszy.

— Tak — rzekł z ironią. — Wygląda na to, że dokładnie tego potrzebujemy, moja żona i ja.

— Och, powinien pan mieć własny obrotnik — nalegał mechanik. — Proszę się zastanowić: jeśli będzie pan miał swój obrotnik, będzie się on modyfikował automatycznie. Zadba, by nie zboczył pan z właściwej drogi, bez wysiłku i zamieszania. Zawsze będzie pan wiedział, że nie postępuje źle, proszę pamiętać o hasle obrotników: Po co być w połowie lojalnym? Osobisty obrotnik sprawi, że pańskie poglądy zostaną poprawione przez bezbolesne stopniowanie... jeśli jednak będzie pan czekał i tylko miał nadzieję, że jest na właściwej drodze... no, to pewnego dnia może pan wejść do salonu swojego przyjaciela i jego obrotnik może po prostu rozłupać pana i wypić do dna. Rzecz jasna — dodał w zadumie — bezpański obrotnik może dopaść pana na czas, by zdążyć jeszcze pana z powrotem naprowadzić. Zwykle jednak jest już za późno. Zwykle... — Uśmiechnął się. — Zwykle ludzie są już nie do uratowania, kiedy już zaczną.

— A pana praca — mruknął Pesbroke — polega na dbaniu, by obrotniki były sprawne?

— Rozregulowują się, kiedy pozostawi siebie samym sobie.

— Czyż to nie jest swego rodzaju paradoks? — zastanawiał się Pesbroke. — Obrotniki dbają, żebyśmy się nie rozregulowali, a my — żeby one były sprawne. To zamknięty obieg.

Mechanik zainteresował się.

— Tak, to ciekawe ujęcie sprawy. Jednak to oczywiste, że musimy kontrolować obrotniki. Żeby nie poumieraly — Wzdrygnął się. — Albo żeby nie stało się coś jeszcze gorszego.

— Poumieraly? — powtórzył Hurley, wciąż nie rozumiejąc — Ale jeśli są zbudowane... — Marszcząc brwi, stwierdził: — Albo są maszynami, albo żywymi organizmami. Więc jak?

Mechanik cierpliwie wyjaśnił podstawowe zasady fizyki.

— Kultura obrotników to organiczny fenotyp, który kształcił się w ściśle określonych warunkach w formę białkową. Kierująca tkanka neurologiczna tworząca zasadniczą część obrotnika jest ożywiona, rzecz jasna, w tym sensie, że rośnie, myśli, żywi się, wydała. Tak, zdecydowanie jest ożywiona. Ale

obrotnik to całość spełniająca określone funkcje, to wytwarzany technologicznie produkt. Tkanka organiczna wszczepiana jest w główny zbiornik i zapieczętowywana. Tego na pewno nie naprawiam; podaję im składniki pokarmowe, aby przywrócić odpowiednią równowagę dietetyczną, i staram się usuwać organizmy pasożytnicze, które do nich przenikają. Dbam, by były wyregulowane i zdrowe. Równowaga organizmu, oczywiście, to kwestia wyłącznie mechaniki.

— Obrotnik ma bezpośredni dostęp do ludzkich umysłów? — zapytał z zafascynowaniem Anderson.

— Naturalnie. To sztucznie wytworzony telepatyczny organizm wielokomórkowy. Z jego pomocą Wright rozwiązał największy problem naszych czasów: istnienie zróżnicowanych, ścierających się frakcji ideologicznych, obecność nielojalności i różnic poglądów. Jak w słynnym aforyzmie generała Steinera: wojna jest przedłużeniem niezgody z kabiny do głosowania na pole bitwy. A w preambule do Karty Serwisu Światowego jest napisane: jeśli wojna ma być wyeliminowana, to musi zostać usunięta z umysłów ludzi, ponieważ właśnie w umysłach rodzi się ta niezgoda. Do roku sześćdziesiątego trzeciego nie mieliśmy możliwości ingerencji w umysł człowieka: ten problem był nierozwiązywalny.

— Dzięki Bogu — powiedziała wyraźnie Fay. Mężczyzna jej nie usłyszał; poniósł go własny entuzjazm.

— Za pomocą obrotników udało nam się przekształcić Podstawowy socjologiczny problem lojalności w rutynową, techniczną kwestię: do obsługiwania i naprawiania. Naszym Jedynym problemem jest dbanie o bezustanne właściwe funkcjonowanie obrotników; reszta należy do nich.

— Innymi słowy — odezwał się słabym głosem Courtland — wy, mechanicy, jesteście jedyną instancją kontrolującą obrotniki. Reprezentujecie totalną ludzką agencję która stoi ponad tymi maszynami.

Mechanik zastanowił się.

— Chyba tak — przyznał skromnie. — Tak, zgadza się.

— Z wyjątkiem was, resztą ludzkiej rasy rządzą cholernie dobrze.

Koścista pierś wyprężyła się z samozadowolenia i pewnej siebie dumy.

— Chyba można tak powiedzieć.

— Posłuchaj pan — rzekł ze ściśniętym gardłem Courtland. Chwycił mężczyznę za ramię. — Skąd, do diabła możecie być pewni? Czy naprawdę je kontrolujecie? — Zaczęła mu świtać szalona nadzieja: dopóki ludzie mieli władzę nad obrotnikami, istniała szansa, że uda się powrócić do poprzedniego stanu rzeczy. Obrotniki można rozmontować, rozłożyć kawałek po kawałeczku. Dopóki obrotniki musiały podporządkowywać się ludziom, istniała jakaś szansa.

— Przepraszam pana? — odpowiedział mechanik. — Oczywiście, sprawujemy nad nimi kontrolę. Proszę się nie martwić. — Zdecydowanym ruchem uwolnił się z rąk Courtlanda. — A więc, gdzie jest pana obrotnik? — Rozejrzał się po pokoju. — Muszę się pospieszyć; niewiele czasu pozostało.

— Ja nie mam obrotnika — oświadczył Courtland.

Przez chwilę mechanik nie przyjmował tego do wiadomości. Potem na jego twarz zawitał dziwny, mętny grymas.

— Nie ma pan obrotnika? Ale powiedział mi pan...

— Coś się popsuło — rzekł ochryple Courtland. — Nie ma żadnych obrotników. Jest zbyt wcześnie... jeszcze nie zostały wynalezione. Rozumie pan? Przyszedł pan za wcześnie!

Mechanikowi oczy wyszły na wierzch. Chwycił swój sprzęt, chwiejnie zrobił dwa kroki do tyłu, zamrugał oczami, otworzył usta i chciał coś powiedzieć.

— Za... wcześnie?

Wtedy doznał olśnienia. Nagle wydał się o wiele starszy.

— Tak się zastanawiałem. Wszystkie te nie uszkodzone budynki... archaiczne meble. Musiał nastąpić błąd w urządzeniu transmisyjnym! — Wpadł we wściekłość. — Ten serwis błyskawiczny.. — wiedziałem, że rozsyłka powinna pozostać przy starym mechanicznym systemie. Mówiłem, żeby przeprowadzić dokładniejsze testy. Boże, nieźle przyjdzie za to zapłacić; zdziwiłbym się, gdybyśmy kiedyś rozplatali tę kotłownicę.

Schylił się z furią i pospiesznie wrzucił sprzęt do torby. Jednym ruchem zamknął ją i zatrzasnął zamek, wyprostował się i krótko skłonił Courtladowi.

— Dobranoc — rzekł oziębło. I zniknął.

Krąg obserwatorów nie miał już na co patrzeć. Mechanik obrotników wrócił, skąd przyszedł.

Minął jakiś czas, nim Pesbroke odwrócił się i dał znak człowiekowi z kuchni.

— Możesz teraz wyłączyć magnetofon — mruknął ponuro. — Nie ma już czego nagrywać.

— Dobry Boże — rzekł wstrząśnięty Hurley. — Świat, którym rządzą maszyny.

Fay zadrżała.

— Nie mogłam uwierzyć, że ten człowieczek ma taką władzę; myślałam, że to tylko pośledni urzędnik.

— On jest głównodowodzącym — stwierdził ochryple Courtland.

Nastąpiło milczenie.

Jedno z dzieci ziewnęło sennie. Fay natychmiast zajęła się nimi i odgoniła do sypialni.

— Dla was czas do łóżek — rozkazała z fałszywą wesołością.

Protestując ze smutkiem, chłopcy zniknęli i drzwi się za nimi zamknęły. Człowiek od magnetofonu zaczął przewijać szpulę. Stenotypistka drżącymi rękami odłożyła ołówki i zbierała notatki. Hurley zapalił cygaro i stał, puszczając kłęby dymu w zamyśleniu, ze smutną, chmurną twarzą.

Chyba — rzekł wreszcie Courtland — wszyscy to zaakceptowaliśmy; uznajemy, że to nie oszustwo.

— No cóż — odparł Pesbroke. — On zniknął. Samo to powinno być wystarczającym dowodem. I wszystkie te rupiecie, które wyjmował z torby...

— To tylko dziewięć lat — powiedział w zamyśleniu elektryk Parkinson. — Wright musi już gdzieś żyć. Odszukajmy go i dźgnijmy go nożem.

— Inżynier wojskowy — powtórzył MacDowell. — R. J. Wright. Powinno dać się go zlokalizować. Może uda się nam to powstrzymać.

— Jak myślicie, jak długo ludzie tacy jak on mogą utrzymywać obrotniki pod kontrolą?

Courtland ze zmęczeniem wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Może latami... może przez wiek. Ale prędzej czy później stanie się coś, czego nie przewidzieli. A wtedy drapieżne maszyny będą na nas wszystkich polowały.

Fay wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

— Brzmi potwornie; naprawdę cieszę się, że na razie do tego daleko.

— Ty i mechanik — rzekł gorzko Courtland. — Dopóki ciebie to nie dotyczy...

Wyczerpana nerwowo Fay wybuchła:

— Omówimy to później. — Uśmiechnęła się nagle do Pesbroke'a. — Jeszcze kawy? Wstawię trochę wody. — Obróciła się na pięcie i pospiesznie wyszła do kuchni.

Kiedy nalewała wody do ekspresu, cicho zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Ludzie w pokoju zamarli. Patrzyli na siebie, niemi i przerażeni.

— On wrócił — wydusił przez ściśnięte gardło Courtland.

— Może to nie on — powiedział niepewnie Anderson. — Może to wreszcie ludzie z kamerą.

Nikt jednak nie ruszył się w stronę drzwi. Po chwili dzwonek rozległ się ponownie, tym razem był dłuższy i bardziej natarczywy.

— Musimy otworzyć — powiedział drewnianym głosem Pesbroke.

— Nie ja — zaprotestowała drżącym głosem stenotypistka.

— To nie moje mieszkanie — zauważył MacDowell — Courtland sztywnym krokiem podszedł do drzwi. Jeszcze zanim dotknął klamki, wiedział, kto to. Rozsyłka użyła swojej nowiutkiej błyskawicznej transmisji. Czegoś, co przenosi zespoły robocze i mechaników bezpośrednio do miejsca przeznaczenia. W ten sposób kontrola nad obrotnikami będzie absolutna i doskonała; nic nie pójdzie nie tak.

A jednak coś poszło nie tak. Kontrola sama się zapętlila. Działała na odwrót, zupełnie w przeciwnym kierunku. Działała na własną szkodę, na próżno: była zbyt doskonała. Chwycił klamkę i szarpnięciem otworzył drzwi.

Na korytarzu stało czterech mężczyzn. Mieli na sobie zwyczajne szare kombinezony i czapki. Pierwszy z nich zerwał z głowy nakrycie, popatrzył na zapisaną kartkę i skinął grzecznie Courtlandowi.

— Dobry wieczór panu — rzekł radośnie, chrypiącym głosem.

Był to barczysty mężczyzna, na którego lśniące od potu czoło spadał kosmyk włosów.

— My... ee... chyba się trochę zgubiliśmy. Trochę potrwało, zanim tu trafiliśmy.

Zagładając do mieszkania, podciągnął swój ciężki skórzany pas, włożył zlecenie do kieszeni i zatarł wielkie, zręczne ręce.

— Jest na dole w ciężarówce — oświadczył, zwracając się do Courtlanda i wszystkich pozostałych. — Proszę powiedzieć, gdzie mamy go postawić i zaraz go przyniesiemy. Potrzeba sporo miejsca... może być tam, pod oknem. — Odwrócił się i wraz ze swoimi podwładnymi ruszył energicznie do windy towarowej. — Te nowe modele obrotników zajmują dużo miejsca.

Przełożył Tomasz Oljasz

ZAUTOMATYZOWANE FABRYKI

Trzej mężczyźni czekali w napięciu. Palili papierosy, przechadzali się w tę i z powrotem, bezmyślnie kopali rosnące przy drodze rośliny. Gorące południowe słońce spoglądało na brązowe pola, rzędy schludnych, plastikowych domów, daleką linię gór na zachodzie.

— Już prawie czas — rzekł Earl Perine, splatając chude palce. — To zależy od ładunku, pół sekundy na każdy dodatkowy funt wagi.

Morrison odpowiedział z goryczą:

— Zaplanowałeś to wszystko? Jesteś tak samo zły jak oni. Udawajmy, że przypadkiem się spóźniają.

Trzeci mężczyzna nic nie powiedział. O'Neill przybył do nich z wizytą z sąsiedniej osady; nie znał Perine'a i Morrisona na tyle dobrze, by się z nimi kłócić. Przykucnął więc i układał papiery przypięte do aluminiowego skoroszytu. W oślepiającym słońcu opalone, zarośnięte ręce O'Neilla lśniły od potu. Był starszy od pozostałej dwójki i silny, pomimo drobnej budowy. Miał zmierzwiłone siwe włosy i okulary w rogowej oprawie. Ubrany był w sportową koszulę, spodnie i buty na gumowej podeszwie. Pomiedzy palcami błyszczało metaliczne, zgrabne wieczne pióro.

— Co ty piszesz? — zrzędził Perine.

— Zapisuję procedurę, według której będziemy postępować — wyjaśnił łagodnie O'Neill. — Lepiej to ułożyć teraz, niż później próbować na chybił trafił. Chcemy wiedzieć, czego spróbowaliśmy i co nie zdało egzaminu. W przeciwnym przypadku będziemy się kręcić w kółko. Naszym problemem jest komunikacja; tak ja to widzę.

— Komunikacja — przytaknął Morrison głębokim głosem. — Tak, nie możemy się z tym cholerstwem skontaktować. Przyjeżdża, zostawia ładunek i odjeżdża dalej. — Nie ma z nim żadnego kontaktu.

— To maszyna — odparł podekscytowany Perine. — Nie jest żywa... jest ślepa i głucha.

— Ale one utrzymują kontakt ze światem zewnętrznym — zauważył O'Neill. — Musi być jakiś sposób, żeby się do tego dostać. Określone sygnały semantyczne są przez nie odbierane jako niosące znaczenie; musimy tylko odkryć te sygnały. Właściwie to odnaleźć na powrót. Może kilka szans na miliard.

Rozmowę przerwało głucho dudnienie. Unieśli głowy, zaalarmowani i nieufni. Nadszedł czas.

— No i jest — stwierdził Perine. — Dobra, mądralo, zobaczymy, czy zmienisz cokolwiek w swoim planie.

Masywna ciężarówka dudniła, wyładowana po brzegi. Pod wieloma względami wyglądała podobnie do zwyczajnych, używanych przez ludzi środków transportu, z jednym tylko wyjątkiem — nie miała kabiny kierowcy. Powierzchnia pozioma służyła wyłącznie do ładowania, a tam, gdzie zazwyczaj były reflektory i kratka, znajdowała się gąbczasta masa receptorów, ograniczony aparat zmysłowy stanowiący część tego mobilnego urządzenia.

Spostrzegłszy trzech mężczyzn, ciężarówka zwolniła i zatrzymała się, zmieniała bieg i przeszła na hamulec bezpieczeństwa. Po chwili zadziały przekaźniki; potem część platformy bagażowej się przechyliła i kaskada ciężkich pudeł zsunęła się na szosę. Z nimi sfrunął dokładny spis.

— Wiecie, co robić — rzucił O'Neill. — Pospieszcie się, bo nam ucieknie.

Trzej mężczyźni wprawnie i z ponurymi minami zabrali się do zrywania z pudeł opakowań ochronnych. Przedmioty błysnęły w słońcu: dwuokularowy mikroskop, przenośne radio, sterty plastikowych naczyń, medykamenty, ostrza do golarek, ubranie, jedzenie. Jak zwykle, większą część

dostawy stanowiło jedzenie. Mężczyźni przystąpili do skrupulatnego niszczenia towarów. Po kilku minutach nie pozostał już nic oprócz rozrzuconych wokoło w nieładzie szczątków i śmieci.

— O to chodziło — sapnął O'Neill i cofnął się. Szperał w poszukiwaniu skoroszytu. — Zobaczmy teraz, jaki osiągniemy skutek.

Ciężarówka zaczęła się wycofywać; nagle zatrzymała się i ruszyła z powrotem na nich. Jej receptory zarejestrowały to, że trzech mężczyzn zniszczyli zrzuconą część ładunku. Wykonała ostry półobrót, by stanąć ścianą receptorów naprzeciwko nich. Wysunęła antenkę: zaczęła się komunikować z fabryką. Instrukcje były już w drodze.

Druga, identyczna część ładunku została opuszczona i zrzucona na ziemię.

— Nie trafiliśmy — jęknął Perine, gdy duplikat spisu przedmiotów sfrunął za paczkami. — Zniszczyliśmy to wszystko na próżno.

— Co teraz? — zapytał Morrison do O'Neilla. — Jaki masz następny fortel na liście?

— Pomóżcie mi. — O'Neill chwycił pudło i zaciągnął je z powrotem na ciężarówkę. Wsunął je na platformę i odwrócił się po następne.

Pozostali dwaj niezgrabnie poszli za jego przykładem. Zapakowali ładunek z powrotem na samochód. Gdy ciężarówka znowu ruszyła, położyli na niej ostatnie kwadratowe pudło.

Pojazd zawahał się. Receptory zarejestrowały powrót ładunku. Z wnętrza wydobyło się zduszone buczenie.

— Może przez to dostanie kręcka — stwierdził, pocąc się, O'Neill. — Wykonała swój plan i nic nie osiągnęła.

Ciężarówka rzuciła się naprzód. Po chwili jednak obróciła się z rozmysłem i błyskawicznie zrzuciła ładunek na drogę.

— Łapcie to! — wrzasnął O'Neill.

Trzej mężczyźni chwycili pudła i gorączkowo ładowali je z powrotem. Ale gdy tylko paczki znajdowały się na platformie, haki opuszczały je przez drugi koniec i spuszczały ładunek na ziemię.

— To na nic. — Morrison oddychał ciężko. — Z pustego w próżne.

— Dostaliśmy cięgi — zgodził się niechętnie Perine. — Jak zwykle. My, ludzie, zawsze przegrywamy.

Ciężarówka przyglądała się im spokojnie, receptory były wyłączone. Robiła swoje. Obejmująca całą planetę sieć zautomatyzowanych fabryk bez problemu wypełniała zadanie, które nałożono na nią pięć lat wcześniej, na początku Totalnego Globalnego Konfliktu.

— Odjeżdża — zauważył z rezygnacją Morrison.

Pojazd schował antenkę; przeszedł na niższy bieg i zwolnił hamulec.

— Spróbujmy ostatni raz — zaproponował O'Neill.

Chwycił jedno z pudeł i rozerwał je. Wyciągnął ze środka 45-litrowy pojemnik mleka i odkręcił pokrywkę. — Jakkolwiek głupie by się to wydawało.

— To absurd — protestował Perine. Niechętnie odszukał kubek pośród rozrzuconych śmieci i zaczerpnął nim mleka. — Dziecinada!

Ciężarówka zatrzymała się i obserwowała ich.

— Zróbcie to — rozkazał ostro O'Neill. — Dokładnie tak, jak ćwiczyliśmy.

Wszyscy trzech szybko napili się mleka z pojemnika, pozwalając, by płyn wyraźnie ciekł im po brodach: to, co robili, musiało być absolutnie jednoznaczne.

Tak jak planowali, O'Neill skończył pierwszy. Wykrzywił z odrazą twarz, odrzucił kubek i gwałtownie wypluł mleko na ziemię.

— Na miłość boską! — krztusił się.

Pozostali dwaj poszli w jego ślady; tupali, klęli głośno, kopnięciem przewrócili pojemnik z mlekiem i zwrócili oskarżycielskie spojrzenia na ciężarówkę.

— To do niczego! — ryknął Morrison.

Zaciekawiona ciężarówka wróciła powoli. Elektroniczne synapsy kliknęły i zawirowały, dostosowując się do sytuacji; antenka wystrzeliła w górę jak maszt.

— Chyba o to właśnie chodziło — orzekł drżącym głosem O'Neill.

Ciężarówka wciąż się przyglądała, a on wyciągnął drugi kanister z mlekiem, odkręcił pokrywkę i wypróbował zawartość.

— To samo! — krzyknął do pojazdu. — Jest równie paskudne!

Z ciężarówki wypadł metalowy cylinder i potoczył się prosto pod nogi Morrisona; ten chwycił go szybko i otworzył.

OKREŚLIĆ NATURE WADY

W dokumencie z instrukcjami wymieniono całą listę możliwych wad, przy każdej umieszczono zgrabny kwadracik; dodano również szpikulec, służący do zaznaczania wad produktu

— Co mam zakreślić? — zapytał Morrison. — Zanieczyszczone? Zainfekowane bakteriami? Skwaśniałe? Niewłaściwie oznaczone? Zepsute? Stłuczone? Pęknięte? Brudne?

O'Neill pomyślał szybko i odpowiedział:

— Nie zaznaczaj żadnego. Fabryka na pewno jest przygotowana, żeby to sprawdzić i przysłać nową próbkę. Przeprowadzi swoją analizę, a potem nas zignoruje. — Nagle twarz mu się rozjaśniła. — Wpisz w tym pustym miejscu na dole. To miejsce na dalsze dane.

— Co mam napisać?

— Pisz: „produkt jest całkowicie zapytowany”.

— Co to znaczy? — zapytał zdziwiony Perine.

— Pisz! To takie semantyczne przeinaczenie. Fabryka na pewno tego nie zrozumie. Może uda się nam ją zapchać.

Morrison wziął pióro O'Neilla i starannie napisał, że mleko jest zapytowane. Kręcąc głową, z powrotem zapieczętował cylinder i wrzucił go na ciężarówkę. Ta zgarnęła pojemniki z mlekiem i zatrzasnęła wejście. Ruszyła naprzód z piskiem opon. Ostatni cylinder odbił się od swego łożyska; samochód odjechał pospiesznie, a cylinder został na ziemi.

O'Neill otworzył go i pokazał wszystkim papier.

ZOSTANIE WYŚLANY PRZEDSTAWICIEL FABRYKI. PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO PRZEKAZANIA KOMPLETNYCH DANYCH DOTYCZĄCYCH WADY PRODUKTU.

Przez chwilę wszyscy trzej stali w milczeniu. Wtem Perine zachichotał.

— Udało się. Skontaktowaliśmy się z nim. Przedarliśmy się.

— No jasne — zgodził się O'Neill. — Nigdy nie słyszał, żeby jakiś produkt był zapytowany.

W podnóże góry wcinał się ogromny metalowy sześcian fabryki z Kansas City. Powierzchnię miał

przeżartą rdzą, upstrzoną plamami popromiennymi, popękaną i pokrytą szramami — pamiątkami po pięciu latach szalejącej tu wojnie. Większą część fabryki wybudowano pod ziemią, widać było tylko wejście. Ciężarówka wyglądała jak drobinka, z hukiem pędząc w stronę płaszczyzny czarnego metalu. Nagle w jednolitej powierzchni powstał otwór; ciężarówka skoczyła weń i zniknęła w środku. Wejście zatrzasnęło się.

— Pozostało jeszcze najtrudniejsze zadanie — oznajmił O'Neill. — Musimy teraz przekonać go, żeby porzucił operacje, żeby się odłączył.

II

Judith O'Neill podała gorącą kawę. Ludzie siedzący w salonie słuchali relacji jej męża. Pozycja O'Neilla była czymś, co w całym systemie zautomatyzowanych fabryk najbardziej przypominało władzę.

U siebie, w rejonie Chicago, przeciął ogrodzenie ochronne miejscowej fabryki na tyle skutecznie, że udało mu się uciec z taśmami danych ukrytymi na plecach. Rzecz jasna, fabryka natychmiast odtworzyła ulepszone ogrodzenie. Pokazał jednak, że fabryki nie są niepokonane.

— Instytut Cybernetyki Stosowanej — wyjaśniał O'Neill — sprawował całkowitą kontrolę nad siecią. Wszystkiemu winna wojna. Winne te hałasy wzdłuż linii komunikacyjnych, które zniszczyły potrzebną nam wiedzę. W każdym razie Instytutowi nie udało się przesłać do nas, więc i my nie potrafimy przesyłać do fabryk informacji, wiadomości o tym, że wojna się skończyła i że jesteśmy gotowi przejąć kontrolę nad działalnością przemysłową.

— A tymczasem — dodał cierpko Morrison — ta cholerna sieć powiększa się i pożera coraz więcej surowców naturalnych.

— Mam wrażenie — odezwała się Judith — że gdybym tupnęła dość mocno, wpadłabym do tunelu fabrycznego. Do tej pory na pewno wszędzie mają już kopalnie.

— Czy nie ma jakichś oficjalnych ograniczeń? — zapytał zdenerwowany Perine. — Czy one mają rozprzestrzeniać się bez końca?

— Każda fabryka jest ograniczona swoim terenem operacyjnym — odrzekł O'Neill. — Ale sama sieć jest nieograniczona. Może zbierać nasze surowce do końca świata. Instytut postanowił, że otrzyma najwyższe przywileje; my, zwyczajni ludzie, mniej się liczymy.

— Czy cokolwiek dla nas zostanie? — chciał wiedzieć Morrison.

— Nie, chyba że uda nam się powstrzymać działania sieci. Już zużyła pół tuzina podstawowych surowców mineralnych. Jej ekipy poszukiwawcze z każdej fabryki bez przerwy pracują w terenie, wszędzie szukają ostatnich ochłapów, które mogliby zabrać.

— Co by się stało, gdyby tunele z dwóch fabryk się przecięły?

O'Neill wzruszył ramionami.

— Na ogół to się nie zdarza. Każda fabryka ma swój kawałek naszej planety, swój kawałek tortu tylko do własnego użytku.

— Ale to możliwe.

— No cóż, koncentrują się na surowcach mineralnych; dopóki coś jeszcze znajdują, będą polować dalej. — O'Neill zastanawiał się nad tym z rosnącym zainteresowaniem. — Trzeba to przemyśleć. Według mnie, gdy zacznie brakować materiału... — urwał.

Do pokoju ktoś wszedł; stanął przy drzwiach w milczeniu i przyglądał się wszystkim.

W mrocznym cieniu przybysz wyglądał niemal jak człowiek. Przez chwilę O'Neill myślał, że to spóźniony osadnik — Ale gdy ruszył naprzód, O'Neill zobaczył, że to tylko quasi-człowiek: funkcjonalne, dwunożne podwozie w pozycji pionowej, z receptorami umieszczonymi na górze, efekторы i prioreceptory zaś spływały w dół chwytaaczy. Podobieństwo do człowieka świadczyło tylko o tym, że twory natury są najdoskonalsze; nie wchodziła tu w grę żadna imitacja ze względów sentymentalnych.

Zjawił się przedstawiciel fabryki.

Zaczął bez wstępu:

— Jest to urządzenie zbierające dane, zdolne do komunikacji ustnej. Zawiera zarówno aparat

nadawczy, jak i odbiorczy i Jest w stanie integrować fakty dotyczące jego zadania.

Głos brzmiał pewnie i przyjemnie. Rzecz jasna, pochodził z taśmy, nagranej przez jakiegoś pracownika Instytutu przed wojną. Sprawiał groteskowe wrażenie, kiedy wydobywał się z człekokształtnej maszyny. O'Neill żywo wyobraził sobie nieżyjącego od dawna młodego naukowca, którego radosny głos w tej chwili wydobywał się przez mechaniczne usta tej wertykalnej konstrukcji ze stali i kabli.

— Krótkie ostrzeżenie — kontynuował przyjemny głos. — Uznawanie tej maszyny za człowieka i wciąganie jej w dyskusje, do których nie jest przeznaczona, będzie bezowocne. Choć spełnia ona ściśle określone cele, nie jest zdolna do konceptualnego myślenia; potrafi jedynie przetwarzać już dostępny jej materiał.

Rozległo się kliknięcie i optymistyczny głos ustąpił innemu. Brzmiał podobnie do pierwszego, ale nie było w nim intonacji ani cech indywidualnych. Maszyna do porozumiewania się wykorzystywała sposób wymowy zmarłego.

— Analiza odrzuconego produktu — oświadczyła — wykazała brak obcych elementów lub zauważalnej degradacji. Produkt spełnia weryfikowane nieustannie wymagania stosowane w całej sieci. Stąd odrzucenie miało podstawy nie znane na obszarze testowym; zastosowano wymagania nie znane w sieci.

— To prawda — zgodził się O'Neill. Ostrożnie ważąc słowa, mówił dalej: — Uznaliśmy, że mleko jest niskiej jakości. Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego. Nalegamy na bardziej rzetelną produkcję.

Maszyna odpowiedziała natychmiast:

Znaczenie terminu „zapytowany” nie jest znane w sieci. Nie istnieje w zarejestrowanym słowniku. Czy możecie przedstawić rzeczową analizę mleka i wykazać jakieś braki w nim?

— Nie — odrzekł ostrożnie O'Neill; gra, którą prowadził, była skomplikowana i niebezpieczna. — „Zapytowany” to termin ogólny. Nie można go zredukować do składników chemicznych.

— Co oznacza „zapytowany”? — zapytała maszyna. — Czy możecie zdefiniować ten termin za pomocą alternatywnych symboli semantycznych?

O'Neill zawahał się. Przedstawiciela na pewno przestawiono z jego specyficznego zadania na ogólniejsze kwestie aż do zasadniczego problemu zamknięcia sieci. Gdyby mógł to wywęszyć, zaczął teoretyczną dyskusję...

— „Zapytowany” — oświadczył — oznacza stan, w którym wytwarzany produkt nie jest już potrzebny. Wskazuje on na odrzucenie obiektu ze względu na brak zapotrzebowania nań.

— Analiza sieciowa — odrzekł przedstawiciel — wykazuje popyt na wysokojakościowy pasteryzowany substytut mleka na tym obszarze. Nie istnieją źródła alternatywne: sieć sprawuje kontrolę nad wszelkim sprzętem dla ssaków. — Dodał jeszcze: — Zarejestrowane na taśmach instrukcje wskazują, że mleko należy do niezbędnych składników ludzkiej diety.

O'Neill został przechytrzony, maszyna nakierowywała dyskusję z powrotem na sprawy szczegółowe.

— Postanowiliśmy — rzekł zdesperowany — ze nie chcemy żadnego mleka. Wolimy obyc się bez niego, przynajmniej do czasu, gdy zlokalizujemy krowy.

— Jest to niezgodne z taśmami sieciowymi — sprzeciwił się przedstawiciel. — Nie ma żadnych krów. Mleko jest produkowane wyłącznie syntetycznie.

— A więc sami będziemy je produkować syntetycznie — wtrącił zniecierpliwiony Morrison. — Dlaczego nie możemy przejąć maszyn? Mój Boże, nie jesteśmy dziećmi! Możemy sami pokierować naszym życiem!

Przedstawiciel fabryki ruszył w stronę drzwi.

— Do czasu, gdy wasza społeczność nie znajdzie innych źródeł mleka, będzie go dostarczała sieć. Aparaty analityczny i ewaluacyjny pozostaną na tym obszarze i będą przeprowadzać rutynowe badania próbek.

— Jak mamy znaleźć inne źródła? — krzyknął Perine. — Wy pociągacie za wszystkie sznurki! O wszystkim sami decydujecie! Mówicie, że nie jesteśmy gotowi, by samemu wszystkim pokierować, twierdzicie, że nie jesteśmy do tego zdolni. Skąd możecie wiedzieć? Nie dajcie nam szansy! Nigdy nie będziemy mieli szansy!

O'Neill skamieniał. Maszyna opuszczała ich: jednostronny bieg jej myśli całkowicie zatriumfował.

— Słuchaj — rzekł ochryple, blokując jej drogę. — Chcemy, żebyś się wyłączyła, rozumiesz? Chcemy przejąć twój sprzęt i sami nim kierować. Wojna się skończyła. Do cholery, nie jesteście już potrzebni!

Przedstawiciel fabryki zatrzymał się na chwilę przy drzwiach.

— Cykl jałowy — oświadczył — zacznie się dopiero po stwierdzeniu, że produkcja sieciowa jedynie duplikuje produkcję zewnętrzną. W tej chwili, na co wskazują nieustanne testy próbek, produkcja zewnętrzna nie istnieje. Dlatego kontynuowana jest produkcja sieciowa.

Morrison bez ostrzeżenia zamachnął się stalową rurą. Uderzyła w ramię maszyny i przebiła się przez złożony system aparatów sensorycznych, które wypełniały jej klatkę piersiową. Pojemnik z receptorami został strzaskany; wszędzie posypały się kawałki szkła, kabli i małe części.

— Co za paradoks! — wrzasnął Morrison. — Żarty, słowne żarty, którymi się z nami zabawiają. Cybernetycy to spieprzyli. — Uniósł rurę i znowu opuścił ją z wściekłością na nie opierającą się maszynę. — Obezwładnili nas. Jesteśmy zupełnie bezradni.

W pokoju wybuchł zamęt.

— To jedyny sposób — sapnął Perine, odpychając O'Neilla. — Będziemy musieli ich zniszczyć: albo sieć, albo my.

Chwycił lampę i cisnął ją w „twarz” przedstawiciela fabryki. Lampa i jej gustowny abażur wybuchły; Perine rzucił się naprzód, po omacku szukając przed sobą maszyny. Teraz wszyscy okrążali z wściekłością pionowy cylinder, kipiąc z bezsilnej złości. Maszyna osunęła się i zniknęła, gdy dociągnęli ją do drzwi.

O'Neill odwrócił się, drżąc na całym ciele. Żona złapała go za ramię i odprowadziła w róg pokoju.

— Idioci! — zawołał zgnębiony. — Nie mogą go zniszczyć nauczą go tylko tworzyć lepsze osłony. Tylko pogarszają całą sprawę.

Do pokoju wjechał sieciowy zespół serwisowy. Mechaniczne części zwinnie odczepiły się od macierzystego pojazdu — pluskwy z nakładaną gąsienicą, i pomknęły do kłębowiska walczących ludzi. Wdarły się pomiędzy nich i gwałtownie zanurkowały. W chwilę później bezwładna padlina — pozostałość po przedstawicielu fabryki — znalazła się na zsydni pluskwy. Zebrano części, zniszczono resztki i drużyna zabrała się do dzieła. Odnaleziono plastikową rozpórkę i przekładnię. Następnie jednostki ulokowały się z powrotem na macierzystym pojeździe i oddział odjechał.

Przez drzwi wjechał drugi przedstawiciel fabryki, dokładna kopia pierwszego. Na zewnątrz stały jeszcze dwie pionowe maszyny. Osadę przeczesywał — na chybił trafił — korpus przedstawicieli. Jak horda mrówek, mobilne urządzenia zbierające dane przefiltrowywały miasteczko, aż przypadkiem jedno z nich trafiło na O'Neilla.

— Niszczenie sieciowego urządzenia zbierającego dane jest szkodliwe dla interesów ludzi — poinformował ludzi, którzy szczerze wypełnili pokój, przedstawiciel fabryki. — Pobór surowców

naturalnych przechodzi niebezpieczny kryzys; te materiały, które jeszcze są dostępne, powinny zostać zużyte do produkcji towarów konsumpcyjnych.

O'Neill i maszyna stali naprzeciw siebie.

— Och? — zdziwił się cicho mężczyzna. — To ciekawe. Zastanawiam się, czego wam najbardziej brakuje... i o co naprawdę chcecie walczyć.

Nad głową O'Neilla rozległ się metaliczny łomot śmigieł helikoptera; zignorował je i wpatrywał się przez okno w kabinie na ziemię, nad którą nisko krążyli.

Wszędzie widać było tylko zgliszcza i ruiny. Strzelały w górę słabowite łodygi roślin, pośród których brzęczały owady. Tu i ówdzie dostrzegał kolonie szczurów: splątane nory, zbudowane z kości i tłuczni. Szczury zmutowały od promieniowania, podobnie jak większość owadów i zwierząt. Nieco dalej O'Neill dostrzegł szwadron ptaków ścigających wiewiórkę. Ta zanurkowała w specjalnie przygotowane pęknięcie w hałdzie i ptaki odwróciły się zrezygnowane.

— Czy myślisz, że kiedykolwiek zdołamy to odbudować — zapytał Morrison. — Niedobrze mi się robi, jak na to patrzę.

— W swoim czasie — odpowiedział O'Neill. — Zakładając naturalnie, że odzyskamy kontrolę nad przemysłem. I że zostanie cokolwiek, czym można by pracować. W najlepszym razie i tak będzie nam szło powoli. Będziemy powoli wychodzić z naszych osad.

Po prawej stronie znajdowała się kolonia ludzi: wystrzępione strachy na wróble, wymizerowani, wychudzeni — żyli wśród ruin, które kiedyś były miastem. Oczyszczono kilka akrów jałowej ziemi; mizerne warzywa więdły na słońcu, tu i ówdzie wędrowały apatycznie kurczaki, a zadrażniony przez muchy koń leżał i charczał w cieniu lichej szopy.

— Mieszkańcy ruin — stwierdził ze smutkiem O'Neill. — Za daleko od sieci... nie po drodze dla żadnej z fabryk.

— Sami są sobie winni — odrzekł ze złością Morrison. — Mogą przyjść do którejś z osad.

— To było ich miasto. Próbują robić to samo co i my: samodzielnie wszystko odbudować. Ale dopiero zaczynają, bez narzędzi i maszyn, gołymi rękami, zbijają do kupy gruzy. To na nic. Potrzebne nam maszyny. Ruin nie da się naprawić; musimy zacząć produkcję na przemysłową skalę.

Przed nimi rozciągały się zniszczone wzgórza, poszarpane szczątki czegoś, co kiedyś było górskim grzbietem. Za nim widniał ogromny, brzydki wrzód — krater po bombie wodorowej, do połowy wypełniony stojącą wodą i szlamem; śródziemne morze będące siedliskiem chorób.

A jeszcze dalej — połyskująca w słońcu krzątanina.

— Patrzcie! — zawołał zduszonym głosem O'Neill. Raptownie obniżył lot helikoptera. — Ogdajecie, z której fabryki pochodzą?

— Dla mnie oni wszyscy wyglądają jednakowo — mruknął Morrison, wychylając się, by ich dojrzeć. — Musimy zaczekać i polecieć za nimi, kiedy będą wracać z ładunkiem.

— Jeśli będą wieźć jakiś ładunek — poprawił O'Neill.

Grupa badawcza ze zautomatyzowanej fabryki zignorowała buczący nad głowami helikopter i wzięła się do dzieła. Przed główną ciężarówką posuwały się dwa traktory; przedzierały się przez hałdy gruzów, z czułkami rosnącymi jak gęsie pióra. Popędziły w dół odległym zboczem i zniknęły w tumanie popiołu, który okrywał zgliszcza. Dwaj zwiadowcy zanurkowali tak, że widać było tylko ich antenki. Wychynęli na powierzchnię i popędzili dalej, ich bieżniki furkotały i brzęczały.

— Czego oni szukają? — zastanawiał się Morrison.

— Bóg raczy wiedzieć. — O'Neill uważnie kartkował swój skorowidz. — Będziemy musieli

przeanalizować nasze stare zamówienia.

Grupa poszukiwawcza została poza ich polem widzenia. Helikopter przeleciał nad opustoszałym pasem piachu i ruin, ale nie dostrzegli tam żadnego ruchu. Pojawiła się kępa zarośli, a potem, daleko po prawej, gromada małych ruchomych kropek.

Posepną hałdą ciągnęła karawana automatycznych transporterów rudy — nitka gwałtownie poruszających się jedna za drugą metalowych ciężarówek. O'Neill skierował ku nim helikopter i kilka minut później znaleźli się nad samą kopalnią.

Masywny sprzęt górniczy przystąpił do działania. Zagłębił się w szyby; puste transportery czekały cierpliwie w rzędach. W stronę horyzontu płynął równy strumień załadowanych wozów, za którymi sypała się ruda. W tym nieoczekiwanym centrum przemysłu, pośród ponurych pustkowi i ruin, dominował ruch i hałas wydawany przez maszyny.

— Zbliża się ta grupa badawcza — zauważył Morrison, oglądając się bacznie za siebie. — Myślicie, że się pomieszają? — Uśmiechnął się. — Nie, chyba liczymy na zbyt wiele.

— Nadszedł już ten czas — stwierdził O'Neill. — Prawdopodobnie szukają innych substancji. A normalnie są zaprogramowani, żeby się nawzajem ignorować.

Pierwszy z pojazdów badawczych zrównał się z linią transporterów. Skręcił lekko, po czym szukał dalej; wozy jechały niewzruszone w szeregu, jakby nic się nie stało.

Morrison odwrócił się rozczarowany i zaklął.

— Nic z tego. Wygląda na to, że one dla siebie nawzajem nie istnieją.

Grupa badawcza stopniowo oddalała się od linii wozów, mijała kopalnię i leżący za nią grzbiet górski. Nie spieszyła się; odjechała, nie zwracając uwagi na zbieraczy rudy.

— Może pochodzą z tej samej fabryki — powiedział z nadzieją Morrison.

O'Neill wskazał na widoczne na głównych jednostkach sprzętu antenki.

— Ich śmigła są ustawione pod różnymi kątami, więc należą do dwóch różnych fabryk. Będzie ciężko; albo trafimy dokładnie w dziesiątkę, albo nie będzie żadnej reakcji. — Kliknął przy radiu i ustawił monitor na osadę. — Jakies wyniki ze starych zamówień?

Operator połączył go do dowództwa osady.

— Nadchodzą — rzekł do niego Perine. — Gdy tylko zdobędziemy wystarczająco dużo próbek, spróbujemy określić, jakich surowców brak w której fabryce. Wyciąganie wniosków na podstawie złożonych produktów będzie trochę ryzykowne. Być może niektóre podstawowe składniki występują w różnych podgrupach.

— Co się stanie, kiedy zidentyfikujemy brakujący składnik? — Morrison zwrócił się do O'Neilla.

— Co się stanie, kiedy doprowadzimy do tego, że dwóm różnym fabrykom zabraknie tego samego surowca?

— Wtedy — odparł ponuro O'Neill — sami zaczniemy go zbierać... nawet gdybyśmy musieli wszystko stopić w naszej osadzie.

Nocą, w której istniała tylko ciemność i ćmy, powiał zimny, słaby wiatr. Gęste poszycie zagrzechotało metalicznie. Tu i ówdzie grasowały myszy, niezwykle czujne: rozglądały się, planowały, szukały jedzenia.

Był to dziki teren: na przestrzeni wielu mil nie było ludzkich osad. Ziemia była tu wypalona od wybuchów bomb wodorowych. Gdzeniegdzie w ciemności pomiędzy ruinami i chwastami rysowała się ospała strużka wody i spadała wielkimi kroplami do czegoś, co niegdyś było skomplikowana płatanina kanałów. Popękane i porozrywane rury ciągnęły się w mrok, zarastały je pełzające rośliny. Wiatr uniósł w górę chmury czarnego popiołu, które zawirowały i zatańczyły pośród zarośli. Raz poruszył się sennie ogromny mutant strzyżyka, owinał się ochronnym płaszczem ze szmat i zapadł w drzemkę.

Przez jakiś czas nie zauważyli żadnego ruchu. Pomimo odległości mocno zajaśniała nad głowami smuga gwiazd. Earl Perine zadrżał, uniósł głowę i przysunął się bliżej elementu grzewczego, który stał na ziemi pomiędzy trójką mężczyzn.

— No i? — zapytał Morrison, szcękając zębami. O'Neill nie odpowiedział. Skończył palić papierosa, zgasił go na stercie gnijących śmieci, wyciągnął zapalniczkę, po czym zapalił następnego. Sterta wolframu — przynęta — leżała sto metrów przed nimi.

W ostatnich dniach zarówno fabryce z Detroit, jak i z Pittsburgha skończył się wolfram. I przynajmniej w jednym sektorze ich sprzęty się spotkały. Na tej stercie leżały precyzyjne narzędzia do cięcia, części wyrwane z elektrycznych przełączników, wysokiej jakości sprzęt chirurgiczny, kawałki magnesów trwałych, urządzenia pomiarowe — wolfram pochodził ze wszystkich możliwych źródeł, zbierano go gorączkowo we wszystkich osadach.

Nad stertą rozpościerała się ciemna mgła. Od czasu do czasu z trzepotem spadała nocna ćma, skuszona błyskiem odbitego światła gwiazd. Zawisała na chwilę, na próżno biła podłużnymi skrzydłami w zakleszczoną płataninę metalu, po czym odrywała się, uciekała w cień skłębionych pnączy, które wystrzelały w górę z kikutów rur.

— Cholera, niezbyt piękne miejsce — zauważył drwiąco Perine.

— Nie oszukuj się — odciął się O'Neill. — To najładniejsze miejsce na ziemi. To miejsce oznacza grobowiec sieci zautomatyzowanych fabryk. Któregoś dnia zaczną tu przychodzić. Będzie tu stała tablica pamiątkowa wysoka na milę.

— Próbujesz utrzymać wysokie morale — prychnął Morrison — Nie wierzysz, że powyrzynają się z powodu kupy narzędzi chirurgicznych i włókien żarówek. Pewnie mają tam w dole maszynę, która wysysa wolfram ze skał.

— Może — odparł O'Neill, próbując złapać komara.

Owad uchylił się zwinnie i bzykał dalej, złoścąc Perine'a. Ten zamachnął się na niego potężnie i zaczął się ponuro pośród wilgotnej roślinności.

I wtedy nadszedło to, co przyszli tu zobaczyć.

O'Neill drgnął, zorientowawszy się, że patrzy na to od kilku minut, tylko nie mógł tego rozpoznać. Pluskwa badawcza stała całkowicie nieruchoma. Zatrzymała się na szczycie niewielkiego wzniesienia ze śmieci. Przód miała lekko uniesiony, receptory wyciągnięte na całą długość. Mógł to być porzucony kadłub; nie widać było żadnego ruchu, żadnych oznak życia czy świadomości. Pluskwa doskonale wpasowywała się w jałowy, wypalony krajobraz. Wyglądała jak niekształtna kładź arkuszy metalu, przekładni i łysych bieżników. Stała spokojnie i obserwowała.

Badala stertę wolframu. Przynęta przyciągnęła pierwszą ofiarę.

— Złowiła się — powiedział niskim głosem Perine. — Linia się poruszyła. Według mnie ciastko wpadło.

— Co ty, do diabła, mruczysz? — burknął Morrison, ale też już dojrzał pluskwę. — Jezu — szepnął. Na wpół podniósł się na nogi, wygiął masywne ciało w pałąk. — No, jest i jeden z nich. Teraz potrzebna jest tylko jednostka z drugiej fabryki. Jak myślicie, z której to przyjechało?

O'Neill odszukał śmigło komunikacyjne i sprawdził jego kąt.

— Pittsburgh, więc módlcie się o Detroit... módlcie się jak nie wiem co.

Pluskwa z zadowoleniem odłączyła się i potoczyła naprzód. Ostrożnie zbliżając się do nasypu, wykonała szereg skomplikowanych manewrów, skręcając to w jedną, to drugą stronę. Obserwatorów zbiło to z pantałyku... aż zobaczyli pierwsze czułki drugiej pluskwy.

— Komunikacja — powiedział cicho OTSfeill. — Jak u pszczół. W tej chwili już pięć pojazdów z Pittsburgha zbliżało się do sterty wolframowych produktów. Ich receptory z podniecenia drżały, pluskwy przyspieszyły, kiedy odkryły swój skarb, rzuciły się naprzód z boczem nasypu aż na sam szczyt. Jedna z nich nagle zanurkowała i zniknęła. Cały kopiec zadrżał; pluskwa znalazła się w samym środku i badała znalezisko.

Dziesięć minut później pojawiły się pierwsze transportery z Pittsburgha i pracownicy oddalały się z ładunkiem.

— Do diabła! — jęknął O'Neill. — Zabiorą wszystko, zanim ci z Detroit się zjawią.

— Czy nie możemy nic zrobić, żeby je opóźnić? — zapytał bezradnie Perine. Skoczył na równe nogi, chwycił kamień i cisnął nim w najbliższy transporter. Kamień odbił się, a pojazd niewzruszenie jechał dalej.

O'Neill również się podniósł i zaczął chodzić wkoło, napięty i pełen bezsilnej wściekłości. Gdzie oni się podziewali? Fabryki były zupełnie takie same pod każdym względem, a to miejsce znajdowało się w takiej samej odległości — w linii prostej — od każdego z centrów. Teoretycznie wszyscy powinni dotrzeć tu jednocześnie. A jednak po tych z Detroit nie było jeszcze ani śladu — a ostatnie kawałki wolframu na jego oczach ładowano na transportery.

Wtedy jednak coś przemknęło obok niego.

Nie dostrzegł, co to było, gdyż poruszało się zbyt szybko. Wystrzelił spomiędzy splątanych gąszczy jak pocisk, wspiął się na szczyt, zatrzymał na chwilę, żeby dobrze wymierzyć, i popędził drugą stroną w dół. Trafiał wprost w prowadzący wóz. Pocisk i jego cel starły się, wywołując nagłą kaskadę dźwięków.

Morrison podskoczył.

— Co, u diabła?

— O to chodzi! — wrzasnął Perine, tańcząc wkoło i wymachując chudymi rękami. — To ci z Detroit!

Pojawiła się druga pluskwa badawcza z Detroit, zawahała się, ogarniając spojrzeniem sytuację, po czym rzuciła z furją na wycofujące się transportery z Pittsburgha. Wszędzie posypały się kawałki wolframu: części, kable, połamane płytki, przekładnie, sprężyny i śruby obu przeciwników wylatywały w powietrze we wszystkich kierunkach. Pozostałe przyjechały z piskiem; jeden z nich zrzucił ładunek i odskoczył z wyciem na pełnej szybkości. Za nim pospieszył drugi, obciążony jeszcze wolframem. Dopadła go pluskwa z Detroit, przecięła mu drogę i zgrabnie go przewróciła. Pluskwa i transporter potoczyły się płytkim rowem do stojącej wody. Ociekały, błyszcząły, lecz walczyły dalej, na wpół już zanurzone w wodzie.

— No to — odezwał się niepewnie O'Neill — udało nam się. Możemy wracać do domu. — Nogi

ugięły mu się w kolanach. — Gdzie jest nasz pojazd?

Gdy nacisnął gaz w ciężarówce, w oddali błysnęło coś wielkiego i metalicznego, coś, co poruszało się wśród stert śmieci i popiołu. Był to gęsty skrzep pojazdów, duży zespół ciężkich transporterów, które pędziły na arenę zdarzeń. Z której fabryki przyjechały?

Nie miało to znaczenia, gdyż z płataniny czarnych, opadających ku ziemi pnączy wychyłała i pełzała ku nim grupa przeciwników. Obie fabryki gromadziły swoje ruchome jednostki. Ze wszystkich stron przypełzały pluskwy, okrążając resztki kupy wolframu. Żadna z fabryk nie chciała stracić potrzebnego surowca, żadna nie chciała oddać tego, co znalazła. Obie strony usilnie pracowały, by na oślep, mechanicznie, kierując się sztywnymi rozkazami, zgromadzić większe siły.

— Chodźmy — przynagłał Morrison. — Wynośmy się stąd. Wszystkie demony wypuścili z piekła.

O'Neill pospiesznie skierował ciężarówkę w stronę osady. Z hukiem ruszyli w ciemnościach w drogę do domu. Co jakiś czas mijał ich pędzący w przeciwnym kierunku metaliczny kształt.

— Widzieliście ładunek w tym ostatnim transportowcu? — zapytał zaniepokojony Perine. — Nie był pusty.

Podobnie jak pojazdy, które jechały za nim — cała procesja pękatek pojazdów dostawczych, nakierowywanych przez wyspecjalizowaną jednostkę nadzorczą.

— Broń — powiedział Morrison, wytrzeszczając oczy ze strachu. — Przywożą broń. Ale kto będzie jej używać?

— Oni — odrzekł O'Neill. Wskazał na coś, co poruszało się po ich prawej stronie. — Spójrzcie tam. Tego się nie spodziewaliśmy.

Zobaczyli, jak pierwszy z reprezentantów fabryki wkracza do akcji.

Gdy ciężarówka wjechała do osady Kansas City, Judith popędziła ku nim bez tchu. Trzymała w dłoni trzepoczący kawałek folii aluminiowej.

— Co to jest? — zapytał O'Neill, zabierając jej świstek

— No, chodźcie. — Jego żona z trudem łapała oddech. — Pojazd przyjechał, zrzucił to i odjechał. Kurde, fabryka cała w płomieniach. Widać to na wiele mil.

O'Neill rzucił okiem na dokument. Był to fabryczny certyfikat na ostatni zestaw zamówień dla osady, tabela zbiorcza zgłoszonych i uznanych przez fabrykę potrzeb. Na liście wydrukowano wytłuszczoną czarną czcionką pięć słów:

WSZELKIE DOSTAWY ZAWIESZONE DO ODWOŁANIA

Oddychając z trudem, O'Neill przekazał folię Perine'owi.

— Żadnych dóbr konsumpcyjnych — zauważył ironicznie, a po jego ustach przemknął nerwowy uśmiech. — Sieć przechodzi na wojenną ścieżkę.

— A więc udało się? — zapytał z wahaniem Morrison.

— Zgadza się — odrzekł O'Neill. Teraz, gdy wybuchł konflikt, poczuł rosnące, zimne przerażenie. — Pittsburgh i Detroit nie zrezygnują aż do końca. Za późno już, byśmy zmienili zdanie... oni zbierają sprzymierzeńców.

IV

Równina usłana szczątkami i czarnym metalicznym popiołem była skąpana w chłodnym świetle poranka. Popiół tlił się mglistoczerwono, był jeszcze ciepły.

— Uważaj na stopnie — ostrzegł O'Neill.

Chwyił żonę za rękę i sprowadził z zardzewiałej, rozklekotanej ciężarówki na szczyt stosu pojedynczych betonowych bloków ze zniszczonego bunkra. Za nimi ostrożnie i z wahaniem szedł Earl Perine.

Za nimi leżała w rozsypce osada, chaotyczna szachownica domów budowli i ulic. Odkąd zautomatyzowana fabryka zaniechała dostaw i utrzymywania osady, ta zaczęła zbliżać się do stanu barbarzyństwa. Towary, które zostały, psuły się i tylko część z nich nadawała się jeszcze do użytku. Minął rok od pojawienia się ostatniej ciężarówki z fabryki, załadowanej jedzeniem, narzędziami, ubraniami i częściami zamiennymi. Na płaskim obszarze ciemnego betonu i metalu u podnóża gór nic nie wyszło im na spotkanie.

Ich życzenie się spełniło: zostali odcięci, odczepieni od sieci.

Byli zależni tylko od siebie.

Wokół osady rozciągały się nieregularne kształty pola pszenicy i postrzępionych łądyg wypalonych w słońcu warzyw. Rozprowadzono proste, ręcznie wykonane narzędzia, ludzie w osadach w pocie czoła produkowali proste wyroby. Jedynym połączeniem między koloniami były wozy konne oraz wolno stukoczący telegraf.

Udało im się jednak zachować dobrą organizację. Towary i usługi wymieniano niezbornie, acz stale. Produkowano i rozprowadzono podstawowe artykuły spożywcze. Ubrania, jakie nosili O'Neill, jego żona i Perine, były szorstkie i nie wybielone, ale mocne. Udało im się również przestawić kilka ciężarówek z benzyny na drewno.

— No i jesteśmy na miejscu — stwierdził O'Neill. — Stąd wszystko widać.

— Ale czy warto? — zapytała wyczerpana Judith. Schyliła się i skubała but, usiłując wyjąć kamyk z podeszwy. — Trzeba przebyć długą drogę, żeby zobaczyć to, co widzimy codziennie od trzynastu miesięcy.

— To prawda — przyznał O'Neill, kładąc na chwilę rękę na szczupłym ramieniu żony. — Ale może to już będzie ostatni. A to właśnie chcemy zobaczyć.

Na szarym niebie ponad ich głowami poruszał się w koło mały czarny punkcik. Znajdował się wysoko i daleko, wchodził w korkociąg, zmieniał kierunek, lecąc skomplikowanym i ostrożnym kursem. Wirując, stopniowo zbliżał się do gór i po chwili posepna, zniszczona bombami konstrukcja zniknęła za nimi.

— San Francisco — wyjaśnił O'Neill. — Jeden z tych pocisków dalekiego zasięgu typu hawk, przyleciał aż z Zachodniego Wybrzeża.

— I myślisz, że to ostatni? — zapytał Perine.

— Tylko tego widzieliśmy w tym miesiącu. — O'Neill usiadł i zaczął wsypywać wysuszone kawałeczki tytoniu do rurki z brązowego papieru. — A kiedyś widywaliśmy ich setki.

— Może mają coś lepszego — zastanawiała się Judith. Znalazła gładki kamień i, zmęczona, usiadła na nim. — Czy to możliwe?

Jej mąż uśmiechnął się ironicznie.

— Nie. Nie mają niczego lepszego.

Cała trójka umilkła, z niepokojem obserwując krążący nad nimi czarny punkcik. Na równej

plaszczyźnie z metalu i betonu nie widać było żadnego ruchu; fabryka z Kansas City zapadła w stan inercji, w ogóle nie reagowała. Unosiło się nad nią kilka kłębow ciepłego popiołu. Jeden jej kraniec już pogrzył się w ruinach. Fabryka otrzymała wiele bezpośrednich ciosów. Ukazały się bruzdy podziemnych tunelów, zatłoczonych gruzami i ciemnością oraz kosmykami pnączy wyciągających się w poszukiwaniu wody.

— Te cholerne pnącza — zrzędził Perine, skubiąc stary wrzód na nie ogolonym podbródku. — Opanowują cały świat.

Tu i ówdzie na zniszczonej równinie w porannej rosie rdzewiały pojazdy. Transportery, ciężarówki, pluskwy badawcze, reprezentanci fabryki, wozy do transportu broni, broń, pociągi dostawcze, pociski podziemne, nierozróżnialne części wymieszane i stopione razem w bezkształtne sterty. Niektóre z nich zniszczono, gdy wracały do fabryki, inne zostały trafione, gdy wynurzały się na powierzchnię, wyładowane po brzegi, uginające się od sprzętu. Sama fabryka — to, co z niej zostało — wydawała się zapadnięta głęboko w ziemię. W dryfującym popiele z trudem można było dostrzec jej górną płaszczyznę.

Od czterech dni nie zarejestrowano tu żadnych znanych oznak życia, żadnego widocznego ruchu.

— To goniec — stwierdził Perine. — Widać, że to koniec.

O'Neill nie odpowiedział. Ukucnął wygodnie i czekał. Według niego jakaś część zautomatyzowanego świata musiała ocaleć w zniszczonej fabryce. Czas pokaże. Spojrzał na zegarek: była ósma trzydzieści. Dawniej fabryka właśnie by się budziła do codziennego życia. Na powierzchnię wyjeżdżałyby sznur ciężarówek i innych pojazdów wyładowanych sprzętem, aby wyruszyć na ekspedycje do ludzkich osad.

Po prawej coś się poruszyło. Natychmiast zwrócił na to uwagę.

Pojedynczy, podniszczony transporter rudy pełzł niezgrabnie do fabryki. Ostatni uszkodzony pojazd, który usiłował wykonać swoje zadanie. Był niemal zupełnie pusty: w jego skrzyni leżało kilka mizernych kawałków metalu. Padlinożerca... metal pochodził z elementów wyrwanych z maszyn, które napotkał po drodze. Transporter zbliżał się do fabryki niepewnie i słabo, jak ślepy metaliczny owad. Poruszał się dziwnymi skokami. Co jakiś czas zatrzymywał się, podskakiwał i drżał, bez celu zbaczając z kursu.

— Słabo go kontrolują — stwierdziła Judith z nutką przerażenia w głosie. — Fabryka ma kłopoty z kierowaniem go w drogę powrotną.

Tak, widział już coś podobnego. W okolicach Nowego Jorku fabryka całkowicie utraciła panowanie nad przekaźnikami na wysokich częstotliwościach. Jej pojazdy miały się w dziwacznych, wirowych ruchach, pędziły w kółko, rozбивały się o kamienie i drzewa, wjeżdżały do wąskich wąwozów, wywracały się, aż w końcu odczepiały się i przechodziły w stan obojętnego spoczynku.

Transporter dotarł na skraj zniszczonej równiny i zatrzymał się na chwilę. Nad nim na niebie krążył czarny punkcik. Na jakiś czas pojazd zastygł w bezruchu.

— Fabryka usiłuje podjąć decyzję — rzekł Perine. — Potrzebuje materiału, ale boi się tego pocisku.

Fabryka zastanawiała się, zapanował bezruch. Wtem pojazd ruszył niepewnie dalej. Wyjechał z gąszczu roślin skierował się na przełaj zniszczoną równiną. Jak obolały, maksymalną ostrożnością skierował się ku płycie ciemnego metalu i betonu u podnóża gór.

Pocisk przestał krążyć.

— Kryć się! — zawołał ostro O'Neill. — To jest pełne nowych bomb.

Jego żona i Perine kucnęły obok. Cała trójka ostrożnie obserwowała równinę i mozolnie

maszerującego metalowego owada. Hawk pruł niebo w linii prostej, aż zawisł dokładnie nad pojazdem. Wtem, nie wydając żadnego dźwięku ani ostrzeżenia, puścił się prosto w dół. Judith zakryła twarz dłońmi i pisnęła:

— Nie mogę patrzeć! To okropne! Jak dzikie zwierzęta!

— On się nie kieruje na pojazd! — zagrział O'Neill.

Gdy powietrzny pocisk opadał, pojazd ruszył z desperacką prędkością. Z hukiem popędził do fabryki, pobrzękując i grzechocząc, na próżno podejmując ostatnią próbę ucieczki Niepomna na grożące z góry niebezpieczeństwo, fabryka w gorączkowym podnieceniu otworzyła wrota i wprowadziła w nie swój pojazd. Pocisk tylko na to czekał.

Zanim zapory zdążyły się zamknąć, napastnik pikował ślizgiem równoległe do ziemi. Gdy pojazd zniknął wewnątrz fabryki, pocisk rzucił się za nim, połyskujący metal przemknął obok rozklekotanego transportera. Nagle zrozumiawszy sytuację, fabryka zamknęła wrota. Pojazd wdał się w groteskową szamotaninę: utknął w na wpół zamkniętym wejściu.

Ale to, czy się uwolni, nie miało żadnego znaczenia. Nastąpiło głucho, dudniące drganie. Ziemia poruszała się, pęczniała, po czym znowu się uspokoiła. Pod trójką obserwujących zdarzenie ludzi przeszła głęboka fala uderzeniowa. Znad fabryki podniósł się pojedynczy słup czarnego dymu. Betonowa powierzchnia pękła jak wyschnięty strączek: wysechł i złamał się, po czym rozsypał się deszczem odłamków. Dym wisiał przez chwilę, dryfując na oślep na porannym wietrze.

Fabryka była już tylko zniszczonym, spalonym wrakiem. Została zdobyta i zlikwidowana.

O'Neill stanął na sztywnych nogach.

— To wszystko. Koniec. Mamy to, czego chcieliśmy: zniszczyliśmy sieć zautomatyzowanych fabryk. — Spojrzał na Perine'a. — Bo czyż nie tego pragnęliśmy?

Popatrzyli na leżącą za nimi osadę. Niewiele pozostało ze schludnych szeregów domów i ulic, które widać tam było rok wcześniej. Pozbawiona sieci osada szybko chyliła się ku upadkowi. Dawna bogata schludność odeszła w niepamięć; da wyglądała na odrapaną, źle zarządzaną. — Rzecz jasna — rzekł niepewnie Perine. — Gdy tylko wejdziemy do fabryk i zaczniemy uruchamiać nasze linie produkcyjne...

— A czy coś jeszcze zostało? — zapytała Judith.

— Coś musiało zostać. Mój Boże, poziomy ciągnęły się całymi milami!

— Bomby, które wynaleźli pod koniec wojny, były koszmarnie wielkie — zauważyła Judith. — Lepsze od broni, którą mieliśmy podczas naszej wojny.

— Pamiętacie ten obóz, który widzieliśmy? Mieszkańców ruin?

— Mnie tam nie było — przypomniał Perine.

— Żyli jak dzikie zwierzęta. Jedli korzonki i larwy. Łupali kamienie, garbowali skóry. Dzicz, bestialstwo.

— Ale tego właśnie chcą tacy ludzie jak oni — bronił ich Perine.

— Naprawdę? Czy my tego chcemy? — O'Neill wskazał na rozciągającą się na równinie osadę. — Czy tego właśnie szukaliśmy tego dnia, kiedy zbieraliśmy wolfram? Albo wtedy, kiedy powiedzieliśmy ciężarówce z fabryki, że ich mleko było... — Nie pamiętał tego słowa.

— Zapytowane — odpowiedziała Judith.

— Chodźmy — rzekł O'Neill. — Ruszajmy. Zobaczmy, co ocalało z fabryki... co zostało dla nas.

Do ruin fabryki dotarli późnym popołudniem. Cztery ciężarówki ostrożnie, choć z łoskotem toczyły się aż do krawędzi zdewastowanej dziury. Zatrzymały się, z ich silników buchała para, po rurach

wydechowych ciekły krople. Przezorni i czujni robotnicy wydostali się na zewnątrz i stanęli ostrożnie w gorącym popiele.

Może jest jeszcze za wcześnie — wyraził sprzeciw jeden z nich.

O'Neill nie miał zamiaru czekać.

— Idziemy — rozkazał.

Chwycił latarkę i wkroczył do leja.

U ich stóp leżał ukryty korpus fabryki w Kansas City. W jego zniszczonym wejściu wciąż tkwił transportowiec i już się nie szamotał. Za nim kryło się złowrogie, ponure wnętrze. O'Neill zaśwycił tam latarką; zobaczył splata i postrzępione resztki pionowych wsporników.

— Musimy zejść bardzo głęboko — rzekł do Morrisona który przyczaił się ostrożnie obok niego.

— Jeśli cokolwiek ocalało, to leży na dnie.

Morrison chrząknął.

— Te krety wiertnicze z Atlanty załatwiły większość niskich poziomów.

— Aż inni zatopili ich kopalnie. — O'Neill ostrożnie postąpił krok do zapadającego się wnętrza, wdrapał się na stertę gruzów, które wpadły tu z zewnątrz, i znalazł się w fabryce: w części zabałaganionego wraku, pozbawionego planów i sensu.

— Entropia — westchnął zgnębiony Morrison. — Zawsze tego nienawidzili. Z tym chcieli walczyć. Cząsteczki, zalegające wszędzie w nieładzie. Bez żadnego celu.

— Tam, głęboko — powtórzył z uporem O'Neill — możemy znaleźć jakieś odcięte enklawy. Wiem, że dzielili się na autonomiczne sekcje i starali się utrzymywać jednostki serwisowe w nienaruszonym stanie, żeby odbudować całą fabrykę.

— Krety dopadły też większość z nich — zauważył Morrison, ale powlókł się za O'Neillem.

Za nimi ruszyli powoli robotnicy. Fragment wraku poruszył się złowrogo i deszcz gorących odłamków spłynął w dół.

— Wracajcie do ciężarówek — polecił O'Neill. — Nie ma sensu narażać więcej ludzi, niż jest to konieczne. Jeśli Morrison i ja nie wrócimy, dajcie sobie spokój... nie ryzykujcie i nie wysyłajcie nikogo na ratunek.

Gdy ruszyli, pokazał Morrisonowi rampę prowadzącą do środka, prawie nie naruszoną.

— Schodzimy.

Dwaj mężczyźni w milczeniu opuszczali się poziom po poziomie. Ciemne ruiny rozciągały się na wiele mil, nie było tu żadnego dźwięku ni ruchu. Niewyraźne kształty pogrążonych w mroku maszyn, nieruchome pasy i przenośnik widać było tylko częściowo, podobnie jak nie wykończone łuski pocisków bojowych, powyginane i poskręcane od ostatniego wybuchu.

— Może uratujemy z tego część — powiedział O'Neill, ale tak naprawdę w to nie wierzył. Maszyny były spalone, bezkształtne. Wszystko w fabryce zbiło się w jedną masę, stopiło się w coś bez formy, coś bezużytecznego. — Jak wydostaniemy to na powierzchnię...

— Nie uda się nam — zaprzeczył gorzko Morrison. — Nie mamy dźwigów ani kołowrotów.

Kopnął paczkę zwęglonych towarów, której pasek pękł ostatecznie i zawartość wysypała się na rampę.

— Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem — rzekł O'Neill, kiedy szli przez puste piętra z nie działającymi maszynami. — Ale kiedy teraz się nad tym zastanawiam, nie jestem już taki pewny.

Zbadali spory kawałek fabryki. Przed nimi rozciągał się ostatni poziom. O'Neill oświetlił go trochę latarką, usiłując znaleźć nie zniszczone fragmenty, sekcje linii produkcyjnej, których nie dosięgły wybuchy.

Morrison poczuł to najpierw. Nagle upadł na kolana i opuścił ręce na ziemię; przycisnął swoje

ciężkie ciało do posadzki i położył się, by nasłuchiwać. Twarz mu stężała, oczy się rozszerzyły.

— Na miłość boską...

— O co chodzi?! — krzyknął O'Neill.

Wtedy on też to poczuł. Poniżej, pod podłogą, odezwała się słabo słyszalna, lecz ciągła wibracja, wytrwały pomruk wywołany czyjaś aktywnością. Mylili się: pocisk nie zniszczył wszystkiego. Poniżej, na głębszym poziomie, fabryka wciąż żyła. Zamknięty, ograniczony cykl operacji wciąż się odbywał.

Sama z siebie — mruknął O'Neill, szukając wejścia do windy. — Autonomiczna czynność, która ma być kontynuowana, gdy wszystko inne już przepadło. Jak się tam dostaniemy?

Winda została zablokowana na trwałe wielką metalową płytą. Żyjąca sekcja pod ich stopami była całkowicie odcięta: nie było tu wejścia.

O'Neill pobiegł tą samą drogą, którą tu przybyli, i gdy dotarł na powierzchnię, pomachał do pierwszej z ciężarówek

— Gdzie jest, do diabła, lampa? Dajcie ją tutaj! Podano mu lampę lutowniczą i popędził z nią z powrotem ciężko dysząc, w głąb zrujnowanej fabryki, gdzie czekał Morrison. Razem zaczęli się wściekle przebijać przez wypaczoną metalową posadzkę, wypalając zasklepienie warstwy siatki ochronnej.

— Już widać — sapnął Morrison, mrużąc oczy od światła lampy. Płyta odpadła z brzękiem i zniknęła na niższym piętrze. Wokół nich buchnęło białe światło i obaj mężczyźni odskoczyli do tyłu.

W odciętej komorze zaczął się gorączkowy ruch, który odbijał się tu echem: pasy przesuwwały się miarowo, warkotały narzędzia, krzątały się urządzenia nadzorujące. Na jednym końcu linii pojawił się równy ciąg surowców naturalnych, na drugim — spuszczano gotowy produkt, sprawdzano go i pakowano do rury przENOŚNIKA.

Wszystko to widać było tylko przez ułamek sekundy, po chwili bowiem odkryto włamanie. Pojawiły się zespoły robotów. Ich światła zamigotały i poblakły. Linia produkcyjna zastygła w bezruchu, jej wściekła aktywność urwała się zupełnie nagle.

Maszyny kliknęły i ucichły.

Na jednym jej końcu odłączył się pojazd, który popędził następnie do ściany z wyciętą przez O'Neill i Morrisona wyrwą. Zapieczętował ją zapasową płytą, którą natychmiast przyspawał. Nic już nie było widać. Chwilę później podłoga zadrżała i produkcja znowu ruszyła.

Morrison zbladł i zaczął się trząść.

— Co oni robią? Co oni produkują? — zapytał O'Neill.

— W każdym razie broń — odrzekł O'Neill.

— Te rzeczy wysyłają — Morrison gestykułował konwulsyjnie — na powierzchnię.

O'Neill również drżał; podniósł się.

— Czy możemy to zlokalizować?

— Chyba... tak.

— Lepiej to zrobmy. — O'Neill chwycił latarkę i ruszył stroną wiodącą w górę rampy. — Będziemy musieli się dowiedzieć, jakie pociski oni wyrzucają.

Zawór wyjściowy rury przekaźnika był ukryty w plątaninie pnączy i ruin ćwierć mili za fabryką. W kamiennym otworze u podnóża gór zawór sterczał ku niebu jak dysza. Widać go było z odległości dziesięciu jardów; mężczyźni niemal wpadli na niego, zanim go zauważyli.

Co kilka chwil z zaworu wystrzeliwał w niebo pocisk. Dysza obracała się i zmieniała kąt odbicia;

każdy pocisk był wysyłany po troszkę innej trajektorii.

— Jak daleko lecą? — zastanawiał się Morrison.

— Pewnie różnie. Rozsyła je na chybił trafił.

O'Neill ostrożnie zrobił kilka kroków naprzód, ale urządzenie nie zwróciło na niego uwagi. Zgnieciony pocisk wprasował się we wznoszącą się obok kamienną ścianę; przez przypadek dysza wystrzeliła go wprost w górski stok. O'Neill wspiał się tam, wyjął pocisk i zeskoczył.

Pocisk okazał się zmiażdżonym pojemnikiem z mechanicznymi, metalicznymi elementami, zbyt małymi, by obejrzyć je bez mikroskopu.

— To nie broń — stwierdził O'Neill.

Cylinder był pęknięty. Z początku mężczyzna nie potrafił odgadnąć, czy stało się tak z powodu uderzenia, czy zadziałał tu wewnętrzny mechanizm. Ze szczeliny sączył się strumień metalowych drobinek. O'Neill ukucnął i przyjrzał się im.

Drobinki się poruszały. Mikroskopijne urządzenia, mniejsze od mrówek, od szpilek, poruszały się energicznie i w ściśle określonym celu: budowały coś, co przypominało maleńki stalowy prostokąt.

— Budują coś — zauważył z podziwem O'Neill. Wstał i czaił się dalej. Gdy znalazł się z boku, na drugim końcu wąwozu, natrafił na wbity w ziemię pocisk, który był bardzo zaawansowany technologicznie. Widać było, że został wypuszczony jakiś czas temu.

Ten egzemplarz poczynił już takie postępy, że można to było rozpoznać. Choć konstrukcja była maleńka, było w niej coś znajomego. Urządzenie budowało miniaturową repliką zniszczonej fabryki.

— A więc — rzekł w zamyśleniu O'Neill — znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Na lepsze lub na gorsze... tego ni wiem.

— Chyba dotarli już w każde miejsce na Ziemi — zastanawiał się Morrison. — Lądują i zabierają się do dzieła.

O'Neillowi przyszła do głowy pewna myśl.

— Może niektóre z nich są nastawione na osiągnięcie takiej prędkości, by uciec z pola grawitacyjnego. To by było dopiero: sieci zautomatyzowanych fabryk w całym wszechświecie.

Za nim dysza wciąż wyrzucała potoki metalowych nasion.

Przełożył Tomasz Oljasz

CZŁOWIEKIEM JEST...

Do błękitnych oczu Jill Herrick napłynęły łzy. Patrzyła na męża z niewysłowionym przerażeniem. — Jesteś... jesteś odpychający! — załkała.

Lester Herrick pracował dalej, układał sterty notatek i wykresów w zgrabne stosiki.

— Odpychający — oświadczył — to określenie wartościujące. Nie zawiera żadnych obiektywnych informacji. — Biurkowym skanerem wysłał taśmę z raportem na temat pasożytniczych form życia na Centaurze, aż zawarczało. — To tylko opinia. Wyrażenie emocji, nic więcej.

Potykaçąc się, Jill wróciła do kuchni. Apatycznie machnęła ręką, aby uruchomić kuchenkę. Paski przekaźnikowe na ścianie ożywiły się z szumem, pospiesznie przywożąc z podziemnych schowków jedzenie na wieczorny posiłek.

Odwróciła się, żeby ostatni raz spojrzeć mężowi w twarz.

— Nawet na krótką chwilę? — błagała. — Nawet...

— Nawet nie na miesiąc. Możesz mu powiedzieć, kiedy przyjdzie. Jeśli nie masz odwagi, ja to zrobię. Nie mogę pozwolić, by mi tu biegał dzieciak. Mam zbyt wiele pracy. Ten raport na temat Betelgeuse XI ma być gotowy za dziesięć dni. — Lester włożył do skanera szpulę na temat instrumentów do badania skamielin Fomalhauta. — Co się dzieje z twoim bratem? Dlaczego nie może się zająć własnym dzieckiem?

Jill przytykała dłonie do spuchniętych oczu.

— Nie rozumiesz? Ja chcę, żeby Gus tu był. Błagałam ranka, żeby pozwolił mu tu zostać. A teraz ty...

— Będę się cieszył, gdy dorośnie już na tyle, by można go było przekazać rządowi. — Chudą twarz Lestera wykrzywił grymas zniecierpliwienia. — Do diabła, Jill, czy kolacja nie jest jeszcze gotowa? Minęło już dziesięć minut! Co się dzieje z tą kuchenką?

— Już prawie gotowe.

Na kuchence pokazało się czerwone światełko. Robant–kelner wyszedł ze ściany i czekał najedzenie.

Jill usiadła i gwałtownie wydmuchała nos. W pokoju dziennym Lester niewzruszenie pracował dalej. Praca, badania dzień po dniu. Lester robił postępy, nie było co do tego wątpliwości. Jego szczupłe ciało wyginało się niczym zwinięta sprężyna nad skanerem do taśm, zimne oczy gorączkowo zbierały informacje, analizowały, szacowały, jego zdolności konceptualne pracowały jak dobrze naoliwiona maszyna.

Usta Jill drżały z żalu i urazy. Gus... mały Gus. Jak mu powiedzieć? Na nowo jej oczy wezbrały łzami. Już nigdy nie zobaczy puciołowatego chłopczyka. Nigdy nie wróci... bo jego dziecięcy śmiech i zabawy drażniły Lestera. Przeszkadzały w badaniach.

Kuchenka kliknęła i zapaliło się zielone światełko. Jedzenie wysunęło się wprost do rąk robota. Odezwały się delikatne dzwoneczki, które obwieściły kolację.

— Słyszę! — ryknął Lester. Wyłączył skaner i wstał. — Przypuszczam, że przyjdzie, kiedy będziemy jeść.

— Mogę skontaktować się z Frankiem przez wideo i poprosić...

— Nie. Równie dobrze możemy z tym skończyć. — Lester skinął niecierpliwie na robanta. — Dobrze. Postaw to. — Wąskie usta ułożyły się w grymas złości. — Do diabła, nie guzdraj się! Chcę wrócić do pracy!

Jill połknęła łzy.

Mały Gus przyszedł do nich, kiedy kończyli kolację. Jill wydała okrzyk radości.

— Gus! — Podbiegła, by porwać go w ramiona. — Tak się cieszę, że cię widzę!

— Uważaj na mojego tygrysa — wymamrotał Gus. Opuścił małego szarego kotka na dywanik, a ten natychmiast czmychnął i ukrył się pod kanapą. — Chowa się.

Lesterowi rozbłysły oczy, gdy przyglądał się chłopcu i koniuszkowi ogona, który wystawał spod kanapy.

— Dlaczego mówisz, że to tygrys? To tylko dachowiec.

Gus wyglądał na urażonego. Nachmurzył się.

— To tygrys. Ma paski.

— Tygrysy są żółte i o wiele większe. Mógłbyś się już nauczyć rozróżniać rzeczy według ich właściwych nazw.

— Lester, błagam... — odezwała się Jill.

— Cisza — uciał z irytacją jej mąż. — Gus jest już na tyle duży by pozbyć się dziecięcych iluzji i nauczyć się realistycznego spojrzenia na świat. Co się dzieje z tymi testerami psychologicznymi? Czy one nie rozwiązują takich problemów?

Gus podbiegł i chwycił kotka.

— Zostaw go w spokoju.

Lester przyglądał się zwierzęciu. Na jego ustach igrał dziwny, zimny uśmiech.

— Przyjdź kiedyś do laboratorium, Gus. Pokażemy ci mnóstwo kotów. Używamy ich do badań. Koty, świnki morskie, króliki...

— Lester! — zachnęła się Jill. — Jak możesz!

Lester zaśmiał się pod nosem. Nagle urwał i wrócił do pracy.

— A teraz wyjdźcie stąd. Muszę skończyć te raporty. I nie zapomnij powiedzieć Gusowi.

Chłopiec się zainteresował.

— Co powiedzieć? — Policzki mu pokraśniały. — O co chodzi? Coś dla mnie? Sekret?

Serce Jill było ciężkie jak ołów. Opuściła ręce na ramiona dziecka.

— Chodź, Gus. Usiądziemy sobie w ogrodzie i porozmawiamy. Weź... weź swojego tygrysa.

Kliknięcie. Włączył się przekaźnik wideo. Lester natychmiast stanął na nogi.

— Cisza! — Podbiegł do urządzenia, oddychając szybko — Ani słowa!

Jill i Gus znieruchomieli w drzwiach. Z otworu do skrzynki wpadła tajna wiadomość. Lester chwycił ją i złamał pieczęć. Uważnie się jej przyjrzał.

— Co to jest? — zapytała Jill. — Czy to coś złego?

— Złego? — Twarz Lestera jaśniała głębokim wewnętrznym blaskiem. — Nie, absolutnie nic złego. — Spojrzał na zegarek. — Już czas. Chwileczkę, będę potrzebował...

— O co chodzi?

— Wybieram się w podróż. Nie będzie mnie dwa czy trzy tygodnie. Rexor IV na oznaczonym obszarze.

— Rexor IV? Jedziesz tam? — Jill z radości klasnęła w dłonie. — Och, zawsze chciałam zobaczyć stary system stare ruiny i miasta! Lester, czy mogę jechać z tobą? Weźmiesz mnie? Nigdy nie pojechaliśmy na urlop, a obiecałeś...

Lester Herrick przyglądał się swojej żonie w zdumieniu.

— Z tobą? — zapytał. — Jechać z tobą? — Roześmiał się nieprzyjemnie. — Pośpiesz się teraz i przygotuj moje rzeczy. Od dawna na to czekałem. — Zatarł dłonie zadowolony. — Możesz tu

zatrzymać chłopca do mojego powrotu. Ale nie dłużej. Rexor IV! Nie mogę się doczekać!

— Musisz pójść na ustępstwa — powiedział Frank. — W końcu jest naukowcem.

— Nic mnie to nie obchodzi — odrzekła Jill. — Odchodzę od niego. Gdy tylko wróci z Rexora IV. Podjęłam decyzję.

Jej brat nic nie mówił, pograżył się w myślach. Wyciągnął nogi, rozparty na ławce małego ogródka.

— No cóż, kiedy od niego odejdziesz, będziesz mogła znowu wyjść za mąż. Wciąż jesteś sklasyfikowana jako prawidłowa seksualnie, prawda?

Jill pewnie skinęła głową.

— No jasne, że tak. Nie miałabym żadnych problemów. Może znajdę kogoś, kto lubi dzieci.

— Dużo myślisz o dzieciach — zauważył Frank. — Gus uwielbia cię odwiedzać. Ale nie lubi Lestera. Les mu dokucza.

— Wiem. Ostatni tydzień to było prawdziwe niebo, kiedy jego nie było. — Jill pogładziła swoje miękkie blond włosy, rumieniąc się ślicznie. — Dobrze się bawiłam. Znowu poczułam, że żyję.

— Kiedy wraca?

— Lada dzień. — Jill zacisnęła drobne piąstki. — Pobraliśmy się pięć lat temu i z roku na rok jest coraz gorzej. On jest taki... taki nieludzki. Zupełnie zimny i bezwzględny. On i jego praca. Dzień i noc.

— Les jest ambitny. Chce się wspiąć na szczyt w swojej dziedzinie. — Frank leniwie zapalił papierosa. — Idzie po trupach. No cóż, może mu się uda. Czym się zajmuje?

— Toksykologią. Opracowuje nowe trucizny dla wojskowości. Wynalazł wapno z siarczanu miedzi na skórę, którego używali przeciw Callisto.

— To mały obszar. A popatrz na mnie. — Frank z zadowoleniem oparł się o ścianę domu. — Są tysiące prawników od zezwoleń. Mogę pracować latami i nikt tego nie zauważy. Wystarczy mi, że żyję. Robię, co do mnie należy. Odpowiada mi to.

— Chciałabym, żeby Lester miał takie nastawienie.

— Może się zmieni.

— On się nigdy nie zmieni — rzekła z goryczą Jill. — Teraz to wiem. Dlatego postanowiłam odejść od niego. Zawsze będzie taki sam.

Lester Herrick wrócił z Rexora IV zupełnie inny. Rozpromieniony, wręczył swoją walizkę antygravitacyjną czekającemu robantowi.

— Dziękuję — uśmiechnął się. — Dziękuję.

Jill wytrzeszczyła oczy i nic nie mówiła.

— Les! Co...

Lester dotknął dłonią kapelusza i skłonił się lekko.

— Dzień dobry, kochanie. Wyglądasz uroczo. Oczy masz jasne i błękitne. Błyszczą jak dziewicze jezioro zasilane górskimi strumieniami. — Pociągnął nosem. — Czyżby na kominku szykował się wyborny posiłek?

— Och, Lester. — Jill zamrugnęła niepewnie, słaba nadzieja zakwitła w jej sercu. — Lester, co się z tobą stało? Jesteś taki... taki inny.

— Naprawdę, kochanie? — Lester chodził po domu, dotykał przedmiotów i wzdychał. — Jaki

wspaniałą domek. Taki słodki i przyjemny. Nie wiesz, jakie to wspaniałe uczucie być tutaj. Wierz mi.

— Boję się w to uwierzyć — powiedziała Jill.

— W co uwierzyć?

— Że naprawdę tak myślisz. Że nie jesteś taki jak dawniej. Taki, jaki byłeś zawsze.

— To znaczy jaki?

— Podły. Podły i okrutny.

— Ja? — Lester zmarszczył brwi i tarł wargę. — Hm Ciekawe. — Rozpogodził się. — No, ale to wszystko przeszłość. Co mamy na kolację? Aż słabnę z głodu.

Idąc do kuchni, Jill zerknęła nań niepewnie.

— Wszystko, czego zechcesz, Lester. Wiesz, że nasza kuchenka jest nastawiona na maksymalną listę wyborów.

— Oczywiście. — Lester zakasłał nagle. — No, więc może spróbujemy befsztyku z polędwicy, średnio wysmażonego, duszonego w cebulce? Z sosem grzybowym. I białe bułki. Z gorącą kawą. Może lody i jabłecznik na deser.

— Ty nigdy nie zwracałeś specjalnej uwagi na jedzenie — zauważyła w zamyśleniu Jill.

— Och?

— Zawsze powtarzałeś, że masz nadzieję, iż pewnego dnia porcje dożyłne staną się powszechnie dostępne. — Przyjrzała się mężowi uważnie. — Lester, co się stało?

— Nic. Zupełnie nic. — Lester niedbale wziął do ręki fajkę i zapalił ją trochę niezręcznie. Kawałki tytoniu posypały się na dywanik. Schylił się nerwowo, by je pozbiierać. — Zajmij się, proszę, swoimi obowiązkami i nie przejmuj się mną. Może mógłbym ci pomóc przygotować... to znaczy, czy mógłbym ci w czymś pomóc?

— Nie — odrzekła Jill. — Sama to zrobię. Możesz wracać do pracy, jeśli chcesz.

— Do pracy?

— Do twoich badań. Toksyn.

— Toksyny! — Lester wyglądał na zmieszanego. — Och, na nieba! Toksyny. Niech to diabli!

— Co, kochanie?

— No, naprawdę jestem teraz zbyt zmęczony. Później popracuję. — Lester chodził bez celu po domu. — Chyba po prostu usiądę sobie i będę się cieszył z tego, że znowu jestem w domu. Z dala od tego okropnego Rexora IV.

— Czy było okropnie?

— Strasznie. — Po twarzy Lestera przemknął grymas obrzydzenia. — Susza i pustka. Starożytność. Zbita na papkę przez wiatr i słońce. Przeróżające miejsce, kochanie.

— Przykro mi to słyszeć. Zawsze chciałam tam pojechać.

— Niech Bóg broni! — zawołał Lester z emfazą. — Zostań tutaj, kochanie. Ze mną. We... we dwoje. — Jego wzrok błędził po pokoju. — Tak, we dwoje. Ziemia to cudowna planeta. Jest wilgotność i mnóstwo życia. — Rozpromienił się. — Tak jak trzeba.

— Nic nie rozumiem — stwierdziła Jill.

— Powtórz wszystko, co pamiętasz — polecił Frank. Jego robot-skryba czekał w skupieniu. — O zmianach, jakie w nim zauważyłaś. Jestem ciekaw.

— Dlaczego?

— Bez powodu. Mów dalej. Mówisz, że wyczułaś to od razu? Że jest inny?

— Natychmiast to zauważyłam. Wyraz jego twarzy. Nie to surowe, rozsądne spojrzenie. Raczej łagodne. Był odprężony. Wyrozumiał. Taki spokojny.

— Rozumiem — rzekł Frank. — Co jeszcze?

Jill nerwowo zajrzała za tylne drzwi do wnętrza domu.

— Nie usłyszycie nas, prawda?

— Nie, jest w środku i bawi się z Gusem w salonie. Dziś w ludzi—wydry z Wenus. Twój mąż zbudował w swoim laboratorium zjazd dla wydr. Widziałem, jak go rozpakowywał.

— Jego mowa.

— Jego co?

— Sposób, w jaki mówi. Dobór słów. Słów, których nigdy wcześniej nie używał. Zupełnie nowe wyrażenia. Metafory. Nigdy w ciągu pięciu wspólnie spędzonych lat nie słyszałam, Żeby użył jakiejś przenośni. Mawiał, że metafory są nieprecyzyjne. Mylące. I...

— I co?

Pisak robota szurał pracowicie.

— To są dziwne słowa. Stare. Słowa, których już się nie słyszy.

— Archaiczna frazeologia? — W głosie Franka pobrzmiewało napięcie.

— Tak. — Jill chodziła w tę i z powrotem po małym trawniku z rękami w kieszeniach swoich plastikowych szortów. — Takie uroczyste słowa. Jak coś...

— Coś z książki?

— Właśnie! Zauważyłeś to?

— Zauważyłem. — Frank spochmurniał. — Mów dalej.

Jill zatrzymała się.

— Co ci chodzi po głowie? Czy masz jakąś teorię?

— Chcę poznać więcej faktów. Zastanowiła się.

— Bawi się. Z Gusem. Bawi się i żartuje. I... i je.

— A przedtem nie jadł?

— Nie tak jak teraz. Teraz uwielbia jedzenie. Idzie do kuchni i wypróbowuje nieskończenie wiele zestawów. Zasiada przy kuchence i przygotowuje dziwne rzeczy.

— Myślałem, że przytył.

— Dziesięć funtów. Je, uśmiecha się, śmieje się. Zawsze jest uprzejmy. — Jill obróciła się wstydliwie. — Jest nawet... romantyczny! Zawsze mówił, że to jest irracjonalne. I nie interesuje go praca. Badania toksyn.

— Rozumiem. — Frank zagryzł wargę. — Coś jeszcze?

— Jedna rzecz jest dla mnie zagadką. Zauważam to od czasu do czasu.

— Tak?

— Zdaje się mieć zaniki...

Wybuch śmiechu. Z domu wybiegł Lester Herrick z błyszczącymi z radości oczami, a tuż za nim mały Gus.

— Mamy komunikat — ogłosił Lester.

— Komunikat — powtórzył Gus.

Frank złożył notatki i wsunął je do kieszeni płaszcza. Za nimi — robota—skrybę. Podniósł się powoli.

— O co chodzi?

— Ty powiedz. — Lester wziął Gusa za rękę i pociągnął go przed siebie.

Gus zmrużył oczy, jego pulchna twarz wyrażała skupienie.

— Będę z wami mieszkał — oświadczył. Z obawą spojrział na Jill. — Lester mówi, że mogę. Mogę? Mogę, ciociu Jill?

Jej serce wezbrało niewyobrażalną radością. Patrzyła to na Gusa, to na Lestera.

— Czy wy... wy naprawdę tego chcecie? — Ledwo było ją słychać.

Lester objął ją ramieniem i przyciągnął blisko siebie.

— Oczywiście, że tego chcemy — powiedział łagodnie.

Oczy miał ciepłe i rozumiejące. — Nie dręczylibyśmy cię, kochanie.

— Nie dręczyć! — zawołał podniecony Gus. — Koniec z dręczeniem!

On, Lester i Jill objęli się razem.

— Już nigdy!

Frank stał trochę z boku z ponurym wyrazem twarzy. Jill zauważyła to i nagle odłączyła się od męża i bratanka.

— O co chodzi? — zapytała łamiącym się głosem. — Czy coś...

— Jeśli skończyłeś — Frank zwrócił się do Lestera Herricka — chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

Jill poczuła chłód w sercu.

— O co chodzi? Czy ja też mogę iść?

Frank pokręcił przecząco głową. Postąpił groźnie w stronę Lestera.

— No, Herrick. Chodźmy. Wybierzemy się obaj na wycieczkę.

Trzej przedstawiciele Federalnej Agencji Zezwoleń zajęli miejsca obok Lestera Herricka; w pogotowiu trzymali rurki drgawkowe.

Dyrektor Zezwoleń Douglas długo przyglądał się Herrickowi.

— Czy jesteś pewien? — zapytał w końcu.

— Absolutnie — oświadczył Frank.

— Kiedy wrócił z Rexora IV?

— Przed tygodniem.

— I zmiana była zauważalna od razu?

— Jego żona zauważyła to, gdy tylko go zobaczyła. Ni ma wątpliwości, że zdarzyło się to na Rexorze. — Frank zrobił znaczącą pauzę. — I wiesz, co to oznacza.

— Wiem. — Douglas powoli okrążał siedzącego mężczyznę, przyglądając mu się z każdej strony.

Lester Herrick siedział spokojnie: płaszcz miał porządnie złożony i przewieszony przez kolano. Oparł dłonie na lasce zakończonej gałką z kości słoniowej. Twarz miał spokojną i pozbawioną emocji. Miał na sobie miękki szary garnitur stonowany krawat i lśniące czarne buty. Nic nie mówił.

— Ich metody są proste i precyzyjne — rzekł Douglas. — Pierwotna treść psychiczna zostaje wyjęta i zmagazynowana... w swego rodzaju zawieszeniu. Natychmiast następuje wstrzyknięcie substytutu treści psychicznej. Lester Herrick prawdopodobnie myszkował po ruinach miast Rexoru, poza zabezpieczeniami — ekranem tarczowym albo manualnym — i go dopadli.

Siedzący mężczyzna poruszył się.

— Chciałbym skontaktować się z Jill — wymamrotał. — Na pewno bardzo się niepokoi.

Frank odwrócił się z odrazą.

— Boże. On wciąż udaje.

Dyrektor Douglas z najwyższym trudem zachował spokój.

— To rzeczywiście niesamowite. Żadnych zmian fizycznych. Patrząc na to, można się nigdy nie domyślić. — Zbliżył się do siedzącego z zaciętym wyrazem twarzy. — Posłuchaj mnie, jakkolwiek się nazywasz. Czy rozumiesz, co mówię?

— Oczywiście — odpowiedział Lester Herrick.

— Naprawdę sądziłeś, że ci się uda? Innych złapaliśmy, tych, co byli przed tobą. Wszystkich dziesięciu. Jeszcze zanim tu dotarli. — Douglas uśmiechnął się zimno. — Załatwiliśmy ich jednego po drugim miotaczami drgawkowymi.

Kolory zniknęły z twarzy Lestera. Na czole wystąpił pot. Otarł go jedwabną chusteczką, którą wyciągnął z kieszonki na piersiach.

— Och — wymamrotał.

— Nie oszukasz nas. Cała Ziemia została ostrzeżona przed wami, Rexorianami. Dziwię się, że w ogóle wyleciałeś z Rexora. Herrick musiał być wyjątkowo nierozważny. Pozostałych zatrzymaliśmy na statkach. Usmażyliśmy ich w przestworzach.

— Herrick miał prywatny statek — mruknął zatrzymany. — Przylatując, ominął kontrolę. Nie istniały żadne dane na temat jego przybycia. Nigdy go nie skontrolowano.

— Usmażyć to! — ryknął Douglas.

Trzej agenci unieśli rurki i zbliżyli się.

— Nie. — Frank potrząsnął głową. — Nie możemy. To patowa sytuacja.

— O co ci chodzi? Dlaczego nie możemy? Innych usmażyliśmy.

— Złapaliśmy ich w przestrzeni kosmicznej. To Ziemia. Tu stosuje się cywilne, nie wojskowe prawo. — Frank zrobił gest w stronę siedzącego mężczyzny. — A to znajduje się w ludzkim ciele. Podlega normalnym cywilnym prawom. Musimy udowodnić, że to nie jest Lester Herrick... że to reksoriański szpieg. Będzie ciężko. Ale możemy to zrobić.

— Jak?

— Jego żona. Żona Herricka. Jej zeznanie. Jill Herrick może potwierdzić różnice pomiędzy Lesterem Herrickiem a tym czymś. Ona wie... i sądzę, że mogę dopilnować, by to zeznanie trafiło do sądu.

Było późne popołudnie. Frank prowadził swój naziemny krążownik. Ani on, ani Jill nie odzywali się.

— A więc to tak — rzekła wreszcie Jill. Jej twarz zszarzała. Oczy miała suche i lśniące, nie było w nich emocji. — Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. — Próbowała się uśmiechnąć. — A wydawało się tak cudownie.

— Wiem — odpowiedział Frank. — To cholernie głupie. Gdyby tylko...

— Dlaczego? — zapytała Jill. — Dlaczego on... dlaczego to zrobiło coś takiego? Dlaczego zabrało ciało Lestera?

— Rexor IV to stara planeta. Umierająca. Życie tam się kończy.

Teraz sobie przypominam. On... to powiedziało coś takiego. Coś o Rexorze. Że cieszy się, że jest z dala od tego okropnego miejsca.

— Rexorianie to stara rasa. Ta garstka, która jeszcze żyje, jest bardzo słaba. Od wieków próbują migrować. Ale ich ciała są zbyt słabe. Niektórzy usiłowali przenieść się na Wenus... i natychmiast ginęli. Rozpracowali ten układ jakieś sto lat temu.

— Ale to tak dużo wie. O nas. Mówi naszym językiem.

— Niezupełnie. Pamiętaj o zmianach, o których mówiłaś. Dziwna wymowa. Wiesz, Rexorianie mają bardzo ograniczoną wiedzę na temat ludzi. Taki wyidealizowany obraz ukształtowany na podstawie ziemskich przedmiotów, które trafiły na Rexor. Głównie książki. Ich pojęcie o nas bazuje na naszej literaturze sprzed stuleci. Na romantycznych powieściach z naszej przeszłości. Język, zwyczaje z naszych starych książek. — To wyjaśnia tę jego dziwną archaiczność. No tak,

studiowało Ziemię. Ale w sposób pośredni i niewłaściwy. Frank uśmiechnął się z lekką drwiną. — Rexorianie są dwieście lat za nami... a to dla nas dużo. Dzięki temu możemy ich wykryć.

— Czy coś takiego jest... typowe? Czy to się często zdarza? Wydaje się niewiarygodne. — Jill potarła czoło zmęczona. — Jak ze snu. Trudno pojąć, że dzieje się naprawdę. Zaczynam rozumieć, co to oznacza.

— Galaktyka jest pełna obcych form życia. Pasożytniczych i destrukcyjnych jednostek. Ziemską etyka ich nie obejmuje. Musimy się nieustannie strzec takich rzeczy. Lester niczego nie podejrzewał — i to coś przejęło jego ciało.

Frank spojrział na siostrę. Jej twarz niczego nie wyrażała. Była zacięta, ale duże oczy patrzyły spokojnie. Jill siedziała wyprostowana, utkwiała wzrok przed siebie i złożyła małe dłonie na kolanach.

— Możemy zorganizować to tak, żebyś nie musiała stawać przed sądem — mówił dalej Frank. — Możesz nagrać oświadczenie na wideo i to posłuży za dowód. Jestem pewien, że oświadczenie wystarczy. Sądy federalne pomogą nam, na ile będą mogły, ale muszą mieć jakiś dowód, żeby ciągnąć sprawę.

Jill nic nie odpowiadała.

— Co ty na to? — zapytał ją brat.

— Co się stanie, kiedy sąd podejmie decyzję?

— Potraktujemy go miotaczami drgawkowymi. Zniszczymy rexoriański umysł. Ziemski statek patrolowy na Rexorze IV wyśle ekipę, żeby zlokalizowała... ekhm... pierwotną treść.

Jill zachnęła się. Zdumiona zwróciła się do brata:

— Chcesz powiedzieć...

— Och, tak. Lester żyje. W zawieszeniu, gdzieś na Rexorze. W jakichś ruinach dawnego miasta. Będzie trzeba ich zmusić, żeby nam go oddali. Nie zechcą, ale będą musieli. Już tak robili. I ten koszmar, w którym żyjesz, o'dejdziesz w przeszłość.

— Rozumiem.

— Jesteśmy na miejscu.

Krażownik zatrzymał się przed imponującą budowlą Federalnego Budynku Zezwoleń. Frank wyskoczył szybko i otworzył siostrze drzwi. Jill wysiadła powoli.

— W porządku? — zapytał Frank.

— W porządku.

Kiedy weszli do budynku, agenci poprowadzili ich przez bramki straży, a potem długimi korytarzami. Wysokie obcasy Jill wywoływały echo w złowroziej ciszy.

— Co za miejsce — zauważył Frank.

— Nieprzyjazne.

— Uważają je za wspaniałą posterunek policyjny. — Frank zatrzymał się. Przed nimi znajdowały się strzeżone drzwi. — Jesteśmy na miejscu.

— Zaczekaj. — Jill cofnęła się, jej twarz wykrzywił wyraz paniki. — Ja...

— Zaczekamy, aż będziesz gotowa. — Frank dał sygnał agentom, aby ich zostawili. — Rozumiem. To trudna sprawa.

Jill stała przez chwilę z pochyloną głową. Zaczerpnęła głęboko tchu, zacisnęła dłonie. Uniosła podbródek, był sztywny i nieruchomy.

— Już dobrze.

— Jesteś gotowa?

— Tak.

Frank otworzył drzwi.

— Jesteśmy na miejscu.

Dyrektor Douglas i trzej agenci zwrócili się wyczekując w stronę Jill i Franka, gdy ci weszli.

— Dobrze — mruknął z ulgą Douglas. — Zaczynałem się martwić.

Siedzący w pomieszczeniu człowiek podniósł się powoli i wziął swój płaszcz. Mocno złapał laskę zakończoną gałką z kości słoniowej, jego ruchy sygnalizowały napięcie. Nic nie mówił. Patrzył, jak kobieta, a za nią Frank wchodzi do sali.

— To pani Herrick — rzekł Frank. — Jill, to dyrektor zezwoleń Douglas.

— Słyszałam o panu — powiedziała słabym głosem Jill.

— Więc wie pani, na czym polega nasza praca.

— Tak.

— To przykra sprawa. Coś takiego już się zdarzało. Nie wiem, co Frank pani powiedział...

— Wyjaśnił sytuację.

— Dobrze — Douglas poczuł ulgę. — Cieszę się z tego. Niełatwo to wyjaśnić. Rozumie więc pani, czego potrzebujemy. Poprzednie przypadki przechwytywaliśmy w przestrzeni kosmicznej. Potraktowaliśmy ich miotaczami drgawkowymi i odzyskaliśmy pierwotne treści. Tym razem jednak musimy działać legalnymi kanałami. — Wziął do ręki magnetowid. — Będzie nam potrzebne pani oświadczenie, pani Herrick. Ponieważ nie nastąpiła żadna fizyczna zmiana, nie będziemy mieli żadnych bezpośrednich dowodów na poparcie naszej sprawy. Tylko pani zeznanie na temat zmian charakteru możemy przedstawić sądowi. — Podał jej magnetowid. — Pani oświadczenie niewątpliwie zostanie przyjęte przez sąd. Sąd wyda nam pozwolenie i pchniemy sprawę dalej. Jeśli wszystko pójdzie właściwie, mamy nadzieję, że wszystko będzie tak jak przedtem.

Jill patrzyła w milczeniu na mężczyznę, który stał w rogu z płaszczem i laską.

— Przedtem? — zapytała. — Co ma pan na myśli?

— Przed zmianą.

Jill obróciła się ku dyrektorowi Douglasowi. Ze spokojem położyła magnetowid na stole.

— O jakiej zmianie pan mówi?

Douglas zbladł. Obliznął wargi. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na Jill.

— Zmiana w nim. — Wskazał na mężczyznę.

— Jill — warknął Frank. — Co się z tobą dzieje? — podszedł do niej szybko. — Co ty, do diabła, robisz? Dobrze wiesz, o jaką zmianę nam chodzi, do cholery!

— To dziwne — odpowiedziała w zamyśleniu Jill. — Ja nie zauważyłam żadnej zmiany.

Frank i dyrektor Douglas popatrzyli po sobie.

— Nie rozumiem — mruknął oszołomiony Frank.

— Pani Herrick... — zaczął Douglas.

Jill podeszła do stojącego spokojnie w kącie mężczyzny.

— Czy możemy już iść, kochanie? — zapytała. Wzięła go pod rękę. — A może jest jakiś powód, dla którego mój mąż musi tu zostać?

Mężczyzna i kobieta szli w milczeniu ciemną ulicą.

— Chodźmy — odezwała się Jill. — Idziemy do domu.

Mężczyzna spojrzął na nią.

— Ładne dziś popołudnie — powiedział. Zacerpnął tchu, aż powietrze wypełniło mu płuca. — Chyba zbliża się wiosna, prawda?

Jill skinęła głową.

— Nie byłem pewien. Ładny zapach. Rośliny, ziemia i wszystko, co rośnie.

— Tak.

— Będziemy spacerować? Czy to daleko?

— Nie bardzo.

Mężczyzna popatrzył na nią uważnie, z powagą.

— Jestem ci bardzo zobowiązany, kochanie — rzekł.

Kobieta skinęła głową.

— Chcę ci podziękować. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiego...

Jill zwróciła się do niego nagle:

— Jak ci na imię? Jakie jest twoje prawdziwe imię?

Jego oczy zabłyśły. Uśmiechnął się lekko, delikatnie.

— Obawiam się, że nie potrafiłabyś go wymówić. Tych dźwięków nie da się wydobyć...

Jill milczała, gdy szli dalej, oboje zamyśleni. Wszędzie wokoło zapalały się światła miasta.

— O czym myślisz? — zapytał.

— Zastanawiałam się, czy nie mogłabym nadal mówić do ciebie Lester — odpowiedziała. — Jeśli ci to nie przeszkadza.

— Nie przeszkadza — odrzekł. Objął ją ramieniem i przyciągnął blisko siebie. Patrzył na nią czule, kiedy szli w gęstniejącym mroku wśród żółtych plam światła, które wskazywały im drogę. — Mów, jak chcesz. Żebyś tylko była szczęśliwa.

Przełożył Tomasz Oljasz

GDYBY NIE BYŁO BENNY'EGO CEMOLIEGO

Trzej chłopcy pędzili nie zaoranym polem, gdy nagle zakrzyknęli radośnie na widok statku. Wylądował dokładnie tam gdzie się spodziewali, oni zaś pierwsi do niego dotarli.

— Hej, w życiu nie widziałem takiego wielkiego! — Pierwszy wyrostek zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech. — Ten nie jest z Marsa. Musi pochodzić z daleka. Z bardzo daleka, wiem o tym. — Umilkł, zatrwożony rozmiarami statku. Spojrzał w niebo i dostrzegł, że zgodnie z oczekiwaniami wszystkich przybyła cała armada. — Lepiej chodźmy komuś o tym powiedzieć — odezwał się do swoich towarzyszy.

Nieco w tyle, na wzgórzu, przy napędzanej parą limuzynie z szoferem, John LeConte czekał ze zniecierpliwieniem, aż bojler się wreszcie rozgrzeje. Szczeniaki dotarły tam pierwsze, wymamrotał do siebie ze złością. Zamiast mnie. W dodatku dzieciaki były całe w łachmanach. Zwykle wiejskie obdartusy.

— Telefon dzisiaj działa? — spytał swojego sekretarza. Pan Fall zerknął w notatki spięte na sztywnej podkładce.

— Owszem, proszę pana. Czy przekazać wiadomość do Oklahoma City? — Był najbardziej kościstym pracownikiem, jakiego kiedykolwiek przydzielono do biura LeConte'a. Facet najwidoczniej nic w sobie nie wkładał, jedzenie najzwyczajniej w świecie nie interesowało go. Ale był kompetentny.

Ludzie z imigracji powinni usłyszeć o tym skandalu — mruknął LeConte.

Westchnął. To wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. O dziesięciu latach przybyła nareszcie armada z Proximy Centauri, lecz żadne z urzędzeń wczesnego ostrzegania zawczasu nie wykryło jej lądowania. Teraz Oklahoma City będzie musiało stawić czoło przybyszom na własnym terenie — psychologiczna przeszkoda, którą LeConte dotkliwi odczuwał.

Spójrz, jakim dysponują sprzętem; wbijał wzrok w statki handlowe flotylli, które właśnie zaczynały obniżać ładunki. Wyglądamy przy nich jak jacyś cholerni prowincjusze. Chciałby, żeby jego służbowy samochód nie potrzebował dwudziestu minut na rozgrzanie się. Chciałby...

Właściwie to chciałby, żeby CBOM w ogóle nie istniało.

Centauriańskie Biuro Odnowy Miejskiej, zbożny organ z olbrzymią władzą wewnątrz całego układu, w 2170 roku zdobyło informacje o Zajściu, po czym natychmiast wyruszyło w kosmos niczym jakiś fototropowy organizm wrażliwy na zwykłe fizyczne światło wytwarzane przez eksplozje bomby wodorowej. Ale LeConte nie był aż takim naiwniakiem. Organizacje rządowe układu centauriańskiego znały wiele szczegółów tragedii, ponieważ utrzymywały stały kontakt radiowy z pozostałymi planetami Układu Słonecznego. Na Ziemi przetrwało niewiele pierwotnych form życia. Sam pochodził z Marsa. Siedem lat temu stał na czele misji ratunkowej, potem zdecydował się pozostać, ponieważ istniały tu niezliczone możliwości, zważywszy na panujące na Ziemi warunki...

To wszystko jest tak trudne, myślał, wciąż czekając, aż napędzany parą samochód się rozgrzeje. My dotarliśmy tutaj pierwsi, CBOM jednak liczebnie bije nas na głowę. Musimy w końcu pogodzić się z tym nieprzyjemnym faktem. Osobiście uważam, że wykonaliśmy świetną robotę. Oczywiście rzeczywistość nie wygląda jeszcze jak przed... ale dziesięć lat to znowu nie taki kawał czasu. Dajcie nam kolejne dwadzieścia, a na powrót puścimy w ruch koleje. Nasze ostatnie udziały w budowie dróg też całkiem nieźle się sprzedawały, zgłosiło się nawet zbyt wielu chętnych do ich kupna.

— Telefon do pana, z Oklahoma City — odezwał się Fall, z słuchawką przenośnego aparatu w dłoni.

— Mówi Najwyższy Przedstawiciel w Terenie John LeConte — oznajmił głośno LeConte. — Słucham. Proszę mówić.

— Tu kwatery główne Partii — z słuchawki dobiegł go zmieszany z poszumem, ledwie słyszalny, szorstki głos jakiegoś formalisty. — Otrzymaliśmy zgłoszenia od setek zaniepokojonych mieszkańców zachodniej Oklahomy i Teksasu, którzy twierdzą, że ogromna...

— Już tu jest — uciał LeConte. — Widzę ją. Właśnie miałem udać się na rozmowę z jej dowództwem. O zwykłej norze przedłożę szczegółowy raport. Nie musiał się więc pan fatygować, by mnie sprawdzać. — Zezłościł się.

— Czy armada jest silnie uzbrojona?

— Neeee — odparł LeConte. — Wygląda na to, że składa się wyłącznie z biurokratów, handlowców i przewoźników. Innymi słowy, z samych sępów.

— Cóż — zaczął urzędnik Partii — proszę zatem pójść do nich i dać im jasno do zrozumienia, że ich obecność tu jest niepożądana tak przez tubylczą ludność, jak i przez Administracyjną Radę Wspierania Terenów Objętych Wojną. Niech pan ich również poinformuje, że tutejsza legislatura zostanie zobligowana do przyjęcia specjalnej ustawy wyrażającej oburzenie tego typu ingerencjami organizacji wewnątrzukładowej w sprawy miejscowe.

— Wiem, wiem — odpowiedział LeConte. — Przecież to wszystko już ustalono. Wiem.

— Proszę pana, pański samochód jest już gotowy! — zakrzyknął jego szofer.

Biuralista Partii skonkludował:

— Proszę się upewnić, czy aby rozumieją, że pan nie może prowadzić z nimi żadnych negocjacji. Nie jest pan upoważniony do tego, by zagwarantować im prawo wkroczenia na Ziemię. Jedyne Rada może im tego udzielić, lecz oczywiście bezwzględnie się temu sprzeciwia.

LeConte odłożył słuchawkę i pospieszył do samochodu.

Pomimo sprzeciwu lokalnych władz Peter Hood z CBOM-u Postanowił założyć swoje kwatery w ruinach starej ziemskiej stolicy, miasta Nowy Jork. Przysporzy to prestiżu ludziom z CBOM-u, gdy stopniowo będą poszerzali zasięg organizacji. — Oczywiście obejmie on w końcu całą planetę. Ale to potrwa długie dziesięciolecia.

Podczas spaceru wśród ruin niegdyś doskonale prosperującej parowozowni Peter Hood snuł w myślach przypuszczenia, że kiedy zadanie zostanie wypełnione, on sam od dawna będzie już na emeryturze. Niewiele pozostało z kultury jaka kwitła tu w czasach przed tragedią. Lokalne władze polityczne zera, które stadnie przybywały tutaj z Mars i Wenus, jak nazywano sąsiednie planety — też zbyt dużo nie uczyniły. Mimo to jednak podziwiał ich wysiłki.

— Wiecie — zwrócił się do członków swojej załogi, którzy kroczyli tuż za nim — wykonali za nas najcięższą robotę. Powinniśmy być im wdzięczni. Niełatwo przybyć na zupełnie wyniszczone obszary, tak jak oni to zrobili.

— Nieźle im się to opłaciło — zauważył Fletcher, jeden z jego ludzi.

— Motyw nie ma znaczenia. Osiągnęli spore rezultaty. — Myślał o urzędniku, który wyjechał im na spotkanie samochodem napędzanym parą. Rozmowa przebiegała w sposób podniosły i pełen rezerwy. Kiedy przed laty ci tubylcy przybyli tu po raz pierwszy, to ich nikt nie witał, prócz może kilku osmalonych promieniowaniem, poczerniałych niedobitków, którzy wyczołgiwali się z piwnic i wytrzeszczali oślepte oczy. Zadrżał.

Niższy stopniem pracownik CBOM-u zbliżył się do niego i zsalutował.

— Myślę, że udało się nam zlokalizować nie uszkodzoną strukturę, w której tymczasowo można

umieścić pańską załogę. Znajduje się pod ziemią. — Wyglądał na zażenowanego. — Nie jest to niestety to, na co liczyliśmy. Ale musielibyśmy usunąć tubylców, by zdobyć coś bardziej atrakcyjnego.

— Nie trzeba — odparł Hood. — Piwnica wystarczy.

— Ta struktura — ciągnął pracownik CBOM-u — była kiedyś znaczącą homeostatyczną gazetą, „The New York Times”. Drukowano ją tuż pod nami. Tak przynajmniej wynika z map. Nie odnaleźliśmy jeszcze samej gazety. Homeoprasy były zwykle zakopywane na głębokości około min — Nie wiemy też, czy ten zdołał się zachować.

— Ale byłby dość cenny — zauważył Hood.

— Owszem — zgodził się pracownik CBOM-u. — Jego wyloty rozmieszczone są na całej planecie. Z pewnością dzień w dzień wydawał tysiące różnych edycji. Ile wylotów jeszcze funkcjonuje... — urwał. — Aż trudno uwierzyć, że lokalni politycy poczynili żadnych kroków, by doprowadzić któryś z dziesięciu czy jedenastu homeoprasów do użytku, a na to właśnie wygląda.

— Dziwne — przyznał Hood. Oczywiście znacznie ułatwiłby im zadanie. Ponowne zjednoczenie ludzi we wspólną kulturę w pełni zależało teraz od gazet, gdyż jonizacja w atmosferze uniemożliwiała jakikolwiek odbiór radiowy czy telewizyjny. — Rzeczywiście budzi to moje podejrzenia — zwrócił się do załogi. — Czy oni aby na pewno nie dążą do odbudowy? A ich praca nie jest tylko zwykłym pretekstem?

— Może po prostu nie potrafili na nowo uruchomić homeoprasów — odezwała się jego żona, Joan.

Masz rację, pomyślał Hood. Przyda się odrobina wątpliwości.

— Ostatnie wydanie „Timesa” — wtrącił Fletcher — ukazało się zatem w dniu, w którym nastąpiło Zajście. Od tego czasu cała sieć komunikacji prasowej leżała odłogiem. Nie mam za grosz szacunku do tych polityków. Obca im jest znajomość choćby podstaw kultury. Dzięki homeoprasom możemy uczynić więcej, by wskrzesić starą cywilizację, niż oni dzięki swoim dziesięciu tysiącom pożałowania godnych projektów — mówił głosem pełnym pogardy.

— Obyś się nie przeliczył — odparł Hood. — Miejmy nadzieję, że cefalon prasu nie został uszkodzony. Nie mielibyśmy możliwości go wymienić. — Ujrzał przed sobą oczyszczone przez ekipy CBOM-u, ziejące wejście.

Przywrócenie do poprzedniego stanu owej olbrzymiej maszyny miało być jego pierwszym posunięciem tutaj, na zrujnowanej planecie. Kiedy już wznowi dawną działalność, Hood będzie mógł się podjąć kolejnych zadań. Homeopras zdejmie z jego barków spory ciężar.

— Jezu, w życiu nie widziałem tylu pokładów śmieci — wymamrotał robotnik usuwający rumowisko. — Można by pomyśleć, że celowo to zakorkowali. — Piec ssący jarzył się i dudnił w jego dłoniach, gdy absorbował materiał, który Przemieniał w energię, pozostawiając coraz większy otwór.

— Chcę mieć raport o jego stanie najszybciej, jak to możliwe — Hood zwrócił się do inżynierów, którzy czekali by zstąpić w wylot. — Jak długo potrwa przywrócenie go do stanu używalności, ile... — urwał.

Przybyli dwaj mężczyźni w czarnych mundurach. Policja ze statku ochrony. Gdy rozpoznał, że jednym z nich jest Otto Dietrich, wyższy śledczy, który towarzyszył armadzie z Centaurusa, automatycznie poczuł się spięty. Nie on jeden tak reagował — dostrzegł, że inżynierowie i robotnicy przerwali na moment pracę i dopiero po chwili wrócili do swoich zadań.

— Tak — powiedział do Dietricha. — Miło cię widzieć. Przejdźmy na bok i pogadajmy. — Doskonale wiedział, czego chce policjant. Spodziewał się jego wizyty.

— To potrwa tylko minutę, Hood — zaczął Dietrich. — Widzę, że jesteś zajęty. Co tu odkryliście?

— Małe oczka na jego wypielęgnowanym, okrągłym, czujnym obliczu lustrowały otoczenie.

W maleńkim bocznym pomieszczeniu, które tymczasowo służyło za gabinet, Hood stanął twarzą do obu funkcjonariuszy.

— Sprzeciwiam się wszelkim zaskarżeniom — wyszeptał. — Minęło już zbyt dużo czasu. Opuśćcie im.

Dietrich z namysłem szarpał ucho.

— Ale zbrodnie wojenne to zbrodnie wojenne, bez względu na to, ile upłynęło dziesięcioleci — odpowiedział. — Tak czy owak, jakież tu można wysunąć argument? Prawo nakłada na nas obowiązek zaskarżania. Ktoś przecież wywołał tę wojnę. Dziś może zajmować odpowiedzialne stanowisko, ale to bez znaczenia.

— Ile oddziałów policji sprowadziłeś? — spytał Hood.

— Dwieście.

— Możesz zatem zabrać się do pracy.

— Możemy rozpocząć dochodzenia. Konfiskowanie stosownych dokumentów i zakładanie spraw w lokalnych sądach. Jesteśmy też gotowi wymusić współpracę, jeśli to masz na myśli. Doświadczony personel został już wysłany do najważniejszych miejsc. — Dietrich obrzucił go wzrokiem. — To wszystko niezbędne czynności. Nie widzę żadnego problemu. Czyżbyś zamierzał osłaniać winowajców... zużytkować ich tak zwane umiejętności dla swojej załogi?

— Nie — odpowiedział spokojnie Hood.

— W wyniku Zajścia zginęło blisko osiemdziesiąt milionów ludzi — ciągnął Dietrich. — Jak możesz o tym zapominać? A może dlatego, że byli zwykłymi tubylcami, których osobiście nie znaleźliśmy...

— Nie o to chodzi — uciął Hood. Zdawał sobie sprawę, że to beznadziejne. Mentalność policji zawsze była mu obca. — Przedstawiłem już swoje obiekcje. Uważam, że po tylu latach urządzanie procesów i wykonywanie wyroków jest bezcelowe. Nie prosz mnie o zgodę na udział mojej załogi. Odmówię na podstawie tego, że w obecnej chwili potrzebuję każdej pary rąk, nawet dozorczy. Wyrażam się jasno?

— Wy idealiści — westchnął Dietrich. — Stoi przed nami szlachetne zadanie... odbudowy, tak? Ale nie widzicie, czy też nie chcecie widzieć, że pewnego dnia ci ludzie na nowo rozpętają tu piekło, chyba że teraz podejmiemy odpowiednie kroki. Jesteśmy to winni przyszłym pokoleniom. Musimy być nieugięci w najbardziej humanitarny sposób, na długą metę. Powiedz mi, Hood. Co to za miejsce? Cóż to z takim wigorem wskrzeszacie?

— „The New York Times” — odparł Hood.

— Zakładam, że ma katalog danych? Możemy skorzystać z jego informacji? Byłyby dla nas nieocenionym źródłem dowodów.

— Nie mam prawa odmówić ci dostępu do materiałów, które odkrywamy — przyznał Hood.

— Szczegółowa relacja z wydarzeń politycznych, które doprowadziły do wybuchu wojny, byłaby dość interesująca — powiedział Dietrich z uśmiechem. — Kto, na przykład, był u władzy w Stanach Zjednoczonych podczas Zajścia? Wszyscy, z którymi dotąd rozmawialiśmy, zdają się nie pamiętać. — Wyszczrzył zęby w szerszym uśmiechu.

Nazajutrz wczesnym rankiem raport korpusu inżynierów znalazł się w gabinecie Hooda. Źródło zasilania gazety zostało doszczętnie zniszczone. Ale cefalon, struktura mózgowia, która sterowała

układem homeostatycznym, wydawała się nietknięta. Gdyby sprowadzić w pobliże jakiś statek, źródło jego energii mogłoby być zintegrowane z obwodami gazety. Dopiero potem miało się pojawić szczegółów.

— Innymi słowy — zwrócił się Fletcher do Hooda, kiedy siedzieli z Joan przy śniadaniu — może się udać albo i nie. Bardzo pragmatyczne. Podłączają pan, a jeśli nie zadziała to trudno, pan wykonał swoją robotę. Co jeśli rzeczywiście nie zadziała? Czy inżynierowie zamierzają się poddać?

Hood wlepił wzrok w filiżankę.

— Smakuje jak autentyczna kawa. — Zamyślił się. — Powiedz im, by sprowadzili tu statek i włączyli homeopras. Jeżeli zaczniesz drukować, natychmiast przynieś mi egzemplarz. — Upił łyk kawy.

Gdy po godzinie w pobliżu wylądował jeden ze statków flotyli, jego źródło zasilania zostało bezzwłocznie umieszczone w homeoprasie. Podłączono kable, zabezpieczono obwody.

W gabinecie Petera Hooda rozległ się nagle niski turkot, powolne, niepewne poruszenie, dobiegające gdzieś z głębi ziemi. Udało się. Gazeta wracała do życia.

Kiedy zaaferowany pracownik CBOM-u położył wreszcie egzemplarz na jego biurku, gazeta zaskoczyła go swoją dokładnością. Nawet w stanie uśpienia zdołała jakoś pozostać na bieżąco z wydarzeniami. Jej receptory wciąż działały.

LĄDOWANIE CBOM-U, DZIESIĘCIOLETNIA PODRÓŻ, PLANY UTWORZENIA CENTRALNEJ ADMINISTRACJI

Dokładnie dziesięć lat po Zajściu, nuklearnym holokauście, wewnątrzukładowa agencja rehabilitacyjna, CBOM, zstąpiła na powierzchnię Ziemi z istniej armady statków — widok, który naoczni świadkowie opisują jako „przytłaczający tak swoim zasięgiem, jak i znaczeniem”. Pracownik CBOM-u, Peter Hood, powołany przez władze centauriańskie na stanowisko głównego koordynatora, bez chwili zwłoki założył kwatery w ruinach Nowego Jorku i oświadczył podczas rozmów ze swoimi pomocnikami, że przybył tu „nie po to, by ukarać winnych, lecz by za pomocą wszelkich dostępnych środków wskrzesić kulturę planety oraz powołać...”

Niesamowite, pomyślał Hood, czytając artykuł wstępny. Macki homeoprasa wtargnęły w jego własne życie, przetrwały a potem umieściły w artykule redakcyjnym dyskusję, jaką odbył z Dietrichem. Gazeta bezustannie wykonywała swoje zadanie. Nie umknęło jej nic godnego uwagi, nawet poufna rozmowa przeprowadzona bez świadków. Będzie musiał zachowywać podwójną ostrożność.

Bez zdziwienia zauważył, że kolejny artykuł, złowróźbny w swej wymowie, opisuje przybycie czarnych szakali, policji.

AGENCJA OCHRONY BIERZE ZA CEL
„ZBRODNIARZY WOJENNYCH”

Kapitan Otto Dietrich, szef wydziału dochodzeniowego, przybyły wraz z CBOM-em z Proximy Centauri, oświadczył dziś, że odpowiedzialni za Zajście sprzed dekady „będą musieli zapłacić za swoje zbrodnie” przed wymiarem centauriariskiej sprawiedliwości. Dwieście umundurowanych na czarno oddziałów policji rozpoczęło już działalność dochodzeniową, która ma na celu...

Gazeta ostrzegała Ziemię przed Dietrichem, toteż Hood nie mógł powstrzymać uczucia ponurej satysfakcji. „Times” nie został założony po to, by służyć wyłącznie okupującej hierarchii. Służył wszystkim, nawet tym, którym Dietrich zamierzał wytoczyć procesy. Na łamach gazety bez wątpienia pojawi się szczegółowy opis każdego kroku policji. Die — trichowi, który pracował zwykle w tajemnicy, z pewnością się to nie spodoba. Ale decyzja o utrzymaniu maszyny należała do Hooda.

A on był daleki od jej wyłączenia.

Jego uwagę przyciągnął kolejny artykuł na pierwszej stronie. Marszcząc brwi, przeczytał go z ukłuciem niepokoju.

ZWOLENNICY CEMOLIEGO URZĄDZAJĄ ZAMIESZKI W NOWYM JORKU

Poplecznicy Benny’ego Cemoliego, zebrani w namiotowych Piastach kojarzonych z ową barwną postacią polityczną, starli się z lokalnymi mieszkańcami. W wyniku dwugodzinnej potyczki na młotki, szufle i deski, której zwycięstwo przypisują sobie obie strony, rannych zostało dwadzieścia osób, kilkanaście zaś poddano hospitalizacji w pośpiesznie zorganizowanych punktach pierwszej pomocy. Cemoli, ubrany jak zwykle w przypominające togę, czerwone szaty, udał się z wizytą do rannych, gdzie widocznie w doskonałym nastroju żartował i oznajmiał swoim zwolennikom, że „to już nie potrwa długo”, co stanowi oczywiste odniesienie do pogrózek, że jego organizacja urządzi w niedalekiej przyszłości marsz na Nowy Jork, by zaprowadzić tam „sprawiedliwość społeczną i prawdziwą równość po raz pierwszy w historii świata”. Warto przypomnieć, że przed jego uwięzieniem w San Quentin...

Hood wdusił przycisk interkomu.

— Fletcher, sprawdź, czy na północy stanu doszło do jakichś rozruchów. Dowiedz się, czy nie odbywa się tam żadna agitacja polityczna.

— Ja również czytałem „Timesa” — rozbrzmiał głos Fletchera. — Mam właśnie przed sobą artykuł o tym Cemolim. Statek jest już w drodze. Za jakieś dziesięć minut powinienem otrzymać raport — urwał. — Myśli pan... że trzeba będzie sprowadzić ludzi Dietricha?

— Miejmy nadzieję, że obejdzie się bez tego — odpowiedział oschle Hood.

Kiedy pół godziny później Fletcher zdał mu relację załogi statku, Hood zbity z tropu poprosił, by jeszcze raz ją przedstawił. Ale pomyłka nie wchodziła w rachubę. Zespół CBOM-u przeprowadził gruntowne dochodzenie. Nie natrafił na najmniejszy ślad żadnego zgromadzenia ani namiotowego miasta. Mieszkańcy tego rejonu, których przesłuchiwali, nigdy nie słyszeli o człowieku nazwiskiem

Cemoli. Nic nie wskazywało też na to, by rozegrała się tam jakaś bójka; nie było rannych, punktów pierwszej pomocy. Jedynie spokojne, uśpione sioło.

Hood, skonfundowany, po raz wtóry przeczytał artykuł w „Timesie”. Widniał na pierwszej stronie, czarno na białym, obok wiadomości o wylądowaniu armady. Cóż to mogło oznaczać?

Nie podobało mu się to.

Czyżby błędem było uruchomienie wspaniałej, starej, homeostatycznej gazety?

Tej nocy z głębokiego snu wyrwał go stłumiony szczeł, natarczywy hałas, który nasilał się, gdy Hood usiadł na łóżku, mrugając w zakłopotaniu powiekami. Maszyneria wyła pod ziemią. Słyszał głośnie, huczące poruszenie, kiedy w odpowiedzi na instrukcje z centrum systemu, obwody wpasowywały się we właściwe miejsca.

— Proszę pana — rozległ się w ciemności głos Fletchera.

Włączył światło, gdy w końcu udało mu się natrafić na prowizoryczną górną lampę. — Pomyślałem, że powinienem pana zbudzić. Przepraszam, panie Hood.

— Nie śpię — mruknął Hood. Wstał z łóżka, włożył szlafrok i pantofle. — Co on wyprawia?

— Drukuje dodatek nadzwyczajny — wyjaśnił Fletcher.

Joan usiadła i zaczesła do tyłu zmierzwione, jasne włosy.

— Boże na niebiosach. O czym? — Powiodła wzrokiem od męża do Fletchera.

— Będziemy musieli sprowadzić tu lokalne władze — odezwał się Hood. — Rozmówić się z nimi. — Intuicyjnie zgadywał, czego dotyczy ów nadzwyczajny ryk maszyny. — Ściągnij LeConte’a, tego polityka, który po wylądowaniu wyjechał nam na spotkanie. Obudź go i natychmiast tutaj doprowadź. Jest nam potrzebny.

Przyprowadzenie hardego miejscowego potentata i członka jego załogi zajęło prawie godzinę. Z oburzeniem wymalowanym na obliczach, w końcu łaskawie stawili się w gabinecie Hooda w szykownych uniformach. Stanęli w milczeniu twarzą do Hooda, czekając, co im powie.

Hood siedział za biurkiem w szlafroku i pantoflach, z egzemplarzem dodatku „Timesa” przed sobą. Czytał go po raz kolejny, gdy LeConte ze swoim pracownikiem wkroczyli wreszcie do środka.

NOWOJORSKA POLICJA DONOSI, ŻE LEGIONY
CEMOLIEGO POSUWAJĄ SIĘ W KIERUNKU MIASTA
WZNIESIONO BARYKADY
GWARDIA NARODOWA W POGOTOWIU

Odwrócił gazetę i pokazał nagłówki dwóm Ziemianom.

— Kim jest ten człowiek? — spytał.

— Nnnie mam pojęcia — wyjąkał po chwili LeConte.

— Niech pan nie udaje, panie LeConte — zachnął się Hood.

— Może mi pan pokazać ten artykuł? — poprosił nerwowo LeConte. Trzęsącymi się rękoma chwycił gazetę i szybko przebiegł go wzrokiem. — Ciekawe — wycedził. — Ale nic mi na ten temat nie wiadomo. Pierwsze słyszę. Musi pan zrozumieć, że od czasu Zajścia nasza komunikacja praktycznie nie istniała, całkiem możliwe więc, że utworzyła się jakaś organizacja polityczna za naszymi...

— Proszę — uciął Hood. — Niech pan nie robi z siebie błazna.

LeConte poczerwieniał i wykrztusił:

— Robię, co mogę, zerwany z łóżka w środku nocy.

Przed wejściem do gabinetu nagle zawrzało, po czym do środka wpadł ponury Dietrich.

— Hood — zaczął, nie siląc się na wstęp — obok moich kwater stoi kiosk z „Timesem”. Właśnie ukazało się tam to. — Wyciągnął egzemplarz dodatku. — Ten cholerny złom to powieła i rozprawdza po całym świecie, nie? Ale przecież rozlokowałem na tym terenie drużyny badawcze, które absolutnie niczego nie zgłaszają, żadnych blokad, żadnych marszów, kompletnie żadnych rozruchów.

— Wiem — odparł Hood. Poczul zmęczenie. A gdzieś pod nimi ciągle rozlegał się głęboki turkot, gazeta drukowała swój dodatek, informując świat o marszu zwolenników Benny’ego Cemoliego na Nowy Jork — nie istniejącym marszu, najwidoczniej spreparowanym wyłącznie wewnątrz cefalonu gazety.

— Wyłącz ją — domagał się Dietrich.

Hood potrząsnął głową.

— Nie. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej.

— Nie ma czego — stwierdził Dietrich. — Musi mieć jakiś defekt. Bardzo poważne uszkodzenie. Nie funkcjonuje należycie — Gdzie indziej będziesz musiał poszukać swojej i propagandy. — Cisnął gazetę na biurko Hooda.

— Czy Benny Cemoli prowadził aktywną działalność przed wojną? — zwrócił się do LeConte’a Hood.

Zaległa cisza. LeConte i jego asystent, pan Fall, pobledli, wyraźnie zaniepokojeni. Stali z zaciśniętymi wargami i rzucali na siebie ukradkowe spojrzenia.

— Nie znam się za bardzo na sprawach policji — Hood spojrzął na Dietricha — ale sądzę, że spokojnie mogę ci ustąpić miejsca.

— Zgadzam się — przejął pałeczkę Dietrich. — Obaj jesteście aresztowani. Chyba że zechcecie opowiedzieć nam nieco szerzej o tym agitatorze w czerwonej todze. — Skinął na dwóch funkcjonariuszy, którzy stali przy drzwiach. Posłusznie wystąpili naprzód.

Gdy dwaj policjanci się zbliżyli, LeConte wydukał:

— Jeśli już o tym pomyśleć, to chyba był ktoś taki. Ale... to pionek.

— Przed wojną? — spytał Hood.

— Tak. — LeConte pokiwał wolno głową. — Zwykle zero. Jeżeli sobie dobrze przypominam, a to naprawdę trudne... tłusty, nierozgarnięty klaun gdzieś z ostępów. Miał małą stację radiową, na której nadawał. Rozprawdzał jakieś pudełka przeciwko promieniowaniu, które instalowało się w domu dla ochrony przed pyłem radioaktywnym po testach bombowych.

— Pamiętam — odezwał się pan Fall. — Kandydował nawet w wyborach do senatu ONZ. Lecz naturalnie został pokonany.

— Później nigdy już o nim nie słyszano? — dopytywał się Hood.

— Och, tak — rzekł LeConte. — Niedługo potem zmarł na azjatycką grypę. Nie żyje od piętnastu lat.

Hood unosił się niemrawo w helikopterze nad terenem opisanym w artykule „Timesa” i nigdzie nie dostrzegał żadnego śladu rozruchów politycznych. Nie czuł się do końca przekonany, dopóki na własne oczy nie zobaczył, że gazeta utraciła wszelki kontakt z rzeczywistością. Sytuacja w

najmniejszym stopniu nie odpowiadała nowinkom „Tiniesa” nie ulegało wątpliwości. Mimo to jednak... system homeostatyczny dostarczał coraz to nowych wiadomości. Obok niego siedziała Joan.

— Mam tu trzeci artykuł, jeśli chcesz go przejrzeć. — Kartkowała najnowsze wydanie gazety.

— Nie — warknął Hood.

— Podobno dotarli już na peryferie miasta — nie zrażała się Joan. — Przedarli się przez barykady policji, a gubernator apeluje o pomoc do ONZ.

— Mam pewien pomysł — odezwał się z namysłem Fletcher. — Jeden z nas, najlepiej pan, panie Hood, powinien napisać do „Timesa” list.

Hood obrzucił go wzrokiem.

— Mogę panu nawet powiedzieć, jak powinien brzmieć — ciągnął Fletcher. — Niech to będzie niewinne pytanie. Śledził pan poczynania Cemoliego w gazecie. Poinformuje pan edytora — zawahał się — ze się z nim solidaryzuje i chciałby dołączyć do jego organizacji. Wystarczy zapytać gazetę jak.

Innymi słowy, mam poprosić pismo, by skontaktowało mnie z Cemolim, rozważał w duchu Hood. Nie mógł nie podziwiać pomysłu Fletchera. Był genialny, na swój szalony sposób. Jak gdyby Fletcher poprzez celowe odstąpienie od zdrowego rozsądku potrafił dostosować się do obłędu maszyny. Weźmie udział w uludzie gazety. Jeśli przyjąć, że istnieje Cemoli oraz marsz na Nowy Jork, postawi całkiem sensowne pytanie.

— Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało idiotycznie, ale czy w ogóle można posłać do homeoprasa list? — spytała Joan.

— Sprawdziłem to — wyjaśnił Fletcher. — Przy każdym kiosku, obok otworu na monety, gdzie się płaci za gazetę, jest też otwór na listy. Tego wymagało prawo, kiedy wiele lat temu po raz pierwszy instalowano homeoprasę. Potrzebujemy jedynie podpisu pani męża. — Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kopertę. — List już gotowy.

Hood odebrał list, przebiegł go wzrokiem. Pragniemy dołączyć do zgrai mitycznego tłustego klauna, wymam — Totel do siebie.

— Czy przypadkiem nie ukaże się w gazecie nagłówek SZEF CBOM-U WSTĘPUJE W SZEREGI MARSZU NA STOLICĘ ZIEMI? — spytał Fletchera z uczuciem gorzkiego zbawienia. — Czy sumienny homeopras z inicjatywą nie umieści tego typu listu na tytułowej stronie?

Fletcher najwidoczniej przeoczył tę kwestię. Wyglądał na zmartwionego.

— Chyba rzeczywiście lepiej, żeby ktoś inny go podpisał — przyznał. — Osoba z pańskiej załogi na jakimś niższym stanowisku. Ja mógłbym to zrobić — zaproponował.

— To na co czekasz? Ciekawe, jaką da odpowiedź, jeżeli w ogóle ją da.

Listy do edytora, pomyślał. Listy do ogromnego, złożonego, elektronicznego organizmu, zakopanego gdzieś głęboko w ziemi, nie odpowiedzialnego przed nikim, sterowanego wyłącznie przez własne obwody. Jak zareaguje na to zewnętrzne usankcjonowanie jego uludy? Czy nagle załapie na nowo kontakt z rzeczywistością?

Wygląda to tak, jak gdyby przez te wszystkie lata wymuszonego milczenia gazeta śniła, myślał, teraz zaś, rozbudzona, obok wiernych, sprawdzalnych relacji z prawdziwych wydarzeń materializowała na swoich stronach cząstki dawnych snów. Mieszanka wymysłów i ścisłych, precyzyjnych sprawozdań. Które z nich ostatecznie zatriumfuje? Rozwijająca się historia Benny'ego Cemoliego najwidoczniej ukaże wkrótce odzianego w togę szarlatana na ulicach Nowego Jorku. Marsz odnosi sukcesy. A potem co? Jakże można go pogodzić z obecnością CBOM-u, z jego olbrzymią władzą i Potęgą wewnątrzukładową? Homeoprasowi przyjdzie niedługo stawić czoło tej niezgodności.

Jeden z dwóch rodzajów relacji będzie musiał ustąpić, Hood miał jednak niepokojące wrażenie, że homeopras, który śnił przez blisko dekadę, tak łatwo nie zrezygnuje ze swoich fantazji.

A może, dumał, wiadomości o nas, o CBOM-ie i jego gadaniu odbudowy Ziemi znikną ze stron „Timesa”, każdego dnia będzie im się poświęcało coraz mniej miejsca, dalej i dalej w gazecie. Aż w końcu pozostaną tylko wyczyny Benny’ego Cemoliego.

Nie była to miła perspektywa. Głęboko nim poruszyła Jak gdybyśmy byli realni jedynie dopóty, dopóki pisze o nas „Times”, myślał, jak gdyby nasza egzystencja w pełni od niego zależała.

Dwadzieścia cztery godziny później „Times” opublikował list Fletchera w swojej regularnej edycji. W druku uderzył Hooda jako błahy i kiepski — homeopras z pewnością nie da się na niego nabrać, ale oto był. Zdołał przebrnąć przez wszystkie etapy przetwarzania.

Szanowny Edytorze,

Opis heroicznego marszu na Nowy Jork, ową ostoję dekadencji i plutokracji, rozpałił mój entuzjizm. W jaki sposób zwykły obywatel może stać się częścią tej tworzącej się historii? Proszę o bezzwłoczną odpowiedź, gdyż Z niecierpliwością wyczekuję momentu wstąpienia w szeregi organizacji bohaterskiego Cemoliego, by wraz z innymi znosić rygory i świętować triumfy.

*Szczerze oddany,
Rudolf Fletcher*

Pod listem homeopras zamieścił odpowiedź. Hood przeczytał ją szybko.

Siedziba rekrutacji prowadzona przez zwolenników Cemoliego mieści się w centrum Nowego Jorku. Adres: 460 Bleekman St., Nowy Jork 32. Może się pan tam zgłosić Jeżeli policja nie stłumiła jeszcze ich na poły legalnej działalności, zważywszy na obecny kryzys.

Hood wcisnął przycisk na biurku i uzyskał bezpośrednie połączenie z kwaterami policji. Kiedy zgłosił się główny śledczy, powiedział:

— Dietrich, potrzebuję grupę twoich ludzi. Wybieramy się na pewną wycieczkę, podczas której może dojść do kłopotów.

— Więc to nie tylko szlachetne krzewienie cywilizacji — odrzekł sucho Dietrich po krótkiej przerwie. — Cóż, posłaliśmy już jednego z naszych ludzi, by miał na oku ten adres na Bleekman Street. Jestem pełen uznania dla twojego planu wysłania listu. To chyba nareszcie przesądzi sprawę — Zachichotał.

Wkrótce Hood wraz z czterema centauriańskimi policjantami w czarnych mundurach leciał helikopterem nad ruina — Nowego Jorku w poszukiwaniu tego, co niegdyś było Bleekman Street. Po jakiejś półgodzinie za pomocą map zdołali określić swoje położenie.

— Tam — wskazał kapitan drużyny. — To musi być tam, gdzie ten budynek sklepu spożywczego. — Helikopter zaczął się obniżać.

Był to najzwyklejszy pod słońcem sklep spożywczy. Hood nie dostrzegł żadnych oznak

działalności politycznej, żadnych włóczących się typków, żadnych flag ani transparentów. Mimo to jednak — za tą powszednią sceną, za skrzyniami warzyw wystawionych na chodniku, za wyniszczonymi kobietami w płóciennych płaszczach przebierającymi w zimowych ziemniakach, za starszawym właścicielem w białym fartuchu, który zamiatał podłogę miotłą, zdawało się czaić coś złowróbnego. Wyglądało to zbyt naturalnie, zbyt spokojnie. Zbyt zwyczajnie.

— Łądujemy? — spytał go kapitan.

— Tak — odparł. — Bądźcie w pogotowiu. Właściciel zauważył, jak lądują na ulicy przed sklepem, ostrożnie odłożył miotłę i zbliżył się do nich statecznym krokiem. Hood poznał, że jest Grekiem. Miał sumiaste wąsy i lekko falujące siwe włosy. Wpatrywał się w nich z wrodzoną rezerwą, momentalnie odgadując, że nie przybyli w dobrych intencjach. Ale postanowił przywitać ich grzecznie. Nie bał się.

— Panowie. — Grecki sklepikarz ukłonił się lekko. — Czym mogę służyć? Jego oczy błądziły po czarnych uniformach centauriańskiej policji, twarz jednak pozostawała bez wyrazu, bez reakcji.

— Przybyliśmy zaaresztować agitatora politycznego — wyjaśnił Hood. — Pan nie ma się czego obawiać. — Ruszył w kierunku sklepu; policjanci z bronią w ręku poszli w jego ślady.

— Agitator polityczny tutaj? — wypierał się Grek. — Ależ to niemożliwe. — W nagłym zaniepokojeniu niezgrabnie pospieszył za nimi. — Cóż ja takiego zrobiłem? Zupełnie nic. Możecie się rozejrzeć. Proszę bardzo. — Uchylił drzwi do sklepu i gestem zaprosił ich do środka. — Sami się przekonajcie.

— To właśnie zamierzamy zrobić — przerwał mu Hood. Zwinnie przemierzył sklep i przeszedł bezceremonialnie na tyły pomieszczenia.

Miał przed sobą zaplecze, magazyn z kartonami puszek i pudełek upchanymi po każdej stronie. Jakiś młodzieniec robił właśnie inwentaryzację. Kiedy wkroczyli, podniósł przestraszony wzrok. Niczego tu nie znajdziemy, pomyślał Hood. Syn właściciela przy pracy, ot co. Odkrył pierwszy z brzegu karton i zerknął do środka. Puszki z brzoskwiniami. A obok skrzynka sałaty. Oderwał liść z poczuciem daremności i... rozczarowania.

— Nic, proszę pana — poinformował go kapitan.

— Widzę — odburknął zezłoszczony Hood.

Drzwi na prawo prowadziły do schowka. Otworzył je i ujrzał miotły, zmywak, cynkowane wiadro, pudła detergentów. I...

Na podłodze widniały krople farby.

Całkiem niedawno schowek musiał zostać przemalowany. Kiedy Hood się pochylił i podrapał, odkrył, że farba jest wciąż lepka.

— Spójrz na to — przywołał kapitana policji.

— O co chodzi, panowie? — dopytywał się nerwowo Grek. — Znajdujecie pyłek kurzu i zgłaszacie to do wydziału zdrowia, co? Klienci się skarżyli... powiedzcie mi, proszę, prawdę. Owszem, to świeża farba. U nas wszystko jak spod igły. Czyżby nie leżało to w publicznym interesie?

Kapitan przejechał dłońmi po ścianie schowka, po czym wyszeptał:

— Panie Hood, tu było kiedyś wejście. Zamurowane dość niedawno. — Spojrzał na Hooda, oczekując instrukcji.

— Wchodzimy — polecił Hood.

Kapitan odwrócił się do swoich podwładnych i wydał serię rozkazów. Z samolotu przyniesiono sprzęt. Gdy policjanci zaczęli kruszyć warstwę drewna i tynku, obok rozległ się żałosny jęk.

— Skandal. Zaskarżę was! — krzyczał pobladły Grek.

— Pewnie — zgodził się Hood. — Pozwij nas do sądu.

Odpadła część ściany. Runęła do środka z głośnym hukiem, przy czym okruchy gruzu rozsypały się po podłodze. W powietrzu wzbijała się chmura białego pyłu, by po chwili opaść.

Pomieszczenie, któremu Hood przyglądał się w świetle policyjnych latarek, było nieduże. Zakurzone, pozbawione okien, o stęchłym, zastołym zapachu... od długiego czasu nikt tu nie przebywał, zdał sobie sprawę, wchodząc ostrożnie do środka. Było puste. Zwyczajny, nie używany magazyn z łuszczącymi się, odrapanymi ścianami. Być może przed Zajściem sklep potrzebował większego zaplecza. Wtedy dostępnych było więcej towarów, teraz jednak dodatkowy magazyn był zbędny. Hood okrążał pomieszczenie, wodził smugą światła od sufitu ku podłodze. Martwe muchy, pogrzebane tu... a także kilka żywych, które pełzały nieporadnie w pyle.

— Proszę pamiętać — odezwał się kapitan — że to zostało zamurowane w ciągu ostatnich trzech dni. A przynajmniej pomalowane, o ile nam wiadomo.

— Te muchy — mruknął Hood. — Nawet nie są jeszcze martwe. — Nie mogły to więc być trzy dni. Pewnie zamurowano je raptem wczoraj.

Do czego służył ten pokój? Odwrócił się do Greka, który mrugając niespokojnie powiekami, spięty i blady, wszedł za nimi. To bystry człowiek, ocenił Hood. Niewiele z niego wyciśniemy.

W odległym rogu światło policyjnej latarki wydobyło z mroku szafkę, puste półki z nie ociosanego drewna. Hood ruszył w jej kierunku.

— Dobra — powiedział ochryple Grek. — Przyznaję. Składowaliśmy tu dżin z Przemytu. Przepłoszyliście nas. Wy, Centaurianie... — Ogarnął wszystkich wzrokiem, którym czał się strach. — W niczym nie przypominacie naszych miejscowych szefów. Znamy ich, rozumieją nas. Wy! Do was nie sposób dotrzeć. Ale przecież trzeba z czegoś żyć. — Rozłożył ręce w niemej prośbie.

Ze skraju szafki coś wystawało. Prawie niewidoczne można było to z łatwością przeoczyć. Kartka papieru, która tam upadła, niemalże zupełnie poza zasięgiem wzroku. Z czasem zagłębiła się coraz bardziej. Hood chwycił ją i ostrożnie wyciągnął. Wysunęła się bez problemu.

Grek zadrżał.

Hood spostrzegł, że to zdjęcie. Przedstawiało topornego mężczyznę w średnim wieku z obwisłymi, porośniętymi czarną szczeciniastą brodą policzkami, zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi buntowniczo wargami. Potężnego mężczyznę, ubranego w swoistego rodzaju uniform. Dawniej ta fotografia wisiała na murze, ludzie zaś przychodzili, by nań spojrzeć i oddać cześć. Wiedział, kogo przedstawia. Benny'ego Cemoliego u szczytu politycznej kariery, przywódcę spoglądającego z goryczą na swoich zwolennikowi. Więc tak wyglądał ten człowiek.

Nic dziwnego, że „Times” okazywał takie zaniepokojenie.

— Powiedz mi, czy to ci coś przypomina? — spytał greckiego sklepikarza, wyciągając zdjęcie.

— Nie, nie — zaprzeczył Grek. Otarł pot z czoła olbrzymią, czerwoną chusteczką. — Skądże znowu. — Bez wątplenia jednak przypominało.

— Jesteś zwolennikiem Cemoliego, nieprawdaż? — indagował Hood.

Mężczyzna milczał.

— Zabrać go — rozkazał Hood kapitanowi policji. — Wycofujemy się. — Wyszedł z pomieszczenia ze zdjęciem w dłoni.

Nie jest to więc zwykły wymysł „Timesa”, rozmyślał Hood, położywszy fotografię przed sobą na biurku. Teraz znamy prawdę. Ten człowiek jest realny, a jego portret dwadzieścia cztery godziny temu wisiał na murze w publicznym miejscu. Wciąż by tam był, gdyby nie zjawił się CBOM. Spłoszyliśmy ich. Ziemianie mają przed nami sporo do ukrycia, dobrze o tym wiedzą. Podejmują kroki szybko i skutecznie i będziemy mieli szczęście, jeżeli uda nam się...

— Czyli jednak ten sklep na Bleekman Street służył im za miejsce spotkań — Joan przerwała tok

jego myśli. — Pras miała rację.

— Na to wygląda — odburknął Hood.

— Gdzie jest teraz?

Tez chciałbym to wiedzieć, pomyślał Hood.

— Czy Dietrich widział już to zdjęcie?

— Jeszcze nie — mruknął Hood.

— Skoro to on jest odpowiedzialny za wojnę, Dietrich ruszy niebo i ziemię, by go odnaleźć — ciągnęła Joan.

— Żaden człowiek nie może być za nią wyłącznie odpowiedzialny — oponował Hood.

— Ale odegrał niemałą rolę — nie poddawała się Joan. — Dlatego zadali sobie tyle trudu, by wymazać wszelkie ślady jego egzystencji.

Hood przytaknął.

— Czy bez „Timesa” — snuła wątek — w ogóle zdołalibyśmy wpaść na to, że taka postać polityczna jak Benny Cemoli istnieje? Wiele zawdzięczamy prasowi. Musieli go przeoczyć albo też nie byli w stanie doń dotrzeć. Pewnie pracowali w wielkim pośpiechu. Nie mogli myśleć o wszystkim, nawet w ciągu dziesięciu lat. Niełatwo zatrzeć każdy szczegół organizacji politycznej obejmującej całą planetę, tym bardziej że w końcowej fazie jej lider posiadał absolutną władzę.

— Nie sposób zatrzeć wszystkich śladów — zgodził się Hood. — Zamurowany magazyn na tyłach greckiego sklepu... to wystarczyło, byśmy zdobyli potrzebne informacje. Ludzie Dietricha mogą się teraz zająć całą resztą. Jeśli Cemoli żyje, w końcu go dopadną, jeśli zaś nie, trudno ich będzie o tym przekonać, znając Dietricha. Nigdy nie poniechają poszukiwań.

— Plusem tego zamieszania jest to, że dzięki niemu upiecze się wielu niewinnym ludziom — stwierdziła Joan. — Dietrich nie będzie miał głowy, by ich teraz prześladować. Będzie zbyt zajęty tropieniem Cemoliego.

Prawda, przyznał w duchu Hood. A to się liczyło. Przez Najbliższy czas policja centauriańska będzie miała ręce pełne roboty, co się dobrze składało dla każdego, również dla CBOM-u. Hoodowi przyszło nagle do głowy, że gdyby nie było Benny'ego Cemoliego, trzeba by było go stworzyć. Dziwna myśl... zastanawiał się, skąd się wzięła. Ponownie przyjrzał się zdjęciu, próbując na podstawie płaskiej podobizny wydedukować ile się da o tym człowieku. Jak brzmiał głos Cemoliego? Doszedł do władzy słowem mówionym, jak tylu demagogów przed nim? A jego pismo... Może pojawią się jakieś próbki. Albo nawet taśmy z nagraniami przemówień które wygłosił, faktyczny głos tego człowieka. Albo taśmy wideo. W końcu wszystko musi wyjść na jaw. Teraz to już tylko kwestia czasu. Ostatecznie na własnej skórze będziemy mogli się przekonać, jak żyło się w cieniu takiego człowieka Zabrzęczała linia z biura Dietricha. Podniósł słuchawkę.

— Mamy tu tego Greka — zaczął Dietrich. — Pod wpływem narkotyków złożył zeznania. Mogą cię zaciekawić.

— Mów — rzucił oschle Hood.

— Twierdzi, że należy do ruchu od siedemnastu lat, prawdziwy stary wyga. Spotykali się dwa razy w tygodniu na zapleczu jego sklepu, kiedy ruch był jeszcze w powijakach. Fotografia, którą masz — jeszcze jej oczywiście nie widziałem, ale poinformowałem mnie o niej Stavros, nasz grecki dżentelmen — ten portret jest już w zasadzie przestarzały, ponieważ od jakiegoś czasu wśród wyznawców krąży kilka późniejszych. Stavros nie rozstawał się z nim z przyczyn natury sentymentalnej. Przypominał mu stare czasy. Kiedy później ruch urósł w siłę, Cemoli przestał się pokazywać w sklepie, a Grek stracił z nim bezpośredni kontakt. Wciąż lojalnie opłacał składki, ale dla niego wszystko stało się już abstrakcją.

— A co z wojną? — spytał Hood.

— Tuż przed wojną w wyniku marszu na Nowy Jork w okresie głębokiej ekonomicznej depresji Cemoli doszedł do władzy w Ameryce Północnej. Uzyskał poparcie milionów bezrobotnych. Problemy gospodarcze próbował rozwiązywać poprzez agresywną politykę zagraniczną, zaatakował kilka republik Ameryki Łacińskiej, które znajdowały się w sferze wpływu Chin. To by było na tyle, ale Stavros sam ma o tym dość mgliste pojęcie... szczegóły będziemy musieli wyciągnąć od innych entuzjastów. Jakichś młodszych. Ten w końcu ma już ponad siedemdziesiąt lat.

— Chyba nie masz zamiaru stawiać go przed sądem? — dopytywał się Hood.

— Och, nie. To po prostu źródło informacji. Kiedy już zdradzi nam wszystko, co mu leży na żołądku, pozwolimy u odejść do tych jego cebul i puszkowanego musu jabłkowego. Jest nieszkodliwy.

— Czy Cemoli przeżył wojnę?

— Owszem — odparł Dietrich. — Ale minęło już dziesięć lat. Stavros nie wie, czy jeszcze żyje. Osobiście uważam, że tak, i będziemy kierowali się tym założeniem, dopóki nie okaże się ono fałszywe. Musimy.

Hood podziękował i odwiesił słuchawkę na widelki.

Kiedy odwracał się od telefonu, usłyszał stłumiony, głośny stukot dobiegający gdzieś z głębi ziemi. Homeopras na nowo powrócił do życia.

— To nie jest zwykłe wydanie — Joan spojrzała szybko na zegarek. — Czyli musi to być kolejny dodatek. Ekscytujące, że dzieje się to właśnie w taki sposób. Nie mogę się doczekać, by przeczytać pierwszą stronę.

Cóż takiego uczynił Benny Cemoli tym razem, zastanawiał się Hood. W jaki okres, który w rzeczywistości rozegrał się wiele lat temu, według „Timesa” i jego spowolnionej kroniki życia Cemoliego wkroczył teraz ten człowiek? W coś godnego upamiętnienia, skoro zasługuje na dodatek. Będzie interesujące, bez wątpienia. „Times” wie, co nadaje się do druku.

Hood nie mógł się już doczekać.

W centrum Oklahoma City John LeConte wrzucił monetę w otwór kiosku, który dawno temu postawił tu „Times”. Kiedy wysliznął się najświeższy egzemplarz dodatku, podniósł go i przebiegł wzrokiem nagłówki. Zweryfikowaniu treści poświęcił tylko chwilę. Przeciął chodnik i po raz kolejny wsiadł do tyłu napędzanej parą limuzyny z szoferem.

— Proszę pana — zaczął z rozwągą Fall — oto pierwotny materiał, jeśli ma pan ochotę porównać obie wersje. — Sekretarz podał LeConte’owi folder.

Samochód ruszył. Nie pytając o instrukcje, szofer prowadził w stronę kwater Partii. LeConte zapalił cygaro i rozsiadł się wygodnie.

Na jego kolanach olbrzymie nagłówki gazety obwieszczały krzykliwe:

CEMOLI ZAWIERA KOALICJĘ Z RZĄDEM ONZ CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI

— Telefon proszę — zwrócił się LeConte do swojego sekretarza.

— Oczywiście, proszę pana. — Fall wręczył mu przenośny aparat telefoniczny. — Ale jesteśmy

już prawie na miejscu. A zawsze istnieje możliwość, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, że zwracam na to uwagę, iż mogli założyć podsłuch na linii.

— Są zajęci w Nowym Jorku — zaprzeczył LeConte. — Wśród ruin. — Na obszarze, który odkąd sięgam pamięcią nie odgrywał najmniejszej roli, dokończył w myślach. Może jednak rada była słuszna. Postanowił zrezygnować z telefonu. — Co sądzisz o tym ostatnim wydaniu? — Pokazał sekretarzowi gazetę.

— Świetnie pomyślane. — Fall skinął głową.

LeConte otworzył walizkę i wyjął sponiewierany podręcznik bez oprawy. Wytworzony zaledwie przed godziną kolejny artefakt, który mieli odkryć najeźdźcy z Proximy Centauri. Stanowił jego własny wkład, z którego był ogromnie dumny. Książka wyświetlała w obszernych szczegółach program zmiany społecznej Cemoliego. Rewolucję przedstawioną językiem zrozumiałym nawet dla dziecka.

— Wolno spytać — odezwał się Fall — czy Partia planujemy odkryli też ciało?

— Ostatecznie tak — odpowiedział LeConte. — Ale dopiero za kilka miesięcy. — Wyjął ołówek z kieszeni płaszcza i z zawziętością, niczym krnąbrny uczeń, napisał na zniszczonym podręczniku:

PRECZ Z CEMOLIM

A może posuwał się za daleko? Raczej nie, zdecydował. Nie obędzie się przecież bez oporu. Bez wątpienia równie spontanicznego, sztubackiego. Dodał:

GDZIE SIĘ PODZIAŁY POMARAŃCZE?

— Cóż to znaczy? — Fall zerkał mu przez ramię.

— Cemoli obiecuje młodzieży pomarańcze — tłumaczył LeComte. — Kolejna przechwałka bez pokrycia, której rewolucja nigdy nie wypełni. To pomysł Stavrosa... jako że sam jest sklepikarzem. Przyjemny drobiażdżek. — Który ponadto przydaje całości, ciągnął w myślach, pozory rzeczywistości. Udało się dzięki takim właśnie maleńkim drobiażdżkom.

— Wczoraj — odezwał się Fall — kiedy byłem w siedzibie Partii, wysłuchałem pewnego nagrania. Cemoli zwracający się do ONZ. Niesamowite. Jeśli pan nie wie...

— Kogo do tego najęli? — przerwał mu LeConte, zastanawiając się, dlaczego go o tym nie poinformowano.

— Jakiegoś artystę estradowego z Oklahoma City. Słabo znanego, oczywiście. Specjalizuje się chyba we wszelkiego rodzaju parodiach. W jego wykonaniu zabrzmiało to dość pompatycznie, groźnie... Muszę przyznać, że całkiem mi się podobało.

A tymczasem, myślał LeConte, nie ma żadnych procesów za zbrodnie wojenne. My, przywódcy w okresie wojny, na Ziemi i Marsie, którzy piastowaliśmy odpowiedzialne stanowiska, my jesteśmy bezpieczni, przynajmniej na jakiś czas. A może na zawsze. Jeśli nasza strategia nadal będzie się sprawdzała. I jeśli nasz tunel do cefalonu homeoprasa, którego ukończenie zajęło nam pięć lat, nie zostanie odkryty. Albo nie runie.

Napędzany parą samochód stanął na zarezerwowanym miejscu przed kwaterami głównymi Partii.

Szofer obszedł limuzynę, by otworzyć drzwi LeConte'owi, który niespiesznie, bez cienia niepokoju wkroczył w światło dnia. Cisnął cygaro do rynsztoka, po czym ruszył wolno chodnikiem ku budynkowi, który tak doskonale znał.

Przełożył Michał Begiert

OCH, BYĆ BLOBLEM!

Wsunął dwudziestodolarową platynową monetę do szczeliny i po chwili włączył się psychoanalityk. W jego oczach załśniło jowialne zainteresowanie, okręcił się na krześle wziął ze stołu pióro oraz duży notatnik z żółtymi kartami i powiedział:

— Dzień dobry panu. Może pan zacząć.

— Witam, doktorze Jones. Przypuszczam, że nie jest pan tym samym doktorem Jonesem, który napisał ostateczną biografię Freuda, to przecież było sto lat temu. — Zaśmiał się nerwowo, jako człowiek żyjący w skrajnej nędzy nie przywykł do uczestnictwa w seansach nowej, w pełni homeo — statycznej psychoanalizy. — Hm — mruknął — czy powinienem pozwolić sobie na swobodne skojarzenia, czy raczej interesowałby pana materiał zarysowujący podłoże mego przypadku, czy może wreszcie coś jeszcze innego?

— Być może powinien pan zacząć od tego — odparł doktor Jones — że powie mi pan, kim pan jest *und warum mich...* i dlaczego zdecydował się pan wybrać mnie.

— Nazywam się George Munster, mieszkam w Zaułku 4, numer domu WEF-395, kondominium w San Francisco, założone w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku.

— Jak się pan miewa, panie Munster.

Doktor Jones wyciągnął rękę i George Munster ją uściśnął. Poczł, że dłoń tamtego ma przyjemną w dotyku ciepłotę ciała i jest zdecydowanie miękka. Uścisk jednak był prawdziwie męski.

— Widzi pan — zaczął Munster — jestem byłym szeregowym żołnierzem, weteranem wojny. Właśnie w ten sposób uzyskałem moje mieszkanie w kondominium WEF-395. Przywilej weterana.

— Ach, tak — powiedział doktor Jones, tykając cicho: to wmontowany weń zegar mierzył upływ czasu. — Wojna z Bloblami.

— Walczyłem trzy lata na tej wojnie — ciągnął Munster, nerwowo przyglądając swe długie, czarne, lecz już rzednące włosy — Nienawidziłem Blobli i zgłosiłem się na ochotnika. Miałem dopiero dziewiętnaście lat i dobrą pracę... ale idea krucjaty, której celem miało być oczyszczenie Układu Słonecznego z Blobli, całkowicie zajmowała moje myśli.

— Hm — mruknął doktor Jones, tykając i kiwając głową.

George Munster kontynuował:

— Walczyłem dzielnie. Jeśli chodzi o ścisłość, otrzymałem dwa medale i awans na polu bitwy. Zostałem kapralem. Zaszczyt przypadł mi w udziale za samodzielne zniszczenie satelity obserwacyjnego pełnego Blobli; nigdy nie dowiedzieliśmy się dokładnie, ilu ich było, ponieważ rzecz jasna jako Bloble, wciąż zlewały się w jedno i rozłączały, co było wielce dezorientujące... — urwał, potem jednak poczuł napływ emocji. Nawet zwykłe wspomnianie, banalna rozmowa o tamtych czasach stanowiły dla niego zbyt silne przeżycie... wyciągnął się więc wygodniej na kozetce i zapalił papierosa, próbując opanować wzruszenie.

Bloble wyemigrowały z jakiegoś innego układu gwiazdowego, najpewniej z Proximy. Kilka tysięcy lat temu osiedliły się na Marsie i Tytanie, gdzie zupełnie nieźle radziły sobie z uprawą roli. Stanowiły wyższe stadia rozwojowe pierwotnej jednokomórkowej ameby, zresztą zupełnie pokaźnych rozmiarów, z wysoce uorganizowanym układem nerwowym. Wciąż jednak były to ameby, z nibynózkami, rozmnażające się przez podział; nadto główny przeciwnik ziemskich osadników.

Wojna wybuchła na tle zdrażeń natury ekologicznej, departament Pomocy Zagranicznej Narodów Zjednoczonych dążył do zmiany atmosfery Marsa na bardziej sprzyjającą Ziemi kolonistom. Zmiana ta wszakże czyniła ją nie do zniesienia dla kolonii Blobli już tam obecnych —

stąd prosta droga do konfliktu.

Po namyśle Munster zdał sobie sprawę, że niemożliwe było zmienienie jedynie połowy atmosfery planety, nie pozwalały na to ruchy Browna. W ciągu zaledwie dziesięciu lat zmieniona atmosfera zdyfundowała na całą planetę, wywołując w efekcie — przynajmniej tak utrzymywały Bloble — nieznośne cierpienia wśród przedstawicieli ich populacji. W odwecie armada Blobli ruszyła na Ziemię, umieściła na jej orbicie szereg technologicznie zaawansowanych satelitów, które zaprojektowano wyłącznie w celu zmiany atmosfery Ziemi. Nigdy jednak do tego nie doszło, ponieważ do akcji włączyło się oczywiście Ministerstwo Sił Zbrojnych Narodów Zjednoczonych; satelity zostały zniszczone przez samonaprowadzające się pociski... i wojna była gotowa.

— Jest pan żonaty, panie Munster? — wyrwał go z rozmyślań doktor Jones.

— Nie, proszę pana — odparł Munster. — I... — Wzruszył ramionami. — Sam pan pojmie dlaczego, kiedy skończę swoją opowieść. A więc, panie doktorze... — Zgasił papierosa. — Nie będę owijał w bawełnę. Byłem ziemskim szpiegiem. Takie było moje zadanie: dali mi je ze względu na wcześniejszą bohaterską postawę na polu bitwy... Nie prosiłem o nie.

— Rozumiem — przytaknął doktor Jones.

— Doprawdy? — Głos Munstera załamał się. — Czy zdaje pan sobie sprawę, czego w owym czasie było trzeba, aby zrobić z Ziemianina skutecznego szpiega wśród Blobli?

— Tak, panie Munster. Musiał pan zrzucić swą ludzką powłokę i przyjąć odrażającą postać Blobla.

Munster nic nie odrzekł, z gorzkim wyrazem twarzy zaciskał i rozprostowywał palce. Naprzeciw niego tykał doktor Jones.

Tego wieczoru, z powrotem już w swoim mieszkaniu w WEF-395 Munster otworzył trzy czwarte whisky i w samotności pił z zakrętki, ponieważ nie potrafił zdobyć się na tyle nawet wysiłku, by wziąć szklankę z szafki wiszącej na zlewem.

Co właściwie zyskał dzięki dzisiejszej sesji z doktorem Jonesem? Nic, przynajmniej o ile potrafił stwierdzić. A sama wizyta poważnie naruszyła jego zasoby finansowe... skromne, bowiem...

Każdego dnia bowiem na prawie dwanaście godzin zmieniał się — pomimo wszystkich wysiłków zarówno jego samego, jak i Agencji Hospitalizacji Weteranów Sił Narodów Zjednoczonych — w starą, pochodzącą jeszcze z czasów wojny postać Blobla. W bezpostaciowy, jednokomórkowy bąbel, dokładnie pośrodku podłogi swego mieszkania w kondominium pod numerem WEF-395.

Na zasoby finansowe składała się niska emerytura, wypłacana mu przez Ministerstwo Sił Zbrojnych; znalezienie pracy okazało się niemożliwe, ponieważ w chwili gdy już ją nawet otrzymał, ogarniało go wzruszenie tak silne, że z miejsca się przemieniał, na oczach swoich nowych pracodawców i niedoszłych kolegów.

To nieszczęśliwie sprzyjało wytworzeniu korzystnych stosunków w pracy.

Nie było najmniejszej wątpliwości: właśnie teraz, o ósmej wieczorem, poczuł w sobie zwiastuny nadchodzącej zmiany — stare i znajome uczucie, którego nienawidził. Pośpiesznie dopił z nakrętki resztkę whisky, odstawił ją na stół... i poczuł, jak rozpływa się w homogeniczną kałużę.

Zadzwoił telefon.

— Nie mogę odebrać! — zawołał w jego stronę. Przekaznik telefonu odebrał jego pełne udręki słowa i przekazał dzwoniącej osobie. W obecnej chwili Munster był jednolitą, przezroczystą żelatynową masą zalegającą pośrodku dywanu. Zmarszczył się, wyciągając w stronę telefonu — wciąż dzwonił, pomimo jego uwagi — i poczuł wściekłe oburzenie. Nie ma już dość kłopotów, żeby

jeszcze się przejmować tym dzwoniącym bez przerwy telefonem?

Dopełził do niego, wyciągnął nibynóżkę i zdjął słuchawkę z widełek. Z wielkim wysiłkiem uformował ze swej plastycznej substancji coś na podobieństwo aparatu wokalnego, który jednak wydawał głuchy pogłos.

— Jestem zajęty — zabrzmiał niskim echem do mikrofonu — Zadzwoń później.

Niech zadzwoni, pomyślał, odkładając słuchawkę, rano. Kiedy odzyskam ludzką postać.

W mieszkaniu zapanowała cisza.

Wzdychając, Munster popęzł z powrotem przez dywan do okna i wspiał się na wysoki filar, aby móc oglądać rozpościerający się za nim widok; na jego zewnętrznej błonie był n miejsce wrażliwe na światło i chociaż nie miał prawdziwej soczewki, był w stanie podziwiać — z nostalgią — widok na Zatokę San Francisco, most Golden Gate, plac zabaw dla dzieci, w który zamieniono wyspę Alcatraz.

Cholera, myślał z goryczą. Nie mogę się ożenić. Nie mogę żyć normalnym ludzkim życiem, bo ciągle muszę przyjmować postać, w jaką wielkie szczy z Ministerstwa Sił Zbrojnych wtłoczyły mnie podczas wojny...

Kiedy przyjmował zaproponowaną misję, nie wiedział, że zostawi ona po sobie trwałe skutki. Zapewniali go, że wszystko jest „tylko przejściowe, na okres wojny”, może to były zresztą inne tego rodzaju gładkie kłamstwa.

Na czas trwania, do dupy, myślał Munster, czując przepełniające go wściekłe, bezsilne oburzenie. Minęło już jedenaście lat.

Psychiczne dolegliwości, jakie z tego powodu odczuwał, naciski na jego psychikę były ogromne. Stąd jego wizyta u doktora Jonesa.

Telefon odezwał się ponownie.

— W porządku — powiedział Munster na głos i popęzł mozolnie z powrotem przez pokój. — Chcesz rozmawiać ze mną? — mówił, w miarę jak coraz bardziej się zbliżał do telefonu. Taka przechadzka dla kogoś, kto był uwięziony w postaci Blobla, była stosunkowo długa. — Porozmawiam z tobą. Możesz nawet włączyć ekran wizyjny i popatrzeć sobie na mnie. — Kiedy już dopełził do telefonu, chwycił za przełącznik, który pozwalał nie tylko na komunikację dźwiękową, lecz również wizualną. — Miłego patrzenia — oznajmił i zaprezentował przed kamerą swą amorficzną postać.

Usłyszał głos doktora Jonesa:

— Przepraszam, że niepokoję pana w pańskim domu, panie Munster, biorąc zwłaszcza pod uwagę, iż znajduje się w tym, hm, krępującym stanie... — Homeostatyczny psychoanalityk urwał na chwilę. — Ale poświęciłem nieco czasu na rozwiązanie problemu pańskiego stanu. Może się to okazać przynajmniej częściowym rozwiązaniem.

— Co? — zapytał Munster, wzięty kompletnie z zaskoczenia — Chce pan powiedzieć, że nauki medyczne potrafią w obecnej chwili...

— Nie, nie — powiedział pośpiesznie doktor Jones. — Aspekt fizyczny pańskiego stanu znajduje się poza domeną moich kompetencji, o tym nie powinien pan zapominać, panie Munster. Kiedy przyszedł pan do mnie, aby zasięgnąć rady w kwestii swoich problemów, miałem na myśli poradę czysto psychologiczną...

— Natychmiast wyruszam do pańskiego gabinetu, muszę z panem porozmawiać — oznajmił Munster. I wtedy zdał sobie sprawę, że nic z tego; pod postacią Blobla zabrałoby mu wiele dni przepełnienie całej tej drogi do gabinetu psychoanalityka. — Jones — wyrzucił z siebie desperacko — sam widzisz, jakie problemy przede mną stoją. Jestem uwięziony tutaj, w moim mieszkaniu, każdej nocy od około ósmej wieczorem niemalże do siódmej rano... Nie mogę nawet zjawić się u

ciebie, aby otrzymać poradę, pomoc...

— Proszę się uspokoić, panie Munster — przerwał mu doktor Jones. — Próbuję właśnie panu coś wytłumaczyć. Nie pan jeden znajduje się w takim stanie. Wiedział pan o tym?

— Pewnie — z trudem zdołał wykrztusić Munster. — Wszystkiego razem osiemdziesięciu trzech Ziemi zostało zmienionych w Bloble podczas takiej czy innej fazy trwania wojny. Z tych osiemdziesięciu trzech... — znał te fakty aż do znudzenia — ...przeżyło sześćdziesięciu jeden i teraz są członkami organizacji pod nazwą Weterani Wojen Nienaturalnych, liczącej pięćdziesięciu członków. Ja również należę do niej. Spotykamy się dwa razy w miesiącu, przemieniamy jednocześnie... — Zaczął już odkładać słuchawkę. A więc tyle otrzymał za swoje pieniądze, te zleżałe nowinki. — Do widzenia, doktorze — wymamrotał jeszcze.

Doktor Jones aż zazgrzytał z podniecenia.

Panie Munster, nie miałem na myśli innych Ziemi. Przeprowadziłem badania w pańskiej sprawie i odkryłem, że wedle archiwów zachowanych w Bibliotece Kongresu piętnaście Blobli zostało ukształtowanych jako pseudo-Ziemia, aby służyć w charakterze szpiegów na rzecz ich strony. Czy pan rozumie?

Po jakiejś chwili Munster wykrztusił:

— Nie całkiem.

— Wykształcił pan w sobie psychiczną blokadę, uniemożliwiającą panu skorzystanie z pomocy — stwierdził doktor Jones. — Ale oto, czego od pana chcę, Munster: ma się pan stawić w moim gabinecie jutro o jedenastej rano. Wówczas zajmiemy się rozwiązaniem pańskiego problemu. Dobranoc.

Munster odrzekł znużonym głosem:

— Kiedy jestem w postaci Blobla, mój rozum nie pracuje zbyt sprawnie, doktorze. Musi pan mi wybaczyć. — Odłożył słuchawkę, dalej niczego nie rozumiejąc. A więc było piętnaście Blobli, które w tej chwili spacerowały sobie po Tytanie, skazane na przyjmowanie ludzkich kształtów... i co z tego? W jaki sposób miałyby mu to pomóc?

Być może dowie się jutro o jedenastej.

Kiedy wszedł do poczekalni doktora Jonesa, zobaczył nadzwyczaj atrakcyjną młodą kobietę; siedziała w głębokim fotelu w kącie, przy lampie, i czytała egzemplarz „Fortune”.

Munster mimowolnie wybrał miejsce, z którego mógł ją obserwować. Elegancko ufarbowane na białe włosy, zaplecione w warkocz spływający jej na plecy... rozkoszował się jej widokiem, udając, że pochłania go własny egzemplarz „Fortune”. Szczupłe nogi, drobne i delikatne kostki. Ostre, wyraźnie zaznaczone rysy twarzy. Oczy błyszczące inteligencją. Wąski, zadarty nosek — naprawdę śliczna dziewczyna. Zatopił w niej spojrzenie... póki wreszcie nie uniosła głowy i nie zmroziła go wzrokiem.

— Nudno tak czekać — wymamrotał Munster.

— Często pan przychodzi do doktora Jonesa? — zapytała dziewczyna.

— Nie — przyznał. — Dopiero drugi raz.

— Ja nigdy jeszcze tu nie byłam — powiedziała. — Chodzę do innego elektronicznego, w pełni homeostatycznego psychoanalityka w Los Angeles i nagle wczoraj wieczorem doktor Bing, mój analityk, zadzwonił do mnie, kazał mi przylecieć tutaj i rankiem zobaczyć się z doktorem Jonesem. Czy on jest dobry?

— Hm — tyle tylko potrafił odrzec Munster. — Przypuszczam, że tak.

Zobaczmy, pomyślał. Tego właśnie w tej chwili nie wiemy.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich doktor Jones.

— Panno Arrasmith — zwrócił się do dziewczyny. — Panie Munster. — Skinął głową w stronę George'a. — Czy nie zechcieliby państwo oboje wejść do środka?

Panna Arrasmith wstała i powiedziała:

— Kto w takiej sytuacji zapłaci dwadzieścia dolarów?

Ale analityk milczał — wyłączył się.

— Ja zapłacę — oznajmiła panna Arrasmith, sięgając do portmonetki.

— Nie, nie — protestował Munster. — Proszę mi pozwolić — Wyciągnął dwudziestodolarową monetę i wrzucił ją do szczeliny w korpusie analityka.

Doktor Jones odezwał się od razu:

— Jest pan dżentelmenem, panie Munster. — Uśmiechając się, zaprosił oboje do gabinetu. — Proszę usiąść. Panno Arrasmith, bez dalszych wstępów proszę pozwolić mi wyjaśnić panu Munsterowi pani... sytuację. — Do Munstera zaś rzekł: — Panna Arrasmith jest Błoblem.

Munster był w stanie tylko gapić się na dziewczynę.

— Oczywiście — ciągnął dalej doktor Jones — obecnie znajduje się w ludzkiej postaci. Tak w jej wypadku wygląda stan końcowy mimowolnej przemiany. Podczas wojny działała na tyłach frontu Ziemi, pracując dla Militarnej Ligi Blobli. Została schwytana i osadzona w więzieniu, w tym czasie jednak wojna się skończyła, ostatecznie więc nie została ani osądzona, ani skazana.

— Wypuścili mnie — powiedziała panna Arrasmith niskim, starannie kontrolowanym głosem. — Wciąż w ludzkiej postaci. Zostałam tutaj, nie mogąc stawić czoła hańbie. Po prostu nie mogłam wrócić na Tytana i... — Jej głos zadrżał.

— Z formą cielesną, w jakiej aktualnie znajduje się panna Arrasmith, związany jest wielki wstyd — wyjaśnił doktor Jones — dla każdego Blobla pochodzącego z wyższej kasty.

Panna Arrasmith przytaknęła i usiadła, ściskając maleńką chusteczkę z irlandzkim wzorem. Starła się wyglądać na opanowaną.

— Racja, doktorze. Odwiedziłam Tytana, aby z tamtejszymi autorytetami medycznymi omówić stan, w jakim się znalazłam. Przeszłam wyjątkowo długą i długotrwałą terapię, w wyniku której okazało się, że zdolni są mi przywrócić moją naturalną postać na okres... — Zawahała się. — Na około jedną czwartą doby. Jednak pozostałe trzy czwarte. Jestem taka, jaką mnie właśnie widzicie. — Pochyliła głowę przykładając chusteczkę do prawego oka.

— Boże — zaprotestował Munster — masz szczęście! Postać ludzka jest nieskończenie doskonalsza niż ciało Blobla... sam o tym wiem najlepiej. Jako Blobel musisz pełzać... jesteś niczym wielka meduza, żadnego szkieletu, który utrzymywałby cię w pozycji wyprostowanej. I ten podział... to jest wstrętne, naprawdę wstrętne w porównaniu z ziemską formą... wiesz. Reprodukcji. — Zaczerwienił się.

Doktor Jones, wciąż tykając, stwierdził:

— Przez okres około sześciu godzin wasze ludzkie fazy zachodzą na siebie. A potem około jednej godziny oboje macie postać Blobla. A więc razem wzięwszy, dysponujecie siedmioma godzinami na dwadzieścia cztery, podczas których oboje macie identyczną postać. Moim zdaniem... — Znowu zaczął zabawiać się swoim piórem i notatnikiem. — Siedem godzin to nie tak źle. Jeżeli rozumieją państwo, co mam na myśli.

Po chwili panna Arrasmith powiedziała:

— Ale pan Munster i ja jesteśmy naturalnymi wrogami.

— To było całe lata temu — łagodził Munster.

— No właśnie — zgodził się doktor Jones. — To prawda, że panna Arrasmith zasadniczo jest Bloblem, pan zaś, Munster, jest Ziemianinem, ale... — Machnął ręką. — Oboje jesteście wyrzutkami własnych cywilizacji, bezpaństwowcami i tym samym cierpicie na stopniową zaturbowość tożsamości — W każdym z waszych przypadków przewiduję stopniowe narastanie tego wyobcowania, które w efekcie skończy się poważną chorobą psychiczną. Jeśli wam dwojgu nie uda się wypracować jakiejś formy wzajemnego zbliżenia. — Po tych słowach analityk umilkł.

Panna Arrasmith powiedziała cicho:

— Myślę, że mieliśmy dużo szczęścia, panie Munster. Jak to powiedział doktor Jones, przez siedem godzin każdego dnia nasze fazy się nakładają... możemy więc ten czas spędzać razem zamiast tej żalostnej izolacji. — Uśmiechnęła się do niego z nadzieją, wygładziła fałdy swego płaszcza. Miała doprawdy wspaniałą figurę, odrobinę za bardzo wycięta sukienka świadczyła o tym jednoznacznie.

Munster, przypatrując się jej, pogrążył się w myślach.

— Niech mu pani da trochę czasu — zwrócił się do panny Arrasmith doktor Jones. — Z mojej analizy jego osobowości wynika, że ujrzy całą rzecz we właściwym świetle i postąpi słusznie.

Poprawiając od czasu do czasu swoje palto i przykładając chusteczkę do oczu, panna Arrasmith czekała.

Telefon w gabinecie doktora Jonesa zadzwonił znowu, ale stało się to już wiele lat później. Odpowiedział zwyczajowo:

— Jeśli pan lub pani chce ze mną rozmawiać, proszę zdeponować dwadzieścia dolarów.

Na drugim końcu linii telefonicznej odezwał się nieprzyjemny męski głos i oznajmił:

— Posłuchaj, tu mówi Biuro Prawne Narodów Zjednoczonych, a my nie deponujemy dwudziestu dolarów, jeśli chcemy z kimś porozmawiać. A więc wyłącz lepiej ten mechanizm, który masz w środku, Jones.

— Już, proszę pana — odparł doktor Jones i prawą ręką pstryknął dźwignię za uchem, która przełączała go na tryb darmowy.

— W roku dwa tysiące trzydziestym siódmym — zaczął bez wstępów radca prawny Narodów Zjednoczonych — doradziłeś pewnej parze małżeństwo? George'owi Munsterowi i Vivian Arrasmith, obecnie Munster?

Cóż, tak — odrzekł doktor Jones, po tym jak poradził się wbudowanych banków pamięci.

— Czy zastanawiałeś się choć przez chwilę nad prawmi konsekwencjami tej porady?

— Hm, cóż — stwierdził analityk — to już nie jest moje zmartwienie.

— Możesz zostać postawiony w stan oskarżenia za doradzanie czynów zakazanych prawem Narodów Zjednoczonych.

— Nie istnieje prawo zabraniające związków małżeńskich między rasą Blobli a Ziemianami.

— W porządku, doktorze, będę domagał się wglądu w historie ich przypadków — ostrzegł radca prawny Narodów Zjednoczonych.

— Absolutnie wykluczone — zaproponował doktor Jones. — To oznaczałoby złamanie etyki lekarskiej.

— Zdobędziemy nakaz i skonfiskujemy je więc.

— Proszę bardzo. — Doktor Jones sięgnął ręką za ucho zamierzając się wyłączyć.

— Poczekaj. Być może zainteresuje cię, że Munsterowie mają obecnie czwórkę dzieci. A zgodnie z prawem Mendla ich potomstwo rozkłada się dokładnie w stosunku jeden, dwa, jeden. Jedna dziewczynka Blobel, jeden hybrydyczny chłopiec, jedna hybrydyczna dziewczynka i dziewczynka

Ziemianka. W związku z tym pojawiają się określone problemy prawne. Sąd Najwyższy Blobli twierdzi, iż dziewczynka, która jest Bloblem czystej krwi, musi być uważana za obywatelkę Tytana, sugerując jednocześnie, że jedno z dwu hybrydycznych dzieci winno również zostać przekazane jurysdykcji tegoż sądu. — Radca prawny Narodów Zjednoczonych wyjaśniał dalej: — Rozumiesz, małżeństwo Munstera rozpada się, rozwodzą się właśnie i naprawdę trudno stwierdzić, które prawo ma zastosowanie w ich sprawie i obejmuje ich casus.

— Tak — zgodził się doktor Jones. — Można się było spodziewać. Co spowodowało rozpad ich małżeństwa?

— Nie mam pojęcia i nie dbam o to. Zapewne fakt, że oboje dorosłych, jak również dwoje z czwórki dzieci każdego dnia przechodzi z postaci Blobla w ziemską; być może napięcia z tym związane rozsadziły ich związek. Jeżeli chcesz im udzielić psychologicznej porady, skontaktuj się z nimi. Do widzenia. — Radca prawny Narodów Zjednoczonych rozłączył się.

Czy popełniłem błąd, doradzając im małżeństwo? — zadał pytanie doktor Jones. Chyba powinienem się z nimi zobaczyć — Przynajmniej tyle jestem im winien.

Otworzył książkę telefoniczną Los Angeles i zaczął kartkować strony na literę M.

Dla Munstera było to sześć trudnych lat.

Po pierwsze, George przeprowadził się z San Francisco do Los Angeles; gospodarstwo domowe jego i Vivian stanowiło mieszkanie w kondominium o trzech, nie zaś jak wcześniej — dwóch pokojach. Vivian, która przez trzy czwarte czasu była Ziemianką, udało się zdobyć pracę; spokojnie, na widoku wszystkich udzielała informacji o lotach samolotów pasażerskich z Piątego Lotniska w Los Angeles. George jednak...

Jego dochody wynosiły jedynie czwartą część pensji żony, on zaś nie mógł tego przeboleć. Aby je powiększyć, poszukiwał sposobu na zarabianie pieniędzy w domu. Na koniec w jakimś czasopiśmie znalazł taką oto bezcenną reklamę:

SZYBKIE ZYSKI Z PRACY CHAŁUPNICZEJ! HODUJ GIGANTYCZNE ROPUCHY Z JOWISZA, ZDOLNE DO OŚMIOSTOPOWYCH SKOKÓW. MOŻNA JE WYKORZYSTYWAĆ W WYŚCIGACH ROPUCH (tam, gdzie zezwala na to prawo). A WIĘC...

Tak więc w 2038 roku kupił swoją pierwszą parkę ropuch importowanych z Jowisza i w celu osiągnięcia szybkich zysków zaczął je hodować w swoim własnym kondominium mieszkaniowym, w kącie piwnicy, który Leopold, częściowo homeostatyczny dozorca budynku, odstąpił mu gratis.

Ale we względnie słabej ziemskiej grawitacji ropuchy okazały się zdolne do zupełnie niewiarygodnych skoków 1 piwnica okazała się dla nich za mała; rykoszetowały od ściany do ściany niczym zielone piłeczki pingpongowe 'wkrótce pomarły od odnoszonych urazów. Z pewnością trzeba było czegoś znacznie więcej niż tylko kawałek piwnicy w apartamentach QEK-604, aby wyhodować te przekłete stworzenia, zrozumiał George.

A wtedy, na dodatek, urodziło się ich pierwsze dziecko okazało się czystej krwi Bloblem; przez dwadzieścia cztery godziny na dobę składało się z żelatynowej masy, George zaś co rusz przyłapywał się na tym, że czeka, aż małeństwo przybierze ludzką postać, choćby na chwilę.

W związku z tym wielokrotnie czynił Vivian wyrzuty kiedy oboje znajdowali się w ludzkiej

postaci.

— Jak mogę je uważać za moje dziecko? — pytał ją. — Jest... jest dla mnie obcą formą życia. — Był onieśmielony a nawet przerażony. — Doktor Jones powinien to przewidzieć. Być może to jest wyłącznie twoje dziecko, wygląda zupełnie tak jak ty!

Oczy Vivian napełniły się łzami.

— Mówisz tak, żeby mnie obrazić.

— Cholera, jasne że tak. Walczyliśmy z tymi twoimi stworami... przywykliśmy uważać je za niewiele lepsze od skorpionów. — W skrajnie ponurym nastroju zaczął wkładać płaszcz. — Idę do siedziby Weteranów Wojen Nienaturalnych — poinformował żonę. — Napiję się piwa z chłopakami. — I za chwilę był już w drodze, na końcu której czekało go towarzystwo starych kumpli z wojennych czasów, zadowolony, że może opuścić swoje mieszkanie.

Siedziba WVN mieściła się w chylącym się ku upadkowi betonowym budynku w śródmieściu Los Angeles, zbudowanym jeszcze w dwudziestym wieku i obecnie rozpaczliwie wręcz domagającym się remontu. WVN nie dysponowało poważniejszymi funduszami, ponieważ większość jego członków, podobnie jak George, utrzymywała się z wojskowej emerytury. Mieli jednak stół do bilardu i trójwymiarową telewizję oraz kilkadziesiąt taśm z muzyką popularną, a nawet szachownicę i komplet figur. Zazwyczaj George wypijał tu jedno piwo i grał w szachy z innymi weteranami, niezależnie od tego, w jakiej znajdował się postaci, czy ludzkiej, czy Blobla, było to bowiem jedyne miejsce, w którym obie aprobowano.

Tego wieczoru siedział w towarzystwie Pete'a Rugglesa, weterana, który także ożenił się z Bloblem, przyjmującym podobnie jak Vivian postać ludzkiej kobiety.

— Pete, nie wytrzymam już tego dłużej. Moje dziecko jest żelatynową kałużą. Przez całe życie chciałem mieć dziecko, teraz co mi się dostało? Coś, co wygląda, jakby właśnie zostało wyrzucone na plażę przez jakąś falę.

Popijając piwo — on również w tej chwili znajdował się w ludzkiej formie — Pete odparł:

— Jasna cholera, George, przyznaję, że to paskudna sytuacja. Ale przecież musiałeś zdawać sobie sprawę, w co się pakujesz, kiedy się z nią żeniłeś. A tak w ogóle, na Boga, zgodnie z prawem Mendla, następny dzieciak...

— Chodzi mi o to — przerwał mu George — że nie szanuję własnej żony, o to w tym wszystkim chodzi. Myślę o niej jak o jakiejś obcej istocie. O sobie samym zresztą również. Oboje jesteśmy jakimiś obcymi istotami. — Jednym haustem opróżnił szklanekę.

— Ale z punktu widzenia Blobla... — próbował go uspokoić Pete.

— Słuchaj, po której stronie właściwie stoisz?! — zapytał zdenerwowany George.

— Nie krzycz na mnie — powiedział Pete — albo cię stłukę.

I po chwili ruszyli wściekle ku sobie. Na szczęście w samą porę Pete przemienił się w Blobla, do bójki więc nie doszło i nikomu nie stała się krzywda. Teraz George siedział samotnie, zakłęty w ludzką postać, podczas gdy Pete odpłynął gdzieś na bok, zapewne przyłączając się do grupy chłopców, którzy aktualnie również byli Blobłami.

Być może powinniśmy założyć własną społeczność na jakimś dalekim księżycu. George pogrążony był w ponurych rozmyślaniach. Ani ziemską, ani blobliąską.

Powiniem wracać do Vivian, postanowił po chwili. Cóż tu po mnie? Powiniem się cieszyć, że ją spotkałem, bez niej byłbym nikim, weteranem zapijającym się piwem w siedzibie WVN każdego cholernego dnia i nocy, bez przyszłości, bez nadziei, bez śladu choćby złudzenia prawdziwego życia... Obecnie próbował wdrożyć nowy plan, który miał mu przynieść pieniądze. To był interes chałupniczy, realizowany w całości z pomocą poczty. Zobaczył mianowicie następując reklamę w

„Saturday Evening Post”: MAGICZNY MAGNETYT PRZYNOŚĄCY SZCZĘŚCIE. SPOTYKANY WYŁĄCZNIE W INNYCH SYSTEMACH GWIEZDNYCH! Kamienie pochodziły z Proximy i można było je dostać na Tytanie; to Vivian nawiązała dla niego komercyjne kontakty ze swoim narodem. Ale jak dotąd, kilkoro tylko ludzi wysłało mu dolara pięćdziesiąt centów.

Jestem zerem, powiedział do siebie George.

Na szczęście następne dziecko, które urodziło się zimą 2039 roku, okazało się hybrydą; dokładnie połowę życia spędzało w ludzkiej postaci, i tym sposobem George miał przynajmniej dziecko będące — w każdym razie od czasu do czasu — przedstawicielem jego własnego gatunku.

Wciąż jeszcze świętował narodziny Maurice, kiedy do jego drzwi zapukała delegacja sąsiadów z kondominium QEK-604.

— Mamy tu dla pana petycję — powiedział przewodniczący delegacji, przebierając nogami w zdenerwowaniu — w której prosimy, aby pan i pani Munster opuścili QEK-604.

— Ale dlaczego? — zapytał George zdumiony. — Jak dotąd nie mieliście nic przeciwko nam.

— Powodem jest to, że obecnie mają państwo hybrydyczne dziecko, które zapewne będzie się chciało bawić z naszymi dziećmi. Uważamy, że nie okaże się dla naszych dzieci zdrowe, jeśli będą...

George zatrzasnął im drzwi przed nosem.

Ale dalej czuł się pod ostrzałem wrogich spojrzeń ludzi mieszkających obok niego.

I pomyśleć, dumął gorzko, że walczyłem na wojnie, aby uratować tych ludzi. Z pewnością nie było warto.

Godzinę później był znowu w siedzibie WWN, pijąc piwo i rozmawiając ze swoim kumplem Shermanem Downsem, również żonatym z Bloblem.

— Sherman, wszystko na nic. Nikt nas tu nie chce, jesteśmy zmuszeni emigrować. Być może spróbujemy od nowa na Tytanie, w świecie Viv.

— Na miłość boską — protestował Sherman. — Nie podoba mi się, że tak podwijasz ogon pod siebie, George. Czy twoje elektromagnetyczne pasy redukcyjne nie zaczęły się wreszcie sprzedawać?

Przez ostatnich kilka miesięcy George wyrabiał i sprzedawał skomplikowane urządzenia redukcyjne, które Vivian pomogła mu zaprojektować; projekt oparty był zasadniczo na technologii Blobli popularnej na Tytanie, lecz nie znanej na Ziemi. I tym razem wszystko poszło dobrze: George miał więcej zamówień, niż potrafił nadążyć z produkcją. Ale...

— Spotkało mnie coś strasznego, Sherm — wyznał George — Wczoraj byłem w sklepie, złożyli mi poważne zamówienie na moje pasy redukcyjne i wtedy ogarnęło mnie takie podniecenie... — urwał. — Sam możesz sobie dopowiedzieć, co się dalej stało. Przemieniłem się. Na oczach setki klientów. A kiedy kupujący zobaczył to, wycofał zamówienie na pasy. To było to, czego wszyscy się przez cały czas obawiamy, musiałbyś zobaczyć, jak natychmiast zmieniło się ich nastawienie.

— Wynajmij kogoś, aby sprzedawał za ciebie. Pełnej krwi Ziemianina.

— Ja jestem pełnej krwi Ziemianinem — powiedział stłumionym głosem George — i radzę ci, byś o tym nie zapominał. Nigdy.

— Chciałem tylko powiedzieć...

— Wiem, co chciałeś powiedzieć — przerwał mu George. I zamachnął się na Shermana. Na szczęście nie trafił, a w wyniku podniecenia obaj natychmiast przeszli w postać Blobla. Przez jakiś czas nacierali kleistą plazmą na siebie wzajem, w końcu jednak kolegom weteranom udało się ich rozdzielić. — Jestem w takim samym stopniu Ziemianinem jak wszyscy inni — wysłał telepatyczny przekaz, na modłę porozumiewania się Blobli, do Shermana. — I dołożę każdemu, kto będzie

twierdził, że jest inaczej.

Uwięziony w postaci Blobla nie mógł tak wrócić do domu, musiał zadzwonić do Vivian, by po niego przyjechała. To było Poniżające.

Popełnię samobójstwo, zdecydował. Oto jedyne wyjście z moich kłopotów.

W jaki sposób najlepiej to zrobić? W postaci Blobla niezdolny był do odczuwania bólu; lepiej zrobić to od razu Istniały substancje, które były w stanie go rozpuścić... mógł na przykład rzucić się do basenu kąpielowego z intensywnie chlorowaną wodą, jaki znajdował się choćby w sali gimnastycznej w QEK-604.

Vivian, w ludzkiej postaci, znalazła go pewnej nocy, jak kołysał się niepewnie na brzegu basenu.

— George, błagam cię... udaj się do doktora Jonesa.

— Nie — zagrzmiał głucho, wytwarzając pseudogłosowy aparat z fragmentu swego ciała. — To na nic, Viv. Nie mam ochoty już dalej tego ciągnąć. — Nawet pasy to był przecież pomysł Vivian, a nie jego własny.

Nawet w tej kwestii był gorszy od niej... i ta przepaść między nimi powiększała się coraz bardziej z każdym dniem.

— Tyle możesz jeszcze dać z siebie dzieciom — powiedziała Viv.

To była prawda.

— Może wpadnę do Ministerstwa Sił Zbrojnych Narodów Zjednoczonych — postanowił. — Porozmawiam z nimi, zobaczę, czy nie pojawiły się jakieś nowe odkrycia w medycynie, dzięki którym mogliby ustabilizować moją postać.

— Ale jeśli ty ustabilizujesz się w formie Ziemianina — zapytała Viv — co się stanie ze mną?

— Wtedy będziemy mieli razem osiemnaście godzin każdego dnia. I wszystkie te godziny w ludzkiej postaci!

— Ale wtedy nie będziesz chciał dłużej być moim mężem. Ponieważ, George, wtedy będziesz mógł spotykać się z Ziemiankami.

Zrozumiał, że to nie było w porządku wobec niej. A więc zrezygnował z pomysłu.

Wiosną 2041 roku urodziło się ich trzecie dziecko, również dziewczynka, podobnie jak Maurice hybrydyczna. Była Bloblem w nocy i Ziemianką za dnia.

W tym czasie George znalazł rozwiązanie swoich problemów.

Wziął sobie kochankę.

Spotykał się z Niną w hotelu Elizjum, mającym siedzibę „niszczonym drewnianym budynku w centrum Los Angeles.

— Nina — George siedział obok niej na wytartej sofie, popijając whisky — dzięki tobie moje życie odzyskało wartość — Zabawiał się jednocześnie guzikami jej bluzki.

— Szanuję cię — powiedziała Nina Glaubman, pomagając mu rozpinać guziki. — Pomimo że... no cóż, byłeś kiedyś wrogiem naszego ludu.

— Dobry Boże — zaprotestował George — nie powinniśmy myśleć o dawnych czasach... powinniśmy przymknąć oczy na wydarzenia przeszłości.

Nic, tylko nasza wspólna przyszłość, pomyślał.

Jego interes z redukcyjnymi pasami szedł tak dobrze, że obecnie zatrudniał piętnastoro całodobowych Ziemian i był właścicielem małej nowoczesnej fabryczki na przedmieściach San Fernando. Gdyby podatki nakładane przez Narody Zjednoczone miały choć odrobinę sensu, byłby obecnie bogatym człowiekiem... uczepiwszy się tej myśli, George zaczął się zastanawiać, jakie też mogą być podatki na terenach zamieszkiwanych przez Bloble, chociażby na Io. Być może powinien się tym bliżej zainteresować.

Pewnego dnia w siedzibie WWN omawiał tę kwestię z Reinholtem, mężem Niny, który oczywiście nie był świadom związków łączących George'a i jego żonę.

— Reinholt — powiedział z dużym trudem George, przełykając jednocześnie piwo. — Mam szerokie plany. Ten dławiącynas od kołyski do grobu socjalizm Narodów Zjednoczonych sprawia... to w ogóle nie dla mnie. Duszę się tu. Magiczne Pasy Magnetyczne Munstera są... — Machnął ręką. — Czymś znacznie większym, niż ziemska ekonomia jest w stanie wytrzymać. Rozumiesz mnie?

— Ale, George, jesteś Ziemianinem — odparł chłodno Reinholt. — Jeżeli przeniesiesz się ze swoją fabryką na tereny zamieszkiwane przez Bloble, zdradzisz swój...

— Posłuchaj — wyjaśnił mu George. — Mam dziecko, które cały czas jest Bloblem, dwoje dzieci, które w połowie są Blobłami i czwarte w drodze. Odczuwam silne emocjonalne więzi z istotami, które tam żyją, na Tytanie i Io.

— Jesteś zdrajcą — powiedział Reinholt i uderzył go w twarz. — I nie tylko to — mówił dalej, uderzając go w brzuch — spotykasz się z moją żoną. Zamierzam cię zabić.

Aby uciec przed tamtym, George przemienił się w Blobla — ciosy Reinholta bezboleśnie wchodziły w jego wilgotną żelatynową substancję. Reinholt zresztą za chwilę również się przemienił i z wyraźnie morderczymi zamiarami popęzł w jego kierunku, próbując wchłonąć i pożreć jego jądro.

Na szczęście koledzy weterani odciągnęli od siebie ich ciała, zanim komukolwiek stała się poważniejsza krzywda.

Później, tego samego wieczoru, wciąż jeszcze trzęsąc się ze strachu, George siedział wraz z Vivian w salonie ich ośmiopokojowego mieszkania w wielkim nowym apartamencie kondominium ZGF-900. Niestety było o włos, teraz oczywiście Reinholt powie o wszystkim Viv; była to tylko kwestia czasu. Ich małżeństwo, w tej kwestii nie miał większych wątpliwości, jest skończone. Przypuszczalnie była to ostatnia z chwil, jakie spędzili razem.

— Viv — oznajmił z naciskiem — musisz mi zaufać. Kocham cię. Ty i dzieci... oraz naturalnie interes z pasami... jesteście wszystkim, co mam w życiu. — Przyszedł mu do głowy desperacki pomysł. — Wyemigrujmy lepiej, zaraz, dzisiejszego wieczoru. Pakujemy dzieci i odlatujemy na Tytana, nie ma się nad czym zastanawiać.

— Ja nie mogę polecieć — powiedziała Vivian. — Wiem, w jaki sposób potraktuje mnie mój lud, w jaki sposób potraktują też ciebie i dzieci. George, ty leć. Przenieś fabrykę na Io. Ja zostanę tutaj. — Łzy wypełniły jej ciemne oczy.

— Do diabła — powiedział George — jak niby mielibyśmy żyć? Ty na Ziemi, ja na Io... tego nie można nazwać małżeństwem. A kto weźmie dzieci? — Zapewne przyznano by je Viv... ale jego firma zatrudniała najwyższego rzędu talenty prawnicze... być może mógłby skorzystać z ich usług dla rozwiązania swych domowych spraw.

Następnego ranka Vivian dowiedziała się o Ninie. I sama wynajęła adwokata.

— Posłuchaj — mówił George do telefonu, rozmawiając ze swym najlepszym prawnikiem, Henrym Ramarau. — Zdobądź dla mnie prawo do opieki nad najmłodszym dzieckiem, ono będzie normalnym Ziemianinem. A w kwestii dwóch mieszańców możemy iść na kompromis, ja wezmę Maurice, ona może zatrzymać Kathy. I oczywiście niech sobie weźmie Blobla, pierwsze nasze, tak zwane, dziecko. W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, ono jest wyłącznie jej. — Odłożył słuchawkę, potem odwrócił się ku zgromadzonym na posiedzeniu dyrektorom jego spółki. — A więc, na czym skończyliśmy? — zapytał. — Na analizie praw podatkowych Io.

Podczas następnych kilku tygodni pomysł przeniesienia się na Io nabierał w jego oczach coraz większego powabu, ze względu na korzystne kalkulacje zysków, jakie się z tym wiązały.

— A więc do dzieła, kupcie jakieś grunty na Io — polecił swemu przedstawicielowi na tym polu, Tomowi Hendricksowi. — I żeby były tanie, zaczynamy od razu. — Do swej sekretarki, panny Nolan, zaś powiedział: — A teraz proszę nie wpuszczać nikogo do mego biura, aż do odwołania. Czuję, że zbliża się atak. Spowodowany niepokojem dotyczącym tej wielkiej przeprowadzki z Ziemi na Io. — Potem dodał: — jak również osobistymi zmartwieniami.

— Tak jest, panie Munster — powiedziała panna Nolan, wyganiając Toma Hendricksa z prywatnego gabinetu George'a. — Nikt nie będzie panu przeszkadzał. — Można było liczyć na nią, że skutecznie odstraszy wszelkich potencjalnych petentów, na czas kiedy George przemieni się w swoją wojenną postać Blobla, jak to się często działo ostatnio; żył bowiem w strasliwym napięciu.

Kiedy później, tego samego dnia, powrócił znowu do ludzkiej postaci, George dowiedział się od panny Nolan, że dzwonił doktor Jones.

— Niech mnie cholera — powiedział George, wracając myślami sześć lat wstecz. — Sądziłem, że obecnie trafił już na składowisko złomu. — Do panny Nolan zaś rzekł: — Proszę oddzwonić do doktora Jonesa i zawiadomić mnie, kiedy już się pani z nim połączy, gotów jestem poświęcić chwilę, aby z nim porozmawiać. — Poczul się jak za dawnych czasów, jeszcze w San Francisco.

Wkrótce panna Nolan miała już doktora Jonesa na linii.

— Doktorze — zaczął George, wyciągając się wygodnie w swoim obrotowym fotelu i zabawiając orchideą stojącą na biurku. — Cieszę się, że pana słyszę.

W jego uchu rozbrzmiał głos homeostatycznego analityka.

— Panie Munster, zauważyłem, że ma pan sekretarkę

— Owszem — powiedział George. — Jestem teraz potentatem przemysłowym. Pracuję w interesie pasów redukcyjnych; stanowią coś w rodzaju obroży przeciwko pchłom, jakie noszą psy i koty. A więc, co mogę dla pana zrobić?

— Jak rozumiem, ma pan obecnie czwórkę dzieci.

— Aktualnie trójkę i czwarte w drodze. Niech pan posłucha, doktorze, to czwarte jest szczególnie dla mnie ważne ponieważ zgodnie z prawem Mendla ma być pełnej krwi Ziemianinem i, na Boga, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uzyskać prawo do opieki nad nim. — Dodał po chwili: — Vivian... pamięta pan ją... wróciła niedawno na Tytana. Żyje teraz wśród własnego ludu, tam gdzie jej miejsce. A ja zatrudniam najlepszych lekarzy, jakich mogłem znaleźć, pracujących nad ustabilizowaniem mojej postaci. Zmęczony już jestem tymi ciągłymi przemianami, dzień i noc. Mam zbyt dużo pracy, by móc pozwolić sobie na takie nonsensy.

— Z tonu pańskiego głosu mogę wnosić — oznajmił doktor Jones — że jest pan poważnym, zajęтым człowiekiem, panie Munster. Z pewnością wybił się pan w świecie, od czasu gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

— Do rzeczy, doktorze — niecierpliwie odparł George. —? Dlaczego pan dzwoni?

— Ja, hm, pomyślałem, że być może udałoby mi się sprawić, byście ponownie zesłi się z Vivian.

— Ba! — parsknął George z pogardą. — Z tą kobietą? Nigdy. Niech pan posłucha, doktorze, muszę już kończyć tę rozmowę. Finalizujemy właśnie poważną operację finansową, tutaj w Munster Incorporated.

— Panie Munster — zapytał doktor Jones — czy jest jakaś inna kobieta?

— Jest inny Blobel — odparł George — jeśli o to pan pyta. — I odłożył słuchawkę.

Dwa Bloble to lepiej niż żaden, powiedział w myślach — A teraz z powrotem do pracy...

Wcisnął przycisk na swoim biurku i natychmiast panna zajrzała do gabinetu. Panna Nolan —

powiedział George — proszę mnie połączyć z Hankiem Ramarau. Chcę się dowiedzieć...

— Pan Ramarau czeka na linii — odrzekła panna Nolan — Mówi, że sprawa jest pilna.

Przełączywszy się na drugą linię, George powiedział:

— Cześć, Hank. O co chodzi?

— Właśnie odkryłem — powiedział jego naczelny radca prawny — że aby zarządzać fabryką na Io, musisz być obywatelem Tytana.

— Nie powinno być chyba z tym kłopotu — odparł George.

— Ale żeby stać się obywatelem Tytana... — Ramarau zawahał się. — Powiem ci to wprost, George. Musisz być Bloblem.

— Do diabła, ja jestem Bloblem — stwierdził George. — Przynajmniej przez część czasu. Czy to wystarczy?

— Nie — odparł Ramarau. — Sprawdziłem tę kwestię, znając twoje strapienie, i wychodzi na to, że musisz cały czas być Bloblem. Dzień i noc.

— Hm — zadumał się George. — To niedobrze. Ale z tym również jakoś sobie poradzimy. Posłuchaj, Hank, mam właśnie wyznaczone spotkanie z Eddym Fullbrightem, moim koordynatorem medycznym, zadzwonię do ciebie później, w porządku? — Odłożył słuchawkę, a potem pogrążył się w ponurych rozmyślaniach, pocierając mimowolnie szczękę.

Cóż, postanowił ostatecznie, niech będzie, co ma być. Pakty są, jakie są, i nie można pozwolić, aby stawały nam na drodze.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer swego lekarza, Eddy'ego Fullbrighta.

Dwudziestodolarowa platynowa moneta potoczyła się w dół po przewodnicy i zwarła obwód. Doktor Jones włączył się, uniósł wzrok i zobaczył oszalamiającą kobietę o spiczastych piersiach, którą rozpoznał — dzięki szybkiemu przejrzeniu wmontowanych banków pamięci — jako panią Munster, niegdyś Vivian Arrasmith.

— Dzień dobry, Vivian — przywitał się kordialnie. — Ale z tego, co mi powiedziano, powinna być pani na Tytanie Wstał i zaproponował jej krzesło.

Ocierając chusteczką swe wielkie, ciemne oczy, Vivian pociągnęła nosem.

— Panie doktorze, cały świat się wokół mnie wali. Mój mąż zdradza mnie z inną kobietą... wiem tylko, że ma na imię Nina i że mówią o tym wszyscy chłopcy w siedzibie WWN. Zapewne jest Ziemianką. Oboje złożyliśmy pozew o rozwód. I czeka nas okropna walka w sądzie o prawo do opieki nad dziećmi. — Skromnym gestem wygładziła swoje palto. — Spodziewam się dziecka. Naszego czwartego.

— Wiem o tym — powiedział doktor Jones. — Tym razem powinien być to Ziemianin pełnej krwi, jeśli oczywiście zadziała prawo Mendla... chociaż zasadniczo stosuje się ono jedynie do zwierząt.

Pani Munster powiedziała żałośnie:

— Byłam na Tytanie, rozmawiałam z prawnikami i ekspertami medycznymi, z ginekologiem, w szczególności zaś z radcami zajmującymi się sprawami wojskowymi. W ciągu ostatniego miesiąca udzielono mi wszelkiego rodzaju porad. Teraz zaś wróciłam z powrotem na Ziemię i nigdzie nie mogę znaleźć George'a... on zniknął.

— Chciałbym ci pomóc, Vivian — powiedział doktor Jones. — Pewnego dnia rozmawiałem krótko z twoim mężem, ale mówiliśmy tylko o ogólnych kwestiach... najwyraźniej jest teraz tak wielkim potentatem, że niełatwo się do niego dostać.

— I pomyśleć — pociągnęła nosem — że osiągnął to wszystko dzięki pomysłowi, który ja mu

podsunęłam. Pomysłowi Blobli.

— Ironia losu — powiedział doktor Jones. — A więc jeśli chcesz zatrzymać przy sobie męża, Vivian...

— Jestem zdecydowana, by go zatrzymać, doktorze Jones. Szczerze, przeszłam na Tytanie terapię, ostatni krzyk mody, bardzo droga... wszystko dlatego, że kocham George'a tak bardzo, bardziej nawet niż mój lud albo moją planetę.

— Więc? — zapytał doktor Jones.

— Dzięki zastosowaniu najnowszych osiągnięć nauki w całym Układzie Słonecznym — powiedziała Vivian — zostałam ustabilizowana, doktorze Jones. Teraz przebywam w postaci ludzkiej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a nie jak wcześniej osiemnaście. Porzuciłam swoją naturalną postać tylko po to, by ocalić małżeństwo z George'em.

— To najwyższe poświęcenie — powiedział doktor Jones, do głębi poruszony.

— Teraz chcę go już tylko znaleźć, doktorze...

Trwała właśnie ceremonia wkopywania kamienia węgielnego na Io. George Munster podpełził powoli do wbitej w grunt łopaty, wyciągnął nibynóżkę, ujął trzonek narzędzia i za jego pomocą udało mu się wykopać symboliczną porcję ziemi.

— To wielki dzień — zagrzmiał głucho, stosując namiastkę aparatu głosowego, w który zamienił część śliskiej, plastycznej substancji, z jakiej składało się jego jednokomórkowe ciało.

— Prawda, George — zgodził się Hank Ramarau, stojący blisko z pakietem dokumentów.

Urzędnik z Io, który podobnie jak George był wielkim przezroczywym bąblem, popełził ku Ramarau, wziął od niego dokumenty i zagrzmiał:

— Zostaną natychmiast przekazane mojemu rządowi. Pewien jestem, że wszystko jest w porządku, panie Ramarau.

— Ręczę za to — zapewnił urzędnika radca. — Pan Munster ani na chwilę nie wraca do ziemskiej postaci, wykorzystał najnowsze zdobycze technicznego postępu w naukach medycznych, aby ustabilizować swój stan w jednokomórkowej fazie wcześniejszych przemian. Munster nigdy by nie oszukiwał.

— Ta historyczna chwila — wielki jednokomórkowy bąbel, który był kiedyś George'em Munsterem, taką wysłał myśl do tłumu tubylców, którzy również uczestniczyli w ceremonii — oznacza podniesienie poziomu życia dla wszystkich Ionian, którzy zostaną u mnie zatrudnieni; przyniesie °na dobrobyt temu terenowi i dumne poczucie narodowego osiągnięcia podczas wytwarzania tego, co uznajemy obecnie za narodowy wynalazek: Magicznego Pasa Magnetyczne? Munstera.

Tłum Blobli wysyłał w jego stronę radosne myśli.

— To jest wielki dzień w moim życiu — przekazał im George Munster i stopniowo zaczął pełznąć do swego samo chodu, w którym jego szofer czekał, aby go zawieźć do pokoju hotelowego, na stałe zarezerwowanego w Io City.

Któregoś dnia będzie miał także ten hotel. Zaczął już inwestować zyski ze swego przedsiębiorstwa w lokalne nieruchomości; jak poinformowali go pozostali Ionianie, pozostałe Bloble, był to czyn jak najbardziej patriotyczny — a nadto zyskowy.

— W końcu wreszcie osiągnąłem sukces — taką myśl wysłał George Munster do wszystkich, którzy znajdowali się na tyle blisko, by odebrać jego emanacje.

Wśród szaleńczych, radosnych wiwatów wpełził po pochylni do swego zbudowanego na Tytanie

samochodu.

Przełożył Jan Karłowski

WIARA NASZYCH OJCÓW

Szedł ulicami Hanoi i nagle zauważył przed sobą beznogiego handlarza siedzącego na małym drewnianym wózku, którzy przenikliwym głosem zaczynał każdego przechodnia. Chien zwolnił kroku, wsłuchał się w głos tamtego, ale nie przystanął. Sprawy w Ministerstwie Zabytków Kultury całkowicie pochłaniały jego myśli i nie pozwalały na rozpraszenie uwagi — było właściwie tak, jakby znajdował się zupełnie sam na ulicy, a oprócz niego nie było tu żadnych innych ludzi, żadnych rowerów, skuterów czy nawet motocykli o napędzie odrzutowym. I jakby nie istnieli żaden beznodzy handlarze.

— Towarzyszu — głos handlarza przedarł się jednak do jego świadomości. Tamten ścigał go na swoim wózku, a silnik zasilany baterią helową pozwalał swobodnie dotrzymać kroku idącemu Chienowi. — Mam szeroki wybór ziołowych leków, które przeszły próbę czasu wraz ze świadectwami tysiąca lojalnych użytkowników. Proszę mi powiedzieć, na czym polega pańska dolegliwość, a na pewno będę w stanie pomóc.

Chien zatrzymał się.

— Tak, rozumiem, ale mnie nie trapią żadne dolegliwości.

Wyjąwszy, pomyślał, chroniczną przypadłość ludzi zatrudnionych przez Komitet Centralny: oportunizm karierowiczów bezustannie szturmujących każde stanowisko w urzędzie. Włączywszy w to moje.

— Mam lek, na przykład, na chorobę popromienną — zaintonował handlarz, wciąż goniąc za nim. — Przedłużający, jeśli to konieczne, sprawność seksualną. Potrafię zatrzymać rozwój nowotworu, nawet w przypadku melanomatozy którą wolicie nazywać czerniakiem. — Unosząc tacę, na której stały buteleczki, małe aluminiowe puszkę i rozmaite proszki w plastikowych fiolkach, handlarz dalej zawodził: — . Jeżeli twój rywal wciąż próbuje uzurpować sobie prawo do twojego intratnego stanowiska urzędowego, potrafię dostarczyć maści, która z pozoru przypomina balsam do skóry a w rzeczywistości jest straszliwie skuteczną trucizną. Moje ceny, towarzyszu, są niskie. I tylko ze względu na tak szlachetne urodzenie jak twoje przyjmę również powojenne inflacyjne papierowe dolary, szanowane w wymianie międzynarodowej, w istocie jednak niewiele więcej warte niżli papier toaletowy.

— Idź do diabła — rzucił Chien i gestem przywołał przejeżdżającą właśnie obok powietrzną taksówkę; już był trzy i pół minuty spóźniony na pierwsze swoje spotkanie tego dnia, a jego rozmaici tłustozadzi przełożeni w ministerstwie z pewnością odnotują sobie ten fakt w pamięci, podobnie zresztą bez wątpienia, jeszcze nawet skrupulatniej, uczynią jego podwładni.

Handlarz powiedział cicho:

— Ale, towarzyszu, musisz ode mnie coś kupić.

— Dlaczego? — oburzył się Chien.

— Ponieważ, towarzyszu, jestem weteranem wojny. Walczyłem w Gigantycznej Ostatecznej Wojnie o Narodową Niepodległość w szeregach Zjednoczonego Frontu Ludowej Demokracji przeciwko Imperialistom; straciłem swoje kończyny dolne w bitwie o San Francisco. — W jego tonie zabrzmiały teraz nuty triumfalne, lecz jednocześnie przebiegłe. — Takie jest prawo. Jeżeli odmówisz kupienia towarów proponowanych przez weterana, ryzykujesz karę pieniężną, a nawet wyrok aresztu, nie mówiąc już o niełasce.

Chien ze znużeniem skinął na powietrzną taksówkę.

— Nie ma wyjścia — powiedział. — W porządku, muszę coś od ciebie kupić. — Objął jednym

spojrzeniem całość skromnej ekspozycji lekarstw ziołowych, wybrał na chybił trafił jedno z nich. — Wezmę to — postanowił, wskazując na owiniętą w papierek paczuszkę leżącą z tyłu.

Handlarz zaśmiał się.

— To, towarzyszu, jest środek plemnikobójczy kupowany przez kobiety, które z politycznych powodów nie kwalifikują się na przydział Pigułki. Zapewne w niewielkim stopniu mógłby okazać ci się przydatny, w samej rzeczy wcale, ponieważ jesteś mężczyzną.

— Prawo — zauważył Chien kąśliwie — nie wymaga ode mnie, abym kupił od ciebie coś, co mogłoby mi się przydać. Wezmę to. — Sięgnął do kieszeni watomanej kurtki po swój portfel, wypchany grubym plikiem powojennych inflacyjnych banknotów, którymi cztery razy tygodniowo wypłacano mu urzędniczą pensję.

— Opowiedz mi o swoich problemach — powiedział handlarz.

Chien zagapił się na niego, zdumiony takim naruszeniem swojej prywatności — na dodatek w wykonaniu kogoś spoza służby publicznej.

— W porządku, towarzyszu — łagodził handlarz, widząc wyraz jego twarzy. — Nie będę dociekał, proszę mi wybaczyć. Ale jako lekarz... jako obeznany z ziołami uzdrowiciel... słuszne byłoby, gdybym dowiedział się jak najwięcej. — Zadumał się, rysy jego wychudzonej twarzy nagle stały się jakby bardziej trzeźwe. — Czy może nadmiernie dużo oglądasz telewizję? — zapytał zniechęca.

Wzięty z zaskoczenia, Chien machinalnie odpowiedział:

— Oglądam każdego wieczoru. Wyjąwszy piątek, kiedy udaję się do mojego klubu, gdzie uprawiam importowaną z pokonanego Zachodu sztukę rzucania lassem. — To była jedyna słabość, na którą sobie pozwalał; jedyne zajęcie wykraczające poza jego działalność całkowicie oddaną sprawom Partii.

Handlarz sięgnął dłonią, wybrał pakiecik owinięty w szary papier.

— Sześćdziesiąt dolarów — obwieścił. — Z absolutną gwarancją. Jeżeli nie będzie działać jak obiecano, można zwrócić nie wykorzystaną porcję w zamian za pełny i uczciwy zwrot kosztów.

— A co — zapytał uszczypliwie Chien — ma on gwarantować?

— Usuwa on zmęczenie oczu wywołane wpatrywaniem się w wyprane ze znaczenia oficjalne monologi — powiedział handlarz. — Jest to preparat uśmierzający, weź go, kiedy tylko poczujesz, że dojadły ci drętwe i przydługie kazania które...

Chien zapłacił, przyjął zawiniątko i pośpiesznie odszedł Bzdury, powiedział do siebie. To jest kradzież w biały dzień doszedł do wniosku. Ustawa czyniąca z weteranów wojennych klasę uprzywilejowaną. Oni pasożytują na nas... na nas, młodszych... niczym prawdziwi drapieżcy.

Zapomniany, mały pakiecik spoczywał spokojnie w kieszeni jego kurtki, kiedy wchodził do okazałego budynku Powojennego Ministerstwa Zabytków Kultury, a potem do swego stosownie okazałego gabinetu, by rozpocząć dzień pracy.

W jego biurze czekał już korpulentny mężczyzna rasy białej w średnim wieku, mający na sobie jedwabny brązowy garnitur z Hongkongu, dwurzędowy, z kamizelką. Nieznajomemu towarzystwa dotrzymywał jego bezpośredni przełożony, Ssu-ma Tso-pin. Tso-pin przedstawił ich sobie po kantońsku, a więc w dialekcie, którym posługiwał się nie najlepiej.

— Panie Tung Chien, to jest pan Darius Pethel. Pan Pethel obejmie kierownictwo nowej ideologicznej i kulturalnej instytucji o charakterze dydaktycznym, która wkrótce zostanie otwarta w San Fernando w Kalifornii. — Po chwili dodał jeszcze: — Pan Pethel ma za sobą bogaty dorobek całego życia działalności pedagogicznej poświęconej popieraniu wysiłków ludu zmierzających do obalenia reżimu krajów bloku imperialistycznego, stąd też jego wysoka pozycja.

Wymienili uścisk dłoni.

— Herbaty? — zaproponował Chien obu mężczyznom, nie czekając na odpowiedź, wcisnął przycisk swego podczerwonego hibachi i dosłownie po chwili woda w bogato zdobionym glinianym czajniczku — oryginalnym japońskim — zaczęła bulgotać. Kiedy wreszcie usiadł za biurkiem, zauważył, że niezawodna panna Xi wydobyła już informacyjną kartę (poufną) dotyczącą towarzysza Pethela; zerknął na nią, równocześnie udając, że niczym w szczególności się nie zajmuje.

— Absolutny Dobroczyńca Ludzkości — powiedział Tso-pin — ufa panu Pethelowi, zresztą spotkał się z nim osobiście. To rzadki zaszczyt. Szkoła w San Fernando będzie zapewne nauczać ogólnych zasad filozofii taoistycznej, lecz przyszłości oczywiście stworzy dla nas kanał porozumienia z liberalnym i intelektualnie zorientowanym elementem młodzieżowym zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich wciąż jeszcze żyje, od San Diego aż po Sacramento; wedle naszej oceny, przynajmniej jakieś dziesięć tysięcy. Szkoła będzie mogła przyjąć dwa tysiące uczniów. Wybrani przez nas zasilą później szeregi Partii. Rola Zaś, jaką dla ciebie przewiduje program pana Pethela, jest decydująca. Hm, woda na herbatę już wrze.

— Dziękuję — wymamrotał Chien, wrzucając do środka torebkę herbaty Liptona.

Tso-pin ciągnął dalej:

— Chociaż to pan Pethel będzie nadzorował program kursów szkoleniowych oferowanych przez szkołę kolektywowi uczniowskiemu, wszystkie dokumenty egzaminacyjne będą, co samo w sobie jest rzeczą zastanawiającą, dostarczane tutaj, do twojego biura, gdzie zostaną poddane specjalistycznemu i dogłębnemu zbadaniu pod względem poprawności zawieranych przez nie ideologicznych treści. Innymi słowy, panie Chien, pan będzie określał, kto spośród dwóch tysięcy uczniów jest godny zaufania, kto naprawdę internalizuje treści propagandowego szkolenia, kto zaś nie.

— Pozwolę sobie nalać teraz herbaty — powiedział Chien i zrobił to z zachowaniem stosownego ceremoniału.

— Musimy jednak zdawać sobie sprawę — zagrzemiał głębokim basem Pethel w dialekcie kantońskim, gorszym jeszcze niż u Tso-pina — że od kiedy przegrali z nami wojnę światową, Amerykanie rozwinęli w sobie talent do symulacji. — Ostatnie słowo wypowiedział po angielsku; nie rozumiawszy go, Chien zwrócił pytające spojrzenie na przełożonego.

— Do kłamania — wyjaśnił Tso-pin.

Pethel zaś kontynuował:

— Ich usta głoszą wobec świata właściwe slogany, w głębi serc jednak uważają je za fałszywe. Prace egzaminacyjne złożone przez tę grupę do złudzenia przypominają mogą wypracowania szczerych...

— Chce pan powiedzieć, że dwa tysiące prac egzaminacyjnych przechodzić będzie przez moje biuro? — z niedowierzaniem zapytał Chien. Nie potrafił w to uwierzyć. — Przecież to samo w sobie stanowi pełnoetatową pracę. Nie dysponuję czasem, by podjąć się zadania choćby w przybliżeniu tak ogromnego. — Był przerażony. — Aby sformułować rzetelną, oficjalną ocenę poczynań tak przebiegłych jednostek, o jakich pan napomknął... — Machnął ręką. — Pieprzyć to — powiedział po angielsku.

Usłyszawszy mocny zachodni wulgaryzm, Tso-pin aż zamrugał. W końcu rzekł:

— Masz swój personel. Możesz też zażądać kilku dodatkowych ludzi z rezerw. Zezwala na to budżet ministerstwa, znacznie w tym roku rozszerzony. I pamiętaj: Absolutny Dobroczyńca Ludzkości osobiście wyznaczył do tego zadania pana Pethela. — W jego głosie zabrzmiały nagle złowieszcze nuty, aczkolwiek bardzo subtelne. Chien jednak wyłapał je i zdławił ogarniającą go histerię, przynajmniej na chwilę.

Aby dodatkowo podkreślić wagę swoich słów, Tso-pin wstał, przeszedł w najdalszy koniec biura i stanął przed naturalnych rozmiarów trójwymiarowym portretem Absolutnego Dobroczyńcy; po krótkiej chwili jego bliskość uruchomiła mechanizm taśmy umieszczony za portretem. Rysy twarzy Dobroczyńcy drgnęły, z ust zaś popłynęła znajoma homilia, głosząc jeszcze bardziej znajome motywy:

— Walka o pokój, moi synowie — zaintonował czule, choć zdecydowanie.

— Ha — powiedział Chien, wciąż jeszcze wytrącony z równowagi, starannie jednak to ukrywając. — Być może jeden z komputerów ministerstwa będzie zdolny posortować prace egzaminacyjne; zapewne da się opracować program pozwalający na udzielanie odpowiedzi typu „tak lub nie na podstawie wstępnej analizy wzorców ideologicznej poprawności... i niepoprawności. Z całej tej sprawy będzie można uczynić zajęcie rutynowe. Najprawdopodobniej.

— Mam ze sobą pewne materiały — rzekł Darius Pethel. — Chciałbym, by pan je przejrzał, panie Chien. — Rozpiął zamek błyskawiczny szkaradnej, staromodnej plastikowej teczki. — Dwa eseje egzaminacyjne — kontynuował, podając dokumenty Chienowi. — To upewni nas, czy ma odpowiednie kwalifikacje. — Zerknął na Tso-pina, ich spojrzenia spotkały się. — Jak rozumiem — powiedział Pethel — jeśli wykażesz się sukcesami w tym przedsięwzięciu zostaniesz awansowany na stanowisko wiceradcy ministerstwa, a Jego Wysokość Absolutny Dobroczyńca Ludzkości osobiście przypnie ci order Kisterigiana do piersi. — Obydwaj, on i Tso-pin, uśmiechnęli się niepokojąco równocześnie.

— Order Kisterigiana — powtórzył Chien, wziął od tamtego prace egzaminacyjne, przejrzał je pobieżnie, starając się okazać jedynie leniwą, profesjonalną obojętność. Ale w głębi jego serce dygotało od prawdziwego przerażenia. — Dlaczego akurat te dwie? Zastanawiam się mianowicie, czego mam szukać, proszę pana.

— Jeden z tych dokumentów to praca zdeklarowanie postępowego, lojalnego członka Partii, którego poświęcenie dla naszej sprawy zostało wszechstronnie przebadane. Drugą napisał młody stiliaga, którego podejrzewamy o skryte wyznawanie drobnomieszczańskich, imperialistycznych, zdegenerowanych idei. Pańskim zadaniem będzie, proszę pana, odpowiednie powiązanie prac z ich autorami.

Wielkie dzięki, pomyślał Chien. Ale nie zdradził się ze swoimi myślami. Kiwając głową, przeczytał tytuł wypracowania.

ANTYCYPACJA DOKTRYN ABSOLUTNEGO DOBROCZYŃCY W WIERSZACH TRZYNASTOWIECZNEGO POETY ARABSKIEGO BAHA AD-DIN ZUHAYRA

Zerknąwszy na wstępne strony eseju, Chien dostrzegł znajome słowa. Strofa pochodziła z wiersza *Śmierć*, który Poznał we wczesnych latach swej edukacji.

Za pierwszym razem nie trafi i chybi za wtórym,
Wybiera tylko jedną z licznych godzin na to;
Dla niej nie istnieje głębia ni wysokie góry,
Lecz wszystko jest płaską równiną, gdzie ścina główki kwiatom.

— Wspaniały — powiedział Chien. — Ten wiersz.

— Autor wykorzystuje ten wiersz — powiedział Pethel obserwując, jak usta Chiena poruszają się, gdy odczytuje strofę — aby wykazać istnienie wiekowej mądrości, która dla nas, żyjących w dzisiejszych czasach, ucieleśnia Absolutny Dobroczynca i wedle której żadna jednostka nie jest bezpieczna; wszyscy jesteśmy bowiem śmiertelni, a tylko ponadosobowa, zgodna z istotą dziejów sprawa może nas przetrwać. I tak zresztą powinno być. Czy zgodzi się pan z nim? To znaczy z tym uczniem? Czy też... — Pethel zawiesił głos. — Czy też w rzeczywistości mamy tu do czynienia z satyrą na duchową działalność Absolutnego Dobroczyńcy?

Chien odparł ostrożnie:

— Proszę mi dać szansę przyjrzenia się drugiemu wypracowaniu.

— Niepotrzebne są ci żadne dalsze informacje, zdecyduj od razu.

— Ja... — Chien zawahał się — .. nigdy nie przyszła mi do głowy taka interpretacja tego wiersza. — Poczł napływ irytacji. — W każdym razie nie napisał go Baha ad-Din Zuhayr, pochodzi on ze zbioru *Opowieści tysiąca i jednej nocy*. Jednak napisano go w trzynastym wieku, z tym muszę się zgodzić. — Szybko przebiegł wzrokiem tekst wypracowania dołączonego do poematu. Na pierwszy rzut oka wydawał się całkowicie zrutyinizowanym, pozbawionym iskry talentu streszczeniem wyświechtanego zestawu partyjnych sloganów, z których wszystkie znał aż nazbyt dobrze, ponieważ wtlaczano mu je do głowy, praktycznie rzecz biorąc, od niemowlęstwa. Ślepy imperialistyczny potwór, który dławił i wysysał (pomieszane metafory) ludzkie szlachetne dążenia, machinacje wciąż jeszcze istniejących grup anty-Partii na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. — Poczł się śmiertelnie znudzony i równie wyzuty choćby z iskry talentu co wypracowanie, które miał przed sobą. Nie wolno nam spocząć, głosiła praca. Trzeba zmieść z powierzchni ziemi resztki Pentagonu, co uwiły sobie gniazdo w górach Catskill, podporządkować Tennessee, w szczególności zaś rozprawić się z gniazdem zaprzysięgłej reakcji na czerwonych wzgórzach Oklahomy. Westchnął.

— Sądę — oznajmił Tso-pin — że powinniśmy pozwolić nu Chienowi, aby zajął się tym niełatwym zadaniem w wolnym czasie. — Do Chiena zaś powiedział: — Otrzymujesz pozwolenie na zabranie ich do domu dziś wieczór i ocenienie ich w wolnym czasie. — Ukłonił się, na poły szyderczo, na poły życzliwie. W każdym razie niezależnie od tego, czy jego gest należało odczytać jako obrazę, czy też nie, udało mu się wybawić Chiena z trudnej sytuacji i za to należała mu się wdzięczność.

— Jest pan doprawdy niezwykle uprzejmy — wymamrotał Chien — pozwalając mi zająć się tą nową i wysoce stymulującą pracą w moim czasie wolnym. Mikojan, gdyby dziś jeszcze żył, z pewnością zaaprobowałby pański sposób postępowania.

Bękarty, zaklął w duchu, mając na myśli zarówno swego przełożonego, jak i białego Pethela. Rzucacie mi bez ostrzeżenia kłodę pod nogi, i to w moim wolnym czasie. Najwyraźniej KP USA ma nieliczne kłopoty: jej akademie indoktrynacyjne nie radzą sobie z notorycznie upartą, ekscentryczną młodzieżą Jankesów. A wy przerzucaliście sobie tę kłodę z rąk do rąk, aż wreszcie wpadła pod moje nogi.

Wielkie dzięki za nic, pomyślał kwaśno.

Tego wieczoru w swoim małym, aczkolwiek wygodnie wyposażonym mieszkaniu w bloku, uważnie przeczytał drugą z prac egzaminacyjnych, napisaną przez Marion Culper. Okazało się, że ona również ma za temat wiersz — najwyraźniej autorzy uczęszczali na specjalny kurs poświęcony poezji — i poczł mdłości. Wykorzystywanie poezji — czy też innej formy sztuki — dla celów społecznych odbierał zawsze jako występki przeciwko swojej naturze. W każdym razie rozsiadłszy się wygodnie

w swoim specjalnie skonstruowanym, aby zapobiegać wadom kręgosłupa, obitym sztuczną skórą wypoczynkowym fotelu, zapalił świetne cygaro *cuesta rey number one english market* i zabrał się do czytania.

Autorka wypracowania, panna Culper, analizie poddała fragment poematu Johna Drydena, siedemnastowiecznego angielskiego poety; były to końcowe wersy dobrze znanej *Pieśni na dzień św. Cecylii*.

...A gdy w tę ostatnią i pełną grozy godzinę
Korowód tego świata zniszczeje, przeminie,
Trąba zagrzmi wniebogłosy,
Żyjący pomrą, zmarli wzejdą jak kłosa,
A Muzyka rozstroi niebiosy.

Cóż, co za cholerna sprawa, pomyślał Chien gorzko. Mamy z tej analizy wyciągnąć wniosek, że Dryden przewidział upadek kapitalizmu? To właśnie miał na myśli, gdy pisał o „przemijającym korowodzie”? Chryste. Pochylił się, aby zaciągnąć się cygarem, ale zgasło. Przeszukując kieszenie w poszukiwaniu japońskiej zapalniczki, lekko uniósł się z fotela...

— Piii! — odezwał się telewizor stojący w przeciwległym krańcu salonu.

Aha, pomyślał Chien. Oto zbliża się czas kolejnego przemówienia Wodza. Absolutnego Dobroczyńcy Ludzkości z Pekinu, gdzie mieszkał już od dziewięćdziesięciu lat, a może to już równa setka? Albo, jak czasami lubimy o nim myśleć, Dup...

— Niech dziesięć tysięcy kwiatów najskromniejszego, a z własnej woli przyjętego ubóstwa rozkwita na dziedzińcach waszych dusz — zaczął spiker w telewizji.

Chien wstał z jękiem i wykonał obowiązkowy ukłon; każdy odbiornik telewizyjny wyposażony był w urządzenia monitorujące, które przekazywały bezpiecze, albo, jak brzmiała oficjalna nazwa: Służbom Bezpieczeństwa, czyjego właściciel kłania się i czy ogląda, ewentualnie, którego z obowiązków zaniedbał.

Na ekranie pojawiło się wyraźne oblicze, szerokie, nie pomarszczone, zdrowe rysy studwudziestoletniego wodza KP Wschód, władcy wielu — nazbyt wielu, pomyślał Chien. A pieprz sobie, zaklął w duchu i z powrotem usiadł w swoim pokrytym podróbką skóry fotelu wypoczynkowym, teraz jednak z twarzą skierowaną w stronę ekranu telewizyjnego.

— Moje myśli — powiedział powoli Absolutny Dobroczyńca, uważnie modulując głos — krążą wokół was, moje dzieci. A w szczególności wokół pana Tung Chiena z Hanoi, który stanął przed trudnym zadaniem, zadaniem mogącym wszakże przynieść tyle korzyści ludowi demokratycznego Wschodu, jak również amerykańskiego Zachodniego Wybrzeża. Wszyscy razem musimy wspomóc naszymi myślami tego szlachetnego, pełnego poświęcenia człowieka, solidaryzując się z nim w obowiązkach, jakie ma do wypełnienia. Ja zaś postanowiłem poświęcić kilka chwil mego czasu, aby zaszczyścić go i natchnąć odwagą. Czy pan mnie słucha, panie Chien?

— Tak, Wasza Wysokość — powiedział Chien i zastanowił się w duchu, jakie naprawdę są szanse na to, by Wódz Partii jego właśnie wybrał na ten szczególny wieczór. To, co przyszło mu do głowy, sprawiło, że zareagował cynizmem zupełnie nie przystającym do wizerunku partyjnego towarzysza; to było zupełnie nieprzekonujące. Zapewne cała ta transmisja nadawana była wyłącznie do jego budynku — w najlepszym razie dla całego miasta. Mogła to też być sprawa synchronizacji ruchów

warg, wykonanej w Hanoi TV, Incorporated. W każdym razie wymagano od niego, by słuchał i oglądał — oraz zapamiętywał. Po całych latach ćwiczeń nie miał z tym większego kłopotu. Z zewnątrz wydawał się całkowicie skoncentrowany. W myślach jednak wciąż przeżuwał te dwie prace egzaminacyjne, zastanawiając się, która jest która; gdzie kończy się zaprzysięgły entuzjazm dla linii Partii, a zaczyna sardoniczny paszkwil? Trudno orzec... co oczywiście wyjaśniało, dlaczego złożyli to zadanie na jego barki.

Ponownie zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki — i znalazł małe szare zawiniątko, które sprzedał mu weteran wojny. O Panie, pomyślał, przypominając sobie, ile kosztowało. Wyrzucone pieniądze, a co mu przyjdzie z tych ziół? Nic. Na odwrocie pakieciku dostrzegł jakieś słowa drobnym drukiem. No tak, pomyślał i ostrożnie zaczął rozwijać pakiecik. Skusiły go wydrukowane słowa — i oczywiście taka też była ich rola.

Zawiodłeś jako członek Partii i istota ludzka?
Obawiasz się, że jako bezużyteczny i niepotrzebny
rzucony zostaniesz na stos popiołów historii wraz...

Szybko przebiegł wzrokiem resztę napisu, ignorując jego zapewnienia, próbując znaleźć to, czego szukał.

Tymczasem Absolutny Dobroczyńca jednostajnie ciągnął swą przemowę.

Tabaka. Zawiniątko zawierało tabakę. Niezliczone drobniutkie czarne ziarenka przypominające proch strzelniczy od których biła niezwykła, aromatyczna woń, łaskocząc w nosie. Ta szczególna mieszanka, jak się przekonał p0 chwili, nosiła nazwę Princes Special. Bardzo przyjemna doszedł do wniosku. Jeszcze za czasów studenckich na Uniwersytecie Pekinśkim, kiedy palenie tytoniu na jakiś czas zostało zakazane z przyczyn zdrowotnych, niekiedy zażywał tabaki; to była przelotna moda, zwłaszcza że przygotowywane amatorskim sposobem w Czong-king mieszanki robiono Bóg jeden tylko wie z czego. Czy w tym wypadku również tak było? Do tabaki można było dodać niemalże każdego środka aromatyzującego, począwszy od esencji organicznych, a skończywszy na sproszkowanych odchodach niemowlęcia... tak przynajmniej podejrzewał, zwłaszcza jeśli chodzi o angielską mieszankę zwaną high dry toast, której to zawdzięczał ostateczne zerwanie z nawykiem przyjmowania tytoniu przez nos.

Na ekranie telewizora Absolutny Dobroczyńca monotonna zawodził niskim głosem, Chien zaś ostrożnie wciągnął do nosa porcję tabaki. Najpierw przeczytał zapewnienia — miała stanowić remedium na wszystko, od spóźnień do pracy po zakochanie się w kobiecie o wątpliwym pochodzeniu klasowym. Ciekawe. Lecz typowe dla wszelkich tego rodzaju deklaracji...

Usłyszał dzwonek.

Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je, doskonale wiedząc, kogo zobaczy po drugiej stronie. Stał tam, oczywiście, Mou Kuei, Inspektor Domu, drobny, o twardym spojrzeniu i świadom powagi swego zadania; na ramieniu miał opaskę, na głowie zaś metalowy hełm, co oznaczało, że pojawia się tu oficjalnie.

— Towarzyszu Chien. Otrzymałam właśnie telefon o władz telewizji. Zamiast oglądać program telewizyjny, towarzysz zabawia się pakiecikiem o podejrzaną zawartość. — Wyciągnął tabliczkę i pióro kulkowe. — Dwa czerwone znaczki. I od tej pory nakazuje się wam zajęcie wygodnej, pozbawionej napięcia postawy przed ekranem i poświęcenie Wodzowi niezakłóconej uwagi. Tego

wieczoru jego słowa są skierowane w szczególności do was, towarzyszu, do was.

— Wątpię, by tak było — usłyszał swoje własne słowa.

Kuei zapytał, mrużąc oczy:

— Co macie na myśli?

— Wódz rządzi ośmioma miliardami towarzyszy. Na pewno nie zdaje sobie w ogóle sprawy z mojego istnienia. — Poczul napływ gniewu: punktualne pojawienie się inspektora rozdrażniło go.

— Ale wyraźnie na własne uszy słyszałem. Zostaliście wymienieni — upierał się Kuei.

Chien podszedł do odbiornika telewizyjnego i zwiększył głośność.

— Ale teraz mówi o kłopotach w ludowych Indiach, nie ma to żadnego związku ze mną.

— Cokolwiek powie Wódz, jest ważne. — Mou Kuei zakreślił karne znaczki na jego karcie, skłonił się oficjalnie i odwrócił do wyjścia. — Telefon nakazujący mi udać się do was i osobiście zająć waszym niedbalstwem pochodził z Centrali. Najwyraźniej oni sami uważają, że ważne jest, by twoja uwaga pozostawała niezakłócona; muszę ci polecić, abyś uruchomił twoje obwody automatycznego zapisu i odtworzył wcześniejsze fragmenty przemówienia Wodza.

Chien pierdnął. I zatrzasnął drzwi.

Z powrotem do odbiornika telewizyjnego, powiedział do siebie. Przed którym spędzamy nasz czas wolny od pracy. A jeszcze czekały na niego dwie prace egzaminacyjne studentów, znacznie potęgując ogarniający go nastrój przygnębienia. I to wszystko w czasie, który powinien należeć do mnie, myślał wściekle. Do diabła z nimi. Pieprzyć ich. Podszedł do telewizora, a kiedy wyciągał już rękę, aby go wyłączyć, na obudowie natychmiast zamrugało czerwone światelko, informując go, że nie ma na to pozwolenia — a więc nie może wyłączyć tej tyrady oraz obrazu, nawet jeśli I zasilanie. Obowiązkowe przemowy, pomyślał, wykończą nas wszystkich, pogrzebią nas; gdybym mógł się uwolnić od tego jazgotu oficjalnych mów, uwolnić od zgiełk Partii szczekającej, w miarę jak zagania ludzkość...

Nie było wszakże żadnego zarządzenia, które zabraniałoby mu zażyć tabaki podczas oglądania wystąpienia Wodza. Otworzył więc mały szary pakiecik, na wierzch lewej dłoni wysypał z niego kopczyk czarnych ziarenek. Potem z dużą wprawą uniósł dłoń do nosa i głęboko wciągnął powietrze a wraz z nim tabakę, aż do zatok nosowych. Przypominał mu się stary przesąd, w myśl którego zatoki nosowe miałyby być połączone z mózgiem i tym samym zażywanie tabaki oznaczałoby bezpośrednie drażnienie kory mózgowej. Uśmiechnął się, po raz wtóry rozsiadł wygodnie i wzrok zatopił w ekranie telewizyjnym, przyglądając się gestykulującemu indywiduum, tak dobrze znanemu im wszystkim.

Twarz tamtego, jeszcze przed chwilą widoczna na ekranie, nagle skurczyła się, a po chwili zupełnie zniknęła. Głos przemawiającego ścichł. Chien patrzył teraz w pustkę, w nicość. Spoglądał na ekran biały i pusty, z głośnika zaś słyszał cichutki syk.

Pieprzona tabaka, pomyślał. I zażył łapczywie resztkę porcji znajdującej się na dłoni, wciągając ją gwałtownie do nosa, zatok oraz, tak przynajmniej się czuł, prosto do mózgu: aż się niemal zanurzył w tej tabace, przyswajał ją całym sobą.

Ekran wciąż pozostawał ślepy, później jednak, stopniowo, obraz powrócił ponownie i się ustabilizował. Z tym że to nie był już Wódz. Nie był to Absolutny Dobroczyńca Ludzkości — w istocie w ogóle nie była to istota ludzka.

Patrzył na martwą mechaniczną konstrukcję składającą się z mocnych, eleganckich obwodów, wymachujących macek, soczewek i skrzynki wydającej skrzekliwe dźwięki. Nagle skrzynka zaczęła, wśród brzęczącego jazgotu, przemawiać do niego.

Nie odrywając wzroku od ekranu, myślał jednocześnie gorączkowo, co to może być.

Rzeczywistość? Halucynacja, pomyślał. Handlarz wszedł jakoś w posiadanie środków psychodelicznych używanych podczas wojny wyzwoleniczej — teraz sprzedaje towar, a ja to wzięłem, wzięłem tego mnóstwo!

Niepewnie podszedł do wideofonu, wybrał numer znajdującego się najbliżej jego domu posterunku bezpieczeństwa.

— Chciałbym donieść o handlarzu środków halucynogennych — powiedział do mikrofonu.

— Wasze nazwisko proszę i aktualne miejsce pobytu? — Kompetentny, energiczny i całkowicie bezosobowy policyjny biurokrata.

Podał im wszystkie informacje, po czym z trudem powlókł się do krytego sztuczną skórą fotela, a tam już czekała na niego postać z ekranu telewizora. To jest trujące, pomyślał. To musi być jakiś preparat zsyntetyzowany w Waszyngtonie lub w Londynie — silniej działający i wywołujący znacznie dziwniejsze wrażenia niż LSD-25, którym z takim skutkiem skazili nasze zbiorniki wodne. A ja sądziłem, że uwolni mnie od przykrości wysłuchiwania przemów Wodza... to jest przecież znacznie gorsze, ta elektroniczna, zapluwająca się, wymachująca mackami, metalowo — plastikowa potworność, bezustannie brzęcząca na mnie... to jest monstrualne.

Gdybym musiał oglądać to przez resztę życia...

Dziesięć minut minęło, zanim wreszcie dwóch z bezpieczeństwa załomotało do jego drzwi. A do tego czasu, przechodząc po drodze wszelkie możliwe stadia zmian, znajomy obraz Wodza pojawił się znowu na ekranie, zastępując przerażający sztuczny twór, który wymachiwał mackami i nieprzerwanie zawodził. Trzęsąc się jeszcze cały, Chien wpuścił gliniarzy do środka i zaprowadził do stołu, na którym zostawił resztki tabaki z pakiecika.

— Psychodeliczny narkotyk — powiedział stłumionym głosem. — O krótkotrwałym działaniu. Przyniesiony bezpośrednio przez układ krwionośny, przez naczynia włoskowate w nosie. Mogę wam podać szczegóły dotyczące jego zakupu, gdzie, od kogo i te rzeczy. — Zaczerpnął głęboko tchu; obecność policjantów była uspokajająca.

Dwaj funkcjonariusze czekali z długopisami w pogotowiu. W tle zaś Wódz mamrotał swoją niekończącą się przemowę. Tak jak czynił to podczas tysiąca wieczorów poprzedzających narodziny Tung Chiena. Ale, pomyślał, to już nigdy nie będzie tak samo, przynajmniej nie dla mnie. Nie po tym, jak zażyłem tej tabaki, po której omal nie umarłem.

Czy to właśnie zamierzali osiągnąć? — przyszło mu do głowy.

Wydawało mu się dziwne, myśleć o tamtych „oni”. Osobliwe — ale w jakiś sposób jak najbardziej stosowne. Przez chwilę się wahał, czy rzeczywiście podać szczegóły, czy po — wiedzieć policjantom tyle, by byli w stanie znaleźć tego człowieka.

— Handlarz... — zaczął mówić. „Nie mam pojęcia gdzie nie pamiętam”, chciał już powiedzieć. Ale to nie była prawda pamiętał dokładnie wszystko, nawet to, na którym odcinku ulicy rzecz się zdarzyła. A więc, z niewytłumaczalną niechęcią, opowiedział im całą resztę.

— Dziękujemy, towarzyszu Chien. — Policjant wyższy rangą ostrożnie zebrał pozostałości tabaki (większa część porcji ocalała) i umieścił w kieszeni eleganckiego, odprasowanego munduru. — Przy pierwszej nadarzającej się sposobności oddamy go do analizy i zawiadomimy cię niezwłocznie, na wypadek gdyby wskazane się okazało podjęcie jakichś działań medycznych. Niektóre z tych starych środków z czasów wojny mogą okazać się śmiertelne, o czym bez wątplenia czytaliście.

— Czytałem. — Właśnie pomyślał o tym samym.

— Powodzenia więc i dziękujemy za powiadomienie — powiedzieli obaj i wyszli. Cała ta sprawa, mimo że okazywali profesjonalne zainteresowanie, najwyraźniej nie poruszyła ich szczególnie: z pewnością z takim doniesieniami rutynowo spotykali się w swej pracy.

Raport z laboratorium przyszedł szybko — zaskakująco szybko, biorąc pod uwagę niezwykle rozbudowany aparat biurokratyczny państwa. Dotarł do niego przez wideofon, zanim jeszcze Wódz skończył swą telewizyjną przemowę.

— To nie jest halucynogen — poinformował go technik laboratoryjny służby bezpieczeństwa.

— Nie? — zapytał skonsternowany i, o dziwo, wcale nie poczuł ulgi. W najmniejszej mierze.

— Wręcz przeciwnie. To jest fenotiazyna, która jak bez wątpienia wiecie, działa antyhalucynogennie. Silne stężenie, jeśli wziąć pod uwagę domieszkę, ale nieszkodliwe. Może spowodować obniżenie ciśnienia krwi albo wywołać poczucie senności. Zapewne skradziona z jakiegoś magazynu zapasów medycznych pochodzącego jeszcze z czasów wojny. Zostawili je wycofujący się barbarzyńcy. Nie przejmowałbym się tym.

Chien powoli wyłączył wideofon. Podeszedł w zamyśleniu do okna, z którego rozpościerał się piękny widok na wieżowce Hanoi.

Usłyszał dzwonek. Niczym w transie, przeszedł przez wyłożony dywanem salon i otworzył drzwi.

Stała za nimi dziewczyna, w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, z chustką zawiązaną na ciemnych, lśniących i bardzo długich włosach. Odezwała się skromnym, cichym głosem:

— Ehm, towarzysz Chien? Tung Chien? Z Ministerstwa...

Wpuścił ją szybko do środka i zamknął drzwi.

— Podśłuchujecie moje rozmowy telefoniczne — oznajmił — To był strzał w ciemno, ale jakieś niezwerbalizowane przeczucie upewniło go, że tak to właśnie jest.

— Czy oni... zabrali resztę tabaki? — Rozejrzała się dookoła. — Och, mam nadzieję, że nie. Tak trudno ją dostać w dzisiejszych czasach.

— Tabakę — powiedział — nietrudno dostać. Co innego z fenotiazyną. O nią ci właśnie chodzi?

Dziewczyna uniosła głowę, popatrzyła na niego wielkimi, ciemnymi niby księżycy oczyma.

— Tak. Panie Chien... — Zawahała się, najwyraźniej równie niepewna, jak pewni siebie byli gliniarze z bezpieki — Proszę mi powiedzieć, co pan widział. Ta wiedza jest dla nas bardzo ważna.

— Mam jakiś wybór? — zapytał przenikliwie.

— Ttak, oczywiście. To właśnie nas niepokoi, nic nie odbywa się w taki sposób, jak można by oczekiwać. Nie rozumiemy, to nie pasuje do niczyjej teorii. — Jej oczy stały Się jeszcze większe i ciemniejsze, kiedy powiedziała: — Czy to był przerażający podwodny potwór? Galaretowata istota z zębami, pozaziemska forma życia? Proszę mi powiedzieć, musimy znać prawdę. — Oddychała nieregularnie, z wysiłkiem, brązowy płaszcz przeciwdeszczowy na jej piersiach podnosił się i opadał; przyłapał się na tym, że obserwuje ten rytm.

— Maszyna — odparł.

— Och! — Skłoniła głowę, potakując żywo. — Tak, rozumiem: mechaniczny organizm w żaden sposób niepodobny do człowieka. Nie jego kopia, czyli coś skonstruowanego by udawać człowieka.

— To w niczym nie przypominało człowieka — stwierdził. A w myślach dodał: I nie udało mu się... nawet nie próbowało... mówić jak człowiek.

— Zdajesz sobie sprawę, że to nie była halucynacja?

— Oficjalnie poinformowano mnie, że przyjąłem fenotiazynę. To wszystko, co wiem. — Powiedział jej tak mało, jak to tylko było możliwe; nie miał ochoty mówić, chciał słuchać Słuchać tego, co ta dziewczyna ma mu do powiedzenia.

— Cóż, panie Chien... — Jej oddech był urywany. — Jeżeli to nie była halucynacja, w takim razie co? Co nam pozostaje? Coś, co nazywa się nadświadomością... może o to chodzi?

Nie odpowiedział; odwrócił się do niej plecami i leniwie wziął do ręki dwie prace egzaminacyjne studentów, zerknął na nie, ignorując ją całkowicie. Czekał na jej następną próbę.

Stanała obok niego. Pachniała wiosennym deszczem, słodyczą i podnieceniem. Piękne było to, jak pachniała, a także jak wyglądała oraz — zdał sobie sprawę — sposób, w jaki mówiła. Tak odmienny od brutalnych, bezbarwnych wzorców przemawiania, jakie słyszymy w telewizji — jakie słyszał ciągle od czasu, gdy był dzieckiem.

— Niektórzy — powiedziała ochryple — z tych, co wzięli stelazynę... to właśnie stelazynę pan przyjął, panie Chien... mieli taką wizję, pozostali inną. Ale dają się wśród nich wyróżnić wyraźnie odmienne kategorie: nie ma nieskończonej różnorodności. Niektórzy widzą to, co ty widziałeś: nazywamy to Szczękaczem. Inni widzą podwodnego potwora, to jest Połykacz. Jest jeszcze Ptak, jest Komin w Ścianie Skalnej oraz... — urwała. — Ale relacje pozostałych niewiele ci powiedzą. W istocie nam wszystkim niewiele mówią — Zawahała się, potem najwyraźniej zdecydowała się o dalej. — Teraz przytrafiło się to również panu. Panie Chien, chcielibyśmy, by pan dołączył do naszego zgromadzenia, do grupy tych, którzy widzieli to, co pan widział. Grupa Czerwona. Chcemy się dowiedzieć, co to naprawdę jest i... — Machnęła dłonią, aż błysnęły dokładnie opiłowane i wygładzone woskiem paznokcie. — Nie może być przecież wszystkimi swoimi epifaniami naraz.

Ton jej głosu był poruszający, taki naiwny. Poczul, jak odrobinę opuszczają go napięcie i ostrożność.

— A co ty widziałaś? Ty, osobiście? — zapytał.

— Ja przynależę do Grupy Żółtej. Widziałam... tornado.

Wyjąca, złośliwą trąbę powietrzną. Wyrwała wszystko z korzeniami, niszczyła domy, które pobudowano, by przetrwały co najmniej wiek. — Uśmiechnęła się słabo. — Łamacz. Wszystkiego razem jest dwanaście grup, panie Chien. Dwanaście całkowicie odmiennych doświadczeń, wszystkie stanowiące efekt zażycia tej samej fenotiazyny, wszystkie w czasie, kiedy Wódz przemawiał z telewizyjnego ekranu. Kiedy „to” przemawiało z telewizyjnego ekranu. — Uśmiechnęła się do niego spod długich rzęs, zapewne sztucznie przedłużonych, i spojrzała ujmująco, ba, wręcz z zaufaniem. Jakby sądziła, że on coś wie albo powinien coś wiedzieć.

— Mogę nałożyć na ciebie areszt obywatelski — powiedział po chwili.

— Nie istnieje prawo dotyczące tej kwestii. Badaliśmy dogłębnie radzieckie pisma prawnicze, zanim... znaleźliśmy ludzi rozprowadzających stelazynę. Nie mamy jej wiele, musimy bardzo uważać, komu ją dajemy. W naszych oczach ty wydawałeś się jak najbardziej właściwym kandydatem... dość znany, urodzony po wojnie młody człowiek, którego kariera dobrze się zapowiada. — Wzięła z jego dłoni prace egzaminacyjne. — Kazał ci się zajmować polczytem? — zapytała.

— Polczyt? — Nie znał tego terminu.

— Badasz coś, co zostało powiedziane bądź napisane, aby sprawdzić, do jakiego stopnia jest zgodne z aktualnym światopoglądem Partii. Wy, w hierarchii, zapewne zwyczaj — nie nazywacie to „czytaniem”, nieprawdaż? — Znowu się uśmiechnęła. — Kiedy wzniesiesz się o jeden szczebel wyżej, a stanowisko równorzędne z zajmowanym przez pana Tso-pina, poznasz to wyrażenie. — Dodała jeszcze trzeźwo — Albo równorzędne z zajmowanym przez pana Pethela. On jest bardzo wysoko. Panie Chien, nie istnieje żadna ideologiczna szkoła w San Fernando; to są fałszywe prace egzaminacyjne, sporządzone wyłącznie w tym celu, by na ich podstawie przeprowadzić dokładną analizę pańskich poglądów politycznych. I co, był pan w stanie odróżnić, które wypracowanie jest ortodoksyjne, a które heretyckie? — . jej głos brzmiał jak u małego chochlika, słyhać w nim było tony pełne złośliwego rozbawienia. — Wybierz niewłaściwą, a twoja rozkwitająca kariera utknie w martwym punkcie a ty ugrzęzniesz gdzieś w jakimś zakurzonej biurze. Wybierzesz właściwą...

— Czy wiesz, która to jest? — zapytał gwałtownie.

— Tak. — Poważnie pokiwała głową. — Mamy założone urządzenia podsłuchowe w wewnętrznym gabinecie pana Tso-pina; śledziliśmy jego rozmowę z panem Pethelem... który nie jest żadnym panem Pethelem, ale nadinspektorem bezpieczeństwa o nazwisku Judd Craine. Możliwie, że o nim słyszałeś, pracował jako główny asystent sędziego Worławskiego podczas procesu zbrodniarzy wojennych w dziewięćdziesiątym ósmym roku w Zurichu.

— Rozumiem — wykrztusił z trudem. Cóż, to przynajmniej było jakieś wyjaśnienie.

— Ja jestem Tania Lee — przedstawiła się nagle.

Nie odrzekł na to nic: zwyczajnie pokiwał głową, zbyt ogłupiały, by wdawać się w uprzejmości.

— Jeśli o to chodzi, pracuję na podrzędnym stanowisku — ciągnęła panna Lee — w twoim ministerstwie. Nigdy jednak nie spotkaliśmy się dotąd, przynajmniej o ile pamiętam. Staramy się zakładać przyczółki, gdzie się tylko da. Tak wysoko w górę, w strukturach władzy, jak to tylko możliwe. Mój szef...

— Czy powinnaś mi o tym mówić? — Gestem wskazał odbiornik telewizyjny, który cały czas był włączony. — Przecież chyba inwigilują nas w tej chwili?

— Wprowadziliśmy czynnik zagłuszający zarówno d^o przekazu wideo, jak i audio z tego budynku. Przynajmniej godzinę zabierze im, zanim znajdą izolację. A więc mamy — spojrzała na niewielki zegarek na szczupłym nadgarstku — jeszcze piętnaście minut. I wciąż pozostanie margines błędu.

— Powiedz mi — powiedział — która praca prezentuje poglądy ortodoksyjne?

— Naprawdę tylko to cię interesuje? Naprawdę?

— A co — zapytał — powinno mnie interesować?

— Czy pan nie rozumie, panie Chien? Dowiedział się pan o czymś. Wódz nie jest Wodzem, ale nie potrafimy powiedzieć, czym jest. Jeszcze nie potrafimy. Panie Chien, z całym należnym szacunkiem, czy kiedykolwiek poddał pan analizie wodę pitną? Wiem, że brzmi to paranoicznie, ale czy zrobił pan to?

— Nie — odparł. — Oczywiście, że nie. — Wiedział już, co zaraz usłyszy.

Panna Lee powiedziała szybko:

— Nasze testy wykazują, że jest nasycana halucynogenami. Jest, była i z pewnością będzie. Nie tymi, które stosowano podczas wojny, nie środkami dezorientującymi, ale syntetyczną pochodną pseudosporyszu zwaną Datrox-3. Pijesz ją ciągle z kranu w tym budynku od czasu, jak dorósłeś; pijesz ją w restauracjach i w mieszkaniach, które odwiedzasz. Pijesz ją w ministerstwie, cała woda płynie rurami z centralnego, wspólnego dla wszystkich źródła. — Jej głos był ponury i zapalczywy. — Rozwiązaliśmy ten problem. Kiedy tylko to odkryliśmy, wiedzieliśmy, że każda dobra fenotiazyna będzie znosić ten efekt. Nie przewidzieliśmy jednak, rzecz jasna, tej różnorodności autentycznych doświadczeń; racjonalnie nie ma ona najmniejszego sensu. To halucynacje winny się różnić w zależności od osoby, natomiast percepcja rzeczywistości powinna być taka sama. W tym wypadku wszystko jest przewrócone do góry nogami. Nie potrafimy nawet ad hoc skonstruować teorii, która tłumaczyłaby ten fakt, a Bóg jeden wie, że próbowaliśmy. Dwanaście różniących się halucynacji... ze zrozumieniem czegoś takiego nie byłoby kłopotu. Ale jedna halucynacja i dwanaście rzeczywistości — urwała i wbiła wzrok w prace egzaminacyjne, jej czoło zmarszczyło się lekko. — Ortodoksyjny jest ten z arabskim poematem — oznajmiła. — Jeżeli tak im powiesz, stwierdzą, że można ci ufać i przeniosą na wyższe stanowisko. Znajdziesz się o stopień wyżej w oficjalnej hierarchii partyjnej. — Uśmiechając się... jej zęby były doskonałe, śliczne... skończyła: — Zobacz, co ostatecznie otrzymałeś w zamian za swoją poranną inwestycję. Na jakiś czas postępy w karierze masz zapewnione. I to wszystko dzięki nam.

— Nie wierzę ci — powiedział. Zupełnie instynktownie budziła się w nim podejrzliwość, zawsze

zresztą była, podejrzliwość będąca rezultatem całego życia spędzonego wśród bezwzględnych ludzi z hanońskiego oddziału KP Wschód. Znali rozmaite sposoby, dzięki którym można się pozbyć rywala. Niektóre z nich on sam stosował, skutki innych obserwował na sobie i kolegach. To mógł być jakiś nowy sposób, nie znany mu jeszcze. Zawsze istniała taka możliwość.

— Dzisiejszego wieczoru — mówiła panna Lee — podczas przemowy Wódz wyróżnił ciebie. Czy nie uderzyło cię to jako coś dziwnego? Ty, ze wszystkich ludzi żyjących na tym świecie? Pomniejszy urzędnik w skromnym ministerstwie...

— Zgoda — powiedział. — Tak sobie właśnie pomyślałem, prawda.

— To było jak najbardziej usprawiedliwione. Jego Wysokość przygotowuje elitarną kadre młodych ludzi, urodzonych już po wojnie, w nadziei, że technika ona nowe życie w skostniałą, zdychającą hierarchię starych pierników i partyjnych świętych krów. Jego Wysokość wymienił cię z tego samego powodu, dla którego my cię wybraliśmy: jeżeli zadbasz o nią odpowiednio, twoja kariera zawiedzie cię na sam szczyt. Przynajmniej na jakiś czas... jak to wiadomo. Tak właśnie rzeczy się mają.

Zaczął się zastanawiać: A więc, praktycznie rzecz biorąc, wszyscy wierzą we mnie. Wyjąwszy mnie samego. A z pewnością już nie teraz, po doświadczeniu z antyhalucynogenną tabaką. Wstrząsnęło ono zaufaniem, jakie zawsze pokładał w rzeczywistości, i bez wątplenia słusznie. Jednakże powoli zaczynał już odzyskiwać dawną równowagę: czuł niema namacalnie, jak powraca doń, najpierw cienkim strumyczkiem, potem falą powodzi.

Podszedł do wideofonu, podniósł słuchawkę i zaczął, po raz drugi już tej nocy, telefonować pod numer służb bezpieczeństwa Hanoi.

— Jeżeli mnie wydasz — powiedziała panna Lee — będzie to druga z najgorszych decyzji, jaką możesz w tej chwili podjąć. Powiem im, że przyprowadziłeś mnie tutaj, aby mnie przekupić, pomyślałeś sobie bowiem, że ze względu na moją pracę w ministerstwie będę wiedziała, którą z prac egzaminacyjnych należy wybrać.

— A co z moją pierwszą najgorszą decyzją? — zapytał.

— Nie brać już nigdy fenotiazyny — odrzekła spokojnie panna Lee.

Odkładając słuchawkę, Tung Chien powiedział sobie w duchu: Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Dwie siły, Partia i Jego Wysokość z jednej strony, ta dziewczyna i jej rzekoma grupa z drugiej. Jedna chce mnie wnieść tak wysoko, jak tylko możliwe w hierarchii partyjnej, druga...

Czego właściwie chce Tania Lee? W podtekście jej słów, pod powłoką banalnej niemalże pogardy dla Partii, Wodza, etycznych norm Frontu Jedności Ludowych Demokracji — co się właściwie kryje?

— Należysz do anty-Partii? — zapytał z ciekawością.

— Nie.

— Ale... — Machnął ręką. — Ale więcej już nic nie ma: tylko Partia i ci, którzy są przeciw Partii, anty-Partia. Musisz więc opowiadać się za Partią. — Wpatrywał się w nią kompletnie oglupiały. Z całkowitym opanowaniem odpowiedziała mu spojrzeniem. — Macie organizację — ciągnął dalej — i spotykacie się. Co zamierzacie zniszczyć? Zakłócić regularne funkcjonowanie państwa? Czy jesteście jak ci zdrańcy studenci ze Stanów Zjednoczonych podczas wojny wietnamskiej, którzy zatrzymywali transporty z wojskiem, demonstrowali...

— To wcale nie było tak — odrzekła panna Lee ze znużeniem. — Ale zapomnijmy o całej kwestii, w każdym razie nie o to nam chodzi. My chcemy się tylko dowiedzieć, kto lub Co nami kieruje? Musimy przeniknąć dostatecznie głęboko, by zwerbować jakiegoś wschodzącego młodego teoretyka Partii, którego może spotkać zaproszenie na tête-à-tête z Wodzem... teraz rozumiesz? — Jej głos stał

się odrobinę za wysoki. Spojrzała na zegarek, najwyraźniej obawiając by nie przedobrzyć: piętnaście minut powoli mijało. — Bardzo niewielu ludzi tak naprawdę widuje Wodza, jak m zapewne wiesz. Chodzi mi o spotkanie z nim twarzą w twarz

— Pozostaje w odosobnieniu — powiedział. — Ze względu na zaawansowany wiek.

— Mamy nadzieję — rzekła panna Lee — że jeśli uda ci się przejść ten symulowany test, który dla ciebie zaaranżowali.. . i który z moją pomocą przejdiesz... zostaniesz zaproszony na jedno z tych męskich przyjęć, które Wódz wydaje od czasu do czasu, a o których rzecz jasna gazety nie donoszą. Teraz rozumiesz? — Jej głos rozbrzmiał przenikliwymi tonami, powoli ogarniała ją desperacja. — Wtedy się dowiemy. Jeżeli znajdziesz się w środku, a w żyłach będziesz miał narkotyk antyhalucynogeny, będziesz mógł się bezpośrednio przekonać, czy on naprawdę jest...

Zastanawiając się na głos, powiedział:

— I utracę wszelkie widoki na karierę w służbie państwowej. Jeżeli nie życie.

— Jesteś nam coś winien — warknęła Tania Lee. Jej policzki pobladły. — Gdybym ci nie powiedziała, którą z tych prac egzaminacyjnych należy wybrać, wybrałbyś z pewnością niewłaściwą i twoja bezcenna kariera w służbie państwowej i tak dobiegłaby końca; zawiódłbyś... zawiódłbyś, nawet nie zdając sobie sprawy, że przechodzisz test!

— Miałem pięćdziesiąt procent szans.

— Nie. — Zdecydowanie potrząsnęła głową. — Tekst heretycki nasycony jest mnóstwem partyjnego żargonu. Z rozmysłem tak sfabrykowali obie prace, żeby cię złapać. Chcieli, abyś zawiódł!

Jeszcze raz przyjrzał się obu pracom, skonsternowany. Czy miała rację? Być może. Zapewne. To, co mówiła, brzmiało przekonująco, jeśli znało się partyjnych funkcjonariuszy, jak on ich znał, a do Tso-pina, jego przełożonego, stosowało się w szczególności. Poczul się zmęczony. Pokonany. Po chwili powiedział do dziewczyny:

— To, na co próbujesz mnie namówić, to klasyczne qui pro quo. Ty zrobiłaś coś dla mnie... masz, albo przynajmniej tak twierdzisz, odpowiedź na ten partyjny test. Ale ty już zrobiłaś swoje. Co miałoby mnie powstrzymać przed wyrzuceniem cię za drzwi i spuszczeniem na łeb ze schodów? Nie muszę dla ciebie robić w zamian żadnej cholernej rzeczy. — W uszach brzmiały mu własne słowa, bezbarwny głos dźwięczący ubóstwem empatii, tak powszechnym w kręgach partyjnych.

— Będą jeszcze dalsze próby, jak się zapewne domyślasz. A my, dla twojego dobra, będziemy je nadzorować. — Panna Lee była spokojna, niemalże zadowolona; z pewnością wcześniej już przewidziała jego reakcję.

— Jak dużo czasu minie, zanim będę mógł uważać, że już po wszystkim? — zapytał.

— Teraz już sobie pójdę. Nie ma pośpiechu: zapewne nie powinieneś się spodziewać zaproszenia do willi Wodza nad rzeką Jangcy w następnym tygodniu, czy choćby miesiącu. — Podeszła do drzwi, otworzyła je, zatrzymała się. — W miarę jak będziesz otrzymywał kolejne zadania mające sprawdzić twoją przydatność, będziemy w kontakcie i dostarczymy ci odpowiedzi... a więc zobaczysz jedno lub kilkoro z nas przy różnych okazjach. Zapewne nie będę to ja, będzie to ten kaleki weteran, który sprzeda ci właściwe odpowiedzi na testy, kiedy będziesz opuszczał budynek ministerstwa. — Uśmiechnęła się przelotnie na pożegnanie, jakby zdmuchiwała świecę. — Lecz któregoś dnia, niewątpliwie zupełnie nieoczekiwanie, otrzymasz ozdobne, oficjalne, bardzo oficjalne zaproszenie do willi, a kiedy tam się udasz, będziesz po uszy napakowany stelazyną... przypuszczalnie będzie to ostatnia dawka z naszych kurczących się zapasów. Dobranoc. — Drzwi zamknęły się za nią, odeszła.

Mój Boże, pomyślał. Mogą mnie szantażować. Choćby za to, co zrobiłem. A ona nawet się nie trudziła, by o tym wspomnieć; zresztą biorąc pod uwagę, w co oni byli zaangażowani, naprawdę nie

było to warte wzmianki.

Ale szantażować... czym? Już zdążył poinformować bez — Piekę, że sprzedano mu narkotyk, który okazał się fenotiazyną.

A więc oni wiedzą, zdał sobie sprawę. Obserwują mnie, są czujni. Formalnie rzecz biorąc, nie złamałem prawa, ale... będą obserwować, nie ma wątpliwości.

Lecz oni i tak zawsze obserwują. Myśl ta uspokoiła go nieco. Przez całe lata zdążył do tego przywyknąć, podobnie jak wszyscy inni.

Zobaczę Absolutnego Dobroczyńcę Ludzkości, zobaczę jaki jest naprawdę, powiedział do siebie w duchu. Dotąd nie udało się to przypuszczalnie nikomu innemu. Jaki się okaże? Która z kategorii stanu pozbawionego halucynacji okaże się prawdziwa? Z kategorii, których nawet nie znam do końca, a ten widok z pewnością całkowicie powali mnie na kolana. Jakże mam być zdolny przetrzymać resztę tego wieczoru zachować równowagę, jeżeli on naprawdę wygląda jak postać, którą widziałem na ekranie telewizora? Łamacz, Szczękacz, Ptak, Komin w Ścianie Skalnej, Połykacz... albo jeszcze gorzej.

Zastanawiał się, jakie też mogą być inne manifestacje... w końcu jednak porzucił te spekulacje, do niczego i tak nie był w stanie dojść. Na dodatek budziły w nim niepokój.

Następnego ranka pan Tso-pin oraz pan Darius Pethel spotkali się z nim w jego biurze. Obaj byli zupełnie spokojni, choć wyczuwało się nastrój oczekiwania. Bez słowa podał im jedną z dwu prac egzaminacyjnych. Tę ortodoksyjną, z krótkim, choć chwytającym za serce arabskim wierszem.

— Ta praca — powiedział z trudem Chien — jest dziełem zaprzysięgłego członka Partii albo kandydata na członka. Ta druga... — zmiął w palcach pozostałe kartki — to reakcyjne śmieci. — Poczł gniew. — Pomimo pozornych...

— W porządku, panie Chien. — Pethel pokiwał głową. — Nie musimy przecież zagłębiać się szczegółowo w tok pańskiego rozumowania, wniosek jest w każdym razie poprawny. Słyszał pan wzmiankę o sobie podczas przemowy Wodza ostatniego wieczoru w telewizji?

— Oczywiście, że tak.

— A więc bez wątpienia wywnioskował pan z niej powiedział Pethel — że mnóstwo zależy od tego, co przedsięwzmiemy tutaj. Nasz przywódca zainteresował się panem, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. W samej rzeczy, skontaktował się ze mną w pańskiej sprawie. Otworzył swoją odrażającą teczkę i pogrzebał we wnętrzu. — Zgubiłem gdzieś tę przeklętą rzecz. W każdym razie... — Zerknął na Tso-pina, który nieznacznie skinął głową. — Jego Wysokość chciałby, żeby pojawił się pan na kolacji na ranczu nad rzeką Jangcy w następny czwartek wieczorem. Pani Fletcher w szczególności zaprasza...

— Pani Fletcher? Kim jest pani Fletcher? — przerwał mu Chien.

Po krótkiej chwili Tso-pin wyjaśnił sucho:

— Żona Absolutnego Dobroczyńcy. Jego nazwisko... o czym oczywiście nigdy nie słyszałeś... brzmi: Thomas Fletcher.

— Jest rasy białej — wyjaśnił Pethel. — Pierwotnie należał do Komunistycznej Partii Nowej Zelandii, uczestniczył w niełatwej rewolucji, jaka się tam dokonała. Informacje te nie są ściśle tajne, z drugiej jednak strony nie czyni się wokół nich wiele hałasu. — Zawahał się, przez chwilę bawił się dewizką zegarka. — Przypuszczalnie lepiej by było, gdybyś zapomniał o tym, co ci powiedziałem. Oczywiście, kiedy tylko go spotkasz, zobaczysz go twarzą w twarz, zdasz sobie z tego sprawę, sam zobaczysz ze, jest biały. Podobnie jak ja widziałem. Jak wielu z nas.

— Rasa — zauważył Tso-pin — nie ma nic wspólnego z lojalnością wobec przywódcy i Partii. Jak może zaświadczyć obecny tutaj pan Pethel.

Ale Jego Wysokość, pomyślał Chien wstrząśnięty, na ekranie telewizyjnym nie wydawał się typem okcydentalnym.

— W telewizji... — zaczął.

— Obraz — wtrącił Tso-pin — poddany jest różnym rodzajom zręcznej manipulacji. Dla celów ideologicznych. Większość osób piastujących wyższe stanowiska jest tego świadoma. — Zmierzył Chiena twardym i krytycznym spojrzeniem.

A więc wszyscy się na to zgadzają, pomyślał Chien. To, co oglądamy każdego wieczoru, nie jest rzeczywiste. Pytanie Jednak brzmi: do jakiego stopnia nierzeczywiste? Częściowo? Czy... całkowicie?

— Będę przygotowany — powiedział nieszczercze. I pomyślał: Musiała nastąpić pomyłka. Nie byli przygotowani, że ja... to znaczy ludzie, których reprezentuje Tania... tak szybko zostanę zaproszony. Gdzie jest antyhalucynogen? Czy będą w stanie mi go dostarczyć? Przypuszczalnie w tak krótkim czasie nie uda się im.

Ku swemu własnemu zdziwieniu poczuł ulgę. Stanie przed obliczem Jego Wysokości w taki sposób, że będzie postrzegał go jako istotę ludzką, będzie widział go tak, jak on sam — a także wszyscy inni — zawsze go widywali na ekranach odbiorników telewizyjnych. To będzie najbardziej stymulująca i wesoła kolacja. Zapewne zaszczycą swoją obecnością również najbardziej wpływowi członkowie Partii w Azji. Myślę, że możemy obejść się bez fenotiazyny, powiedział do siebie. Poczucie ulgi jeszcze się wzmogło.

— Oto i ona, wreszcie — powiedział nagle Pethel, wyciągając białą kopertę ze swej walizki. — Twoje zaproszenie. W czwartek rano polecisz chińską raketą do willi Wodza; mistrz ceremonii poinformuje cię, jakiego zachowania się po tobie oczekuje. Obowiązuje strój wieczorowy, biały krawat i frak, zapewniam cię jednak, że atmosfera będzie serdeczna. Zawsze przy takich okazjach należy się spodziewać licznych toastów. — Dodał jeszcze: — Brałem udział w dwu takich męskich spotkaniach. Pana Tso-pina — tu uśmiechnął się krzywo — nie spotkał jeszcze ten zaszczyt. Ale, jak to mówią, wszystkie rzeczy same przychodzą do kogoś, kto wytrwale czeka. Ben Franklin to powiedział.

— Rzekłbym, że taki zaszczyt spotyka pana Chiena nieco być może przedwcześnie. — Tso-pin filozoficznie wruszył ramionami. — Ale o moje zdanie nigdy nikt nie pyta.

— Jedna rzecz jeszcze — zwrócił się Pethel do Chiena. — Możliwe, że kiedy zobaczysz Jego Wysokość we własnej osobie, będziesz trochę rozczarowany. Uważaj jednak, abyś się z tym uczuciem nie zdradził. Zawsze mamy skłonność... tak jesteśmy wyćwiczeni... do uważania go za coś więcej niż zwykłego człowieka. Ale przy stole jest on... — machnął ręką

...bardzo bezpośredni. Pod pewnymi względami podobny do nas. Może na przykład obrazić kogoś, jak to się czasami wśród ludzi dzieje w ich werbalnych formach aktywnej i biernej agresywności; może na przykład opowiedzieć jakiś niestosowny dowcip albo wypić za dużo... Żeby być szczerym; nikt nie potrafi powiedzieć z góry, w jaki sposób potoczy się wszystko, zazwyczaj jednak takie przyjęcia trwają aż do późnego ranka następnego dnia. A więc mądrze jest wyposażyć się w dawkę amfetamin, które proponuje ci mistrz ceremonii.

— Och? — jęknął Chien. To dla niego było coś nowego i bardzo interesującego.

— Żeby nie zaschło ci w ustach. I żeby się za szybko nie upijać. Jego Wysokość potrafi doprawdy siedzieć do późna w noc; często wciąż jeszcze jest na nogach i skory do zabawy, mimo że pozostali już padli.

— Niezwykły człowiek — wtrącił Tso-pin. — Przypuszczam, że jego... dowcipy tylko dodatkowo podkreślają, jaki z niego wspaniały kompan. I cały czas tyle zainteresowań; on jest jak

idealny człowiek renesansu, na przykład Wawrzyniec Wspaniały z rodu Medyceuszy.

— Takie myśli często przychodzą do głowy tym, którzy go znają — powiedział Pethel, wpatrując się w Chiena z taką intensywnością, że natychmiast powróciło doń dreszczem wspomnienie zeszłej nocy.

Czy zwyczajnie nie pakuję się po prostu w następną pułapkę, po tym jak udało mi się jednej uniknąć? — zastanawiał się Chien. Ta dziewczyna... może tak naprawdę była agentką bezpieki, sprawdzającą mnie, próbującą wykryć u mnie nielojalnego zwolennika anty-Partii?

Postanowił, że najpierw zadba o to, by się nie spotkać z beznogim handlarzem ziołowymi medykamentami, kiedy będzie wychodził z pracy. Wróci do domu zupełnie inną trasą.

Udało mu się nadspodziewanie dobrze. Nie tylko tego dnia uniknął handlarza, ale również następnego, i tak to szło aż do czwartku.

W czwartek rano handlarz wytropił go wreszcie, wyjechał zza zaparkowanej ciężarówki i zastąpił mu drogę, gniewnie Patrzając w oczy.

— Moje lekarstwo? — zapytał gwałtownie. — Pomogło? Wiedziałem, że pomoże. Receptura pochodzi jeszcze z czasów dynastii Sung... Sam z łatwością mogę stwierdzić, że pomogło — Racja?

— Pozwól mi przejść — odpowiedział Chien.

— Czy byłby pan uprzejmy odpowiedzieć mi? Zaskoczył go ton głosu tamtego: zwyczajowe zawrodo ulicznego handlarza działającego na marginalną skalę ustąpiło miejsca słowom wymawianym głośno i wyraźnie. Chienowi przypominało to do złudzenia sposób, w jaki mówili marionetkowi żołnierze imperialistów całe już wieki temu.

— Wiem, co mi dałeś — powiedział Chien. — I nie chcę już tego więcej. Jeżeli zmienię zdanie, mogę kupić to sobie w aptece. Dziękuję. — Ruszył dalej, ale wózek z siedzącym na nim beznogim handlarzem uparcie go ścigał.

— Panna Lee rozmawiała ze mną — powiedział na głos handlarz.

— Hm — mruknął Chien i automatycznie przyśpieszył kroku; zauważył powietrzną taksówkę i gwałtownie zaczął dawać jej znaki.

— To dziś wieczorem wybierasz się na męską kolację do Willi nad rzeką Jangcy — powiedział handlarz, desperacko próbując złapać oddech, tyle wysiłku wymagało odeń dotrzymanie tempa Chienowi. — Weź lekarstwo... już! — Na wyciągniętej dłoni spoczywał błagalnie płaski pakiecik.

— Proszę, towarzyszu Chien, dla twego własnego dobra, dla dobra nas wszystkich. Abyśmy mogli się dowiedzieć, przeciwko czemu występujemy. Dobry Boże, to może być ktoś z kosmosu; tego chyba obawiamy się najbardziej. Czy nie rozumiesz, Chien? Cóż znaczy twoja przeklęta kariera w porównaniu z tym? Jeżeli nie uda nam się odkryć...

Taksówka z turkotem zatrzymała się przy krawężniku. Gdy drzwi się odsunęły, Chien wszedł do środka.

Pakiecik wpadł w ślad za nim, wylądował na progu, podskoczył i upadł na podłogę, lekko wilgotny od wczesnego deszczu.

— Proszę — powiedział handlarz. — I nic to nie będzie pana kosztować, dzisiaj za darmo. Po prostu weź go i zażyj przed tą męską kolacją. I nie używaj jednocześnie amfetamin, one stymulują podwzgórze, są przeciwwskazane, kiedy stosuje się jednocześnie środek tłumiący wydzielanie adrenaliny, taki jak fenotiazyna...

Drzwi taksówki zamknęły się za Chieniem. Usiadł wygodnie.

— Dokąd, towarzyszu? — zapytał automatyczny mechanizm.

Podał numer identyfikacyjny swego budynku.

— Ten na poły pozbawiony rozumu handlarz zdołał jednak wrzucić swe wstrętne towary do

mojego czystego wnętrza — powiedziała taksówka. — Niech pan spojrzy, spoczywają przy pańskiej nodze.

Zobaczył pakiecik — koperta wyglądała najzwyczajniej w świecie. Przypuszczam, pomyślał, że to właśnie w taki sposób trafiają do ciebie narkotyki; ani się obejrzysz, a już są. Przez chwilę siedział nieruchomo, potem podniósł zawiniątko.

Podobnie jak wcześniej, cała wewnętrzna strona papierka była zapisana, tym razem jednak, jak się przekonał, to było ręczne pismo. Kobięcym charakterem — od panny Lee:

Byliśmy zaskoczeni, że wszystko stało się tak nagle. Ale, niebiosom dzięki, zdołaliśmy się przygotować. Gdzie byłeś we wtorek i środę? Nieważne, w każdym razie oto jest. I powodzenia. Później w tygodniu spotkam się z tobą, wolę, byś nie próbował mnie odnaleźć.

Przytknął do niej płomień zapalniczki, spaliła się w popielniczce taksówki.

Zatrzymał jednak czarny proszek.

Cały czas, myślał, halucynogeny w naszej wodzie. Rok po roku. Dekady. A przecież nie ma wojny, jest pokój. I nie w obozie wroga, ale tutaj, w naszym własnym. Wstrętne bękarty, powtarzał w myślach. Może jednak powinienem to wziąć, może powinienem się przekonać, kim on jest naprawdę, a potem przekazać tę informację grupie Tani.

Tak zrobię, postanowił. Zresztą... sam był ciekaw.

Kłopotliwe uczucie, wiedział o tym. Ciekawość, szczególnie w sprawach dotyczących działalności Partii, często okazywała się śmiertelnie niebezpieczna dla każdego karierowicza.

Jednak w tej chwili ogarnęła go bez reszty. Zastanawiał się, czy działanie środka potrwa przez cały wieczór, czy też kiedy przyjdzie co do czego, powinien w ostatniej chwili wciągnąć go w nozdrza.

Czas pokaże. To i wszystko inne. Jesteśmy, pomyślał, jak kwiaty kwitnące na równinie, które on zrywa. Zupełnie tak jak w tym arabskim poemacie. Próbował sobie przypomnieć resztę wiersza, ale nie potrafił.

Zapewne tak było lepiej.

Mistrz ceremonii, Japończyk o nazwisku Kimo Okubara wysoki i krzepki, zapewne były zapaśnik, obejrzał go z wrodzoną chyba wrogością, nawet po tym jak pokazał mu oprawione zaproszenie i dowiódł swej tożsamości.

— To niespodzianka, że kłopotał się pan, aby przyjść — mruzczał Okubara. — Dlaczego nie zostać w domu i nie obejrzeć telewizji? Nikt nie będzie za tobą tęsknił. Dotąd jakoś dawaliśmy sobie bez ciebie radę.

Chien powiedział przytłumionym głosem:

— już oglądałem telewizję. — W każdym razie męskie kolacje rzadko filmowano, bywały zbyt sprośne.

Ludzie towarzyszący Okubarze dwukrotnie sprawdzili, czy nie ma przy sobie żadnej broni, włączywszy w to możliwość, że schował ją w odbycie, po czym wręczyli mu z powrotem jego rzeczy. Fenotiazyny wszakże nie znaleźli. Ponieważ zażył ją już wcześniej. Efekty wywierane przez tego rodzaju narkotyków, jak wiedział, utrzymywały się przez mniej więcej cztery godziny. Dłużej niż

dosyć. A zgodnie z tym, co powiedziała Tania, dawka była potężna. Czuł się ociężały, nieuważny i trochę oszołomiony, jego język zaś zaczął dygotać spazmatycznie, jakby tknięty jakimś pseudo — Parkinsonem — nieprzyjemny efekt uboczny, którego jakoś nikt nie przewidział.

Obok przeszła dziewczyna, naga od pasa w górę, z długimi włosami miedzianej barwy spływającymi na ramiona i na plecy. Ciekawe.

Naprzeciwko niej szła dziewczyna naga od pasa w dół. Również bardzo ciekawe. Obie wyglądały na kompletnie zubożnięte i znudzone, całkowicie zatopione w sobie.

— Ty również wejdiesz w takim stanie do środka — poinformował Chiena Okubara.

— Zrozumiałem, że obowiązuje biały krawat i frak. — był zaskoczony.

Żartowałem — powiedział Okubara. — Twoim kosztem — Tylko dziewczęta się tu rozbierają; a ty tylko dla przyjemności, chyba że jesteś homoseksualistą.

Cóż, pomyślał Chien, chyba lepiej będzie, jak to polubię. Odszedł na bok wraz z innymi gośćmi — podobnie jak on mieli na sobie białe krawaty i fraki, natomiast kobiety długie do ziemi suknie — i natychmiast poczuł się źle, mimo uspokajających skutków stelazyny. Po co się tu pchałem? — zapytywał sam siebie. Nie opuszczało go poczucie dwuznaczności własnej sytuacji. Znalazł się tutaj, aby przyspieszyć własną karierę w aparacie partyjnym, aby otrzymać intymne i osobiste skinienie głowy Jego Wysokości... a na dodatek znalazł się tutaj, by rozszyfrować Jego Wysokość jako oszusta. Nie wiedział, jakim rodzajem oszusta Wódz miałby się okazać, ale z pewnością nim był: oszukiwał Partię, oszukiwał miłujące pokój demokratyczne ludy Ziemi. Co za ironia, pomyślał. I dalej próbował się wtopić w tłum gości.

Podeszła do niego dziewczyna z małymi, ale błyszczącymi — być może pokrytymi odblaskową farbą — piersiami, prosząc o ogień; roztargnionym ruchem podał jej zapalniczkę.

— Dlaczego twoje piersi błyszczą? — zapytał ją. — Zastrzyki radioaktywne?

Wzruszyła ramionami i poszła dalej, zostawiając go samego. Najwyraźniej powiedział coś niestosownego. Być może to mutacja z czasów wojny, zadumał się.

— Coś do picia, proszę pana. — Kelner zręcznie podsunął mu tacę.

Wyciągnął rękę po martini, które ostatnio stanowiło najnowszy krzyk mody w wyższych kastach partyjnych ludowych Chin, i posmakował zimnego jak lód koktajlu. Dobry angielski dzin, skomentował w myślach. Może nawet oryginalny holenderski przepis; jałowiec, czy czego tam dodawali. Niezły. Poszedł dalej, poczuł się trochę lepiej. Otaczająca go atmosfera powoli zaczynała mu się wydawać przyjemna. Ludzie tutaj byli pełni poczucia własnej wartości, odnieśli w życiu sukces, a teraz mogli się nim cieszyć. Najwyraźniej do mitów należało zaliczyć przekonanie, iż bliskość Jego Wysokości wywołuje neurotyczny lęk: przynajmniej tutaj nie dostrzegał po nim śladu, dzięki czemu sam też poczuł się swobodniej.

Potężnie zbudowany, łysy starszy mężczyzna zatrzymał go w prosty sposób, mianowicie wbijając mu swoją szklankę koktajlową w pierś.

— Ta świetna mała, która poprosiła cię o ogień... — powiedział mężczyzna i zachichotał. — Ta dupeczka z piersiami jak choinka gwiazdkowa... to był chłopak, transwestyta. — Zachichotał powtórnie. — W tym miejscu trzeba naprawdę bardzo uważać.

— Gdzie, jeśli w ogóle — zapytał Chien — znajdę więc prawdziwą kobietę? We fraku i białym krawacie?

— Niewiele się pomyliłeś — powiedział starszy mężczyzna i odszedł, przyłączając się do jakiegoś rozbawionego towarzystwa, Chiena zaś zostawiając sam na sam z jego martini.

Obok stała ładna, wysoka, elegancko ubrana kobieta. Nagle położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała:

— Oto nadchodzi. Jego Wysokość. Dla mnie to pierwszy raz, jestem trochę przestraszona. Czy moje włosy wyglądają dobrze?

— Świetnie — powiedział z roztargnieniem Chien i podążył za jej wzrokiem, spodziewając się... pierwszy raz w życiu... zobaczyć Absolutnego Dobroczyńcę.

To, co przemierzało pomieszczenie, idąc w stronę stojącego pośrodku stołu, nie było człowiekiem.

I nie było również, natychmiast zdał sobie sprawę, mechaniczną konstrukcją; nie było tym, co widział na ekranie telewizora. Tamto było najwyraźniej prostym urządzeniem do wygłaszania przemów. Podobno Mussolini użył raz sztucznego ramienia, aby nieprzerwanie salutować długiej i nudnej paradzie.

Boże, pomyślał i poczuł mdłości. Czy to było coś, co Tania określiła jako „podwodny potwór”? „To” nie miało żadnego kształtu. Ani żadnych macek, nie było zbudowane z ciała ani z metalu. W pewnym sensie tego wcale tu nie było. Kiedy wreszcie udało mu się spojrzeć prosto na tę postać, kształt rozwiązał się natychmiast pod jego wzrokiem; mógł patrzeć przezeń na przestrzał, widział ludzi stojących po drugiej stronie — ale jego nie widział. Kiedy jednak odwrócił głowę, kątem oka potrafił pochwycić przelotny obraz, mniej więcej określić granice sylwetki.

Chien był porażony okropieństwem wyglądu monstrum. Kiedy się poruszało, po kolei wypijało trochę życia z każdej ze zgromadzonych osób; pożywiało się na ludziach zgromadzonych w jednym miejscu, przechodziło dalej, jadło znowu, jadło jeszcze, z nieskończonym apetytem. Nienawidziło, czuł niemal namacalnie tę nienawiść. Gardziło, czuł jego pogardę dla wszystkich tu zgromadzonych... w samej rzeczy tę pogardę podzielał. W jednej chwili on i wszyscy pozostali w wielkiej willi zmienili się w poskręcane długiego ślimaka, na którym żerowała ta istota, nie mogąc się oderwać od kolejnych fragmentów tuszy, przez cały czas jednak zbliżając się nieustępliwie ku niemu — czy było to tylko złudzenie? Jeżeli to ma być halucynacja, pomyślał Chien, to jest najgorsza ze wszystkich, jakie w życiu miałem; jeżeli nie — wówczas jest to rzeczywistość, ale to by znaczyło, że rzeczywistość przesiąknięta jest złem. To przecież wcielone zło teraz zabijało i kaleczyło. Widział ślad ludzi zdeptanych na miazgę, wysrane resztki mężczyzn i kobiet tam, gdzie przeszło; widział, jak próbują dojsć do siebie, dalej posługiwać się okaleczonymi ciałami, słyszał, jak bełkotliwie próbują coś powiedzieć.

Wiem, kim jesteś, powiedział do siebie w myślach Tung Chien. Ty, naczelny przywódca hierarchii ogólnoswiatowej Partii. Ty, który niszczysz wszelkie życie, jakiego dotkniesz. Czytałem ten arabski wiersz, pamiętam z niego poszukiwanie kwiatów, życia, by je potem pożreć — teraz widzę ciebie, jak kroczysz równiną, którą dla ciebie jest Ziemia, równiną bez wzgórz, bez dolin. Idziesz wszędzie, pojawiaasz się o każdym czasie, pożerasz wszystko. Ty tworzysz życie, a potem Je konsumujesz, i czerpiesz z tego radość.

Jesteś Bogiem, pomyślał.

— Panie Chien — powiedział głos, ale dochodził on z wnętrza jego głowy, nie zaś od strony pozbawionego ust ducha, który właśnie znalazł się tuż przed nim. — Jak to miło znowu się spotkać. Nic nie rozumiesz. Odejdź stąd. Nie interesujesz mnie. Dlaczego miałbym się przejmować jakąś galaretą? Galareta, nurzam się w niej, muszę ją wydaląć, ale taki los właśnie wybrałem. Mogę cię zniszczyć, mogę zniszczyć nawet samego siebie. Pod stopami mam ostre kamienie — rozrzucam ostre, spiczaste rzeczy po całym tym bagnie' Tworzę ukryte, głębokie miejsca, wrzące niczym czajnik. Dla mnie morze jest jak beczka oleju. Skrawki mojej skóry zaczęły się na każdej rzeczy. Ty jesteś mną. Ja jestem tobą To nie robi żadnej różnicy, tak jak jest obojętne, czy stworzenie z rozpalonymi piersiami jest dziewczyną, czy chłopcem możesz przecież nauczyć się czerpać radość z obojga. — Zaśmiał się.

Chien nie mógł uwierzyć, że tamten do niego przemawia nie potrafił sobie wyobrazić — to było zbyt przerażające — że jego właśnie wybrał z tłumu.

— Wszystkich wybrałem — powiedział tamten. — Nikt nie jest zbyt mały, każdy upada i umiera, a ja jestem tu po to, by się temu przyglądać. Nie muszę nic robić, tylko patrzeć. Wszystko dzieje się samo, wszystko zostało w ten sposób ułożone. — I wtedy przestał doń mówić, odszedł. Ale Chien wciąż go widział, czuł jego zwielokrotnioną obecność. Tamten był kulą wiszącą w pokoju, z pięćdziesięcioma tysiącami oczu, milionem oczu... miliardem: po jednym dla każdej żywej istoty. Czekają, aż ta osłabnie, a potem podchodzi do niej, kiedy leży bezsilna. Dlatego właśnie stworzył wszystkie istoty, teraz to pojął, teraz zrozumiał. To, co w arabskim poemacie wydawało się śmiercią, nie było śmiercią, lecz Bogiem. Albo raczej Bóg był śmiercią, stanowili jedną siłę, jednego myśliwego, jedną kanibalistyczną istotę, która myli się ciągle i znowu, ale mając przed sobą całą wieczność, może sobie na to pozwolić. Zrozumiał oba poematy, ten Drydena również. Niszczenie, przemijanie — na tym polega nasz świat, a ty mu to robisz. Naginasz go, by kroczył tą drogą, wykoślawiasz nas.

Ale ostatecznie, pomyślał, wciąż mogę jeszcze zachować odrobinę godności. Z godnością odstawił więc swoją szklankę po koktajlu, odwrócił się, wyszedł z pokoju i poszedł dalej długim, wyłożonym dywanem korytarzem. Jeden ze służących, odziany w purpurę, otworzył przed nim drzwi. Po chwili stał już pośród ciemnej nocy, na tarasie, samotny.

Wcale nie był sam.

On poszedł za nim. Albo już wcześniej tam był. Tak, oczekiwał go. Jeszcze z nim na dobre nie skończył.

— No to już — powiedział Chien i skoczył w stronę balustrady; sześć pięter dzieliło go od lśniącej rzeki, gdzie czekała śmierć, prawdziwa śmierć, a nie to, co wyobrażał sobie arabski poemat.

Kiedy przeskakiwał przez nią, zdawało mu się, jakby część substancji tamtego schwyciła go za ramię.

— Dlaczego? — zapytał, ale zatrzymał się zdumiony, niczego nie rozumiejąc.

— Nie chcę, żeby to poszło na mój rachunek — powiedział tamten.

Nie mógł go zobaczyć, ponieważ stał za nim. Ale kawałek jego substancji na ramieniu... wyglądał jak ludzka dłoń. A potem on się zaśmiał.

— Cóż w tym śmiesznego? — zapytał gwałtownie Chien, kołysząc się na poręczu, przytrzymywany jedynie przez niby-rękę tamtego.

— Chcesz wyręczyć mnie w moich obowiązkach? — zapytał. — Nawet nie poczekasz... nie masz czasu, by czekać? Wybrałem cię spośród innych, nie musisz przyspieszać biegu spraw.

— A co, jeśli tak zrobię? — zaperzył się Chien. — Z pogardy dla ciebie?

On zaśmiał się. I nie odpowiedział.

— Nawet nie chcesz odpowiedzieć. Znowu milczenie.

Chien powoli zaczął wczolgiwać się z powrotem, na taras. I od razu nacisk niby-dłoni na jego ramię osłabł.

— Ty stworzyłeś Partię? — zapytał.

— Ja stworzyłem wszystko. Ja stworzyłem anty-Partię i Partię, która nie jest Partią, oraz tych, którzy są za, jak 'tych, którzy są przeciw, tych, których nazywacie jankeskimi imperialistami, tych, którzy znajdują się w obozie reakcji, i tak dalej, bez końca. Ja stworzyłem to wszystko. Jakby to były żdźbła trawy.

— I teraz jesteś tu po to, by z tego korzystać? — zapytał Chien.

— Ja chcę — zabrzmiała odpowiedź — abyś mnie zobaczył takim, jaki jestem, jakim mnie

zobaczyłeś, i zaufał mi

— Co? — Chien zadrżał. — Zaufać ci w czym?

— Wierzysz we mnie?

— Tak. Mogę cię przecież zobaczyć.

— A więc wracaj do swej pracy w ministerstwie. Powiedz Tani Lee, że zobaczyłeś przepracowanego, nazbyt otyłego wiekowego mężczyznę, który pije zbyt dużo i lubi podszczypywać tyłki dziewczynkom.

— Chryste — jęknął Chien.

— A kiedy będziesz dalej żył, niezdolny przestać, ja będę cię dręczył — powiedział tamten. — Obedrę cię, kawałek po kawałku, ze wszystkiego, co posiadasz i czego pragniesz. A potem, kiedy już będziesz na śmierć umęczony, objawię ci tajemnicę.

— Jaką tajemnicę?

— Żyjący pomrą, zmarli wzejdą jak kłosa. Zabijam to, co żyje; ratuję, co umarło. I powiem ci jeszcze to: są istoty gorsze ode mnie. Ale nie spotkasz ich, gdyż wówczas i tak musiałbym cię wcześniej zabić. Teraz wracaj do jadalni i przygotuj się do kolacji. Nie pytaj mnie, co robię, robiłem to na długo przedtem, zanim zaistniał Tung Chien, i będę robił to jeszcze długo po nim.

Uderzył w ciało tamtego tak mocno, jak tylko potrafił.

Poczuł przemożny ból pod czaszką.

A potem ciemność i wrażenie spadania.

I znowu ciemność. Dostałem cię, pomyślał. Zadbam o to, byś ty również umarł. Żebyś cierpiał. Będziesz cierpiał tak jak my, w taki sposób jak my. Dopadnę cię, przysięgam na Boga, że gdzieś cię dopadnę. I wtedy będzie bolało. Tak bardzo, jak mnie boli teraz.

Mocno zacisnął powieki.

Poczuł, jak ktoś brutalnie szarpie go za ramię. Usłyszał głos pana Kimo Okubary:

— Wstawaj, ty nędzny pijaczyno. Wstawaj!

Nie otwierając oczu, powiedział:

— Sprowadź mi taksówkę.

— Taksówka już czeka. Wracasz do domu. Niełaska. Zrobiłeś z siebie niezłe przedstawienie.

Chwiejnie podniósł się na nogi, otworzył oczy i przyjrzał własnemu ciału. Nasz przywódca, za którym podążamy, jest jedynym Prawdziwym Bogiem. A wróg, z którym walczymy, jest również Bogiem. Mają rację, on jest wszędzie. Ale nie rozumiem, co to oznacza. Wpatrując się w Okubarę, myślał: Ty również jesteś Bogiem. A więc nie ma żadnej możliwości ucieczki, przypuszczalnie nawet skok niczego by nie dał. Co instynktownie próbowałem uczynić. Zadrżał.

— Mieszanie alkoholi z narkotykami — powiedział Okubara, miażdżąc go spojrzeniem. — Kariera zrujnowana. Widziałem to już wiele razy. Zmiataj stąd.

Niepewnie powędrował w kierunku wielkich głównych drzwi willi nad rzeką Jangcy. Dwaj służący, odziani jak średniowieczni rycerze, z pióropuszcami na hełmach, ceremonialnie otworzyli przed nim drzwi, a jeden z nich powiedział:

— Dobrej nocy, proszą pana.

— Wam również — odparł Chien i wyszedł w ciemność.

Kwadrans przed trzecią nad ranem, kiedy nie mogąc zasnąć, wciąż siedział w salonie i palił jednego cuesta rey astoria za drugim, rozległo się pukanie do drzwi.

Kiedy je otworzył, zobaczył Tanie Lee, w płaszczku, z twarzą skurczoną od zimna. Jej oczy

płonęły w nie wypowiedzianym pytaniu.

— Nie patrz na mnie w ten sposób — powiedział szorstko. Cygaro zgasło, musiał je na powrót rozpałić. — Napatrzyłem się już dosyć — wyjaśnił.

— Widziałeś go. Pokiwał głową.

Usiadła na poręczy kanapy i po chwili zapytała:

— Co mi opowiesz?

— Znalazłem się tak daleko stąd, jak to tylko możliwe — odparł. — Odbyłem długą podróż. — A potem sobie przypomniał: żadna podróż nie jest dostatecznie daleka. Pamiętał, że to również gdzieś przeczytał. — Zapomnij o wszystkim — oznajmił. Wstał i niezgrabnie poszedł do kuchni, aby zaparć kawę.

Idąc za nim, Tania zapytała:

— Było... aż tak źle?

— Nie możemy wygrać — powiedział. — Wy nie możecie wygrać, siebie w to nie włączam. Nie mam zamiaru w tym uczestniczyć, chcę po prostu wykonywać swoją pracę w ministerstwie i zapomnieć o wszystkim. Zapomnieć o całej tej cholernej sprawie.

— A więc nie jest z Ziemi?

— Nie jest. — Skinął głową.

— Czy jest nastawiony wobec nas wrogo?

— Tak — potwierdził. — Nie. I jedno, i drugie. Głównie jednak wrogo.

— Wobec tego musimy...

— Wracaj do domu — powiedział. — Idź do łóżka. — Przyjrzał się jej uważnie. Przedtem siedział samotnie przez długi czas i dużo myślał. O wielu rzeczach. — Jesteś mężatką? — zapytał.

— Nie. Teraz nie. Kiedyś byłem.

— Zostań ze mną na noc — poprosił. — Na resztę nocy przynajmniej. Póki słońce nie wstanie. — Dodał jeszcze: — Noc jest straszna.

— Zostanę — odrzekła Tania, rozpinając pasek płaszcza — ale musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

— Co miał na myśli Dryden — zapytał Chien — pisząc o muzyce, że rozstraja niebiosy? Tego nie rozumiem. Co robi muzyka z niebiosami?

— Wszelki niebiański porządek ma swój kres — wyjaśniła. Zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i powiesiła go w szafie w sypialni; pod nim miała sweter w pomarańczowe paski i obcisłe spodnie.

— I to źle?

Przez chwilę zastanowiła się w milczeniu.

— Nie wiem. Tak mi się wydaje.

— Wielką potęgę — powiedział — przypisuje się muzyce.

— Cóż, znasz te sprawy starożytnych pitagorejczyków dotyczące „muzyki sfer”. — Usiadła na łóżku i zdjęła pantofle.

— Czy wierzysz w to? — zapytał. — Albo czy wierzysz w Boga?

— Bóg! — zaśmiała się. — On przeminął chyba razem idiotycznymi maszynami parowymi. O czym ty mówisz?

Bóg czy bogowie? — Podeszła blisko do niego, spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie przyglądaj mi się z tak bliska — powiedział ostro, cofając się. — Nie mam najmniejszej ochoty, by mi się ktoś znowu przyglądał. — Zirytowany odszedł na bok.

— Myślę — powiedziała Tania — że jeśli istnieje Bóg, nie bardzo się interesuje ludzkimi sprawami. W każdym razie taka jest moja teoria. Najwyraźniej nie dba, gdy triumfuje zło albo

ludziom czy zwierzętom dzieje się krzywda, kiedy umierają. Zupełnie szczerze, nigdzie dookoła nie dostrzegam śladów jego obecności. A Partia zawsze negocjowała jakąkolwiek formę istnienia...

— Czy kiedykolwiek Go widziałas? — zapytał. — Kiedy byłaś dzieckiem?

— Och, pewnie, jako dziecko. Ale wierzyłam również...

— Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl — ciągnął dalej Chien — że dobro i zło stanowią różne nazwy tej samej rzeczy? Że Bóg może być zarówno dobry, jak i zły równocześnie?

— Zrobię ci coś do picia — powiedziała Tania i poszła bosą do kuchni.

Chien mówił dalej:

— Łamacz. Szczękacz. Połykacz i Ptak oraz Komin w Skalnej Ścianie, a także inne nazwy i postaci, których nie znam. Miałem wizję. Na męskiej kolacji. Potężną. Przerazającą.

— Ale stelazyna...

— Ona sprowadziła jeszcze gorszą — powiedział.

— Czy istnieje jakiś sposób — zapytała trzeźwo Tania — abyśmy mogli walczyć z tą istotą, którą widziałeś? Z tą epifanią, którą nazywasz wizją halucynacyjną, ale która z pewnością nią nie była?

— Ja wierzę — powiedział.

— Co on robi?

— Nic — odparł znużonym głosem. — Niczego w ogóle nie robi. Jestem zmęczony; nie chcę pić... po prostu chodźmy do łóżka.

— W porządku. — Podreptała bosą z powrotem do sypialni i zaczęła ściągać przez głowę swój pasiasty sweterek. — Później porozmawiamy o tym bardziej szczegółowo.

— Halucynacja — ciągnął Chien — jest litościwa. Żałuję że ją straciłem. Chcę z powrotem swoje złudzenia. Chcę z powrotem być taki, jaki byłem, zanim twój handlarz wmusił mi tę fenotiazynę.

— Po prostu chodź do łóżka. Będzie ciepło. Ciepło i przyjemnie.

Zdjął krawat, koszulę — i wtedy zobaczył na prawym ramieniu znamię, stygmat, który zostawiła tamta dłoń, gdy powstrzymała go przed skokiem. Głębokie znamiona, które wyglądały, jakby nigdy nie miały zejść. Nałożył górę od pidżamy, by zakryć znaki.

— W każdym razie — rzekła Tania, kiedy wsunął się do łóżka obok niej — twoja kariera zapewne zostanie znacznie przyspieszona. Czy to cię nie cieszy?

— Jasne — odparł, kiwając głową w ciemnościach, tak że niczego nie mogła dostrzec. — Bardzo cieszy.

— Chodź tu do mnie. — Objęła go ramionami. — I zapomnij o wszystkim innym. Przynajmniej na chwilę.

Przytulił ją do siebie, czyniąc zadość jej życzeniu i jednocześnie robiąc to, na co sam miał ochotę. Była taka zgrabna; była tak pełna życia; była doświadczona i doskonale wywiązywała się ze swej roli. Nie mówili nic, póki ona wreszcie się nie odezwała:

— Och! — a potem jej napięte ciało się rozluźniło.

— Żałuję tylko — powiedział — że nie możemy robić tego przez całą wieczność.

— Robiliśmy — odrzekła Tania. — To się dzieje poza czasem, to jest bez granic, jak ocean. To jest tak, jak żyliśmy w epoce kambryjskiej, zanim wyszliśmy z morza na ląd, to są te najdawniejsze, pierwotne wody. Jedyne chwile, gdy wracamy z powrotem do nich, kiedy to robimy. To właśnie dlatego tyle to znaczy. W tamtych czasach nie byliśmy rozłączeni, wszystko wyglądało jak wielka galareta, jak te meduzy, które fala wyrzuca na plażę.

— Wyrzucone na plażę — powiedział — i zostawione tam, by umrzeć.

— Czy możesz dać mi ręcznik? — zapytała Tania. — Albo szlafrok? Jest mi potrzebny.

Bosą pobiegł do łazienki po ręcznik. Tam — teraz już był całkowicie nagi — raz jeszcze mógł

spojrzeć na swe ramię, zobaczyć, gdzie tamten zacisnął uchwyt, w którym go trzymał, ciągnął wstecz, zapewne po to, by móc się jeszcze jakiś czas z nim zabawiać.

Znamiona, co było zupełnie niewytłumaczalnie, zaczęły krwawić.

Otarł krew. Od razu nowa napłynęła do ran. Widząc to, zastanawiał się, jak wiele czasu mu jeszcze zostało. Zapewne tylko godziny.

Wracając do łóżka, zapytał:

— Czy możemy dalej to robić?

— Jasne. Jeśli masz jeszcze siły, będzie, jak chcesz. — Leżała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, ledwie widoczna w nikłym świetle.

— Mam — powiedział. I przyciągnął ją do siebie.

Przełożył Jan Karłowski

ELEKTRYCZNA MRÓWKA

Garson Poole obudził się w szpitalnym łóżku kwadrans po czwartej po południu Ziemskiego Czasu Standardowego. Chwilę zabrało mu zrozumienie, że leży w szpitalnym trzyosobowym pokoju, nadto zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że nie ma już prawej dłoni i że nie czuje żadnego bólu.

Musieli mi podać jakiś silny środek przeciwbólowy, powiedział do siebie, wpatrując się jednocześnie w przeciwległą ścianę pomieszczenia z oknem wychodzącym na centrum Nowego Jorku. Magistrale, po których pędziły pojazdy i spieszyli ludzie, lśniły w promieniach popołudniowego słońca, a ten blask gasnącego światła sprawił mu przyjemność. Jeszcze nie koniec, pomyślał. Ze mną również nie.

Na stoliczku przy łóżku stał wideofon; zawahał się, po czym podniósł słuchawkę i wybrał połączenie z miastem. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz Louisa Dancemana, który teraz zapewne, pod nieobecność jego, Garsona Poole'a, kierował Tri-Planem.

— Dzięki Bogu, żyjesz — powiedział Danceman, widząc jego oblicze; rysy jego szerokiej, mięsistej twarzy porytej dziobami tak, że przypominała powierzchnię Księżyca, wygładziła wyraźna ulga. — Dzwoniłem do ciebie przez cały.

— Nie mam tylko prawej ręki — przerwał mu Poole.

— Ale nic ci się nie stało? Chodzi mi o to, że zawsze mogą ci przeszczepić nową.

— Od jak dawna tutaj jestem? — zapytał Poole. Zastanawiał się, gdzie też zniknęły wszystkie pielęgniarki i lekarze, dlaczego nikt nie gderał na niego, nikt się nawet nie zainteresował, gdy skorzystał z wideofonu.

— Cztery dni — powiedział Danceman. — Tutaj, w fabryce, wszystko idzie świetnie. Co prawda zdobyliśmy zamówienia od trzech różnych formacji policyjnych, wszystkie znajdują się tutaj, na Ziemi. Dwie w Ohio, jedna w Wyoming, dobre, porządne zamówienia, jedna trzecia płatna w formie zaliczki i zwyczajowa opcja leasingowa na trzy lata.

— Przyjedź tu i zabierz mnie stąd — poprosił Poole.

— Nie mogę cię zabrać, póki nowa dłoń...

— Zajmę się tym później. — Rozpaczliwie pragnął znaleźć się znowu w jakimś znajomym otoczeniu. Gdzieś w głębi jego pamięci tłuło się wspomnienie rakiety transportowej wypełniającej groteskowo ekran pilota. Gdy zamykał oczy, wracał znowu do chwili, gdy w swoim uszkodzonym statku uderzał o jeden pojazd za drugim, za każdym razem powodując ogromne zniszczenia. Poczul nawrót kinetycznych sensacji... mrugnął, odpędzając je. Chyba miałem szczęście, powiedział do siebie.

— Czy Sarah Benton jest tam z tobą? — zapytał Danceman.

— Nie. — Oczywiście; jego osobista sekretarka, nawet jeśli tylko w sprawach zawodowych, powinna gdzieś tu się kręcić, próbując mu matkować na swój jałowy, infantylny sposób. Wszystkie potężnie zbudowane kobiety lubią matkować mężczyznom, pomyślał. A oprócz tego są niebezpieczne: jeżeli przewrócą się na ciebie, mogą cię zabić. — Być może chodzi o to, co mi się przydarzyło — powiedział na głos. — Może Sarah upadła na moją raketę.

— Nie, nie. To wał kierownicy w twojej rakiecie pękł podczas godziny szczytu, a ty...

— Pamiętam. — Usłyszał, że drzwi do jego sali otwierają się i odwrócił się na łóżku. W drzwiach zobaczył ubranego na białło lekarza i dwie pielęgniarki w niebieskich strojach; wszyscy troje podeszli do jego łóżka. — Porozmawiamy później — uciał Poole i odłożył słuchawkę. Oczekując na słowa lekarza, wstrzymał oddech.

— Nie powinien pan jeszcze rozmawiać przez wideo — fon — oznajmił lekarz, studiując jego kartę. — Pan Garson Poole, właściciel Tri-Plan Electronics. Twórca zdalnie sterowanych żądał samonaprowadzających, które ścigają ofiarę w promieniu tysiąca mil, reagując na charakterystyczne dla niej wzorce encefalograficzne wysyłane przez jej mózg. Panie Poole, nie jest pan człowiekiem. Jest pan elektryczną mrówką.

— Chryste — jęknął Poole, zupełnie ogłuszony.

— A więc teraz, kiedy już o tym wiemy, nie możemy pana tutaj leczyć. Wiedzieliśmy o tym naturalnie, gdy tylko zbadaliśmy pańską zranioną prawą dłoń. Widać tam było elementy elektroniczne, a potem prześwietliliśmy pana ciało promieniami Roentgena, co oczywiście potwierdziło tylko wstępną hipotezę.

— Co... — zapytał Poole — co to jest elektryczna mrówka? — Ale przecież wiedział, potrafił się domyślić.

— Organiczny robot — odpowiedziała jedna z pielęgniarek.

— Rozumiem. — Poole poczuł lodowaty pot na całym ciele.

— Nie wiedział pan — powiedział lekarz.

— Nie. — Poole pokręcił głową.

— Przynajmniej raz w tygodniu trafia do nas elektryczna mrówka — stwierdził lekarz. — Albo z wypadków raket... jak pan... albo sami przychodzą, prosząc o to, żeby ich zbadać... tacy, którym jak panu, nigdy nie powiedziano, którzy żyją normalnie w ludzkim świecie, wierząc, że są ludźmi... nie zaś maszynami. Jeśli zaś chodzi o pańską rękę... — zawiesił głos.

— Zapomnijmy o mojej ręce — powiedział nieprzyjemnym tonem Poole.

— Proszę się uspokoić. — Lekarz pochylił się nad nim, spojrzał mu prosto w oczy. — Zadbamy o to, by karetka szpitalna odwiozła pana do punktu serwisowego, gdzie naprawa bądź wymiana pańskiej dłoni może zostać zrealizowana po przystępnej cenie, co nie obciąży ani pańskiej kieszeni, jeżeli jest pan swoim własnym właścicielem, ani ewentualnych innych właścicieli, jeśli takowi istnieją. W każdym razie wkrótce zasiądzie pan już za swoim biurkiem w Tri-Planie, funkcjonując równie sprawnie jak przedtem.

— Prócz tego — powiedział Poole — że teraz już wiem — Ciekawe, czy Danceman albo Sarah, czy też ktokolwiek inny w biurze zdaje sobie sprawę? A może to oni... któreś z nich... kupili go? Zaprojektowali go? Figurant, powiedział do siebie, niczym innym nigdy nie byłem. Tak naprawdę zapewne nigdy nie kierowałem spółką, to było złudzenie, które mi zaprogramowano, kiedy zostałem zbudowany, razem ze złudzeniem, że jestem człowiekiem i prowadzę normalne życie.

— Zanim jednak pan nas opuści i uda się do serwisu — powiedział lekarz — czy byłby pan tak uprzejmy i uregulował rachunek w kasie?

— Jak możecie mi wystawić rachunek, skoro nie zajmujecie się tutaj leczeniem elektrycznych mrówek? — zauważył kwaśno Poole.

— Oddaliśmy panu określone usługi — przypomniała pielęgniarka. — Przynajmniej do czasu, aż się dowiedzieliśmy.

— Proszę obciążyć moje konto — powiedział Poole, głosem nabrzmiałym dziką, bezsilną wściekłością. — Proszę obciążyć moją firmę. — Z ogromnym wysiłkiem zdołał usiąść: zakręciło mu się w głowie, kiedy chwiejnie opuścił stopy z łóżka na podłogę. — Będę szczęśliwy, mogąc jak najszybciej opuścić to miejsce — dodał, wstając. — I dziękuję wam za jakże humanitarną opiekę.

— Również panu dziękujemy, panie Poole — pożegnał go lekarz. — Czy też może powinienem raczej powiedzieć po prostu: Poole.

W serwisie wymieniono mu utraconą rękę.

Okazała się całkiem fascynująca, ta nowa dłoń. Przyglądał się jej przez dłuższy czas, zanim pozwolił technikowi ją zainstalować. Jej powierzchnia wydawała się całkowicie organiczna — w istocie na powierzchni taka była. Prawdziwa skóra pokrywała prawdziwe ciało, prawdziwa krew wypełniała żyły i naczynia włoskowate. Pod tym jednak lśniły blaskiem metalu druty i obwody, miniaturowe podzespoły... Patrząc jeszcze dalej w głąb nadgarstka, widział bezpieczniki, silniczki, przekaźniki wielofazowe, wszystko bardzo małe. Niezwykle skomplikowane. No i... ręka kosztowała czterdzieści zielonych. Tygodniowa pensja, jeśli nie uda mu się obciążyć jej kosztem rachunku spółki.

— Jest jakaś gwarancja? — zapytał technika, kiedy tam ten przytwierdzał część „kostną” dłoni do regulatora równo wagi ciała.

— Dziewięćdziesiąt dni, części i robota — powiedział jeden z techników. — Chyba że uszkodzenie okaże się nie standardowe albo zostanie wykonane rozmyślnie.

— To brzmi jakoś dwuznacznie — powiedział Poole. Technik, mężczyzna — wszyscy byli mężczyznami — powiedział, przyglądając mu się przenikliwie:

— Wprowadzono cię w błąd?

— Nierozmyślnie.

— A teraz to już jest rozmyślnie?

— Właśnie — odparł Poole.

— Czy zdajesz sobie sprawę, dlaczego się nigdy nie domyśliłeś? Musiały być przecież jakieś oznaki... trzaski i zgrzyty z wnętrza twego ciała, zarówno wtedy, jak i teraz. Nigdy nie przyszło ci to do głowy, ponieważ zostałeś zaprogramowany, by tego nie dostrzegać. Teraz będziesz miał te same kłopoty, jeżeli będziesz chciał się dowiedzieć, kto cię zbudował i dla kogo pracujesz.

— Niewolnik — stwierdził Poole. — Mechaniczny niewolnik.

— Zabawa się skończyła.

— Żyłem porządnie — powiedział Poole. — Ciężko pracowałem.

Zapłacił serwisowi czterdzieści zielonych, rozprostował swoje nowe palce, sprawdził, jak funkcjonują, chwytając rozmaite przedmioty, monety, po czym wyszedł. Dziesięć minut później znajdował się w pojeździe komunikacji miejskiej, zmierzając do domu. To był doprawdy niesamowity dzień.

W domu, w swoim jednopokojowym mieszkaniu, nalał sobie porcję jacka danielsa z purpurową nalepką — sześćdziesięcioletniego — i usiadł, popijając go. Wyjrzał przez jedyne okno w swym mieszkaniu na budynek znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy. Czy powinienem iść do biura? zapytywał samego siebie. Jeżeli tak, to dlaczego? Jeżeli nie, też dlaczego? Wybierz jedną odpowiedź. Chryste, pomyślał, wiedza o czymś takim potrafi zupełnie wyprowadzić z równowagi — Jestem dziwadłem, zdał sobie sprawę. Przedmiot nieożywiony udający żywą istotę. Ale — czuł przecież, że żyje. Jednak teraz... czuł się jakoś inaczej. Inaczej myślał o sobie. A tym samym inaczej myślał też o wszystkich pozostałych, w szczególności zaś o Dancemanie i Sarah, o wszystkich, z którymi pracował w Tri-Planie.

Chyba się zabiję, powiedział do siebie. Ale zapewne jestem tak zaprogramowany, by było to niemożliwe, mój właściciel poniósłby bowiem wówczas znaczną stratę finansową. A z pewnością nie życzyłby sobie tego.

Zaprogramowany. Gdzieś we mnie, w jakimś miejscu, myślał, jest matryca, zamontowana siatka ekranująca, która cenzuruje pewne myśli, pewne działania. I podsuwa mi inne. Nie jestem wolny. Nigdy nie byłem, ale teraz o tym wiem — to wszystko zmienia.

Opuścił rolety, po czym zapalił światło nad głową i ostrożnie zaczął zdejmować ubranie, część po części. Przyglądał się uważnie, jak technicy w zakładzie montowali nową dłoń, dosyć dobrze orientował się więc, w jaki sposób został skonstruowany. Dwa duże panele, jeden w każdym udzie; technicy wyjęli te panele, aby sprawdzić znajdujące się pod nimi zestawy obwodów. Jeżeli jestem zaprogramowany, zdecydował, matryca prawdopodobnie znajduje się tam.

Nieco zakłopotany, patrzył teraz na labirynt obwodów. Potrzebuję pomocy, pomyślał. Zobaczmy... jaki jest kod wideofoniczny dla komputera klasy BBB, którego wynajmuje nasze biuro?

Podniósł słuchawkę wideofonu, wybrał numer do komputera, który znajdował się w Boise w Idaho.

— Zwykła stawka za wykorzystywanie tego komputera wynosi pięć zielonych za każdą minutę — odezwał się mechaniczny głos w słuchawce. — Proszę unieść do ekranu swoją kartę kredytową.

Uczynił, jak mu powiedziano.

— Po usłyszeniu sygnału zostanie nawiązane połączenie z komputerem — ciągnął dalej głos. — Proszę zadawać Pytania, tak szybko jak to tylko możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że odpowiedź zostanie podana w czasie mikrosekundy, Podczas gdy pytanie potrwa...

Wyłączył fonię. Ale szybko włączył ją ponownie, kiedy na ekranie pojawił symbol wyłączonego wejścia audio do komputera. W tej chwili komputer zamienił się w gigantyczne ucho, słuchające go... podobnie jak pięćdziesięciu tysięcy innych pytających z całej Ziemi.

— Proszę mnie zeskanować wizją — polecił komputerowi. — I powiedzcie mi, gdzie znajdę mechanizm programujący, który zawiaduje moimi myślami i zachowaniem. — Czekał. Z ekranu wideofonu patrzyło na niego wielosoczewkowe oko. Stał tak, żeby go było dobrze widać, tu, w jego jednopokojowym mieszkaniu.

— Proszę zdjąć płytę z piersi — powiedział komputer. — Nacisnąć klatkę piersiową, a potem zdjąć ją.

Gdy wykonał polecenie, osłona poluzowała się; odwrócił ją i położył na podłodze.

— Widzę moduły kontrolne — mówił komputer — ale nie potrafię powiedzieć który... — przerwał na chwilę, jego oko zaś przemieszczało się po ekranie wideofonu. — Widzę zwój taśmy perforowanej umieszczony nad mechanizmem zastępującym ci serce. Tez go widzisz?

Poole wykręcił szyję, spojrział. Również zobaczył.

— Muszę się rozłączyć — oznajmił komputer. — Gdy już przeanalizuję dostępne mi dane, połączę się znowu i udzielę ci odpowiedzi. Miłego dnia. — Ekran zgasł.

Wyrwę tę taśmę z mego wnętrza, pomyślał Poole. Była bardzo mała... nie większa niż dwa kłębki nici. Między bębniem doprowadzającym a bębniem odbierającym znajdował się czytnik. Nie mógł dojrzeć, czy się przesuwają, bębny wydawały się zupełnie nieruchome. Pewnie włącza się w trybie sterowania nadrzędnego, zrozumiał, kiedy występują określone sytuacje. Nadrzędnie reguluje moje procesy mózgowie. I działa się tak przez całe moje życie.

Sięgnął dłonią, dotknął bębna naprowadzającego. Muszę ją tylko wyrwać, pomyślał, a wtedy...

Ekran wideofonu zaśnił ponownie.

— Karta kredytowa numer 3-BNX-882-HQR446-T — zabrzmiał głos komputera. — Tu mówi BBB-307DR, kontaktując się ponownie w sprawie pytania trwającego szesnaście sekund, z czwartego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Zwój taśmy perforowanej nad twoim mechanizmem sercowym nie jest przystawką programującą, ale stanowi mechanizm dostarczający ci percepcji rzeczywistości. Wszystkie bodźce zmysłowe, jakie docierają do twego ośrodkowego układu nerwowego, wychodzą z tej jednostki i manipulowanie przy niej może okazać się ryzykowne, jeśli nie śmiertelnie niebezpieczne. — Dodał jeszcze: — Najwyraźniej nie masz

żadnych obwodów programujących. Odpowiedź na pytanie została podana. Miłego dnia. — Wyłączył się.

Poole stał nago przed ekranem wideofonu, z rozmyślnie nadmierną ostrożnością dotknął raz jeszcze bębna z taśmą. Rozumiem, pomyślał ogłupiały. Ale czy naprawdę rozumiem? Ta jednostka...

Jeżeli przetnę taśmę, zdał sobie sprawę, mój świat zniknie. Dla innych wszystko będzie dalej trwało, ale już nie dla mnie. Ponieważ moja rzeczywistość, mój świat pochodzą z tej miniaturowej jednostki. Wprowadzane są do czytnika, a potem prosto do ośrodkowego układu nerwowego, w miarę jak taśma rozwija się w ślimaczym tempie.

Rozwija się tak już od lat, doszedł do wniosku.

Pozbierał rzeczy, ubrał się na powrót, usiadł w swoim głębokim fotelu — towar luksusowy, do jego mieszkania dostarczony z głównego biura Tri-Planu — i zapalił papierosa. Jego dłonie drżały, kiedy odkładał zapalniczkę z inicjałami. Rozparł się wygodnie, wydmuchnął dym, tworząc przed sobą mgławicę szarości.

Muszę postępować powoli i rozważnie, powiedział do siebie. Co ja też najlepszego próbuję zrobić? Oszukać mój program? Ale komputer nie znalazł we mnie żadnych obwodów programujących. Czy naprawdę chcę majstrować przy taśmie rzeczywistości? A jeśli tak, to dlaczego?

Ponieważ, pomyślał, jeżeli będę w stanie ją kontrolować, będę kontrolował rzeczywistość. Przynajmniej w tym zakresie, w jakim mnie dotyczy. Moją subiektywną rzeczywistość... ale nic innego przecież nie istnieje. Obiektywna rzeczywistość jest syntetyczną konstrukcją, tworem hipotetycznej uniwersalizacji wielu subiektywnych rzeczywistości.

Mój świat leży w zasięgu mojej ręki, zdał sobie sprawę. Jeżeli tylko uda mi się zrozumieć, jak działa ta przeklęta rzecz. Z początku zamierzałem jedynie odnaleźć moje obwody programujące, abym mógł zapewnić sobie prawdziwie homeostatyczne funkcjonowanie: kontrolę samego siebie. Ale teraz...

Mając to, będzie nie tylko zwyczajnie zdolny kontrolować samego siebie, zdobędzie kontrolę nad wszystkim.

I to właśnie odróżnia mnie od ludzi, którzy kiedykolwiek żyli i umarli, pomyślał ponuro.

Podszedł ponownie do wideofonu i połączył się z biurem. Kiedy na ekranie pojawiła się twarz Dancemana, powiedział żywo:

— Chciałbym, żebyś mi przysłał do mojego mieszkania pełen zestaw mikronarzędzi i ekran powiększający. Muszę popracować trochę nad pewnymi mikroobwodami. — Przerwał połączenie, nie czekając na ewentualne pytania tamtego.

Pół godziny później usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, stwierdził, że stoi przed nim jeden z techników z warsztatów, obładowany od stóp do głów wszelkiego rodzaju mikronarzędziami.

— Nie powiedział pan dokładnie, o co panu chodzi — oznajmił technik, wchodząc do mieszkania. — Więc pan Danceman kazał mi przynieść wszystko.

— A system soczewek powiększających?

— Jest w ciężarówce, na dachu.

Być może chciałbym już tylko umrzeć, pomyślał Poole. Stał, paląc papierosa i czekając, aż technik przytarga do jego mieszkania ciężki ekran powiększający z własnym zasilaniem i panelem kontrolnym. To, co tu robię, to jest samobójstwo. Zadrżał.

— Coś nie w porządku, panie Poole? — zapytał technik, prostując się po zrzuceniu z pleców ciężkiego systemu soczewek powiększających. — Musi pan pewnie być jeszcze trochę rozklekotany po wypadku.

— Tak — cicho odparł Poole. Stał sztywno, czekając, aż technik odejdzie.

Pod systemem soczewek powiększających plastikowa taśma nabrała nowego kształtu: szeroka wstęga z setkami otworów na całej długości. Tak jak przypuszczałem, pomyślał Poole. Zapis nie został zrobiony w postaci ładunku na warstwie tlenku żelaza, lecz prawdziwych, na przestrzał wybitych otworów.

Pod soczewkami wstęga taśmy w widoczny sposób przesuwała się naprzód. Bardzo powoli, ale bez przerwy, z jednostajną prędkością poruszała się w kierunku czytnika.

Jak rozumiem, pomyślał, wybite dziurki oznaczają bramki o wartości dodatniej. To działa jak pianola: brak otworu oznacza „nie”, otwór oznacza „tak”. W jaki sposób mógłbym to sprawdzić?

Oczywistym sposobem było wypełnienie kilku dziur.

Zmierzył, ile taśmy pozostało jeszcze na bębnie dostarczającym, obliczył — z niejakim trudem — prędkość przesuwu taśmy i otrzymał wynik. Gdyby zmienił część taśmy widoczną na wejściowej krawędzi czytnika, minie pięć do siedmiu godzin, zanim nastąpi ten właśnie czas. W efekcie zamaluje sobie bodźce, które odbierać będzie za kilka godzin od chwili obecnej.

Za pomocą mikropędzla zamalował spory — względnie spory — fragment taśmy nieprzejrzyście lakierem... wyciągniętym z zapasów dołączonych do zestawu mikronarzędzi. Zamalował wszystkie swoje przyszłe bodźce na okres mniej więcej pół godziny, potem zadumał się. Lakier pokrył przynajmniej tysiąc otworów.

Ciekawe, co się zmieni — jeżeli w ogóle coś się zmieni — w jego otoczeniu za mniej więcej sześć godzin od chwili obecnej.

Pięć i pół godziny później siedział u Kracktera, w jednym z najlepszych barów na Manhattanie, w towarzystwie Dancemana.

— Wyglądasz źle — powiedział Danceman.

— Jest ze mną źle — odparł Poole. Skończył whisky i zamówił następną.

— To przez ten wypadek?

— W pewnym sensie tak.

— Czy to chodzi... o coś, czego się o sobie dowiedziałeś? — zapytał Danceman.

Unosząc głowę, Poole spróbował dojrzeć jego oczy w mrocznym wnętrzu baru.

— A więc wiesz.

— Wiem — powiedział Danceman — że powinienem mówić do ciebie „Poole” zamiast „panie Poole”. Jednak wolę zdecydowanie tę drugą formę, i takiej też będę używał.

— Od jak dawna wiesz? — zapytał Poole.

— Od czasu jak przejąłeś firmę. Powiedziano mi, że aktualny właściciel Tri-Planu, który ma swoją siedzibę w systemie Proximy, chce, aby Tri-Plan zarządzany był przez elektryczną mrówkę, którą będą mogli kontrolować. Chcieli błyskotliwego i silnego...

— Prawdziwi właściciele? — Po raz pierwszy słyszał o kimś takim. — Mamy dwa tysiące akcjonariuszy. Rozsianych po całym kosmosie.

— Marvis Bey i jej mąż Ernan, na Proximie IV, kontrolują pięćdziesiąt jeden procent wszystkich głosów akcjonariuszy. Od samego początku tak było.

— Dlaczego ja o niczym nie wiedziałem?

— Nie pozwolono mi cię o tym informować. Miałeś myśleć, że sam odpowiadasz za całą strategię spółki. Z moją pomocą. Ale tak naprawdę, to przekazywałem ci informacje, które wcześniej uzyskiwałem od Beyów.

— Jestem zwykłym figurantem — powiedział Poole.

— W pewnym sensie tak. — Danceman skinął głową. — Ale dla mnie zawsze byłeś „panem Poole”.

Fragment ściany znajdującej się naprzeciwko zniknął. A wraz z nim kilkunastu ludzi siedzących wcześniej przy stolikach. I...

Za wielką szklaną ścianą baru część horyzontu miasta Nowego Jorku zamigotała i przestała istnieć.

Widząc wyraz jego twarzy, Danceman zapytał:

— Co się dzieje?

Poole ochryplym głosem odrzekł:

— Rozejrzyj się dookoła. Czy widzisz jakieś zmiany — Danceman powiódł wzrokiem po pomieszczeniu.

— Nie. Jakie?

— Wciąż widzisz horyzont?

— Jasne. Zamglony jak zawsze przez smog. Światła mrugają...

— Teraz już wiem — powiedział Poole. Miał rację: każdy z otworów, które zakleił, oznacza zniknięcie jednego przedmiotu z jego rzeczywistości. Wstając, oznajmił: — Zobaczymy się później, Danceman. Muszę jeszcze wrócić do swego mieszkania, czeka tam na mnie trochę rozgrzebanej roboty. Dobranoc. — Wyszedł z baru na ulicę, rozglądając się za taksówką.

Żadnej taksówki.

One również, pomyślał. Zastanawiam się, co jeszcze zamalowałem. prostytutki? Kwiaty? Więzienia?

I wtedy na parkingu baru zobaczył raketę Dancemana. Wezmę ją, postanowił. W świecie Dancemana taksówki wciąż istniały, może sobie później jakąś znaleźć. W każdym razie to i tak był pojazd spółki, a on miał duplikat klucza.

Wkrótce już leciał w powietrzu, zmierzając do swego mieszkania.

Nowy Jork nie zaczął jeszcze istnieć. Po jego lewej i prawej stronie pojazdy i budynki, ulice, piesi, znaki... a w środku nicość. Jak mam w nią wlecieć? — pytał sam siebie. Przecież również zniknę.

Ale czy naprawdę? Poleciał prosto w tę nicość.

Pałac jednego papierosa za drugim, latał w kółko przez piętnaście minut... a wtedy, bez jednego dźwięku, Nowy Jork pojawił się na powrót. Mógł skończyć swoją podróż. Zgasił papierosa (naprawdę marnotrawstwo czegoś tak wartościowego) i skierował się w stronę swego mieszkania.

Gdybym wprowadził na miejsce wąską nieprzezroczystą taśmę, dumał, otwierając drzwi, mógłbym...

Jego rozważania urwały się jak ucięte nożem. Ktoś siedział w jego fotelu, oglądając w telewizji kolejny odcinek przygód kapitana Kirka.

— Sarah? — zapytał zdenerwowany.

Wstała, z wdziękiem zdumiewającym u tak masywnie zbudowanej osoby.

— Nie było cię w szpitalu, więc przyleciałam tutaj. Wciąż jeszcze mam ten klucz, który oddałeś mi w marcu, po tym jak się tak potwornie pokłóciliśmy. Och... wyglądasz na strasznie przygnębionego. — Podeszła do niego bliżej i z niepokojem zajrzała mu w oczy. — Czy twoje obrażenia tak bardzo dają ci się we znaki?

— Nie o to chodzi. — Zdjął płaszcz, rozwiązał krawat potem ściągnął koszulę, na końcu zaś otworzył pokrywę klatki piersiowej; ukląkł i włożył dłonie w rękawice manipulacyjne. — Odkryłem, że jestem elektryczną mrówką. Patrząc z pewnego punktu widzenia, otwiera to określone możliwości,

które właśnie badam. — Poruszył palcami, a na odległym krańcu ekranu po lewej poruszył się mikrośrubokręt, powiększony do rozmiarów pozwalających go dojrzeć przez system soczewek powiększających. — Możesz sobie patrzeć — poinformował ją. — Jeżeli masz na to ochotę.

Zaczęła płakać.

— O co chodzi? — zapytał brutalnie, nie podnosząc oczu znad swej pracy.

— Ja... to jest po prostu takie smutne. Byłeś takim dobrym pracodawcą dla nas wszystkich w Tri-Planie. Tak cię szanowaliśmy. A teraz ze wszystkim koniec.

Plastikowa taśma miała na górze i u dołu margines pozbawiony otworów. Wyciął poziomy pasek, bardzo cienki, a potem, po chwili wielkiego skupienia, przeciął samą taśmę w odległości czterech godzin od głowicy czytnika. Odwrócił wycięty pasek równoległe względem krawędzi czytnika, wkleił go na miejsce za pomocą mikroszpawarki, przyklejając do jego prawej i lewej strony taśmę. Otrzymał w rezultacie martwe dwadzieścia minut, wklejone w ciągły strumień jego rzeczywistości. Efekty powinien zaobserwować — wedle własnych obliczeń — kilka minut po północy.

— Naprawiasz samego siebie? — zapytała nieśmiało Sarah.

— Uwalniam samego siebie — odparł Poole. Oprócz tego, co przed chwilą zrobił, do głowy przychodziło mu jeszcze kilka innych zmian. Ale najpierw musiał sprawdzić swoją teorię. Jeśli ślepa, pozbawiona otworów taśma oznacza brak jakichkolwiek bodźców, w takim razie brak taśmy...

— Wyraz twojej twarzy — powiedziała Sarah. Zaczęła zbierać swoje rzeczy, torebkę, płaszcz, zwinięte czasopismo audiowizualne. — Pójdę już. Potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz, widząc mnie tutaj.

— Zostań — powiedział. — Obejrzę z tobą kapitana Kirka. — Z powrotem włożył koszulę. — Pamiętasz, całe lata temu, kiedy były... ile też ich było?... dwadzieścia dwa kanały telewizji? Zanim rząd zlikwidował kanały niezależne?

Pokiwała głową.

— Jakby to wyglądało — zapytał — gdyby ten odbiornik telewizyjny projektował wszystkie odbierane kanały na siatkę katody równocześnie? Czy w tym zamęcie potrafilibyśmy cokolwiek wyróżnić?

— Nie przypuszczam.

— Być może bylibyśmy się w stanie nauczyć. Nauczyć się wybierać. Wkładać własną pracę w postrzeganie tego, co postrzegać chcemy, i odrzucanie tego, czego nie chcemy. Pomyśl o możliwościach... gdyby nasz mózg potrafił dawać sobie radę z dwudziestoma obrazami naraz, pomyśl o wiedzy, jaką można by nabyć w danym czasie. Zastanawiam się, czy mózg, ludzki mózg...

— urwał. — Ludzki mózg nie potrafiłby sobie dać z tym rady — powiedział po chwili, jakby mówił do siebie. — Ale, przynajmniej w teorii, mózg quasi-organiczny jest do tego zdolny.

— To właśnie masz w głowie? — zapytała Sarah.

— Tak — odrzekł Poole.

Obejrżeli odcinek kapitana Kirka do samego końca, a potem poszli do łóżka. Ale Poole usiadł w nim tylko, wsparty na poduszkach, paląc i rozmyślając. Obok niego Sarah przewracała się niespokojnie z boku na bok, zastanawiając się, dlaczego nie wyłączył światła.

Jedenasta piętnaście. Teraz może to nastąpić właściwie w każdej chwili.

— Sarah — powiedział — potrzebuję twojej pomocy. Za kilka minut stanie się ze mną coś dziwnego. To nie potrwa długo, chcę jednak, byś obserwowała mnie uważnie. Patrz, czyja... — Machnął ręką. — Czy będę zachowywał się jakoś inaczej. Czy zachce mi się spać, czy będę mówił

jakieś nonsensy, czy... — Chciał jeszcze dodać: czy przypadkiem nie zniknę? Ale nie zrobił tego. — Nie chcę wyrządzić ci żadnej krzywdy, ale może na wszelki wypadek uzbroisz się. Czy masz przy sobie swój pistolet?

— W torebce. — Teraz już rozbudziła się zupełnie. Usiadła na łóżku, spojrzała na niego z dzikim przerażeniem jej wystające ramiona pokryła gęsia skórka, widoczna w oświetlonym pomieszczeniu.

Przyniósł jej broń.

Pomieszczenie zastygło w bezruchu jakby sparaliżowane. Potem kolory zaczęły odpływać, przedmioty zanikać, na podobieństwo dymu, póki nie rozpląnęły się w cieniu. Ciemność ogarniała wszystko, w miarę jak przedmioty w pokoju coraz bardziej nikały.

Ostatnie bodźce gasną, zrozumiał Poole. Mrugnął, próbując coś zobaczyć. Zdołał dostrzec jeszcze sylwetkę Sarah Benton siedzącej na łóżku: dwuwymiarowa postać, która na podobieństwo marionetki, podniosła się nagle, a potem zaczęła się rozwiewać w powietrzu i zniknęła. Przypadkowe powiewy zdematerializowanej substancji grupowały się w niestabilne obłoki; żywioły gromadziły się razem, rozdzielały, a potem ponownie zbiegały. Aż wreszcie resztki ciepła, energii i światła zniknęły, pokój złożył się i zapadł w siebie, jakby odcięto go od rzeczywistości. I w tym momencie wszystko spowija absolutna ciemność, przestrzeń bez głębi, nie jak ciemność nocy, lecz raczej sztywna i nieustępliwa. Na dodatek nic nie słyszał.

Wyciągnął dłoń, próbując czegoś dotknąć. Ale nie istniało nic, czego mógłby dotknąć. Świadomość własnego ciała odeszła wraz z pozostałą treścią świata. Nie miał dłoni, a nawet gdyby miał, wszystko, czego mógłby nią dotknąć, zniknęło.

Za każdym razem przekonuję się, że moje podejrzenia co do sposobu działania tej przeklętej taśmy są słuszne, powiedział do siebie w myślach, używając nie istniejących ust do zakomunikowania niewidzialnej wiadomości.

Czy minęło już dziesięć minut? — zastanawiał się. Czy w tej kwestii także miałem rację? Czekał... ale intuicyjnie wiedział, że poczucie upływu czasu odeszło razem ze wszystkim innym. Mogę tylko czekać, zdał sobie sprawę. W nadziei, że to nie potrwa długo.

Aby nadać jakieś tempo upływowi tych pustych chwil, postanowił, że ułoży encyklopedię; spróbuje wymienić wszystko, co zaczyna się na „A”. Zadumał się. Ananas, automobil, alikwot, atmosfera, Atlantyk, auszpik, anons — wymyślał tak dalej i dalej, kategorie przedmiotów przelatywały przez jego nawiedzany przerażeniem umysł.

I wtedy, nagle, rozbłyły światła.

Leżał na sofie w swoim salonie, a słabe światło słońca wpadało do środka przez pojedyncze okno. Dwaj ludzie pochylali się nad nim, ich ręce pełne były narzędzi. Ludzie z serwisu, zdał sobie sprawę. Naprawiają mnie.

— Odzyskał świadomość — powiedział jeden z techników. Wstał, cofnął się, miejsce jego twarzy zajęło oblicze Sarah Benton, aż rozdygotane z niepokoju.

— Dzięki Bogu! — powiedziała, dysząc wilgotnym oddechem w ucho Poole’a. — Tak się bałam; na koniec wezwałam pana Dancemana.

— Co się stało? — ochryplym głosem przerwał jej Poole. — Zacznij od samego początku i na miłość boską, mów powoli. Żebym wszystko zrozumiał.

Sarah odzyskała panowanie nad sobą: potarła nos, po czym nerwowo zaczęła mówić:

— Straciłeś przytomność. Leżałeś tutaj bez ruchu, jakbyś był martwy. Czekałam do drugiej trzydziści, a ty nawet nie drgnąłeś. Zadzwoiłam do pana Dancemana, na nieszczęście musiałam go obudzić, a on wezwał ludzi z serwisu elektrycznych mrówek... to znaczy, chciałam powiedzieć, ludzi z serwisu zajmującego się naprawami organicznych robotów, a oni pojawili się około czwartej

czterdzieści pięć i pracowali nad tobą aż do tej chwili. Teraz jest piętnaście po szóstej rano. Jest mi bardzo zimno i chcę się położyć do łóżka. Nie będę w stanie iść dzisiaj do biura, naprawdę nie mogę.

Odwróciła się i pociągnęła nosem. Ten odgłos zdenerwował go.

Jeden z ubranych w kombinezony techników powiedział:

— Majstrowałeś przy swojej taśmie rzeczywistości.

— Tak — odparł Poole. Dlaczego miałby zaprzeczać? Najwyraźniej odkryli wmontowany kawałek bez otworów. — Niemożliwe, żeby to mogło trwać tak długo — powiedział. — Wkleiłem tylko dziesięciominutowy kawałek.

— Wyłączył się przesuw taśmy — wyjaśnił technik. — . Taśma przestała się poruszać do przodu, wmontowany fragment zablokował ją, a wtedy automatycznie mechanizm wyłączył się, aby nie przerwać taśmy. Dlaczego w ogóle wpadłeś na pomysł grzebania przy tym? Czy nie wiesz, co mogło się stać?

— Do końca nie jestem pewien — powiedział Poole.

— Ale niezłe to sobie wymyśliłeś.

— Właśnie dlatego to zrobiłem — odrzekł Poole kwaśno.

— Twój rachunek — oznajmił człowiek z serwisu — będzie wynosił dziewięćdziesiąt pięć zielonych. Płatne w ratach, jeśli chcesz.

— W porządku. — Usiadł, zakręciło mu się w głowie, potarł oczy i skrzywił się. Głowa go bolała, czuł czczą pustkę w żołądku.

— Następnym razem wygładź taśmę — poradził mu pierwszy technik. — W ten sposób się nie zakleszczy. Czy nie przyszło ci do głowy, że czytnik będzie miał wbudowany bezpiecznik? Żeby raczej zablokował przesuw niż...

— Co się stanie — przerwał mu Poole, mówiąc głosem cichym i napiętym — jeśli pod czytnikiem nie będzie żadnej taśmy? Żadnej taśmy... w ogóle nic. Fotokomórka świecąca w górę bez żadnego oporu?

Technicy spojrzeli po sobie. Jeden powiedział:

— Wszystkie neuroobwody załączą się jednocześnie i nastąpi krótkie spięcie.

— Co ono oznacza? — dopytywał się Poole.

— Oznacza koniec funkcjonowania mechanizmu.

— Zbadałem obwód — rzekł Poole. — Nie ma w nim dostatecznego napięcia, aby to nastąpiło. Metal bezpiecznika nie stopi się pod tak małym ładunkiem prądu, nawet jeśli zetkną się końcówki. Mówimy przecież o milionowej wata na przewodzie cezowym długim zapewne na szesnastą część cała. Założmy, że istnieje miliard możliwych kombinacji dla określenia właściwości każdej chwili, których źródłem są otwory taśmy. Całkowita suma na wyjściu nie kumuluje się, ilość prądu zależy od tego, jakie są właściwości materiałowe tego modułu, a nie jest tego wiele. Z tymi wszystkimi bramkami otwartymi i wciąż się przesuwanymi.

— Czemu mielibyśmy kłamać? — zapytał ze znużeniem jeden z techników.

— A czemu nie? — odparował Poole. — Oto stoi przede mną możliwość doświadczenia wszystkiego. Naraz. Poznania wszechświata w jego całości. Znalezienia się w jednoczesnym kontakcie z całą rzeczywistością. Coś, do czego niezdolny jest żaden człowiek. Partytura symfonii docierająca do mojego mózgu spoza czasu, wszystkie nuty, wszystkie instrumenty rozbrzmiewające równocześnie. Wszystkie symfonie rozbrzmiewające jednocześnie. Rozumiecie?

— To cię wypali — powiedzieli unisono obaj technicy.

— Nie sądzę.

— Miałby pan ochotę na filiżankę kawy, panie Poole? — zapytała Sarah.

— Tak — odrzekł. Opuścił stopy na podłogę, poczuł pod zdrętwiałymi podbiciami jej chłód, zadrżał. Gdy wstał, bolało go całe ciało. Pozwolili, bym przez całą noc leżał na sofie, pomyślał. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, mogli sobie lepiej poradzić.

Garson Poole siedział przy stole kuchennym w odległym kącie pokoju i pił kawę. Sarah usiadła naprzeciw niego. Technicy już dawno temu poszli.

— Nie zamierzasz chyba próbować dalszych eksperymentów na samym sobie, nieprawdaż? — zapytała ze smutkiem Sarah.

Poole zazgrzytał zębami.

— Chciałbym móc kontrolować czas. Odwrócić jego bieg. Mogę wyciąć fragment taśmy, myślał, i wspawać go do góry nogami. Przyczynowe sekwencje zdarzeń zaczną biec w drugą stronę. A więc będę schodził tyłem po schodach z dachu aż do moich drzwi, pchał zamknięte drzwi, wędrował tyłem do zlewu, z którego wezmę stertę brudnych talerzy. Usiądę przy tym stole, napełnię każdy z nich jedzeniem wytworzonym w moim żołądku... Potem zaniosę jedzenie do lodówki. Następnego dnia wyjmę jedzenie z lodówki, zapakuję je do toreb, zaniosę torby do supermarketu, rozłożę Jedzenie tu i tam po całym sklepie. A na koniec w kasie od frontu wypłacą mi za to pieniądze. Jedzenie zostanie zapakowane wraz z innym jedzeniem w wielkie plastikowe pudła wysłane z miasta na hydroponiczne plantacje na Atlantyku' tam zostanie z powrotem wchłonięte przez drzewa, krzewy albo ciała martwych zwierząt, ewentualnie zakopane w ziemi. Ale czego w ten sposób dowiodę? Taśma wideo obracająca się do tyłu... Nie dowiem się niczego więcej ponad to, co wiem teraz, a tego nie wystarczy.

Tym, czego chcę, rozumiał, jest ostateczna i absolutna rzeczywistość, choćby na jedną mikrosekundę. Po tym nie będzie miało już znaczenia, co się dalej stanie, ponieważ wszystko będzie wiadome. Nie zostanie już nic, co można by zrozumieć lub zobaczyć.

Mogę spróbować jeszcze jednej zmiany, powiedział do siebie. Zanim przetnę taśmę. Wywiercę nowe otwory w taśmie i zobaczę, co się w następstwie tego pojawi. To może być interesujące, ponieważ nie będę wiedział, czemu odpowiadają otwory, które wykonam.

Za pomocą zdalnie sterowanego mikronarzędzia perforował w taśmie kilka otworów, zupełnie przypadkowo. Tak blisko czytnika, jak tylko zdołał... nie miał ochoty zbyt długo czekać.

— Ciekawe, czy ty też to zobaczysz — zwrócił się do Sarah. Najprawdopodobniej nie, jeśli jego ekstrapolacje były adekwatne. — Może się coś pokazać — poinformował ją. — Po prostu chcę cię ostrzec. Po co masz się przerażać.

— Dobry Boże — powiedziała Sarah drewnianym głosem.

Spojrzał na zegarek. Minęła minuta, potem druga, trzecia. I wtedy...

Pośrodku pokoju pojawiło się stado zielonych i czarnych kaczek. Kwakały w podnieceniu, zrywały się z podłogi, trzepocząc skrzydłami, uderzały o sufit skłębioną masą lotek, skrzydeł, oszalałe w swym przemożnym pragnieniu, popychane instynktem wyrwania się na wolność.

— Kaczki — oznajmił zdumiony. — Wybiłem otwór odpowiedzialny za przeloty dzikich kaczek.

W tej samej chwili pojawiło się coś jeszcze. Parkowa ławka, na której siedział podstarzały, obdarty mężczyzna i czytał wymiętą, złożoną gazetę. Uniósł wzrok znad lektury, niejasno uświadamiając sobie obecność Poole'a, uśmiechnął się do niego przelotnie, odsłaniając kiepsko zaleczone zęby, a potem wrócił do swojej zwiniętej gazety. Czytał dalej.

— Widzisz go? — Poole spojrzał na Sarah. — A kaczki?

W tej samej chwili włóczęga z parku i kaczkę zniknęli. Bez śladu. Fragment taśmy, na którym znajdowały się odpowiadające im otwory, szybko się skończył.

— Oni nie byli realni — powiedziała Sarah. — Czy byli? Jeśli tak, to...

— Ty nie jesteś realna — odpowiedział jej. — Jesteś tylko czynnikiem dostarczającym mi bodźców, zakodowanym na mojej taśmie rzeczywistości. Otworem, który można zaślepić. Może jednak istniejesz również na jakiejś innej taśmie rzeczywistości, albo na takiej taśmie, która odpowiada za obiektywną rzeczywistość? — Nie wiedział, nie potrafił tego stwierdzić. Być może ona istniała na tysiącu taśm rzeczywistości, być może na każdej, jaką kiedykolwiek sporządzono. — Jeżeli przetnę taśmę — dodał — będziesz jednocześnie wszędzie i nigdzie. Podobnie jak wszystko pozostałe w świecie. Tak właśnie jest, przynajmniej w takiej mierze, w jakiej wszystko rozumiem.

— Jestem rzeczywista — niepewnie stwierdziła Sarah.

— Chcę poznać cię bez reszty — oświadczył Poole. — A w tym celu muszę przeciąć taśmę. Jeżeli nie zrobię tego teraz, zrobię to kiedy indziej. Nieuniknione jest w każdym razie, że kiedyś to zrobię.

A więc po co czekać? — zapytał samego siebie. Zawsze przecież istnieje możliwość, że Danceman doniósł już moim twórcom i że podjęli już określone poczynania, by mnie powstrzymać. Ponieważ najprawdopodobniej stanowią zagrożenie dla ich własności... to znaczy dla samego siebie.

— Sprawiasz, że mimo wszystko pragnę iść do biura — powiedziała Sarah, a kąci jej ust wygięły się w grymasie bezbronnego smutku.

— Idź.

— Nie chcę zostawiać cię samego.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział Poole.

— Nie, nie wszystko będzie z tobą dobrze. Masz zamiar Wyłączyć siebie, czy coś w tym rodzaju, chcesz się zabić, ponieważ odkryłeś, że jesteś tylko elektryczną mrówką, a nie istotą ludzką.

— Może i tak — rzekł po chwili. Może wszystko się do tego sprowadzało.

— A ja nie potrafię cię powstrzymać — powiedziała.

— Nie. — Skinął głową, potwierdzając jej słowa.

— Ale i tak zamierzam zostać — upierała się Sarah. — Nawet jeśli nie mogę cię powstrzymać. Ponieważ jeśli naprawdę odejdę, a ty zabijesz sam siebie, to zawsze, przez resztę mego życia będę sobie zadawała pytanie, co by się stało gdybym została. Rozumiesz?

Ponownie skinął głową.

— A więc rób, co chcesz — powiedziała Sarah. Wstał.

— Nie będę czuł żadnego bólu — poinformował ją. — Chociaż być może tak będzie ci się zdawało. Pamiętaj przez cały czas, że roboty organiczne mają w sobie minimalną ilość obwodów bólu. Będę doświadczał najbardziej intensywnego...

— Nie mów już nic więcej — przerwała mu. — Po prostu zrób to, jeśli taki masz zamiar, albo nie, jeśli nie chcesz.

Trochę niezgrabnie — był naprawdę przerażony — włożył dłonie w rękawice zestawu mikronarzędzi, sięgnął nimi po drobny instrument: ostry brzeszczot.

— Zamierzam przeciąć taśmę zainstalowaną w moim panelu klatki piersiowej — oznajmił, patrząc jednocześnie przez system soczewek powiększających. — To wszystko.

Jego ręka drżała trochę, kiedy uniósł brzeszczot. W ciągu kilku sekund wszystko się skończy, zrozumiał. Na dobre. A... mnie zostanie jeszcze tyle czasu, by zespawać odcięte końce taśmy, zdał sobie sprawę. Co najmniej pół godziny. Jeżeli zmienię zdanie.

Przeciął taśmę.

Patrząc na niego, Sarah skuliła się w sobie i wyszeptwała:

— Nic się nie stało.

— Mam jeszcze jakieś trzydzieści do czterdziestu minut. — Wyciągnął dłonie z rękawic i usiadł z powrotem przy stole. Przyłapał się na tym, że głos mu drży. Bez wątpienia Sarah zdawała sobie z tego sprawę, poczuł gniew na samego siebie, wiedząc, że w ten sposób ją zaalarmował. — Przepraszam — powiedział, zupełnie bezsensownie, chciał ją tylko jakoś przeprosić za wszystko. — Być może powinnaś jednak pójść — dodał zdjęty strachem. Ponownie się podniósł. Ona postąpiła podobnie, z namysłem, jakby go naśladowała. Stała, wielka i zdenerwowana, trzęsąc się niemalże ze strachu. — Odejdź — powiedział ostrym głosem. — Wracaj do biura, tam powinnaś teraz być. Powinniśmy tam być oboje.

Zaraz zespawam razem końce taśmy, próbował sobie wmawiać. Napięcie jest zbyt wielkie, abym był zdolny je wytrzymać.

Sięgnął dłońmi w kierunku rękawic, które przedtem rzucił niedbale, zamierzając naciągnąć je na zeszywniałe palce. Spojrzał na ekran powiększający, zobaczył wiązkę promieni z fotokomórki świecących ku górze, skierowanych prosto w czytnik. W tej samej chwili dostrzegł koniec taśmy znikający pod czytnikiem... zobaczył go i zrozumiał, co to oznacza. Za późno, zdał sobie sprawę. Już weszła w czytnik. Boże, pomyślał, pomóż mi. Zacząłem majstrować przy rzeczach, które okazały się znacznie większe, niż sobie wyobrażałem. A więc to już teraz...

Zobaczył jabłka, kocie łby i zebry. Poczł ciepło, jedwabną fakturę tkaniny; poczuł, jak ocean liże mu stopy, a potężny wiatr z północy targa nim, jakby dokądś go wiódł. Dostrzegł wokół siebie jedynie Sarah, jeszcze tylko Dancemana. Nowy Jork jarzył się pośród nocy, a pędzące obok rakiety śmigły i wznosiły skroś nocnego nieba; jednocześnie był dzień i powódź, i susza. Kawalek masła stopił się na jego języku, opadły go inne, odrażające wonie i smaki: gorzko obecne w ustach trucizny, cytryna i letnie żdźbła trawy. Tonął. Spadał. Spoczywał w ramionach kobiety w szerokim białym łożu, które w tym samym czasie z przeszywającym łoskotem wdzierało się do jego ucha, słyszał ostrzegawczy alarm popsutej windy w jednym ze starych, zrujnowanych hoteli w centrum miasta. Żyję, żyłem, nigdy już nie będę żył, powiedział do siebie, a wraz z tą myślą jego zmysły zalała powódź wrażeń, wielkie słowa, wszystkie dźwięki; insekty bzyczące i latające wokół. Jego ciało na poły zatopione w korpusie skomplikowanej homeostatycznej maszynerii, ulokowanej gdzieś w laboratoriach Tri-Planu.

Chciał coś jeszcze powiedzieć Sarah. Otworzył usta, próbował sformułować słowa — jedno zdanie z nich złożyć z całej tej nieogarnionej mnogości słów niczym błyskawice oświetlających jego mózg, palących go swym ostatecznym znaczeniem.

Poczł żar w ustach. Zdażył jeszcze zadać sobie pytanie skąd.

Zamarła pod ścianą, Sarah Benton otworzyła oczy i zobaczyła pasmo dymu wydobywającego się z na pół rozwartych ust Poole'a. Potem robot jakby złamał się w sobie, opadł na kolana i łokcie, runął jak długi. Nawet nie musiała sprawdzać, by wiedzieć, że „umarł”.

Poole sam sobie to zrobił, zrozumiała. I nie mógł poczuć bólu, tak sam twierdził. Albo przynajmniej nie czuł żadnego przemożnego bólu, może tylko trochę. W każdym razie teraz wszystko się już skończyło.

Lepiej zadzwonię do pana Dancemana i opowiem mu, co się stało, postanowiła. Wciąż jeszcze trzęsąc się, przeszła przez pokój do wideofonu. Podniosła słuchawkę, wykręciła z pamięci numer.

On, ten przedmiot, myślał, że jestem tylko porcją bodźców na jego taśmie rzeczywistości,

powiedziała do siebie. A więc sądził, że umrę, kiedy sam „umrze”. Jakie to dziwne, pomyślała. Dlaczego coś takiego przyszło mu do głowy? Nigdy nie miał kontaktu z prawdziwym światem; „żył” we własnym elektronicznym świecie. Jak dziwnie.

— Panie Danceman — powiedziała, kiedy połączyła się z jego gabinetem. — Koniec z Poolem. Zniszczył się całkowicie na moich oczach. Lepiej niech pan tu przyjedzie.

— A więc w końcu udało nam się od niego uwolnić.

— Tak, czy to nie wspaniale?

— Wyślę też kilku ludzi z warsztatów — powiedział Danceman. Spojrzał za nią, zobaczył Poole’a rozciągniętego obok kuchennego stołu. — Wróć do domu i odpocznij — polecił jej. — To wszystko musiało ci nieźle dojeść.

— Tak. Dziękuję panu, panie Danceman. — Odłożyła słuchawkę i stanęła na chwilę bez ruchu, nie wiedząc, co z sobą począć.

I wtedy coś zobaczyła.

Moje ręce, pomyślała. Podniosła je do oczu. Dlaczego mogę widzieć przez nie?

Ściana pokoju również zaczęła tracić swą konsystencję.

Trzęsąc się rozpaczliwie, podeszła z powrotem do ciała nieruchomego robota, stanęła obok, nie wiedząc, co robić. Pod jej nogami ukazał się fragment dywanu, a potem dywan też stał się przezroczysty i mogła już widzieć, poprzez niego, kolejne warstwy rozpadającej się materii.

Być może, gdyby udało mi się zespawać razem przecięte kawałki taśmy... pomyślała. Ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Poole zresztą również stawał się już mglisty.

Owiał ją podmuch wiatru wczesnego poranka. Nie poczuła go, w tej chwili przestawała już odczuwać cokolwiek.

A wiatr dalej wiał.

Przełożył Jan Karłowski

MAŁE CO NIECO DLA NAS, TEMPONAUTÓW

Addison Doug szedł długą ścieżką wiodącą przez las syntetycznych sekwoi, ciężko stawiając nogi, z głową nieco zwieszoną. Poruszał się tak, jakby rzeczywiście dręczył go fizyczny ból. Dziewczyna obserwowała go, chciała mu pomóc, aż bolało ją coś w środku, gdy widziała, jak jest zmęczony i nieszczęśliwy, równocześnie jednak cieszyło ją, że w ogóle tutaj jest. Szedł i szedł, coraz bliżej niej, bez spoglądania w przód, kierując się tylko przeczuciem... jakby robił to już wiele razy, pomyślała nagle. Zbyt dobrze znał drogę. Skąd?

— Addi! — zawołała i pobiegła w jego kierunku. — Powiedzieli w telewizji, że nie żyjecie. Że wszyscy zginęliście!

Przystanął, przeczesał swe czarne włosy, które nie były już długie: tuż przed startem wszystkim je obcięli. Najwyraźniej jednak o tym zapomniał.

— Wierzysz we wszystko, co widzisz w telewizji? — zapytał i ruszył znowu, chwiejąc się trochę, ale teraz już się uśmiechał. Wyciągnął do niej ramiona.

Boże, jak to dobrze móc go uścisnąć, przytulić się do niego... objął ją z większą siłą, niż się spodziewała.

— Przyszłam tu, aby poszukać sobie kogoś innego. — Aż jej zapało dech w piersiach. — Żeby cię zastąpił.

— Zbiłbym cię, gdybyś tak zrobiła — oznajmił. — W każdym razie to i tak jest niemożliwe. Nikt nie jest w stanie mnie zastąpić.

— Ale co z implozją? — zapytała. — Z implozją na powtórny wejściu. Powiedzieli...

— Zapomniałem — uciął Addison tonem, którego używał, kiedy chciał powiedzieć: nie mam zamiaru o tym dyskutować.

Wcześniej zawsze złościło ją, gdy słyszała te nuty w jego głosie, ale nie teraz. Tym razem potrafiła wyczuć, jak straszne musiał mieć za sobą przejścia.

— Mam zamiar zatrzymać się u ciebie na kilka dni — mówił dalej, kiedy doszli do frontowych drzwi jej domu o spadzistych dachach schodzących aż ku samej ziemi. — Jeżeli okaże się, że wszystko w porządku. A Benz i Crayne dołączą do mnie później, być może już dzisiejszego wieczoru. Jest dużo rzeczy, o których powinniśmy pogadać i które trzeba sobie wyjaśnić.

— A więc wszyscy trzej przeżyliście. — Spojrzała na jego pobrużdżoną zmartwieniem twarz. — Wszystko, co powiedzieli w telewizji... — Dopiero wtedy zrozumiała. Albo przynajmniej tak jej się zdawało. — To była tylko przykrywka. Dla... powodów politycznych, aby oszukać Rosjan. Racja? Chodzi o to, żeby Związek Radziecki myślał, iż lądowanie skończyło się porażką, ponieważ przy próbie powtórnego wejścia...

— Nie — przerwał jej. — Najprawdopodobniej chrononauta wkrótce się do nas przyłączy. By pomóc nam zrozumieć, co się stało. Generał Toad powiedział, że jeden z nich już tu jedzie, ze względu na powagę sytuacji otrzymali pełną informację.

— Jezu. — Dziewczyna była wstrząśnięta. — A więc dla kogo ta legenda?

— Napijmy się czegoś najpierw — powiedział Addison. — A potem spróbuję ci wyjaśnić sytuację.

— W domu mam tylko kalifornijską brandy.

— Czuję się tak, że wypiję chętnie wszystko. — Addison padł na sofę, wyciągnął się jak długi i westchnął ciężko, kiedy dziewczyna pośpieszyła, by nalać im obojgu po szklaneczce brandy.

Nadające na falach UKF radio w samochodzie zawodziło:

— ...smutkiem ze względu na nieszczęsny splot okoliczności, jakie wyniknęły z niespotykanego dotąd...

— Oficjalny bełkot, stek nonsensów — powiedział Crayne i wyłączył radio. On i Benz mieli trochę kłopotów ze znalezieniem domu, przedtem byli tutaj tylko raz. Crayne'a uderzyło, że był to doprawdy cokolwiek nieformalny sposób zwołania konferencji dotyczącej spraw tak doniosłych — , spotykać się w chacie u dziewczyny Addisona, gdzieś w bezludnych okolicach Ojai. Z drugiej jednak strony nie będą ich tu prześladowały żadne ciekawskie oczy. A przypuszczalnie czasu nie zostało im wiele. Trudno jednak było stwierdzić ile nikt tego nie wiedział na pewno.

Wzgórza po obu stronach drogi niegdyś porastał las zamyślił się Crayne. Teraz domostwa i splecione, nieregularne plastikowe drogi dojazdowe pokrywały niemal każde wzniesienie w zasięgu wzroku.

— Założę się, że kiedyś było tu ślicznie — powiedział do Benza, który prowadził.

— Niedaleko stąd znajduje się Park Narodowy Los Padres — odparł Benz. — Zgubiłem się w nim kiedyś, gdy miałem osiem lat. Przez cztery godziny byłem przekonany, że zaraz ukąsi mnie grzechotnik. Każdy patyk wydawał mi się węzem.

— Teraz ukąsił cię grzechotnik — stwierdził Crayne.

— Nas wszystkich — dodał Benz.

— Wiesz — rzekł w zamyśleniu Crayne — to jest cholernie nieprzyjemne doświadczenie, być martwym.

— Mów za siebie.

— Ale formalnie rzecz biorąc...

— Gdybyś posłuchał radia albo telewizji. — Benz zwrócił ku niemu swoją wielką twarz gнома, prawie zupełnie zeszywniała od ciągłego napięcia, w jakim żyli — wiedziałbyś, że nie jesteśmy bardziej martwi niż ktokolwiek inny na tej planecie. Różnica polega tylko na tym, że data naszej śmierci należy już do przeszłości, podczas gdy dla wszystkich pozostałych znajduje się gdzieś w niepewnej przyszłości. Poza tym niektórzy ludzie i tak cholernie dobrze wiedzą, kiedy to nastąpi. Na przykład pacjenci szpitali onkologicznych, oni są tego tak samo pewni jak my. A nawet bardziej. Na przykład jak długo tu zostaniemy, zanim będziemy musieli wrócić? Istnieje przecież margines możliwości, pewien zakres tolerancji, którego umierający na raka nie mają.

— Następne, co nam powiesz, by nas rozweselić, będzie to, że w końcu nic nas przecież nie boli — zauważył uszczypliwie Crayne.

— Addiego boli. Obserwowałem, z jakim trudem szedł, kiedy się z nami dziś pożegnał. On to odbiera psychosomatycznie... robi z tego cielesną dolegliwość. Jakby miał Boga na karku; sam wiesz, on musi nieść na grzbiecie zbyt wielki ciężar i to jest nie w porządku, tylko że on nigdy się nam nie poskarży... od czasu do czasu będzie nam poskazywał dziury po gwoździach w swoich dłoniach. — Uśmiechnął się.

— Addi bardziej ma po co żyć niż my.

— Każdy człowiek ma bardziej po co żyć niż drugi. Nie mam wprawdzie ślicznego kociaczka, z którym mógłbym sypiać, ale naprawdę chciałbym jeszcze kilka razy zobaczyć półfinały na Nadrzecznej Autostradzie o zachodzie słońca. Nie chodzi o to, że masz po co żyć, chodzi o to, że żyjesz po to, aby to zobaczyć, aby tam być... i to jest w tym wszystkim najbardziej, cholera, smutne.

Dalej jechali w milczeniu.

Trzej temponauci siedzieli w cichym salonie domu dziewczyny, paląc, starając się zaledwie nie przejmować; Addison Doug myślał, że jego dziewczyna wygląda strasznie pociągająco i podniecająco w ściśle przylegającym do ciała białym swetrze i mikrospódniczce, żałował też, a jednocześnie zasmucało go to, że nie wygląda odrobinę chociaż mniej interesująco. Naprawdę nie powinien sobie pozwalać na takie rzeczy, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdował. Był zbyt zmęczony.

— Czy ona wie — zaczął Benz, wskazując dziewczynę — o co w tym wszystkim chodzi? Chcę wiedzieć, czy możemy mówić zupełnie otwarcie? Czy nam tu przypadkiem nie zemdleje?

— Jeszcze jej nie wyjaśniłem wszystkiego — odparł Addison.

— Lepiej to, cholera, zrób — powiedział Crayne.

— Co jest? — zapytała dziewczyna, nagle zdenerwowana; wyprostowała się, przyciskając jedną rękę do piersi.

Jakby zabobonnie chciała musnąć dłonią jakiś medalik, którego, sam wiem, tam przecież nie ma, pomyślał Addison.

— Umarliśmy podczas powtórnego wejścia — powiedział Benz. Był, naprawdę, najokrutniejszy z całej trójki. Albo może przynajmniej najbardziej bezpośredni. — Widzi pani panno...

— Hawkins — wyszeptała dziewczyna.

— Cieszę się, że panią poznałem, panno Hawkins. — Benz obrzucił ją chłodnym, leniwym spojrzeniem. — Ma pani jakieś imię?

— Merry Lou.

— W porządku, Merry Lou — ciągnął dalej. Teraz zwrócił się do dwu mężczyzn i zauważył: — Brzmi jak imię, które kelnerka może przypiąć sobie na bluzce. Mam na imię Merry Lou i będę panom podawała kolację, śniadanie i obiad, i kolację, i śniadanie przez następnych kilka dni, czy też jak długo panowie zechcą tu zostać, zanim zrezygnują i wrócą do swego własnego czasu; proszę bardzo, to będzie kosztowało trzydzieści trzy dolary i osiem centów, nie wliczając napiwków. I mam nadzieję, że nigdy już nie wrócicie, rozumiemy się? — Jego głos zadrżał, papieros w kąciu ust również. — Przepraszam, panno Hawkins — rzekł po chwili. Jesteśmy kompletnie wykończeni tą implozją, która nastąpiła w czasie powtórnego wejścia. Kiedy tylko znaleźliśmy się tutaj, w ECR, dowiedzieliśmy się o tym. Zresztą i tak już wiedzieliśmy, wcześniej niż ktokolwiek inny, wiedzieliśmy w tym samym momencie, gdy znaleźliśmy się w Czasie Ratunkowym.

— Ale nie istnieje nic, co moglibyśmy z tym zrobić — powiedział Crayne.

— Nikt nie może z tym nic zrobić — podsumował Addison, zwracając się do niej, i objął ją ramieniem.

Miał przelotne wrażenie déjà vu, ale chwilę później zrozumiał. Wpadliśmy w zamkniętą pętlę czasową, pomyślał, będziemy przez to wszystko przechodzić bez końca, próbując rozwiązać problem z powtórным wejściem, za każdym razem wyobrażając sobie, że to pierwszy raz, że to jedyny raz.. — i nigdy nam się nie uda. Która to już może być próba? Równie dobrze milionowa. Siedzieliśmy tutaj już milion razy, roztrzaskując na wszystkie strony te same fakty, i do niczego nie doszliśmy. Poczł się śmiertelnie zmęczony. I w tej samej chwili poczuł też coś w rodzaju filozoficznej nienawiści do wszystkich pozostałych ludzi, którzy nie muszą borykać się z rozwiązaniem takiej zagadki. Wszyscy pójdziemy do jednego miejsca, dokładnie tak jak mówi Biblia. Ale... jeżeli chodzi o nas trzech, my byliśmy już tutaj. I tutaj też spoczywamy. A więc niewłaściwe jest proszenie nas, byśmy zmartwychwstali i wyszli z powrotem na powierzchnię ziemi, po tym wszystkim, i kłócili się, i przejmowali, próbując stwierdzić, co poszło źle. Słuszne byłoby, gdyby zajęli się tym nasi potomkowie. My zrobiliśmy już dość.

Nie powiedział tego wszak na głos — dla ich dobra.

— Może ty na coś wpadłeś? — zapytała dziewczyna. Spoglądając na pozostałych, Benz odparł sardonicznie:

— Raczej wszyscy razem wpadliśmy, ale w coś, nie na coś.

— Komentatorzy w telewizji wciąż gadają — mówiła dalej Merry Lou — o ryzyku związanym z powtórny wejściem, przy jednoczesnej różnicy w fazie przestrzennej i kolizji na poziomie molekularnym z obiektem znajdującym się na stycznej, którym mógłby być każdy... — Wykonała dłonią szeroki gest. — Sami wiecie. „Żadne dwa przedmioty nie mogą znajdować się w tej samej przestrzeni w tym samym czasie”. A więc właśnie z tej przyczyny wszystko wyleciało w powietrze. — Popatrzyła po nich pytająco.

— To jest główny czynnik ryzyka — zgodził się Crayne. — Przynajmniej teoretycznie, tak to wynikało z obliczeń doktora Feina z Planowania, kiedy zabrali się do szacowania prawdopodobieństw różnego rodzaju zagrożeń. Ale mieliśmy przecież rozmaite urządzenia zabezpieczające, które powinny włączyć się automatycznie. Powtórne wejście nie nastąpiłoby, póki te zabezpieczenia nie ustabilizowałyby w przestrzeni naszej pozycji w taki sposób, aby uniknąć kolizji z jakimś przedmiotem. Oczywiście wszystkie te automaty mogły zawieść. Jeden po drugim. Obserwowałem jednak podczas lądowania moje sprzężone skale metryczne, a wyniki wszystkich, co do jednej, były zgodne, że znaleźliśmy się wówczas we właściwej fazie. Nie słyszałem też żadnych dzwonek ostrzegawczych. Niczego nie widziałem. — Skrzywił się. — Przynajmniej nie stało się to wtedy.

— Czy zdajecie sobie sprawę — odezwał się nagle Benz — że nasi najbliżsi krewni są teraz bogaci? Wszystkie nasze federalne i komercyjne polisy na życie zostaną im wypłacone. Nasi „najbliżsi krewni”... Boże uchowaj, to w obecnej sytuacji jesteśmy my sami, jak przypuszczam. Możemy wystąpić o wypłacenie dziesięciu tysięcy dolarów gotówką. Powędrować do biur naszych maklerów i powiedzieć: „Nie żyję, połóżcie na mnie ciężki kamień”.

Myśli Addisona Douga skupiły się wokół publicznych ceremonii pogrzebowych. Zostały zaplanowane wcześniej, miały nastąpić zaraz po autopsji. Ten długi szereg udrapowanych czernią cadillaków zmierzających wzdłuż Pennsylvania Avenue, ze wszystkimi tymi figurami z rządu i mózgowcami z naukowej części projektu... i my tam też będziemy. Nie raz, lecz dwa razy. Po raz pierwszy w dębowych, ręcznie inkrustowanych brązem, udekorowanych flagami trumnach, lecz... być może będziemy się znajdować również w którejś z tych limuzyn bez dachu, machając dłońmi do tłumu żałobników.

— Uroczystości — powiedział na głos.

Pozostali popatrzyli na niego, wściekli, nie rozumiejąc. Ale po chwili, jeden po drugim, pojmwali; zobaczył to na ich twarzach.

— Nie — zgrzytnął zębami Benz. — To jest... niemożliwe.

Crayne zdecydowanie pokręcił głową.

— Każą nam tam być, to będziemy. Posłuszni rozkazom.

— Czy będziemy się musieli uśmiechać? — zapytał Addison. — Będziemy musieli, do cholery, szczerzyć zęby?

— Nie — powiedział powoli generał Toad. Jego wielka, ozdobiona sumiastymi wąsami głowa kołysała się na cienkiej jak patyk szyi, skóra miała barwę ziemistą i pokryta była plamkami, jakby liczne baretki orderów na sztywnym kołnierzyku wywołały w sąsiadującej części jego ciała

samorzutny proces gnilny. — Nie będziecie się musieli uśmiechać, ale wręcz przeciwnie, zachowywać w stosowny, uroczysty sposób. Aby nie odbiegać od nastroju, jaki ogarnie cały naród w owej porze.

— To nie będzie takie łatwe — powiedział Crayne.

Z oblicza rosyjskiego chrononauty nie sposób było cokolwiek wyczytać. Jego wąskiej twarzy z ostrym nosem, opasanej słuchawkami, z których dobiegał głos tłumacza, nie opuszczał wyraz niepokoju.

— Naród — ciągnął dalej generał Toad — będzie świadom waszej obecności wśród nas po raz ostatni, na tę krótką chwilę. Kamery wszystkich większych sieci telewizyjnych będą bez najmniejszego ostrzeżenia pokazywać wasz obraz, a równocześnie rozmaici komentatorzy będą, zgodnie z poleceniem, mówić, co następuje. — Wyjął kartkę papieru zapisaną maszynowym pismem, nałożył okulary, odchrząknął i zaczął czytać: — „Zdaje nam się, że widzimy te trzy znajome postacie jadące razem. Zupełnie nie potrafię ich wyróżnić z tłumu. Może wy potraficie?” — Generał Toad uniósł oczy znad kartki. — W tym momencie zaczną pytać swych kolegów jakby zupełnie spontanicznie. Na koniec wykrzykną: „Cóż, Roger!” albo Walter, albo Ned, zależnie od tego jak tamten, pracujący w danej sieci, będzie miał na imię...

— Albo Bill — powiedział Crayne. — Na wypadek gdyby gdzieś tam na bagnach istniała sieć dla bizonów.

Generał Toad zignorował jego uwagę.

— Kilka razy wykrzykną: „Cóż, Roger, wydaje mi się, że widzę samych trzech temponautów! Czy to naprawdę oznacza, że w jakiś sposób trudności zostały...?” A wtedy kolega komentator powie odrobinę bardziej przytomnym głosem: „To, czego jesteśmy wspólnie świadkami, jak mi się zdaje, David” albo Henry, albo Pete, albo Ralph, jakkolwiek będzie brzmiało imię tamtego, „jest chyba pierwszym potwierdzonym świadectwem tego, co ludzie techniki nazywają Efektem Czasu Ratunkowego, inaczej ECR. Zupełnie inaczej, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka, to nie są... powtarzam, nie są... nasi trzej dzielni temponauci we własnej osobie, jak to moglibyśmy sądzić, skoro przecież ich obecności doświadczamy być może wszystkimi zmysłami, chociaż najpewniej za pomocą naszych kamer, ponieważ ta trójka tylko na jakiś czas zawiesiła swą podróż w przyszłość, co do której pierwotnie spodziewaliśmy się, iż jej cel znajdować się będzie w wymiarze kontinuum o sto lat odległym od tej chwili... wydaje się jednak, że w jakiś sposób nie dotarli na miejsce i teraz są z nami tutaj, w tej chwili, która oczywiście, jak wszyscy wiemy, stanowi naszą teraźniejszość”.

Addison Doug przymknął powieki i pogrążył się w myślach, Crayne zapewne zapyta, czy może zostać sfilmowany przez kamery telewizyjne, trzymając w ręku balonik i jedząc watę cukrową. Myślę, że wszyscy będziemy mieli z tego powodu kupę śmiechu. A potem przyszło mu do głowy pytanie: Jak wiele razy musieliśmy przechodzić przez tę idiotyczną wymianę zdań?

Nie potrafię tego dowieść, pomyślał ze znużeniem. Ale wiem, że to prawda. Siedzieliśmy już w tym gabinecie, wdawaliśmy się w te drobne gierki słowne, słuchaliśmy i wypowiadaliśmy całe to gównno, wiele razy. Zadrżał. Każde durne i tylokrotnie powtórzone słowo...

— O co chodzi? — zapytał przenikliwie Benz.

Radziecki chrononauta odezwał się po raz pierwszy od początku ich spotkania:

— Jaki jest maksymalny interwał ECR możliwy do osiągnięcia dla waszego trzyosobowego zespołu? I ile z niego, w procentach, zostało już wykorzystane?

Po chwili odpowiedział Crayne:

— Odbyliśmy już naradę w tej sprawie, zanim przyszliśmy tu dzisiaj. Wykorzystaliśmy mniej

więcej połowę naszego maksymalnego całkowitego interwału ECR.

— Jednakowoż — zagrzmiał basem generał ToAddzien Żałoby Narodowej został tak wyznaczony, aby mieścił się w czasie, jaki według nas pozostał im z reszty czasu ECR. Wymogło to na nas, abyśmy pośpieszyli się z autopsją i innymi kazuistycznymi badaniami, jednak biorąc pod uwagę uczucia narodu, sądziliśmy...

Autopsja, pomyślał Addison Doug, i znowu zadrżał. Tym razem nie potrafił już zatrzymać swoich myśli dla siebie, powiedział więc:

— Dlaczego nie przerwiemy tego bezsensownego spotkania i nie skoczymy na dół do Patologii, aby przyjrzeć się kilku fragmentom tkanek, powiększonym i w kolorze, a być może uda nam się wymyślić, po stosownej burzy mózgow, kilka żywotnych koncepcji, które pomogą naukom medycznym w ich pogoni za wyjaśnieniami? Wyjaśnienia... to jest to, czego nam trzeba. Wyjaśnienia problemów, które jeszcze nie istnieją; same problemy możemy wymyślić później — zawiesił głos. — Kto jest za?

— Nie będę oglądał mojej śledziona powiększonej na ekranie — powiedział Benz. — Wezmę udział w marszu pogrzebowym, ale nie mam zamiaru uczestniczyć we własnej autopsji.

— Możesz potem przez całą drogę rozdawać żałobnikom fragmenty swoich zabarwionych na purpurowo tkanek — poradził mu Crayne. — Każdego z nas mogą wyposażyć w małą torebkę, w jaką w restauracjach wkładają ci nie dojedzone resztki z obiadu, prawda, generale? Możemy potem rozrzucać kawałki tkanek jak konfetti? Dalej uważam, że powinniśmy się uśmiechać.

— Osobiście zbadalem wszystkie raporty rozważające kwestię tego, byście się uśmiechali — powiedział generał Toad, grzebiąc w papierach ułożonych w równy stos przed nim na biurku — i wynika z nich wniosek, że gdybyście się uśmiechali, nie byłoby to w zgodzie z powszechnym narodowym odczuciem powagi owej chwili. A więc tę sprawę proponuję uznać za zamkniętą. Jeśli zaś chodzi o wasz udział w procedurze autopsji, która właśnie trwa...

— Tracimy czas, siedząc tutaj — powiedział Crayne do Addisona Douga. — Ja zresztą zawsze tracę czas.

Nie patrząc nań, Addison zwrócił się do radzieckiego chrononauty:

— Oficerze N. Gauki — powiedział do mikrofonu, który wisiał mu na szyi — jakie jest, pańskim zdaniem, największe niebezpieczeństwo grożące podróżnikowi w czasie? Czy to, że może nastąpić implozja wywołana przypadkowym zderzeniem na powtórnym wejściu, jak to się stało przy okazji naszego lądowania? Czy też może dręczą cię inne nieprzyjemne lęki, ciebie i twojego towarzysza, wzbudzone naszą krótką, ale jakże skutecznie zakończoną podróżą w czasie?

N. Gauki odparł po krótkiej chwili:

— R. Plenya i ja wymieniliśmy poglądy przy kilku nieformalnych okazjach. Sądzę, że mogę wypowiadać się za nas obu, odpowiem więc na twoje pytanie. Otóż jest to ciągły strach, że nieodwracalnie dostaliśmy się do zamkniętej pętli czasowej i nigdy nie uda nam się z niej wydostać.

— Że będziecie w niej przeżywać wszystko bez końca? — zapytał Addison Doug.

— Tak, panie A. Doug — powiedział chrononauta, kiwając ze smutkiem głową.

Addisona Douga ogarnął teraz strach, jakiego nigdy przedtem jeszcze nie doświadczył. Wyglądając nagle zupełnie bezbrannie, zwrócił się do Benza i wyrzekł tylko jedno słowo:

— Cholera. Spojrzeli na siebie.

— Naprawdę nie chce mi się wierzyć, że coś takiego nastąpiło — powiedział Benz przyciszonym głosem, kładąc rękę na ramieniu Douga; jego uścisk był mocny, uścisk przyjaciela. — Po prostu nastąpiła implozja na powtórnym wejściu, to wszystko. Uspokój się.

— Czy możemy już naprawdę skończyć? — zapytał Addison Doug ochryłym, jakby zupełnie

obcym głosem, podnosząc się z krzesła. Nagle miał wrażenie, jakby cały pokój i znajdujący się w nim ludzie stłoczyli się wokół niego, otoczyli go. Klaustrofobia, pomyślał. Jak wtedy, gdy chodziłem do szkoły podstawowej, kiedy zarządzili niespodziewany test na maszynach uczących, a ja rozumiałem, że go nie zdam. — Proszę — powiedział po prostu i wstał. Wszyscy popatrzyli na niego, na ich twarzach odbijały się najrozmaitsze uczucia. Twarz Rosjanina była szczególnie pełna współczucia, poryta głębokimi zmarszczkami troski. Addison chciał już tylko... — Chcę wracać do domu — powiedział do nich wszystkich i zupełnie osłupieli.

Był pijany. Znajdował się w knajpie przy Bulwarze Hollywood, późno w nocy; na szczęście Merry Lou była z nim, toteż spędzał czas w miarę przyjemnie. W każdym razie wszyscy go o tym zapewniali. Przytulił się do Merry Lou i zapytał:

— Wielką jednością życia, nadrzędną jednością i jego sensem są mężczyzna i kobieta. To jest jedność absolutna, prawda?

— Wiem — odpowiedziała Merry Lou. — Uczyli nas o tym na lekcjach. — Dzisiejszego wieczoru, na jego prośbę, Merry Lou była drobną blondynką w purpurowych dzwonach, na wysokich obcasach i bluzce odsłaniającej brzuch. Wcześniej miała jeszcze lazuryt osadzony w pępku, ale podczas kolacji u Tinga—he wypadł i gdzieś zaginął. Właściciel obiecał dalej go szukać, ale Merry Lou od tego czasu była już markotna. Ta cała zguba, jak powiedziała, była symboliczna. Ale co miała symbolizować, nie wyjaśniła. W każdym razie on nie potrafił sobie przypomnieć, może o to właśnie chodziło. Powiedziała mu, co to miało oznaczać, a on zapomniał.

Od jakiegoś czasu wpatrywał się w Addisona elegancki młody Murzyn przy sąsiednim stoliku, z fryzurą afro, w kamizelce w paski i szerokim czerwonym krawacie. Najwyraźniej miał ochotę podejść do ich stolika, ale nie potrafił zdobyć się na śmiałość; tymczasem zaś tylko się przyglądał.

— Czy kiedykolwiek miałaś wrażenie — zwrócił się Addison do Merry Lou — że wiesz dokładnie, co ma się za chwilę zdarzyć? Co ktoś właśnie zamierza powiedzieć? Słowo w słowo? Jakbyś wszystko to już wcześniej przeżyła.

— Każdemu się coś takiego przydarza — powiedziała Merry Lou. Upiła łyk krwawej mary. Murzyn wstał i ruszył w ich stronę.

— Zaraz powie: „Czyja cię przypadkiem skądś nie znam? Czy nie widziałem cię w telewizji?”

— To właśnie zamierzałem powiedzieć — oznajmił Murzyn.

Addison odparł:

— Bez wątpienia widziałeś moje zdjęcie na czterdziestej szóstej stronie aktualnego wydania „Time’a”, w dziale nowych odkryć medycznych. Jestem magistrem nauk farmaceutycznych z Iowa, który zdobył sławę dzięki wynalezieniu powszechnej, łatwo dostępnej szczepionki zapewniającej życie wieczne. Kilka wielkich koncernów farmaceutycznych już zgłosiło chęć produkowania mojej szczepionki.

— Być może więc rzeczywiście tam widziałem twoje zdjęcie — powiedział Murzyn, ale wydawał się nie do końca przekonany. Najwyraźniej nie był również wcale pijany wpatrywał się w Addisona Douga z napięciem. — Mogę usiąść z tobą i twoją panią?

— Jasne — zgodził się Addison Doug. Teraz był już w stanie dostrzec w dłoni tamtego identyfikator agencji ochrony USA, która od początku zajmowała się ubezpieczaniem projektu.

— Panie Doug — powiedział agent, kiedy już się rozsiadł obok Addisona — naprawdę nie powinien się pan tutaj znajdować i rozmawiać tak swobodnie. Skoro ja pana rozpoznałem, jakiś inny facet również nie będzie miał z tym kłopotów i wtedy wszystko się wyda. A cała rzecz trzymana ma

być w tajemnicy aż do Dnia Żałoby Narodowej. Formalnie rzecz biorąc, przychodząc tutaj naruszył pan Statut Federalny, czy zdaje pan sobie z tego sprawę? Powiniennem złożyć na pana raport. Ale to nie jest łatwa sytuacja, nie chcemy zrobić czegoś nieodpowiedzialnego i wywołać skandalu. Gdzie są pańscy dwaj koledzy?

— W moim mieszkaniu — powiedziała Merry Lou. Najwyraźniej nie dostrzegła identyfikatora. — Posłuchaj — dodała ostro, zwracając się do agenta — dlaczego stąd nie spadniesz? Mój mąż ma za sobą naprawdę ponure przejścia, a to jest jedyna szansa, by jakoś wszystko rozwikłać.

Addison spojrział na mężczyznę.

— Wiedziałem, co masz zamiar powiedzieć, zanim jeszcze podszedłeś do naszego stolika.

Słowo w słowo, pomyślał. Ja mam rację, a Benz się myli, to wszystko ciągle będzie się działo, wieczne powtórki.

— Być może — powiedział agent ochrony — potrafię nakłonić pana, aby wrócił pan z własnej woli do mieszkania panny Hawkins. Otrzymałem właśnie wiadomość — przelotnie musnął ręką małą słuchawkę w prawym uchu — dokładnie kilka minut temu, przeznaczoną dla nas wszystkich. Mamy ją dostarczyć panu, najszybciej jak tylko można, jeśli uda nam się pana znaleźć. Na zdewastowanym terenie lądowania... oni cały czas przeszukiwali szczątki, wie pan o tym?

— Wiem — powiedział Addison.

— Sądzą, że znaleźli pierwszą wskazówkę. Jeden z was przywiózł coś ze sobą. ZECR. Coś jeszcze ponad to, co każdy z was ze sobą zabrał, naruszając tym samym wszystkie zasady treningu przedstartowego.

— Niech mi wolno będzie zapytać — zaczął Addison Doug. — Przypuśćmy, że ktoś mnie zobaczy? Przypuśćmy, że ktoś mnie naprawdę rozpozna? I co z tego?

— Opinia publiczna sądzi, że nawet jeśli powtórne wejście zawiodło, lot w czas okazał się sukcesem. Trzech amerykańskich temponautów znalazło się sto lat w przyszłości... czyli co najmniej dwukrotnie tak daleko, jaki był zasięg misji radzieckiej w zeszłym roku. A że wasza podróż trwała tydzień, stanowić będzie mniejszy szok, jeżeli wszyscy będą sądzić, że świadomie zdecydowaliście się na powtórny manifestację w tym kontinuum, ponieważ chcieliście wziąć udział, wręcz czuliście się zmuszeni do wzięcia udziału...

— Chcieliśmy wziąć udział w ceremoniach pogrzebowych — wtrącił Addison. — Dwukrotnie.

— Zostaniecie zawiezieni na dramatyczny i smutny spektakl waszych własnych uroczystości pogrzebowych i tam zauważą was czujne oczy kamer wszystkich większych sieci telewizyjnych. Panie Doug, naprawdę w sprawę tę zaangażowane jest mnóstwo operacji na najwyższym szczeblu, jak i wydatków, które mają pomóc w częściowym choćby naprawieniu tej strasznej sytuacji, niech pan nam uwierzy, niech pan uwierzy mnie. Łatwiej będzie znieść wszystko opinii publicznej, a jest to sprawa niezwykle żywotna, jeśli w ogóle ma odbyć się jeszcze następna amerykańska wyprawa w czasie. A mimo wszystko jest to przecież właśnie to, czego wszyscy chcemy.

Addison Doug patrzył na niego.

— My tego chcemy?

Agent ochrony powiedział niespokojnie:

— Chcemy przedsięwziąć dalsze podróże w czasie. Takie jak wasza. Na nieszczęście tak się składa, że wy nie będziecie mogli powtórnie wziąć w nich udziału, ze względu na tragiczną w skutkach implozję, która spowodowała śmierć waszej trójki. Ale inni temponauci...

— To znaczy, że czego my chcemy? Tego właśnie? — Addison uniósł głos, ludzie przy pobliskich stolikach obserwowali go nerwowo.

— Oczywiście — odparł agent. — I proszę mówić ciszej

— Ja tego nie chcę — powiedział Addison. — Ja chce tylko przestać. Przestać na zawsze. Po prostu złożyć swe ciało do ziemi, w proch, wraz ze wszystkimi innymi. Nie widzieć już więcej lata... wciąż tego samego lata.

— Jeśli widziałeś jedno, widziałeś już je wszystkie —

histerycznie powiedziała Merry Lou. — Ja myślę, że on ma rację, Addi, powinniśmy już sobie stąd pójść. Zbyt dużo wypiliśmy, jest późno, poza tym te wiadomości...

— Co przywieźliśmy ze sobą? — przerwał jej Addison. — Jaką dodatkową masę?

— Wstępna analiza wykazuje — odrzekł agent ochrony — że w obrębie działania pola czasowego modułu znalazła się i została zabrana wraz z nim maszyna ważąca około stu funtów. Taka masa... — Agent machnął ręką. — Wysadziła wszystkie tłumiki od razu. Nawet nie zdążyły zacząć kompensacji dla tak wielkiego obciążenia dodatkowego w momencie startu.

— Aha! — powiedziała Merry Lou, z oczyma szeroko otwartymi. — Być może ktoś sprzedał jednemu z was kwadrofoniczny magnetofon za dolara dziewięćdziesiąt osiem, wraz z piętnastocalowymi głośnikami na powietrznych amortyzatorach oraz kolekcją płyt Neila Diamonda wystarczającą na całe życie do słuchania. — Próbowwała się roześmiać, ale jej się nie udało, oczy przygasły. — Addi — wyszeptała — przepraszam, ale to jest trochę... dziwne. Chcę powiedzieć, że to jest absurdalne. Przecież wszystkich was poinstruowano przed odlotem odnośnie do możliwości zabrania masy? Nie wolno wam było nawet świstka papieru dołączyć do tego, co zabraliście. Ja widziałam nawet, jak doktor Fein demonstrował w telewizji powody, dla których tak jest. A jeden z was zawlókł sto funtów jakiejś maszyny w samo pole? Żeby to zrobić, musiał chyba chcieć wszystko zniszczyć! — Łzy popłynęły jej z oczu, jedna łza spłynęła po nosie i zawisła na nim.

Addison odruchowo wyciągnął dłoń, by ją zetrzeć, jakby była małą dziewczynką, a nie dorosłą kobietą.

— Zabiorę pana na miejsce, gdzie się odbywają analizy — oznajmił agent ochrony, podnosząc się z miejsca.

On i Addison pomogli wstać Merry Lou. Dziewczyna przez chwilę drżała jeszcze, potem dokończyła swój koktail. Addison, patrząc na nią, czuł dojmujący smutek, ale zaraz, niemalże w jednej chwili smutek minął. Ciekawe dlaczego. Nawet tym można się zmęczyć, stwierdził. Troską o kogoś drugiego. To już trwa zbyt długo — ciągle i ciągle, bez przerwy. Na zawsze. A ostatecznie nawet jeszcze dłużej, tworząc coś, czego nikt przedtem — nawet sam Bóg, być może — nie musiał nigdy znosić i czemu bez reszty, mimo swego wielkiego serca, nie musiał chyba się poddać.

Kiedy przepychali się przez zatłoczone wnętrze baru do wyjścia, Addison Doug powiedział do agenta ochrony:

— Który z nas...

— Oni już wiedzą który — odparł agent, przytrzymując jednocześnie drzwi, by przepuścić Merry Lou. Chwilę później stał już za Addisonem, dając jednocześnie znaki szaremu samochodowi federalnemu, aby wylądował na parkingu oznaczonym czerwoną linią. Już po chwili spieszyli w ich stronę dwaj inni agenci ochrony, umundurowani.

— Czy to byłem ja? — zapytał Addison Doug.

— Lepiej niech pan przyjmie takie założenie — odparł tamten.

Kondukt pogrzebowy pełził z bolesną powolnością wzdłuż Pennsylvania Avenue, wzdłuż szeregów grubo ubranych, drżących z zimna żałobników przejechały trzy udrapowane sztandarami trumny i kilkanaście czarnych limuzyn. Przez cały dzień w powietrzu wisiała gęsta mgła, szare cienie

budynków niknęły w zalanym strugami deszczu półmroku waszyngtońskiego marcowego dnia.

Przyglądając się przez pryzmatyczną lornetkę jadącemu na przedzie cadillacowi, główny komentator telewizyjny w sprawach dotyczących aktualnych wydarzeń o doniosłym znaczeniu, Henry Cassidy, jednostajnym głosem przemawiał do swej licznej, aczkolwiek niewidzialnej publiczności:

— ...smutne wspomnienia z dawnych dni, kiedy to pociąg jechał wśród pól pszenicy, wioząc trumnę Abrahama Lincolna, na pogrzeb w stolicy kraju. A cóż za smutny dzień mamy dzisiaj, gdy chmury zaciągają grubą powłoką niebo które płacze deszczem! — Na swoim monitorze widział powiększenie obrazu czwartego cadillaca, jadącego tuż za tym na którym znajdowały się trumny poległych temponautów. Jego inżynier klepnął go delikatnie w ramię.

— Zdaje nam się, że widzimy trzy nie znane postacie jadące razem — powiedział Henry Cassidy do zawieszzonego na szyi mikrofonu, kiwając głową na zgodę. — Ja dotąd nie byłem w stanie dokładnie im się przyjrzeć. Czy twoje położenie i wzrok pozwala ci lepiej dojrzeć, kto to jest, Everett? — zapytał swego kolegę i wcisnął przycisk, który miał pozwolić rzeczonemu Everettowi zająć jego miejsce na wizji.

— Cóż, Henry, wydaje mi się, że jesteśmy świadkami pojawienia się trzech amerykańskich temponautów powracających z ich historycznej podróży w przyszłość!

— Czy naprawdę oznacza to, że w jakiś sposób dało się rozwiązać problem i pokonać...

— Obawiam się, że nie, Henry — powiedział Branton powolnym, żalobnym głosem. — To, czego jesteśmy wspólnie świadkami, ku naszemu zaskoczeniu, jest chyba pierwszym potwierdzonym świadectwem tego, co ludzie techniki nazywają Efektem Czasu Ratunkowego.

— Ach tak, ECR — żywo oznajmił Cassidy, odczytując tekst z maszynopisu, który władze federalne wręczyły mu, zanim wszedł na antenę.

— Słusznie, Henry. Zupełnie przeciwnie, niżby się to mogło wydawać, to nie są... powtarzam, nie są... nasi trzej dzielni temponauci.

— Teraz już rozumiem, Everett — wtrącił podniecony Cassidy, ponieważ w autoryzowanym maszynopisie widniała uwaga: CASS WTRĄCA PODNIECONY. — Nasi trzej temponauci tylko na jakiś czas odłożyli swą podróż do przyszłości, co do której pierwotnie spodziewaliśmy się, że jej celem będzie wymiar kontinuum o sto lat odległy od tej chwili... wydaje się jednak, że ogarniający wszystkich smutek oraz dramat tego nieprzewidzianego dnia żałoby narodowej sprawiły...

— Przepraszam, że ci przerywam, Henry — powiedział Everett Branton — ale sądzę, że skoro kondukt zatrzymał się na chwilę, być może uda nam się...

— Nie! — gwałtownie powiedział Cassidy, kiedy podano mu stenograficzną notatkę, z której wyczytał: „Nie robić wywiadów z nautami. Pilne. Post. wg pierwotnych inst”. — Nie wydaje mi się, by mogło nam się udać... — ciągnął dalej — choćby przez chwilę porozmawiać z temponautami Benzem, Crayne'em i Dougiemjak miałeś nadzieję, Everett. Jak my wszyscy przez krótką chwilę mieliśmy nadzieję. — Zamaszystym gestem nakazał cofnięcie mikrofonu na ruchomym ramieniu, który już wysunął się w kierunku stojącego cadillaca. Pokręcił gwałtownie głową w stronę swoich techników dźwięku i inżyniera.

Widząc ramię mikrofonu wyciągające się w ich stronę, Addison Doug wstał z miejsca w tyle odkrytego cadillaca. Cassidy jęknął. Chce coś powiedzieć, zrozumiał. Czy on nie otrzymał swoich instrukcji? Dlaczego ja sam mam przez to wszystko przechodzić? Pojawiły się natomiast inne mikrofony na wysięgnikach, należące do pozostałych sieci telewizyjnych, a dodatkowo także rozmaitych stacji radiowych, których reporterzy wędrowali pieszo i teraz zmiierzali już ze swoimi mikrofonami w stronę trójki temponautów, w szczególności zaś Addisona Douga. Doug zaczął już zresztą coś mówić, odpowiadając na pytanie wykrzywane przez reportera. Wyłączywszy swój

mikrofon, Cassidy nie usłyszał pytania ani odpowiedzi Douga. Z niechęcią dał znak, aby jego mikrofon również włączono.

— ...przedtem działało — mówił głośno Doug.

— Jak mam rozumieć: „Wszystko to już się przedtem działało?” — pytał dalej stojący tuż przy samochodzie reporter.

— Chodzi mi o to — oznajmił amerykański temponauta, Addison Doug, z twarzą poczerwieniałą trochę i napiętą — że stałem już na tym miejscu i mówiłem to samo, wciąż i wciąż, a wy wszyscy oglądaliście ten kondukt oraz naszą śmierć na powtórny wejściu mnóstwo razy, w zamkniętym cyklu schwytanego w pułapkę czasu, cyklu, który musi zostać przerwany.

— Czy poszukuje pan — wtrącił się kolejny reporter, zwracając się do Addisona Douga — odpowiedzi na pytanie o przyczyny katastrofy, która nastąpiła podczas implozji na powtórny wejściu, którą to odpowiedź będzie można retrospektywnie wykorzystać tak, że kiedy wrócicie do przeszłości, będziecie zdolni poradzić sobie z błędem w funkcjonowaniu aparatury i uniknąć tragedii, która kosztowała... a jeśli chodzi o waszą trójkę, będzie kosztować was... życie?

— Właśnie tym się zajmujemy — odpowiedział temponauta Benz.

— Próbujemy wyświetlić przyczyny gwałtownej implozji i wyeliminować je, zanim powrócimy — dodał temponauta Crayne, kiwając głową. — Jak dotąd dowiedzieliśmy się, że z nieznanых powodów masa obejmująca około stu funtów rozmaitych części silnika od volkswagena, włączywszy w to cylindry, głowicę...

To jest straszne, pomyślał Cassidy.

— To jest zupełnie zdumiewające! — powiedział na głos do swego mikrofonu. — Zmarli już przecież tragicznie amerykańscy temponauci wciąż jeszcze z całą determinacją, wynikającą jedynie z surowego treningu i dyscypliny, którym zostali poddani... a nad którymi ongiś zastanawialiśmy się, po co właściwie są, teraz jednak już przecież wiemy... zdołali już poddać analizie mechaniczną usterkę odpowiedzialną najwyraźniej za ich własną śmierć i rozpoczęli już wytrwałe próby usunięcia tej usterki, a tym samym i awarii, tak by był możliwy powrót do ich pierwotnego miejsca startu i powtórne wejście bez żadnych komplikacji.

— Można się zastanawiać — gadał dalej Branton w eter i do słuchawek w swoich uszach — jakie konsekwencje może mieć taka zmiana dla naszej najbliższej przeszłości. Jeżeli na powtórny wejściu implozja nie nastąpi, a temponauci nie zginą, wówczas nie zostaną... cóż, jest to zbyt skomplikowane dla mnie, Henry, wszystkie te paradoksy czasowe, które doktor Fein z Laboratorium Wytłaczania Czasu w Pasadenie tak często i elokwentnie polecał naszej uwadze.

Temponauta Addison Doug mówił właśnie, choć już znacznie ciszej niż przed chwilą, do wszystkich osiągalnych mikrofonów:

— Nie wolno nam eliminować przyczyny implozji na powtórny wejściu. Dla nas jedynym sposobem wydostania się z tej pułapki jest umrzeć. Śmierć stanowi jedyne wyjście. Dla całej naszej trójki. — Wywiad został przerwany w momencie, gdy kolumna cadillaców ruszyła naprzód.

Henry Cassidy natychmiast wyłączył swój mikrofon i zapytał inżyniera:

— Czy on żartuje?

— Tylko czas może to pokazać — odpowiedział jego inżynier nieprzyjemnym tonem.

— Wyjątkowa chwila w historii programu podróży w czasie Stanów Zjednoczonych — powiedział następnie Cassidy do swego włączonego już mikrofonu. — Tylko czas pokaże... jeśli wybaczycie mi nie zamierzony kalambur... czy enigmatyczne uwagi temponauty Douga, zaimprovizowane dokładnie przed chwilą, najwyraźniej w chwili wielkiej jego udręki, jaką w pewnym sensie dzielimy z nim wszyscy, są to słowa człowieka nękanego przez straszliwe wejrzenie

w makabryczny dylemat, który, mówiąc w terminach teoretycznych, ostatecznie może doprowadzić do rozstrzygnięcia... rozstrzygnięcia i ewentualnego ostatecznego odłożenia w niewiadomą przyszłość... startu podróźników czasie, naszych albo radzieckich.

W tym momencie zrobił przerwę na reklamę.

— Wiesz — wymamrotał w jego uchu cichy głos Brantona, nie mówił na antenie, lecz tylko do studia, do niego — jeżeli on ma rację, to powinni dać umrzeć tym biednym bękartom.

— Powinni ich wypuścić — zgodził się Cassidy. — Mój Boże, biorąc pod uwagę, jak Doug mówił i wyglądał, można by sądzić, że od tysiąca lat co najmniej przechodzi przez to samo! Za nic nie chciałbym znaleźć się na jego miejscu.

— Założę się o pięćdziesiąt dolarów — powiedział Branton — że przechodzili już wcześniej przez to wszystko. I to wiele razy.

— A więc my również — stwierdził Cassidy.

Deszcz zaczął znowu padać, sprawiając, że okrycia stojących w szeregach żałobników zaczęły połyskiwać wilgocią. Ich twarze, ich oczy, nawet ich ubrania — wszystko lśniło w mokrych refleksach jakby połamanego, strzaskanego światła, schyłkowego i migoczącego, w miarę jak począwszy od gęstniejącej nad ich głowami szarej, bezpostaciowej powłoki chmur, dzień zmieniał się w zmrok.

— Jesteśmy na antenie? — zapytał Branton.

Któż może to wiedzieć, pomyślał Cassidy. Gorąco pragnął, by ten dzień dobiegł już końca.

Radziecki chrononauta N. Gauki niecierpliwie uniósł obie ręce i przemówił ponad stołem do Amerykanów głosem zdradzającym usilną potrzebę przekazania ważnych wieści:

— Jest to opinia zarówno moja, jak i mojego kolegi R. Plenya, który za swe pionierskie osiągnięcia na polu podróży w czasie został odznaczony orderem Bohatera Związku Radzieckiego, zresztą zupełnie zasłużenie, a więc zgodnie z naszą wspólną opinią opartą na sumie naszych doświadczeń oraz podstawach teoretycznych wypracowanych zarówno w waszych kręgach akademickich, jak i w Akademii Nauk ZSRR, wierzymy, że obawy temponauty A. Douga mogą być uzasadnione. A rozmyślna zagłada, jaką sprowadził tak na siebie, jak na swych kolegów podczas powtórnego wejścia, zabierając ze sobą nadmierną masę części samochodowych z ECR i naruszając tym samym wszystkie rozkazy, powinna być traktowana jako akt rozpaczony dokonany przez człowieka, który nie dysponuje innymi środkami wyjścia z sytuacji. Oczywiście, decyzja należy do was. W tej kwestii reprezentujemy jedynie głos doradczy.

Addison Doug bawił się leżącą na stole zapalniczką, nawet nie podniósł wzroku. W uszach mu dzwoniło, zastanawiał się, co też to może oznaczać. Dźwięk miał elektroniczny ton. Być może znowu znajdujemy się w module, pomyślał. Ale nie, nic na to nie wskazywało: czuł niemalże namacalnie rzeczywistość otaczających go ludzi, stół, niebieską plastikową zapalniczkę w palcach. Podczas powtórnego wejścia w module nie wolno palić, pomyślał. Ostrożnie więc schował zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

— Na razie nie udało nam się zdobyć żadnych konkretnych świadectw — powiedział generał Toad — jakoby ustanowiona została zamknięta pętla czasowa. Jest to tylko subiektywne wrażenie pana Douga, wynikające na pewno z jego zrozumiałego wyczerpania. To tylko jego przekonanie, iż wszystko to powtarza się ciągle. Jak sam powiedział, zapewne ma ono podłoże psychologiczne. — Zaczął ryc, niemalże do złudzenia przypominając świnię, wśród papierów leżących przed nim. — Otrzymałem raport, z którego treścią nie zapoznały się media, od naszych psychiatrów z Yale,

dotyczący stanu psychiki temponauty Douga. Chociaż należy uznać go za nadzwyczaj wręcz stabilny, można dostrzec w nim również zaznaczające się skłonności maniakalno–depresyjne, których efektem może być stan dotkliwej depresji. Rzecz ta naturalnie została wzięta pod uwagę na długo przed startem, wykalkulowano jednak, że wesołe usposobienie pozostałych dwóch członków załogi funkcjonalnie zdominuje te tendencje. W każdym razie w obecnej chwili jego skłonności depresyjne osiągnęły wyjątkowo wysoki poziom. — Wyciągnął przed siebie dłoń z raportem, jednak nikt z siedzących przy stole nie miał ochoty się z nim zapoznać. — Czyż nie jest prawdą, doktorze Fein — zapytał — że osoba w ostrym stanie depresji doświadcza czasu w szczególny sposób, to jest jako czasu cyklicznego, czasu powtarzającego się, czasu zmierzającego donikąd, bezustannie? Taka osoba staje się do tego stopnia psychotykiem, że nie pozwala przeszłości przeminąć. Przeszłość wciąż reprodukuje się w jej głowie.

— Ale musi pan zrozumieć — powiedział doktor Fein — że owo subiektywne wrażenie znalezienia się w pułapce czasu jest zapewne jedynym świadectwem, jakim możemy dysponować. — Doktor Fein był fizykiem, którego prace stały się fundamentem całego projektu. — Gdyby rzeczywiście tak się stało, że ustanowiona została zamknięta pętla czasowa.

— Generał — oznajmił Addison Doug — używa słów, których sensu nie rozumie.

— Sprawdziłem znaczenie tych, z którymi nie jestem dostatecznie obeznany — odparł generał Toad. — Terminy techniczne psychiatrii... wiem, co one oznaczają.

Benz zwrócił się do Addisona:

— Skąd ty wzięłeś te wszystkie części do volkswagena, Addi?

— Jeszcze ich nie mam — rzekł Doug.

— Przypuszczalnie były to pierwsze lepsze śmieci, jakie wpadły mu w ręce — skomentował Crayne. — Cokolwiek było na miejscu, tuż zanim wystartowaliśmy.

— Wystartujemy — poprawił go Addison.

— Oto są moje polecenia dla waszej trójki — oznajmił generał Toad. — Nie wolno wam podjąć żadnych działań mających na celu zniszczenie, implozję bądź uszkodzenie podczas powtórnego wejścia, czy to przez zwiększenie dopuszczalnej masy, czy jakiegokolwiek inne sposoby, jakie przyjdą wam do głowy. Macie wrócić zgodnie z rozkładem i w identyczny sposób, jak się to działo podczas symulacji. Szczególnie dotyczy to pana, panie Doug. — Zadzwoił telefon stojący po jego prawej ręce. Zmarszczył brwi, podniósł słuchawkę. Przez chwilę słuchał, potem zachmurzył się jeszcze bardziej i z trzaskiem rzucił słuchawkę.

— Zmieniono pańskie rozkazy — domyślił się doktor Fein.

— Faktycznie — potwierdził generał. — I muszę przyznać, że tym razem osobiście się z tego cieszę, ponieważ moja decyzja nie należała do przyjemnych.

— A więc możemy wywołać implozję przy powtórnym wejściu? — zapytał po chwili Benz.

— Wasza trójka sama musi podjąć decyzję, co zrobić — oznajmił generał. — Ponieważ w całą sprawę zaangażowane jest wasze życie. Sposób, w jaki to zrobicie, pozostaje całkowicie w waszej gestii. Jeżeli będziecie przekonani, że znaleźliście się w zamkniętej pętli czasowej i uznacie, że potężna implozja na powtórnym wejściu rozerwie ją... — urwał, kiedy temponauta Doug wstał. — Czy ma pan zamiar wygłosić kolejną przemowę, Doug? — zapytał.

— Chciałem tylko podziękować wszystkim, którzy brali w tym udział — powiedział Addison. — Za to że pozwolono nam samym zdecydować. — Potoczył po obecnych wzrokiem dzikim i zmęczonym. — Naprawdę jestem wam za to wdzięczny.

— Wiesz — powiedział powoli Benz — że wysadzenie nas podczas powtórnego wejścia nie zwiększa w żaden sposób szans na rozerwanie zamkniętej pętli. To właśnie może spowodować jej

powstanie, Doug.

— Nie w wypadku, gdy wszyscy zginiemy — odparł Crayne.

— Zgadzasz się z Addim? — zapytał Benz.

— Śmierć to śmierć — odrzekł Crayne. — Zastanawiałem się nad tym wszystkim. W jaki inny sposób moglibyśmy się z niej wydostać? Niż tylko przez śmierć? Jakie inne wyjście byłoby lepsze?

— Być może nie znajdujecie się w pętli — zauważył doktor Fein.

— Ale równie dobrze możemy w niej być — zareplikował Crayne.

Doug, wciąż jeszcze stojąc, zwrócił się teraz do Crayne'a i Benza:

— Czy możemy włączyć Merry Lou do grona podejmujących decyzję?

— Dlaczego? — zapytał Benz.

— Nie potrafię już zbyt jasno myśleć — odrzekł Doug. — Merry Lou mi pomoże, polegam na niej.

— Jasne — powiedział Crayne, Benz również skinął głową.

Generał Toad spojrział ze stoickim spokojem na zegarek i oznajmił:

— Panowie, na tym kończymy naszą dyskusję.

Radziecki chrononauta Gauki zdjął słuchawki i zawieszony na szyi mikrofon, potem wstał i pośpieszył ku amerykańskim temponautom, wyciągając ręce. Mówił coś po rosyjsku, jednak nikt z nich trzech nie znał tego języka. Odsunęli się na bok w ponurych nastrojach, tworząc odrębną grupkę.

— Wedle mnie to nie mówisz poważnie, Addi — powiedział Benz. — Ale wychodzi na to, że obecnie jestem w mniejszości.

— Jeżeli on ma rację — powiedział Crayne — jeżeli... istnieje choć jedna szansa na miliard... byśmy mieli przeżywać to wszystko od nowa aż po wieczność, ona usprawiedliwia taką decyzję.

— Czy możemy już pójść, by zobaczyć się z Merry Lou? — zapytał Addison. — Możemy już jechać do jej domu?

— Ona czeka na zewnątrz — wyjaśnił Crayne. Generał Toad podszedł do trzech temponautów i rzekł:

— Wiecie, że na tę decyzję wpłynęła w znacznej mierze reakcja opinii publicznej, na to, w jaki sposób ty, Doug, wyglądałeś i zachowywałeś się podczas ceremonii pogrzebowej. Doradcy NSC doszli do wniosku, że opinia publiczna podobnie jak ty, uzna raczej, że dla was to już się wszystko skończyło. Znacznie więcej ulgi przyniesie im myśl, że otrzymaliście wolną rękę w waszej misji, niż że projekt zostanie uratowany dzięki realizacji doskonałego powtórnego wejścia. Sądzę, że naprawdę udało ci się wyrzucić na nich niezatarte wrażenie, Doug. Swoim skamleniem. — Odszedł wtedy, zostawiając ich trzech stojących samotnie.

— Zapomnij o nim — poradził Crayne Addisonowi. — Zapomnij o wszystkich takich jak on. Mamy to zrobienia to, co zrobić trzeba.

— Merry Lou wszystko mi wyjaśni — powiedział Doug. — Ona będzie wiedziała, co zrobić, co okaże się słuszne.

— Pójdę jej poszukać — oznajmił Crayne — a potem wszyscy czworo dokądś pojedziemy, może do niej, i tam zdecydujemy co zrobić, w porządku?

— Dziękuję — wyszeptał Addison, kiwając głową. Rozejrzał się dookoła w nadziei, że gdzieś ją zobaczy, zastanawiając się, gdzie też może się podziewać. Być może w drugim pokoju, w każdym razie gdzieś blisko. — Doceniam, co dla mnie zrobiliście — dodał.

Benz i Crayne spojrzeli po sobie. Zobaczył ich spojrzenia, ale nie miał pojęcia, co mogą oznaczać. Wiedział tylko, że potrzebuje kogoś, a najbardziej ze wszystkich Merry Lou, aby pomogła mu zrozumieć, jak wygląda obecna sytuacja. I co zrobić, żeby wszystkich z niej wydostać.

Merry Lou pojechała drogą wiodącą na północ z Los Angeles, superszybkim pasem autostrady w kierunku Ventury, a dalej do Ojai. Wszyscy czworo prawie się nie odzywali. Merry Lou prowadziła pewnie, jak zawsze; przytulony do niej, Addison Doug pozwolił sobie na chwilę wytchnienia, w przelotnej złudzie spokoju.

— Nie ma nic lepszego niż jak kociak prowadzi — powiedział Crayne, gdy już przejechali w milczeniu wiele mil.

— To jest tak, jakbyś był arystokratą — wymamrotał Benz. — Mieć kobietę za kierowcę. Jakby posiadanie szofera nobilitowało.

Merry Lou zaś powiedziała:

— Tylko do czasu, kiedy kierowca na coś nie wpadnie. Na jakiś wielki, powolny przedmiot.

— Kiedy zobaczyłaś mnie, jak szedłem do twojego domu... — zaczął Addison Doug — na tym zakręcie drogi wśród sekwoi, tamtego dnia. Co sobie pomyślałaś? Odpowiedz szczerze.

— Wyglądałeś — powiedziała dziewczyna — jakbyś robił to już wiele razy. Wyglądałeś na wykończonego, umęczonego i... gotowego by w każdej chwili umrzeć. W końcu. — Zawahała się. — Przykro mi, ale tak właśnie wyglądałeś, Addi. Powiedziałam do siebie: on zbyt dobrze zna drogę.

— Jakbym szedł już tamtędy wiele razy.

— Tak — potwierdziła.

— A więc głosujesz za implozją — podsunął Addison Doug.

— Cóż...

— Bądź ze mną szczerą — powiedział. Merry Lou wskazała dłonią za siebie:

— Zobacz na tylnym siedzeniu. Skrzynka na podłodze.

Przyświecając sobie żarówką ze schowka w desce rozdzielczej, trzej mężczyźni przyjrzeni się skrzynce. Addison Doug z obawą zbadał jej zawartość. Części motoru do volkswagena, zniszczone i zardzewiałe. Wciąż jeszcze naoliwione.

— Zabrałam je z drugiego garażu w moim domu — powiedziała Merry Lou. — Jadąc do Pasadeny. Pierwsze śmiecie które wpadły mi w ręce i które wydawały się dość ciężkie. Słyszałam w telewizji, że podczas startu wszystko, co wazy ponad pięćdziesiąt funtów ponad...

— Wystarczy — powiedział Addison Doug. — To wystarczy w zupełności.

— A więc nie ma powodu, by wracać do ciebie — dodał Crayne. — Wszystko postanowione. Równie dobrze możemy pojechać od razu na południe, gdzie stoi moduł. I rozpocząć procedurę wydostawania się z ECR. I znowu powtórne wejście. — Głos miał przygnębiony, ale spokojny. — Dzięki za pani głos, panno Hawkins.

— Wszyscy wydajecie się tacy zmęczeni — powiedziała.

— Ja nie jestem — zaprotestował Benz. — Ja jestem wściekły. Wściekły jak diabli.

— Na mnie? — zapytał Addison.

— Nawet nie wiem — odparł Benz. — Po prostu... cholera tam. — Zatonął w ponurym milczeniu, zgarbiony, zawiedziony. Odseparowany, na ile to tylko możliwe, od pozostałych w samochodzie.

Przy następnym zjeździe z autostrady skręciła na południe. Wydawało się, że przepelniają teraz poczucie swobody: Addison Doug również poczuł, jakby część tego ciężaru, tego zmęczenia została mu odjęta.

Na nadgarstkach trzech mężczyzn zabręczał ostrzegawczo odbiornik alarmu ratunkowego. Wszyscy się wzdrygnęli.

— Co to oznacza? — zapytała Merry Lou, zwalnając.

— Mamy się skontaktować telefonicznie z generałem Toadem, najszybciej jak to tylko możliwe — wyjaśnił Crayne. Potem wskazał ręką. — Tam jest Automatyczna Stacja, proszę teraz skręcić, panno

Hawkins. Stamtąd będziemy mogli zadzwonić.

Kilka minut później Merry Lou zatrzymała samochód przed ustawioną na wolnym powietrzu budką telefoniczną.

— Mam nadzieję, że wieści nie okażą się złe — powiedziała.

— Ja będę mówił pierwszy — oznajmił Doug, wysiadając z samochodu. Złe wiadomości, pomyślał ze sztucznym rozbawieniem. Jak co? Podszedł na sztywnych nogach do budki telefonicznej, wszedł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi, wrzucił monetę i wykręcił wolny od opłaty numer.

— Cóż, dopiero mam dla was wiadomości! — oznajmił generał Toad, gdy tylko operator go połączył. — To naprawdę dobrze, że udało się was złapać. Jeszcze minuta... mam zamiar pozwolić, by doktor Fein sam ci wszystko wyjaśnił. Zapewne jemu będziesz bardziej skłonny uwierzyć niż mnie. — Kilka trzasków, a potem w słuchawce rozległ się słaby, precyzyjny, uczony głos doktora Feina, teraz jednak siły dodawała mu waga wypowiedzianych słów i poczucie naglącej konieczności.

— Jakie są te złe wieści? — zapytał Addison Doug.

— Niekoniecznie należy uznać je za złe — odparł doktor Fein. — Od czasu naszej dyskusji dokonałem na komputerze określonych obliczeń, wychodzi na to... przez co rozumiem, że jest statystycznie prawdopodobne, choć wciąż nie potwierdzone z całą pewnością... że masz rację, Addison. Znajdujecie się w zamkniętej pętli czasowej.

Addison Doug wypuścił powietrze z płuc. Ty wstrętna autokratyczna matko, pomyślał. Przypuszczalnie wiedziałeś przez cały czas.

— Jednakże — ciągnął z podnieceniem doktor Fein, a głos mu się nieco załamywał — obliczyłem także... razem obliczyliśmy, głównie przez Cal Tech... że największe prawdopodobieństwo podtrzymania pętli istnieje w wypadku implozji na powtórny wejściu. Czy mnie rozumiesz, Addison? Jeżeli targasz właśnie ze sobą te zardzewiałe części volkswagena, a potem dokonasz implozji, wówczas twoje szanse statystyczne na zamknięcie na zawsze pętli są większe niż wówczas, gdy tylko zwyczajnie wejdziecie powtórnie i wszystko pójdzie dobrze.

Addison Doug nic nie powiedział.

— W rzeczywistości, Addi... i to jest ta najbardziej bolesna część, którą chcę szczególnie podkreślić... implozja na powtórny wejściu, szczególnie zaś spowodowana przez spory ciężar, to znaczy obliczona dla takiego rodzaju masy, jaką badaliśmy... łapiesz to wszystko, Addi? Słyszysz mnie? Na rany Chrystusa, Addi? Praktycznie rzecz biorąc, gwarantuje zamknięcie w absolutnie nierozrywalnej pętli, dokładnie takiej, jaką sobie wyobrażałeś. Takiej, której wszyscy się obawialiśmy od samego początku. — Chwila przerwy. — Addi? Jesteś tam?

— Mam ochotę umrzeć — powiedział Addison Doug.

— To wynika z twojego wyczerpania pętlą. Bóg jeden tylko wie, ile powtórzeń musieliście we trójkę wykonać...

— Nie zgadzam się — powiedział i zaczął odkładać słuchawkę.

— Pozwól mi pomówić z Benzem lub Crayne'em — gwałtownie protestował doktor Fein. — Proszę, zanim rozpoczniecie procedurę powtórnego wejścia. Szczególnie chciałbym rozmawiać z Benzem, właśnie z nim. Proszę, Addison. Dla ich dobra, ty jesteś niemalże całkowicie wyczerpany, przez co...

Odwiesił słuchawkę. Powoli wyszedł z budki telefonicznej.

Kiedy podchodził do samochodu, usłyszał, że alarmy tamtych wciąż brzęczą.

— Generał Toad powiedział, że automatyczne wezwanie dla nas spowoduje, że wasze odbiorniki przez jakiś czas będą się tak zachowywać — poinformował tamtych. I zatrzasnął za sobą drzwi samochodu. — Wyośmy się stąd.

— Nie chciał z nami rozmawiać? — zapytał Benz.

— Generał Toad chciał nas poinformować — odparł Addison — że mają dla nas małe co nieco. Zostaliśmy wymienieni w specjalnej Uchwale Kongresu za naszą odwagę czy jakąś inną przekłętą rzecz. Przyznano nam specjalny medal, którym jeszcze nikogo nie odznaczono. Otrzymamy go pośmiertnie.

— Cóż, do diabła... to jest jedyny sposób, w jaki mogą nam go przyznać — powiedział Crayne.

Zapalając silnik, Merry Lou zaczęła płakać.

— To będzie naprawdę ulga dla nas wszystkich — zaczął ją pocieszać Crayne, gdy już udało im się wjechać na autostradę — kiedy to wszystko się skończy.

To już nie zajmie dużo czasu, zdecydował umysł Addisona Douga.

Na ich nadgarstkach odbiorniki alarmu nie przestawały piszczeć modulowanym dźwiękiem.

— Gotowi cię zamęczyć na śmierć — powiedział Addison Doug. — Ciągła udręka słuchania rozmaitych biurokratycznych głosów.

Pozostali w samochodzie odwrócili się w jego stronę i zmierzli badawczym wzrokiem, w ich oczach niepokój mieszał się z zakłopotaniem.

— No tak — powiedział Crayne. — Te automatyczne alarmy rzeczywiście są uprzykrzone.

W jego głosie brzmiało zmęczenie. Jest tak zmęczony jak ja, pomyślał Addison. I, zrozumiałwszy to, poczuł się lepiej. Dowodziło to, w jak wielkim stopniu miał rację.

O przednią szybę zaczęły uderzać ciężkie krople deszczu i rozpadało się. To również sprawiło mu przyjemność. Przywiodło mu na myśl najbardziej podniosłe doświadczenie, jakie przeżył w ciągu swego krótkiego życia — kondukt pogrzebowy pełnący wolno wzdłuż Pennsylvania Avenue, udrapowane flagami trumny. Zamknął oczy, oparł się wygodnie i wreszcie poczuł dobrze. I słyszał, wszędzie wokół siebie, szepty przytłoczonych smutkiem ludzi. A w swych marzeniach śnił na jawie o specjalnym Medalu Kongresu. Za zmęczenie, pomyślał. Medal za to, że jest się zmęczonym.

Przed oczyma wyobraźni zobaczył siebie samego na innych konduktach oraz w śmierci tak wielu. Ale tak naprawdę była tylko jedna śmierć i jeden kondukt. Jak wtedy, w Dallas, gdy powoli sunące po ulicy samochody oddawały cześć doktorowi Kingowi... Zobaczył siebie, jak powraca wciąż, w swoim zamkniętym kręgu życia, do tego dnia żałoby narodowej, którego nie potrafiłby zapomnieć i którego nie zapomni. On zawsze tam będzie. Oni też zawsze tam będą — to będzie już na zawsze, a każdy z nich powracać tam będzie, razem będą powracać, znowu i znowu, na zawsze. Do miejsca, do chwili, w których tak bardzo chcieli być. Do wydarzenia, które było najważniejsze w życiu ich wszystkich.

To będzie jego dar dla nich, dla ludzi, dla kraju. Nałożył na świat cudowne brzemie. Straszliwy i nużący cud życia wiecznego.

Przełożył Jan Karłowski

POSŁOWIE AUTORA

Przesłanką leżącą u podstaw moich opowiadań jest przekonanie, że gdybym kiedykolwiek w życiu spotkał przedstawiciela pozaziemskiej inteligencji (bardziej potocznie określanego jako „kosmita”), przekonałbym się, że mam mu więcej do powiedzenia niżli najbliższemu sąsiadowi. Ludzi, obok których mieszkam, widuję bowiem wyłącznie wówczas, gdy odbierają swe gazety oraz pocztę, a także kiedy samochodami wyjeżdżają do pracy. Najwyraźniej nie zajmują się niczym innym, czasem jeszcze tylko koszą swe trawniki. Pewnego razu wybrałem się z wizytą do sąsiadów, aby zobaczyć, co porabiają w domu. Oglądali telewizję. Czy pisząc powieść s.f., można by zbudować kulturę opartą na tej podstawie? Z pewnością takie społeczeństwo nie istnieje, wyjąwszy może tylko mój naród. A przecież do wyobrażenia go sobie nie potrzeba szczególnego wysiłku.

Moje sąsiedztwo jest więc zupełnie niewyobrażalne. Sposobem na wydostanie się z życia wiedzionego pośrodku niewyobrażalnego wymysłu jest nawiązanie kontaktu, przynajmniej w ramach własnej imaginacji, z innymi cywilizacjami, dotąd jeszcze nie odkrytymi. Ty, kiedy czytasz s.f., robisz to samo co ja, kiedy ją piszę — twój sąsiad prawdopodobnie jest dla ciebie tak samo zupełnie obcą formą życia jak mój dla mnie.

Opowiadania pomieszczone w tym zbiorze stanowią próbę zrozumienia — wsłuchania się w głosy docierające z jakiegoś innego miejsca, niezwykle odległego, głosy bardzo słabe, ale ważne. Usłyszeć je można tylko późną nocą, gdy milknie bezustanny zgiełk i wrzawa naszego świata. Kiedy gazety zostały już przeczytane, odbiorniki telewizyjne wyłączone, samochody zaś parkują w najróżniejszych garażach. Wtedy, choć wciąż słabo, słyszę głosy docierające do mnie z innej gwiazdy. (Sprawdzałem to kiedyś na zegarku, odbiór jest najlepszy między trzecią a czwartą czterdzieści pięć rano.) Rzecz jasna zazwyczaj nie informuję o tym ludzi, którzy pytają: „Proszę mi powiedzieć, skąd bierze pan swoje pomysły?” Po prostu mówię im, że nie wiem. Tak jest znacznie bezpieczniej.

Weźmy więc te opowiadania i załóżmy, że są one (po pierwsze) zniekształconym zrozumieniem tamtych głosów, pomieszanym z czystą wyobraźnią, oraz (po drugie) propozycją alternatywną względem reklam jedzenia dla psów w telewizji. W obu wypadkach spełniają tę samą funkcję — nie mają nic wspólnego z tym, co można natychmiast zdobyć. Przyjmując oba te założenia, od razu sięgamy tak daleko, jak to tylko możliwe. Przemierzamy pustkę i powracamy z czymś, co może stanowić już treść przekazu: że oto wszechświat pełen jest żywych istot zajmujących się namiętnie realizacją swoich własnych celów i planów, ślepych na interesy innych, wyobcowanych ze swego najbliższego sąsiedztwa, a nade wszystko zastanawiających się, z kim będzie można się porozumieć, kiedy wszystko pozostałe zawiedzie. Zastanawiających się, kto żyje tak jak one; zastanawiających się, być może, nad nami.

Większość tych opowiadań została napisana w czasach, gdy moje życie było prostsze i miało sens. Potrafiłem stwierdzić, jaka jest różnica między światem rzeczywistym a światem, o którym piszę. Miałem zwyczaj zajmować się ogrodem, a nie ma nic szczególnie fantastycznego ani nadrzeczywistego w trawie... chyba że jesteś pisarzem s.f., w którym to wypadku wkrótce zaczniesz podejrzliwie podchodzić do trawy. Jakie naprawdę kierują nią motywy? I kto po raz pierwszy ją zasiał?

Pytanie, które sobie zawsze zadawałem, brzmi: co jest rzeczywiste? Trawa tylko z pozoru przypomina trawę. Oni po prostu chcą, żebyśmy tak myśleli. Pewnego dnia opadnie maska z trawy i zostanie odsłonięta jej prawdziwa tożsamość. Wówczas Pentagon w całości porośnie już trawa i oczywiście będzie za późno. Trawa albo to, co nam się trawą wydaje, podyktuje swoje warunki.

Moje wczesne opowiadania wyrastają z takich właśnie przesłanek. Później, kiedy moje życie osobiste się skomplikowało i stało pełne nieszczęśliwych zakrętów, niepokoje dotyczące trawy gdzieś się rozwiały. Nauczyłem się, że największy ból nie spływa na nas zniecka z odległych planet, ale rodzi się z głębi serca. Oczywiście obie rzeczy mogą się wydarzyć równocześnie — twoja żona może odejść od ciebie, zabierając dziecko, a kiedy będziesz siedział sam w pustym domu, nie mając już po co żyć, przez dach wpadną na dodatek Marsjanie i porwą cię.

Jeżeli chodzi o sens opowiadań z tego zbioru, nie będę w tym miejscu cytował zwyczajowej wymówki, że opowiadanie winno mówić samo za siebie, ale raczej ucieknę się do wymówki, że po prostu nie wiem. Chodzi mi o to, że tak naprawdę nie wiem do końca, co jest w nim zawarte, ponieważ to może wiedzieć tylko czytelnik, który coś z niego dla siebie weźmie. Pewnego dnia dostałem listy od całej klasy dzieci, które napisały do mnie o moim opowiadaniu *Kopia ojca*, a każde z nich chciało wiedzieć, skąd wzięłem pomysł. To było proste, ponieważ opowiadanie to opierało się na wspomnieniach o moim ojcu, jakie przechowałem z dzieciństwa; później jednak, kiedy powtórnie czytałem odpowiedzi na te listy, przekonałem się, że ani razu nie napisałem dwakroć tego samego. Z całym należnym szacunkiem i uczciwością udzieliłem każdemu z dzieciaków innej odpowiedzi. Sądzę, że w taki sposób właśnie zostaje się pisarzem s.f. Dajcie mu sześć faktów, a połączy je ze sobą najpierw w jeden sposób, potem w inny, i tak dalej, aż będziecie go musieli siłą powstrzymać.

Krytykę literacką zostawić należy zapewne krytykom, ponieważ na tym polega ich praca. Kiedyś przeczytałem w bardzo wybitnej książce z dziedziny krytyki gatunku, że w mojej powieści *Człowiek z Wysokiego Zamku* szpilka, którą Juliana spinała sobie bluzkę, symbolizuje wszystko to, co powinno spinać razem tematy, idee i podrzędne wątki samej powieści — o czym nie miałem zielonego pojęcia, pisząc ten fragment. Ale co się stanie, jeśli Juliana, także o tym nie wiedząc, wyciągnie szpilkę? Czy powieść również się rozpadnie? Czy chociaż rozepnie się odrobinę, ukazując głębię dekoltu (a właśnie dlatego chłopak Juliany nalegał pierwotnie, by używała szpilki)? Zrobię więc wszystko, co w mojej mocy, aby rozpiąć trochę te opowiadania.

Przewaga opowiadania nad powieścią polega na tym, że w opowiadaniu obserwujesz bohatera w szczytowym momencie jego życia, natomiast w powieści musisz podążać za nim od dnia narodzin aż po dzień, w którym umrze (albo przynajmniej prawie). Otwórzcie przypadkowo powieść w dowolnym miejscu, a przekonacie się, że to, co właśnie czytacie, jest nudne lub nieważne. Jedynym sposobem skompensowania tych wad może być styl. A więc nie to, co się dzieje, lecz sposób, w jaki się o tym opowiada. Zawodowy powieściopisarz bardzo szybko nabywa umiejętności opisywania wszystkiego w wyjątkowym, sobie właściwym stylu, wiąże się to jednak z zanikiem treści. W opowiadaniu natomiast nie można przed nią uciec. Coś ważnego musi się po prostu zdarzyć. Sądzę, że to właśnie dlatego bardzo utalentowani zawodowi pisarze kończą, pisząc powieści. Kiedy ich styl jest doskonały, wówczas osiągają swój cel. Ostatnie dzieła Virginii Woolf, na przykład, zupełnie wyzute są z treści.

Jeśli jednak chodzi o te opowiadania, pamiętam, że za każdym razem miałem pomysł, zanim jeszcze zasiadłem do pisania. To musiał być naprawdę porządny koncept: prawdziwa podstawa, od której budowałem opowiadanie. Zawsze musi istnieć możliwość zapytania: „Czy czytałeś opowiadanie o...”, a potem streszczenia, o czym ono jest. Jeżeli pomysł stanowi istotę s.f. (jak to podkreślał doktor Willis McNelly), jeżeli rzeczywiście pomysł jest jej prawdziwym bohaterem, wówczas opowiadanie s.f. stanowi formę literacką fantastyki par excellence, powieść zaś jest tylko jego rozwinięciem, rozbudowaniem aż do granic możliwości. Większość moich powieści to rozbudowane, wcześniej już napisane opowiadania, albo kilka opowiadań połączonych, nałożonych

jedne na drugie. Zarodkiem jednak za każdym razem jest opowiadanie, w najbardziej podstawowym sensie tego słowa, stanowi bowiem jej esencję. A niektórych z moich najlepszych pomysłów, naprawdę wiele dla mnie znaczących, nigdy nie udało mi się rozbudować w formę powieści. Pomimo wszelakich wysiłków, jakie podejmowałem, istnieją tylko w formie opowiadań.

A więc teraz, krótko, omówmy same opowiadania.

Gdzie kryje się wub: Pierwsze opowiadanie, które opublikowałem, w najbardziej zresztą koszmarnym ze wszystkich groszowych czasopism, jakie wówczas można było dostać w stoiskach, „Planet Stories”. Kiedy przyniosłem cztery egzemplarze do sklepu z płytami, w którym pracowałem, właściciel spojrzął z nieklamany przerażeniem najpierw na mnie, potem na czasopisma i zapytał: „Phil, czytasz takie rzeczy?” Musiałem przyznać, że nie tylko czytam. Również piszę.

Roog: Pierwsze opowiadanie, które sprzedałem! I na dodatek Tony’emu Boucherowi dla „Fantasy i Science Fiction”. Zanim je przyjął, zmusił mnie do kolejnych przeróbek, obejmujących samą osnowę akcji. Ale ten dzień, kiedy w skrzynce pocztowej znalazłem list zamiast zwróconego rękopisu z odmowną informacją! Uwielbiam to opowiadanie i wątpię, abym dzisiaj pisał choć odrobinę lepiej niż w roku 1951, kiedy je stworzyłem; po prostu piszę teraz rzeczy dłuższe.

Druga Odmiana: Mój naczelny temat — kto jest człowiekiem, a kto jedynie z pozoru przypomina (udaje) człowieka? — tutaj rozwijam w całej pełni. Jeżeli nie jesteśmy w stanie, indywidualnie i zbiorowo, odpowiedzieć sobie na to pytanie, stajemy przed — moim zdaniem — najpoważniejszym z możliwych problemów. Nie znając właściwej odpowiedzi, nie możemy być pewni nawet własnego „ja”. Jak wówczas mam poznać samego siebie, a co dopiero kogoś drugiego. Ciągle więc powracałem do tej kwestii; żadna inna nie jest dla mnie ważniejsza od niej. A rozwiązać ją niełatwo.

Wyplata: Ile jest wart klucz do szafki w przechowalni bagażu na dworcu? Jednego dnia wart jest dwadzieścia pięć centów, innego tysiące dolarów. Przy tym opowiadaniu zacząłem myśleć, że zdarzają się chwile w naszym życiu, kiedy posiadanie dwucentówki na rozmowę telefoniczną stanowi o różnicy między życiem a śmiercią. Klucze, drobne monety, może bilet do teatru... a co z kwitem parkingowym na jaguara? Musiałem jedynie połączyć ten pomysł z ideą podróży w czasie, aby zobaczyć, jak drobne i pozornie bezużyteczne przedmioty pod mądrym spojrzeniem podróżnika w czasie nabierają poważniejszego znaczenia. On dokładnie będzie wiedział, kiedy ta dwucentówka uratuje ci życie. A powróciwszy z powrotem do przeszłości, może uznać ją za wiele więcej wartą od dowolnej, nieważnej jak wielkiej, sumy pieniędzy.

Mistyfikator. Oto moje pierwsze opowiadanie na temat: Czy jestem człowiekiem? Czy tylko zaprogramowano mnie, abym w to wierzył? Kiedy weźmiecie pod uwagę, że napisałem je już w 1953 roku, staje się ono, jeśli tak to można ująć, cholernie nowatorskim pomysłem na gruncie s.f. Oczywiście w obecnej chwili zamęczyłem już tę kwestię na śmierć. Ale sam temat wciąż mnie interesuje. Problem jest ważny, zmusza nas bowiem do postawienia sobie pytania: Co to znaczy być człowiekiem? A co znaczy... nim nie być?

Kolonia: Ostateczne stadium paranoi osiąga się nie wtedy, kiedy wszyscy są przeciwko tobie, ale wówczas dopiero, gdy wszystko jest przeciwko tobie. Zamiast: „Mój szef mną manipuluje”, będzie to wtedy: „Telefon mojego szefa mną manipuluje”. Przedmioty czasami zdają się mieć własną wolę, przynajmniej tak to wygląda w oczach normalnego człowieka; nie robią tego, co robić powinny, stają zniechęceni na drodze, wykazują nienaturalny opór przed zmianą. W tym opowiadaniu próbowałem przedstawić sobie sytuację, która mogłaby racjonalnie wyjaśnić ten ponury spisek przedmiotów przeciw ludziom, nie odwołując się do jakiegokolwiek udziału ze strony samych ludzi. Przypuszczam

jednak, że wszystko musiało dziać się na innym świecie. W zakończeniu opowieści zawarłem ostateczny triumf zdradzieckich przedmiotów nad niewinnymi ludźmi.

Zbędny: We wczesnych latach mojej twórczości uwielbiałem pisywać krótkie opowiadania fantastyczne — dla Anthony'ego Bouchera — z nich wszystkich to lubię najbardziej. Na pomysł wpadłem, kiedy zdało mi się, że bzycząca w pomieszczeniu mucha (paranoja w najczystszej postaci!) wyśmiewa się ze mnie.

Czasy Żwawej Pat: Do napisania tego opowiadania skłoniło mnie szaleństwo rozpętane wokół lalki Barbie, nie trzeba zresztą tego chyba wyjaśniać. Barbie zawsze w moich oczach wydawała się aż nazbyt realna. Wiele lat później miałem dziewczynę, której największą ambicją było stać się lalką Barbie. Mam nadzieję, że jej się udało.

Śniadanie o brzasku: Siedzisz w swoim domu, a nagle żołnierze wyważają drzwi i przekonują cię, że oto znalazłeś się w samym środku III wojny światowej. Coś pomieszało się w czasie. Bardzo lubię majstrować przy podstawowych kategoriach określających rzeczywistość, takich jak przestrzeń, czas, i obserwować skutki ich załamywania się. Przypuszczam, że tak się objawia moja miłość do chaosu.

Foster, już nie żyjesz: Pewnego dnia przeczytałem w gazecie nagłówek donoszący, że prezydent zaproponował, aby Amerykanie kupowali swe schrony przeciwoatomowe, zamiast otrzymywać je od rządu, wówczas z pewnością lepiej by o nie dbali — pomysł ten sprawił mi w prawdziwą furję. Logicznie rzecz biorąc, każdy z nas powinien mieć także własną łódź podwodną, własny myśliwiec odrzutowy i tak dalej. W opowiadaniu chciałem tylko pokazać, jak okrutna potrafi być władza, kiedy w grę wchodzi ludzkie życie, jak myśli wyłącznie w kategoriach pieniędzy, nie dbając zupełnie o ludzi.

Kopia ojca: Kiedy byłem bardzo mały, zawsze miałem wrażenie, że mój ojciec składa się z dwu ludzi, dobrego i złego. Dobry ojciec czasami znika i zastępuje go zły. Przypuszczam, że wiele dzieci odczuwa podobnie. A co, gdyby okazało się to prawdą? Opowiadanie wychodzi od normalnego odczucia, które w rzeczywistości jest niesłuszne, a jednak w jakiś sposób staje się prawdą... nadto tak się niefortunnie się składa, że nie można wiedzy o tym przekazać nikomu innemu. Na szczęście są inne dzieci, którym można wszystko opowiedzieć. Dzieci rozumieją; są mądrzejsze od dorosłych... hm, omal nie napisałem: „Mądrzejsze od ludzi”.

Wezwanie do naprawy: Kiedy to opowiadanie zostało opublikowane, wielu miłośników oburzyło się, że względu na negatywne nastawienie, jakiemu rzekomo dałem w nim wyraz. Ale wówczas już zaczynałem bawić się w myślach ideą rosnącej dominacji maszyn nad człowiekiem, w szczególności maszyn, którymi z własnej woli się otaczamy, które więc powinny, wedle wszelkiej logiki, być najmniej groźne. Nigdy nie wydawało mi się, że to jakiś szczękający metalem potwór będzie kroczył po Piątej Avenue, pożerając Nowy Jork; zawsze obawiałem się mojego własnego odbiornika telewizyjnego albo żelazka czy tosterka, które w prywatnym zaciszu mego mieszkania, kiedy wokół nie będzie nikogo, kto mógłby przyjść z pomocą, oznajmia mi, że skończyło się, a oto jest lista reguł, których odtąd muszę przestrzegać. Nigdy nie podobała mi się idea słuchania rozkazów maszyny. Nienawidzę zdejmowania czapki przed czymś, co zostało zbudowane w fabryce. (Widzicie te wszystkie taśmy z Białego Domu, jak wychodzą z tyłu głowy prezydenta? A na nich zaprogramowane jest, co ma powiedzieć i zrobić?)

Zautomatyzowane fabryki: Tom Dish powiedział o tym opowiadaniu, że było jednym z najwcześniejszych ostrzeżeń przed ekologicznym zagrożeniem w s.f. Kiedy je pisałem, chodziło mi jednak o coś innego, mianowicie o przecucie, że jeżeli fabryki staną się w pełni zautomatyzowane, mogą zacząć zdradzać objawy instynktu samozachowawczego, właściwego dotąd wyłącznie istotom

żywym... i być może rozwiną identyczne mechanizmy jego realizacji.

Człowiekiem jest: To opowiadanie konstatuje wniosek z moich wczesnych dociekań odnośnie do tego, co znaczy być człowiekiem. Od czasu jak je napisałem, jeszcze w latach pięćdziesiątych, nie zmieniłem swoich poglądów w tej kwestii. Nie chodzi o to, jak wyglądasz, czy też na jakiej się urodziłeś planecie. Chodzi o to, czy jesteś życzliwy dla innych. Jakość życzliwości, w moich oczach, odróżnia nas od kamieni, badyli i metalu; zawsze tak będzie, niezależnie od tego, czym się staniemy. Dla mnie to opowiadanie stanowi wyznanie wiary. Oby w waszym wypadku również takim się stało.

Gdyby nie było Benny'ego Cemoliego: Zawsze wierzyłem, że przynajmniej połowa sławnych ludzi historii nigdy nie istniała. Wymyśla się to, co zaspokaja jakąś potrzebę. Być może wymyślono nawet Karola Marksa, który był tworem jakiegoś wynajętego pisarza. W takim wypadku...

Och, być Blobem!: Tutaj przedstawiłem ostatecznie bezsensowną ironię wojny: człowiek zmienia się w Blobla, a Blobel, jego wróg, staje się człowiekiem, i oto już wszystko, próżność, czarny humor, głupota. A w opowiadaniu wszystko kończy się szczęśliwie.

Wiara naszych ojców: Tytuł jest jednocześnie tytułem starego hymnu. Przypuszczam, że pisząc to opowiadanie, udało mi się obrazić wszystkich, co wówczas wydawało się dobrym pomysłem, czego jednak od tego czasu wielokrotnie żałowałem. Komunizm, narkotyki, seks, Boga — wszystko zlepiłem razem, a od czasu, kiedy wiele lat później świat zawalił mi się na głowę, nie mogę się pozbyć wrażenia, że jakiś udział w tym musiało mieć owo opowiadanie.

Elektryczna mrówka: Ostatnie opowiadanie, które napisałem znowu na temat: Do jakiego stopnia to, co nazywamy rzeczywistością, naprawdę istnieje poza naszymi głowami? Zakończenie tego opowiadania zawsze mnie przerażało... szum wzmagającego się wiatru, który niesie odgłos pustki. Jakby przecucie ostatecznego losu samego świata.

Małe co nieco dla nas, temponautów: W najnowszym moim opowiadaniu opisuję szeroko spotykane poczucie znużenia programem lotów kosmicznych, którym tak emocjonowaliśmy się z początku — szczególnie jeśli chodzi o pierwsze lądowanie na Księżycu — a który potem został niejako zapomniany i porzucony, zmieniając się w jeszcze jeden relikwyt historii. Zastanawiam się tutaj, czy jeśli podróże w czasie zostaną objęte kolejnym „programem”, jego los będzie podobny? Czy też ujawnią się, drzemiące w nim, groźniejsze znacznie konsekwencje, wynikające z samej natury paradoksów podróży w czasie?

Philip K. Dick
Fullerton, Kalifornia
maj 1976

PODZIĘKOWANIA

Beyond Lies the Wub, copyright © 1952 by Love Romances Publishing Company, Inc., for *Planet Stories*, July 1952.

Roog, copyright © 1953 by Fantasy House, Inc., for *The Magazine of Fantasy and Science Fiction*, February 1953.

Second Variety, copyright © 1953 by Space Publications, Inc., for *Space Science Fiction*, May 1953.

Paycheck, copyright © 1953 by Greenleaf Publications, Inc., for *Imagination*, June 1953.

Impostor, copyright © 1953 Street & Smith Publications, Inc., for *Astounding Science Fiction*, June 1953.

Colony, copyright © 1953 by Galaxy Publishing Corporation for *GALAKY Science Fiction*, June 1953.

Expendable, copyright © 1953 by Fantasy House, Inc. for *The Magazine of Fantasy and Science Fiction*, July 1953.

The Days of Perky Pat, copyright © 1953 by Ziff-Davis Publishing Company, Inc., for *Amazing Stories*, December 1953.

Breakfast at Twilight, copyright © 1954 by Ziff-Davis Publishing Company, Inc., for *Amazing Stories*, July 1954.

Foster, You're Dead, copyright © 1954 by Ballantine Books, Inc., for *Star Science Fiction Stories No. 3*.

The Father-thing, copyright © 1954 by Fantasy House, Inc., for *The Magazine of Fantasy and Science Fiction*, December 1954.

Service Call, copyright © 1955 by Columbia Publications, Inc., for *Science Fiction Stories*, July 1955.

Autofac, copyright © 1955 by Galaxy Publishing Corporation for *GALAXY Science Fiction*, November 1955.

Human Is, copyright © 1955 by Better Publications, Inc., for *Starling Stories*, Winter 1955.

If There Were No Benny Cemoli, copyright © 1963 by Galaxy Publishing Corporation for *GALAKY Magazine*, February 1964.

Oh, to Be a Blobel, copyright © 1964 by Galaxy Publishing Corporation for *GALAKY Magazine*, February 1964.

Faith of Our Fathers, copyright © 1967 by Harlan Ellison for *Dangerous Visions*.

The Electric Ant, copyright © 1969 by Mercury Press, Inc., for *The Magazine of Fantasy and Science Fiction*, October 1969.

A Little Something for Us Tempunauts, copyright © 1974 by Edward L. Ferman and Barry Malzberg for *Final Stage*.

Dziękujemy także Markowi Hurstowi, którego pomoc umożliwiła nam zrealizowanie tego przedsięwzięcia.

Spis treści

[Rzeczywistość Philipa K. Dicka](#)

[Gdzie kryje się wub](#)

[Roog](#)

[Odmiana Druga](#)

[Wypłata](#)

[Mistyfikator](#)

[Kolonja](#)

[Zbędny](#)

[Czasy Żwawej Pat](#)

[Śniadanie o brzasku](#)

[Foster, już nie żyjesz](#)

[Kopia ojca](#)

[Wezwanie do naprawy](#)

[Zautomatyzowane fabryki](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[Człowiekiem jest...](#)

[Gdyby nie było Benny'ego Cemoliego](#)

[Och, być Bloblem!](#)

[Wiara naszych ojców](#)

[Elektryczna mrówka](#)

[Małe co nieco dla nas, temponautów](#)

[Posłowie autora](#)

[Podziękowania](#)

*-*In Search of Wonder*, Advent Publishers 1965.

*-Zob. *The Best of Henry Kuttner*, ze wstępem Raya Bradbur/ego, Ballantine Books 1975.

*-Zob. *The Best of Cordwainer Smith*, red. J. J. Pierce, Ballantine Books 1975.

*- Aluzja do książki Dicka pod takim właśnie tytułem (*Martian Time Slip*), wyd. pol. Amber 1994 (przyp. red.).

*- *Trzy popychadła* — *The Three Stooges*, serial z trzema amerykańskimi komikami o imionach: Curly, Larry i Moe, nadawany w latach pięćdziesiątych. Bohaterowie robili głupie rzeczy, za które obwiniali się nawzajem i często rzucali w siebie np. patelniami (przyp.tłum.).

Spis treści

*

Rzeczywistość Philipa K. Dicka.	3
Gdzie kryje się wub.	7
Roog.	14
Odmiana Druga.	18
Wyplata.	52
Mystyfikator	79
Kolonia.	89
Zbędny.	103
Czasy Żwawej Pat	107
Śniadanie o brzasku.	125
Foster, już nie żyjesz.	137
Kopia ojca.	151
Wezwanie do naprawy.	159
Zautomatyzowane fabryki	172
I.	172
II.	175
III.	179
IV..	182
Człowiekiem jest.....	189
Gdyby nie było Benny'ego Cemoliego.	199
Och, być Bloblem!	214
Wiara naszych ojców..	228
Elektryczna mrówka.	252
Małe co nieco dla nas, temponautów..	266
Posłowie autora.	283
Podziękowania.	288